

SMUTNA HISTORIA

BRACI

GROSSBART



JESSE BULLINGTON

Jesse Bullington

SMUTNA HISTORIA  
BRACI  
GROSSBART

*Sad Tale of the Brothers Grossbart*

Przełożyła Małgorzata Strzelec



# Spis treści

## PRZEDMOWA

I - PIERWSZE BLUŻNIERSTWO

II - KANALIE NA WOLNOŚCI

III - NOC W GÓRACH

IV - NIEDOWETOWANA STRATA

V - DRUGI POLICZEK

VI - ZĘBY DAROWANEGO KONIA

VII - OPowieść KU PRZESTRODZE SNUTA TAK DLA OJCÓW, JAK I DLA CÓREK

VIII - DOŚĆ JUŻ DYGRESJI

IX - KOŚCI NIEZGODY

X - ŚWIEŻE TROPY I DOBRE INTENCJE

XI - PRZYGODA Z HUMORAMI

XII - GADANIE NA GÓRZE

XIII - POCZĄTEK OPowieści, KTÓRA JUŻ SIĘ ZAKOŃCZYŁA

XIV - NUDNA DROGA

XV - PROROCY SCHIZMY

XVI - SPOJRZENIE W OTCHŁAŃ

XVII - TRUDNY POWRÓT DO DOMU

XVIII - CIĄGNIĘ SWÓJ DO SWEGO

XIX - JAK POCZĄTEK, TAK I KONIEC ZIMY JEST TRUDNY DO USTALENIA NA POŁUDNIU

XX - WENECKA TRAGEDIA

XXI - POŻOGA PRAGNIEŃ

XXII - GRZECHY OJCA

XXIII - WCIAŻ NA POŁUDNIE

XXIV - EGZEKUCJA GROSSBARTÓW

XXV - NUDNY REJS

XXVI - KRUCJATA DZIECIECIA

XXVII - Z RODOS DO GIPTU

XXVIII - ENTUZJASTYCZNE ŁOWY

XXIX - JAK KONIEC, TAK I POCZĄTEK ZIMY TRUDNY JEST DO USTALENIA NA POŁUDNIU

XXX - NALEŻNA IM NAGRODA

XXXI - OSTATNIA HEREZJA

## BIBLIOGRAFIA

## PODZIEKOWANIA

## PRZYPISY

*Dedykuję:*

*Raechel*

*Davidowi*

*Molly*

*Travisowi*

*Johnowi*

*Jonathanowi*

# PRZEDMOWA

Historia braci Grossbart nie zaczyna się od odkrycia pięćset lat temu iluminowanych stron zawierających *Die Tragödie der Brüder Große Bärte*, które wsunięto między karty na poły skopiowanej Biblii w niemieckim klasztorze, ani nie kończy się wraz ze spłonieniem tych bezcennych skarbów podczas bombardowania Drezna w ubiegłym stuleciu. Nawet niezliczone ustne przekazy, spisane ostatecznie w wyżej wspomnianym manuskrypcie przez mnicha, który odszedł w zapomnienie, z trudem można uznać za prawdziwy początek historii, a w dodatku, jak wskazują najnowsze badania naukowe, przygody Grossbartów jeszcze nie dobiegły końca. Permanencja i obecność w różnych kulturach tej średniowiecznej opowieści czyni jeszcze bardziej zaskakującym brak jej ostatecznego współczesnego tłumaczenia, zważywszy, że jedynymi tekstami dostępnymi dla obecnego odbiorcy jest garść ocalałych dziewiętnastowiecznych reprintów oryginalnych dokumentów i – na całe szczęście – wyczerpany już nakład tłumaczenia Trevora Caleba Walkera. Fakt, że Walker był lepszym badaczem niż poetą, nigdzie nie uwidocznił się bardziej niż w tej publikacji wydanej na koszt autora; stąd impuls do opowiedzenia od nowa *Die Tragödie* w sposób, który ukazałby historię w kształcie podobnym temu, z jakim stykali się jej oryginalni słuchacze.

Rozróżnienie między „historiami” a „historią” to prawdopodobnie coś, czego po raz pierwszy dokonano na tym polu – zamiast traktować *Die Tragödie* jak zbiór niezależnych fragmentów, porównywalnych do pochodzącej z tego samego okresu „Powieści o Lisie”, skupiłem się na nieustannie podejmowanych przez Grossbartów poszukiwaniach, by dzięki temu sklecić spójną i linearną opowieść. Przekształcenie tego dzieła w jednorodną relację pozwoliło połączyć oderwane dotychczas historie i pogodzić rozbieżności, które rzucają światło na rozmaite aspekty motywu przewodniego, nawet jeśli w pierwszej chwili wydają się całkiem sprzeczne, a zgadza się jedynie czas i miejsca akcji. Z takiego podejścia do tematu wynika również to, że czasem w podróży pojawiają się drobne przeskokki, gdy opuszczono nadmiernie powtarzalne przygody.

Badacze zaciekawieni tym, czy pokorny autor opowiada się za takimi

apologetami jak Dunn i Ardanuy, czy też za rewizjonistami, jak Rahimi i Tanzer, rozczarują się – opowieść jest przeznaczona dla tych członków społeczności, którzy nie zetknęli się wcześniej z Grossbartami, i w związku z tym została ogołocona z akademickich popisów. Z tego powodu, oraz dla uniknięcia nadmiernego rozpraszania przeciętnego czytelnika, na następnych stronach zabraknie przypisów. A tam, gdzie tradycja odnotowuje rozbieżne wersje historii, pojawiają się najpopularniejsze interpretacje danego incydentu. Jak już zostało wspomniane, przygody Grossbartów często są zadziwiająco podobne, a różnią się jedynie miejscem akcji – co odzwierciedla jedynie regionalne zróżnicowanie wśród gawędziarzy – i wobec tego podkreślanie tych odstępstw zniweczyłoby cel, jaki przyświecał temu projektowi: a mianowicie przekazanie opowieści w kształcie jak najbardziej zbliżonym do oryginalnego. W końcu przeciętny niemiecki chłop nie byłby świadomy tego, że holenderski sąsiad obwinia jego ojczysty region za spłodzenie Grossbartów, tak samo jak kupiec z Dordrechtu nie wiedziałby, że w Bad Endorf Niemcy upierają się, że to w jego rodzinnym mieście urodzili się bliźniacy.

To wskazuje na przepaść dzielącą współczesnego Czytelnika od pierwotnych odbiorców – odbiorców tak nam obcych, że omal niezrozumiałych. Dawni gawędziarze i słuchacze mogli na przykład traktować fantastyczne i pełne przemocy elementy o wiele poważniej, gdy tylko palenisko albo ognisko odgradzało ich od grozy nocy. Czternasty wiek, w którym to przygody Grossbartów się rozgrywały i w którym je opowiadano, był, jak mówi we wstępie do swojej pracy na temat tej epoki Barbara Tuchman, „czasem gwałtownym, udręczonym, zdumionym, pełnym cierpienia i rozpadu; epoką, jak wielu myślało, Szatana triumfującego”.

Jednakże nie przypadkiem Tuchman zatytułowała swoją książkę „Odległe zwierciadło”. Tragedie i potworności z natury rzeczy mogą się wydawać gorsze, kiedy ocenia się je na długo po tym, gdy się wydarzyły, ale niezależnie od tego, czego wszyscy do tej pory dokonaliśmy, wojny szaleją, szlachetne powstania są brutalnie dławione, prześladowania religijne kwitną, głód i zarazy dziesiątkują niewinnych. To nie jest usprawiedliwienie ani przeprosiny za wszelkie okrucieństwa, którymi naszpikowane są następne stronicie – dostarczam jedynie szkielec, przez które można na nie spojrzeć, o ile Czytelnik takowych potrzebuje.

Nigdy się nie dowiemy, czy Grossbartowie byli bohaterami, czy złoczyńcami,

ponieważ jak zauważa Margaret Atwood w swojej powieści „Opowieść podręcznej”: „Możemy tę Eurydykę przywołać ze świata cieni, ale nie możemy jej kazać mówić. A kiedy zwrócimy oczy, by na nią spojrzeć, jej obraz będzie niby ulotne mgnienie”<sup>[1]</sup>. To, że sami Grossbartowie poczuliby się urażeni powiązaniem ich z czarami orfeuszowej wyprawy do świata podziemnego i poniższą relacją z ich wyczynów, wydaje się wysoce prawdopodobne, ale to, czy przypadłaby do gustu średniowiecznej widowni, na zawsze pozostanie zagadką. Opowieść tę ekshumowano dla naszego oświecenia, i chociaż nieco przykroilem ją do naszej współczesnej wrażliwości, duch Grossbartów pozostał nietknięty i – jako taki – nienasycony. „Jak wiedzą historycy” – kończy swój wywód Atwood – „przeszłość to jeden wielki mrok wypełniony echami. Dobiegają nas nawet i głosy, ale to co chcą nam przekazać, spowija ciemność, z której pochodzą, i mimo usilnych starań nie zawsze możemy je rozszyfrować w jaśniejszym świetle naszego dnia”. Nie zapominając o tej mądrości, nadstawmy uszu i zmruźmy oczy, zwracając się w stronę braci Grossbart i początku opowieści w Bad Endorf.





# I

## PIERWSZE BLUŹNIERSTWO



S twierdzić, że bracia Grossbart byli okrutnymi i samolubnymi zbójcami, to obrazić nawet najwstrętniejszego rozbójnika, a nazwać ich krwiożerczymi świniami, to zniesławić nawet najpaskudniejszego wieprza. Byli Grossbartami do szpiku kości, i na wielu ziemiach ten tytuł po dziś dzień nie stracił nic ze swojego ciężaru gatunkowego. Chociaż nie byli tak odrażający jak ich ojciec, ani tak przebiegli jak ojciec ich ojca, okazali się znacznie gorsi od tych dwóch niewątpliwie potwornych mężczyzn. Krew potrafi się zepsuć na przestrzeni jednego pokolenia, ale może też, destylowana w ciągu stuleci, zamienić się w coś naprawdę najpodlejszego, i tak właśnie się stało w przypadku straszliwych braci–bliźniaków, Hegla i Manfreda.

Obaj byli średniego wzrostu, acz mizernej budowy. Manfred miał nieproporcjonalnie wielkie uszy, z kolei nos Hegla przyćmiewał rozmiarem i guzowatym kształtem niejedną rzepę. Miedziane włosy i krzaczaste brwi Hegla kontrastowały ze zmierzwionym srebrem na czaszce brata; obaj mieli policzki zapadnięte i dziobate od ospy. Przeżyli dopiero dwadzieścia pięć wiosen, ale wyhodowali brody tak wybitnej długości, że często nawet z niewielkiej odległości omyłkowo brano ich za starców. To zaś, który ma dłuższego, stanowiło przedmiot niekończącego się sporu między braćmi.

Zanim został złapany i powieszony w jakiejś ponurej wiosce daleko na północy, ojciec przekazał im tajniki rodzinnego fachu – zakładając, że rabowanie grobów można uznać za dochodowe zajęcie. Na długo przed czasami ich dziadka nazwisko Grossbart było synonimem najbardziej szemranych machlojek, ale dopiero kiedy cmentarze stały się czymś więcej niż nędznymi mogiłkami, ród odnalazł swoje prawdziwe powołanie. Ojciec porzucił rodzinę, zostawiając synów z matką, kiedy byli dość duzi, by unieść łom, i ruszył na poszukiwanie bogactw, tak samo jak zniknął jego ojciec, kiedy on sam był

ledwie raczkującym złodziejaszkiem.

Wieść niesie, że stary Grossbart zmarł bogatszy od króla w pustynnym kraju na południu, gdzie grobowce przewyższają najwspanialsze zamki świętego cesarstwa rzymskiego, zarówno pod względem rozmiarów jak i dostatków. To właśnie powiedział swoim synom młodszy Grossbart, ale wątpliwe, czy w tej paplaninie kryło się choćby najbardziej zasuszone ziarno prawdy. Bracia głęboko wierzyli, że tatko dołączył do dziadka w Gipcie, a ich zostawił, żeby kiśli razem z zapitą i brutalną matką. Gdyby wiedzieli, że skończył bez grosza przy duszy jako karma dla kruków, wątpliwe, czy obraliby inną drogę życiową, ale może mniej przeklinaliby jego imię... albo bardziej, trudno orzec.

Stryj wątpliwego pochodzenia i kierujący się równie wątpliwymi motywami uratował ich przed obłąkaną matką i wziął pod swoje skrzydła w kluczowym okresie dla kształtowania ich charakterów. Niezależnie od rzeczywistego pokrewieństwa łączącego go z chłopcami, brodę miał niewątpliwie długą, i z gorliwością typową dla każdego Grossbarta rwał się do otwierania grobowców i kradzieży ponurych skarbów, jakie oferowały. Po kilku zbyt dramatycznych ucieczkach przed lokalnymi władzami, zbiegł nocą z całym dobytkiem, zostawiając braci bez środków do życia. Powrócili więc do matki z postanowieniem, że ukradną wszystko, czego pomarszczona stara pijaczka nie zgubiła albo nie sprzedała w czasie ich nieobecności.

Chałupa, w której się urodzili, postarzała się gorzej niż oni; omszały dach dołączył do klepiska, kiedy oni ze stryjem plądrowali przykościelne cmentarze wzdłuż Dunaju. W zatęchłej budzie mieszkał tylko borsuk, którego Grossbartowie spożyli, odniósłszy uprzednio jedynie powierzchowne rany od pazurów zaspanego zwierza. Rozpytali się w stajniach dworskich i dowiedzieli, że ich matka wyzionęła ducha zimą i leży wraz z pozostałymi w kurhanie na końcu miasteczka. Plując na kopiec w strugach ulewy, bracia Grossbart poprzysięgli sobie, że spoczną we wspaniałych grobowcach niewiernych albo nie spoczną w ogóle.

Mając jedynie kapelusze z szerokim rondem, cuchnące odzienie i narzędzia pracy, ale ukontentowani widokiem zbiorowej mogiły, w której gniła ich nieszczęsna matka, podjęli przygotowania do podróży na południe. Taka ekspedycja wymagała czegoś więcej niż pary łomów i małego kawałka metalu, który kiedyś mógł być monetą, wyruszyli więc wyrównać stare porachunki.

Błoto wciągało ich buty w próżnym wysiłku pokrzyżowania im nikczemnych zamiarów.

Gospodarz Heinrich przez całe życie hodował rzepę na poletku kawałek za murami miejskimi, a do jego niedoli przyczyniała się niewdzięczna uprawa i niskiej jakości żywopłot wokół pola. Jako chłopcy, bracia często podkradali mu niedojrzałe warzywa, dopóki pewnej nocy Heinrich nie zasadził się na nich. Nie ukontentowało go użycie witki czy własnych rąk – słusznie rozgniewany, sprzął obu łopatą. Wgnieciony nos Manfreda nigdy nie odzyskał normalnego kształtu, a lewy pośladek Hegla zawsze już nosił wcięte piętno hańby.

Kiedy chłopcy zniknęli, dla Heinricha nadeszły lata urodzaju, zarówno na roli, jak i w łożu, które dzielił z żoną i dziećmi. Dwie młodsze córki dołączyły do starszej siostry i brata, a starzejący się gospodarz nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł wykorzystać do pracy kolejne ręce. Zaoszczędził dość, żeby kupić zdrowego konia na miejsce starej szkapę i zwrócił prawie całą sumę swojemu przyjacielowi Egonowi za wóz, który ten dla nich zbudował.

Bracia Grossbart brnęli przez pole w stronę ciemnego domu, a deszcz przesłaniał wszelkie resztki księżycowego światła skrytego za chmurami. Jednakże ich oczy od dawien dawna nawykły do nocy i widzieli jak na dłoni, że gospodarz wzniosł małą stajenkę obok domu. Zgodnie splunęli na drzwi i szczerząc do siebie zęby w uśmiechu, zaczęli walić pięściami w deski.

– Gore! – wrzasnął Manfred.

– Gore! – powtórzył Hegel.

– Heinrich, pali się w mieście!

– Zbierz wszystkich do pomocy, Heinrich!

Śpiesząc sąsiadom na pomoc, Heinrich wyturlał się z łóżka, nieświadomy deszczu bębniącego o dach, i z impetem otworzył drzwi. Trzaskający płomyk ogarka z knotem z sitowia w jego ręce oświetlił nie twarze zatroskanych mieszczan, lecz pożłobione bliznami oblicza braci Grossbart. Heinrich natychmiast ich rozpoznał, z krzykiem wypuścił świeczkę, i spróbował zatrzasnąć drzwi.

Grossbartowie byli za szybcy i wywlekli go na ulewę. Gospodarz zaatakował Hegla, ale Manfred kopnął go w tył kolana, zanim tamten zdążył wymierzyć cios. Heinrich obrócił się, upadając, i próbował złapać Manfreda, ale wtedy Hegel zadał mu potężny cios w szyję. Heinrich miotał się w błocie, a bracia go

katowali, ale kiedy już tracił nadzieję, gdy krwawił z ust i nosa, z domu wyszła jego żona Gertie z siekierą.

Gdyby nos Manfrieda nie był aż tak płaski, ostrze by go rozłupało, kiedy kobieta poślizgnęła się na błocie. Hegel rzucił się na nią i oboje tarzali się w błocku, gdy Heinrich jęczał, a Manfried przechwycił siekierę. Gertie ugryzła Hegla w twarz i rozorała mu paznokciami ucho, ale wtedy on zobaczył, że brat unosi siekierę, więc odturlał się, a ostrze spadło na plecy kobiety. Przez cienką warstewkę błota na twarzy Heinrich patrzył, jak żona kopie konwulsyjnie nogami i sika pod siebie; deszcz przechodził w mżawkę, kiedy wykrwawiała się w błocie.

Obaj bracia nigdy dotąd nikogo nie zabili, mimo to żaden nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu ohydnej zbrodni. Heinrich podpełzł do Gertie, Hegel poszedł do stajenki, a Manfried wszedł do domu tonącego w łzach dzieci. Hegel zaprzągnął konia do wozu, do którego wrzucił łopatę Heinricha i poręczny worek rzepy, po czym wyprowadził zwierzę przed dom.

Tymczasem w ciemnym domu najstarsza córka Heinricha rzuciła się na Manfrieda z nożem, ale on przerwał jej szarżę siekierą. Co prawda zdecydował się miłosiernie przyłożyć jej obuchem, ale metal strzaskał jej czaszkę i dziewczyna padła. Dwa maluchy płakały w łóżku, jedyny syn Heinricha kulił się za leżącą siostrą. Manfried przyuważył łojówkę obok stosiku świec z knotem z sitowia, schował ten rarytas do kieszeni i od węgielków na palenisku zapalił jedną z pokrytych tłuszczem świec. Rozejrzał się po wnętrzu.

Ściągnął koce z łóżka i dzieci, dorzucił ogarki, kilka znalezionych noży i bulwy piekące się na palenisku, po czym związał toból sznurkiem. Zgasił świeczkę, schował do kieszeni i przeszedł ponad płaczącym chłopcem. Koń i furmanka już czekały, ale nigdzie nie było widać Hegla i Heinricha.

Manfried rzucił skradzione koce na furę i rozejrzał się; jego wzrok natychmiast przystosował się do mżawki i ciemności. Wypatrzył Heinricha pięćdziesiąt kroków dalej. Ślizgał się, uciekając przed ścigającym go w milczeniu Heglem. Hegel skoczył, żeby złapać go za nogi, ale nie trafił i wylądował twarzą w błocie, a Heinrich popędził w stronę miasteczka.

Składając dłonie przy ustach Manfried ryknął:

– Mam tu maluchy, Heinrich! Wracaj! Ucieknij, to już po nich!

Heinrich przebiegł jeszcze kilka kroków, zanim zwolnił; znalazł się na granicy pola widzenia Manfreda. Hegel wstał i spojrzał wilkiem na chłopca, ale wiedział swoje i nie ryzykował, że go spłoszy, rzucając się znowu do pogoni. Wrócił pośpiesznie do brata i mruknął mu coś do ogromnego ucha. Heinrich brnął z powrotem w stronę gospodarstwa.

– Ma za to zapłacić – mruknął Hegel. – Nieodwoalnie.

– Ściągnąłby na nas całe miasteczko – przytaknął mu brat. – Nieładnie, i to po tym, jak jego żona próbowała nas zamordować. – Manfred dotknął dawno zagojonego nosa.

– My żeśmy tylko wyrównywali rachunki, po co mieszała do tego siekierę? – Hegel pomasaował pośladek z blizną.

Heinrich podszedł do braci, pojmując ich słowa ledwie na podświadomym poziomie. Każdy dobry gospodarz kocha syna bardziej nawet niż żonę, a Heinrich wiedział, że Grossbartowie zamordowaliby małego Brennena bez chwili wahania. Wyszczrzył zęby w maniakalnym uśmiechu, myśląc o tym, jak nazajutrz całe miasteczko zjednoczy się wobec jego straty, jak odnajdą te psy i powieszą na szubienicy.

Rzucił Heglowi pogardliwe spojrzenie, ale ten odwzajemnił się tym samym i uderzył go prosto w nos. Heinrichowi w głowie się zakręciło, gdy poczuł, że obwiązują go jak zbuntowaną maciorę i sznur wgryza mu się w kostki i nadgarstki. Dotarło do niego jak przez mgłę, że Manfred wrócił do domu, ale zaraz oprzytomniał, gdy wejście do domu rozbliły światłem. To Manfred rzucił kilka węgielków na słomę na łóżku. Płacz małych dziewczynek przybrał na sile, kiedy łóżko stanęło w płomieniach. Manfred wyszedł z domu z pograżonym w katatonicznym stuporze Brennenem w jednej ręce i z rzepą w drugiej.

– To nie musiało tak się skończyć – powiedział. – Sam żeś nas do tego przymusił.

– Drugi raz żeś nas pokrzywdził – poparł brata Hegel.

– Błagam. – Heinrich strzelał przekrwionymi oczami, patrząc to na drzwi, to na syna. – Przepraszam was chłopcy, naprawdę. Puśćcie go i oszczędźcie maluchy. – Dzieci krzyczały coraz głośniej. – Na Boga, okażcie miłosierdzie!

– Miłosierdzie to cnota, jak należy – powiedział Hegel, pocierając drewniany wizerunek Najświętszej Pani, który zerwał ze sznurka na szyi Gertie. –

Okaż miłosierdzie, bracie.

– Słuszne słowa, w rzeczy samej – zgodził się Manfred, delikatnie stawiając chłopca na ziemi przed ojcem.

– Tak – wykrztusił z siebie Heinrich, a łzy zmywały błoto z jego dumnych policzków. – I dziewczynki, proszę, wypuście je!

– One są już w drodze – powiedział Manfred, patrząc na kłęby dymu bijące z dachu, i poderżnął chłopcu gardło.

Jeżeli Hegel uznał jego wyrok za surowy, nie zdradził się słowem. Noc okradła krew z sakramentalnej barwy – czarny płyn zbryzgał twarz Heinrichowi. Brennen upadł przed siebie. Jego pomieszany wzrok łamał ojcu serce, a usta poruszały się bezgłośnie w błocie.

– Błogosławiona Maryja – zaintonował Hegel, całując skradziony wisiorek.

– I my razem z nią – dokończył Manfred, pogryzając ciepłą bulwę.

Dzieci w płonącym domu ucichły, kiedy Grossbartowie wyjeżdżali z podwórza, Hegel konno, a Manfred na furze. Wbili Heinrichowi rzepę w usta, pozbawiając go nawet możliwości modlitwy. Skręcili na ścieżkę prowadzącą w góry, na południe. Deszcz ustał, gdy bracia jakby nigdy nic uciekli z miejsca zbrodni.

## II

# KANALIE NA WOLNOŚCI



O świcie zgłiszcza domu Heinricha tliły się i buchającymi w niebo kłębamii dymu przyzywały krzepkich mieszkańców miasteczka. Godzinę później większość z nich odzyskała pewność siebie, którą utraciła na widok jatki. Mimo jego protestów, Heinricha odesłano do miasteczka, by rozgrzał kości i brzuch, jeśli nie duszę, a pół tuzina mężczyzn, tworzących lokalny sąd przysięgłych, ruszyło na południe. Pożyczyli konie różnej wartości, wzięli jedzenie na dwa dni, a rządcą Gunter przyprowadził swoje trzy najlepsze ogary. Przekonał także swojego pana, że trzeba pożyczyć ławnikom kilka kusz i miecz, a pozostali zabrali wszelką broń, jaka im wpadła w ręce, chociaż wszyscy zgodzili się, że zbiegów należy przyprowadzić żywych, żeby Heinrich mógł zobaczyć, jak ich wieszają.

Gunter dobrze znał nazwisko Grossbart i przeklinał siebie za to, że nie przeczuł kłopotów, kiedy poprzedniej nocy bracia zjawili się w rezydencji. Pocieszał się świadomością, że żaden dobry człowiek nie mógł przewidzieć takiego zła. Miał jednak żonę i trzech synów, i chociaż nie zaliczał Heinricha do grona najbliższych przyjaciół, uważał, że żaden człowiek nie zasługuje na taką stratę. Podesła swoich chłopców, żeby pomogli Heinrichowi w następnej porze siewu, wiedział jednak, że to marny substytut własnego potomka.

Jechali tak szybko, jak pozwalały im szkapyy, całkiem sprawnie pokonując pola i przedgórze. Wiatr chłodził ławników, ale słońce wypaliło ponure chmury i wysuszyło błoto, a pozostawione w nim koleiny współpracowały z psami, gwarantując im, że nie zgubią tropu. Nawet gdyby zabójcy uciekali bez chwili spoczynku, Gunter wiedział, że nadal mają szansę dogonić ich przed zachodem słońca. Modlił się, by widząc ich przewagę liczebną, bracia się poddali, ale wątpił w taki rozwój wypadków. W końcu byli Grossbartami.

I jako Grossbartowie, Hegel i Manfred wiedzieli swoje i nie odpoczywali,

tylko niemal całkowicie zajeździł konia i zatrzymali się dopiero przed świtem. Nawet gdyby chcieli jechać dalej, ścieżka znikła wśród ciemnych drzew i pozostała niewidzialna aż do piania kogutów. Dotarli do gęstego lasu, który oddzielał prawdziwe góry od pofalowanych wzgórz ich dzieciństwa. Manfred znalazł strumień, gdzie napoił okrytego pianą konia. Otarł go, kiedy brat już spał, i hojnym gestem zaoferował mu rzepę. Koń jednak pokręcił na nią nosem i zamiast tego poskubał nieliczne źdźbła trawy rosnące na skraju lasu, zanim także zamknął oczy.

Manfried obudził obu, kiedy słońce wstało. Hegel zaprzągnął konia, a jego brat wystrugał sobie grzebień do brody z gałęzi olchy. Wkrótce jechali krętą, kamienistą ścieżką, nie nadającą się dla chłopskiego wozu. Obaj szarpali i czochrali sobie brody, jadąc przed siebie powoli, a ich umysły zaprzętała jedna kwestia.

– Może być, że pojechali na wschód – powiedział Hegel po paru godzinach.

– A tam – prychnął Manfred, zatrzymując wóz, żeby ściągnąć ze ścieżki odłamany konar. – Domyślą się, żeśmy ruszyli prosto na południe, toć w okolicy nie ma innych miasteczek.

– No to pewnie właśnie nas doganiają – burknął Hegel.

– O ile ten psubrat nie uwolnił się pierwej, do tej pory ani chybi ktoś już go znalazł. Musi być, darł się całą noc. Byłbym jemu też poderznął gardło, to nie wrzeszczałby o pomoc.

– A pewnie, ale wtedy nie zostałby nikt, komu moglibyśmy udzielić nauki, a poza tym żeśmy mu zostawili kawał rzepy do zgryzienia.

– Co racja, to racja – zgodził się Manfred.

– Zatem ani chybi jadą naszym tropem.

– A pewnie – powiedział Manfred – a że mają tylko konie, dogonią nas na odwieczarz.

– O ile nie szybciej. – Hegel splunął na zdyszanego konia.

– Trza było nie brać wozu – zauważył Manfred.

– Chcesz sam ponieść te koce? I wszystkie rzepy? Pięknie dziękuję. Wóz to jedyny pożytek z konia. Bo ma go kto ciągnąć.

Hegel nigdy właściwie tego nie wyjaśnił, ale zawsze podchodził nieufnie do czworonogów. Po prostu miały za dużo nóg, uznał.

– A pewnie, i jak myślisz, co będziemy jedli, gdy już skończą się rzepy?



– Racja, racja.

Bracia zaśmiali się, ale Manfred zaraz spoważniał.

– Czyli mamy przewagę i możemy ją wykorzystać, bo my są z przodu, a oni z tyłu. Co powiesz na to, cobyśmy podjechali wozem kawałek naprzód, przywiązali konia do drzewa i wycięli sobie drogę przez las? Moglibyśmy się na nich zasadzić.

– A tam, nie dość chytrze. Jużem wypatrzył między drzewami, że ścieżka zaczyna się wspinać zygzakiem po zboczu. Tam zaczekamy. Wyższy teren, bracie, to jedyna przewaga, na jaką możemy tu liczyć.

– Właściwie wszystkie chwytaki dozwolone. To ja wystrugam nam parę dzid.

Manfred zeskoczył z fury i szedł obok niej, rozglądając się po zaroślach w poszukiwaniu stosownych konarów. Zdradziecka ścieżka odradzała pośpiech, więc spokojnie nadażał. Wrzucił na wóz kilka długich gałęzi, wrócił na swoje miejsce i zabrał się do roboty.

Gunter zatrzymał ławników w miejscu, w którym ścieżka zaczynała się wspinać po zboczu zakosami, i tylko dzięki wędrownym myśliwym i ich bardziej rozsądnej zwierzynie nie pochłonęła jej całkowicie gęstwina. Chociaż kolosalne drzewa osłaniały ich przed lawiną, ograniczona widoczność umożliwiała ściganym urządzenie dowolnej liczby zasadzek. Psy przysiadły na tyle daleko od koni, na ile pozwalały im postronki, a Gunter zsiadł z wierzchowca, żeby je napić.

Przed nocą ławnicy ledwie zdążą dotrzeć do przełęczy. Z ciężkim westchnieniem Gunter spuścił ze smyczy ogary i patrzył, jak podekscytowane śmignęły ścieżką w górę. Miał nadzieję, że dogonią morderców przed początkiem wijącego się szlaku, ale ławnicy jechali przez las powoli, na wypadek gdyby Grossbartowie zeszli ze ścieżki. Chociaż bracia mogli zbiec stokiem, zamiast zacząć się przy drodze, Gunter w to wątpił. To byli bezwzględni ludzie. Jedyna przewaga – poza liczebną – jaką mieli mieszkańcy miasteczka, to kilka godzin snu poprzedniej nocy.

– Jedźcie najszybciej jak zdołacie – zawołał – ale trzymajcie się w odległości kilku długości konia od ściganych!

Gęsty las ustąpił osypisku i wytrzymałym sosnom, które na pozór wyrastały prosto ze skały. Zachodzące słońce błyszczało na ścieżce, którą w ciągu tygodnia pobielił śnieg. Każdy mężczyzna prócz broni dźwigał ciężkie brzemie

strachu. Gunter ruszył pierwszy, tuż za nim jego siostrzeniec Kurt, potem Egon cieśla i chłopci: Bertram, Hans i Helmut. Psy ujadły, pędząc przodem. Gunter odprowadzał je wzrokiem wzdłuż trzech zakrętów drogi, aż wspięły się tak wysoko, że zniknęły mu z oczu.

Najbardziej stromy odcinek szlaku znajdował się w pobliżu szczytu, za nim pochyłość zmniejszała się i prowadziła na przełęcz. Przy ostatnim zakosie Manfred czekał z wielkim stosem kamieni i dzidami, a uschnięte drzewo i niewielki głąz zapewniały mu osłonę. Brązowa trawa pokrywała zbocze tam, gdzie nie było piargów i skalnych półek, a na ścieżce w połowie drogi do następnego zakrętu Hegel kończył swoje zadanie, pomagając sobie łopata i łomem. Podważył kamienie i wykopał spod nich zbitą ziemię, żeby w krótkim czasie przygotować jak najwięcej dziur, w których konie mogą połamać sobie nogi, a teraz uwijał się, maskując je suchą trawą. Ogary pędzące ścieżką poniżej były zbyt zdyszane, żeby czekać, ale mimo to Hegel wyczuł ich obecność.

Pogardzał psami bardziej niż wszystkimi innymi czworonogami razem wziętymi. Zważył w rękę łopate. Ogary dostrzegły ofiarę i natychmiast ją dopadły. Pierwszy pies dostał łopata w czoło i poturlał się na bok, ale zanim Hegel zdążył wziąć drugi zamach, skoczyły na niego pozostałe dwa. Jeden nie trafił zębami w ręce, którymi Hegel młócił powietrze, i wylądował za nim, drugi uczeplił się kostki. Tracąc równowagę, Grossbart uderzył łopata w kark psa uczeplonego jego nogi i strzaskał mu kręgosłup. Jednakże ten śmiertelny cios nie oderwał parszywego kundla od kostki – zęby nadal tkwiły w ciele Hegla.

Manfried zagryzł usta, zerkając to na brata, to na jeźdźców, których dostrzegł na serpentynach poniżej. Hegel obrócił się, kiedy pies za jego plecami skoczył; sparował jego atak trzonkiem łopaty, ale stracił przy tym równowagę. Upadł. Widząc, że Hegel potyka się o martwego psa uczeplonego jego nogi, Manfred ześlizgnął się zboczem. Ogar, którego Hegel powalił pierwszego, stanął na nogi w tej samej chwili, gdy Manfred zeskoczył na szlak z łomem w ręce.

Manfried słyszał jeźdźców, ale wyciągnięty jak długi Hegel słyszał tylko warczenie psa rzucającego mu się do twarzy. Hegel szarpnął się do tyłu, więc ogar tylko rozdarł mu ucho i skórę głowy, a żeby dać świadectwo swojej bezdennej nienawiści dla tego zwierzęcia, zacisnął obie ręce na jego tułowiu i wgryzł się w wyliniałe futro na gardle. Ogłupiały pies skamlał i próbował się

wyrwać, ale Hegel tylko przyciągnął go do siebie, przegryzając się przez futro i wbijając zęby w mięso. Dławiąc się ubłoconym, cuchnącym psem, otworzył szerzej usta i zacisnął zęby na żyłach.

Zsuwając się po stoku, Manfred owinął kawałem koca lewe przedramię i teraz spokojnie judził rannego przeciwnika, żeby rzucił się do gryzienia. Zachęcał psa, aż ten rzucił się na wabiącą kończynę i kiedy tylko ogar zacisnął zęby, Manfred roztrzaskał mu łeb łomem. Wsunął broń za pasek, dźwignął drgającego psiego trupa i podbiegł do skraju ścieżki. Rozpoznał Guntera na szlaku poniżej, więc cisnął w niego martwym ogarem i czmychnął ścieżką w górę do swojej kryjówki.

– Ruszże nogami, bracie! – wydyszał w przelocie.

Hegel wyłamał szczękę zamordowanemu u kostki kundlowi; ogar z przegryzionym gardłem gwałtownie wykrwawiał się na ziemi obok. Słyszając tętent kopyt, Hegel jak najszybciej pokuśtykał za bratem. Ponieważ wybrali to miejsce na zasadzkę ze względu na pionowe ściany i strome podejście, Hegel nie miał nadziei na dotarcie do zakosu, za którym zniknął Manfred, zanim dościgną go jeźdźcy. Rzucił się za głaz w chwili, w której Gunter wyłonił się zza zakrętu w dole.

Ulubiona suka Gunteraomal nie straciła go z konia, a gdyby wierzchowiec był wypoczęty, z pewnością by poniósł, spanikowany. Z tuniką śliską od psiej posoki i z posiniaczonym ramieniem, Gunter szturchnął piętami konia i krzyknął do swoich ludzi:

– Chłopaki, mamy ich!

Widząc, że następny odcinek szlaku jest pusty – nie licząc kolejnego zabitego ogara i paru głazów – Gunter ponaglił konia na podejściu. Zwinny ogier ominął dziury wykopane przez Hegla i przemknął obok przyczajonego Grossbarta, docierając do następnego zakrętu. Gunter dostrzegł Hegla kątem oka, ale zanim zdążył zawrócić, mordercy wykonali swój ruch.

Jadący za wujem Kurt zobaczył Hegla w chwili, w której łopata wbiła mu się w miednicę i wyrzuciła go z siodła. Zaskoczony koń stanął dęba, cofnął się, noga mu wpadła do dziury, złamał pęcinę, padł i przygniótł Kurta, zanim chłopak zdążył mrugnąć. Zwierzę kopało i miotało się oszalałe, przyszpilając chłopaka i miażdżąc mu nogi. Hegel zobaczył kolejnego jeźdźca mijającego zakręt, więc truchcikiem obiegł przewróconego konia, żeby pozbawić

uwięzionego jeźdźca kuszy, która wylądowała na ziemi poza zasięgiem Kurta. Chłopak, rzecz jasna, nawet tego nie zauważył z racji upadku, który pozbawił go tchu w piersi, połamanych nóg i konia, który na kamiennej ścieżce rozgryzł mu dolną połowę ciała na miazgę.

Kusza, z której Gunter wycelował w Hegla, z brzękiem upadła na skały, kiedy kamień ciśnięty przez ukrytego Manfreda trafił niedosłego strzelca w skroń. Z okiem zalanym krwią, Gunter szybko zsiadł z podenerwowanego konia, chowając się za nim przed niewidocznym napastnikiem. Chwycił kuszę, kiedy kolejny kamień uderzył w konia wystarczająco mocno, by zwierzę skoczyło w górę ścieżki, i zdążył wypuścić wodze, dzięki czemu wierzchowiec nie pociągnął go za sobą. Ładując kolejny bełt, zmrużył zdrowe oko i wypatrzył Manfreda w zapadającym zmroku.

Egon zatrzymał się na zakręcie, wstrząśnięty widokiem konia Kurta miotającego się na chłopcu, i ciemnej postaci, która przyczaiła się obok. Nie bardzo wiedząc, co robić i mając za jedyne uzbrojenie siekiere, zsiadł z konia i przywiązał go do karłowatego drzewka. Bertram przejechał obok zdezorientowanego cieśli, zmuszając swojego wierzchowca do biegu tak bliskiego galopowi, jak to było możliwe na stromym szlaku. W przeciwieństwie do pozostałych, nie pierwszy raz brał udział w podobnym pościgu i nie miał wątpliwości, co należy robić: skoro zobaczył Grossbarta, to Grossbarta strąca.

Hegel uniósł kuszę Kurta, która jakimś cudem przetrwała w nienaruszonym stanie, ale nie była naładowana. Bertram jechał prosto na niego; Hegel czekał, napinając mięśnie. Kiedy jeździec znalazł się tuż-tuż, Grossbart zanurkował do tyłu między mlóćącymi powietrze nogami wierzchowca Kurta i przeturlał się przez ścieżkę. Bertram spiął konia, by przeskoczyć nad okaleczonym krewniakiem, ale ogłupiałe zwierzę zamiast skoczyć skręciło, starając się ominąć przeszkodę. Wąski skraj ścieżki oberwał się pod kopytami i przez chwilę zdawało się, że mężczyzna i koń jadą prosto w dół po zboczu, zanim runęli, koziołkując bezwładnie w stronę ścieżki poniżej.

Manfried wiedział, że Gunter ma nad nim przewagę, ale zaryzykował i wypadł z chuderlawego krzaczka, wyskakując przed spłoszonego konia i szturchając go w nos dzidą. Zwierzę stanęło dęba i popędziło z powrotem w dół ścieżki. Mimo konia między nimi, obaj mężczyźni wystrzelili swoje pociski i obaj trafili w cel ze zdumiewającą precyzją – Manfred przewrócił się,

kiedy bełt trafił go w głowę, a ogłupiały koń wściekł się, kiedy rzucony kamień trafił go prosto w podrygującą w pędzie mosznę.

Gunter próbował uskoczyć przed oszalałym ogierem, ale zwierzę zrzuciło go ze ścieżki, gdy wpadło w poślizg na zakręcie.

Hegel wyszczerzył zęby, kiedy Bertram z przedśmiertnym krzykiem spadł ze stromizny, ale zaraz mina mu zrzedła, kiedy za jego plecami rozległ się stukot twardych kopyt. Zwinął się w kulkę, gdy wpadł na niego pozbawiony jeźdźca wierzchowiec Guntera. W przeciwieństwie do konia Bertrama, ten przeskoczył nad miotającym się ogierem, który blokował ścieżkę, i popędził ku pozostałym trzem mężczyznom. Przy okazji tylnymi kopytami zmiażdżył pierś Kurtowi, któremu ustami i nosem buchnęła krwawa piana.

Hans i Helmut patrzyli oniemiała, jak najpierw koń Bertrama, a potem Guntera ściągnęły zgubę na swoich jeźdźców. Drugi z wierzchowców śmignął obok nich, zbiegając ścieżką. Kierując się zdrowym rozsądkiem, przywiązali swoje konie do tego samego drzewa co Egon, i ostrożnie podeszli do Hegła. Widząc, że nie mają kusz, Hegel obszedł leżącego konia i zaczął przeszukiwać martwego już Kurta, licząc na to, że znajdzie bełty. Spod boku zwierzęcia wystawała lotka, więc zacierając zakrwawione ręce, Grossbart uklęknął obok Kurta i spróbował wyciągnąć przygnieciony bełt.

– Dychasz jeszcze, bracie? – krzyknął, zerkając przez ramię i upewniając się, że żaden z trzech mężczyzn nie podkradnie się do niego zbyt szybko.

– Silnym jak moja wiara! – odkrzyknął Manfred, który wreszcie odciął grot bełtu przeszywającego mu prawe ucho.

Policzek i skórę głowy miał rozorane drzewcem, bo bełt przebił się przez ucho aż po lotkę. Kiedy pozbył się grotu, wyciągnął pocisk z krwawej masy na boku głowy i wstał.

Gunter jęczał, podciągając się jedyną zdrową ręką z powrotem na ścieżkę. Lewą złamał na kamieniu, kiedy sturlał się po stromym zboczu, zdążył jednak prawą złapać się gałęzi, zanim siłą rozpędu przeokoziłkował w dół aż do samego podnóża góry. Zanim własny koń zepchnął go ze szlaku, zobaczył jeszcze, że Manfred oberwał bełtem w twarz i nie pojmował, jakim cudem tamten człowiek nadal oddycha.

– Rzuć broń! – warknął Hans do pleców Hegła.

– Nie masz dokąd uciec – poparł go Helmut, chociaż w jego głosie nie dało

się usłyszeć podobnej pewności siebie.

– Tak jak wy – warknął Hegel, zapierając się nogą o łuk kuszy i naciągając cięciwę.

Włożył uwolniony bełt do kuszy i wstał, obracając się jednocześnie. Trzej mężczyźni znajdowali się raptem kilka kroków dalej, ale wszyscy przystanęli na widok Hegla, który upiornie się prezentował z krwią kapiącą z ust i brody. Wyglądał, jakby pożywił się Kurtem; Egon zakwilił.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a Egon zaczął się ukradkiem cofać. Hans i Helmut posłali sobie spojrzenie, które Hegel natychmiast rozpoznał i zanim którykolwiek zdążył się ruszyć, Hegel strzelił w krocze Hansa. Helmut rzucił się na Grossbarta z siekierą, ale ten cisnął mu kuszę prosto w nogi i Helmut się potknął. Hegel wyciągnął łom i zaszarżował ścieżką w dół, ale przystanął nagle, kiedy Helmut podniósł się na kolano i zaczął wywijać siekierą. Stał chwiejnie, a Hegel zrobił jeszcze jeden, ostrożny krok do przodu.

– Na mojej siekierze jest krew, a na twojej? – zapytał zza pleców Hegla Manfred.

Obszedł leżącego konia i zważył w dłoni broń, z którą w nocy zasadziła się na niego Gertie. Stał obok brata; razem Grossbartowie prezentowali się bardziej złowieszczo i niebezpiecznie niż każdy z osobna.

– Zapomnij o zdrowym rozsądku i spróbuj nas obu zabić. – Hegel skinął głową na Hansa, który szarpał się na ziemi, gwałtownie łapiąc powietrze i ściskając bełt wystający z krocza. – Chcesz dostać to samo co on? Ten gadał, że chce, ale chyba się pomiarkował.

– My do ciebie nic nie mamy – powiedział Manfred i obaj Grossbartowie zrobili krok do przodu. – Ale jak trza, to zabijemy bez mrugnięcia okiem.

Już i bez tego przerażony, przypominając sobie widzianą tego ranka jatkę w gospodarstwie, Helmut rozluźnił uścisk na siekierze. Hans jęknął obok niego i Helmut znowu zacisnął dłoń, dochodząc do wniosku, że lepiej nie ufać Grossbartom. Cięż przesunął się za plecami braci i Helmut wbrew sobie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Hegel wyczuł niebezpieczeństwo w kościach i obrócił się akurat, kiedy Gunter niezgrabnie uniósł miecz. Cios, który miał być śmiertelny, rozciął tylko Heglowi wargę i policzek. Rozwścieczony Grossbart zaatakował łomem. Trafił w złamaną rękę. Gunter padł na kolana i zawył z bólu.

Manfried i Helmut nie oderwali od siebie wzroku ani na chwilę, i obaj zaatakowali. Helmut uderzył z góry, a Manfried z boku, ale ostrza siekier wpadły na siebie, zamiast trafić w ciało. Ból przeszył rękę Helmuta aż po łokieć, lecz tęgi chłop utrzymał broń w dłoni, podczas gdy siekiera Manfrieda smyrnęła po skałach, a on sam opadł na kolano pod wpływem siły zderzenia.

Helmut zamachnął się po raz drugi, ale Manfried skoczył, uderzając go ramieniem, zanim ostrze opadło. Przeturlali się w dół ścieżki, rozdzieleni trzonkiem siekiery. Helmut wyhamował z poślizgiem, obezwładnił Grossbarta i przydusił go drewnianym trzonkiem. Manfried szukał po omacku noża przy pasie, ale Helmut kolanem przycisnął mu łokieć do ziemi. Trzonek siekiery wrzynał się Manfriedowi w gardło, wrywając brodę. Oczy wyszły mu na wierzch, gdy niewiele brakowało, by tchawica mu się zapadła.

Charcząc pod trzonkiem i widząc czarne plamy przed oczami, Manfried macał drogę wolną ręką, aż wygrzebał solidny kamień. Zdzielił nim Helmuta w ucho z niespodziewaną siłą pochwyconej w sidła łasicy. Tamten zamrugał, a gdy kamień trafił go po raz drugi, osunął się twarzą do przodu.

Wyszarpnąwszy drugą rękę, Manfried wsunął ją pod trzonek siekiery, wreszcie torując powietrzu drogę do swojego ciała. Leżąc pod Helmutem, nadal grzmocił go po głowie, aż czaszka pękła i Manfrieda obryzgały płyny. W końcu sturlał chłopca z siebie i wstał niezdolnie tylko po to, żeby usiąść na ciepłym trupie.

Hegel dobił Guntera jednym ciosem w skroń, uwalniając mózg z czaszki. Rzucił się bratu na pomoc, ale w Hansie ostała się jeszcze odrobina woli walki, kiedy więc Hegel przebiegał obok niego, złapał go za zranioną kostkę. Grossbart szybko odzyskał równowagę i zapomniawszy, że tuż za nim brat właśnie się dławi, zaczął kopniakami wypędzać resztki życia z Hansa, większość ciosów kierując w drzewce wystające mu z krocza.

– Uciekł – wydyszał Manfried za jego plecami, przywracając Hegla do rzeczywistości.

– Hm? – burknął Hegel.

– Tamten. Pojeb. Zwiął. – Manfried miał trudność z wypowiedzeniem więcej niż jednego słowa między kolejnymi oddechami. Machnął na ścieżkę. – Konie. Też. Skurwysyn.

Mrużąc oczy, Hegel ledwie dostrzegł zakręt ścieżki, przy którym trzej

mężczyźni uwiązali konie. Mimo obaw, że Grossbartowie to demony i lęku o własną duszę oraz życie, Egon zachował dość rozsądku, żeby odwiązać pozostałe konie i pognać je ścieżką w dół. Odwróciwszy się do Manfreda, Hegel zobaczył szeroką fioletową pręgę opuchlizny na szyi brata.

– Tylko tyle ci zafundowali? Naszyjniczek za tyle zachodu? – Hegel wysunął zakrwawioną nogę. – Mnie pochlastali facjatę, pogryzły mnie psy, potem pocałowałem ziemię, a ty sobie siedziałeś śliczniutko za zakrętem.

– Co. Jest? – Manfred przechylił przebite i rozdarte ucho. – Nie. Bardzo.' Słyszę.

Obaj uśmieiali się serdecznie, przez co Heglowi otworzył się policzek i popłynęła strużka krwi. Okaleczony koń Kurta gapił się ponuro na braci, dopóki Hegel nie przypieczętował jego losu łomem, a siekiera Manfreda nie uwolniła go od takiej ilości mięsa, że pożywiłby się nim tuzin pomniejszych mężczyzn. W rzadkim odruchu hojności bracia uznali, że pozwolą wilkom i wronom pierwszym podkraść ochłapy z pozostałych trupów, a sami chwiejnym krokiem powlekli się przez przełęcz. Noc opadła na nich niczym cień olbrzymiego sępa.



### III

## NOC W GÓRACH



Rozpalenie ognia w ciemnościach na wietrznej, górskiej przełęczy mogłoby zniechęcić większość ludzi, ale dla Grossbartów nie przedstawiało szczególnej trudności. Podczas gdy Manfred kłął na podpałkę, Hegel zebrał więcej drewna, a kiedy się załatwiał, nasikał do wgniecionego garnka. Obmył rozcięty policzek i wargę własnym moczem, krzywiąc się i dorzucając od siebie garść przekleństw pod adresem opornego ognia. W końcu gałązki się zajęły i przy przybierającym na sile świetle Hegel odciął kawałek najbardziej złachmanionego koca i podał kociołek bratu.

Manfried pamiętał, jak cyrulik wspominał, że końskie szczyny są lepsze od ludzkich, i cierpliwie czekał przez godzinę, aż usłyszał charakterystyczny dźwięk, a wtedy pośpieszył nabrać co nieco z cennego strumienia. Bracia mieli nikłe pojęcie o koncepcji, zgodnie z którą w ich ciałach krążyły melancholiczne, sangwiniczne, choleryczne i flegmatyczne humory, które decydowały o ich zdrowiu, więc trzymali się prostej szarlatanerii. Końskie mięso gotowało się powoli na świeżych węgielkach, a Manfred postawił obok kociołek, żeby podgrzać ciecz. Hegel zorientował się w zamiarach brata i zarechotał pogardliwie.

– Myślisz o Hamlin? – zapytał Hegel.

– Myślę o tym, jak twoje szczyny jadą – odparł Manfred, za pomocą szmatki nakładając gorący mocz na pokiereszowane ucho.

– Nie powinieneś używać niczego, co pochodzi od zwierzęcia – orzekł Hegel, odgryzając kawałek mięsa.

– A pewnie, nie licząc mięcha, które wcinasz, i tej skóry na twoim grzbiecie – prychnął Manfred.

– To co innego. Zwierzę musi być martwe, żeby je jeść albo nosić.

– A co z piórami? – zapytał po chwili Manfred.

- Piórami?
- Piórami.
- Co z nimi? – skrzywił się Hegel.
- Bierzesz pióra do strzał, grzebieni i takich tam, a ptak nie musi być martwy, żeby mu je zabrać.
- Ino że to się akurat nie liczy – zarechotał Hegel. – Ptaki to nie zwierzęta.
- Hm... Rzeczywiście są jakby krztynę inne.
- A pewnie, że są. Ile ptaków widzisz, co pełzają jak zwierzę? To całkiem inna rzecz. Tak samo jak ryba. Owinąłbym się rybią skórą, gdyby mnie pocięli, ani chybi.

Manfried skinął głową bez przekonania, ale wiedział, że to już koniec rozmowy. Bracia zgadzali się w większości kwestii, ale nawet po tylu latach Manfred nie zdołał zgłębić nieufności Hegla wobec czworonogów. Z pewnością jedzenie ich albo jazda na nich nie budziła w bracie szczególnej odrazy – wręcz przeciwnie, z obu czerpał przyjemność, którą Manfred prawidłowo zakwalifikował jako sadystyczną. Oblewając ucho końskimi szczynami, ochlapał też na dokładkę obolałą szyję.

Hegel czuł się wyśmienicie, jeśli nie liczyć nadmiaru obrażeń. Przeżuwając kolację, wyciągnął spod tuniki wisiołek zamordowanej Gertie i podniósł do światła. Co miała przedstawiać zgrubnie wyrzeźbiona figurka rozpoznalby jedynie najgorliwszy wierny, tak nieudolnie przedstawiona i niewyraźna była Jej kompleksja. Potarł kciukiem wybrzuszenie piersi Najświętszej Pani i zamyślił się nad tym, co znaczy być miłosiernym.

Obserwując go, Manfred poczuł ukłucie zazdrości. Uważał się za o wiele bardziej pobożnego od brata, który zaczął słać Jej imię dopiero po tym, jak Manfred wyjaśnił mu Jej wartość. Uznał jednak, że prawdziwym miłosierdziem będzie pozwolić bratu zatrzymać trofeum zamiast je sobie zabrać. Nawet gdyby to on był tym, który zabił heretyczkę noszącą wisiołek, widać było, że brat odnajduje w nim pociechę. Nagle olśnienie dopadło go jak namolny giez i Manfred wziął z wozu jedną z nieużytych dzid, złamał drzewce i zaczął rzeźbić własną Najświętszą Panią. Wizerunek jego autorstwa będzie wierniejszy – z większymi piersiami i brzuchem.

W końcu Hegel wyciągnął się obok ogniska i zasnął, a brat został na warcie. Manfred jadł powoli, spożywając kilka funtów koniny w miarę upływu nocy.

Zadumał się nad wspaniałym posiłkiem, myśląc z zadowolonym uśmiechem, że dni gnijącego owsa i borsuczego mięsa mają już za sobą. Wiedział, że góry nie mogą się ciągnąć w nieskończoność, a za nimi leży morze i droga do miejsca, w którym czekały na nich bogactwa ich dziadka. Po pewnym czasie obudził brata, żeby on stanął na warcie, a sam wyciągnął się na ciepłym kawałku ziemi opuszczonym przez Hegla. Wyobraził sobie, że gwiazdy to klejnoty błyszczące w głębinach dawno zamkniętego grobowca, i zasypiając, prawie zobaczył siebie, jak podważa wieko nocy i napełnia kieszenie błyszczącymi kamieniami.

Dorzucając stertę drewna do ognia i owijając się w drugi koc, Hegel usiadł na głazie i pożarł kolejną porcję mięsa. Wlał odrobinę wody do kociołka, poparzył się, wrzucając do niego garść popiołu i wyszorował go z końskich szczyn. Potem napełnił garnek do połowy resztkami wody, dodał kawałki rzepy i mięsa. Potrawka dusiła się pod baczny spojrzeniem Hegla, który zadumał się nad ich obecnym położeniem. W głębi serca wiedział, że po raz pierwszy w życiu naprawdę znaleźli się na drodze do bogactwa.

Podczas gdy brat śnił o złocie, piaskach i Najświętszej Paniencie, Hegel skupił się na bogactwach znajdujących się w ich bezpośredniej bliskości. Wzdłuż szlaku leżało kilka martwych koni, czekających na pracowitą duszę, która przerobi je na salceson, befsztyki, mięsny pudding, nie wspominając już o więzadłach, które można wykorzystać do wiązania butów, i skórze, z której po wygarbowaniu byłyby płaszcz. Z kości można wystrugać haczyki na ryby, a wysuszone ogony mogłyby się nadać na bat na ich konia u wozu. Rozwahał w myślach różne możliwości, kiedy przypomniał sobie, że byli tam także martwi ludzie.

Zamiast poczuć wyrzuty sumienia z powodu przelanej krwi, jęknął z powodu lenistwa, przez które nie przeszukali trupów od razu. W jego wyobraźni wszyscy martwi mieli sakiewki wypchane monetami – sakiewki, które właśnie w tej chwili jakieś durne zwierzę odgryzało i połykało albo niosło do legowiska. Nowe buty i rajtuzy były właśnie wleczone do nor, pierścionki i bransoletki toczyły się do szczyrych dziur. Hegel zszedł kilka kroków w dół szlaku, ale wątpił, czy bez okrucieństwa nawet jego bystre oczy i pewne stopy wystarczą, żeby poprowadzić go zdradliwą ścieżką. Zamiast tego usiadł więc przy ogniu, nadstawiając uszu na wszelkie odgłosy ruchu na stoku poniżej. Po wielu godzinach daremnych wysiłków obudził brata delikatnym kopniakiem,

a sam się położył.

Manfried obudził się o świcie z bratem chrapiącym u jego boku. Popioły były zimne, zdradzając, że niedbały brat śpi jak kamień już od wielu godzin. Klnąc, przesunął się za plecy brata, przyklęknął i przyłożył usta do jego ucha.

– Wstawaj! – wrzasnął, budząc gwałtownie brata i konia.

– He?! – Hegel odturlał się i wstał chwiejnie, zerkając na niego zapuchniętymi oczami.

– Spałeś na warcie. – Manfried pokręcił głową. – Hańba.

– Kto spał na warcie? Ja ciebie budziłem ostatni, ty psubracie!

– Łgarz, przysnąłeś na swojej pierwszej warcie.

– Kopnąłem cię, ty nędzny capie!

– Kiedy?

– Kiedy skończyłem wartę!

– Hmm. – Manfried zagryzł brodę, przypominając sobie jak przez mgłę stopę pod żebrami pośród głębin snu. – Ano trudno, znaczy się żaden z nas nie ponosi winy.

– Żaden? Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie wstałeś? Do diabła, bracie, to twoja wina, jasno i wyraźnie.

– Trza się było upewnić, że się obudziłem – wymamrotał Manfried, a potem się rozpromienił. – Kurwa, Hegel, całkiem nas pojebało? My tu gadamy, a w dole czekają łupy do zgarnięcia!

Łapiąc przypalone kawałki mięsa, zbiegli ścieżką na miejsce rzezi. Nocni padlinożercy zostawili niedźwiedzią część braciom, którzy skrupulatnie zebrali na stos pośrodku ścieżki wszystko, co miało jakąś wartość. Po krótkiej naradzie powlekli się ścieżką w dół, gdzie zatrzymał się Bertram po tym, jak jego koń spadł z krawędzi stromej ścieżki. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, twardy mężczyzna nadal żył, chociaż złamany kręgosłup uniemożliwiał mu poruszanie czymkolwiek poza ustami.

– Gross – wymamrotał, poruszając szczątkami twarzy. – Gross bar.

– A pewnie – zgodził się Hegel. – To my.

– Twardziel z ciebie, co? – Manfried był pod wrażeniem.

– Ben – wyrzęził mężczyzna. – Ben. Ben.

– A to co? – nachmurzył się Hegel, wyczuwając nadciągającą potwarz.

– Karty. – To słowo zabrzmiało jak bulgot, bo Manfried w ramach

eksperymentu przycisnął piętą pierś Bertrama. – Bękarty.

– No, to naprawdę niesprawiedliwe słowa. – Hegel przykucnął na ziemi. – Obaj pamiętamy twarz ojca, nawet jeśli nasza matka ją zapomniała.

– On już nie czuje bólu – powiedział Manfred, ściągając Bertramowi buty i szturchając palce stóp nożem. – Patrz, nawet się nie wzdrygnął.

– Zabić – wystękał Bertram. – Za. Bić!

– Kogo, ciebie czy nas? – Hegel wyszczerzył zęby w uśmiechu i odwrócił się do brata. – Rozerwany na strzępy, a nadal gada o zemście! Niezgorszy chłop, w każdym razie.

– Zatem okażemy miłosierdzie? – zapytał Manfred. – Ja żem miał na karku tego starego Psubrata, więc nic żem nie widział. Gadasz, że koń go poniósł?

– W rzeczy samej, ten, co go widzieliśmy na stoku powyżej, cały połamany. – Hegel spojrzał Bertramowi w zapuchnięte oko. – Masz za swoje, żeby tak ufać zwierzęciu. Trza było zejść z konia, to może miałbyś szansę.

Bertram chciał spluć, ale tylko obślinił się plwociną z krwią.

– Żeś go widział już kiedy? – zapytał Manfred z roztargnieniem rozcinając Bertramowi stopę.

– Nie mogę powiedzieć, żebym przypominał go sobie z lat cielęcych. – Hegel podrapał się po brodzie. – Jak tchórz władował się z koniem do walki ludzi, i z racji tego ja bym go zostawił ptakom na pożarcie.

– Ale nie uciekł – sprzeciwił się Manfred, któremu spodobała się wytrwałość Bertrama. – Nie zostawił towarzyszy na lodzie, jak ten drugi skurwiel. Nie próbował też żadnych nieuczciwych zagrywek z kuszą i przetrzymał całą noc na zimnie.

– No tak, bracie, ale żeby koń? Chciał mnie stratować. Pomyśl tylko, Manfred, zabity przez sakramenckiego konia!

– Wobec tego próba – orzekł Manfred. Odłożył nóż i przykucnął obok brata przy głowie Bertrama. – Chcesz miłosierdzia, tchórz?

– Diabła – beknął Bertram. – Zgiń. Gross.

– Widzisz? – Manfred uśmiechnął się triumfalnie do brata. – Tylko tchórz prosi o łaskę, nawet gdy ktoś mu ją proponuje.

– Sranie w banie – zachnął się Hegel. – Tylko zafajdany tchórz leżałby na dupie, kiedy ktoś łaskocze mu piętę nożem.

– Dupki – wykrztusił Bertram.

– Wszak to jasne jak słońce, że za bardzo się połamał, żeby się ruszyć. Patrz. – Manfred szturchnął usta Bertrama palcami i mimo potwornego bólu, mężczyzna kłapnął zębami, desperacko pragnąc utoczyć choćby kroplę Grossbartowej krwi.

– No dobra, niech ci będzie – ustąpił Hegel i strzaskał Bertramowi czaszkę kamieniem.

Niewiele im dała ciężka praca – zyskali tylko buty, którymi mogli zastąpić znoszone, spiczaste ciżmy, i prawdziwą broń. Hegel zagarnął miecz Guntera i oskard Hansa, a Manfred wziął maczugę Bertrama i siekiere Helmuta, zostawiając tę, za pomocą której zabił żonę Heinricha na drodze, jako ostrzeżenie dla tych, co nadejdą później. Kilka bełtów, które udało się odzyskać, schowali do prowizorycznych kołczanów; pałki, tępe noże i kilka wybranych krągłych kamieni dorzucili do reszty sprzętu.

Ubranie zniosło walkę gorzej niż noszący je mężczyźni i żaden z trupów nie miał przy sobie monet ani biżuterii. Bertrama przysypali kamieniami, ale pozostałych jednomyślnie uznali za tchórzy i wobec tego karmę dla wron. Światło dzienne wykazało niepraktyczność pomysłu, by spróbować zjechać wozem po przeciwległym stoku, ścieżka bowiem zrzędła do tego stopnia, że nawet sprowadzenie konia było prawdziwym wyzwaniem. Jednakże Grossbartowie mieli wiarę w sercach i obładowali zwierzę, które Manfred nazwał „Koniem”, a Hegel przezwał „Głupkiem”.

Hegel potraktował wóz siekierą, objuczając konia pociągowego przekwalifikowanego na jucznego muła taką ilością drewna na opał, jaką zdołał upchać w fałdach koca uwiązanego na grzbiecie zwierzęcia. Potem zaczęli schodzić; Manfred sprowadzał konia. Chociaż żadne ślady nie wskazywały, żeby ktoś korzystał ze ścieżki, byli przekonani, że wkrótce dołączy do szerszej drogi prowadzącej przez całe pasmo górskie. Oczywiście mylili się, ale dowiedzieli się o tym dopiero po pewnym czasie. W południe dotarli do zalesionej doliny i przebrnąwszy przez jej półmrok wspięli się na kolejne zbocze i późnym popołudniem na jeszcze bardziej stromo położoną przełęcz.

Przy słabnącym świetle zdecydowali się rozbić obóz u podnóża stoku. Opatrzność podsunęła im małą polankę przy strumieniu. Zebrali drewno, oszczędzając kawałki wozu na cięższe czasy. Hegel odwinął koński łeb, który odciął tego ranka, i zabrał się za cięcie i gotowanie salcesonu z głowizny.

Manfried złapał parę żab w potoku, ale środek jesieni na nizinach to wczesna zima w górach i nieliczne znalezione okazy były ospałe i małe. Chłód, który nadszedł wraz z nocą, zmusił Grossbartów do przysunięcia się do ogniska, ale ich morale podnosiło się wraz z gwiazdami, gdy rozprawiali o nadchodzących dniach i tygodniach. Jeden z martwych koni niósł beczułkę pełną obrzydliwego piwa, którym dzielili się teraz radośnie, śmiejąc się i przeklinając do późna. Zimno zadbało o to, by jeden zawsze siedział na warcie i dokładał do ognia. Tuż przed świtem objuczyli konia, wynurzyli się spomiędzy drzew i zaczęli wspinać na kolejną pochyłość.

Ta przełęcz była jeszcze wyższa i po mozolnej wspinaczce, która zajęła im większą część ranka, roztoczył się przed nimi widok na nieskazitelne szczyty z przodu i pogórze za plecami. Ich entuzjazm przygasł kilka godzin później, kiedy zeszli na górską łąkę, gdzie ścieżka przepadła bez śladu w trawie. Góra, z której zeszli, napotykała kolejną, po drugiej stronie łąki, sięgającą w niebo wysoko jak słońce. Padło wiele inwektyw i oskarżeń, zanim bracia zdecydowali nadal iść z grubsza na południe, bo gdzieś dalej na pewno ciągnęła się szeroka i zjeżdżona droga prowadząca aż do krajów nadmorskich. Kolejna kłótnia zakończyła się decyzją, że wolniejsza trasa, za to uwzględniająca gdzieś po drodze posiłek z końskiego mięsa, jest lepsza od natychmiastowej gratyfikacji, jaką może oferować szybszy i mniej okrężny szlak.

Hegel śmiał się triumfalnie za każdym razem, kiedy Głupek ślizgał się na kamieniach, ale Manfried gaworzył do konia i zachęcał go do podwojenia wysiłków. W końcu wspięli się na grzbiet, który zagradzał im drogę, i zostali nagrodzeni jeszcze bardziej niebezpiecznym zejściem na następną łąkę. Tu padli z wyczerpania i nie podnieśli się, dopóki cienie nie spowiły doliny. Hegel zaatakował siekierą jedyne widoczne drzewo, a Manfried rozpałił ogień i otarł konia.

Salceson dojrzał w tobołku Hegla, więc posilając się końską karkówką i mózgiem rozprawiali na tematy teologiczne. Gwiazdy świeciły, wiatr wiał, a bracia dali się porwać dyskusji o Maryi i Jej pierdołowatym synu. Hegel nie mógł pojąć, jak taka cudowna panna mogła urodzić tak bojaźliwego chłopaka.

– To proste – teoretyzował Manfried. – W końcu nasza matka była ścierwo, jak tylko ścierwo może być, a mimo to my są nieskazitelni.

– Co racja, to racja. – Hegel pokiwał głową. – Tyle że to naturalne, że

wspaniały owoc wyrasta z gnoju, więc nie taki z nas dziw jak rzadko spotykana porządna kobieta, która rodzi łajzę zamiast bohatera.

– Ale zebrał swoje i nawet nie pisał.

– I co z tego? Żeby w ogóle się nie stawiać, kiedy cię przybijają do krzyża? Mnie to nie wydaje się uczciwe. Do diabła, mógł chociaż jednemu dokopać.

– Z tym się nie będę kłócił.

– Tylko dlatego, że nie możesz, ty uparty kutasie. Pewnie mógłbyś zacząć nawijać, że to takie odważne, pozwolić, żeby cię zamęczyli na śmierć, ale obaj wiemy, że nikt tego nie kupi.

– A jednak to naprawdę dziwne. Wygląda na to, że ktoś musiał zatkać uszy w jakimś momencie opowieści i potem, kiedy ją powtarzał, wszystko pomylił. Panią jest oblubienicą Pana, a jednak jest dziewicą. Dziewicą z brzuchem. A potem rodzi własnego męża.

Hegel zarechotał.

– Musi być, że jednak się tam zakradł!

– Trzymaj za zębami swój bluźnierczy ózór! – warknął Manfred, szarpiąc brodę. – Jakbyś miał trochę rozumu i mnie posłuchał, to byś usłyszał, co sobie obmyśliłem.

– Och, bo już coś obmyślił, hę?

– A jużci, do diabła. Widzisz, człek sobie myśli, że Ona nie może być dziewicą, bo dziewice nie mogą mieć dzieci, a jak mają, to nie są dziewicami. A kuśka Pana to przecie kuśka i, do czorta, jeśli już, to jest to największa kuśka, jaka kiedykolwiek wlaźła do norki.

Hegel odszpuntał beczułkę, uznając, że potrzebują sakramentalnego napitku, jeśli mają naprawdę rozwikłać tajemnicę.

– Ale Ona ani chybi jest dziewicą, tylko spójrz na nią. – Manfred pokazał Najświętszą Panią, którą niedawno wystrugał; cały dzień czekał na pretekst, żeby pokazać bratu wisiołek.

– Dziewica jak się patrzy – przytaknął Hegel, odstawiając piwo, żeby lepiej przyjrzeć się rękodziełu brata.

– To słuchaj, co sobie obmyśliłem. Pan przychodzi z interesem do Maryi, cały słodki, mając nadzieję, że uszczknie trochę Jej słodczy. A Ona prosto z mostu odmawia mu tego przywileju.

– Dlaczego?



– Żeby zachować czystość. Czy to Pan, czy mężczyzna, wiedziała, że aby być świętszą od reszty, cały czas musi być Dziewicą, bo inaczej stanie się jeszcze jedną zafajdaną grzesznicą.

Hegel patrzył na figurkę, rozważając słowa brata.

– I wtedy Pan się rozsierdził, naprawdę się rozsierdził, jak to Pan ma w zwyczaju. No i mimo to jej wsadził. – Manfred beknął.

– Nie!

– Tak!

– A nie mógł, sam nie wiem, sprawić, żeby Ona zechciała?

– Próbował! Ale wszystko ma swoje granice, bracie, nawet Pan nie może sprawić, że dziewczyna zechce rozłożyć przed nim nogi, nawet jeśli może ją przymusić.

– Biedna Maryja.

– Nie żałuj Jej, bo się na Nim zemściła. Zadbala, żeby syn Pana był pochlipującym, pierdołowatym, najpodlejszym tchórzem tysiąclecia.

Oświecenie zamgliło Hegłowi oczy.

– Znaczy zrobiła to z zemsty?

– Najgorszy los, jaki możesz sobie wyobrazić, mieć takiego syna. I dlatego jest święta, bracie, bo ze wszystkich ludzi, których Pan poddał próbie i ukarał, Ona jedna odpłaciła mu się i dopiekła mu bardziej niż on Jej. To dlatego wstawia się za nami, bo kocha tych, co stawiają się Panu bardziej od tych, co przed nim klęczą.

– No to, to ja rozumiem. Ale dlaczego nadal wołają na nią Dziewica?

– Do diabła, przecie każdy wie, że gwałt to co innego.

– Innego?

– A pewnie, tego trza chcieć. To jebana kwestia duchowa.

Hegel rozmyślał nad tym tylko chwilę, nim jego umysł przekonał usta, że brat bez wątpienia się myli.

– A tam.

– A tam?

– A tam.

– Wytłumacz się z tego jebanego „a tam”, albo oberwiesz, ty wyszczekany łajdaku!

– Gwałt – Hegel odchrząknął – to odebranie komuś czystości siłą. Albo

ujmując to prościej dla prostackich uszu: tylko dziewicę można zgwałcić, a po sprawie dziewczka już nie jest dziewicą.

– Jako że widzę, że mam do czynienia z kapuścianym głąbem, jestem gotów puścić mimo uszu twoją wzgardę. A jeśli idzie o koncept, że gwałt można zadać tym, co zachowały czystość, już nie wspominając o tym, że tylko im, pozwolisz, że zapytam, czyja prostacka, krzywa gęba przekazała ci tę mądrość?

– Jurgen gadał...

– Aha! No to mnie, kurwa, oświeciło! Ten sam Jurgen, co z takim upodobaniem opowiadał ci o złu płynącym z oswobodzenia zmarłych z bezużytecznych dla nich cennych przedmiotów, ten sam tępy palant?

– Ejże, Jurgen nie był taki najgorszy!

– Przeciwnie, ten siostrójebca, złodziej jeden, był jak najbardziej zły. Nie można ufać komuś, kto czyści swoją brudną pałę w gębie matki, niezależnie od tego, jak dobrze może się prezentować stara dla nie-krewniaka.

– Diabła tam, to tylko domniemanie, i sam to wiesz!

– Mniemanie czy manie, nie traktuj go jak wiarygodną krynicę wiedzy. – Manfred zaczął naśladować północny akcent oskarżonego o praktyki kazirodcze: – *Tylko dziwice da się zgwałcić. Jak cie zgwałcom to już, nie jest dziwica.* Kij mu w oko, ten śmieć pewnie też ci powiedział, że posuwanie własnej krewnej to nie grzech, hę?

– Nie – skłamał Hegel, ale się nie spisał.

– No cóż, to już twoja rzecz, komu zaufasz – westchnął Manfred. – Czy jakimś żaloszemu popaprańcowi czy komuś z twojej krwi, że już nic nie wspomnę o jebanej Najświętszej Paniencie.

– Bracie, przecie wiesz, że to nie tak!

– To czemu nadal gadamy, hę?

Tyle wystarczyło im obu, więc ułożyli się do snu. Wilk wyjący gdzieś w głębi gór przypominał im, że rozsądek każe trzymać wartę, więc przespali noc na zmianę. Słońce zastało ich tam, gdzie zostawiło – zagubionych pośród Alp.

Kilkudniowa wędrówka pasmem górskim, to w dół, to w górę, nie przybliżyła ich do południowej drogi i po paru pomniejszych sprzeczkach na temat tego, który brat przewyższał którego jeśli idzie o wyczucie kierunku, ruszyli na południowy zachód, przecinając grzbiety potężnych szczytów, okrążając ich kamienne czoła i brnąc naprzód w nieustannym poszukiwaniu następnej

przełęczą. Z każdym dniem pogoda stawała się coraz sroższa, wiatr ciął coraz głębiej przez ich płaszcze. Trawiaste łąki były coraz mniejsze i zdarzały się coraz rzadziej, a lodowce wręcz przeciwnie, i z każdą nocą ujadanie wilków rozlegało się coraz bliżej. Mięso się skończyło, a zapas rzepy szczupłał i chociaż logika Manfreda na razie zwyciężała, obaj oceniali konia głodnym wzrokiem w świetle gwiazd.

Po tygodniu wspięli się na najwyższy punkt skalnego rumowiska i zlustrowali las rosnący między dwiema niebosiędnymi graniami. Zeszli piargiem, ciągnąc za sobą umęczonego konia. Czekają na nich drewno na opał, woda, osłona przed wiatrem i, jak mieli nadzieję, mięso. Ptaki krążyły nad potężnymi sosnami i Grossbartowie – jak to ciemne typy – ucieszyli się, wchodząc w ciemności po tym, jak przez wiele dni bezustannie wędrowali pod gołym niebem. Otuliła ich grobowa cisza i naiwni bracia modlili się, żeby natknąć się na zarośnięty cmentarzyk. Najświętsza Panienka doprowadziła ich do tak wspaniałego sanktuarium, że ów pomysł nie wydał im się ani trochę niedorzeczny.

– Zapamiętaj me słowa – ostrzegł go Hegel – te górskie psy, cośmy je słyszeli, pewnie mają tu gdzieś leże.

– Masz słusność – zgodził się Manfred, drepcząc wśród gęstych zarośli, dławiących las – ale lepsze wilcze mięso niż żadne.

Głębiej w młodniaku posłyszeli szum potoku i kiedy w końcu go znaleźli pośród pokręconych pni, rozbili w pobliżu obóz. Wyciągając się na mchu i pijąc do syta, zdali sobie sprawę, że stracili większość dziennego światła – noc w górach zapada przerażająco szybko. Zebrali ogromny stos połamanych gałęzi i krzewinek, ale nie znaleźli żadnych śladów zwierzyny, którą mogliby złapać na kolację. Hegel ugotował potrawkę z ostatnich rzep, podczas gdy brat rozstawił wnyki wzdłuż strumienia i nawet kiedy wiatr kołysał drzewami i wył w szczelinach grani powyżej, im było całkiem przyjemnie.

– Chcesz pierwszy posiedzieć? – zapytał Manfred, otulając się ciasno kocami.

– A czemu nie? – Hegel położył obie kusze obok ognia.

Odzyskali tylko tuzin bełtów, w tym jeden, który wyjęli z krocza Hansa. Hegel nie mógł się doczekać, kiedy wypróbuje ciężki miecz i oskard; brat zwinął się koło siekiery i maczugi Bertrama, opartych o drzewo. Kiedy Manfred zaczął chrapać, Hegel dopił ostatnie krople sikacza.

Noc upływała powoli pod drzewami, gdy korony pochłaniały całe światło gwiazd i księżyca. Jednakże wielkie ognisko dawało dużo blasku, a w lesie nic nawet nie drgnęło. Hegel poczuł, że powieki robią mu się ciężkie i uznał, że powinien obudzić brata, kiedy ogarnęło go osobliwe uczucie.

W trakcie ich nikczemnych przygód, nieraz zdarzało się, że na nich polowano, a Hegla wielokrotnie przecucie ostrzegało, gdy prześladowcy się zbliżają i zawsze wiedział, kiedy ktoś ich obserwuje. Zachowywał te spostrzeżenia dla siebie, z wyjątkiem sytuacji, które wymagały czegoś innego. Wiele lat wcześniej stryj oznajmił, że Hegel ma Wiedźmi Wzrok, po tym jak młody Grossbart nagle uparł się, żeby się schowali i niemal w tej samej chwili pościg wynurzył się zza zakrętu ścieżki, którą podążali. Hegłowi, jak każdemu dobremu chrześcijaninowi, nie przypadło do gustu to określenie, ale jego przecucia zawsze się sprawdzały.

Czując znajome jeżenie się włosów na karku, zorientował się, że czyjeś oczy obserwują go gdzieś z mroków poza ogniskiem, a biorąc pod uwagę niezmaconą ciszę, właściciel owych oczu musiał mieć naprawdę lekki chód. Ostrożniejszy i sprytniejszy człowiek udałby może, że śpi, żeby wywabić podglądacza, albo powoli sięgnąłby po broń. Takie inteligentne posunięcie skończyłoby się zgubą dla Grossbartów, więc szczęśliwie się złożyło, że Hegel zamiast tego zerwał się na równe nogi, napinając kuszę i krzyknął na całe gardło:

– Wyłazić, łajdaki!

Manfried wyturlał się z koców i stanął z maczugą i siekierą w pogotowiu.

– Mamy gości? – Manfried zamrugał, spoglądając w ciemność.

– Nie wiem! – Hegel krzyknął jeszcze głośniej. – Goście się pokazują, jak uczciwi ludzie! Tylko głupcy i czarty kryją się w ciemności!

Basowy śmiech zagrział w mroku. Ku zaskoczeniu Hegla dobiegał tuż zza jego pleców. Grossbart obrócił się, mierząc z kuszy, ale nie znalazł celu. Wycelował w miejsce, z którego, jak myślał, dobiegał śmiech, ale nie strzelił, chcąc się najpierw upewnić.

– Podejź do ognia! – zawołał nieco ciszej.

Manfried podszedł do brata, mrużąc oczy w pozbawionym księżycowego światła lesie.

– Nie, dziękuję – warknął w ciemnościach głos, jakby dobiegał z gardła dławiącego się żwirem. – Chyba, że nie macie nic przeciwko zgaszeniu ogniska.

Kolejny rechot, który zmroził braciom wnętrzości. Przywykli do tego, że to oni są złowieszczym głosem pośród nocy i nie mieli ochoty być teraz tymi, którzy go słuchają. Manfred spróbował przejąć kontrolę nad sytuacją.

Zrobił krok naprzód i zaintonował:

– Niech wszyscy ci, którzy pragną zbawienia, wiecznie głoszą chwałę Maryi!  
Zabrzmiał kolejny szczery, gromki śmiech, i po chwili pauzy głos:

– Moja pani znajduje się o wiele bliżej niż ta flądra, jako że mieszka w tym właśnie lesie!

– Strzelaj – syknął Manfred.

Trzęsącymi się rękami Hegel strzelił z kuszy w stronę głosu. Ktoś smyrnął przez poszycie, podczas gdy Hegel niezręcznie przeładowywał kuszę. Manfred nadstawił ucha, żeby wychwycić, gdzie przebiegł intruz. Gotowy do następnego strzału Hegel uniósł broń, ale cisza trwała uparcie i tylko ich oddechy i wiatr zakłócały całkowity bezruch. A potem nagle usłyszeli świst, jakby ktoś wymachiwał witką. Teraz nieznamy musiał znajdować się jeszcze bliżej, tuż za kręgiem światła z ogniska.

– Nie po chrześcijańsku – poskarżył się. – Przyjść do mojego domu i próbować mnie zamordować.

– Widzisz, to nie tak – próbował mu wyjaśnić Hegel. – Palec mi się obsunął.

Rechot martwił ich bardziej niż sam głos, a cichy świst nie pomagał.

– Obsunął się, co? Och, w takim razie w porządku. W końcu podróźni nocą mają prawo zachować ostrożność, zwłaszcza tak głęboko w lesie, tak daleko w górach. Nigdy nie wiadomo, kto tam krąży wśród nocy.

– Słusznie – odpowiedział Manfred z przykrą świadomością, że nie musi wrzeszczeć, by go słyszano.

– Minęło okropnie dużo czasu – powiedział mężczyzna – odkąd mieliśmy gości, którzy by z nami porozmawiali.

– Doprawdy? – Hegel przełknął ślinę, nadal próbując określić położenie intruza.

– Większość tylko krzyczy jak dzieci i ucieka. A raczej próbuje uciekać.

Żaden z Grossbartów nie uważał, aby te słowa usprawiedliwiały choćby chichot, nie wspominając już o serdecznym śmiechu, który działał im na nerwy.

– My rozmawiamy – zauważył Manfred. – I nie zamierzamy uciekać. Jeśli ktoś tu ucieknie, to naszym zdaniem ty.

Hegel nie potrafił odwzajemnić słabego uśmiechu brata.

– A pewnie, ehm, tak to jest, przyjacielu.

– Och, myślę, że mógłbym sprawić, że ucieklibyście w te pędy – warknął głos. – Tak, założę się, że byście uciekli, o ile nie przerazilibyście się za bardzo, bo wtedy tylko zapaskudzilibyście sobie kalesony i zaczęli się modlić. Wystarczyłoby tylko, żebym podszedł kilka kroków w stronę światła. Nadal chcecie, żebym się pokazał? No dobrze, to uczciwy układ...

– Nie, nie trzeba – wtrącił szybko Hegel. – Tobie dobrze tam, gdzie jesteś, nam jest dobrze tam, gdzie my są, nie ma sensu, ehm, nie ma sensu...

– Zmuszać nas, cobyśmy cię zabili – dokończył Manfred, ale słowa niemal mu uwieźły w gardle.

Nie był przesądnym kmiotkiem, ale wiedział, że mroczne istoty przemierzają noc, zwłaszcza w dziczy, w której rzadko pojawiają się ludzie. Mimo wszystko nie było sensu od razu tracić zimnej krwi. Pot zalewał mu twarz mimo lodowatego nocnego powietrza. Rechot dobiegający z mroku skręcał mu kiszki i wprawiał całe ciało w nerwowe drzenie.

– Nie mogę na to pozwolić – zdołał wykrztusić z siebie mimo wesołości niewidoczny intruz. – Boże broń.

– Od razu żem wiedział, że blefuje – mruknął Manfred, chociaż czoło miał mokre od potu i w ustach mu zaschło.

– Nie mogę pozwolić, żebyście wy zabili mnie, to by niczego nie załatwiło. Trzeba coś wrzucić do garnka, nie? – wychrypiał mężczyzna, ale teraz głos dobiegał znad nich, spływał z potężnych konarów sosny.

Manfried poczuł mdłości i zawroty głowy. Nawet jego przerośnięte uszy nie zdołały wychwycić ruchu w ciemnościach.

– A pewnie. – Hegel starał się ukryć drzenie głosu, ale czuł się dziwnie i niezbyt dobrze.

Wiedźmi Wzrok – jeśli to naprawdę było to, a nie zwykła przyziemna intuicja – dręczył jego ciało dreszczami. Każdy skrawek ciała aż go świerzbiał, kusząc, żeby popędzić w noc, byle dalej od tego zapomnianego przez Maryję lasu.

– Zatem postanowione – powiedział w końcu.

– Owszem – głos niemal szepnął z drzew.

– Ty zostajesz tam, gdzie jesteś i my zostajemy tam, gdzie my są – upewnił

się Hegel.

– Tak.

– Dobrze. – Heglowi ulżyło.

– Aż do rana.

– Do rana? – Manfred zagryzł wargę.

– Wtedy rzucę się na was i pożrę was żywcem.

Po raz pierwszy w życiu Grossbartom zabrakło języka w gębie.

– Wtedy będziecie krzyczeć – kontynuował intruz, a jego głos niósł się na wietrze. – Będziecie błagać i płakać, a ja wyszę wam szpik z kości, zanim wyzioniecie ducha. Będziecie czuć, jak kawałki was wpadają mi do brzucha, nadal połączone, a kiedy pogoda się zmieni, będę nosił wasze skóry.

– Uhm – wykrztusił z siebie Hegel, wyglądając jak jeden z mieszkańców grobowców, z których obrabiania żyli.

Manfried nie zdołał powiedzieć nawet tyle; oczy miał jak spodki. Usta poruszały mu się w modlitwie, ale nie wydobył się z nich żaden głos. Jego wiara, że ktokolwiek kryje się poza polem widzenia, nie stanowi poważnego zagrożenia, nagle się rozwiła. Chciał splunąć w twarz temu, kto czał się za drzewami, powiedzieć coś tak obraźliwego, że nawet jego brat by się zaczerwienił. A to, co w końcu z siebie wykrztusił, odzwierciedlało wypowiedź Hegla:

– Uhm.

Śmiech spłynął na nich tak serdeczny, że zawtórowały mu szpilki sosny. Bracia nieświadomie tak się do siebie przysunęli, że otarli się plecami, kiedy podskoczyli. Żaden więcej głos nie rozległ się w ciemności, nie licząc świstu, który obu wydawał się znajomy, ale żaden nie potrafił go rozpoznać.

– Ognisko przygasa – szepnął Hegel, gdy cienie wydłużyły się na skraju obozowiska.

– To dorzuć do ognia – warknął Manfred.

Żaden nie oderwał oczu od zwieszających się gałęzi, odkąd śmiech odpłynął z wiatrem. Nie bardzo wiedzieli, czy upłynęło kilka chwil czy parę godzin, kiedy przyglądali się gęstwinie, wypatrując ruchu. Hegel pierwszy się poddał, ale wrzucił gałęzie do ognia stopą, bo nie chciał nawet na chwilę odkładać kuszy.

– Pilnuj mojego tyłka – powiedział Manfred i wyjął drugi arbalet. Naciągnął

cięciwę i dołączył do czuwającego brata. – Mam pomysł. Trza strzelać, jak tylko go obaczmy.

Manfried przeszedł na gardłowy dialekt, który tylko jego brat był w stanie zrozumieć. Ich stryj wściekał się za każdym razem, kiedy bracia w nim mówili, bo ogarniała go paranoja i myślał, że spiskują przeciwko niemu. Jego podejrzenia tylko czasem były usprawiedliwione.

– Nie musisz powtarzać mi tego dwa razy – odpowiedział w ten sam sposób Hegel.

– Trza podsyć ogień, rzucić trochę światła na tę kwestię – oznajmił w stronę lasu Manfried, przechodząc z powrotem na zwykły niemiecki.

Dorzucając więcej gałęzi do ognia, który szybko rozrósł się w prawdziwe ognisko, Manfried poderwał się nagle i cisnął płonąca szczapę w konary nad głową. Hegel stał w gotowości, ale zobaczył tylko grube konary sosen. Kiedy gałąź spadła z powrotem, o włos z brody uniknęli przypalenia.

– Do diabła – powiedzieli obaj, Hegel patrząc w prawo, a Manfried na lewo.

– Pewnie to duch? – zapytał Hegel w ich osobliwym języku.

– Prędzej kanibal, który próbuje nas nastraszyć – odparł w tym samym dialekcie brat.

– A co kanibal robi na takim odludziu?

– A jak myślisz? Zjada ludzi, sam to powiedział.

– Strasznie to dziwne, że jest na tyle bystry, by gadać, ale na tyle tępy, by jeść innych ludzi zamiast zwierzęta jak należy. One tylko do tego się nadają. – Hegel zerknął na Głupka, który uspokoił się, kiedy głos się oddalił i drzemał teraz przy ogniu.

– Te zaprzańce, co ich widzisz w kościele, to wszystko są kanibale i jeszcze potrafią zagadać człowieka na śmierć.

– Jakie zaprzańce? W jakim kościele? – zdziwił się Hegel.

– A wszystkie te. Te co jedzą i gadają, że to ciało dzieciątka Maryi, a wino to jego krew.

– Och, znowu te pierdy. Pamiętasz, jak żeśmy raz ukradli cały ten twardy chleb i wino? Czy przez to my są kanibale?

– Diabła tam, skąd! Trza księdza, żeby zamienił je w ciało i krew.

– Czary – osądził Hegel.

– Jak amen w pacierzu. Stąd wiadomo, czy człowiek jest czysty, czy nie.



Uczciwy człowiek nikogo nie zjada. Zwłaszcza krewniaka Maryi, niezależnie od tego, jaki z niego świński ryj.

– Zatem myślisz, że ktokolwiek tam siedzi, to zwykły heretyk? – Heglowi ulżyło.

– A pewnie, ni mniej, ni więcej. – Manfred nie miał za grosz takiej pewności, ale nie było sensu straszyć brata domysłami. – Poza tym, gdyby był czymkolwiek więcej niż pomyłceńcem, to co by go powstrzymało przed rzuceniem się na nas teraz? Albo pierwej, kiedy spałem?

– Co racja, to racja. Chciał nam zagrać na nerwach, żebyśmy nie spali całą noc i gdy kur zapieje, mieli połowę sił.

– Właśnie. – Rozsądna uwaga Hegla dodała Manfredowi otuchy. – Każdy głupek ci powie, że noc to pora najgorszych zmor i paskudztw. Nigdy nie słyszał o czymś, co by wolało dzień od nocy, z wyjątkiem zwykłych ludzi. Więc ty odpocznij, a ja stanę na warcie.

– Nie chcę o tym słyszeć, bracie, moja warta dopiero się zaczęła, kiedy żem cię zbudził. Ja posiedzę, a ty zdrzemnij się trochę.

– Bzdura. Widzę, że oczy ci się zamykają i warga ci się trzęsie jak zawsze, kiedy jesteś sterany.

Hegel bez powodzenia próbował rzucić okiem na własne usta, ale kartoflowaty nos przesłaniał mu cały widok z wyjątkiem koniuszka brody. Niechętnie położył się, za bardzo rozstrojony, żeby się kłócić. Nadal było mu gorąco i zimno na całym ciele, ale nie wiedział już, czy to dlatego, że jest obserwowany, czy ze zmęczenia. Udawał, że śpi przez kilka godzin, cały czas obserwując spod powiek drzewa. Potem zamienił się miejscami z Manfredem, który tak samo udawał, ale jeszcze mniej przekonująco. Tylko koń wyczął trochę tej nocy. Na godzinę przed świtem Grossbartowie przykucnęli przy ognisku z gotowymi kuszami, zbyt zmęczeni, by rozmawiać, i nie mając nawet rzepy do przegryzienia.

## IV

# NIEPOWETOWANA STRATA



Światło jutrzeńki przybierało na sile boleśnie powoli, a kiedy koń zarżał, obaj bracia gwałtownie się obrócili. W półmroku nic się nie poruszało prócz Głupka, który tupał i szarpał się na postronku, wybałuszając oczy na coś za nimi. Wtedy usłyszeli świst i powoli odwrócili się, by stawić czoło wrogowi.

Przysiadł na niskiej gałęzi kilka kroków dalej, uśmiechając się szelmowsko. Sądząc po rzadkich i rozwichrzonych włosach dźwigał już szósty krzyżyk na pomarszczonym karku, ale jego wzrok i zęby robiły wrażenie ostrych i twardych. Jednakże to nie jego twarz przyciągała ich uwagę.

Poniżej podbródka znikало wszelkie podobieństwo do człowieka, bo ciało nieznanego przypominało ciało lampartów, które grasują na opustoszałych terenach. Cętkowana skóra zjeżyła się – różne odcienie kontrastowych plam na nagim ciele. Za poświstywanie odpowiadał łysiejący ogon, który ciął powietrze za intruzem, jakby żył własnym życiem. Przednie łapy zwieszały się z gałęzi, zakrzywione pazury leniwie wysuwały się i chowały.

Grossbartowie przygotowali się na wszystko; niestety ich koncepcja „wszystkiego” nie obejmowała kota wielkości wieprza, i to z głową starca. Koń zarżał, ale żaden inny dźwięk nie zakłócił ciszy poranka; potwór i mężczyźni obserwowali się, podczas gdy światło przesączało się przez gałęzie. Bestia podniosła się, a było w tym ruchu coś ostatecznego, i przysiadła na zadzie, czterema łapami balansując na konarze.

– Uhhh... – Hegel bezmyślnie wycelował do potwora z kuszy.

Manfried gapił się jak zaczarowany.

Wystrzelą jednocześnie z kusz, wyobraził sobie Hegel, każdy bełt wbije się w jedno oko potwora. Stwór spadnie martwy z drzewa, łamiąc sobie na dokładkę kark przy uderzeniu o ziemię. Sprytnie uszyty płaszcz ze zwierzęcej skóry spadnie, odsłaniając to, co musiało się pod nim kryć: pomarszczone, ale

zdecydowanie ludzkie ciało. Hegel przełknął ślinę i wprowadził plan w życie.

Wystrzelił z kuszy, ale za bardzo się trząsł, żeby dobrze wycelować, więc bełt śmignął obok potwora i poleciał w las. Manfred odruchowo pociągnął za spust, ale nawet nie uniósł broni, więc bełt wbił się w ziemię u ich stóp. Staruch uśmiechnął się szerzej i zrobił krok naprzód na gałęzi.

Ich jedyną szansą była walka z potworem na ziemi. Jeżeli zachowają zimną krew, może razem dokonają tego, co było niemożliwe dla samotnego człowieka. Jeśli się zawahają, obaj zginą, a żaden z nich nie wątpił, że czekał ich los gorszy niż najstraszniejszy koniec, jaki można sobie wyobrazić. Nie mieli innej możliwości, musieli uciekać.

Uciekli. Krzycząc. W przeciwnych kierunkach.

W umyśle Manfreda płonęła jedna myśl – znaleźć kraniec lasu. Ponieważ był szybszym biegaczem od brata, zgubiłby go w szaleńczej ucieczce, nawet gdyby Hegel nie popędził w innym kierunku. Manfred widział drzewa, krzaki i teraz strumień, ale koło młyńskie jego umysłu przestało się obracać, sam stał się zwierzęciem skupionym na ucieczce za wszelką cenę.

Nie atak albo odgłosy pościgu, ale nagłe zrozumienie, że każdy jest sam, sprawiło, że obaj Grossbartowie oprzytomnieli. Załamali się chwilowo, ale teraz pojęli, że zostali rozdzieleni i że są ścigani. Hegel nie przerwał biegu, ale skręcił ostro w lewo i zauważywszy, że upuścił wcześniej kuszę, wyciągnął miecz. Manfred przeskoczył strumień i przystanął nagle, z kulą rosnącą w gardle. Odwrócił się powoli, by sprawdzić, co jest za nim.

Nic oprócz podmuchu poruszającego czubkami drzew. Plusk wody przytępił mu słuch, w piersi straszliwie go kłuło, a oddychanie tylko pogarszało ból. Nadal ścisnął kuszę, ale bełty zostały w obozowisku. Siekiera wysliznęła mu się z pętli przy pasie, ale, chwała niech będzie Maryi, maczuga nie. Roztrzęsiony wyciągnął ją i obrócił się, żeby stawić czoło stworzeniu, które podkradało się do niego. Znowu powitał go tylko gęsty las i pod Manfredem nogi się ugięły. Nie padł tylko dzięki temu, że oparł się o omszały pień.

Musiał znaleźć brata. Mimowolnie przysłużyli się Szatanowi i jeśli nie znajdzie wkrótce brata, obaj będą zgubieni. Gdyby jednak krzyknął, mógłby zwabić to coś zamiast Hegla.

Coś plusnęło w wodzie i Manfred aż podskoczył. Obracał się, aż mu się w głowie zakręciło, tak desperacko starał się zapobiec atakowi przez

zaskoczenie. Dopiero kiedy się upewnił, że jest sam, zerknął do strumienia.

Przykucnął i wyjął z wody kawałek metalu. Jego drzenie zamieniło się w konwulsyjne drgawki, kiedy zdał sobie sprawę, że to część uzdy konia. Usłyszał drapanie nad ramieniem, więc obrócił się powoli i zobaczył potwora.

Schodził powoli z drzewa, o które Manfred opierał się chwilę temu. Złaził po pionowym pniu, wbijając pazury w korę i drewno. Nie śpieszył się, uśmiechając się do Grossbarta.

Manfried rzucił się do ucieczki, ale poślizgnął się na mchu i sturlał z brzegu do strumienia. Wrzasnął na całe gardło i z pluskiem brnął, aż znalazł się na drugim brzegu. Stwór przykucnął po drugiej stronie, a ogon drżał mu niespokojnie.

– Hegel! – rozległo się echo wśród drzew i rzeczony Grossbart przystanął, próbując określić, skąd dobiegał okrzyk.

Albo brat znajdował się niedaleko, albo las w jakiś sposób wzmocnił jego głos. Kiedy żaden inny dźwięk nie rozległ się ponownie i tylko szemrał pobliski strumień, Hegel znowu rzucił się przez zarośla, kierując się jedynie intuicją.

Stwór skoczył nad wodą prosto na Manfreda. Modląc się gorączkowo do Maryi, Grossbart zamachnął się maczugą i zadrasnął łeb bestii, ta jednak skoczyła nisko i zbiła go z nóg. Na szczęście w paszczy miała ludzkie zęby i ugryzienie w udo tylko rozerwało rajtuzy i posiniaczyło skórę. Stwór zaraz odskoczył, unikając kolejnego niezręcznego ciosu maczugą.

Wskoczył na pobliski głaz i obserwował Manfreda, który próbował wstać. Ugryzienie nie zrobiło krzywdy Grossbartowi, ale odskakując, stwór kopnął go tylną łapą w łydkę. Krew trysnęła, kiedy Manfred spróbował wstać, ale zdołał uklęknąć i poprawił chwyt na maczudze. Wrzasnął nieartykułowanie na stwora, który znowu na niego skoczył.

Maczuga trafiła potwora w łopatkę. Stwór przeokoziółkował, a jego tnące pazury mignęły jak rozmazana plama. Manfred znalazł siłę, by stanąć, ale wiedział, że nawet zdrowy nie byłby w stanie uciec bestii, a teraz lewa noga pulsowała mu boleśnie. Stwór stanął na dwóch łapach i rzucił się prosto do niego, jednakże zatrzymał się tuż poza zasięgiem broni i zaczął go okręzać, warcząc gardłowo.

Szybko znalazł się za jego plecami. Z powodu rannej nogi Manfred nie zdążył się do końca obrócić, kiedy stwór już go zaatakował. Bestia rzuciła mu

się do ścięgien podkolanowych, wtedy jednak spomiędzy drzew wypadł Hegel, zaskakując oboje. Manfred potknął się o grzbiet stwora, ale uniknął jego pazurów. Potwór uskokzył przed mieczem Hegla, przeskoczył z powrotem nad strumieniem i zniknął w lesie.

– Wstawaj – syknął Hegel, pomagając bratu się podnieść.

Manfried przełknął ślinę, niezdolny wykrztusić słowa.

– Możesz biec?

Manfried pokręcił głową, wskazując zakrwawioną nogę. Hegel zaklął, rozglądając się wokół.

– Owiń to – wychrypiał wreszcie Manfred.

– Co?

– Moją nogę. Przewiąż mocno, to będę mógł biec.

Hegel po raz ostatni obrzucił spojrzeniem las, a potem przyklęknął. Trzy brzydkie rozcięcia szpeciły brudną pończochę na owłosionej łydce brata. Hegel otarł krew, rozdarł swoją koszulę i opatrzył ranę. Znowu rozległ się przekłety śmiech – ku ich przerażeniu dobiegał z gęstwiny za ich plecami. Hegel był przekonany, że gdyby wyrwali się z lasu, mieliby uczciwą szansę uciec, bo pozbawiliby potwora możliwości ukrycia się i zaatakowania zniemacka. Potruchtał wzdłuż strumienia, a Manfred trzymał się tuż za nim mimo bólu, jaki wywoływał każdy krok.

Śmignęli pod gałęziami i przedzierali się przez zarośla, ale po kilku minutach zdali sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia. Stwór czekał w dole strumienia na pniaku, nie próbując się nawet kryć. Jednakże zdać sobie sprawę z jałowości swoich poczynań, a zmienić je, to dwie całkiem odrębne sprawy i Grossbartowie znowu zanurkowali w las, byle dalej od prześladowcy.

Dyszząc i wytrzeszczając oczy, potykali się o kamienie ukryte w glinie. Gęsty cisowy zagajnik zarastał stromy spadek i zanim jeden brat zdążył ostrzec drugiego, już się ześlizgiwali ze skarpy. W połowie drogi złapali się śliskich gałęzi, ale zanim odzyskali równowagę, stwór pojawił się między nimi w omszałej płataninie gałęzi.

Niewiele brakowało, a Hegel rzuciłby się w dół, ale się powstrzymał, bardziej ze strachu, że później przyjdzie mu samemu stawić czoło przeciwnikowi, niż z powodu prawdziwej odwagi. Manfred trzymał się konara dziesięć stóp wyżej, a kratownica gałęzi pozwoliła stworowi podejść do niego górą. Smukła gałąź

ugięła się pod ciężarem potwora tuż nad Manfredem. Zamiast podskoczyć i przywitać się ze śmiercią, Grossbart skoczył ku niższemu drzewu. Prześlizgnął się obok niego i brata, który teraz pośpieszył za nim. Drzewa tylko się trzęsły wokół nich.

Na dole Manfred wstał chwiejnie, ale zaraz wpadł na niego brat. Obaj byli mokrzy od gliny i posiniaczeni od kamieni. Chwiejąc się na nogach, objęci, by nie upaść, odtańczyli kilka kroków. Drzewa nad nimi zakołysały się i stwór rzucił się na nich.

Grossbartowie odepchnęli się od siebie, żeby stwór wylądował między nimi, a nie na nich. Nawet zdezorientowani, wyczerpani i przerażeni, doskonale radzili sobie w tego typu tarapatach. Działając czysto instynktownie dopadli bestię, zanim zdążyła się spomiędzy nich wydostać. Manfred wbił jej maczugę w zad, a Hegel ciął przez twarz, trafiając w nos i oczy. Stwór zaatakował wtedy rękę Hegla, ale on mimo wszystko utrzymał miecz, chociaż nagle wydał mu się setki funtów cięższy.

Bestia próbowała uciekać na oślep, ale maczuga Manfreda unieruchomiła ją, więc próbowała go kopnąć zadnimi łapami. Grossbart wypuścił broń, żeby uniknąć pazurów, ale kiedy stwór rzucił się w wolne przejście, Hegel skoczył, celując w wystającą z zadu poczwary broń brata. Miecz odbił się rykoszetem od główicy maczugi, która wypadła z ciała i ostrze wbiło się w wygięty kręgosłup stwora.

Koziółkując do przodu, bestia wydała z siebie typowo ludzki krzyk. Hegel zagapił się zszokowany na potwora, który pełzł do przodu mimo zmasakrowanego zadu i rany na twarzy. Manfred stanął obok brata, ważąc w dłoni wielki kamień, który dopiero co wydobył z ziemi. Pełen zachwytu uśmiech wypłynął mu spod brody, kiedy cisnął kamieniem w porośniętą z rzadka czaszkę. Stwór zamarł, wypróżniając kiszki wprost na ich buty. Bracia rozpromienili się, po czym obaj złapali go za tylne łapy i wyciągnęli z gęstwiny.

Za nimi rozległ się potężny huk i kiedy otrząsnęli się z początkowego strachu, zrozumieli, że winowajcą był grom. Śnieg przesączał się delikatnie przez korony drzew, kiedy wlekli martwego stwora na polanę. Manfred podniósł maczugę i ucałował jej zakrwawioną główicę. Odrętwiała prawa ręka Hegla krwawiła nawet po tym, jak niezgrabnie ją zabandażował. Obaj szturchali trupa, a ich wcześniejsze rozradowanie przygasło z powodu absolutnej ohydy

poczwary.

– Cztery nogi – wymamrotał Hegel. – Cztery przekłete nogi.

– Masz słuszność – powiedział Manfred, nie musząc rozwijać myśli.

Po chwili obserwacji, w milczeniu odwrócił się i zwymiotował. Hegel już ruszył, żeby ponabijać się z brata, kiedy dostrzegł kątem oka coś, co sprawiło, że zamarł w pół kroku. Odwrócił się, czując, jak włos mu się jeży.

– Na Cycki Maryi! – wrzasnął, klepiąc brata w plecy i wyciągając miecz. – To się rusza!

Manfried zerknął, próbując coś powiedzieć, i znowu zwymiotował. Kleisty płyn nie skończył jeszcze tryskać, kiedy Grossbart zatoczył się w stronę poczwary, nieporadnie poszturchując ją maczugą. Rzeczywiście, boki stwora unosiły się i opadały, a jedna łapa zaczęła grzebać w ziemi.

Używając broni, Manfred przeturlał poczwarę na brzuch. Płytkie rany na grzbiecie wyglądały na zdecydowanie mniej poważne niż wcześniej, kiedy wlekli bestię z zarośli. Na ten widok Hegel wpadł w furję. Odrąbał zmiażdżony łeb i kopniakiem odrzucił go daleko od zakrwawionego cielska, a potem deptał czaszkę, aż zmiażdżony ochłap nie zdradzał już żadnego podobieństwa do człowieka.

Zajęty tym zadaniem nie widział, co się stało z trupem. Manfred nie mógł otworzyć ust, zahipnotyzowany widokiem. Para uszła z okaleczonych szczątków, nogi podkuliły się do środka, a grzbiet wygiął w łuk. Po chwili skóra trzymająca wszystko razem stopiła się w oleistą kałużę, razem ze sobą zabierając cały kolor. Mięśnie i kości pozostały, ale były ziemiste i blade jak larwy. Sierść wypadła i pływała po kałuży, nie licząc szerokiego pasa futra ciągnącego się od łopatek do zadu, spoczywającego na makabrycznym ochłapie niczym niedopasowana peleryna. Ten kawałek zachował swoje dziwne wybarwienie, lśniące czernią i szarością, czerwienią i złotem.

W końcu Hegel oderwał się od rozbryzgiwania mózgu, spojrział raz na szczątki leżące przed Manfredem i wypuścił miecz.

– Do czorta, coś ty zrobił?! – Hegel był pod wielkim wrażeniem.

– Siła modlitwy. – Manfred zadygotał.

– Ja żem, ehm, nie chciałem. Żem nie chciałem... – Hegel przełknął ślinę. – Żem nie chciał wzywać Jej, ehm, Piersi nadaremno.

Manfried zbył to machnięciem ręki, nie odrywając oczu od skóry. Coś go

w niej intrygowało, może sposób, w jaki różne odcienie kontrastowały ze sobą. Hegel patrzył na brata, zaniepokojony, że napomknięcie o piersiach Najświętszej Panienki nie zdołało wywołać żadnej reakcji, niezależnie od okoliczności łagodzących.

Zmrużył oczy, przygotowując się do następnego bluźnierstwa.

– Na Mokłą Piczkę Maryi.

– Uhm. – Manfred pochylił się, żeby dotknąć skóry i przekonać się, czy jest w dotyku ciepła i sucha, jak podejrzewał.

– Trzymaj się od tego z dala! – ryknął Hegel, łapiąc brata za nadgarstek.

Manfred go odepchnął. Nagle w głowie mu się zakręciło.

– O co ci chodzi?

– O co mi... Nie, o co tobie chodzi? Dlaczego chcesz dotknąć tego paskudztwa? – Hegel nie potrafił wytłumaczyć, czemu odrzucała go sama myśl o tym, ale tak właśnie było.

– Nie wiem – wymamrotał Manfred, prostując się powoli. – Ładnie wyglądało.

– Ładnie? Ładnie! To stara, przegniła skóra z jakiegoś demona, a ty myślisz, że jest ładna?!

– Przypuśćmy, że to jest rzeczywiście skóra demona – przyznał Manfred, nadal się na nią gapiąc. – To chyba nie powinienem jej dotykać.

– A już ci – naburmuszył się Hegel, ale w głębi ducha ulżyło mu, że brat nie uczeplił się tego, jak zelżył Najświętszą Panienkę.

– Nie możemy tego tak zostawić – powiedział Manfred. – Jakiś heretyk mógłby to znaleźć i użyć do złych celów.

– Niby w jaki sposób?

– Ja żem nie heretyk, to ci nie powiem. Ale na pewno znaleźliby sposób, możesz być pewien. I dlatego powinniśmy zabrać to ze sobą.

– Do kroćset diabłów, a to co znowu? Nigdzie nie zabierzemy tej parchatej skóry. Zostaje tu, gdzie leży.

Manfred zagryzł usta.

– Tak nie wolno. Może powinniśmy ją zakopać?

– Tak już lepiej, chociaż po mojemu ogień byłby lepszy.

– Ale wtedy trza by ją dotknąć, żeby zanieść z powrotem do obozu.

– Można by ją zanieść na patyku.



- Patyk może się złamać i skóra wylądować ci na rękę.
- Jeszcze minutę temu sam się paliłeś, żeby jej dotknąć.

Manfried burknął coś pod nosem; nadal go ciekawiło, czy skóra jest w dotyku miękka czy kłująca.

- Możemy rozpalić ogień tutaj i spalić ją na miejscu – zasugerował Hegel.
- Może nie spłonąć.
- Co?!
- Pomyśl tylko. Demony wpełzają z piekła, więc to logiczne, że ich skóry się nie palą. W przeciwnym razie nigdy nie wy dostałyby się z piekła.
- O ile to demon.
- A co innego twoim zdaniem?
- Wygląda jak to coś, o czym opowiadał Viktor z Östereich. *Lou Garou*, czy jakoś tak – rozmyślał na głos Hegel.
- Lou Garou?
- A pewnie, te ludziska co się zamieniają w wilki.
- Czy ten demon wygląda dla ciebie jak wilk?
- Nie traktuj mnie protekcyjnie – zachnął się Hegel. – Możliwe, że Kusy go oszukał i zamienił w co inszego. Poza tym popatrz na jego kości, bardziej ludzkie niż kota czy demona.
- Albo wilka.
- No i nigdy nie słyszał o demonie, co woli polować za dnia niż przy księżycu.
- Mantykora – wyszeptał Manfred i oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki.
- Jak to?
- Do kaduka, bracie, żeśmy zabili mantykorę! – Manfred poklepał Hegla po łopacie. – Słyszał żem o nich od Adriana.
- Którego Adriana? Dużego Adriana?
- Nie, Tęgiego Adriana. Tego chłopca, z którym żeśmy obozowali dwa lata temu. Tego, co to miał ciągoty do owiec.
- Duży Adrian też miał słabość do jatek, o ile sobie przypominam. Myślisz, że to krewniacy?
- Możliwe – przyznał Manfred. – W każdym razie Tęgi Adrian gadał, że kuzyn wuja ojca jego ojca albo ktoś taki wyjechał w młodości do Arabii i tam

było zatrząsienie mantykor.

Hegel się nachmurzył.

– Znaczy, tam gdzie idziemy, jest tego więcej?

– No tak, ale teraz już mamy wprawę.

– Czemu nie pamiętam, żeby o nich gadał?

– Pewnie żeś się spił. Chyba wspomniał też, że są jadowite.

Obaj odsunęli się o krok od trupa.

– Skóra mantykor się pali?

– Nie wiem. Lepiej ją zakopać niż ryzykować. Jak była jadowita, to może wypuścić wapory przy próbie spalenia i zabić nas na śmierć.

Wykopali płytką jamę i kijem ściągnęli skórę ze szczątków. Hegel wrzucił kijek razem z nią do dołka, który ponownie zasypali ziemią. Manfred ukradkiem podszedł do wielkiej sosny i wydrapał ich znak na pniu – niezdarne G, jedyną literę, jaką niepiśmienni bracia znali. Gdyby kiedykolwiek tędy wracali, chciał mieć możliwość wykopania skóry i sprawdzenia, czy zachowała połysk pod ziemią.

Uklepując kamienistą ziemię, Hegel posłał ostatnie gniewne spojrzenie pozbawionemu łąba szkieletowi i począpał w kierunku, w którym miał nadzieję znaleźć ich obozowisko. Manfred pośpieszył za nim, na wszelki wypadek dźgnąwszy drzewo po raz ostatni. Hegel zauważył jednak starania brata i parę razy udał, że się załatwia, żeby oddalić się chyłkiem i oznaczyć w podobny sposób kilka innych wielkich sosen. Nie zamierzał nigdy więcej tędy wędrować, ale ostrożność nigdy nie zawadzi, kiedy zagrożona jest dusza. Dawno temu spostrzegł, że brat od czasu do czasu fiksuje się na punkcie rzeczy, które nie powinny go interesować.

W końcu odnaleźli strumień. Biały puch odłożył się grubą warstwą na brzegach. Stamtąd ruszyli po porzuconą kuszę Manfrieda. Przez godzinę przeszukiwali poszycie, aż wymacali zgubioną siekierę, a stamtąd już szybko dotarli do obozu. Koń został wypatroszony; trup był jeszcze ciepły, a głowa zgruchotana. Ich rzeczy leżały porozrzucane, a poczwara zadała sobie trud, żeby obsikać wszystkie koce – smród amoniaku wstrząsnął ich wrażliwymi żołądkami.

Nadal solidnie roztrzęsieni rozdmuchali płomień z żarzących się węgielków i usiedli wśród prószącego śniegu, nie zważając na pomruki burzy i na to, jak

pochłodziło powietrze. Hegel nie tracił czasu, tylko odciął nogi Głupkowi i nabił na różny świeże mięso. Unikał miejsc, gdzie ślady pazurów znaczyły skórę, ogromnie niezadowolony z faktu, że bestia zaatakowała głowę. Z niecierpliwością wyglądał następnego salcesonu, ale niech go diabli, jeśli zaryzykowałby zatrucie.

Manfried pomógł bratu przy skórowaniu konia, rozpinając szerokie płaty przy ogniu do wysuszenia. Wcześniej spalili zanieczyszczone koce; tylko jeden się uchował. Mięso wchodziło im o wiele lepiej niż rzepa, więc wkrótce obaj poczuli się pokrzepieni.

Tumany śniegu i bezsilne gromy w górze przycichły, błyskawice przygasły, obóz stał się wilgotny i mroczny. Żaden z braci nie miał siły pilnować węgielków całą noc, nie mówiąc już o pełnieniu warty, ale przejmujące zimno sprawiło, że Hegel kilka razy obudził się, chociaż był zbyt zaspany, żeby rozpalić z powrotem ogień. Usiadł i zanim kur zapiał, zaczął zajadać, rozmyślając nad poprzednim dniem. Czy to był zmiennokształtny, demon czy mantykora, bez wątpienia odesłali to z powrotem w diabły. Kiedy śnieg znowu zaczął padać i zabłysła poświata poranka, podszedł obudzić brata, zamierzając zamienić z nim słówko na temat przyzwoitości, która każe zostawiać pewne rzeczy w spokoju. Manfried jednak nie drgnął, mimo coraz większych wysiłków Hegla. Nie obudził się, ponieważ rana w przebitym bełtem uchu znowu się otworzyła i zaogniła, wywołując śmiertelną gorączkę.

# V

## DRUGI POLICZEK



– Śmierć – powiedział ksiądz – to nie koniec, Heinrich. Wiesz o tym.  
– Wiem?

Heinrich rozprostował palce w za ciasnych ciźmach, które dał mu Egon. Oczywiście doceniał suche rzeczy po nocy spędzonej w mokrym błocie, kiedy dławił się rzepą, ale cieśla nie zdołał dostarczyć mu jedynych dwóch rzeczy, których Heinrich naprawdę pragnął. Fakt, że pozostali ławnicy nie wrócili, niespecjalnie zaskoczył gospodarza, ponieważ na własnej skórze przekonał się, do czego są zdolni Grossbartowie.

– Przeżyć własną rodzinę to największa próba wiary. Chociaż to najstraszniejsza strata, jak cię dotknęła, to w żadnym razie nie jest pierwsza – tłumaczył delikatnie ksiądz. – Martwy noworodek i drugie...

– Oba urodziły się martwe, proszę ojca. – Heinrich spojrział na księdza spode łba. – A co z Gertie, Brennenem i moimi trzema dziewczynkami? Za dużo czasu upłynęło, odkąd księdza widzieliśmy. A co jeśli... – Heinrich zadławił się słowami i pomyślał o potępieniu.

– Heinrich – powiedział ksiądz – już o tym rozmawialiśmy. Przecież ani twoja żona, ani dzieci nie popełnili grzechów, które wymagałyby mojego wstawiennictwa!

– Co ksiądz powiedział? – Heinrich poczuł dreszcze wspinające mu się po nogach do kiszek. – Grzechy wymagające wstawiennictwa?

– Powiedziałem, że nie popełnili żadnej nikczemności, która bez rozgrzeszenia mogłaby ściągnąć na ich dusze potępienie. Wszyscy mamy drobne ułomności, ale dobry Pan... Co ty wyprawiasz? – Ksiądz zdumiał się, patrząc na Heinricha, który zerwał się na równe nogi.

Pogrążony w żalobie hodowca rzepy podszedł prosto do stołu Egona i chwycił nóż. Ksiądz przywołałby cieślę i jego żonę do ich rudery, ale Heinrich

odwrócił się z powrotem.

– Rozgrzeszenie. Pokuta. Wybaczenie. – Heinrich wymachiwał nożem na księdza i mówił łamiącym się głosem. – Mówi ksiądz, że istnieje droga?

– Droga? Heinrich, ten nóż...

– Och. – Chłop przykucnął i przeciął swoje wybrudzone spodnie, które leżały porzucone obok drzwi. Zaciskał przy tym zęby z wysiłku, ale nie przestawał bacznie się przyglądać księdzu. – Jeśli dorwą jednego z twoich, księżo, wypowiadają się i odrobiją swoją robotę, to uzyskają wybaczenie. To właśnie mi ksiądz mówi?

– Ach – powiedział ksiądz. – Cóż...

– Więc to tak, prawda? – Heinrich wstał, owijając ostrze w kawałek odciętej skóry i wsuwając nóż do kieszeni w tunice. – W takim razie ruszam, ojczu.

– Co? – Ksiądz cofnął się nerwowo ku drzwiom, kiedy Heinrich zrobił krok naprzód. – Dokąd...

– Myśli ksiądz, że zapomnę? Że wybaczę? – Heinrich spiorunował wzrokiem księdza, który dotykał już plecami drewnianych drzwi. – Proszę mi wybaczyć, ale mam robotę do wykonania.

Schodząc mu z drogi, ksiądz odczekał jedno uderzenie serca, aż Heinrich otworzy z impetem drzwi i wyjdzie na światło dzienne, i dopiero wtedy za nim ruszył. Wiedział, że coś się zmieniło w duszy chłopca, i podejrzewał, że jeśli nie zacznie natychmiast działać, grzech może spłodzić grzech. Kiedy wychodził z domu, wpadł na niego najstarszy syn Egona. Ksiądz zobaczył, że Egon sprzecza się z Heinrichem na podwórzu, a kilku innych wieśniaków nadchodzi ze swoich domów w okolicy dworu.

– O co mu chodzi? – zapytał chłopak. – Wygląda gorzej niż dzień po tym, jak...

– Cicho, chłopcze – powiedział ksiądz, któremu słońce i świadek dodali odwagi. – Ejże, Heinrich, zaczekaj!

Heinrich i Egon odwrócili się od księdza, a wokół nich zebrał się mały tłum. Znaleźli się w nim krewni ławników, których Grossbartowie zamordowali na górskim zboczu. Ksiądz i chłop stali naprzeciwko siebie jakby szykowali się do pojedynku, na dwóch krańcach zgromadzenia, a duchowny wyczuł swoją szansę, żeby zawstydić Heinricha i zmusić go do posłuszeństwa.

– Wiem, co knujesz. – Ksiądz zwracał się w równym stopniu do wieśniaków,

co do Heinricha. – Pragniesz sprawiedliwości! Czyż nie jak my wszyscy? Ryzykujesz jednak własną duszą, próbując wyręczyć Pana w Jego dziele!

– A czy ty nie próbujesz i nie wykonujesz codziennie pracy Pana? – zapytał Heinrich i kilku sąsiadów gwałtownie złapało powietrze. – Mnie chodzi tylko o jedno, a jest to schwytywanie Grossbartów, zanim znajdą księdza i zmyją z siebie grzech. Nie ma miejsca w niebie dla takich jak oni, a ja jestem tylko narzędziem Boga.

– Ty?! Heinrichu, oszalałeś z rozpaczy, gniewu i dumy. To straszny grzech, uważać siebie za narzędzie Boga! Pozwól Panu samemu wymierzać sprawiedliwość i nie narażaj własnej duszy!

– Potrzebuję waszej pomocy. – Heinrich odwrócił się od księdza do pobladyłych twarzy wokół nich. – Nie mam konia, koców, jedzenia ani broni. Oni wszystko zabrali. Ale przysięgam, że nie spocznę, dopóki nie odeślę ich do ich pana. Hannah, twój Gunter...

– Mój Gunter – splunęła zasmarkana wdowa – zginął przez ciebie!

– Przeze mnie? – Heinrich poczuł się, jakby kobieta zdzieliła go w brzuch. – Nie, ja...

– Płakałeś, błagałeś i lamentowałeś, żeby pomszczono twoje krzywdy! Gdybyś zaufał Panu, Gunter nie pojechałby z pozostałymi i nie zginął zamordowany przez te diabły!

– Hannah – prosił Heinrich – przecież chciałem z nimi jechać! Znam sposoby tamtych dwóch lepiej niż ktokolwiek inny tutaj i mogłem...

Urwał, widząc łód w oczach sąsiadów, zacięte twarze, wydęte policzki. Spuszczając jeszcze niżej głowę, niemalże zadławił się przy słowie „proszę”.

Nikt się nie odezwał, kilka osób zawróciło do swoich domów.

– Lepiej odejść – syknął Egon, a Heinrich zamrugał, powstrzymując łzy i próbując zrozumieć, jak mogli obwiniać jego, a nie nikczemnych Grossbartów. – Rozumiem cię, nawet jeśli oni nie. Odwiozę cię tak daleko, jak zdołam, dobrze?

– Odkupię ją – powiedział Heinrich, kiedy odwracali się tyłem do milczącego potępienia miasteczka. – Całe moje pole należy do ciebie. Wiesz, że to wystarczy aż nadto.

– Przykro mi, Heinrich. – Egon przystanął i wbił wzrok w ziemię, kiedy obeszli jego chatę i doszli do miejsca, gdzie stała jego szkapa. – Wiesz równie

dobrze jak inni, że mamy dużo mniej koni niż jeszcze kilka dni temu, więc nie ja jeden będę potrzebował tej staruszki. Ale kiedy tamci... – Egon urwał, odchrząknął i otarł oczy z powodu strasznego wspomnienia, zanim zdołał skończyć myśl. – Kiedy bracia robili swoje, odciąłem postronki koni Hansa i Helmuta, więc możemy natknąć się na nie po drodze.

Heinrich skinął głową, aż za dobrze rozumiejąc niechęć przyjaciela do sprzedania konia, kiedy tylko zima dzieliła go od następnej pory siewu.

– A jeżeli nie natkniemy się na ich konie – kontynuował Egon – to zawiozę cię prosto do traktu, do którego pewnie kierują się Grossbartowie. Zyskasz trochę przewagi, kiedy oni będą się przedzierali przez góry starym szlakiem myśliwskim, próbując znaleźć skrót. Dobrze wiem, że ta ścieżka do nikąd nie prowadzi, więc miną dni, jeśli nie tygodnie, zanim dotrą do prawdziwej drogi. Zakładając, że kierują się na południe, rzecz jasna.

Żaden z nich nie miał nic więcej do dodania, a Heinrich nadal próbował zrozumieć, jak ktokolwiek mógł winić go za wszystko, co wydarzyło się w ciągu minionych dni. Wsiadł na konia razem ze swoim ostatnim przyjacielem i razem objechali dom, kierując się ku południowej drodze. Syn Egona dogonił ich jeszcze z workiem rzepy, i odjechali. Heinrich jednak nie zdołał należycie podziękować chłopcu. Myślał tylko o tym, że to niemożliwe, by złapał przeklętych braci bez własnego konia.

## VI

# ZĘBY DAROWANEGO KONIA



**M**anfried pocił się i dygotał dręczony koszmarami. Jego umysł wyczuwał zbliżającą się nieuchronnie śmierć i podsuwał mu stosowne wizje. Mantykora tropiła go w labiryncie zwięzających się pieczar, a brat, wiara i broń zniknęli bez śladu. Skarby pustyni pozostaną zagrzebane i tylko jego broda będzie rosła w grobie.

Hegel tuzin razy tego dnia omal nie upuścił chorego brata, ślizgając się na mchu i próchnie, kiedy słaniając się brnął przez ciemny las. Zakładał, że to miazmaty z niżej położonych terenów dopadły Manfreda, nie przyjmował bowiem do wiadomości możliwości, że to działanie jadu mantykory. Jedynym rozwiązaniem było dotarcie na wyżej położone obszary, gdzie wiatr przeciwdziała zbieraniu się morowego powietrza.

Niewiele brakowało, a obaj wyzionęliby ducha z powodu zarazy, kiedy mieli dziesięć lat, i Hegel znał zarówno lek, jak i objawy – a ponieważ u Manfreda nie pojawiły się jeszcze dymienice, czyste powietrze i modlitwa nadal mogły go ocalić. Ich matka wiedziała o tym i z pewnością z tego właśnie powodu zaprowadziła ich do zbutwiełej szopy wysoko na wzgórzach i porzuciła, dawno temu, kiedy zaczęły im się burzyć humory cielesne.

Hegel ciągnął za sobą stwardniałą skórę Głupka przywiązaną do postronka jego byłego właściciela, ale z powodu ciężaru brata na ramionach musiał porzucić większość końskiego mięsa. Dysząc, wlekł się w górę potoku, uznawszy, że to najpewniejsza ścieżka na wyższe tereny. Zatrzymując się tylko wtedy, kiedy zmuszało go do tego wyczerpanie, brnął przed siebie, a ze zranionej prawej ręki lało mu się więcej krwi niż potu z czoła. Południe nigdy nie nadchodziło w tym ponurym lesie, wieczór zapadał bezpośrednio po poranku. Śnieg padał gęściej niż wcześniej, a mokre ciało brata przyciskające się do jego pleców wywoływało u Hegla uporczywy kaszel.



Kiedy światło prawie zgasło, a las zgęstniał, Hegel położył umierającego brata na ziemi i padł obok niego, kaszląc flegmą. Zatkał Manfredowi nos, wlał mu do gardła wodę i bez powodzenia próbował go zmusić, by przełknął trochę końskiego mięsa, które sam zmiękczył, uprzednio przeżuając. Zebrał drewno, ale odrętwiałe palce utrudniały mu wykrzesanie ognia. Ponuro pomyślał, że dym wydobywający się z jego ust z każdym oddechem zapewne przerasta to, co zdoła wydobyć z mokrych gałęzi. Wrócił do równie jak one przyprószonego śniegiem brata i zaczął się modlić.

Żałosny ogieniek, który zdołał rozpalić, syczał i trzaskał. Niezależnie od tego, jak bardzo Hegel się starał, grubsze kawałki drewna nie chciały się zająć, a coraz gęściej sypiący śnieg zaczynał dławić płomyki. Kiedy podniósł twarz, żeby przekląć niebiosa, jego bystre oczy dostrzegły czerwony błysk w lesie. Wstrzymał oddech, przerażony, że to tylko jego marny płomyk odbija się w jakimś mokrym liściu. Wstał i spojrzał. Zrobił kilka kroków naprzód z kolanami jak z waty, mrużąc oczy. Szeroki uśmiech sprawił, że rana na rozciętym policzku znowu się otworzyła i krew kapnęła mu na brodę.

Pośpiesznie zebrał skromne zapasy, podniósł brata i zaczął się przedzierać przez zarośla, nie widząc niczego poza białą chmurą śniegu wokół siebie i odległym światłem. Wyszedł na polanę i zatoczył się nagle do przodu, kiedy gałęzie i korzenie przestały mu utrudniać marsz. Teraz już dostrzegał dach i ściany, pojedyncze okno błyszczące pośród bieli i czerni nocy. Bał się, że ujrzał błędny ogień albo coś gorszego, ale Maryi niech będzie chwała, z ciemności i śniegu wyłoniła się chatka.

Nie odkładając na ziemię brata, uderzył zdrową ręką w cieniutkie drzwi i ryknął:

– Otwierać! Mam tu chorego, otwierać! Otwórzcie w imię Maryi i wszystkich świętych!

Nic. Nie rozległ się żaden dźwięk prócz ciężkiego dyszenia braci. Manfred jęknął przez sen, a Hegel znowu zaczął się dobijać.

– Otwórz albo wyważę drzwi! – ryknął Hegel. – Daj nam schronienie albo z woli Maryi sam je sobie wezmę!

Szuranie zbliżyło się do drzwi. Głos, tak słaby, że jęki Manfrieda niemal go zagłuszyły, odezwał się z chaty. Hegel nie potrafił powiedzieć, czy należy do mężczyzny czy kobiety, dziecka czy rodzica.

– Najpierw daj słowo – padło zza drzwi. – Nie uczynisz niczego złego, bo w przeciwnym razie twoja dusza będzie potępiona na wieki.

Zniecierpliwiony tak, że to przechodziło ludzkie pojęcie, Hegel wrzasnął jeszcze głośniej:

– A pewnie, że nie jestem zły! Otwórz!

– I nie będziesz próbował żadnych szachrajstw ani nie zrobisz mi żadnej krzywdy?

– O, już ja ci pokażę szachrajstwa, jak nas nie wpuścisz!

– Daj słowo.

– Daję słowo, tak, i mój brat daje, i Maryja, i jej pomyłony synalek, tylko otwórzże!

– Coś ty powiedział o Chrystusie?

– Co? Nic!

– Uspokój się i pamiętaj, żeś dał słowo.

Drewno przesunęło się po drewnie i drzwi otworzyły się na zewnątrz. Oślepiiony blaskiem Hegel zatoczył się do środka, przewracając mały stolik. Przytupując, położył Manfrieda na podłodze. Zapach zepsutego mleka i kwaśnego potu wypełniał gęste, tłuste powietrze w chacie. Drzwi zamknęły się za nimi i sztaba wślizgnęła się na swoje miejsce. Hegel obrócił się gwałtownie, żeby spojrzeć na osobę, która najpewniej zamordowała jego brata, każąc mu czekać na śniegu, kiedy był bliski skonania.

Na jego spojrzenie odpowiedziała najstarsza osoba, jaką ujrzał w życiu – kobieta mająca co najmniej sześćdziesiąt lat. Miał pewność co do jej płci tylko z racji braku brody, bo napięta, a jednak popękana twarz nie podsuwała mu żadnych innych wskazówek. Starucha była łysa, nie licząc paru widmowych kosmyków siwych włosów, i chodziła owinięta w szmaty. Jej szerokie ciało kontrastowało z wychudzoną twarzą. Hegel, pogromca mantykory i poskramiacz psów, cofnął się o krok na widok przerażającej staruchy.

Uśmiechnęła się szeroko, pokazując poczerńiałe zęby i gnijące dziąsła.

– Witam, witam.

– Ehm, dziękuję – odpowiedział Hegel.

– Ciężka noc na wędrowkę? – Oczy jej zabłyśły w świetle ognia.

– Bywało gorzej. Ale z moim bratem jest źle.

– Widzę właśnie – powiedziała, a jednak nie oderwała wzroku od Hegla.

– Złapał coś w lesie. – Cały dygotał, albo z powodu zmiany klimatu, albo obecności staruchy, sam do końca nie wiedział.

– Złapał coś, powiadasz... W lesie? – zapytała. – Ale co, zająca?

– No... nie. Zarazę. No wiesz, dymienice?

– Aha, więc ma czarne purchle, tak?

– Jeszcze nie, on...

Hegel zamarł, kiedy kobieta wysunęła nagle rękę i szturchnęła go w zranioną twarz. Sięgnął po miecz, ale wyraz jej oczu sprawił, że zostawił ostrze w pochwie. Patrzył przerażony, jak starucha oblizuje krew z palca, oceniając ją.

– Nie w tym lesie – mruknęła. – Nie, nie, złapał tu inny rodzaj śmierci, idę o zakład.

– Jeszcze nie umarł – powiedział Hegel, odwracając się do Manfreda.

Ściany ciasnego pomieszczenia wyginały się pod zagraconymi półkami pełnymi butelek, słoików, stosów kości i piór, zaś z sufitu zwieszały się setki wiązek różnych suszonych roślin i kawałków materiału. Palenisko w głębi wypełniało pomieszczenie gryzącymi sosnowymi oparami, które maskowały mdlący smród staruchy. Mała dziura w dachu, przez którą kapał topiący się śnieg, nie radziła sobie z odprowadzaniem całego dymu. Obok paleniska stało puste krzesło, w jednym kącie leżał stos szmat, a w drugim mała sterta drewna.

Hegel zaciągnął brata do kamiennego obramowania paleniska. Manfred pobladł, ale skóra mu płonęła, a ciałem wstrząsały spazmy. Starucha pochyliła się nad nimi dwoma, chichocząc cicho.

– Złapał coś, złapał. To, na co sobie zasłużył.

Hegel znowu sięgnął po miecz, ale uprzedził go język staruchy:

– Spokojnie, spokojnie, Grossbart, pamiętaj o obietnicy.

– Uważaj sobie – syknął Hegel – zdziro!

Zarechotała tak, jak to tylko starzy potrafią.

– Czekał no. – Hegel przełknął ślinę, a włosy na karku wyciągnęły mu się w stronę dachu. – Skąd znasz nasze nazwisko?

– „Wyglądacie mi na brodaczy”<sup>[2]</sup> – odpowiedziała. – Nie nazywasz rzeczy od tego, co najbardziej przypomina? Psa psem, a zwierzęcia zwierzęciem?

– Bodajże tak – przytaknął Hegel bez przekonania.

– Twój brat umiera – oznajmiła głosem pozbawionym powagi, której zdaniem Hegla wymagała sytuacja.

– Może tak, a może nie. Nie wyglądasz mi na cyrulika, więc może powinnaś trzymać ozór za zębami.

– Cóż, Grossbart – powiedziała – racja, nie jestem cyrulikiem. Jestem lepsza od niego. Cyrulik nie zdołałby niczego zrobić dla tego człowieka, wyrzuciłby go na wóz, wronom na pożarcie. Ja zaś mogę mu pomóc, jeżeli będę skłonna.

Hegel poszedł do niej, a suszona wilcza jagoda musnęła mu włosy.

– Na twoim miejscu skłoniłbym się, i to szybko.

– Groźne słowa, groźne spojrzenie.

– Ty...

– Uważaj. Pomogę twojemu bratu, tobie zresztą też, jeśli zrobisz, co ci powiem.

– Co mamy, czego ty byś chciała?

– Och, nic specjalnego, nic nadzwyczajnego. Tylko to, co mają wszyscy mężczyźni, ogon, którego nam, słabym kobietom, brakuje.

Hegel potrzebował chwili, żeby dotarło do niego znaczenie jej słów, ale wtedy aż się wzdrygnął.

– Nie mógłbym, nawet gdybym zamierzał.

– Nie? Nawet dla brata?

Hegel przygryzł wargę, zastanawiając się, czy nie zabić kobiety, ale poszedł po rozum do głowy, splunął dwa razy i powiedział:

– Widzisz, jestem cnotliwy...

– To jeszcze lepiej!

– Nie wiedziałbym jak...

– Nauczę cię, to proste.

– Ja...

– Ty?

– Jak go wyleczysz.

Znowu ryknęła śmiechem.

– Myślisz, że ci ufam, Grossbart? Myślisz, że nie wiem, co sobie myślisz? Nie martw się, niedługo będzie po wszystkim i może nie będzie tak źle, jak myślisz.

– Wątpię. A jaką mam gwarancję, że go wyleczysz?

– Gwarancją jest moje przyrzeczenie, tak jak dla mnie jest twoje.

Lubieżnie podciągnęła szmaty na udach, odsłaniając skomplikowaną

siateczkę nabrzmiałych żył pod pomarszczoną skórą. Hegel wyczuł ostrzejszy, kwaśny zapach przebijający się ponad dymem palonego drewna, i końskie mięso podeszło mu do gardła, ale zdołał zapanować nad mdłościami.

– Jak rzekłem – wykrztusił mimo obrzydzenia – zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie mogę i nie ma o czym gadać.

Starucha odwróciła się i zaczęła grzebać między słoikami na półce, wypinając tyłek na Hegla. Odwróciła się triumfalnie z zakurzonym naczyniem, którego szmaciana zatyczka na wpół zgniła. Odkorkowała je i podsunęła Heglowi.

– Wlej to do tego swojego bebecha. – Oczy jej zabłyśły.

– Daj mi słowo, że to nie trucizna.

– Daję, daję – odparła lekceważąco.

– Co to?

– Coś dobrego. Coś, dzięki czemu będziesz mógł. Do diabła, aż się będziesz rwał.

Spojrzał ostro na naczynie. Intuicja judziła, żeby wrzucił je do ognia i uciekał niezależnie od stanu brata. Nie wątpił, że dusza Manfreda pójdzie prosto do nieba, więc martwił się o własne ciało. Ostatecznie duma nie pozwoliła mu wybrać ścieżki tchórza, więc modląc się do Maryi, wypił jednym haustem zawartość, która napełniła mu usta smakiem gnijących grzybów.

Pokój zawirował, butelka rozbiła się o kamienie, żółta mgła przesłoniła Heglowi oczy. Grossbart odwrócił się do gospodyni, żeby poinformować ją, że nic z tego, że za żadne skarby nie zachęci go ta odrobina wody z grzybów, kiedy zaparło mu dech w piersi i przeszły go ciarki, poczynając od krocza. Starucha usadowiła się na krześle, ale oparła jedną nogę na odwróconym do góry dnem wiadrze, a ogień oświetlał jej udo w kolorze koziej śmietanki. Nadąsane wygięcie jej wąskich warg, bezbronne pożądanie w mętnych ślepiach, sękaty palce poruszające się teraz między nogami, piskliwe westchnienie, kiedy siedząc na krześle wypchnęła biodra do przodu na spotkanie palcom... Hegel poczuł bez mała ból w spodniach i ręka mu opadła do pasa, żeby wypuścić źródło dyskomfortu.

Starucha nie zmieniła się, odkąd wypił duszką miksturę, ale zapomniał już o tak prostych rzeczach jak wiara zakazująca mu cielesnych przyjemności, czy społeczna pogarda i odraza dla kobiet, które ponad dekadę temu weszły w wiek dojrzewania. Widział w niej po prostu piękność, którą była, aczkolwiek

piękność niezwykle posuniętą w latach. Padając na kolana w akcie skruchy, podpełzł ku gospodyni, która rozsunęła nogi szerzej dla swojego gościa. Przyjemny zapach koziego sera unoszący się spomiędzy jej gruzłowatych w dotyku i pożyłkowanych niebiesko niczym marmur ud połaskotał go w kartoflowaty nos, który już wkrótce szturchał jej wzgórek. Lewa ręka Hegla podciągnęła szmaty gospodyni, a prawa grzebała przy jego pasie.

Kobieta była tam równie zimna jak reszta jej skóry, i język Hegla prawie się przykleił do lodowatych fałdek. Białe smużki buchające z jego pełnych ust mieszały się z bladą chmurką drapiącą go w nozdrza. Kobieta cierpliwie go pouczała, aż uwolnił drżący strumień, odświeżającą, energiczną wilgoć, chłodzącą mu gorące gardło, a wtedy zesza z krzesła i pchnęła go na plecy. Czując własny smak w jego pocałunkach, ulokowała się na jego rydłu i pracowała nad swoją bruzdą. Chropowate ręce Hegla były zaskakująco delikatne, kiedy kierowała jego palcami od piersi do ust, na tyły i z powrotem.

– Jak masz na imię? – wydyszał Hegel, desperacko pragnąc się dowiedzieć, zanim się zatraci. Wiedział, że szykuje się coś ważnego i musiał się dowiedzieć, zanim to się skończy. – Powiedz, proszę?

– Mów mi Maryja. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i włożyła sobie do ust jego palec wskazujący, uderzając biodrami o jego lędźwie.

Hegel szybko się zmęczył, ale ona nadal się poruszała, nawet kiedy on już przestał i zanim zdążył zaprotestować albo stracić swoją twardość, jego zasuszona kochanka wykorzystała taktyki, na widok których nawet najbardziej doświadczona kurwa w świętym cesarstwie rzymskim podrapałaby się po głowie w zadziwieniu. Dzięki temu wkrótce zyskała drugą okazję. Ożywiony Hegel nie dał jej chwili odpoczynku i chciwie zabrał się do roboty. Nie odrywał oczu od uroczej plamki wątrobianej tuż poniżej fałd na obwisłej szyi, nie mając najmniejszego pojęcia, kiedy mikstura przestanie działać i jak szybko powrócą jego dawne przekonania.

Przyciągnął staruchę bliżej, ich języki splatały się aż do chwili najwyższego uniesienia. Wtedy przerwała ich pocałunek i strużka śliny połączyła ich dyszące usta, a wizerunek niebiańskiej Maryi zniknął zastąpiony przez ohydą czarownicę.

Zwiędłe piersi kołysały się jak wahadła, a język przesunął się po nielicznych zębach, przerywając most ze śliny. Hegel zadygotał, chociaż właśnie dochodził

w jej zimnej oślizgłości. Krzyknął z przerażenia, gdy zdał sobie sprawę, że dał rzucić na siebie urok, i rzucił się do ucieczki, uderzając głową w przewrócony stolik. Stracił przytomność i jednocześnie zwymiotował, a śmiech staruchy podążył za nim do koszmarów, które nie miały szansy przewyższyć grozy jego pierwszego zbliżenia seksualnego.

Starał się ze wszystkich sił odepchnąć świadomość od siebie, ale w końcu znowu ujrzał przed oczami wnętrze chaty. Usiadł i zobaczył, że czarownica przykucnęła nad jego bratem. Wstał i cichutko wyciągnął miecz. Czarownica, myślał, czarownica, czarownica, czarownica.

Nie odwracając się, powiedziała:

– On umrze okropnie szybko, jeśli nie skończę swojej roboty.

Zgrzytając zębami, Hegel zamknął oczy i nie ruszał się przez dłuższy czas.

W końcu odburknął:

– Jeśli nie wyzdrowieje okropnie szybko, to cię rozetnę.

– Uczciwy układ.

– Jesteś czarownicą.

– Co za przenikliwość.

– Czcicielką diabła.

Odwróciła się z igłą w kolorze rdzy w ręku.

– Nie tak mnie wcześniej nazywałeś.

– Oszukała żeś mnie.

– Zgodziłeś się zapłacić cenę, Grossbart. Z dobroci serca osłodziłam ci to, żebyś bawił się równie dobrze jak ja, a teraz zachowujesz się jak skrzywdzone dziecko. – Zatrzepotała do niego rzesami.

– Czarownica.

– Jeszcze soki z piczki nie wyschły ci na tej szczotce do łona. – Wskazała na jego brodę.

– Czarownica.

– Ach, końskie pierdy, sam nie jesteś mnichem, kochasiu.

– Nazwij mnie tak raz jeszcze, a przed zachodem słońca wszyscy wylądujemy w piekle.

– Kuszące, kuszące. A teraz schowaj to, ty nienasycony zbereźniku.

Wróciła do zszywania Manfrieda.

Hegel poczuł przeciąg w dolnych rejonach i, czerwieniąc się, schował oba

ostrza. Padł na krzesło. Brzuch zaciskał mu się boleśnie z powodu jej słów i własnych wspomnień. Zamrugał zdumiony na widok okna, zdając sobie sprawę, że zaczął się dzień i śnieg zniknął. Wstał i wyszedł na dwór, żeby opróżnić żołądek.

Gdy już załatwił swoje, wrócił do chaty i dołączył do czarownicy siedzącej koło jego brata. Manfred lżej oddychał, a jego czoło nie było ani rozpalone, ani lodowate w dotyku. Czarownica odcięła mu większość prawego ucha, a oberżnięte, pociemniałe kawałki schły na palenisku. Na nodze i uchu miał okłady, jego pierś wznosiła się i opadała rytmicznie.

– Tylko tyle było do zrobienia? – zapytał Hegel.

– Zająłeś mi więcej czasu niż on, ale broda powinna zakryć wszelkie blizny.

– Hę?

Hegel dotknął twarzy i zdumiony poczuł skorupę jakiejś maści rozsmarowanej na zranionym policzku, a pod nią wybrzuszenia szwów. Cały bok twarzy miał odrętwiały. A kiedy kontynuował badania, wyczuł maść na pogryzionym przez psa uchu i czaszce, jeszcze więcej szwów na zranionej przez pazury mantykory ręce i przeżutej przez ogara nodze.

– Kiedy żeś to wszystko zrobiła?

– W nocy. Musiałam otworzyć to stare ugryzienie na twojej kostce i wyczyścić w środku, bo w ciągu tygodnia noga by ci zgniła i odpadła.

– Och – powiedział Hegel zamiast podziękowania. Nie zamierzał za nic dziękować czarownicy. – Znaczy się, to takie proste? Starczy pozszywać nas jak podarte tuniki? Co to za czary?

– Hegel – jęknął przez sen Manfred, uderzając ręką w podłogę.

– Tu jestem, bracie – powiedział Hegel, zapominając o swoich pytaniach.

Manfred otworzył przekrwione oko i złapał brata za rękę.

– Mantykora – syknął i znowu zemdłał.

– Co on powiedział? – zapytała zza pleców Hegla czarownica.

– Nie twój interes.

– Uczciwy układ. Zjedz trochę tego.

Postawiła obok niego miskę potrawki.

– Nie zjem niczego, czego tknęłaś, czarownico. To ani chybi trucizna.

– Sza! I tak już jadłeś najohydniejszą rzecz w tym domu. – Zachichotała i usiadła w krześle.



Hegel z oporami pożał potrawkę. Między kolejnymi łykami zerkał to na czarownicę, to na Manfreda. W końcu zapytał:

– Ile czasu minie, nim będzie mógł wstać?

– Moje sposoby są lepsze niż metody cyrulika, już ci mówiłam. Do jutra powinien dojść do siebie, a jeśli nie, to do następnego dnia.

– Ech.

Hegel nie miał ochoty spędzić w jej towarzystwie jeszcze choćby chwili, nie mówiąc o kolejnej nocy. Dzień dłużył mu się niemiłosiernie, a wraz z ciemnością powrócił śnieg. Wyszedł z chaty po drewno, żeby uzupełnić stos w kącie. W pewnym momencie Manfred usiadł prosto, połknął cztery łyżki potrawki i szybko zasnął bez jednego słowa.

– Masz ochotę na coś słodkiego na rozgrzewkę? – zapytała wstydliwie czarownica, kiedy noc zapadła nad górami.

– Zamknij jadaczkę, zanim ci ją rozwalę – odparł Hegel, próbując nastraszyć ją tak, żeby się uciszyła.

– Och, już rozumiem, jak działa twój zbereźny umysł. Nie, nie, przykro mi mój drogi, więcej nie dostaniesz. Całkiem mnie wypompałaś.

– Jużem powiedział...

Wtedy jednak zobaczył butelkę, którą proponowała starucha i na najkrótszą chwilę powstrzymał się od osądów. Podejrzliwie powąchał zawartość. Zalały go ulga i radość, kiedy znajomy zapach miodu wypłynął z butelki.

– Lepiej, żebyś tu niczego nie domieszała, bo inaczej obetnę ci łeb i spalę, czarownico.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Pij.

Przeżegnał się i wypił mały łyżeczek, a potem większy. Miód był nieco mocniejszy od innych, których próbował, więc chciwie wypił więcej. Poczucie sprawiedliwości kazało mu zatkać Manfredowi nos i wlać mu trochę do gardła. Fakt, że chory Grossbart nie zadławił się wlaną brutalnie ciecżą, najlepiej świadczył o jego harcie. Hegel udawał, że nie zauważa, jak czarownica się na niego gapi, ale ze zdenerwowania nie potrafił się odprężyć.

– No co? – warknął w końcu, starając się ze wszystkich sił, żeby zabrzmieć przerażająco.

- Jeśli coś ci powiem, dasz mi słowo, że nie ruszysz miecza?
- Niczego ci nie obiecuję.
- Dobrze.

Czas się wlekleł, i im więcej Hegel pił, tym bardziej ciekawość gryzła go jak szczur podgryzający worek z ziarnem. Wiercił się i drapał. Sprawdzał, co z bratem, tyle razy, że w końcu Manfred zdołał wykrztusić kilka sprośności i niezręcznie go uderzył. Hegel wyszedł i wysikał się, zagapił się na śnieg i wrócił do środka, żeby znowu się wiercić. Aż wreszcie nie wytrzymał:

- No to cożeś chciała powiedzieć?
- Będziesz trzymał ręce przy sobie?
- Jeżeli ty też tak zrobisz – prychnął Hegel.
- Uczciwy układ. Mam więc twoje słowo?

Po chwili ciszy powiedział:

- Masz moje słowo.

Czarownica zaczęła mówić i zdawało się, że trwa to całe wieki. Hegel usadowił się przy ogniu, zadowolony, że czarownica porzuciła na jakiś czas swoje plugawe insynuacje. Rozgrzana, nakarmiona i pijana hiena cmentarna słuchała opowieści czarownicy, ożywiając się czasem, a czasem przysypiając. Manfred poruszał się niekiedy niespokojnie, wychwytyjąc zdrowym uchem wystarczająco dużo fragmentów z opowieści, żeby zabarwiły mu sny.

## VII

# OPOWIEŚĆ KU PRZESTRODZE SNUTA TAK DLA OJCÓW, JAK I DLA CÓREK



Cień starej kobiety wydał się Nicolette rozdęty i upiorny, ale i sama starucha miała w sobie trochę tych cech. Jak rzepy, pomyślała dziewczyna, patrząc na sękaty palce starej splecione na podolku. Jednakże ogień był ciepły, a Nicolette wręcz przeciwnie, więc przysunęła się do paleniska i jego właścicielki. Wiatr wpadał do rudery przez okno, w którym nie było nawet kawałka gazy, który powstrzymałby podmuchy. Nicolette zadrżała, ale stara kobieta rozparła się w krześle, rozkoszując się przeciągiem.

Chatka była mała, ale drzwi zamknięto na skobelek, a okno znajdowało się tuż pod sufitem, dzięki czemu Nicolette poczuła się o niebo bezpieczniej niż jeszcze kilka minut temu. Niewielu ludzi lubiło się gubić w lesie nocą, a tych nielicznych lepiej było unikać. Kiedy znalazła się poza ciemnym lasem, jej serce uspokoiło się, chociaż gospodyni też ją niepokoiła.

Kto by chciał spędzać dni i noce tak boleśnie daleko od innych ludzi? Owładnięta radością na widok bladego światełka między drzewami, rozważyła to pytanie tylko przelotnie. Przez chwilę pozwoliła sobie nawet uwierzyć, że to jej własny dom mimo starszych i większych drzew wokół i innych różnic w nocnym krajobrazie.

Słońce zaszło dokładnie nad chatą ojca, kiedy ich jedyna świnia szarpnęła się do przodu, wyrwała postronek z rąk Nicolette i popędziła do lasu. Przez pierwszą godzinę dziewczyna besztła się za to, że nie uważała bardziej, pilnując świni, przez drugą – kiedy próbowała znaleźć znajome miejsce – że nie uważała bardziej, którądy biegnie. Znalazła chwilowe wytchnienie od narastającego niepokoju, kiedy dostrzegła zabłąkaną świnie po drugiej stronie skrawka zamarznętego mokradła, ale gdy zwierzę znowu uciekło w zarośla,

Nicolette ogarnęła rozpacz. Kiedy zmierzch zaczął chyłkiem zapadać wśród konarów, strach przewyciężył zakłopotanie i dziewczyna zaczęła nawoływać.

Gdy słońce całkiem zniknęło i las ożył hałasami, dzielnie powstrzymała łzy. Ojciec powiedział jej, że jeśli jest wystarczająco dorosła, żeby wyjść za mąż, to jest za duża, żeby płakać, i chociaż konkurenci nie ciągnęli tłumnie błotnistą ścieżką do ich chaty, by zabiegać o jej rękę, uważała, że dbanie o męża nie może być trudniejsze ani bardziej pociągające od opieki nad świnią albo ojcem. Mimo to pociągała nosem, szukając po omacku drogi między zimnymi, pokrytymi korą kolumnami wznoszącymi się wokół niej.

Potem pojawił się blask w oddali i Nicolette popędziła najszybciej jak mogła, biorąc pod uwagę obfitość korzeni i pni stojących w ciemności na drodze jej zgrubiałym stopom. Zbliżając się do pochyłej chatki, zwolniła, a jej ulga zabarwiła się wcześniejszym strachem przed ciemnym lasem. Ojciec przestrzegał ją przed węglarzami – ich wstrętnym sposobem życia, zwodniczymi czarami i pazernym pożądaniem ładnych, młodych dziewcząt. Przystanęła przy drzwiach, a niepewność pochwyciła ją za ręce i nogi, gdy ogarnęło ją nagłe i przemożne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się powoli, ale niczego nie zobaczyła, tylko noc w nieznanym części rozległego lasu.

Gałazka trzasnęła w ciemności i Nicolette zaczęła krzyczeć i walić obiema rękami w drzwi. Stara kobieta wpuściła ją, wsunęła sztabę na miejsce i zaprowadziła dziewczynę do mizernego ognia. Kilka minut później Nicolette uspokoiła się, pozbyła odrętwienia w stopach i przyjrzała otoczeniu oraz swojej wybawczym.

Czuła, że powinna wyjaśnić, jak znalazła się w tym kłopotliwym położeniu, ale gospodyni nie robiła wrażenia zainteresowanej. Rozglądając się po ciasnym pomieszczeniu, dziewczyna zobaczyła mały stolik i kilka półek obładowanych ususzonymi roślinami i glinianymi naczyniami. Spory stos drewna na opał wypełniał jeden kąt obok paleniska, drugi zajmowała sarta gorzko śmierdzących szmat. Poza tym, jedynymi sprzętami była mata z igliwia sosnowego i krzesło. Obejmując nogi, Nicolette westchnęła, próbując w ten sposób oderwać uwagę staruchy od tłących się polan.

W odpowiedzi kobieta zaczęła cicho śpiewać, pocierając podbródek sękatymi palcami. Nicolette zerknęła na nią, zagryzając usta. Biorąc pod uwagę cienie

ożywione przez ogień, zapuszczenie chaty i jej właścicielki, a teraz jej zachryple, nieznanome słowa i dziwną melodię, kobieta naprawdę robiła wrażenie czarownicy.

Coś wylądowało na dachu i kurz posypał się na nie obie. Nicolette krzyknęła, patrząc, jak gałęzie tworzące sufit uginają się złowieszczo nad drzwiami i podskakują do góry, kiedy inne zapadają się bliżej małego otworu, którym uciekał dym. Drewno zaskrzypiało, a obniżenie przesunęło się nad ich głowami. Nicolette pamiętała, żeby oddychać, ale nie była w stanie się poruszyć, zaczarowana poruszającym się sufitem. Trzęsła się tak bardzo, że wzrok jej się zamglił, ale raptownie odzyskała ostrość widzenia, kiedy stara kobieta ku niej skoczyła. Z zaskakującą skwapliwością starucha złapała pukiel włosów dziewczyny i wyrwała kilka cynamonowych kosmyków.

Uśmiechnęła się szeroko do skrzywionej dziewczyny, pokazując jej poczerńiałe resztki zębów. Wstała i poczłapała do okna, trzymając włosy Nicolette przed sobą niczym amulet. Unosząc rękę do dziury wychodzącej na dwór, ofiarowała włosy. Z powolnością świtu nadchodzącego w zimowy poranek coś między dłonią a łapą sięgnęło w dół z mroku, ostrożnie zabrało długie kosmyki, a potem znowu zniknęło zza okna.

Piosenka urwała się, a starucha z trudem wróciła do ognia. Siadając, po raz pierwszy spojrzała wprost na Nicolette. Dziewczyna wyglądała teraz o wiele młodziej, twarz miała mlecznożółtą jak świeża śmietana. Mała kałuża rozlewała się wokół niej, przesączając się między płaskimi kamieniami paleniska. Otworzyła i zamknęła usta trzy razy, a jej łzy mieszały się z innymi płynami na podłodze, zanim w końcu zacisnęła powieki i wykrztusiła piskliwie:

– Co to jest?

Gdyby otworzyła oczy, nie spodobałby się jej ani trochę grymas na zwiędłej twarzy staruchy.

– Czym się stało, wiedzą tylko wilki i nocne ptaki – wychrypiała stara kobieta, przysuwając się bliżej na siedzisku do skamieniałej ze strachu dziewczyny – ale kiedyś było moim mężem.

Nicolette skinęła głową, jakby uprzejmie przyjmowała kawałek nieświeżego sera, którego tak naprawdę nie chciała, a potem zwymiotowała na siebie. W następnej chwili zdała sobie sprawę, że beczy, a starucha próbuje ją ukoić; krótkie palce dotykały jej policzków i włosów. Szarpnęła się gwałtownie, nagle

zdając sobie sprawę z własnej nagości. Stara kobieta wstała i odwróciła się, biorąc ze stołu miskę i nóż. Podniosła uwalaną wełnianą sukienkę Nicolette z podłogi obok krzesła i z niepokojącym zapamiętaniem wbiła w nią nóż. Dziewczyna odpełzła od niej głębiej w kąt, ale jęk stropu ją powstrzymał.

– No już, już – gruchała starucha, garbiąc się nad nią z ociekającym kawałkiem sukienki.

Nicolette gapiała się w górę, podczas gdy starucha obmywała ją do czysta. Serce łomotało dziewczynie tak mocno, że aż bolało. Uspokoila się na tyle, by zdać sobie sprawę, że stara kobieta zatrzymała się dłużej w jej delikatnych okolicach. Pozornie niedołączna gospodyni oblizwała usta, zanurzając szmatę w misie. Ścisnęła pączkującą pierś Nicolette, zmywając kawałki grzyba, którego dziewczyna znalazła w lesie.

Nicolette chciała splunąć, ale nie śmiała się ruszyć i tylko drżała biernie pod dotykiem starej kobiety. Kiedy już jej górna połowa była czysta, szmata zsunęła się poniżej pępka, a w starych oczach odbiły się płomienie. Chociaż noc okazała się dziwna i straszna, Nicolette nie zgadzała się na to, by się stała jeszcze gorsza. Osiągnąwszy kres wytrzymałości, skrzyżowała nogi i się cofnęła.

Żółtawe oczy starej kobiety zamigotały i z tą samą rozbijającą szybkością obróciła misę, oblewając łono dziewczyny. Woda zaskwierczała na kamieniach. Obie kobiety spojrzały po sobie, starsza była zdezorientowana, a młodsza patrzyła zaczepnie. Krańcowa dziwaczność dnia i nocy podkopywała zwykłą odporność i siłę Nicolette, ale tylko do tej chwili. Potem stara kobieta pochyliła się, znowu śpiewając obcą piosenkę, a z góry dobiegło przytłumione drapanie. Dziewczyna zgarbiła się, przyciągając kolana do piersi; starucha ponownie chwyciła pukiel włosów Nicolette i obcięła go za pomocą noża.

Znowu podeszła do okna i podniosła do góry daninę. Znowu Nicolette patrzyła niczym zaczarowana na kończyne poczwary i znowu poczuła, że żołądek jej się zaciska i łyzy napływają do oczu. Starucha znowu usiadła, milknąc, podczas gdy stwór kręcił się na dachu.

W uśmiechu wyszczerzyła resztki zębów do Nicolette, przywołując ją gestem. Dziewczyna przesunęła się, bardziej zbliżając się do ognia niż do staruchy. Nienawidziła tej starej kobiety, nienawidziła nędznej, zimnej chałupy, nienawidziła bezksiężycowego lasu na zewnątrz, nienawidziła swojej nagości i strachu, a w szczególności nienawidziła tego czegoś, co wypełzło z jej

koszmarów wprost na dach. Nienawidziła swojej inteligencji, która zabraniała jej udawać, że to wszystko jest okropnym snem, z którego niedługo się obudzi, kładąc kres bólowi w brzuchu i piersi. I nienawidziła tej sakramenckiej świni.

– On zjada dzieci – syknęła starucha, natychmiast przyciągając uwagę Nicolette. – Każdy najmniejszy strzępek. Paznokcie u nóg i zęby, kości i tłuszcz, usta i tyłki. Pożera je calutki. Robi to powoli, więc krzyczą, kiedy je zjada, i może robi im też inne rzeczy. Można tutaj czasem usłyszeć, jak zawodzą nocami, gdzieś w ciemnościach.

Chłonąc widok wytrzeszczonych oczu dziewczyny i jej płytkich oddechów, przemówiła matczynym tonem:

– Nie martw się, dziecko, dobrze znam jego zdeprawowane metody. Włosy to jego najulubieńsza część, zjada je na końcu, często zostawiając sobie tylko skórę głowy na śniadanie następnej nocy. Trzyma je na drzewach, ale widzę, jak się zwieszają, a kiedy księżyc jasno świeci, patrzę z okna, o tak, patrzę i widzę, jak je ssie i przeżuwa, jakby były unurzane w miodzie.

Mimo łagodniejszego tonu głosu, Nicolette żołądek się zacisnął i zadławiła się słowami staruchy, natychmiast pojmując, że to prawda.

– Ale – pośpieszyła dodać szeptem stara kobieta – istnieje sposób, żeby zatrzymać go tam na górze, by nie wszedł do chaty aż do rana. Zawsze ucieka, gdy kur zapieje, kryjąc się w swoim legowisku aż do zmierzchu. Jeśli zajmiemy go do świtu, będziesz mogła przemknąć się do domu przed następnym wieczorem.

Nicolette zapomniała o wstydzie i rzuciła się ku pulchnym nogom starej kobiety. Jej piersią szarpał suchy, bezgłośny szloch. Stara kobieta uśmiechnęła się i zaczęła swoją piosenkę, delikatnie ujmując nóż, żeby odciąć kolejny cienki kosmyk włosów. Oto historia, którą zna każde dziecko: stara kobieta powoli obcina dziewczynie włosy i podsuwa je potworowi, zadowolając go aż do świtu. Wtedy dziewczyna rusza przez las do domu, łysa jak niemowlak, ale poza tym cała i zdrowa. Ucieszony ojciec szykuje jej ciepłą kąpiel i nie każe jej już tak ciężko pracować. Możliwe nawet, że dziewczyna znajduje po drodze do domu zabłąkanego prosiaka. Następnego popołudnia zjawia się przystojny myśliwy, który właśnie zabił straszliwego potwora w lesie i zanim dziewczynie włosy odrosną tak, by sięgały ramion, jest już szczęśliwą mężatką i przyszłą matką.

Tylko najgłupsze i najbardziej optymistycznie nastawione dziecko

uwierzyłoby, że tak właśnie kończy się ta opowieść. By dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy tak przejmująco daleko od domu, należy powtórnie przeanalizować historię. Gdyby Nicolette miała powrócić nietknięta do domu, stara kobieta musiałaby być uczciwa w swoich słowach i czynach, i nawet wyżej wspomniane naiwne dziecię mogłoby się zastanowić, dlaczego osoba o dobrym sercu mieszka w czarnym sercu zaludnionego przez potwory lasu, słuchając nocą, jak dzieci są zabijane i zjadane. O ile bardziej tępi młodzi słuchacze mogliby zadowolić się wyjaśnieniem, że starucha za bardzo posunęła się w latach, by wyruszyć do cywilizacji, o tyle ci przenikliwi pośpieszyliby z ripostą, wskazując na przykłady nienaturalnej żywotności starej kobiety. Prawda, która powinna być boleśnie oczywista od samego początku, była taka, że starucha to wstrętna czarownica, lubująca się w mięsie dzieci i zjadająca je przy każdej okazji.

Ach, powiedzą bystrzy słuchacze, wobec tego może potwór jest tak naprawdę dobry i niewinny, ale zostaje na dachu, bo lęka się czarownicy. Zakochał się w Nicolette i tęsknie wacha jej włosy, powoli zbierając się na odwagę, by stawić czoło starusze i uratować dziewczę. Kiedy pokona złą czarownicę, Nicolette pokocha go mimo parszywej powierzchowności, dzięki czemu potwór odzyska ludzkie kształty i będą żyli długo i szczęśliwie w krainie mlekiem i miodem płynącej.

Takie nedorzeczne brednie ukazują, że głupsze od zbyt głupiego dziecka jest tylko dziecko za mądre. Bystry dzieciak może wymyślić taką błędną fantazję, kwestionując motywy śmiertelności poczwary, podczas gdy cymbał widzi potwora o rozdziawionej paszczy z zębiskami i nie podważa ewidentnego zagrożenia, jakie ów potwór sobą przedstawia. Czart na dachu przewyższał nawet czarownicę w swoim złowrogim głodzie ludzkiego mięsa, co z miejsca pojmyj wolniej myślące dzieci.

Razem tych dwoje pożarło wiele dzieci, ale częściej żerowali na myśliwych, węglarzach i wszystkich tych nieszczęśnikach, którzy zabłądzili do tej przeklętej części lasu. Oboje lubili świeże mięso, chociaż żona wolała kolację nieco bardziej podgotowaną niż kapiące ochłapy, których łaknął jej mąż. Nicolette znalazła się w o wiele straszliwszym położeniu, niż wyobraziłaby sobie w najbardziej obmierzłym, chorobliwym koszmarze, a co gorsza, nawet o tym nie wiedziała.



Rozpacz często odrzuca wnioski intelektu i dlatego Nicolette uwierzyła czarownicy. Stara kobieta śpiewała od czasu do czasu, oddając coraz więcej i więcej kobieco–dziecięcych loków, aż w misce został tylko mały stosik zgolonych przez nią włosów. Całkiem łysa Nicolette dygotała jeszcze mocniej, kilka strużek krwi spływało jej za uszami, gdzie zbyt mocno przyciśnięto ostrze. Inaczej niż w bajce, nadal brakowało wielu godzin do świtu, bo stara kobieta podawała włosy za okno zdecydowanie zbyt szybko.

– A teraz – powiedziała czarownica – zajmijmy się resztą.

Potulna młoda kobieta pozwoliła starusze zgolić nieliczne włoski, które porastały jej ręce i pachy, a potem zarumieniła się, kiedy ostrze powędrowało w górę po jej nogach. Zadraśnięcia krwawiły na kamienie, a Nicolette płakała bezgłośnie, aż została tylko mała kępka między jej biodrami. Piosenkę odśpiewano i daninę oddano.

Nicolette patrzyła, jak włochate pazury unoszą miskę, a potem oddają ją czekającej czarownicy. Niepokój dziewczyny zamienił się w podejrzliwość w czasie poprzedniej godziny; uważny namysł nad tym, jak szybko zniknęły jej włosy, zaprzeczał propozycji starej kobiety. Starucha coraz bardziej weselała, w miarę jak coraz mniej włosów zostawało – niezbyt pocieszający znak. Ojciec dziewczyny często beształ ją za to, że jest zbyt bystra i chociaż miał rację, ów nadmierny spryt ostrzegł ją teraz przed rosnącym niebezpieczeństwem. Co więcej, zapamiętała sobie, że za każdym razem, gdy czarownica śpiewała, potwór podchodził do okna i chociaż słowa nadal nie miały dla dziewczyny żadnego sensu, powtarzała je raz za razem w myślach, aż nauczyła się ich na pamięć.

Stara kobieta wróciła, zakończywszy piosenkę i przykucnęła przed zamyśloną dziewczyną.

– Rozłóż śliczne nóżki – powiedziała łypiąc pożądliwie – i zgólmy ten ostatni kawałeczek.

Chytra Nicolette wiedziała, że kiedy straci wszystkie włosy, nie będzie już miała czym powstrzymywać męża staruchy, więc zadygotała i przesunęła się bliżej ognia.

– Tak mi zimno – powiedziała, dzwoniąc zębami. – Mogę najpierw dołożyć do ognia?

– Dobrze – zgodziła się czarownica, oblizując bladym językiem zwiędłe usta.

Potwornie zgłodniała w czasie golenia dziewczyny, jak gruby chłop skubiący kurczaka.

Biorąc polano ze stosu, Nicolette zauważyła opartą o drewno starą siekiere. Kiedy wrzucała kłodę do paleniska, zobaczyła coś, co sprawiło, że serce gwałtownie spadło jej do żołądka. Nie mogła mieć pewności, więc złapała drugie polano i sprytnie trącała płomienie, zanim drewno wyslizgnęło jej się z palców.

Nigdy dotąd nie widziała ludzkiej czaszki, ale rozpoznała ją natychmiast, chociaż była poczerniała, popękana i pokryta popiołem. Zauważyła też, jaka malutka się wydaje i w jednej chwili zrozumiała, że stara kobieta ją oszukała i najpewniej jest czarownicą, tak samo jak krwiożerczą kanibalką. Dziewczyna krzyknęła, czując szturchnięcie w bok i spróbowała ukryć na nowo rozpalone przerażenie.

– No już, chodź tu – zagruchała czarownica – ta mała kępka powinna go zatrzymać do świtu.

– Ale – zaczęła Nicolette, a strach wyostrzył jej inteligencję jak zęby pułapek, których ojciec używał na króliki – mój ojciec powiedział, że nikt nie może mnie tam dotknąć z wyjątkiem męża, kiedy już go dostanę.

Czarownica zarechotała i już miała skoczyć na ofiarę, kiedy Nicolette szybko dodała:

– Mogę sama to zrobić, jeśli zechce mi pani dać nóż i miskę.

Stara kobieta nachmurzyła się, ale w oczach dziecka odbijał się ogień, więc nie mogła wyczytać z nich prawdy. Jej mąż najbardziej uwielbiał właśnie te włosy, a czarownica była przekonana, że dziecko jest głupie, a nie przebiegłe. Nicolette zmusiła się do uśmiechu, a jej policzki zarumieniły się ze wstydu, gdy rozłożyła nogi i sięgnęła po nóż.

Biorąc go w drżące palce, zerknęła na ostrze.

– Co to? – zapytała, łamiącym się głosem.

Wskazała na czubek noża, a kiedy czarownica się pochyliła, żeby spojrzeć, dziewczyna przycisnęła jej nóż do gardła.

– Nie ruszaj się – syknęła Nicolette. – Nie odzywaj się i nie śpiewaj, bo cię zarżnę.

Czarownica spiorunowała ją nienawistnym wzrokiem, ale nie drgnęła, nie odezwała się ani nie zaśpiewała.

– Powiedz mi, co mam robić – szepnęła Nicolette, ściskając uchwyt noża w obu rękach. – Powiedz mi, jak mam uciec, albo cię zabiję.

Czarownica wyszczerzyła zęby, ale nic nie powiedziała. Luźne belki nad głową Nicolette zaskrzypiały i dziewczyna podskoczyła, a naostrzony nóż nadciął obwisłą jak u indora szyję czarownicy. Trysnęła odrobina krwi i czarownica spojrzała zaniepokojona na dziewczynę. Nicolette wyczuła jej strach i uśmiechnęła się triumfalnie.

– Jeśli umrę, to najpierw spuszczę z ciebie krew jak z koguta. – Splunęła na czarownicę. – A teraz mów mi szybko, zanim pozbędę się ciebie, paskudo, i sama zajmę się sprawą.

– On już się niecierpliwi – odgryzła się czarownica, podnosząc głos. – Zjadł wszystkie twoje włosy, więc wywęszy cię z odległości mili. Biega między drzewami szybciej niż rączy jeleni po ziemi i zanim słońce znowu dotknie tej chaty, pożre cię żywcem. Twoja jedyna nadzieja, to oddać mi nóż, żebym mogła cię chronić.

– Nie wierzę ci – odpowiedziała szeptem młoda kobieta, a do oczu znowu jej napłynęły łzy.

– No to załatwię to dla ciebie szybko. – Smród zepsutego mleka uderzył Nicolette w twarz. – Z pewnością lepsze to, niż to, co on zrobi z tobą.

Nicolette zeszywniała, odetchnęła głęboko i bez skutku spróbowała zapanować nad drżeniem.

– Co mam zrobić? – wychrypięła z mokrymi policzkami. – Dlaczego? Dlaczego ty...

– Dla przyjemności – warknęła czarownica. – Dla własnej przyjemności i, oczywiście, dla smaku. Jemu także chodzi o to, ale też o ulgę. Wszystkie te śliczne włosy, które zjadł, zwiną się w jego brzuchu i wyrosną z niego, dzięki czemu będzie miał ciepłe i gęste futro. Teraz, kiedy już jesteś gotowa, żeby cię umyć i podzielić, wpadnie przez te drzwi i tak się będzie rozkoszował twoim cierpieniem, jak tylko zechce.

Nicolette zadrżała na chwilę przed tym, jak przycisnęła ostrze do gardła starej kobiety. Czarownica zamachnęła się ręką, żeby uderzyć ją w głowę, ale dziewczyna rzuciła się do przodu, popychając staruchę na podłogę. Krew trysnęła jej na twarz, oślepiając ją, paląc w oczy i nos, wpływając do ust i spływając gardłem. Zadławiła się, ale przyciskała ostrze mocniej, a starucha

wierzała i drapała, świst i charczenie wyrwały się jej ze zwiędłych ust.

Z zaciśniętymi powiekami Nicolette opierała się na rączce noża, aż ostrze przeszło przez szyję na wylot. Miotanie się ustąpiło, przechodząc w dygot. Nogi staruchy uderzały w podłogę. Młoda kobieta nadal garbiła się nad czarownicą, a gorący płyn rozgrzewał jej ręce i twarz mocniej niż jakikolwiek płomień. Dach zaskrzypiał i dziewczyna w okamgnieniu zerwała się na równe nogi, próbując otrzeć krew z twarzy.

Belki znowu jęknęły, a Nicolette macała szaleńczo, aż znalazła małe wiaderko. Zanurzyła twarz w lodowatej wodzie, łapiąc gwałtownie powietrze – pierwszy wdech odkąd zaatakowała czarownicę. Zmusiła się, żeby spojrzeć na obalonego wroga. Tylko wyobrażała sobie, że czarownica podnosi się z podłogi za jej plecami. Skoczyła z powrotem bliżej ognia i spojrzała na swoje dzieło.

Krew staruchy zalała podłogę od jednej ściany do drugiej, a głowa była niemal odcięta. Nicolette tak straszliwie się trzęsła, że nóż wypadł jej z ręki. Nagle trzasnął płomień, sprawiając, że serce jej zamarło, a ona sama aż podskoczyła, podrywając wzrok ku sufitowi. Dotarła do niej cisza panująca wśród nocy i po raz pierwszy zauważyła, że żadne ptaki ani owady nie zakłócają absolutnej martwoty w tej części lasu. Przełknęła ślinę, czując w ustach gorzki smak starej czarownicy, i splunęła na trupa.

Serce biło jej tak szybko, że tylko jej umysł był w stanie szybciej pracować. Zbrodnia, która nie była zbrodnią, pobudziła jej myślenie. Dziewczyna rzuciła się do realizacji planu. Wstrzymała oddech, złapała czarownicę za uszy, opierając stopę na zakrwawionym ramieniu i pociągnęła. Głowa ani drgnęła, ale jedno ucho prawie się oderwało. Dziewczyna krzyknęła, wypuszczając ucho i zakrywając usta w spóźnionej próbie uciszenia samej siebie.

Dach zadygotał złowieszczo, a dziewczyna przeskoczyła nad szeroką kałużą połyskującą w świetle ognia złowieszczą czernią. Porwała zardzewiałą siekiere, wróciła do czarownicy i udając, że jatka pod jej nogami to tylko wyjątkowo uparte polano, uniosła siekiere nad głowę niczym doświadczony drwal. Fakt, że krew obryzgała jej nogi, martwił ją mniej niż skrzypiący dach. Porwała głowę i cisnęła ją w ogień. Głowa zaczęła skwierczeć i syczeć, a płomienie przygasty.

W półmroku odłożyła siekiere i podniosła nóż. Przyklęła i zaczęła gorączkowo rozcinać zakrwawione ubrania na ciele czarownicy. Czarownica cuchnęła, jej skórę pokrywały łaty pleśni, a z oleistych fałd ciała wystawało nie

co innego, jak dodatkowe sutki. Dziewczyna zadławiła się, ale nie przerwała pracy, odkładając ubrania na stos obok trzaskającego ognia.

Mąż musiał krążyć w tę i z powrotem po dachu, bo kurz opadał ciężkimi chmurami, kiedy dziewczyna poprawiła krzesło przed ogniem. Pozbawiony głowy trup leżał między nią a paleniskiem. Pod wpływem natchnienia wysmarowała sobie stygnącą krwią ręce, nogi i twarz, ale nie była w stanie pomalować nią brzucha i piersi. Zakładając brudne, śmierdzące ubrania, zmusiła się, żeby podejść do drzwi. Zaciskając zęby przesunęła sztabę zasuw i drzwi otworzyły się do środka.

Liście zawirowały przy progu, po czym zapadła całkowita cisza na dachu i w lesie. Nicolette cofnęła się, walcząc z nagłym zawrotem głowy, wbijając nóż w staruchę i siadając na krześle. Ponownie chwyciła w lepkie dłonie siekiere. Nabrała w płuca chłodnego powietrza, owiewającego jej plecy, i krzyknęła, ale urwała przy najwyższej nucie. Zagryzając usta, odczekała jedną, dwie, trzy sekundy, zanim zaczęła chrapliwym głosem odśpiewywać piosenkę staruchy. Zżerały ją wątpliwości, ale wiedziała, że wszelkie wahanie zniszczy precyzyjnie obmyślony podstęp, śpiewała więc dalej, a dziwne sylaby zalegały jej w żołądku.

A potem usłyszała zgrzyt zwierzęcych pazurów na kamiennej podłodze za sobą. Zamiast wpaść i minąć ją w pędzie, żeby rzucić się na trupa (o co się modliła), jej niewidzialny zabójca podkradał się chyłkiem i nieśpiesznie w stronę paleniska. Nicolette zaśpiewała głośniejsze, żałując, że nie może zamiast tego pomodlić się do Najświętszej Pani. Potwór zaczął węszyć w powietrzu, a cuchnący oddech poruszył szmaty na ramionach dziewczyny. Wydał z siebie gardłowy pomruk i całe szczęście, że dziewczynie nie została nawet kropla wody, którą mogłaby z siebie wydalić, chociaż pupa drgnęła jej na krześle i piosenka urwała się, gdy Nicolette gwałtownie zaczerpnęła tchu.

Stwór otarł się o jej bok, a ona zdała sobie sprawę, że mruczy jak koty, których ojciec nie pozwalał jej zatrzymać, ale topił w stawie na złość Szatanowi. Bezgłośnie błagała oczy, by nie odrywały się od ognia, ale jej spojrzenie powędrowało do zwierza, kiedy przysuwał się do trupa. Przypominał wielkiego kota, większego od wygłodniałych psów, które wypuszczano na ulice w miasteczku po zmierzchu. Cętkowana skóra połyskiwała słabo czerwienią, czernią, odcieniem płowym i brązowym obok plam różowej, pokrytej

brodawkami skóry, na której nie rosło futro. Chudy ogon poruszał się leniwie w powietrzu i od opuchniętej łapy po zadarty tyłek stwór był wychudły i wyglądał na chorego. Nicolette udało się nie spojrzeć na łeb, dzięki czemu nie krzyknęła.

Tuż nad nieszczęsnym trupem stwór znowu powęszył; całym jego ciałem wstrząsały drobne spazmy. Nicolette wstała z siekierą, a krzesło zaskrzypiało głośno. Potwór odwrócił się, kiedy wzięła zamach. Trafiła ostrzem dokładnie między łopatki. Potwór rozorał jej pazurami udo i dziewczyna wyciągnęła się jak długa na podłodze.

Zacisnęła mocno powieki i pomodliła się do ojca i Matki Boskiej, a potwór wydał z siebie ogłuszający skowyt. Musiał oderwać jej nogę, tak straszliwie ją bolało. Dziewczyna zatkała uszy rękami, żeby odciąć się od straszliwego hałasu. I nagle wrzask się urwał. Nicolette leżała nieruchomo przez bardzo długi czas, a potem otworzyła oko. Zacieniona ściana przed nią nic nie mówiła na temat stanu poczwary. Z bolesną powolnością dziewczyna obróciła głowę, a wysięk sprawił, że ból promieniujący z nogi przeszył jej ciało.

Opuchniętymi, przekrwionymi oczami spojrzała na wyciągniętą na czarownicy potworność z trzonkiem siekiery wystającym z pleców. Potwór uniósł łopatki, ale zad nie drgnął, a spod ogona popłynął straszliwy odór. Nicolette wstała i natychmiast się przewróciła, kiedy noga ugięła się pod nią. Potwór znowu spróbował wstać i tym razem udało mu się poruszyć tylnymi łapami. Nicolette zdjęła cuchnące ubrania, które przylepiły się do jej zakrwawionej skóry i podniosła się ostrożniej, uważając, żeby nie spojrzeć na powalonego demona.

Nie śmiała odetchnąć, kiedy stanęła za potworem, by nie mógł spojrzeć na nią złowrogo. Wybrała największe polano ze stosu, podeszła na palcach do bestii i cisnęła jej drewnem w łeb. Cios sprawił, że stwór znowu się osunął, ale mimo maligny dziewczyna zauważyła, że świeża rana na czaszce zamyka się równie szybko, jak się otworzyła, a krew zlepiająca sierść zbiera się znowu wokół ostrza siekiery. Trzonek siekiery zakołysał się, kiedy ciało zaczęło się zamykać i ogłuszony potwór się poruszył.

W skroniach Nicolette huczało, a kolana się pod nią uginały. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść. To było potwornie niesprawiedliwe, że mimo wszystkich jej sztuczek potwór nadal żył i zdrowiał tak nienaturalnie szybko, że

wkrótce znowu się na nią rzuci. Ogarnięta nagłą furią wyrwała siekierę i znowu uderzyła nią w miejsce, gdzie futro ustępowało bladej skórze za uszami. Ciało drgało w spazmach tylko chwilę, a dziewczyna z zachwytem zauważyła, że ziejąca rana zamyka się znacznie wolniej niż cięcie na plecach, po którym została już tylko wypukła szrama.

Uderzała raz za razem, aż ścięgnięta trzymające głowę na karku puściły w masie czerwonych, czarnych i żółtych płynów oraz kości wystających z miazgi. Głowa potoczyła się do kąta i zatrzymała twarzą do Nicolette. Krew wyciekała ustami, uszami i nosem. Potwór zamrugał, patrząc bladymi oczami. Nicolette zaczęła krzyczeć i nie przestała, dopóki nie zemdląca.

Odzyskała przytomność gwałtownie. Płomienie zgasły, a światło poranka sączyło się do chaty. Dwa potwory leżały na stosie jak wiązka chrustu i ku zachwytni Nicolette oba były okaleczone i pozostały w bezruchu. Siekierę nadal przyciskała do piersi, a chłodne, wilgotne ostrze przykleiło jej się do policzka. Odrzuciła ją i z trudem wstała. Pojękując wyszła z chaty. Szła powoli, uważając na krwawiącą nogę, aż w końcu dotarła do strumienia.

Mimo chłodu poranka odepchnęła się od omszałych gładów i rzuciła się twarzą naprzód w płytką wodę. Parskając i dygocąc usiadła i zaczęła zmywać zaskorupiałą krew, nie zauważając, jak potwornie woda pali jej skórę i rany. Wytarzała się w liściach na brzegu. Para z niej buchała, kiedy się śmiała, a potem płakała i znowu się śmiała. W końcu uspokoiła się na tyle, by zdać sobie sprawę, jak martwa i twarda stała się w dotyku jej skóra. Obejrzała wtedy nogę.

Kiedy delikatnie szturchała napuchnięte, różowe ciało okalające cztery rozcięcia, trzasnęła za nią złamana gałązka. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że to było stworzenie, które uznała za martwe – zwierzę z twarzą starego mężczyzny. Kiedy zobaczyła niekształtną, ale zdecydowanie ludzką głowę gapiącą się na nią z kąta, po tym jak ją odrąbała od ciała potwora, tylko omdlenie uratowało ją przed utratą zdrowych zmysłów. Wiedziała, że jeśli ujrzy ją raz jeszcze, strach ją zabije. Zrozumiała też, że bestii nie da się zabić.

Próbowała się modlić, ale z jej ust dobył się tylko cichy jęk. Zamiast tego więc zaczęła krzyczeć bezgłośnie do ojca, Najświętszej Panienki, czarownicy, drzew i strumienia. Za słaba, żeby uciekać albo choćby się ruszyć, straciwszy całkiem odwagę i ducha, lamentowała, aż z wysiłku zasnęła, a jej umysł się

wyłączył.

Przeturlała się przez sen bliżej do ognia, owijając się ciasno kocem. Powoli pełzła w stronę przytomności, walcząc mężnie, by pozostać we śnie. Trzaskające polana wywołały uśmiech na jej zaspanej twarzy. Unosząc ciężkie powieki, postanowiła, że wstanie i opowie ojcu o mękach, które jej się przyśniły. Z pewnością w ciągu następnych tygodni powędrują do miasta, żeby się pomodlić w kościele.

Zanim jeszcze do końca się obudziła, pieczenie w nodze ostrzegło ją, że wszystkie rojenia na nic. Łzy jej popłynęły po policzkach, kiedy otworzyła oczy i ujrzła ciemne drzewa wznoszące się na obrzeżach blasku bijącego od ognia. Węglarz, który natknął się na nią nad strumieniem, siedział i przyglądał się jej z rosnącą ciekawością. Oczywiście słyszał opowieści o dzikich leśnych ludziach, którzy biegali na czworakach i zachowywali się jak zwierzęta, ale człowiek lasu słyszy niezliczone historie – historie, które na szczęście nigdy nie okazywały się prawdziwe.

Niewątpliwie najdziwniejszą cechą nieznanego był brak włosów, nie licząc małej kępki, która wywołała u niego rumieniec, kiedy dojrzał ją między nogami panny. Chociaż nie była już dziewczyną, ale też jeszcze nie stała się kobietą, węglarz uznał ją za piękną, pomimo braku włosów. Obawiał się jednak, że może być opętana albo, co gorsza, może być czarownicą lub duchem. Obserwował ją śpiącą, z mieszaniną podziwu i lęku, zastanawiając się, czy nie powinien był zostawić jej tam, gdzie ją znalazł.

Magnus, tak bowiem nazywał się węglarz, rzadko widywał w lesie innych ludzi, a już nigdy nie spotykał kobiet. Te oglądał tylko wtedy, kiedy ciągnął swój ładunek do miasteczka raz na kilka tygodni, a jeszcze nie spotkał dziewczyny, która obdarzyłaby węglarza choćby dobrym słowem. Odziedziczył fach po ojcu mając zaledwie dwadzieścia lat, ale już miał równie poczerniałe nozdrza i palce jak ci, którzy zajmowali się węglarstwem całe życie.

Widząc, że dziewczyna płacze, zanim jeszcze dobrze się obudziła, poczuł, jak żołądek mu się skręca. Żeby dobrze przygotować węgiel, musiał nieustannie pilnować ognia przez dwa dni i dwie noce, więc kilka godzin przespanych poprzedniej nocy niewiele znaczyło. Miał węglową mgiełkę na oczach i członkach, i nawet kiedy przyszło mu ogrzać tę dziwną, nagą znajkę, nie miał ochoty rozpalać kolejnego ognia. Dziewczyna przespała cały dzień i większość



nocy, i dopiero teraz z płaczem otworzyła oczy.

Zakryła się, kiedy podszedł, ale gdy zaproponował jej kawałek twardego chleba, rzuciła się ku niemu z jękiem. Niezręcznie położył się obok ognia, a jej rozgrzane już ciało wibrowało wtulone w niego. Głaskał ją po łysej głowie i modlił się za nią, zauważając świeże strupy szpecące bladą skórę. Przynął, mocno ją obejmując uwalanymi węglem rękami.

Nikt we wsi jej nie znał i chociaż wielu ludzi okazało jej dobroć i uprzejmość, Nicolette nadal nie mówiła. Za każdym razem, gdy pytano, skąd się wzięła, oczy napełniały jej się łzami i wskazywała z grubsza w stronę lasu. Chociaż za dnia milczała, a nocami pełnymi koszmarów budziła węglarza pojękując, kapiąc i pocąc się przez sen, wydawało się, że go polubiła i rozpaczała, kiedy zostawiał ją choćby na chwilę. Nikt nie zaprotestował, kiedy po tygodniu wrócił do pracy w lesie w towarzystwie niemowy.

Dziewczyna nienawidziła lasu, ale pozostała z Magnusem i pomagała mu zbierać, wypalać, nosić, gotować i tak dalej. Po pewnym czasie włosy jej odrosły, a noga zagoiła się i ledwie można było zauważyć, że Nicolette trochę utyka. Nikt już nie wziąłby jej za dziewczynę, ale za ładną, młodą kobietę. Mimo to głos nadal nie chciał jej słuchać. Magnus żartobliwie przezwał ją Cisem<sup>[3]</sup>, a miejscowy ksiądz z radością udzielił im ślubu, ponieważ Nicolette skłaniała głowę we właściwych chwilach w czasie mszy. Chociaż, ogólnie rzecz biorąc, była melancholijna, Magnusowi często udawało się skłonić ją do uśmiechu, a nawet cichego śmiechu. Całowała go słodko, ale jeśli dotknął jej nagiego ciała gorętszą niż ojcowska ręką, wzdrygała się i wybuchała płaczem.

Magnus jednak kochał ją żarliwie, kiedy więc wyszedł z szopy kowala, uiściwszy ostatnie opłaty za ich konia i zobaczył starego mężczyznę, który potrząsał jego żonę, natychmiast ruszył jej na pomoc. Ojciec Nicolette na widok córki, którą dawno temu uznał za martwą, obejmował ją zapamiętale, zaskoczony, że odnajduje ją w mieście tak daleko od domu. Udał się w mozolną podróż po tańsze wieprze, które podobno tu sprzedawano i na widok córki zapłakał i krzyknął z radości.

Żałoba sprawiła, że zestarzał się zdecydowanie zbyt szybko i w pierwszej chwili Nicolette go nie poznała i próbowała się wyrwać. Potem ojciec wypowiedział jej imię i dziewczyna skuliła się w jego ramionach. Błagał, żeby wytłumaczyła mu, dokąd odeszła i dlaczego, ale słowa nadal nie chciały opuścić

jej ust. Nicolette kręciła głową i wskazywała na usta. Nagle chwycił ją Magnus, upuszczając siekiere i gromiąc biednego, starego wdowca. Ojciec Nicolette patrzył oniemiały na węglarza, na brudną twarz i ręce – ręce, które trzymały jego dziecko i zdał sobie sprawę, że spełniły się jego najgorsze obawy. Ten uwalany sadzą zbójca uprowadził jego córeczkę, obciął jej język i zabrał tak daleko, żeby nie mogła znaleźć drogi do domu.

Cud sprawił, że dawno nieużywany język Nicolette wreszcie znowu jej posłuchał i ze łzami w oczach wyjaśniła Magnusowi, że stary mężczyzna to jej ojciec. Mąż zrozumiał natychmiast i uszczęśliwiony zarówno faktem, że słyszy jej cudny głos, jak i tym, że odnalazła rodzinę, odwrócił się, by objąć starca. Ojciec zaś podniósł z drogi siekiere Magnusa i nie zważając na słowa córki, wbił ją w rozpromienioną twarz węglarza.

Wszyscy na ulicy krzyknęli, ale nikt tak głośno jak Nicolette na widok męża, który padł martwy. Jego krew zbryzgała jej poczerwieniałe od łez policzki. Mężczyźni chwycili jej ojca i bili bezlitośnie, aż wzniesiono szubienicę i starzec zawisł, wydany na pastwę krukowi, zanim jeszcze trup Magnusa ostygł. Chociaż Nicolette znowu mogła mówić, minęło bardzo dużo czasu, zanim z jej ust dobyło się cokolwiek poza szlochem.

Chociaż może się wydawać, że oto nadszedł ponury koniec dla biednej Nicolette, zapewniam was, że prawda okaże się jeszcze gorsza. Gdyby tylko takie nieszczęście się wydarzyło!

Zamiast roztrzaskać czaszkę i zadać bezbolesną śmierć Magnusowi, zamroczony ojciec Nicolette wbił mu siekiere w żołądek i zaraz uniósł ją znowu w następnym zamachu. Magnus padł, łapiąc gwałtownie powietrze, i tylko jego palce zatrzymały wnętrzności na swoim miejscu, nie pozwalając im wylać się na ulicę. Ojciec wytrzeszczył oczy, nie pojmując nienawiści w oczach córki, kiedy zasłoniła męża przed kolejnym ciosem. Siekiera wyleciała mu z rąk, gdy dopadli go mężczyźni, obalając na ziemię kopniakami i pięściami.

Wzniesiono szubienicę i zebrał się tłum, ale Nicolette nie patrzyła. Węglarz powoli wykrwawiał się na śmierć, wnętrzności próbowały wymknąć się spomiędzy jego palców, kiedy Nicolette pomagała mu wsiąść na ich konia. Chociaż świadkowie z całą mocą nastawali, by jej pomóc, wszyscy cofnęli się, kiedy usiadła za mężem, a jej ostra postawa zniechęciła nawet najbardziej upartych. Rozsądny kowal popędził po księdza, podczas gdy Nicolette powoli

wyjechała konno z miasteczka w tłumie tylko nieco mniejszym od tego, który obserwował budowniczych szubienicy.

Jasne było, że mężczyzna nie przeżyje nawet jednego dnia, ale Nicolette nie zgodziła się zabrać go do kościoła, by udzielono mu ostatniego namaszczenia. Ksiądz dogonił ją na obrzeżach miasteczka; twarz dobrego staruszka wykrzywiła się ze smutku i wysiłku. Kiedy zignorowała jego nawoływania, stracił cierpliwość i złapał za wodze.

– Proszę, moja droga – wydyszał. – Jedyne, co możesz dla niego zrobić, to zapewnić mu zbawienie w niebie. Chodź ze mną natychmiast do kościoła, zanim opuści go życie.

Nicolette nie odpowiedziała, tylko splunęła mu w twarz. Ksiądz poślizgnął się i przewrócił, wstrząśnięty do głębi. W milczeniu patrzył na odjeżdżających, a kilkanaścioro rąk pomogło mu wstać. Ocierając flegmę z policzka, z gniewną miną zawołał za dziewczyną:

– Tylko diabeł się cieszy z drogi, którą obierasz! Skazujesz na potępienie siebie i jego! On potrzebuje ostatniego namaszczenia albo będzie cierpiał przez wieczność, a ty wraz z nim!

Nicolette nie odpowiedziała księdzu, tylko szeptała słodko do umierającego ukochanego. Ponagliła konia, by szybciej wjechał w las i mimo postanowienia i celu, który dopiero co obrała, serce biło jej coraz szybciej, podczas gdy serce męża zwalniało. Zaprowadziła ich głęboko w las, do części, do której nigdy się nie zapuszczali, do starodawnego leśnego królestwa, w którym Magnus odnalazł ją dawno temu. Drzewa nie wydawały jej się już tak ogromne i złowrogie. Jednakże kiedy dotarli do strumienia, gałęzie za mocno się ze sobą posplatały, żeby mogli dalej jechać konno i dlatego zsiadli.

Przód koszuli Magnusa zalsnił w świetle zachodzącego słońca. Węglarz nie mógł już otworzyć oczu. Mamrotał do niej, pytając ją o jej prawdziwe imię i lzy znowu zamgłyły jej wzrok, kiedy odpowiedziała mu, szepcząc do ucha. Uśmiechnął się i otworzył jedno oko, a potem zapadł w sen poprzedzający śmierć.

Zostawiła go na brzegu i pobiegła w mrok, coraz bardziej i bardziej zdesperowana, w miarę jak noc gęstniała. Pomyślała, że dostrzegła światło, ale kiedy wypadła z zarośli, rozpadająca się chatka była równie ciemna jak okalający ją las. Drzwi prawie odpadły, a dach częściowo się zapadł, ale oczy

Nicolette już dawno przywykły do ciemności, więc zobaczyła, że to, czego szuka, leży tam, gdzie to zostawiła.

Pomieszczenie nadal cuchnęło, chociaż upłynęło tyle lat. Nicolette podbiegła do stosu obok paleniska. Bezgłowe trupy zrosły się ze sobą, rozkład zamazał granice między mężem i żoną, ale na samym wierzchu, jakby ktoś ją położył, żeby ogrzać murszejące kości, leżała skóra. Nawet w mroku lśniła brązem, czernią i czerwienią. Nicolette zdjęła ją z łatwością, z jaką zdejmuje się przepoconą derkę ze zmęczonego konia.

Kiedy popędziła z powrotem, te same korzenie i pnie, które zmyliły ją jako dziecko, teraz odsunęły się, wskazując ścieżkę, kierując ją prosto nad potok, gdzie czekał koń i mąż. Magnus nie poruszył się, kiedy przyklękła obok niego i uniosła mu głowę, ale nadal udawało mu się czasem złapać oddech, a całym jego ciałem wstrząsały dreszcze. Drżąc, wyjęła nóż zza jego paska i uniosła, żeby rozciąć mu koszulę. Uzbrojona tylko w intuicję i koszmary, zdjęła mu ubranie i przycisnęła cuchnącą skórę do pleców, a potem wstrzymała oddech.

Efekty były widoczne natychmiast. Krzyk Magnusa sprawił, że nocne ptaki poderwały się do lotu, a serce zająca nieopodal pękło z przerażenia. Magnus szarpnął się, odsuwając się od Nicolette, miotając się i rzucając konwulsyjnie, a wnętrzności buchnęły na liście, kiedy zabrakło ręki, która by je zatrzymała. Nicolette patrzyła przerażona, i otepiąwszy uniosła nóż do własnego gardła, obawiając się, że zabiła męża. Jednakże potem, kiedy koń tupał i szarpał się na sznurze, którym przywiązała go do pobliskiego cisa, krwawe zwoje wnętrzności zaczęły się cofać, zasysane z powrotem do rany. Nicolette uśmiechnęła się i zaczęła jednocześnie śmiać się i płakać.

Nie mogła dłużej patrzeć na jego cierpienie, kiedy więc rzucał się na ziemi, wrzeszczał i bełkotał, ona wróciła do rudery, żeby ją dla nich przygotować. Księżyc wschodził, kiedy wyciągała rozkładające się szczątki z chaty. Potem wzięła głowy i wyrzuciła je w krzaki. Jako żona węglarza szybko rozpałała suche liście i ogień zahuczał w palenisku. Ustawiła przewrócone krzesło i usunęła stos szmat, a potem sama się rozebrała i dodała swoje rzeczy do stosu liści, który zgromadziła na kształt gniazda przy palenisku.

Czekając na męża, zauważyła świeżą krew kąpiącą jej po udach, ale natychmiast wiedziała, że to jej krew miesięczna. Obawiając się, że w nocy jego oczy mogą nie być tak bystre jak zmysł powonienia, wysmarowała się nią cała,

własnymi palcami nakładając ją na piersi, usta i policzki. Przypomniała sobie, że kiedyś już tak czekała, przybrana w podobny sposób i zachichotała jak mała dziewczynka. Nie musiała długo czekać.

Po tym jak kochali się po raz pierwszy w życiu, on zasnął obok ognia, a ona głaskała jego futro. Chociaż oczy błyszczały mu bólem i pomieszaniem, na jego twarzy pojawił się nowy blask i tylko blizna na brzuchu zdradzała, co powaliło go tego ranka. Teraz przyszła jej kolej mówić całą noc, podczas gdy on słuchał. Opowiadała mu, jak będą żyli w lesie i wspólnie wędrowali wysoko w górach. Las nie pozostanie wiecznie niezbadany i Nicolette żywiła wiele nadziei w związku z ich wspólnym życiem. Z czasem Magnus znowu nauczył się posługiwać językiem, ale do tego czasu ona mówiła dość za nich dwoje.

# VIII

## DOŚĆ JUŻ DYGRESJI



Śnieg przestał padać i wstało słońce. Czas upływał w milczeniu, a Hegel gapił się na Nicolette. W czasie opowieści zjadała miskę po misce błotnistej substancji z wiadra stojącego obok krzesła, ale Grossbarta niepokoiły inne sprawy niż jej widoczne upodobanie do gliny. Wstał roztrzęsiony i cisnął butelkę w ogień, gdzie wybuchła. Wyciągając miecz, odgrodził się ostrzem od czarownicy i wrzasnął na brata:

– Wstawaj, Manfred!

Zachichotała cicho, nie ruszając się z krzesła. Półprzytomny Manfred zaparł się plecami o ścianę i podniósł się w połowie. Skonsternowany patrzył to na Hegla, to na siedzące próchno. Chryste, ależ ta baba była stara!

– Spokojnie, spokojnie – zamruczała.

– Spokojnie? Jesteś przeklętą czarownicą, zetnę ci łeb! – Heglowi zamgliło się przed oczami ze zmęczenia, wściekłości albo od trunku, sam nie był pewien.

– Czarownica? – Manfred próbował wstać, ale znowu obsunął się po ścianie. – To jest czarownica, bracie?

– Wiedziałaś, czym jestem, kiedy pozwoliłeś mi dotknąć siebie i brata – odpowiedziała cierpliwie.

– To prawda? – Manfred rzucił bratu miażdżące spojrzenie.

– Do diabła, trzymaj się z tyłu!

Hegel stanął między Nicolette i Manfredem. Zamierzał ściąć jej łeb za jednym zamachem, ale wahał się, jak do niej podejść. Najwyraźniej posiadała niebezpieczne moce.

– Dotrzymaj słowa, Grossbart – powiedziała i oczy jej rozbłysły, chociaż wcale nie odbijał się w nich huczący ogień.

– To ona nasłała na nas tę mantykę? – Manfredowi kręciło się w głowie i nigdzie nie mógł znaleźć swojej broni.

– Niech to szlag! – Hegel nie mógł przestać krzyczeć. – Nie było żadnej przeklętej mantykory, tylko przeklęty *garou*, jakżem ci rzekł!

– To po francusku wilk – odpowiedziała Nicolette. – Nie sędzę, żeby ten opis pasował do Magnusa, no chyba że w sensie metaforycznym.

– Zamknąć się! – Heglowi pulsowało w skroniach. – Po prostu siedźcie cicho!

Cała trójka zamilkła. Manfred zdołał wstać, zapierając się o ścianę, ale kolana się pod nim ugiwały. Nicolette nadal siedziała, patrząc na Hegla, który zatoczył się do tyłu, łapiąc brata za ramię.

– Co się stało? – syknął Manfred w ich sekretnym języku.

– Czarownica – odpowiedział w tej samej mowie Hegel.

– Tyle tom się zorientował, ale co, u diabła, robimy w jej domu?

– Źeś zachorzał, no tom cię tutaj zaciągnął. Wyleczyła cię.

– Nie chcę się czepiać, ale po mojemu to diabelnie dobry uczynek.

Manfried zerknął zza brata, żeby lepiej się przyjrzeć starusze.

– Źem jej zapłacił. – Hegel zadygotał. – Nie było w tym nic dobrego.

Nicolette obserwowała ich bacznie podczas tej dyskusji. Przechyliła głowę jak zaciekawione zwierzę. Teraz uśmiechnęła się i odchyliła w krzesle. Potrzebowała chwili, ale wreszcie zrozumiała.

– Skoro to czarownica, to na co czekasz? Załatw ją szybko, póki nas nie zaczarowała! – Manfred pokręcił głową, próbując otrząsnąć się z senności.

– No, na co czekasz, Hegel? – zapytała w tym samym niespotykanym języku starucha.

Obaj spojrzeli na nią zaszokowani; nigdy dotąd nikt nie rozszyfrował ich kodu.

– A może, Manfredzie, twój brat jest człowiekiem, który dotrzymuje słowa? – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nie wiem, jakie słowo dał ci mój brat, ale każde słowo, które dajemy, możemy też zabrać, kiedy zechcemy, a poza tym niczego nie obiecujemy heretykom i czarownicom – wypalił Manfred, przestając się silić na dyskrecję. – Dziabnij ją, Hegel!

Hegel zrobił krok do przodu mimo dzwonięcia w uszach i dreszczy przebiegających mu przez całe ciało, które ostrzegały go przed tym uczynkiem.

– Złam słowo, Hegel, a ja złamię swoje. – Starucha pochyliła się do przodu

w krześle.

Hegel zawahał się, niczym dziecko, które zbiera się na odwagę, żeby skoczyć do lodowatej wody. Manfred wstrzymał oddech, nie rozumiejąc wahania brata. Może już rzuciła na niego jakiś czar?

– Dlaczego żeś nas wyleczyła, skoro to coś tam to twój mąż? – zapytał Hegel.

– Mąż?! – Manfred osunął się z powrotem na podłogę.

– Wszystko, co przydarzy się mnie albo jemu, dzieje się z Jej Woli – odpowiedziała cicho.

– Bardzo światłe słowa – wychrypiał z podłogi Manfred. – Przynajmniej szanuje Najświętszą Panią jak należy.

Śmiech Nicolette ranił im uszy.

– Z Woli Hekate, Grossbartowie. To jedyna prawdziwa pani.

– Herezja – jęknął Manfred; napięcie podkopywało jego przytomność. – Szybko bracie, szybko!

– Hekate? – To imię wydało się Heglowi znajome.

– Słyszałam Jej Imię w młodości, szeptane w moich snach. Poznałam Jej Ścieżki w znacznej mierze samodzielnie, ale dwadzieścia lat temu zjawiał się w naszym domu podróżny. Podróżny, którego nawet Magnus się bał. Nauczył mnie tego, czego nie odkryłam dzięki własnej intuicji, a zapewniam was, że wiedza ta wypełniłaby, i wypełnia, wiele tomów. – Mówiła tym samym przyjemnym tonem, którym wcześniej opowiadała swoją historię, a nostalgia sprawiła, że oczy się jej zaszklily radośnie.

– Diabeł! – wykrztusił Manfred, a przed oczami zapłonęło mu światło. – Spotkała się z Szatanem! – I znowu zemdłał.

Hegel nie mógł się ruszyć, i chociaż później zrzucił to na karb czarów, prawda była taka, że za bardzo się bał, by zrobić cokolwiek oprócz gapienia się na czarownicę.

– To nie był Szatan. Ani nawet diabeł. To był człowiek uczony w piśmie, swego rodzaju badacz. Spędził z nami zimę. Znałam się trochę na uprawie ziemi, a Magnus polował, rzecz jasna, ale zawsze żyło nam się chudo, zwłaszcza gdy ktoś ma tak duży apetyt. Poza niezwykłymi ziarnami ze Wschodu, podróżny pokazał mi, jak przyrządzać sobie własne jadlo, jak wróżyć i rzucać klątwy. Pokazał mi wszystkie te inne cudowności, przed którymi ostrzega Kościół.



– My... – Hegel przełknął ślinę. – My dwaj powinniśmy...

– Odejdziecie, kiedy tak powiem. Skłamałam. Wyleczyłam was nie z Jej Woli, ale z własnej. W końcu umrzecie, Grossbartowie, i będzie to ohydna śmierć.

Manfried usłyszał akurat tyle, odzyskując przytomność. Włączył się do rozmowy, jakby cały czas brał w niej udział:

– A pewnie, wszyscy umrą, czarownico, a potem się wzniesiemy. To może nam zabrać nieco czasu, ale nie uciekniesz przed swoim losem. Będziesz się smażyć po wsze czasy, jeszcze długo po tym, jak my już odprawimy należną nam pokutę.

– To nie ma nic do rzeczy i nie zamierzam roztrząsać kwestii teologicznych z dwoma tak uczonymi i pobożnymi maryjczykami jak wy dwaj. Gdybym zabiła was teraz, niezależnie od tego jak bolesną albo długą śmierć bym wam zadała, wy dwaj głupcy trzymalibyście się swojej wiary i pozbawili mnie mojej nagrody.

– Do czarta, a pewnie, że tak byśmy zrobili! – prychnął Manfried, próbując odpędzić światła sprzed oczu.

– Zdejmij ten worek, Hegel – powiedziała zmęczonym tonem czarownica, wskazując na wysoką półkę.

Grossbart wypełnił posłusznie polecenie, mówiąc sobie, że robi to tylko i wyłącznie z ciekawości. Worek był ciężki, a zawartość guzowata, jakby nasypano do niego żwiru. Podał worek starusze, a miecz trząśł mu się w drugiej ręce.

Kręcąc głową, zerknęła na Hegla spod zmrużonych powiek.

– Zajrzyj do środka.

Hegel rozwiązał worek i zerknął do środka. Ściągnął brwi i przyjrzał się uważnie. Manfried z wysiłkiem wstał i też rzucił okiem na zawartość.

– Co to jest? – szepnął Hegel bielszy od mleka.

– Zęby? – Manfried wyjął garść.

– Moich dzieci. – Czarownica westchnęła.

Manfried cisnął zębami, ocierając dłoń o koszulę.

– Tnij ją! – wrzasnął, ale osunął się na brata, który upuścił worek, żeby go złapać.

– Chude lata. – Możliwe, że oczy czarownicy zasły łzami, ale

w pomieszczeniu było zbyt ciemno, żeby bracia mieli pewność. – Zasiew wczesną wiosną, żeby na pewno zjawiły się przed śniegiem. Potem miałabym mleko, żebyśmy przetrwali zimę, i trochę mięsa.

Miecz zakołysał się w palcach Hegla i koniuszek musnął zęby na podłodze. Manfred wbił kciuk w ramię brata, ze wszystkich sił starając się zachować pozycję stojącą. Nicolette z trzaskiem rozprostowała palce i ziewnęła.

– Dzięki pierwszym kilku miotom dobrze nam się żyło, ale trudne czasy często przychodziły, zanim one wyrosły. Po pierwszych kilku miotach przestałam rodzić regularnie i to cud, że przetrwaliśmy te lata, zanim on się zjawił. Nauczył mnie, o tak, z niewielkim wysiłkiem piec chleb o wiele szybciej. I one także zaczęły rosnać i zaokrąglać się o wiele szybciej. Pewnie, że tym smakiem można się delectować i nie żałowałabym Magnusowi niczego, a jednak... To na pewno czysty instynkt. Matka pragnie dzieci, i tyle. Żeby je wychowywać, a nie żeby je... Gdyby więc Magnus złapał was jak należy, naprawdę dobrze byśmy pojedli tej zimy, ale teraz mogę mieć to, czego mi odmawiał nie ze swojej winy.

– Ehm. – Heglowi język stanął kołkiem w gębie.

Za to język Manfreda działał doskonale. Zawiodła go jednak reszta ciała. Posyłając wiązanek przekleństw dziecioletniej, czczącej diabła wiedźmiej dzirze, padł koło brata i kontynuował sypanie gradem obelg z poziomu podłogi.

Hegel spojrział na ogromny brzuch Nicolette, który nie był nawet w części tak wielgachny, kiedy zaczęła swoją opowieść poprzedniej nocy. Potwór musiał je tam wsadzić, pomyślał. Magia to czy nie, to musiał być potwór. Maryja niech się nad nimi ulituje.

– Rosną szybko, rosną silne.

Mrugnęła do Hegla, a pod nim aż się kolana ugięły. Oparł się o ścianę, a bratu zabrakło oddechu, żeby kontynuować tyradę.

– Zemsta dokona się nie za moją sprawą, ale wyrze ją to, co właśnie wzrasta. Straciecie wszystko, Grossbartowie, i będziecie wiedzieć, że odegrałam rolę w każdym nieszczęściu, jakie na was spadnie. Każdy pies, który was ugryzie, każdy zabójca, który będzie was tropił, każdy mężczyzna i kobieta, którzy obrócą się przeciwko wam, wszystko zobaczę w szronie, w locie ptaków, i w snach. Moje oczy będą patrzeć, jak czernieją wasze dusze i zawodzą was

ciała, a wszelkiej pomocy, jaką będę mogła służyć waszym wrogom, udzielię za darmo. Mogłam was zabić, kiedy tylko się tu zjawiliście, ale powstrzymałam się i cieszę się z tego, ponieważ wasza zguba stanie się legendą.

Bracia Grossbart potrafili rozpoznać klątwę, gdy ktoś ją rzucał. Hegel, nie odrywając oczu od czarownicy, pomógł wstać bratu. Manfred nie naciskał już na niego, tylko chwycił polano ze stosu obok wygasłego paleniska. Słuszny gniew dodał mu sił, i szturchając Hegla, uniósł swoją broń.

– Nie dajesz nam dużego wyboru – warknął. – Zabiłem już wielu, ale zabicie ciebie będzie najlepsze.

Zrobił krok w stronę czarownicy, ale Hegel go powstrzymał.

– Nie, bracie, ona jest niebezpieczna.

– Co może zrobić czarownica oprócz tego, że kogoś przeklnie? A to już zrobiła i myślę sobie, że znam sposób na zdjęcie tej klątwy.

Stracił rękę brata, a wtedy Nicolette odchyliła się w krzesło i coś zamruczała.

Manfried zamachnął się polanem, ale worek z zębami podskoczył z podłogi i uderzył go w szczękę. Grossbart stracił równowagę i wyłożył się jak długi obok krzesła. Kiedy podniósł wzrok, to, co początkowo wziął za światła zapowiadające utratę przytomności, okazało się setkami zębów krążących w powietrzu. Pojedynczy maleńki ząbek oderwał się od zawiei i wbił się w klepisko obok jego twarzy. Manfred zasłonił oczy rękami i modlił się na głos, aż usłyszał, jak zęby opadają z powrotem na swoje miejsce. Heglowi zaczęło się kręcić w głowie, zamarł w miejscu, i kiedy tylko zęby opadły na podłogę, zwymiotował na wygasłe węgielki w palenisku.

– A teraz wynoście się z mojego domu, zanim wywrócę wam skórę na nice.

Czarownica rozsiadła się w krzesło.

– Niech Maryja nas chroni – szepnął Hegel, chowając miecz do pochwy.

Manfried zerknął ponad łokciem, nadal przekonany, że nadszedł już jego koniec. Hegel pomógł mu wstać i obaj zaczęli macać po podłodze, próbując zgromadzić swój ekwipunek, nie odrywając wzroku od Nicolette.

Manfried rzucił rozsypane zęby ze swojej torby i narzucił ją na ramię. Wszystko go bolało, a siekiera i maczuga były cięższe niż zwykle. Nie do końca pewien, co się wydarzyło, odkąd zasnął kilka dni temu, nie miał innego wyjścia jak zaufać bratu, że wie, co się dzieje.

Hegel nie wiedział, ale podejrzewał, że jeśli jeszcze chwilę spędzi

w towarzystwie Nicolette, doprowadzi go to do szaleństwa. Pomagając słaniającemu się bratu dojść do drzwi, posłał jej ostatnie wściekłe spojrzenie. Najwyraźniej nie dało się pojąć zwyczajów czarownic. Głód przewyciężył strach i Hegel odwrócił się w progu.

– A co do naszego mięsa... – zaczął.

– Wynocha – odparła zmęczonym tonem.

– Albo tamtej gorzały...

– Wynocha! – Wstała, oskarżycielsko wypinając na nich wzdęty brzuch.

– Przecie już wychodzimy – psioczył Hegel, odsuwając zasuwkę.

– Ale pierwej... – Manfred odwrócił się i splunął.

– Niech to wszystko diabli wezmą. – Hegel zaczął wypychać brata z chaty, ale on stał z wysoko uniesioną głową.

– Słuchaj uważnie, czarownico – wybełkotał Manfred, szarpiąc się z bratem w progu. – Może i nas przekłęłaś, ale my ciebie też przeklniemy. Żeśmy zabili twojego czarciego męża, a ty zdechniesz w tym szambie. I my też umrzemy, jak to jest pisane każdemu człowiekowi wiary, ale najpierw ty trafisz do piekieł, a dusze twoich dzieci będą ci wrzeszczeć do uszu, i tak czy inaczej, ostatnie co zobaczysz, to jak się śmiejemy. Za późno, żeby to zmienić, jest ci pisane spłonąć. A kiedy już skończymy z Arabami, wrócimy tu naszczać na twoje kości, ty obrzydliwa...

Hegel wypchnął go na zewnątrz, zatraskując drzwi w samą porę, żeby zatrzymać dziesiątki zębów, które się ku nim rzuciły.

– Spalmy to coś! – Manfred ruszył z powrotem do chaty, ale brat go przewrócił, wytrzeszczając oczy i dysząc.

– Ty przeklęty głupcze, ściągniesz nam Diabła na kark! – wybuchł Hegel.

– Po twojemu masz wystarczająco czystą duszę, żeby ścierpieć to, że czarownica będzie żyła? – Manfred wstał i spojrzał z góry na brata.

– Wrócimy się zemścić, przysięgam! A na razie trza się stąd wynosić, zanim ona nabierze rozumu i z miejsca załatwi nas jak się patrzy.

Manfred rozejrzał się i skinął głową. Znowu omal nie zemdłał, a czarownica bez wątplenia miała swoje sztuczki. Latające zęby mogłyby się okazać ich ostatnim zmartwieniem.

Stali na zgrubnie uprawianym poletku na skraju lasu, a po obu stronach wznosiły się góry. Chatka opierała się o urwisko, które ciągnęło się między

dwoma zboczami na końcu doliny. Hegel ruszył jednym ze stoków między rzadko rosnącymi drzewami.

– Nie powinniśmy wrócić do konia i wziąć trochę mięsa? – zapytał Manfred, oddalając się w ślad za bratem od lasu i chaty.

– A tam, nawet jeśli zwierzęta nie obgryzły kości do czysta, to nie mamy czasu go szukać. Las jest za wielki.

– To co będziemy jeść?

– Włożyłem pierwiej trochę mięsa do naszych toreb, ale większość żem zgubił, kiedy końska skóra się rozwiązała, jakżem cię ciągnął przez las. No a reszta została w chacie. Za to bukłaki mamy pełne.

Manfried szedł za bratem powoli, kusza bez cięciwy podskakiwała mu na plecach. Hegel co rusz czekał, aż brat go dogoni. Godzinę później dotarli na grzbiet, który za nimi znikał w lesie, a przed nimi ciągnął się w górę do szczytu. Obaj spojrzeli w dół na dolinę i splunęli.

Włokąc się w milczeniu w dół po drugiej stronie, przyjrzeni się nieprzerwanemu łańcuchowi górskiemu. Znowu drzewa urozmaicały krajobraz, ale nic równie gęstego jak las czarownicy. Manfred poślizgnął się kilka razy. Leżał na skałach i gapił się w szare niebo, dopóki Hegel nie pomógł mu wstać. Czuł się słaby i mimo rozlicznych przerw w marszu padł na wiele godzin przed zmierzchem, niezdolny do dalszej drogi.

Wspinali się granią upstrzoną głazami i nielicznymi połaciami śniegu, które porywisty wiatr oszczędził. Hegel pomógł bratu wejść do dziury między dwoma ogromnymi kamieniami, i tam rozbili obóz. Manfred oddychał chrapliwie i kaszłał. Hegel owinął go kocem i wyszukał dość drewna wśród okolicznych drzew, żeby przetrwali noc. Potem ułożył kamienie w szparze między głazami w nieskutecznej próbie osłonięcia się przed wiatrem.

Gotując mięso i zbierając śnieg, Hegel przyrzędził im przyzwoitą potrawkę o zachodzie słońca. Manfred przespał większość nocy, a konieczność zmusiła Hegla do wejścia do brata pod koc. Wiele razy tej nocy tęsknił za ciepłem i brakiem przeciągów w schronieniu, które mieli poprzedniej nocy, ale zawsze powracał do niego obraz siedzącej na nim czarownicy, i wtedy walczył z łzami.

Ranek powitał braci grubym szronem na ich brodach, a w godzinę po tym, jak ruszyli, spadł na nich śnieg. Obaj rozmyślali nad spotkaniem z czarownicą. Manfred gapił się w plecy brata i zastanawiał się, co zaszło w czasie jego

gorączki. Hegel skupił się na okolicy, próbując się uwolnić od wspomnienia ohydnej staruchy.

– Wiedział żeś, że to czarownica i mimo to dał żeś jej mnie dotknąć? – zapytał Manfred, kiedy jedli, patrząc w dół na trasę, którą podeszli tego ranka.

– Żem nie miał wyboru – odpowiedział Hegel.

– Trza było wierzyć, że mi się poprawi, zaufać Maryi, a nie jakiejś heretyczce.

– A pewnie! Jużes zmienił kolor i nie przeżyłbyś nocy.

– Toś zaryzykował moją duszę, żeby ratować ciało, tak?

– Jedynym, który ryzykował duszę, byłem ja, więc może okażesz mi trochę wdzięczności, ty niewdzięczna mendo? – Hegel wgrzył się w na poły surowe końskie mięso.

– Posłuchaj, bracie – odezwał się Manfred ojcowskim tonem. – Ja żem nie jest na ciebie zły, gadam tylko, że musisz krztynę popracować nad rozważą, zwłaszcza w kwestii tego, z kim się zadajesz. Wiem, żeś miał dobre intencje i tym razem nam się udało, jako że nadal obaj dychamy, ale następnym razem...

– Następnym razem zostawię cię na łasce wron! – warknął Hegel. – Nie ogarniasz, cóżem dla ciebie zrobił, a zachowujesz się, jakbym ci nasrał na brodę. Też mi brat!

– Przez ciebie nas przeklęła, Hegel!

– I co z tego? Boisz się, że klątwa się spełni? Nie pierwszy raz ktoś nam życzył śmierci.

– No pewnie, ale co innego, kiedy tak gada czarownica. Dlaczego w ogóle nas wyleczyła? Przecie wiesz, że ten koncept „dorwę was później” to jakieś brednie.

Hegel pobladł i odłożył przekąskę.

– Czas ruszać.

– Jaka była cena? – Manfred ściszył głos. – Nie twoja dusza, co?

– Nie wiem – szepnął łamiącym się głosem Hegel. – Mam nadzieję, że nie. Pamiętaj tylko, że byś umarł, gdybym nie zrobił tego, cóżem zrobił. – Odmaszerował, a Manfred szybko spakował swoje rzeczy i popędził za nim.

Dogoniwszy brata, Manfred poklepał go w ramię.

– Nie zapomnę. Tylko musimy zachować ostrożność, odkąd rzuciła na nas czar. Wszelką zmacę zmyje z nas nasza prawość.

– A pewnie. Ostrożność.

Hegel miał wątpliwości, czy ktokolwiek poza Najświętszą Panią może zmazać jego grzech. Pamiętał ciepło czarownicy, jak w szale namiętności nazwał ją Marią i jak ofiarował jej całe swoje oddanie. Za każdym razem skręcał mu się żołądek, kiedy o tym myślał – jedyny czyn w jego nędznym życiu, którego naprawdę żałował.

Wiatr osuszył im pot, ale chłód pozostał i bracia szczękali zębami za każdym razem, gdy przystawali, żeby się rozejrzeć w terenie. Wiele godzin później znaleźli się na zboczu identycznym jak kilka ostatnich, które przekroczyli, ale Manfred wierzył, że brat nie prowadzi ich w kółko.

Hegel nie podzielał jego pewności, nerwowo przygryzając brodę, dopóki nie przeszli przełęczą i nie zyskali dowodu, że nie chodzą po własnych śladach – grań, którą przecięli, opadała ostro w jar. Na następnej górze, dokładnie na tym samym poziomie, na którym się znajdowali, ciągnęła się serpentynami droga. Hegel zadrzał z radości, a Manfred popisał się poprawiającym się zdrowiem, tańcząc na rumowisku.

Droga ciągnęła się w nieskończoność, ale w przeciwieństwie do pierwszego etapu ich podróży na południe, następny tydzień na oznaczonym trakcie napełnił ich nadzieją, że szczęście ich nie opuści. Droga, chociaż słabo utrzymana, przewyższała tę, od której zaczęli podróż, zarówno rozmiarami, jak i równością nawierzchni. Oplakiwali utratę konia i wozu, ale taktownie unikali tematu kurczących się zapasów. Nawet Manfred musiał przyznać, że spotkanie z czarownicą i jej mężem było punktem zwrotnym w podróży.

– To dowód, że Jej Zdaniem dobrze czynimy – oznajmił Manfred ósmego dnia. – Jak nadal będziemy prawi, to na Wielkanoc będziemy już plądrować grobowce–zamki Arabów.

– Myślisz? – spytał Hegel. – Właściwie jak daleko jest do tego Giptu?

– Nie wiem i mam to gdzieś. Jak będziemy wypełniać Jej Wolę, to w końcu tam dotrzemy i może będziemy bogaci, nawet zanim tam trafimy.

– Może być i tak – zgodził się Hegel.

– Gdybyśmy spalili tę czarownicę, jako rzekłem, to pewnie znaleźlibyśmy po drodze pierwszorzędną kucę obładowaną truflami.

– Wszystko jeszcze możliwe.

Myśl o soczystych grzybach przypomniała Heglowi, że wkrótce skończy im

się końskie mięso. Najdalej za kilka dni.

– Mąż? Czyli gadasz, że powiedziała, że ten potwór pierwaj był człowiekiem? – Manfred nadal nie potrafił pojąć, że ich wrogiem w lesie był nikt inny jak mantykora.

– A pewnie. Naprawdę dziwną historię mi opowiedziała. Fakt, że przysnął przy rozwlekłych kawałkach, ale opowieść szybko stała się należycie dziwna.

– Trochę żałuję, że jej nie posłuchał.

– A tam! Smutna rzecz. Była kiedyś ładną dziewczyną jak się patrzy, i uczciwą, i kochała Maryję całym sercem. Dobra kobieta na porządną żonę.

– A skąd to wiesz?

– Powiedziała mi.

Manfried się zachnął.

– A pewnie, śmiało, uwierz we wszystko, co ci gada czarownica.

– Nie rzekłem, że uwierzył we wszystko.

– Ale myślisz, że była urodna? Kiedykolwiek? Wyobraź sobie ją młodą i nadal byłaby skażona herezją. Nie ma czegoś takiego jak ładna czarownica.

W czasie tych dni Hegel często próbował oddzielić jedną konkretną część wspomnień od pozostałych. Rozmyślał w milczeniu. Prawie mu się udało, ale za każdym razem brat mówił coś takiego jak...

– Nie, mój panie. Ta czarownica jebała się z tą poczwarą, z tym zwierzo-człowiekiem, i to często. I zjadała dzieci, co z tego wynikły. Wyobraź sobie tę zrzędliwą staruchę, jak rozkłada...

Hegel pochylił się i zwymiotował tak mocno, że nawet zwieracz mu się szarpnął. Manfred odskoczył, śmiejąc się serdecznie. Hegel rzucił mu wściekłe spojrzenie załzawionych oczu.

– Koń ci nie podchodzi?

– To ten twój zły ozór. Kto by chciał myśleć o takich rzeczach?

Hegel splunął, ale nie mógł się pozbyć wspomnienia jej smaku.

– Tak tylko gadam.

– To nie gadaj.

– A to co?

– Hm?

Hegel otarł usta i spojrzał w tym samym kierunku, w którym patrzył brat.



Droga ciągnęła się do zakrętu, ukazując się od czasu do czasu wzdłuż długiej grani, ale za nimi, na ostatniej górze, którą przeszli trawersem, trakt znowu był dobrze widoczny i teraz sunął po nim wielki, czarny kształt. Poruszał się szybko. Hegel wypatrzył wóz i zaprzęg koni trzymających przyzwoite tempo.

Manfried zmrużył oczy.

– Nie bardzo mogę...

– Do diabła, to podwózka! – Hegel uderzył brata kapeluszem o szerokim rondzie.

– Na pewno?

– Ani chybi!

– Co oni tu robią? Żeby tak jechać przez góry w środku zimy?

– A co my tu robimy? Tak samo jak oni. A teraz do roboty.

Hegel pierwszy popędził do głazu, który wcinał się w drogę.

– Dobrześ wypatrzył – powiedział Manfried, rzucając się do działania.

Obaj pracowali, każdy po swojej stronie głazu, Manfried siekierą, a Hegel oskardem. Co kilka minut przerywali kopanie i napierali, ale gład nadal nawet nie drgnął. Desperacja zaczynała brać w nich górę, ale im głębiej kopali, tym głębiej w zbocze sięgał gład.

– Słuchaj – wydyszał Hegel – trza tu zaciągnąć tamto martwe drzewo, co żeśmy je mijali, wcisnąć w szparę i spróbować go podważyć.

– Co znowu?

– To drzewo, co leżało wyżej na zboczu, kawałek za nami. Jak się pośpieszymy, to zdążymy je przytargać, zanim... – Hegel urwał na widok miny brata i zmienił zamiar. – Albo możemy rzucić tę kłodę w poprzek traktu, zamiast wypychać gład.

Manfried powoli pokiwał głową, patrząc chmurnie na brata.

Ledwie zdążyli zawrócić do kłody, wspiąć się na przydrożne zbocze i sturlać pniak na drogę, kiedy usłyszeli zbliżające się konie. Ułożyli kłodę w poprzek traktu i czekali, a kiedy Hegel dojrzał wóz wyjeżdżający zza zakrętu, pochylili się, zachowując się tak, jakby spróchniałe drzewo ważyło co niemiara. Wóz zwolnił i zatrzymał się, z tyłu zeskoczyło dwóch mężczyzn, wymieniło kilka słów z woźnicą, po czym podeszło do Grossbartów z kuszami w rękach. Na ten widok bracia także wyjęli napięte kusze zza kłody.

– Stać! – krzyknął Hegel, kiedy mężczyźni weszli w zasięg broni.

– A to czemu? – zapytał większy z dwóch.

– Widząc, że nadjeżdżacie, żeśmy postanowili wam pomóc i sprzątnąć to dla was z drogi – krzyknął Manfred.

– A po co kusze?

– A po co wam kusze? – odparł Hegel.

– Co? – Mężczyzna nadstawił ucha.

– Podejdźcie – krzyknął Manfred – my też was nie słyszymy.

Mężczyźni ostrożnie podeszli do szczerzących zęby Grossbartów. Kiedy zbliżyli się wystarczająco, żeby dostrzec ich brodate oblicza, zatrzymali się. Woźnica krzyknął coś zza ich pleców, ale żaden z czterech mężczyzn nie zwrócił na to uwagi.

– Co tu robicie? – zapytał pierwszy mężczyzna; miał czarne, strąkowane wąsy, które pasowały do jego włosów i do czupryny jego towarzysza.

– To samo co wy – odgryzł się Hegel.

– No więc, bynajmniej – powiedział Wąsacz. – Jak już uprzątnicie tę kłodę i się odsuniecie, to my ruszymy swoją drogą, a wy swoją.

– Ejże – odezwał się Manfred – po mojemu, to nie jest w porządku.

– A to czemu? – zapytał Wąsacz.

– My się tu mozolimy przy przepychaniu kłody, a wy nawet nie zaproponujecie podwiezienia dwóm zmęczonym podróżnym? – zapytał Hegel.

Drugi mężczyzna powiedział coś do Wąsacza w języku, którego bracia nie rozumieli. Wąsacz odpowiedział w tej samej mowie i drugi wycelował kuszę w Hegla. Grossbartowie trzymali swoje arbalety od niechcenia, ale każdy celował w jednego z mężczyzn.

– Odsuńcie się – powiedział Wąsacz – a sami ją odsuniemy, to nie będziecie mieli powodu do narzekania.

– Uczciwy układ – odpowiedział Hegel i natychmiast pożałował, że użył słów Nicolette.

Bracia odstąpili i dwaj mężczyźni podeszli. Zatrzymali się, zerkając na kłodę. Chociaż była spróchniała, nie mogli jej przesunąć, nie odkładając broni. Grossbartowie uśmiechnęli się do nich promiennie. Tamci wymienili kilka niezrozumiałych słów, zerkając na braci.

– Wygraliście – powiedział Wąsacz, sam się teraz uśmiechając. – Wy przesuniecie kłodę, a my wam damy przejść.

– A co was powstrzyma przed zastrzeleniem nas, kiedy odłożymy kusze? – zapytał Manfred.

– To samo co was, kiedy my odłożymy kusze – warknął Wąsacz.

– Prawe chrześcijańskie zasady? – podsunął Hegel, ale nawet nie opuścił arbaletu.

– Tak – odpowiedział Wąsacz.

– To nie wystarczy – powiedział Manfred. – Myśmy są pobożni pielgrzymi, jako to widać po naszych Najświętszych Panienkach. – Potrząsnął głową, żeby wisiołek podskoczył mu na tunice. – A gdzie wasz dowód?

– To nie mój wóz – powiedział Wąsacz – bo w przeciwnym wypadku chętnie bym was podwiózł, bynajmniej. Jaka szkoda, że tak nie jest! Zapłacono nam właśnie za to, żeby nikt nie wsiadł do wozu. Zapłacono nam, żebyśmy spychali kłody. Wobec tego kłoda musi zniknąć, a razem z nią, bynajmniej, wy.

– No to ją przesuwajcie – powiedział Hegel.

Uśmiech Wąsacza zwiądnął. Mężczyzna znowu wymienił kilka słów z rodakiem. Zaczęli odchodzić, oddalając się od braci.

– Omówimy to z woźnicą – zawołał Wąsacz.

– Koniecznie! – odkrzyknął Hegel, siadając na kłodzie.

– Trza było zastrzelić niewiernych, jak tylko zaczęli kłamać – orzekł Manfred.

– Skąd wiesz, że to niewierni?

– Widziałeś tego z wąsami? A ten drugi to ani chybi obcokrajowiec. A kiedy żeśmy zapytali o dowód, nie potrafili żadnego pokazać.

– Żadna z tych rzeczy jeszcze nic nie znaczy. Za dużo myślisz. Jak zwykle. – Hegel westchnął.

– A z jakiego innego powodu nie chcieliby nas podwieźć?

– Pewnie dlatego, że niczego im żeśmy nie zaoferowali.

– Święci mężowie nie muszą płacić. A przynajmniej nie bratnim chrześcijanom.

– Znaczy teraz jesteś świętym mężem, co? – parsknął Hegel.

– My obaj są. Zabilim diabła.

– To nie był diabeł, tylko, w mordę kopane, człowiek zamieniony w diabła.

– Na jedno wychodzi.

– A diabła tam!

– Nie bluźnij.

Hegel się ożywił.

– Wracają.

A co lepsze, za nimi jechał wóz. Drugi mężczyzna siedział na ławce obok woźnicy. Wąsacz szedł przodem, uśmiechając się szeroko, ale nadal celując z kuszy w Hegla.

– Wygraliście – powiedział Wąsacz. – Przesuńcie kłodę, dajcie monetę, i wszyscy ruszymy naszą drogą, ale wy bynajmniej wysiądziecie w najbliższym miasteczku. Zgoda?

Hegel już chciał odpowiedzieć, ale Manfred szturchnął go łokciem, przejmując inicjatywę.

– Zaprawdę, słuszne to. Damy wam wszystkie pieniądze, które mamy, kiedy tylko dojedziemy na miejsce.

– Płatne z góry – obstawał przy swoim Wąsacz.

– Nie wiemy, czyś uczciwy, zapłacimy na miejscu – odparł Hegel.

– Nie wiadomo, czy wy jesteście. Płatne z góry – odpowiedział Wąsacz.

– Ej, ty! – zawołał Manfred do woźnicy. – Damy ci wszystko, co mamy, kiedy dojedziemy do miasta, ale nie pierwej, zgoda?

– Bynaj... – zaczął Wąsacz, ale woźnica przerwał mu ciągiem ostrych, obcych słów, a potem spojrzał na Grossbartów.

Wyglądał na ich rówieśnika. Miał wypomadowane czarne włosy, rzadszy wąs i nosił najlepsze ubranie wśród obecnych.

– Żadnego łotrowania na tej drodze, co? – zapytał z rwanym akcentem.

– Zgadza się. – Hegel się uśmiechnął.

– Zatem daję wam chrześcijańskie słowo, że spokojnie przejedziecie. Jak przysięgnięcie to samo, to będziemy mogli ruszać. – Woźnica zmusił się do uśmiechu.

– Dajemy słowo – odpowiedzieli zgodnym chórem bracia.

– W takim razie przesuniecie kłodę i każdą inną przeszkodę, na którą się natkniemy, a żadne więcej opłaty nie będą potrzebne. – Woźnica wygładził ząbkowany brzeg szaperonu.

Dwóch strażników przeszło na tył wozu, posyłając braciom wściekle spojrzenia. Manfred trzymał arbalet pod ręką, podczas gdy Hegel uniósł jeden koniec martwej kłody i odturlał ją na bok, a potem podniósł broń i obaj oparli

nogi na pniu, żeby zepchnąć go z krawędzi drogi. Patrząc, jak kłoda rozpędza się i w końcu roztrzaskuje na głazie w dole zbocza, obaj zastanawiali się, jak mogliby w przyszłości zbliżyć się do wozu na trakcie, zważywszy, ile wysiłku kosztowało ich załatwienie przejazdu w tym wypadku.

Ruszyli, by wsiąść do wozu, ale wszyscy trzej podróżni wrzasnęli na nich, żeby siadali na ławce i trzymali się z dala od środka. Bracia wcisnęli cuchnące torby pod zwieszającą się za ich siedzeniem impregnowaną płachtę i wszyscy ruszyli w drogę. Grossbartowie siedzieli na końcach ławki z woźnicą i cudzoziemskim strażnikiem między nimi, a Wąsacz najpewniej siedział w środku wozu albo na siedzeniu z tyłu.

Rozkołysany wóz zapewnił im doskonały widok na urwiska opadające z krawędzi drogi. W miarę jak wydłużał się dzień, rosły też przepaście. Trakt wspinał się w góry, a śnieg, wiatr i mgliste niebo przeszywały braci chłodem aż do szpiku kości. Za każdym razem, gdy lawinisko albo inne rumowisko blokowało drogę, schodzili z wozu i usuwali przeszkodę, ale nieczęsto zdarzały się takie przerwy. Poruszali się powoli, ale mimo to do zachodu słońca pokonali o wiele większą odległość, niż Grossbartowie zdołaliby przejść pieszo. Zatrzymali się na rzadko zadrzewionej łące znajdującej się powyżej drogi.

Grossbartowie rozpalili własny ogień kawałek w górę drogi, na wypadek, gdyby ich nowi przyjaciele spróbowali uciec nocą. Czuwali na zmianę, a kiedy Hegel poczuł, że swędzą go uszy, zadbał o to, żeby narobić mnóstwa hałasu, ładując kuszę. Usłyszał, że kroki zawracają do ogniska cudzoziemców, a on wrócił do swojej potrawki na końskim szpiku.

Następny dzień minął podobnie jak poprzedni – tyle że zapasy Grossbartów malały z każdym posiłkiem. W czasie nocnego czuwania nic nie śmiało zbliżyć się do ognia, więc w okolicy burczały tylko ich własne brzuchy. Trzeci poranek właściwie w ogóle nie nadszedł, gdy tumany śniegu w powietrzu zamieniły się w najprawdziwszą śnieżycę, przesłaniającą wszystko z wyjątkiem drogi tuż przed końmi. Bracia rozważali w prywatnym języku korzyści wynikające z porzucenia wozu, uznając, że sami przejdą równie daleko, a nie będą przy tym ryzykowali, że spadną w przepaść, jeśli konie zmylą drogę wśród zasp.

Jechali przez białą zasłonę śniegu, para buchała z koni, a smarki zamarzały braciom na brodach. Tylko urwiste ściany wznoszące się po jednej stronie i opadające po drugiej mówiły im, że trzymają się drogi. Wszelkie żarciki,

jakimi mężczyźni przerzucali się w poprzednie dni, teraz zamarzyły im na ustach. Podróżowali powoli, a Hegel wyczuwał w śniegu coś, co budziło w nim złe przeczucia, coś złowieszczonego, czekającego na drodze. Powiedział o tym bratu, który skinął głową i przygotował kuszę. Do ataku, którego nadejścia Hegel był pewien, nigdy nie doszło, a kilka godzin później cudzoziemcy zakrzyknęli triumfalnie.

Wąsacz zeskoczył z tyłu wozu i pobiegł równolegle do zwalniającego wozu, a drugi strażnik zeskoczył, gdy konie przystanąły. Heglowi zrobiło się niedobrze i lodowaty pot zlał mu czoło i usta. Musieli uciekać, ale po obu stronach ciągnęła się tylko pustka – urwiska zniknęły, a bracia tego nawet nie zauważyli. Hegel modlił się, błagając Maryję, by uciszyła jego szaleńczy niepokój.

– Otwierać! – wrzasnął Wąsacz, a jego towarzysz krzyknął pewnie to samo w obcym języku.

Bracia dostrzegli wysoki cień w zamieci i po brzęku domyślili się, że przed nimi znajduje się stodoła albo inne wrota. Mężczyźni krzyczeli przez kilka minut, ale nie otrzymali żadnej odpowiedzi i po szybkiej wymianie słów z drżącym woźnicą obaj zniknęli w śnieżycy. Bracia przysunęli się bliżej do woźnicy, trzymając kusze w pogotowiu.

– Dokąd poszli? – spytał Manfred.

– Otworzyć bramę – odpowiedział mężczyzna, dzwoniąc zębami, a jego opalona skóra sugerowała, że taka pogoda niezbyt mu odpowiada.

– Gdzieśmy zajechali? – zapytał Manfred.

– Do Rousebergu – odpowiedział woźnica. – Przejeżdżaliśmy tędy kilka tygodni temu, więc powinni się nas spodziewać.

– Zła nazwa dla miasta – uznał Manfred.

Hegel nie zwracał uwagi na ich rozmowę. Nerwowo strzelał oczami na wszystkie strony, na darmo próbując wypatrzeć źródło niebezpieczeństwa, o którym wiedział, że czai się tuż poza polem widzenia. Nie był pewien, czy to czarownica, jej mąż, który powrócił, czy coś gorszego.

Przed nimi rozległ się jęk i pojawił się Wąsacz, wołając:

– Pomóżcie nam!

Manfried pośpieszył z pomocą, ale Hegel nie zamierzał się ruszyć. Chciał ostrzec brata, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Manfred zobaczył wielką drewnianą bramę, o którą zapierali się dwaj mężczyźni i którą z powodu zasp

zdołali uchylić ledwie odrobinę. We trzech kopali, pchali i całkiem przemokli, zanim otworzyli bramę na tyle, żeby przejechał przez nią wóz.

Woźnica ponaglił konie, a Hegel zmrużył oczy, żeby zobaczyć coś z miasteczka. Tylko kilka zapadających się dachów i cienie budynków wynurzały się z zamieci i żaden dźwięk nie dobył się ze spowitej śniegiem osady. Manfred wspiął się z powrotem na ławkę, strażnicy zaś zamknęli bramę i wstawili na miejsce podpory, zamykając ich w miasteczku.

## IX

# KOŚCI NIEZGODY



Tylko śnieg i rozpadające się domy powitały Grossbartów i mężczyzn z wozu. Kilka dachów zawaliło się z powodu zasp, a konie trudziły się, żeby wóz choćby drgnął. Brnęli przez wąwozy ulic, aż dotarli do wielkiego budynku, ciemnego i niegościnnego jak reszta miasteczka. Objechali go i wprowadzili wóz do stojącej po sąsiedzku stajni. Wąsacz i drugi strażnik z wysiłkiem otworzyli drzwi, a Grossbartowie zeskoczyli z wozu, żeby nie wjechać do mrocznego wnętrza.

Dwaj strażnicy czekali przed stajnią, rozcierając ręce, ale Grossbartowie z miejsca rozpoznali karcznię, niezależnie od tego, jak pusta się wydawała. Zastali drzwi zaryglowane i podejrzewali, że pukanie nie na wiele się zda, ale wyszczerbiony miecz Hegla zmieścił się w szparze, więc zapierając się plecami zdołali przesunąć blokującą sztabę. Drzwi otworzyły się na oścież i obaj wpadli do środka razem z kupą nawianego śniegu.

Nawykle do grobowych mroków oczy braci Grossbart natychmiast wypatrzyły kilka stołów i ław w nieoświetlonym pomieszczeniu, a kiedy dodatkowo oswoili się z ciemnością, dostrzegli wielkie palenisko w ścianie w głębi. Ruszyli przez ciemnicę, a wypatrzywszy półkę z butelkami na tylnej ścianie, natychmiast wzięli się do roboty. Każdy złapał butelkę i spróbował, Hegel z dobrym skutkiem, a Manfred plując tłustym olejem.

Każdy schował sobie jedną butelkę oleju i tyle butelek jabłkowego *Schnapsa*, ile się pomieściło w ich wypchanych torbach, zanim odwrócili się z powrotem do pustej tawerny.

– Gdzie się wszyscy podziali? – Manfred wypowiedział na głos myśli brata.

Hegel wychylił kolejny łyk *Schnapsa*, próbując utopić w nim swoją paranoję, ta jednak wciąż rosła. Przeszli wzdłuż ściany na tyłach, aż znaleźli nie zamknięte na zamek drzwi. Pchnęli je. Widząc, że ciemność za nimi jest zbyt



gęsta, żeby od razu zbadać zawartość pomieszczenia, Manfred poszedł rozpalić ogień, a Hegel obszedł dalszą część tawerny.

Obok paleniska wznosiła się drabina. Hegel wszedł na nią ze sztyletem w ręce. Prowadziła na rozległy strych, którego sufit ugiął się pod ciężarem śniegu, zwłaszcza przy płachcie zasłaniającej otwór kominowy. Rozcięcie płótna, widok lawiny śniegu rzygającej w dół, a nawet wesołość Manfreda, który nagle musiał wybrnąć spod potopu zamrożonego pyłu, nie umniejszały niepokoju Hegla.

Zszedł na dół i rozejrzał się za ogarkiem, a kiedy już go znalazł i knot z sitowia zapłonął z trzaskiem, powoli wszedł z powrotem na strych. Niestety, nie znajdowało się tam nic prócz zapleśniałych koców, gnijącej słomy i śmierdzącego nocnika. Smród zawierał w sobie coś więcej niż tylko urynę, coś słodkawego i kojarzącego się z rozkładem, ale Hegel nie potrafił rozpoznać tego zapachu.

Manfred najpierw był zajęty lepieniem śnieżki z kamieniem w środku, żeby cisnąć nią w niespodziewającego się niczego brata, a usłyszawszy nad wyraz satysfakcjonujący krzyk, kiedy pocisk trafił w cel, nabrał śniegu do kociołka, wrzucił resztę mięsa i powiesił go nad ogniem. Przyciągnął dwie ławy i ułożył się wygodnie, krzywiąc się z powodu przeciągu, gdy weszli trzej pozostali mężczyźni. Brat bez wątpienia napędził mu niezłego stracha, ale Manfred nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Ostatecznie, jeśli się dostaje darmowy napitek i dach nad głową, to nie należy w to za bardzo wnikać.

Woźnica i jego pomocnicy stłoczyli się przy ogniu. Kałuże rozlały się wokół ich butów na zniszczonej podłodze. Hegel zszedł ze strychu i usiadł obok brata. Żaden się nie odezwał; wszyscy gapili się w płomienie, czekając aż wróci im czucie w kończynach.

– Coś tu jest bardzo nie w porządku – powiedział woźnica, wstając i wyciągając sztylet spod płaszcza.

– Tak myślisz? – Manfred odchylił się, przyjemnie grzejąc sobie buty.

– A ty nie? – Woźnica się rozejrzał i zdjął z półki niezapaloną świeczkę.

– On ma rację – powiedział Hegel, chociaż ciepło nieco ukoziło mu nerwy.

– Zatem, kiedyście przejeżdżali tędy pierwiej, byli tu ludzie, co? – Manfred nie dawał wyträcić się z równowagi. W końcu walczył już z demonami i czarownicami.

– Mnóstwo – odpowiedział woźnica, rozglądając się nerwowo. – Wielkie miasteczko jak na tak wysoko położone. Dużo dzieci bawiło się na śniegu.

Wąsacz powiedział coś w ich południowym języku i woźnica z drugim mężczyzną pokiwali głowami. Woźnica odpowiedział w tym samym języku i zerknął z powrotem na drzwi. Te machlojki nie przypadły do gustu braciom, zwłaszcza podejrzliwemu Heglowi.

– Mówcie jak ludzie, ale to już! – krzyknął, zrywając się ze stołka. – Koniec tego zwierzęcego gadania, słyszycie? Wszyscy gadamy tak samo, a jak ktoś nie nadąży, to jego problem.

– Ludzie bynajmniej – odezwał się Wąsacz, wstając z ławki – mogli pójść do... do...

– Klasztoru – podpowiedział mu woźnica. – Tylko nie bardzo wiadomo, po co wszyscy mieliby się tam udać. Domy wyglądają na opuszczone co najmniej kilka dni temu.

– A pewnie – przytaknął Manfred. – Widziałem parę z oknami zabitymi deskami, jak ten tutaj.

– I nie ma tu nikogo innego? – zapytał woźnica. – Ani na tyłach, ani od frontu?

– No cóż – odezwał się Hegel – front mamy tutaj i nikogo tu nie ma, aleśmy nie sprawdzili na tyłach. Nie było światła.

Woźnica zacmokał z dezaprobatą i zapalił knot z sitowia.

– Chodźmy więc.

– Jak chcesz sprawdzić, to śmiało. – Manfred spróbował potrawki. – A jak znajdziesz jakieś mięso albo rzepę, to przynieś je tutaj.

– Ja pójdę. – Hegel wyciągnął oskard. Aż się rwał, żeby wbić jego koniec w źródło swojego niepokoju.

Żaden z dwóch pozostałych mężczyzn się nie ruszył, bo kałuże u ich stóp nagle wydały im się wielce interesujące. Woźnica splunął wiązką ostrych słów obcego pochodzenia, ale tym razem Hegel uśmiechnął się na ich dźwięk. Przymówki do tchórzostwa rozpoznawał niezależnie od języka.

– Jestem Ennio – przedstawił się Heglowi woźnica.

Manfred wybuchł śmiechem.

– Że niby co on jest?!

– To jest imię tam, skąd pochodzisz? – spytał Hegel.

- Tak – warknął Ennio.
  - Niech mnie diabli – odpowiedział Hegel.
  - A jak mam zwracać się do ciebie? – zapytał Ennio.
  - Jestem Hegel, a to mój brat, Manfred, my obaj są Grossbartowie.
  - Bynajmniej nie kłamią. – Wąsacz się uśmiechnął.
  - A to co niby miało znaczyć, mysi wąsiku? – Manfred spiorunował wzrokiem mężczyznę, który odpowiedział mu pustym spojrzeniem.
  - To jest Alphonse – powiedział Ennio – a jego kuzyn nazywa się Giacomo. Kuzyni spojrzeli na braci z większym chłodem niż dotąd.
  - Alfons? – Manfred w uśmiechu wyszczerzył zęby do Hegla. – Od razu mi wyglądał na alfonsa, jak tylko żem na niego spojrzał. Zapytaj Hegla, od razu żem mu to powiedział.
  - Fakt – przytaknął brat, będąc myślami gdzie indziej.
- Grossbart i woźnica podeszli do drzwi prowadzących na tyły. Ennio je pchnął i wsunął świeczkę w ciemność. Hegel szedł za nim, pocąc się nie tylko z powodu miłego ciepła. Przeszli wąskim korytarzem i znaleźli na jego końcu kilka worków ziarna i beczek z rzepą. Kolejne zamknięte na zasuwę drzwi prowadziły w śnieżną pustkę, więc po otwarciu szybko zamknęli je z powrotem. Trzy zasłonięte kotarami otwory wejściowe wzdłuż korytarza prowadziły do pustych pomieszczeń z materacami ze słomy, i niczym więcej.
- Alphonse i Giacomo zauważyli półkę, na której zostało tylko kilka butelek, i każdy siadł z jedną przy ogniu. Manfred rozważał morderstwo, a potem zbeształ się, że nie schował tego, co nie zmieściło mu się do torby. Z tych dwóch Alphonse’a nie cierpiał trochę bardziej z powodu gęstej, czarnej czupryny, wąsów i policzków z dołeczkami kontrastującymi z potężną sylwetką. Chociaż wyraziste rysy twarzy, umięśnione ramiona oraz ciemna karnacja Giacomo także mu zgrzytały. Jak większość mężczyzn, którzy są brzydcy po obu stronach skóry, Manfred z zasady pogardzał przystojnymi ludźmi.
- Znalazłem nam dobre miejsce na nocleg – powiedział Hegel, wracając z korytarza na tyłach.
  - Tutaj, Grossbartowie – oznajmił stanowczo Ennio.
  - A to co znowu? – Hegel przystanął i odwrócił do mężczyzny, nadal wymachując oskardem.
  - My w pięciu będziemy spać tutaj, a ona będzie spała w tamtych pokojach –

powiedział Ennio, odwracając się z powrotem do korytarza.

Dodał coś jeszcze w rodzimym języku do Alphonse'a i Giacomo i z trzaskającym ogarkiem zniknął na tyłach.

– Ona? – powtórzyli jak echo Grossbartowie.

Giacomo pobladł i wypił spory łyk z butelki, a Alphonse mruknął coś pod nosem.

– Gadaj, Alfonsie – powiedział Manfred.

– Nie twój interes. – Strażnik przysunął się do ognia.

But Manfreda wywrócił do góry nogami stołek, zwalając Alphonse'a na podłogę. Mężczyzna zaczął się podnosić, ale Manfred od niechcienia załadował kuszę, przyciskając jej koniec do saczka Alphonse'a. Ręka zdumionego Giacomo wylądowała na głowni miecza, ale mężczyzna zamarł, kiedy zdał sobie sprawę, że oskard Hegla trafił pod jego podbródek – ostrze było zimne, kiedy uciskało mu jabłko Adama.

– Gadaj, Alfonsie. – Manfred się uśmiechnął.

Alphonse spojrzał na Giacomo, który zaczął na niego krzyczeć, żeby robił to, co mu każą ci obłąkani bandyci. Grossbartowie nie aprobowali rozmów w nieznanym im języku, więc Hegel docisnął swoje narzędzie na tyle mocno, żeby nakłuć gardło Giacomo. To natychmiast go uciszyło; teraz tylko wwierał się wzrokiem w kuzyna. Jeszcze będziemy mieli okazję załatwić tych dwóch cudzoziemskich łajdaków, pomyślał Alphonse, i zrobił, co mu Manfred kazał.

– Ta kobieta to... To kobieta Alexiusa Barousse'a – powiedział Alphonse, mając nadzieję, że to wystarczy.

Nie wystarczyło.

– A kim on jest? – naciskał Manfred werbalnie i dosłownie, celując teraz bełtem w kaftan Alphonse'a.

– To *capo*, ehm, kapitan żaglowca – wydukał Alphonse. – W Wenecji. Ona jest jego, odebraliśmy ją dla niego i wieziemy do domu.

– A co ona robi w tych okolicach, hę? – zapytał Manfred.

– Była w... – Alphonse zagryzł usta, a potem prawie mu się udało znaleźć właściwe słowo: – ...w opacie. Przez kilka lat mieszkała w opacie w waszym cesarstwie, a teraz po nią przyjechaliśmy. Jeśli cokolwiek stanie się jej albo nam, on będzie was ścigał przez resztę życia i ukarze...

– A pewnie, rozumiem. – Manfred opuścił broń. – A teraz zamknij jadaczkę.

I żeby żaden z was nie zapomniał, że zawdzięczacie nam życie.

Hegel poszedł za przykładem brata, ocierając kroplę krwi z ramienia Giacomo i zaczepiając oskard z powrotem za pętlę u pasa. Giacomo rozluźnił się, dotykając szyi i obsypując gradem obelg Alphonse'a, który z kolei wyjaśnił, że bracia są pomyleni i trzeba się z nimi policzyć jak z pomyłkami. Jeśli nie teraz, to później.

– Mają zakonnice? – zapytał brata Hegel.

– Ani chybi słodki kasek, który chciał trzymać pod kluczem, dopóki żona go nie odumrze albo coś podobnego. Nie mówią, córka, siostra czy co podobnego, ale kto tam wie. Gadka Alfonsa jest trochę przykra dla ucha. – Manfred ostrożnie dotknął własnego przyciętego organu słuchu.

Ennio wrócił z korytarza na tyłach blady i drżący. Alphonse i Giacomo odezwali się jednocześnie, ale Manfred trzepnął Alphonse'a w ucho, zachęcając go, żeby mówił jak należy albo zamilkł. Ennio zmrużył oczy, patrząc na braci, ale robił wrażenie rozkojarzonego. Pośpieszył do drzwi, upewnił się, że zamknięto je porządnie na zasuwę i przyciągnął do ognia jeszcze jedną ławę. Ośmioro oczu czekało na jego następny ruch. Westchnął i pozbawił Alphonse'a butelki.

– Idź, przynieś worek z ziarnem i zrób owsiankę – polecił mu zmęczonym głosem.

Alphonse marudził po cichu, ale poszedł na tyły.

– Grossbartowie – odezwał się Ennio – wszelkie zapytania powinniście kierować do mnie, a nie do moich towarzyszy, ponieważ nie udzielą wam żadnych konkretnych odpowiedzi.

– Nie wiem, czy to wszystko prawda – odpowiedział Manfred. – Kim jest ta dziewczyna dla tego kapitana? Krewna czy powinowata?

– To nie twój interes, zapewniam – odpowiedział Ennio i, marszcząc brwi, spojrzał na Alphonse'a, który właśnie wrócił.

– Może tak, a może nie – odpowiedział Manfred, zdejmując gulasz z ognia, po czym postawił go na ławie.

Hegel nie marnował czasu i od razu wziął się do dzieła, zanurzając miskę za każdym razem, kiedy brat nie siorbał akurat wprost z kociołka. Trzej cudzoziemcy ugotowali i zjedli owsiankę w pełnym zazdrości milczeniu.

Kiedy potrawka zniknęła, Grossbartowie zerknęli na owsiankę. Hegel raczej

oznajmił, że mają pozwolenie niż o nie zapytał, po czym bracia ją także dojedli. Przyjemnie wzdęci wyciągnęli się przy ogniu i sączyli *Schnapsy*. Nawet Alphonse i Giacomo robili wrażenie, jakby zapomnieli o sprzeczce, szeptali do siebie i uśmiechali się po pijacku. Przez wzgląd na owsiankę bracia przymknęli na to oko. Ennio zniknął w tylnym korytarzu i wkrótce wrócił ze świeżym mrozem na kapeluszu. Usiadł z westchnieniem.

– Śnieg przestał padać – oznajmił w końcu – a księżyc jest prawie w pełni, można się rzeczywiście rozejrzeć.

– No, to musi być coś, bo inaczej byś gęby nie otwierał – uznał Manfred.

– Żadnych świateł. – Ennio przeturlał butelkę z ręki do ręki. – Nie byłoby to takie dziwne, gdyby wszyscy byli tutaj, ale nie są.

– A co z klasztorem? – zapytał Manfred.

– Ciemno. Ale widać go w świetle księżyca. Zwykle można wypatrzeć jakieś światła, zwłaszcza jeśli mają ucztę, święto albo inny powód, dla którego całe miasto by się do nich udało. – Ennio napił się z butelki, a sposób, w jaki Alphonse słuchał i mówił, sugerował, że Giacomo wszystko tłumaczy.

Alkohol przytępił obawy Hegla związane z miasteczkiem, ale nadal dręczyły jego głowę i serce. Grossbart zamyślił się. Wiedział, co będzie potem, ale nie chciał tego słyszeć. Coś w niewidzianej kobiecie w głębi gospody też działało mu na nerwy. Chciałby rzucić na nią okiem i przekonać się, czy to mu pomoże, ale szczerze w to powątpiewał.

– W takim razie wyjdziemy i rozejrzemy się, zapukamy do paru drzwi dla pewności i wespiemy się do klasztoru. Nawet w śniegu to tylko kawałek drogi. – Ennio odstawił butelkę na podłogę i wstał, patrząc na czterech wahających się mężczyzn.

Hegel przerwał ciszę śmiechem, zaskoczony, że brat do niego nie dołączył. Dochodząc do siebie, otarł oczy.

– Miłej zabawy! A my z Manfredem zadbamy, żeby tu nic złego się nie stało.

– Grossbartowie – tłumaczył cierpliwie Ennio – musimy odkryć, dlaczego wszyscy zniknęli. Ta nieobecność jest nienaturalna. Całe miasteczka nie znikają bez powodu.

– No i? To niczego nie zmieni, niezależnie od tego, gdzie wszyscy poleżli. Nie możemy jechać na kucykach tymi drogami w świetle księżyca, więc i tak musimy tu posiedzieć, póki chociaż kur nie zapieje. – Hegel napił się, nie mogąc

sobie przypomnieć, kiedy równie niechętnie myślał o spacerze w świetle księżyca.

– Hegel... – zaczął Ennio, ale Manfred wszedł mu w słowo.

– Są tu jacyś księżęta albo panowie?

– Nie – odpowiedział Ennio, nie dostrzegając związku.

– A kto wybudował klasztor? – dopytywał się Manfred.

– Wygląda bardziej na twierdzę albo fortecę niż kościół, więc możliwe, że żył tu jakiś diuk albo hrabia. Ale to by było dawno temu, jak mniemam, bo w przeciwnym wypadku mnisi by tu nie zamieszkali. Myślicie, że ktoś wydał jakiś rozkaz i stąd brak ludzi? – Ennio ożywił się, nie do końca pewien, co sugeruje Manfred.

– A tam – prychnął Grossbart – ale skoro żeście byli tacy dobrzy i żeście nas podwieźli, ja i moja pokorna rodzina możemy przynajmniej rozejrzeć się po mieście razem z wami.

– Diabła tam, Manfred, nie będziemy... – Na widok błysku w oku brata Hegel urwał.

Znajomy wyraz twarzy Manfreda naprowadził Hegla, a pijacki entuzjazm przewyciężył jego niepokój. Przeklinając własną tępotę, powiedział:

– Ani chybi, masz rację. Ja żem był samolubny. Bardzo to nieżyczliwe z mojej strony.

– Zgadza się, bracie – zbeształ go Manfred. – My tu są, by pracować na rzecz Maryi. A to jasne jak diabli, że Ona chce, byśmy pomogli naszym przyjaciołom. – A potem przeszedł na ich prywatny język i dodał: – Poza tym, mnisi prędzej będą porządnymi ludźmi niż przeciętny księżulo. Większość z nich to śmieci, pewnie, ale zawsze lepiej zgrzeszyć nadmiarem ostrożności i pomóc im na wypadek, gdyby dobrze żyli z Najświętszą Panią.

Ennio wzruszył ramionami i przygotował się do wyjścia. Był dość mądry, żeby zorientować się, że chociaż Grossbartowie z pewnością pracują dla własnej korzyści, nic nie może na to poradzić. Poza tym, gdyby planowali morderstwo, Alphonse i Giacomo już by nie żyli, a bracia rzuciliby się na niego, nie szukając żadnego pretekstu. Kuzyni byli wniebowzięci, że mogą zostać, bo nie chcieli mieć nic wspólnego z Grossbartami w opuszczonym miasteczku w czasie pełni.

Żaden wiatr ani śnieżycy nie zakłócały marszu braci, ale mróz przegryzał im się przez brody. Wzięli świeczki z knotem z sitowia, ale na razie trzymali je za

zuchwę. Księżyc odbijał się upiornie od śniegu. Za każdym razem, kiedy Ennio krzyknął wśród ciszy albo zapukał do drzwi, Grossbartowie musieli tłumić chęć dzielenia idioty przez łeb.

Miasteczko składało się z mniej niż tuzina budynków po obu stronach drogi, ale wysokie po kolana zasy spowalniały ich marsz. Wysoki kamienny mur otaczający domy kończył się drugą drewnianą bramą i zamiast szarpać się z nią, wspięli się wygodnym przełazem i zeskoczyli po drugiej stronie.

Tutaj droga wiła się zakosami po zboczach ponurej góry i za kilkoma zakrętami wznosiła się sylwetka klasztoru. Nie odzywali się, powoli brnąc przez śnieg, aż minęli ostatni zakręt i zbieżyli na ścieżkę prowadzącą prosto do czarnej budowli. Droga biegła dalej po stoku góry z widokiem na miasteczko, a księżyc świecił tak jasno, że dostrzegli karcznię, mury miejskie i góry, przez które przejechali.

Po lewej stronie mury klasztoru wrastały w urwisko, które wznosiło się wśród cieni i sprawiało, że po tej stronie nie były potrzebne żadne dodatkowe fortyfikacje. Po prawej mur przebiegał wzdłuż przepaści na drugim końcu naturalnej półki, przesłaniając widok na leżący w dole Rouseberg. Klasztor również przylegał do pionowego zbocza, a szeroka przestrzeń między prawą flanką gmachu i otaczającym go murem wskazywała, że tereny przyklasztorne rozciągają się także za wyniosłą centralną budowlą. Ignorując małe drewniane budyneczki wzdłuż murów, Ennio wyszedł naprzód i złożył ręce przy ustach, żeby zawołać mnichów. Hegel przyłożył mu w ucho.

– Stul dziób – uciszył go.

– Gdzie jest cmentarz? – szepnął Manfred.

– Hę? – Ennio zerkał to na jednego, to na drugiego.

– Cmentarz – powtórzył Hegel. – Kierchów? Miejsce wiecznego spoczynku? Groby? No wiesz, jak mogiłki, ale z płytami nagrobnymi.

– Nekropolia? – Ennio zmrużył piwne oczy tak, że wyglądały jak migdały. – A jaki interes tam macie?

– Nasz prywatny – odgryzł się Manfred.

– Ale co można znaleźć w takim miejscu? – spytał Ennio, wzdrygając się.

– W grobie znajdziesz wszystkie odpowiedzi – orzekł tonem mędrca Hegel.

– Nie wiem, gdzie jest – odpowiedział Ennio. – Jeśli to był kiedyś zamek, mogą mieć kryptę w podziemiach.



– Trza zaryzykować – powiedział Manfred na widok troski na twarzy brata.

Hegla znowu przeszły wiedźmie ciarki i to jeszcze silniejsze od tych, które miał w miasteczku.

– Może lepiej sobie darować – powiedział, rozglądając się nerwowo.

– Najpierw musimy sprawdzić drzwi i spróbować dostać się do środka – orzekł Ennio, któremu ulżyło, że Hegel stanął po jego stronie.

Ludzie zdrowi na umyśle nie gmerają po grobach nawet w spokojnych czasach, nie wspominając już o nocy pełni księżyca, w podejrzenie opustoszałym miasteczku, daleko w skutych lodem górach.

– Nie bredź! – warknął Manfred. – Sprawdzimy na tyłach. Jeśli tam nie znajdziemy cmentarza, to wyważymy okno i poszukamy piwnicy. Nie zapominaj, kim jesteś, Heglu Grossbarcie.

Determinacja Hegla wzrosła, kiedy usłyszał swoje imię i nazwisko. Łupy czekały, a on zasugerował, żeby je porzucić, zostawić ziemi. Przepchnął się obok Ennia, uznając, że udzieliło mu się tchórzostwo cudzoziemca.

Ennio z ponurą miną poszedł za Grossbartami, przechodząc między drewnianym budynkiem i bokiem właściwego klasztoru, który, spiskując przeciwko nim, przesłonił księżyc. Słysząc było tylko skrzypienie śniegu. Kiedy znów zalało ich księżycowe światło, znaleźli się na kolejnym rozległym dziedzińcu, gdzie stał tylko jeden budynek gospodarczy, ustawiony przy tylnej części muru, w miejscu, gdzie fortyfikacje skręcały w stronę urwiska. Cała trójka podeszła do niewielkich drzwiczek w ścianie obok budynku.

Ciepła bryza zmroziła im krew, kiedy stanęli w progu, cuchnący wiatr wiejący zza ich pleców. Odwrócili się jak jeden mąż, ale zobaczyli tylko tyły klasztoru i własne ślady na śniegu, prowadzące w ciemność. Gryzący smród zapiekł ich w oczy i wszyscy natychmiast rozpoznali odór gnijącego mięsa. Podmuch osłabł, ale smród pozostał. Ennio zrobił krok w stronę klasztoru, kiedy Manfred cicho zagwizdał.

Za drewnianymi drzwiczkami na skalnej półce rozciągał się cmentarz, z urwiskiem wznoszącym się z jednej strony i opadającym z drugiej, aż zwężająca się półka zniknęła w ścianie góry. Krzyże i inne nagrobki wystawały ze śniegu jak szczątki z powodzi. Kilka bladych pagórków wznosiło się koło największego kopca. Dla każdego innego była to jeszcze jedna nieokreślona bryła w zaspie, ale Grossbartowie natychmiast rozpoznali grobowiec.

Pośpiesznie przeszli cmentarz, uderzając butami i kolanami o zasypane nagrobki, a Ennio, potykając się, poszedł za nimi.

Widać było, że kamienne drzwi stały nietknięte od wieków. Ennio oparł się o nie. Pożądliwym wzrokiem patrzył, jak Hegel wyciąga z torby butelkę i wypija łyk, a potem podaje ją bratu. Manfred gołnął sobie i odstawił butelkę w śnieg koło stóp. Kiedy bracia badali drzwi, konsultując się ze sobą w prywatnym dialekcie, Ennio sięgnął po ich *Schnapsa* gestem, który, jak miał nadzieję, wypadł naturalnie, i przykucnął w śniegu, zamiast siadać na grobie.

Wypił potężny haust i pomyślał o pewnej damie z Wenecji, która potrafiłaby sprawić, że zapomnieliby o tajemniczych miastach, dziwnych pasażerach i lodowatej nekropolii. Pomyślał o jej oliwkowej cerze i zielonych oczach, o tym, jak słodko droczyła się z nim, kiedy udawał, że zostawił sakiewkę w domu. I wtedy zobaczył, że Hegel wyciąga łom z torby i wciska go w szczelinę przy drzwiach do grobowca. Zadławił się trunkiem.

– Co ty robisz? – wycharczał.

– Przymknij się – odpowiedział Manfred.

– Ani drgnie – mruknął Hegel z czerwoną twarzą i pobladłymi kłykciami.

– Zamierzacie tam wejść? – wykrztusił z siebie Ennio.

– Rozumie się, że tak – odparł Manfred, odkopując śnieg spod drzwi.

– Gotów? – zapytał Hegel, odkładając łom.

– A pewnie. – Manfred westchnął. – Ale załatwili nas na cacy. Co o tym myślisz?

Hegel przykucnął obok brata. Solidne kamienie i zaprawa zabezpieczały drzwi u dołu. Ale nie do takich grobowców Grossbartowie wchodziłi. Grzebali w torbach, podczas gdy Ennio krążył wokół nich, patrząc na nich z przerażeniem.

– Co wewnątrz powie nam o mieście? Albo o tym smrodzie przy bramie? – dopytywał się.

– Nic – odpowiedział Hegel, wyciągając młotek i dłuto Manfreda.

– Albo i mniej – dodał Manfred. – Wewnątrz grobowca rzecze tylko o przyszłości, nie o przeszłości.

– To powszechnie panujące błędne wyobrażenie – przytaknął mu Hegel, ustawiając dłuto.

– Co? – Enniowi zakręciło się w głowie. – Co za bzdury wygadujecie?

– Widzisz – powiedział Manfred, unosząc młotek – zawartość tego oto kamiennego domostwa powie nam, co nas czeka. Jeśli jest pełne bogactw, będziemy bogaci, jeśli nie, to nie.

– Rzecz jasna, stoi za tym jeszcze głębszy podtekst – dodał Hegel, wyciągając własne dłuto i posługując się płaskim końcem oskarda w zastępstwie młotka. – Nawet jeśli grobowiec jest pusty, trza nam zdobyć tyle praktyki, ile się da, zanim dobierzemy się do tego, co mają niewierni. Słyszałem, że trza się nieźle napocić, żeby się do nich dostać.

Obaj uderzyli w tej samej chwili. Metal zabrzączał w ciszy. Bracia się uśmiechnęli – znajomy dźwięk był niczym balsam kojący wiedźmowe ciarki i zwykły dreszcz od zimna. Brzęk powrócił słabym echem. Uderzyli znowu, aż kamień odprysnął od grobowca.

Ennio wyrzucił z siebie wiązkę cudzoziemskich przekleństw, ale zaraz się opanował.

– Zamierzacie okradać zmarłych? Bezcześcicie groby!

– Ennis... – zaczął Manfred.

– Ennio – poprawiał go Hegel, rozbijając kamieniarkę.

– Ennio – kontynuował Manfred – nawet półgłówek wie, że to nie kradzież, gdy bierzesz od zmarłych.

– Tak jak gwałt nie odbiera dziewictwa – dodał podekscytowany Hegel, przekonany, że gwałt zadany rękami Nicolette też tak się kwalifikował.

– Właśnie – przytaknął Manfred, znowu opuszczając młotek.

– Czeka was wieczne potępienie! – wybełkotał Ennio. – Tego grzechu nie da się cofnąć!

– Zbieramy dziesięcinę – wyjaśnił Hegel.

– Wykonujemy Wolę Maryi. – Manfred odkuł kolejny odłamek kamienia.

Ennio się odwrócił.

– Nasze ścieżki rozdzielają się tu i teraz. Przenocujcie tutaj, bo nie wpuścimy was do naszego schronienia.

– Wytyczasz granice – oznajmił Manfred, nie odrywając wzroku od wykonywanego zadania.

– To nigdy nie jest mądre – mruknął Hegel, mozoląc się z upartym kawałkiem kamienia.

– Bo wtedy my je przekraczamy – dokończył Manfred.

Minęło wiele lat, odkąd położono tę zaprawę, o czym świadczyła łatwość, z jaką się kruszyła. Kolejny dowód Jej Łaski.

Ennio sklął ich i powlókł się w stronę bramy klasztornej. Krzywił się, słysząc dzwonięcie narzędzi Grossbartów. Pięćdziesiąt kroków od drzwi prowadzących na tereny opactwa zobaczył, że drewniana furтка odchyliła się do środka. Nie powiał żaden wiatr, a jednak smród znowu przeniknął nieruchome powietrze, zagładając przez czarną dziurę w murze.

Z furteki wynurzył się mężczyzna. Jego naga skóra jaśniała w księżycowym blasku. Od pasa w dół miał zwierzęcą postać, a do tego chrząkał złowieszczo. Ennio cofnął się chwiejnym krokiem w stronę cmentarza, błagając oporny głos, by wezwał na pomoc braci Grossbart.

## X

# ŚWIEŻE TROPY I DOBRE INTENCJE



Heinrich brnął przez śnieg, a jego odmrożone stopy przestały być zimne i stały się odrętwiałe, aż w końcu zaczęły go palić. Oczywiście nie natknęli się na wałęsające się konie i – oczywiście – Egon zawrócił po tym, jak dostarczył Heinricha do oszronionych głazów w miejscu, w którym zaczynała się właściwa droga prowadząca przez góry. Wspomnienie bezradnej twarzy przyjaciela wyblakło, jakby rozstali się lata temu, a nie kilka dni wcześniej. Egon błagał go, żeby zawrócił, zima nadchodziła zbyt szybko, by zaryzykować przeprawę przez góry, ale Heinrich nie ustępował.

Stalaktyty zmrożonego potu, łez i smarków kołysały mu się na wąsach, ale on zmuszał się, żeby iść dalej, nawet kiedy zdał sobie sprawę, że zachodzące słońce najpewniej jest zwiastunem jego końca. Musi ich złapać, zanim zamarznie. Musi.

Śnieżyca raczej narastała niż ustępowała, a mglista kula oświetlająca mu drogę stawała się coraz mniej wyraźna, w miarę jak opadała między szczytami na prawo od Heinricha. Miał dość rzepy (której nie cierpiał), żeby wyżywić się przez kolejny tydzień, ale bez drewna na podpałkę miał małe szanse przetrwać, nawet z kocami. Jednakże Opatrzność zaprowadziła go tak daleko, a on nie ustawał w modlitwach, żeby złoczyńcy pojawili się na drodze przed nim, nawet jeśli ich adresat stawał się coraz mniej konkretny.

I nagle pośród całunu śniegu i zmierzchu dostrzegł cień siedzący na głazie. Trąc przekrwione oczy, chwiejnym krokiem ruszył w jego kierunku i wyciągnął długi sztylet. Zważywszy, że Grossbartowie zostawili go, by cierpieć w samotności, może było mu pisane zabić tylko jednego, żeby drugi cierpiał tak samo jak Heinrich, zbolały i osamotniony. Próbował zaszarżować, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zdolne tylko szurać po zlodowaciałych kamieniach.

Nagle przystanął, wzrok mu się zamglął z rozpaczy i Heinrich padł na kolana. Postać odwróciła się i już dłużej nie mógł się oszukiwać, ponieważ opatulona stara kobieta z pewnością nie przypominała żadnego z Grossbartów. Jego wyczerpanego umysłu nie zastanowiło, dlaczego siedzi na skale tak daleko od wszystkiego – z wyjątkiem zamarznienia na śmierć. Myślał tylko o swojej porażce. Słońce zanurkowało za górami, a on jakimś cudem odnalazł siłę, żeby wstać i pomaszerować naprzód.

– Hola! – powiedziała starucha, kiedy ją minął. – Przez całe mile nie ma tu niczego poza wilczymi legowiskami, a nawet one będą zajęte w taką noc. Dlaczego nie porzucisz drogi i nie pomożesz starowinie dojść do jej chaty?

Heinrich zatoczył się jak pijany, ale jego przyćmiony rozpaczą umysł nie pozwolił, by w jego myśli wkradła się logika. Jeżeli będzie szedł dalej przez noc, dostrzeże ich ognisko i weźmie ich przez zaskoczenie. Na pewno są tylko kawałek dalej.

– Nie? – Kobieta westchnęła. – Wobec tego jeszcze jedna stara żona umrze przez Grossbartszczyznę, a z maluchami w moim brzuchu, czemu nie, jeszcze dwie niewinne duszyczki.

Heinrich przystanął, śnieg zbierał mu się na tobołku.

– Co?

– Słyszałeś – zarechotała, a jej śmiech był jak lód pękający pod nogami na zamarznętej rzece. – Słyszałeś, gospodarzu Heinrich, kopaczu rzep, tak jak słyszałeś, jak twoje maluchy piekły się żywcem w domu, który dla nich zbudowałeś.

Wywijając nożem, Heinrich zatoczył się z powrotem w stronę kobiety, rozgorączkowany nienawiścią i pomieszaniem.

– Pomóż starej kobiecie wrócić do domu – powtórzyła. – Jeżeli pragniesz zobaczyć, jak Grossbartowie cierpią i błagają, nie masz innego wyjścia. Za bardzo cię wyprzedzają, żebyś dogonił ich pieszo, a z każdą chwilą wydłuża się droga oddzielająca cię od nich. Jednakże istnieją sposoby, by ich odnaleźć, Heinrich, sposoby, które ja dobrze znam.

Heinrich stał przed nią ze sztyletem przymarzającym do spoconej dłoni. Zęby mu szczękały. Oczy staruchy były jak czarne punkty na szorstkiej twarzy i z miejsca pojął, że jest albo czarownicą, albo duchem. Przygnębiony ponad wszelką miarę, próbował sobie przypomnieć księdza z parafii, który upierał się,

by pozostawić ukaranie Grossbartów w rękach Boga. Skinął starusze głową. Całe życie świętej zgrozy przekonało go, że bez spowiedzi na łożu śmierci piekło może być jedynym miejscem, gdzie znowu ujrzy swoją Gertie, dziewczynki i biednego Brennena.

Starucha wstała, wspierając się na lasce, i razem zaczęli brnąć drogą. Heinrich wytrzymał niecałą milę, zanim nogi ugięły się pod nim i padł w gęstniejącym śniegu. Słyszał, jak kobieta przemawia pieśczośliwie w ciemnościach i coś tak zimnego, że aż parzyło, przycisnęło mu się do ust. Był w wieku Brennena, kiedy ostatni raz pił prosto z wymienia krowy, ale jego dźiąsła pamiętały, jak nakłonić mleko, by popłynęło, a z pierwszą kroplą poczuł, że ciepło powraca mu do kończyn. Jego ręka powędrowała do obwisłego biustu i ścisnęła, chociaż pierś była zimna jak lód. Jego siorbanie wymieszało się z narastającymi jękami staruchy. Znajdujący się nieopodal niedźwiedź wycofał się w górę zbocza w poszukiwaniu mniej złowieszczej zdobyczy.

– Dość – powiedziała, głaszcząc Heinricha po przyprószonych śniegiem włosach – to już nie dla ciebie.

Heinrich zakwilił, kiedy wydarła mu zwiędły sutek i zerwał się w pogoni za nim. Chmurna mina czarownicy sprawiła, że przemyślał sprawę. Znowu ruszyli razem. Nienaturalnie orzeźwiony zszedł za czarownicą z drogi w dół górskim zboczem, widząc w kotłującej się śnieżycy tylko jej przygarbione plecy. Tej nocy kluczyli wśród lodowych szczelin, zdradzieckich nawet w słoneczne lato, wspinali się po pionowych skalnych ścianach bez żadnego wypadku i dotarli do jej leśnej doliny tuż przed świtem.

## XI

# PRZYGODA Z HUMORAMI



**B**racia zaparli się o siebie i łom zrobił swoje. Płyta pełniąca rolę drzwi zazgrzytała i jęknęła, ale zawiasy nadal stawiały opór. Jeszcze jedno pchnięcie i udało się im; kurzu nie można było odróżnić od kłębiącego się śniegu. Kiedy Hegel otwierał drzwi na oścież, Manfred próbował zapalić świecę z wieprzowego łoju, którą ukradł z domu Heinricha, i wtedy zza kopca wybiegł Ennio, dysząc i bełkocąc.

– Coś ty... – Manfred urwał w pół zdania.

Heglowi jądra cofnęły się do brzucha i prawie zemdłał, gdy trwoga, którą już uciszył, powróciła ze straszliwą siłą. Odwrócił się powoli, by ujrzeć przyczynę swoich przeczuć. Ennio na czworakach smyrgnął koło jego nóg do grobowca. Nagi mężczyzna siedzący okrakiem na ogromnym wieprzu powoli jechał przez cmentarz w ich stronę. Zęby mu się skrzyły.

Wraz z nim napłynął smród, który wstrząsnął żołądkami wszystkich zgromadzonych. Manfred spojrział wilkiem na przybysza i wyjął maczugę z pierścienia przy pasie. Hegel potrząsał głową i łomem, gotów iść w ślady brata. Mężczyzna i świnia zatrzymali się między śnieżnymi pagórkami – czworo czarnych oczu lśniących wśród nocy. Gapili się na Grossbartów, a Grossbartowie gapili się na nich. Ennio skamlał w grobowcu.

– Witajcie! – zawołał mężczyzna.

– A pewnie – odpowiedział Manfred. – Czego chcesz?

– Chcę – odparł powoli mężczyzna – dowiedzieć się, kim jesteście i co zamierzacie, zakradając się tu w środku nocy i otwierając grobowiec.

– My są Grossbartowie – wyjaśnił Manfred. – Jak myślisz, czego chcemy? I co robisz na tej świni?

– Czemu on jest całkiem голуśki? – zapytał brata Hegel.

– Chcecie okraść zmarłych, jak mniemam – powiedział mężczyzna. – Jeżdżę



na tym zwierzęciu, bo mi to odpowiada i zawsze wypada roztropnemu człowiekowi mieć czego się chwycić w trudnej chwili. A jestem nagi, bo noc jest spokojna, a chłodne powietrze dobrze mi robi na skórę.

– Pełnia – syknął Hegel, a Manfred pokiwał głową.

– A pewnie, pewnie, skoro więc rozumiesz sytuację, powinienes wiedzieć, że teraz potrzebujemy tu chwili spokoju. A ty się zaziębisz na śmierć, jak będziesz tak paradował bez koszuli. – Manfred wiedział, jak sobie radzić z pomyłkami.

– Nie ma się co śpieszyć, nie ma się co martwić. – Świnia usiadła, a mężczyzna zlął niezgrabnie z jej grzbietu.

Zachwiał się w śniegu; cały czas biła od niego chmura pary, jakby się tlił.

– Jesteś z klasztoru? – zapytał Ennio, opamiętawszy się w końcu.

Stanął w progu tak, żeby Grossbartowie oddzielali go od przybysza.

Hegel powoli się schylił i podniósł naładowaną kuszę ze stopnia za bratem.

– Ostatnio, owszem. – Mężczyzna szedł chwiejnym krokiem, ale jakoś trzymał się na nogach, powoli zbliżając się do braci.

– I wiesz, gdzie są mieszkańcy miasteczka? – dopytywał się Ennio.

– Oczywiście. Są w środku.

Świński jeździec dostał nagle ataku kaszlu.

– No i? – Ennio oparł się jedną ręką o ramię Hegla, ale ten grzotnął go łokciem, przypominając mu, żeby nie podchodził zbyt blisko.

– No i? – Mężczyzna doszedł do siebie.

– Słuchaj, szurnięty łapserdaku, on pyta, gdzie się wszyscy podziali i dlaczego, więc albo mu powiesz i zbierzesz dupę w troki, albo od razu stąd spieprzaj. – Manfred słynął z wielu cech, ale nie z cierpliwości.

– Zszedłem z gór – powiedział mężczyzna, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Niesamowite – odparł Manfred. – Aby na pewno? Cud nad cudami.

– On już był ze mną albo ja z nim, nieważne. Zeszliśmy więc razem.

Trzej mężczyźni zerknęli na zwierzę, a wariat opowiadał dalej:

– Zjawiliśmy się, a oni nas powitali, mimo wszystko, i nas przyjęli. A kiedy wszyscy do nas dołączyli, nawrócili się, jeśli tak wolicie, wtedy wezwaliśmy resztę. Określony rytm bicia w dzwony sprawił, że wszyscy zjawili się pędem, z dziećmi, psami, żonami, i to był koniec. – Mówiąc to, powoli i chwiejnie szedł w ich stronę.

– Bliżej już nie podejdziesz, chyba że chcesz zobaczyć, co tu jest w okolicy pod śniegiem. – Manfred zamienił maczugę na kuszę.

Po raz pierwszy uśmiech mężczyzny przygasł.

– Proszę, zwykły koc mnie uratuje. Pozwolicie zmęczonemu wędrowcowi zamarznąć? Skrawek ubrania, błagam.

– Ejże, a to co znowu? – odezwał się Hegel. – Już żeśmy okazali dość wyrozumiałości, pozwalając ci wsiąść z powrotem na zwierzę i odjechać, jak tu przyjechałeś. Klasztor jest blisko, tam ogrzej kości.

– Co masz na myśli – zawołał Ennio, podnosząc głos – mówiąc „i to był koniec”? Coś tu jest nie tak, Grossbartowie. Gdzie są mnisi i ludzie z miasteczka? Na co się nawrócili? Co się skończyło?

– Mam na myśli – wyjaśnił mężczyzna już bez cienia humoru – że to był ich koniec. Spoczywają w środku, jak i wy spoczniecie.

– To czarownik! – wrzasnął Ennio.

Mężczyzna chciał się rzucić do przodu, ale Grossbartowie demonstracyjnie zważyli w dłoniach kusze, więc przystanął, gotowy do skoku.

– Jesteś mnichem? – spytał Hegel.

– Nie.

– To załatwia sprawę. – Manfred wzruszył ramionami i obaj strzelili.

Jeden beł trafił przybysza w opuchnięty brzuch, a drugi w szyję. Mężczyzna bezgłośnie przewrócił się do tyłu, krew siknęła ku nogom braci. Nieznajomy rzucał się konwulsyjnie na śniegu, a Świnia podreptała ku niemu i zaczęła obwąchiwać jego rany.

Bracia i Ennio ostrożnie podeszli do rozdygotanego ciała, każdy z bronią w rękę. Hegel poczuł się jeszcze gorzej niż wcześniej, wnętrzości mu się zacisnęły. Mężczyzna mamrotał w delirium, obmacując świński ryj. Ennio przyklęknął obok niego, ale niezbyt blisko.

– Co on gada? – zapytał Manfred, rozpoznając w bredzeniu ten sam język, w którym Ennio zwracał się do swoich strażników.

– Błaga, żeby go nie zostawiać – odpowiedział Ennio. – Daleko podróżowali, a on zawsze był posłuszny swojemu pan... – Ennio odturlał się z piskiem. – Świnia! Świnia!

– Co z nią? – zapytał ostro Manfred.

– *Porco* to jego pan, ta Świnia to Szatan! – Ennio wierzgał w śniegu, próbując

się odsunąć, byle dalej od świni.

– Hm.

Manfried słyszał, że Szatan potrafi przyjąć postać kota, ale nigdy świni. Z drugiej strony, mężczyzna musiał pochodzić z tego samego miejsca co Ennio, więc może Szatan inaczej działał w papieskich krainach. W najgorszym wypadku zyskamy bekon, pomyślał Manfried i zaatakował zwierzę. Świnia zauważyła go i czmychnęła.

Ennio podniósł się i dołączył do pogoni; obaj z Manfriedem ścigali świnię po zasypanym śniegiem cmentarzu. Hegel jednak nie mógł oderwać oczu od umierającego człowieka. Stojąc blisko niego, dobrze widział jego rysy. Mężczyzna potwornie śmierdział, a twarz miał w ranach i plamach. Mroczne podejrzenie ogarnęło Hegla, więc przykucnął, żeby lepiej się przyjrzeć.

Stryj Grossbartów nauczył ich, żeby najpierw sprawdzać pod pachami i za mieszkim w kroczu. Oczywiście, zarówno król, jak i niewolnik powinni zostać spaleni, ale w praktyce wielu tych, którzy powinni wylądować w płomieniach, zakradało się do rodowych ziem dzięki pełnym najlepszym intencji potomkom. Ich grobów należało unikać, chyba że ktoś chciał ściągnąć na siebie nieszczęście, zanim jeszcze sprawdzi okoliczne groby w poszukiwaniu mniej niebezpiecznych łupów.

Jasny księżyc ukazał fioletowawy odcień opuchniętych guzów pod pachami martwego mężczyzny – były o wiele większe niż Hegel myślał, że to możliwe. Wzdrygnął się, gdy odór bijący od mężczyzny stał się złowieszczy. Zobaczył, że brat i Ennio pędzili za świnią z powrotem w jego stronę.

– Manfried! – ryknął Hegel, odsuwając się od trupa – To zaraza!

– He? – Manfried potknął się i Świnia znowu wymknęła mu się spod maczugi.

– Zostaw ją! – Głos Hegla dudnił nad doliną. – Pomór! Ona roznosi pomór!

Manfried zamarł i zaraz przekoziółkował, kiedy Ennio wpadł mu na plecy. Grossbart wstał, kopnął Ennia kilka razy, po czym otrzepał się ze śniegu i wrócił do brata stojącego koło drzwi grobowca. Świnia leżała w śniegu obok martwego mężczyzny, podejrzliwie obserwując Manfrieda.

– Zaraza? – Manfried otarł pot z twarzy, wzrokiem wędrując do ciała.

Hegel z powagą pokiwał głową.

– Dymienice wielkie jak moje pięści.

- To wyjaśnia, dlaczego wygadywał bzdury.
- Tak?
- A pewnie, człowiekowi wszystko miesza się w głowie.
- Gdzieżeś ty słyszał...
- On się rusza! – wrzasnął Ennio, oparty o kamienny krzyż.
- Hm?

Grossbartowie spojrzeli i rzeczywiście, mężczyzna wygiął się w łuk i zaczął się rzucać. Lewe ramię spuchło mu i poczerniało, z ust popłynęła piana. Krew pociekła z miejsc, w które wbiły się bełty, a potem zaczęła tryskać dalej, niż to powinno być możliwe.

– To wygląda dla ciebie normalnie? – zapytał ostro Hegel, ale Manfred tylko się gapił.

Zaciekawiona Świnia pociągnęła nosem, przysuwając się, a potem zakwicziała przenikliwie i uciekła przez cmentarz. Pacha opuchła nieznanemu gwałtownie, a on sam zwymiotował na siebie. Smród rozkładu przybrał na sile, gdy mężczyzna wypróżniał się każdym otworem w ciele. Potem przeturlał się na bok z lewą ręką wygiętą za głowę i pulsująca dymienica wybuchła, a wydzielina z niej zasyczała na śniegu.

– A gdzie tam, to nie wygląda naturalnie – przyznał Manfred.

Struga płynów z pachy przyśpieszyła i zgęstniała, a potem ropa, krew i żółć trysnęły w mroźne powietrze, tworząc unoszący się w powietrzu nad trupem wir humorów. Rosnąca masa płynów wydzielala mięsisty, piżmowy odór rozkładu, od którego wszystkim obecnym skręciły się włoski w nosie, i zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, coś zestaliło się w nierealnym wirze. Welon humorów rozdzielił się, kiedy chmury przesłoniły księżyc, ale noc oświetliła to, co powinna ukryć, jakby ciemność stała się czarnym słonecznym blaskiem. Trzej mężczyźni patrzyli i każdy zsuwał się do bezdennej jamy własnego umysłu.

Ciało wielkości i kształtu beczki sterczało w powietrzu za głową wielkości ludzkiej czaszki; płyty pancerza jeżyły się długimi włosami. Sześć gibkich, wielosegmentowych odnóży wystawało z tułowia, dwie tylne pary odgięły się wstecz i do góry, zanim opadły, by zostawić na trupie sercowate odciski swoimi przedziwnie delikatnymi kopytami. Przednie wyrostki funkcjonowały bardziej jak ręce niż nogi, chociaż, podobnie jak tamte, były długie i składały się z czterech segmentów. Para wypustek, które głaskały kępkę czułek długości

sztyletów, wystawała w miejscu nosa. Zobaczyli twardą, błyszczącą twarz stwora, wybałuszone ludzkie oczy, rogi i oklapnięte kozie uszy, drobne kolce biegnące grzebieniami wzdłuż policzków aż do wiązki sterczących czułek. Stwór zeskoczył niezgrabnie na śnieg obok trupa swojego dawnego żywiciela, wyginając w górę cylindryczny, cebulkowaty brzuch i odsłaniając zdecydowanie ludzki członek w erekcji kolosalnych rozmiarów – organ prężył się między płytami pancerza niczym lanca rycerza albo żądło skorpiona.

Manfried modlił się pod nosem, Hegel odwrócił się do ucieczki, a Ennio wymiotował. Spowity delikatną, żółtą mgiełką i ociekający kleistą wydzieliną stwór obracał głowę, przyglądając się po kolei zgromadzonym. Czułki mu zadygotały. Udowadniając, że zawsze może być jeszcze gorzej, stwór zwrócił się do nich:

– Grossbartowie, hę?

Hegel plasnął Manfreda prosto w twarz, przywołując go do względnego porządku. Manfred objął Hegla i zamroczeni bracia wsparli się nawzajem. Ennio otarł usta i uciekł z wrzaskiem, co najwyraźniej okazało się kluczowym czynnikiem dla potwora. Skoczył za Enniem, a patykowate odnóża zdołały jakoś wznieść w powietrze wzdęty korpus i ponieść w ślad za wrzeszczącym woźnicą. Grossbartowie zgodnie rzucili się do ucieczki, ale natychmiast się zatrzymali, widząc, że Ennio i jego prześladowca skierowali się ku wyjściu.

– Co jest, kurwa? – wydyszał Manfred.

– Uhm. – Hegel czuł, jak wymioty podchodzą mu do gardła, ale zdołał je powstrzymać.

– Tędy – powiedział Manfred, pędząc w przeciwnym kierunku niż Ennio.

Cmentarz, który wcześniej wydawał się im tak rozległy, teraz zdał się całkiem malutki. Teren pochówku rozciągał się na skalnej półce, a drzwi w murze, ku którym biegł Ennio, były jedynym wyjściem. Urwiska wznoszące się po jednej stronie i opadające po drugiej spotykały się przy trójkątnym skrawku ziemi, zostawiając niewiele miejsc nadających się na kryjówkę. Bracia nie zdołali znaleźć żadnego oparcia dla rąk i nóg, by wspiać się na biegnącą wyżej drogę, ani nie mogli uciec przez mury klasztorne, nie zdradzając swej obecności. W dodatku pech chciał, że chmury zgęstniały nad ich głowami, zaciemniając cmentarz. Krzyki Ennia zbliżały się i bracia z desperacją rzucili się do skraju skalnej półki. Widzieli zaspę lśniąca poniżej, ale nie potrafili ocenić

odległości.

– Lina – poinstruował brata Manfred.

– W torbach – jęknął Hegel.

– No i? – I wtedy Manfred zdał sobie sprawę, że obaj zostawili torby na stopniach prowadzących do grobowca. – Wróc po nie.

– W życiu. – Hegel energicznie pokręcił głową. – Spróbujmy ich obiec, póki to coś goni Ennia.

– Słusznie.

Znajdowali się blisko końca cmentarza, gdzie urwiska zlewały się w jedną pionową skalną kurtynę. Trzymając się blisko kopców, pobiegli z powrotem w stronę murów klasztornych. Kiedy zbliżyli się do tyłów krypty, wieprz – który wkopał się w zaspę – wyskoczył im nagle spod stóp. Kwiknął, a Manfred krzyknął.

Oszołomiony Ennio usłyszał kogoś w pobliżu, ale nie śmiał spojrzeć w tamtą stronę, bo oślepiająca chmura smrodu ostrzegąca go, że prześladowca znajduje się coraz bliżej. Skręcił tam, gdzie – jak miał nadzieję – ukryli się Grossbartowie. Niewielu mężczyzn doświadczyło grozy, która popychała przed siebie Ennia – niewielu, nie licząc Grossbartów.

Hegel zobaczył Ennia i zawrócił, biegnąc z powrotem ku krańcowi półki. Manfred, nadal oszołomiony po tym, jak nadepnął na świnię, ociągał się chwilę, więc mignęła mu straszliwa postać zeskakująca z nagrobka. Nogi jej się trzęsły, a ciężki odwłok się kołysał, kiedy wylądowała obok Ennia – mężczyzna o włos ominął wyciągające się ku niemu ręce.

Hegel zwiesił się z krawędzi, raniąc pierś o skałę i rozpaczliwie szukając oparcia dla palców. Trafił czubkami butów na szparę, a potem następna chmura zaciemniła noc, więc schodził urwiskiem na oślep. Chmura przesunęła się w ostatniej chwili, zanim Manfred, biegnąc, spadł z urwiska.

Rzucił się gwałtownie do tyłu i zsunął w dół nogami do przodu. Na szczęście Hegel oczyścił ze śniegu kilka oparc dla rąk i Manfred chwycił się ich, gdy spadał z krawędzi, uderzając całym ciałem o urwisko. Niestety, wymachując nogami kopnął brata w dłonie, ale Hegel zdołał się złapać rzemieni od rajtuzów brata i dzięki temu nie poleciał w dół. Nagle zwiększony ciężar sprawił, że omal obaj nie spadli i tylko czerwone z wysiłku palce Manfreda sprawiały, że wisieli na ścianie przepaści.

Kiedy tylko Hegel odnalazł oparcie dla rąk i puścił brata, Manfred dostrzegł wyczerpanego Ennia, skręcającego gwałtownie w jego kierunku. Nie panując nad drżeniem rąk, Manfred zaczął schodzić, zatrzymując się tylko wtedy, kiedy jego stopy trafiały na Hegla zamiast na następną szparę w skale.

Ennio zobaczył, że Manfred znika za krawędzią półki i wykorzystał resztki sił, żeby rzucić się przed siebie, gdy stwór podskakiwał za nim niezgrabnie. Wykrzykując ostatnią modlitwę, Ennio rzucił się w przepaść, wykręcając się w powietrzu, żeby spojrzeć, czy stwór nadal go ściga. Nie ścigał, wyciągnął tylko szyję nad krawędzią i wyjrzał za nim. A potem świat rozmazał się Enniowi przed oczami, gdy runął w dół, a wszystko wokoło lśniło bielą i czernią.

Grossbartowie słyszeli, jak Ennio przekoziółkował obok nich, bełkocząc coś nieustannie. Nagle zamilkł i bracia wstrzymali oddech. Cień urwiska przesłaniał dno przepaści, ale sądząc po jękach, jakie zaczęły się wznosić, nie mogło znajdować się zbyt daleko. Dalej schodziliby po ścianie, gdyby Manfred nie spojrzał w górę i nie zobaczył stwora tuż nad sobą. Ze swojej pozycji doskonale widział okrągłą mrugającą paszczę podobną do hemoroidalnego odbytu, którą okalał krąg czułek. Miał dość rozumu, żeby odepchnąć się nogą od skały, zanim się puścił, ale i tak wpadł na Hegla, i obaj runęli w świetle księżyca.

W karczmie Alphonse i Giacomo szybko spili się na umór. Obaj śmiali się z głupoty braci i gotowali z powodu ich gróźb i aroganckiego zachowania. To miało sens, że żalosne cesarstwo zrodziło takich żalonych łajdaków jak Grossbartowie. Samo się o to prosiło, Włosi byli o tym przekonani.

Po kolejnej butelce mieli już dość rozmów o dawnych i obecnych wrogach, więc skupili się na kobietach. Żaden z nich nie widział skrytej pod woalem dziewicy, którą odwozili, ale wierzyli, że naprawdę musi być prześliczna, bo inaczej kapitan nigdy nie posłałby po nią z tak daleka. Potem rozmawiali o kapitanie i o tym, jak dziwacznie wedle plotek miał się zachowywać.

Obaj byli już bardzo pijani, kiedy na tyłach karczmy rozbrzmiała pieśń. Żaden z nich nie był w stanie prawidłowo określić, o czym śpiewano, ale obaj uznali, że nigdy dotąd nie słyszeli czegoś równie ładnego. Giacomo wstał chwiejnie i ruszył do drzwi prowadzących na tyły, Alphonse zaś mimo całej zazdrości był zbyt pijany, żeby pójść za nim. Krzyczał więc tylko ponuro, aż zasnął; śpiew dziewczyny był pierwszą naprawdę dobrą rzeczą, jakiej zaznał

w życiu.

Ennio złagodził upadek Hegla, Hegel Manfreda, a sami bracia do spółki połamali Ennio nogi w kostkach. Hegel wylądował twarzą w śniegu między nogami Włocha i stracił przytomność. Manfred trafił kością ogonową w kość ogonową brata. Sturlał się w śnieg, klnąc na czym świat stoi. Ennio zawył i złapał się za nogi. Nie uciszyłyby się, gdyby Manfred nie zaczął go energicznie okładać.

Uciszony laniem Ennio spojrział w tym samym kierunku co Manfred – w górę urwiska. Chociaż księżyc ponownie się wynurzył, ledwie wypatrzyli miejsce, w którym płaskowyż z cmentarzem wcinał się w zbocze. Nic nie poruszało się przy krawędzi. Nagle straszliwe wrzaski rozbrzmiały echem wśród gór, a potem znowu; nieludzkie wycie zagrało im na nerwach.

Hegel oprzytomniał i otarł śnieg z oczu i nosa. Poklepując się, upewnił się, że jest w jednym kawałku, a szczęście uratowało go przed nadzianiem się na własny miecz. Manfred podobnie – był posiniaczony, ale cały. Za to Ennio, rzecz jasna, tylko się mazał; umysł miał tak samo strzaskany jak nogi.

– Zostawmy go – powiedział Manfred – trza uciekać.

– Potrzebujemy go do wozu – odparł Hegel.

– Jakoś sobie poradzimy – upierał się Manfred.

– Jazda to małe piwo, ale jak zaprząć konie? Taki wóz to inna rzecz od chłopskiej furmanki, a nam trza błyskawicznie się ulotnić. – Hegel czuł się lekko zawstydzony tym, że staje po stronie Ennia.

Razem chwycili woźnicę i ponieśli go między sobą, szturchając go łokciem za każdym razem, kiedy jego okaleczone stopy ocierały się o ziemię i głupkowi wrywał się krzyk. Mury miasteczka znajdowały się bliźiutko i gdy tylko pokonali z mozołem kilka pagórków, dotarli do bramy. Hegel wspiął się na drugą stronę i wpuścił ich, podejrzliwie zerkając na ciemny klasztor wznoszący się nad miasteczkiem. Mrużąc oczy, dostrzegł cień śmigający nad ostatnim zakrętem drogi. Coś białego poruszało się po białym śniegu w białym blasku księżyca. Cokolwiek to mogło być – a Hegel miał całkiem niezłe pojęcie na ten temat – sprawiło, że drzenie powróciło do jego umysłu i kolan.

– Biegiem. – Hegel złapał Ennia za prawą rękę.

Manfried złapał za lewą i obaj popędzili po śladach wozu do karczmy, holując Ennia. Biedny woźnica zemdlał z bólu i jego dolna połowa tylko



podskakiwała na oblodzonej drodze. Tak jak w czasie, który spędził z Nicolette, od przyjazdu do miasteczka niepokój Hegla to wzrastał, to opadał, ale nigdy do końca nie zniknął, a teraz rozrósł się do gigantycznych rozmiarów.

Widmowe miasteczko lśniło, dopóki chmury znowu nie spowiły go w słusznej dla nocy ciemności. Grossbartowie nie zatrzymali się, dopóki nie położyli Ennia na ziemi przed karczmą, a wtedy spowiła ich cieniem śnieżyca. Kiedy żaden ze strażników nie otworzył drzwi, włamali się, tak jak zrobili to wcześniej, i zaciągnęli otepiałego Ennia do ognia. Chrapanie Alphonse'a urwało się, kiedy Manfred kopniakiem zrzucił go ze stołka i zaczął wrzeszczeć mu prosto w twarz.

– Gdzie twój człowiek? – zapytał.

– Gównojad złądaczony – wybełkotał Alphonse.

– Właśnie! – Manfred zaczął go okładać pięściami, dopóki brat go nie odciągnął.

– Trza nam wszystkich mieczy, jakie mamy, jeśli to coś wróci – upomniał go Hegel.

– Coście zrobili Enniowi? – Alphonse podpełznął do woźnicy i potrząsnął nim.

Ennio natychmiast obudził się z krzykiem i z pazurami rzucił się Alphonse'owi do twarzy. A potem jego przekrwione oczy spostrzegły, że Manfred podchodzi. Ennio natychmiast znieruchomiał.

– Demon – powiedział Manfred, a Hegel się z nim nie spierał.

– Co? – spytał Alphonse, patrząc na braci spod przymrużonych powiek.

– Demon z otchłani! – wybuchł Hegel. – Coś z piekła rodem! Dotarło to do twojej zakutej pały? Przeklęty szatan!

– Co? – powtórzył Alphonse.

– Pomór – oznajmił Manfred, krążąc po izbie i szarpiąc się za brodę. – Miał w sobie zgniliznę. Cała wyszła. Demony i zaraza, niech Maryja nas uchwala!

– Zaraza? – Alphonse pobladł, a Ennio jęknął.

– Niech was szlag, stulcie ryje! – ryknął Hegel, ciskając krzesłem w ścianę.

– Bracie – syknął w Grossbartowej mowie Manfred – musisz zachować spokój, jeśli mamy stąd dać dyla i dotrzeć do piaszczystych krain. Spokojnie.

– Spokojnie? – Hegel zarzucił ich prywatny język. – Spokojnie! Ściga nas demon! Nie jakaś manty–stwora, czy człeko–zwierz, ale najprawdziwszy

demon! Sameś widział!

– A pewnie, żem widział. – Manfred zadrżał. – Może został na wzgórzu.

– Psia jucha! Żem widział! Idzie tutaj! Klątwa czarownicy, Manfred, klątwa czarownicy! – Hegel wpadł w szal, a cudzoziemcy kulili się na podłodze.

– Miej wiarę! – wrzasnął Manfred.

– A chuja! – odpowiedział Hegel, rozwalając stół mieczem.

– Ona ma nas na oku!

– A pewnie! Rzuciła na nas czar, który będzie trwał aż do naszej śmierci!

– Nie ona, ciołku, Maryja! – tłumaczył Manfred. – Żyjemy i umieramy zgodnie z wolą Najświętszej Pani! Umrzemy, kiedy ona tak zdecyduje, nie pierwej! Więcej wiary, niech diabli wezmą twoją brodę, więcej wiary!

– Wiary? – wydyszał Hegel.

– Wiary – westchnął Manfred, który prawie zdołał przekonać samego siebie. – Wiesz, co trza zrobić.

– Zabić demona. Naprawdę.

– Zabijemy go, jeśli Maryja pozwoli, a na razie wymknijmy się stąd, nie oglądając go więcej. Ejże, a gdzie jest ten dumny złamas, z którym żeś siedział? – zapytał Alphonse’a Manfred.

Znaleźli Giacomo w korytarzu, leżącego twarzą do podłogi w pobliżu tylnego wyjścia. Utopił się w płytkiej kałuży wody z roztopionego śniegu, która ledwie zakrywała mu nos i usta. Trzej zdolni poruszać się mężczyźni zebrali się w korytarzu i wysłuchawszy rwanej opowieści Alphonse’a, wszyscy trzej zerknęli na materiał zasłaniający pokój kobiety.

Manfried zerwał zasłonę.

– Co masz do powiedzenia?

Najpiękniejsza kobieta, jaką odpychającej hienie cmentarnej udało się ujrzeć ukradkiem w swoim życiu, podniosła twarz; jej gibkie ciało było częściowo okryte brudnymi kocami. Hegel i Alphonse próbowali zerknąć zza Manfreda, ale jego szerokie ramiona całkiem wypełniły wąskie przejście. Blade udo kobiety lśniło jak księżyc, i widząc cudowne zarysy pod kocem, Manfred wątpił, czy miała na sobie cokolwiek prócz przykrycia. Uśmiechnęła się szelmowsko. Jej czarne włosy opadały lśniąca kaskadą wzdłuż boku. Manfred poczuł nagle potrzebę przeproszenia, chociaż nie wiedział za co. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, uniosła palec do ciemnych ust i wszyscy usłyszeli

pukanie do frontowych drzwi.

Hegel i Alphonse rzucili się z powrotem do głównego pomieszczenia, a Manfred ze smutkiem podążył za nimi, obiecując oczom, że niedługo znowu ujrzą nieznajomą. Pachniała inaczej niż wszystkie kobiety, jakie spotkał, i mimo pośpiechu, z jakim Hegel i Alphonse pobiegli do drzwi, nie potrafił oderwać od niej myśli. Niemalże zapomniał o wydarzeniach tej nocy, a jego czujne uszy ogłuchły na rozlegające się dookoła krzyki.

– Manfred! – warknął mu prosto w twarz brat.

– Hm? – Manfred próbował się otrząsnąć.

– Przylazło! – Hegel wybałuszył oczy, zaniepokojony nonszalancją brata.

– Miej wiarę. – Manfred uśmiechnął się z rozmarzeniem, a potem odsunął na bok widmową postać nieznajomej. – Zamknąć się, ale to już, wszyscy!

W pokoju zapadła cisza, tylko Ennio jęczał koło kominka, ściskając w obu rękach butelkę. Pukanie nie powtórzyło się, ale coś sapało u dołu drzwi, wdmuchując przez szparę śnieg. Grossbartowie podeszli, a za nimi pijany Alphonse ze świecą i mieczem w ręku. Stali przez chwilę, aż Manfred zmusił się do działania.

– Czego chcesz? – krzyknął.

– Wpuście mnie – poprosił głoś.

– Po co? – zapytał Manfred.

– Dla ciepła. Chrześcijańskiej pomocy. Nie skrzywdzę was, przysięgam.

– A pewnie, a kim jesteś i skądże się tu wziął? – zapytał Manfred.

– Jestem Volker i mieszkam na obrzeżach miasteczka. Ukrywałem się. Błagam, wpuście mnie.

– Trele–morele, tyś jest ten obrzydły demon! – krzyknął Hegel.

– Demon? Demon! – Mężczyzna dobijał się do drzwi. – Tym bardziej mnie wpuście, na miłość do dzieciątka Jezus! Mojej duszy grozi niebezpieczeństwo, a jeśli weźmie moją, to i wasze zostaną przeklęte za to, że mnie nie uratowaliście!

– Może otworzyć drzwi i zerknąć? – Alphonse patrzył to na jednego Grossbarta, to na drugiego.

– Nie zamierzam zniżyć się do tego, żeby w ogóle na to zareagować, jeno zapytam, na zgniłą mogiłę mojej matki, czy aż tak tępy jesteś?! – powiedział Manfred, a potem podniósł głos: – Daj nam chwilę na rozmowę na osobności,

Volker!

– Pośpieszcie się!

Manfried wrócił na środek pomieszczenia, a Hegel i Alphonse poszli w ślad za nim.

– Słuchaj – powiedział do brata w tylko im znanym języku – on próbuje wejść tu podstępem, co może znaczyć, że jest za słaby, by wyważyć drzwi. Poczekamy, aż kur zapieje, a w świetle słońca obróci się w pył.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Hegel.

– Co mówicie? – Niepokój Alphonse’a narastał wraz z rozwojem wypadków i narada, z której nic nie rozumiał, niespecjalnie mu przypadła do gustu. Wściekłe spojrzenia bliźniaków sprawiły jednak, że język mu oklapł i Alphonse poszedł do Ennia, żeby go uspokoić. Jego przesiąknięty gorzałą mózg niewiele był w stanie ogarnąć. Alphonse wypił jeszcze łyk z butelki Ennia.

– Demony nie mogą znieść światła dziennego, każde dziecko to wie – upierał się Manfried.

– A co z demonem z lasu? Najwyraźniej wolał dzień od nocy – odparł Hegel.

– To ty żeś się upierał przy tym, że to nie był demon.

– Czarownica mi powiedziała, że był kiedyś człowiekiem. Chcesz uzależnić losy własnej duszy od słów czarownicy albo od dziecięcych historyjek? – Hegel zerknął na drzwi. – Trza było narysować krąg w śniegu wokół karczmy, to by załatwiło sprawę.

– A czym to się różni od moich tak zwanych przesądów? – dopytywał się Manfried.

– Bo to jest fakt. Stryj tak nam gadał.

– Aha, czyli teraz zamierzasz wierzyć temu wypierdkowi? Poza tym, jeśli to prawda, to możemy narysować krąg wokół siebie na podłodze.

– Zatrzymajcie go! – jęknął Ennio i Grossbartowie zobaczyli, że Alphonse przykucnął przy frontowych drzwiach z uchem przyciśniętym do drewna.

Manfried i Hegel rzucili się ku niemu, ale zanim zdążyli zrobić trzy kroki, oszalały mężczyzna odrzucił sztabę blokującą drzwi. Drzwi otworzyły się gwałtownie do wewnątrz, śnieg zawirował wokół śmiejącego się maniakalnie Alphonse’a. Za nim w progu majaczyła postać, która sprawiła, że Grossbartowie zamarli, a Ennio zamilkł.

– Bynajmniej, co, Grossbartowie? – Alphonse zarechotał. – Myślicie, że

możecie zabić mojego kuzyna i ujść z życiem? Myślicie, że mnie zabijecie? Dał mi słowo!

Lewe oko wyskoczyło mu z oczodołu w fontannie krwi. Szczeka opadła mu luźno i przez usta wylała się krwawa masa, która kiedyś była mózgiem, gdy zapadł mu się cały tył głowy. Alphonse padł martwy na podłogę przed swoim zabójcą.

Wieprz z cmentarza wszedł do pokoju na tylnych nogach, z kawałkami czaszki i włosów Alphonse'a przyklejonymi do lewej przedniej racicy.

Jego czarne oczy błyszczały. Od niechcenia zamknął za sobą drzwi kopniakiem. Grossbartom nieobca była groza przyprawiająca o szaleństwo, a jednak względnie zwyczajny widok zwierzęcia chodzącego jak człowiek na dwóch łapach sprawił, że stanęli sparaliżowani. Ennio jednak przeciwnie – pełzył w stronę korytarza, nie zamierzając spojrzeć na to, co weszło do karczmy.

– Grossbartowie – powiedziała Świnia, oblizując zęby.

Przed wyprawą w góry widok takiego straszydła sprawiłby, że bracia wpadliby w panikę, ale przeżywszy niedawno równie wstrząsające przygody, nie ugięli się mimo grozy sytuacji. Hegel oddychał tak szybko, że groziła mu hiperwentylacja i ciemniało mu przed oczami, kiedy, rozdygotany, uniósł miecz. Manfred trzymał ogarek nieco pewniej niż maczugę, która trzęsa się jak reszta jego ciała. Wieprz zrobił następny krok, jego racice zastukały o drewno i wtedy bracia zareagowali.

Manfried cisnął świeczką w świnie i uciekł, a Hegel rzucił się na zwierzę. Śmierząca chmura szafranowych waporów bluznęła ze świńskiego ryja, otaczając atakującego Hegla. Dotarłszy do korytarza, Manfred zdał sobie sprawę, że brat nie pobiegł za nim, więc się odwrócił, zatraskując kopniakiem drzwi na zaplecze, żeby Ennio nie uciekł i nie zostawił ich samych. Racice zaatakowały oślepiętego Hegla, ale Grossbart trafił mieczem i zwierzę przeturlało się po podłodze. Hegel zatoczył się, kaszląc i dławiąc się cuchnącymi miazmatami.

– Bracie! – zawołał Manfred, ale Hegel nie zważał na niego, złożony wpół z bólu.

Świnia znowu stanęła na tylnych nogach, ale racica, którą zabiła Alphonse'a, została na podłodze, dokąd posłał ją miecz Hegla. Zwierzę rzuciło się na szarpanego odruchem wymiotnym przeciwnika, ale przeszkodził mu Manfred,

rzucając butelką, która roztrzaskała się na pięcinie i obaliła je na podłogę obok Hegla. Zacisnęło wtedy zęby na bucie Hegla, a on kopnął na oślep i sam się przewrócił.

Manfried rzucił się na wieprza z maczugą, lecz ten przykucał i skakał z diaboliczną zręcznością nie pasującą do zniekształconej sylwetki. Powalił Manfreda, który przeleciał przez stół, i przyszpilił go racicą z jednej strony, a krwawym kikutem z drugiej. Manfred splunął w świńską mordę, kiedy Świnia pochyliła się nad nim, i ujrzał dziesiątki obrzęków i czyraków pokrywających ryj, i oko zaklejone ropą. Obłożony jęzor wysunął się w stronę Manfreda, który z przerażeniem dostrzegł dymienice wielkości jabłek rozkwitające pod świńską pachą.

Trąc oczy, Hegel zobaczył zwierzę napierające na Manfreda i zatoczył się do przodu. Wbił miecz między żebra wieprza, a sam poleciał na półki. Butelki posypały się na nich gradem i potłukły u ich stóp. Świnia skoczyła, odbiła się od ściany i uderzyła w niego całym cielskiem. Oboje zwalili się na podłogę. Wszędzie pieniała się krew, kiedy Hegel starał się wyjąć miecz i próbował nie dać się zmiażdżyć kwiczącej bestii, wgniatającej go w potłuczoną ceramikę, rozlaną gorzałkę i olej.

Ennio odturlał się od zataczających się walczących i leżał przyciśnięty do kominka, a kałuża oleju pełzła w stronę jego stóp. Włożył rękę w płomień i złapał żagiew, zwęglając sobie przy tym pięść i stapiając skórę na dłoni. Manfred dostrzegł to kątem oka i kopnął świnie w ryj, a potem złapał Hegla i wyszarpnął go spod cielska. Ozy to martwiąc się o bezpieczeństwo Hegla, czy też nie mogąc zmusić ugotowanych nerwów do posłuszeństwa, Ennio odczekał wystarczająco długo, żeby Hegel wypełzł z małej kałuży, zanim płonąca żagiew wylądowała w oleju.

Wszystkich trzech oślepił wybuch płomieni, które śmignęły przez podłogę i po ścianie. Wieprz wrzeszczał i miotał się – cień hasający w słupie ognia. Próbował wstać, ale padł; szczecina skwierczała i puszczała kłęby gęstego dymu. Grossbartowie wsparli się o siebie nawzajem, Ennio krzyknął triumfalnie w swoim języku. A wtedy część sylwetki oderwała się od drgającego cielska i strzeliła przez płomień w stronę Ennia. Radosne okrzyki zamieniły się we wrzaski, a ściana karczmy stanęła w płomieniach.

Grossbartowie instynktownie rzucili się Enniowi na pomoc i zobaczyli, że

wielce osłabiony demon wpełził mu już w połowie do gardła. Patykowate wielosegmentowe nogi i przekrwiony brzuch wystawały z wyłamanych szczęk Ennia. Złota warstewka pokrywała stwora, ułatwiając mu gładkie wślizgnięcie się do gardła. Obaj Grossbartowie chwycili za segmentowe nogi i pociągnęli, ale kruche odnóża odłamały się, brudząc ich ręce cuchnącą ropą. Bez nóg, które utrudniałyby mu wejście, stwór wślizgnął się i zniknął im z oczu, a szyja Ennia tylko się wybrzuszała, w miarę jak demon się przemieszczał.

Manfried chwycił Ennia za odchylony podbródek i złamał mu kark, a Hegel kopniakiem wrzucił ciało do kominka.

Strych nad nimi zajął się ogniem i pokój wypełnił się czarnym dymem. Ciało Ennia skręcało się na węglach i zanim demon znowu uciekł, Manfried chwycił stół i zaklinał nim opętanego trupa. Bracia dorzucili jeszcze stertę stołków, a potem już dym stał się nieprzenikniony. Ręka w rękę chwiejnym krokiem szli do drzwi, kiedy uwalany olejem Hegel zajął się od przypadkowego płomienia. Manfried pchnął płonącego brata przed siebie, wyrzucając go przez drzwi w śnieg.

Hegel wylądował twarzą w zaspie. Biły z niego para i dym. Manfried przypomniał sobie o piękności w pokoju na tyłach na chwilę przed tym, jak część dachu runęła, zamykając karczmę, która zmieniła się w piec. Padł na kolana, lecz zanim jego usta lub oczy zdążyłyby ujawnić żal, kobieta wyszła zza rogu, odziana we wspaniałą czarną suknię z odrzuconym welonem, by pochwalić się pięknym obliczem. Manfried zapomniał o bracie i pobiegł ku niej, ale zanim zdążył ją objąć, ona wskazała na sąsiednią stajnię i jej dach, który już się zajął ogniem.

Chaotyczna noc stała się jeszcze bardziej szalona, kiedy Manfried odważnie wbiegł do płonącej stajni, omijając spanikowane konie. Niedbały Ennio nie rozprzągł ich całkiem, być może wyczuwając, że przyjdzie im pośpiesznie opuścić miasteczko. Manfried tylko zacisnął rzemienie na tyle, by konie mogły wyprowadzić wóz. Znalazł więcej rzemieni, sznurów i metalowych ustrojstw zrzuconych na stos na klepisko w stajni, więc wyniósł je, zanim dym uniemożliwił mu ponowne wejście. Teraz, bardziej wyczerpany niż oszalały, wrócił do tłącego się brata.

Kolejny dowód, że Maryja nad nimi czuwała, uwidocznił się w nietkniętej brodzie Hegla. Jednakże czuprynę miał wypaloną aż do korzeni, ubranie było

także nadpalone i zniszczone, a on sam miał siłę tylko kaszleć. Kaszel oznaczał jednak oddech, i to ucieszyło Manfreda. Zaciągnął Hegla do wozu i odkrył, że wewnątrz wyposażono luksusowo i usłano poduszkami. Tu szybko Manfred zasnął obok brata i obaj spali jak zabici, obejmując się nawzajem z powodu braku koców.



## XII

# GADANIE NA GÓRZE



Karczma płonęła całą noc, zabierając ze sobą stajnię i kilka sąsiednich budynków. Jednakże obładowane śniegiem dachy nie zajmowały się łatwo, więc okazało się, że reszta osady pozostała nietknięta, kiedy Grossbartowie wyszli chwiejnym krokiem z wozu. Ich zwykle odporne kiszki zacisnęły się z powodu bezbożnego smrodu, którym przesiąkły ich ubrania i włosy. Szczęśliwie chłodny poranek i jasne słońce stłumiły rebelię ich wnętrzości.

Ani jeden włos nie ostał się na czasce Hegla, nawet zamiast brwi miał czarne smugi i rosnące pęcherze. Ogromnie mu ulżyło, że broda ocalała, nie wspominając już o twarzy. Tylko ciemę i potylicę miał przypalone, ale zważywszy, że jego garderoba nie miała tyle szczęścia co ciało, wszedł do najbliższego domu w poszukiwaniu ubrań.

Manfrieda rwało w ramieniu od uderzenia racicy demona–świni, ale po bliższych oględzinach odkrył, że wyszedł z przygody właściwie bez szwanku. Dłoń, którą chwycił demona, rozkwitła bąblami opryszczki, w szczególności po wewnętrznej stronie. Splunął na nią i roztarł w śniegu. Potem zaczął szukać nieobecnej kobiety, zbyt zakłopotany, żeby ją po prostu zawołać.

Hegel wrócił do wozu z kilkoma używanymi, ale czystymi koszulami i spodniami, nie licząc tych, w które się przebrał w domu, gdzie je znalazł. Jego prawa dłoń również pokryła się opuchlizną i wysypką, a gdy ją obwąchał, odkrył, że śmierdzi gorzej niż reszta jego ciała. Przywołał brata, który otwierał jedne drzwi po drugich, ale obrzucał wnętrza ledwie pobieżnym spojrzeniem i ruszał do następnych.

– Bracie! – zawołał Hegel – Mam nowe stroje.

Manfried powlókł się do Hegla i przebrał się, ściągając stare rajtuzy, spodnie i koszulę cuchnącymi płatami. Skórzane spodnie, chociaż lepsze od rajtuzów,

jak na jego gust wisiały na nim nieco za luźno, ale dawno temu przyzwyczyił się do takich niewygód. Grossbartowie ani razu nie mieli choćby skarpetek wydzierganych na ich rozmiar.

Konie drzemały tam, gdzie stały, okryte kocami. Bracia pogrzebali w czarnych kościach karczmy, mając nadzieję, że znajdą całą butelkę albo cokolwiek, co miałoby jakąś wartość. Znaleźli tylko zwęglone szczątki Alphonse'a, a żaden z nich nie chciał sięgać ku częściowo zawalonemu kominkowi po ich kociołek do gotowania.

Razem wrócili do budynków, do których zaglądał Manfred, i znaleźli tam kilka worków ziarna, nowy kociołek i więcej koców. Poszli wrzucić łupy do wozu, ale ku wielkiej uldze Manfreda i zdumieniu Hegla, w środku spoczywała kobieta. Jej włosy lśniły i Manfred wyciągnął rękę, żeby odgarnąć je z jej twarzy. Hegel złapał go i posłał mu ostre spojrzenie. Manfred rzucił koce na podłogę wozu i ze złością spuścił płachtę.

– Trza zachować czystość – powiedział Hegel.

– A kto gada, że nie zachowam?

– Jej tak samo jak twoją. Przypominasz sobie, dokąd jechała ta dziewczka?

– Do jakiegoś wielkiego pana na południu – odpowiedział Manfred.

– Do jakiegoś wielkiego kapitana na południu.

– Hę?

– A pewnie, dobrze żeś słyszał. Kapitana. Od statków. Od statków do Giptu. – Hegel wyszczerzył zęby zadowolony, że sam to wszystko obmyślił.

– Ejże – powiedział Manfred, będąc szczerze pod wrażeniem. – A pomnisz imię kapitana?

– Ehm. – Pokryte pęcherzami brwi Hegla ściągnęły się boleśnie. – Zdaje mi się, że nazywał się Bar Guz. Stawiam na to wszystko.

– Co to za durne imię?

– Wszyscy oni tak durnie się nazywają: Alfons albo Ennio.

– No chyba rzeczywiście. Ale gdzie ten Guz wyskoczył?

– W Wenecji. Tego jestem pewien.

– A to co znaczy?

– Hę?

– „Tego jestem pewien” – powtórzył Manfred. – A reszty nie jesteś? Na przykład, że nazywa się Guz i jest kapitanem?

– A tam, jestem. Dlaczego miałbym nie być?

– Lepiej, żebyś był, bracie.

– A tak?

– A tak!

Spiorunowali się wzrokiem, a potem wybuchli śmiechem. Manfred dłuższą chwilę poprawiał zaprzęg, wrzucając na wóz kawałki uprzęży, w których nie mógł się rozeznać. Poprowadził konie kawałek, żeby mieć pewność, że wszystko trzyma się na swoim miejscu, a potem wskoczył na ławkę obok Hegla, który już czekał na brata z połową kociołka ciepłej owsianki.

– „Potrzebujemy Ellisa”, żeś gadał – prychnął Manfred.

– A owszem, może Ennio – poprawił go brat – i był tchórzem, ale oczyścił się przed śmiercią.

– Na to wygląda. – Manfred pokiwał głową. – Był o niebo lepszy od tego Alfonsa, który wpuścił demona, niech go piekło pochłonie. Ennio siedzi właśnie z Maryją, kiedy my tu rozmawiamy.

– A co myślisz o tym drugim? Utopił się w roztopionym śniegu!

– A kogo to obchodzi? Jeżeli wszyscy są tacy słabi jak te łajzy, to będziemy w Italii księżętami i w ogóle nie będziemy musieli jechać do Arabii!

Dzień się ocieplił, śnieg zamienił się w breję i utrudniał im podróż, dopóki nie wyjechali za bramę i nie zaczęli wspinać się krętą drogą. Tutaj droga przypominała bardziej strumień niż trakt, ale uparcie jechali i wkrótce zatrzymali się za bramą klasztoru. Skoro demon został zniszczony, mogli bezpiecznie wrócić po swój sprzęt i wreszcie zajrzeć do grobowca.

– Wracamy za chwilę! – zawołał Manfred do kobiety, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Guzdrał się, ale Hegel go podbechtywał, więc pośpiesznie okrążyli klasztor i przez drzwiczki weszli na cmentarz. Z pluskiem przeszli przez błoto i odnaleźli worki, które zostawili. Kusze zamokły, ale wyglądały na sprawne, a butelki, które zabrali z karczmy, były nietknięte.

– Żaden demon, Szatan, czarownica ani pogoda nie stanie nam na drodze do bogactw! – wzniósł toast Manfred.

– Błogosławiona Maryja i błogosławieni my! – zaintonował z powagą Hegel, po czym obaj się napili i poklepali wzajem po plecach.

Schowawszy trunki, z zapalem pchnęli drzwi grobowca i weszli do środka.

Hegel zapalił ostatnią świeczkę z knotem z sitowia i kręcił się z nią po ciasnym wnętrzu, oświetlając trzy kamienne groby. Zignorowali ozdoby z brązu, wsuwając łomy pod wieka i wykorzystując je zgodnie z ich przeznaczeniem. W każdym leżał starszy szkielet niż w poprzednim, ale w warstwach kurzu i rozkładu na dnie sarkofagów nadal migotał metal. Wyłowili siedem pierścieni i złoty krucyfiks.

– Można go przetopić. – Manfred wyszczerzył zęby w uśmiechu, chowając go do sakiewki.

– Piękność wspanialsza niż jakakolwiek kobieta – westchnął Hegel, przymierzając srebrny pierścień z zielonymi kamieniami.

– A skoro o tym mowa – odezwał się Manfred – powinienem do niej zajrzeć.

– Po co?

– Sprawdzić, czy, ehm, nie chce czegoś do jedzenia. Nie jadła przy nas, musi co umiera z głodu.

– Bardzo to uprzejme z twojej strony, bracie – powiedział Hegel. – Tylko się pilnuj i nie naszczaj nam do koryta.

– Że niby co? – Manfred odwrócił się w progu.

– To arystokratka albo coś koło tego. Po mojemu są wystarczająco bystrzy, żeby się zorientować, że coś żeśmy zrobili, jeśli coś zrobimy. Więc rób, co tylko zechcesz oczami, bo lepiej, żebyś łapy trzymał przy własnej zafajdanej osobie.

– Ależ ty masz występne, niechrześcijańskie myśli. – Manfred wypadł wściekły z grobowca, a Hegel rechotał, polerując pierścienie na progu.

Wychodząc z cmentarza, Manfred zauważył, że zasłona zamykająca tył wozu wisi odsunięta. W środku leżały tylko koce i kilka pudełek. Rozglądając się, dostrzegł uchylone drzwi na tyłach klasztoru. Przypomniawszy sobie, że demon sugerował coś na temat opactwa, złapał kuszę, zanim wszedł do środka. Wsunął głowę, ale okazało się, że w budynku jest za ciemno, żeby zaglądać tam bez światła i Hegla. Zawołał brata, a kiedy ten się zjawił, dłuższą chwilę stracili na próbach ponownego zapalenia świeczki z knotem z sitowia.

– Zamierzam wziąć sobie tę siekiere – poinformował brata Hegel. – Miecz został w karczmie, a mnie może się przydać coś ostrego zamiast oskarda.

– Będzie twoja, póki nie trafi ci się nic lepszego, wtedy znowu wróci do mnie.

– Zgoda. Moja kusza wygląda na krztynę wypaczoną, więc miejmy nadzieję,

że nie będziemy ich potrzebować.

– Cokolwiek będziesz robić, nie strzelaj, póki nie będziesz pewien, że trza. Nie ma sensu robić dziury w naszym korycie. – Manfred uniósł trzaskające sitowie.

– Że niby jak? Ach tak.

Manfried ruszył pierwszy, a Hegla natychmiast odstręczyła ciemność i wyciskający łzy z oczu smród, który teraz utożsamiali z zarazą. Na końcu korytarza znajdowały się wielkie drzwi. Bracia spojrzeli po sobie nerwowo, zanim je pchnęli.

Była to niewątpliwie kuchnia – w pomieszczeniu znajdowały się stosy drewnianych talerzy i narzędzi kuchennych, a także gnijące jedzenie wszelkiego rodzaju. Wysokie okna zabito deskami przed zimą, ale Hegel dostrzegł kinkiet na ścianie, wyjął pochodnię i zapalił ją od świeczki brata. Manfred od razu przeszedł przez kuchnię do przeciwnego korytarza, ale Hegel ociągał się, sprawdzając kilka beczek.

– Co tam masz? – zapytał z korytarza Manfred.

– Piwo. – Hegel wcisnął szpunt na miejsce. – I to porządne.

– Potem. Pierwej trza znaleźć nasze koryto, później możemy się napić.

– Spodobało ci się, co?

Doszli do połowy korytarza i dalej już nie byli w stanie iść, bo dusili się od smrodu. Kierując się roztropną sugestią Hegla, zanurzyli rękawy w beczce z piwem i przyłożyli do nozdrzy. Teraz mogli iść dalej, ale i tak kręciło im się w głowie.

Weszli do wielkiej kaplicy i odkryli przyczynę smrodu. Ponad pięćdziesiąt ciał leżało w stosach na ławkach, a ich zarysy były niewyraźne z powodu porastającej je obfitej pleśni. Dzieci i matki zgniły razem, tworząc ohydne kształty, a twarze zmarłych płakały szarym śluzem z każdego otworu. Mnichów ułożono na kobietach w sugestywnych pozach – cała gnijąca masa była owocem pilnej pracy. Mimo nasączonych piwem rękawów wymioty zaatakowały przęłyki Grossbartów i obaj zatoczyli się z powrotem do korytarza, przechodząc obok wielkiego krzyża umazanego ekskrementami i ropą. Zatrzaśnięcie drzwi na obu końcach korytarza pomogło, ale nie zdołali pozbyć się smrodu z nosów.

I znowu Manfred zachwyił się, a Hegel zaniepokoił nagłym pojawieniem się kobiety. Siedziała przy stole w kuchni, skubiąc suszoną rybę z małej

skrzyneczki, która stała obok niej. Manfred podszedł do kobiety i sięgnął po rybę, ale ona zatrzasnęła wieko. Manfred poczuł mieszaninę gniewu i pretensji, a spostrzegawczy brat skrzywił się pogardliwie. Hegel też miał ochotę na rybę, ale skoro Manfred nie zdołał porwać nawet jednej, to on także nie zdoła. Napełnił brudny od owsianki kociołek piwem i przeżuł ostatni zapleśniały kawałek chleba, jaki znalazł.

Manfried wpatrywał się w anielską kobietę, nie wiedząc, co zrobić albo powiedzieć. Najwyraźniej nie przeszkadzało jej jego zainteresowanie, chociaż każda szanująca się osoba uznałaby je za co najmniej niepokojące. Hegel nadal myszkował i oprócz beczki piwa znalazł mniejszą beczkę *Schnapsa*. Wyturlał ją przez korytarz do wozu i przeraził się, widząc, że słońce już się zniża.

– Rychło skończy się światło – poinformował brata.

– No to rozbijemy obóz tutaj.

– W środku? Chyba cię pojebało, złapiemy zarazę. Lepiej obozować przy kurhanie.

– Co? – Manfred przerwał czuwanie w zamyśleniu.

– Prześpimy się z arystokracją. Może być odrobinę martwa jak na twój gust, ale jak się nie ma, co się lubi...

– Przysięgam, bracie, że zawstydzasz Najświętszą Panią swoimi insynuacjami.

Manfried zerknął i uśmiechnął się do kobiety, dziękując Maryi, że broda ukryła rumieniec na jego policzkach. Nie chciał, żeby Hegel odniósł słuszne wrażenie. Nie dość, że kobieta była najładniejszą rzeczą, jaką w życiu zobaczył – prócz złota – to jeszcze tolerowała jego obecność, zamiast wzdrygać się z odrazą.

– Trza spalić trupy. – Hegel przyniósł torbę i postawił butelkę oleju na blacie.

To wyrwało Manfreda z zauroczenia.

– Nie będziesz tego marnował na martwych, co?

– Nie zaciągnę ich do dziury i, jak amen w pacierzu, nie wykopię jej pod nimi. Zostaje tylko pochodnia.

– A tak?

– A tak.

– Jakoś nie pojmuję, dlaczego to niby nasz obowiązek.

– Bo to rozgniewa Szatana.

– Tyle mi wystarczy.

Manfried też wyjął swoją butelkę oleju i razem poszli do kościoła.

Obaj powstrzymywali wymioty, polewając olejem zjełczałe ciała. Wrzucili stos ławek na obrzydliwą masę i podpalili, potykając się o siebie nawzajem i próbując uniknąć płomieni. Trupy pękały i syczały, dym spowił klasztor, a bracia czmychnęli na tylny dziedziniec. Kobieta wróciła do wozu. Dopiero potem, skląwszy własną głupotę, zaryzykowali i weszli do płonącego budynku, żeby wytoczyć beczkę piwa.

Tej nocy schowali konie w małej stajni obok bramy, a sami nocowali w grobowcu, uważając, że spanie w jednym z budynków gospodarczych po tym, jak spalili kościół, przyniosłoby pecha. Kobieta nie chciała opuścić wozu, a ponieważ zabezpieczyli frontową bramę, Hegel przekonał brata, że będzie tam bezpieczna. Manfried trochę marudził, ale wkrótce zapomniał o wszystkim prócz radości picia z bratem na splądrowanym cmentarzu.

Na cmentarzu utrzymało się dość śniegu, żeby zachował pozór powagi, kiedy słońce zniknęło i wzeszedł księżyc. Bracia przechwalali się swoją mężnością w zabijaniu demonów i potworów, nie wspominając już o otwieraniu grobów. Potem nadszedł czas poważnych teologicznych dyskusji na temat natury tchórzostwa, zła i Najświętszej Panienki. Kiedy Hegel skierował rozmowę na kobiety i ich naturalną skłonność do czarów i oszustwa, Manfried ziewnął, włożył szpunt do beczki z piwem i poszedł spać.

Hegel nie zasnął od razu i zdążył jeszcze wydrapać dłutem ich znak na drzwiach grobowca. Stryj nauczył ich, że wypada poinformować wszelkich Grossbartów, którzy przyjdą po nich, który grobowiec został już wyczyszczony. Chociaż każdy Grossbart był niepiśmienny, symbol znali wszyscy, którzy nosili to przekłete nazwisko.

Późno nocą, kiedy ogień w progu zgasł, Manfrieda obudziła napływająca skądś muzyka. Hegel chrapał obok niego, obejmując ramionami baryłkę. Manfried podszedł do drzwi i wyjrzał. Ku jego zdziwieniu śnieg stopniał i w blasku księżyca cmentarz zamienił się w spokojną lagunę. Tylko czubki najwyższych nagrobków wystawały ponad powierzchnię. Zmarszczka przecięła wodę przed nim i widząc lśniąca bladą skórę, zrozumiał, że to ona. Kobieta wdrapała się na odsłonięty kopiec, a kiedy się wynurzyła, muzyka stała się jeszcze głośniejsza.

Uśmiechnęła się do niego i tylko krzyże przesłaniały jej nagie ciało. Pieśń poruszyła w Manfredzie coś, do czego posiadania nigdy się nie przyznawał. Zszedł po schodach grobowca do wody. Kiedy sięgnęła mu do pasa, przystanął, zdając sobie sprawę, jaka jest lodowata. Stracił całą siłę w nogach, i z uśmiechem na ustach poleciał do przodu, natychmiast tonąc w lodowatej toni.

Hegel usiadł w ciemnościach z sercem bijącym z powodu snu, którego nie mógł sobie przypomnieć. Zamrugał i położył się z powrotem, ale wtedy wychwycił słaby plusk w ciszy, a niepokój po zapomnianym śnie nadal go prześladował. Podeszedł chwiejnie do drzwi i promienie księżyca odbijające się od śniegu oślepiły go na chwilę. Potem zobaczył Manfreda u stóp grobowca z twarzą w kałuży. Zeskoczył, przeturlał brata i uderzył w brzuch. Z ciemnych ust popłynęła woda, Manfred zakaszłał, a zdumiony Hegel prędko popędził z powrotem do grobowca i przyniósł bratu miszkę mnisiego piwa.

– Do kurwy nędzy, co jest, bracie?! – wrzasnął Hegel. – We łbie ci się pomieszało, czy jak?

– Żem śnił. – Manfred zadygotał, sącząc alkohol.

– O czym?

– Nie bardzo mogę powiedzieć.

– Chodź – westchnął Hegel, pomagając bratu wejść po stopniach.

Rozpalił nowy ogień w grobowcu i zamknął drzwi niemal do końca.

Manfried zwinął się przy ogniu z przemoczoną piersią i brodą. Natychmiast przysnął, ale Hegel nie zasnął jeszcze przez kilka godzin, obserwując brata. Coś go martwiło. Wyszedł na zewnątrz, żeby się upewnić. I rzeczywiście – kałuża, w której Manfred się topił, była pokryta grubą warstwą lodu z wyjątkiem miejsca, w którym zanurzyła się twarz brata. Odłamek kamieniarki leżał obok dziury i Hegel głęboko w trzewiach poczuł mdłości. Wiatr przybrał na sile, poruszając śnieg wokół niego, kiedy Grossbart spojrział na nadal płonący klasztor. Splunął dwukrotnie, podziękował Panience, i poszedł spać.

Wyruszyli o świcie. Wzajemnie przerzucali się oskarżeniami, który był taki mądry, żeby podpalić trupy, zanim dokładnie sprawdzili wszystkie pokoje, bo nuż ukryto tam skarb. Mnisi mogli nie mieć zbyt wiele, jeśli idzie o twardy pieniądź, ale z pewnością sporo można było znaleźć w pokojach opata. Początkowe nadzieje, że w kamiennym budynku zachowa się wszystko prócz kaplicy, okazały się płonne, ponieważ ogień pochłonął wszystkie pomieszczenia



oprócz mnisich cel i kuchni.

Nie zaufali mięsu, ale poza ziarnem przynieśli buszel rzepy i worek nadpieśniałego chleba żytniego. Hegel zwęszył trzy koła sera, więc śniadanie, jakie zjedli na ławce wozu, przewyższało wszelkie inne w ich wspomnieniach. Droga okazała się zdradliwa, gdyż ciepło poprzedniego dnia i wietrzna noc sprawiły, że więcej było na niej lodu niż śniegu. Przez cały ranek wspinali się górskim zboczem, a kiedy dotarli do przełęczy, obaj splunęli na drogę, którą przyjechali. Manfred nie chciał rozmawiać o swoim śnie, zamiast tego wołał mówić o ich szczęściu. Hegel zgodził się, że sprawy nie mogły lepiej się potoczyć i że bez wątplenia niedługo staną się panami Giptu.

Po południu niebo poszarzało i spadł śnieg, co oznaczało kolejne inwektywy i wolniejszą podróż. Mimo zapadającego zmierzchu Manfred upierał się, żeby raczej jechali dalej niż zatrzymywali się na wąskim trakcie. Kiedy omal nie spadli z krawędzi urwiska ciągnącego się wzdłuż drogi, Hegel chwycił lejce i obaj zgodzili się, że postój na czas nocy to dobry plan. Z punktu widzenia Hegla jedyna rzecz durniejsza od konia to czwórka koni.

Kilka żałosnych dni i jeszcze gorszych nocy później brnęli identycznym odcinkiem oblodzonej drogi, kiedy tuż przed zmierzchem Hegel poczuł, jak nienaturalny niepokój narasta w nim niczym wyjątkowo fatalny przypadek gazów. Coraz bardziej się denerwował, w końcu napiął kuszę i uparł się, że dla ich bezpieczeństwa będzie szedł przed wozem. Pokonując szeroki zakręt z pionowym urwiskiem po prawej stronie i pionową ścianą z pryszczami ośnieżonych głazów po lewej, zauważył coś na drodze. Wyrwał się do przodu i zobaczył, że to stos luźnych kamieni ułożonych w poprzek traktu i delikatnie przyprószonych śniegiem. Potrzebował tylko kilku minut, by je porzucić tak, by wóz mógł przejechać, ale obecność przeszkody niesłychanie go zmartwiła. Manfred podjechał wozem, kiedy Hegel skoczył i wrzasnął do brata:

– Trzymaj się z daleka!

– Hm?

– Stój!

Jednakże zamiast Hegla wykrzyczał to potężny głaz znajdujący się pięćdziesiąt metrów w górę stoku.

Mrużąc oczy, dostrzegli ciemny kształt za kamieniem.

– Żeśmy nie planowali postoju! – odpowiedział Hegel, powoli zdejmując

kuszę z pleców.

– A co, jeśli ruszymy?! – krzyknął Manfred rozeźlony na niewidocznego mężczyznę i popędził konie, by zrobiły kolejny krok.

Głaz zakołysał się gwałtownie i śnieg zsunął się z jego czubka.

– Sporo was to będzie kosztowało, możecie być pewni! Chcę tylko chwilę porozmawiać!

– No to zejdź tutaj, żebyśmy mogli porozmawiać, zamiast wrzeszczeć! – krzyknął Hegel. Zniżając głos i dodatkowo przechodząc na Grossbartową mowę, zwrócił się do brata: – Żaden rozbójnik nie zwędzi naszego łupu.

– A pewnie, ale gdyby mieli przewagę liczebną, nie ryzykowaliby rozwalenia wozu – odparł Manfred; jego kusza leżała naładowana obok na koźle.

Mężczyzna krzyknął coś w innym języku, którego nie rozumieli.

– Mów jak człowiek, ty jebana złodziejska gnido! – warknął Manfred.

– Nie poznajesz własnego imienia? – krzyknął mężczyzna i głaz znowu się zakołysał.

– Spokojnie, ty bezbożny złamasie, mamy tu kobietę! – odkrzyknął Hegel.

– Bluźnisz i ściągasz na siebie nieszczęście, gadzie! – Głaz przesunął się gwałtownie, ale zaraz stanął pewnie, zamiast się sturlać.

– Jakiż to oprych oskarża chrześcijańskich żołnierzy o bluźnierstwo? – krzyknął Manfred, wyczuwając wspólny grunt.

– Czyż Syn nie przestrzegał przed waszym zbójckim rodzajem w takich miejscach? – odkrzyknął tamten.

– Teraz pojmy! – odpowiedział Hegel. – Nie spotkaliśmy żadnego syna, ale zabiliśmy przekłętą demona, więc lepiej, żeby twoja złodziejska dupa poznała się na porządnych ludziach!

Mężczyzna nic nie powiedział, ale wyskoczył zza głazu, zerkając na Grossbartów, i wtedy trafił go bełt z kuszy Hegla. Z łomem w ręce Hegel popędził po stoku do powalonego zbira. Manfred stanął na koźle z kuszą w dłoniach, rozglądając się po ośnieżonym rumowisku.

Napastnik prawie dopełzył do kłody, którą wcisnął pod głaz jako dźwignię, kiedy dopadł go Hegel. Już wziął zamach, gdy mężczyzna z bełtem wbitym w przedramię przeturlał się na plecy, szwargocząc coś do niego. Hegel omal nie roztrzaskał mu twarzy, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i modląc się do Maryi, odrzucił broń i przyklęknął obok nieznajomego.

Widząc, że brat zniknął mu z oczu, Manfred krzyknął:

– Ostrożnie, bracie! Poderżnij mu zdradzieckie gardło i wracaj!

– Mamy przejebane! – odpowiedział Hegel łamiącym się głosem. – To mnich!

– Co?!

– Mnich, niech cię szlag!

– O, do diabła. – Manfred klapnął ciężko na ławkę.

– Zaraz będzie dobrze – powiedział do swojej ofiary Hegel. – Przepraszam za to.

Mężczyzna jęknął, pozwalając niedoszłej ofierze odciąć grot bełtu wystającego mu z ręki. Krew zbryzgała ich obu, kiedy Hegel wyciągnął drzewce, i nadal wzbierała, nawet kiedy owinęli ranę kawałkami obszarpanego habitu. Poklepując mnicha po plecach, Hegel pomógł mu wstać i razem zeszli powoli na drogę.

Manfred powitał ich miską piwa.

– Ejże, braciszku, napij się tego i zobaczymy, czy wyglądamy ci na heretyków.

Wstrząśnięty mężczyzna wzbraniał się, ale Hegel ponowił ofertę:

– Warzone przez twoich braciszków, więc po mojemu nie ma w tym grzechu.

Mnich napił się piwa, skrzywił, zachwiał się i osunął. Pomieszanie, wyczerpanie, ból i mróz wyczerpały całą jego energię, więc obudził się dopiero, kiedy księżyc wzeszedł i Grossbartowie robili obóz na drodze. Po długich przemowach i kazaniach Manfred zgodził się wyjąć z wozu dodatkowe koce, i kiedy padał na nich świeży śnieg, siedzieli opatuleni, obserwując, jak mężczyzna się budzi.

Obandażowana rana sprawiła, że jęknął, zanim dobrze oprzytomniał, a kiedy rzeczywiście otworzył oczy, zamarł, nie bardzo wiedząc, gdzie leży i kto mu towarzyszy. Potem sobie przypomniał i zasłonił opuchnięte oczy rękami. Tonsura zarastała mu nierównymi kępkami siwych włosów ponad kręgiem rzadkich, przydługich kosmyków. Drżenie rąk w końcu ustało i wtedy Manfred uznał, że może się do niego zwrócić.

– Wybacz nam – powiedział. – Gdybyśmy wiedzieli, kim jesteś, to byśmy nie strzelili.

– Przenigdy – przytaknął mu Hegel.

– Jednak postawił żeś nas w sytuacji, w której żeśmy nie mieli powodu niczego podejrzewać, sam rozumiesz – kontynuował wywód Manfred.

– W żadnym razie – poparł go brat.

– Zatem mam nadzieję, że uznasz za właściwie nam wybaczyć – dokończył Manfred.

– Prosimy – dorzucił Hegel. – Zwyczajna pomyłka uczciwych ludzi.

– Czy mógłbym was prosić o trochę tego gulaszu? – zapytał mężczyzna.

– Więcej niż trochę, jeśli zechcesz. My żeśmy już zjedli. – Hegel zaoferował bez mała pustą miskę i trochę niebieskawego chleba.

Wygłodniały mężczyzna szybko uprzątnął jedzenie i spojrzał z zapalem na braci. Mnich czy nie, Hegel nie oddał mu dodatkowego bochenka chleba lekką ręką. Kobieta nie jadła jedzenia, które jej proponowali, więc nie zaczęła głodować z powodu jeszcze jednej gęby do wyżywienia. Nie od razu.

– Niech wam Bóg błogosławi – powiedział mężczyzna z ustami pełnymi pleśni.

Uradowany tym Manfred szybko zaproponował mu butelkę. Mężczyzna popijał z niej, zagryzając garściami śniegu. Dopiero kiedy skończył chleb, odezwał się ponownie, strzelając przekrwionymi oczami to na braci, to na wóz.

– Wybaczcie mi mój podstęp, nie chciałem skrzywdzić tak zacnych ludzi – powiedział.

– Żeś nam nie wyrządził żadnej krzywdy, braciszku – powiedział Manfred.

– Właściwie to jestem księdzem – poprawił go duchowny.

– Dobrze wiedzieć, żeś nie zamierzał zmiażdżyć nas tą skałą – dorzucił Hegel.

– Och, pewnie, że bym was zmiażdżył, nie miejcie wątpliwości. – Oczy księdza zabłysły.

– Tak? – Hegel pochylił się ku niemu.

– Na Boga, tak, gdybyście byli kim innym niż jesteście. A jesteście... – Ksiądz także się pochylił.

– Och. Grossbartowie – przedstawił ich Manfred, gdy zdał sobie sprawę, że to było pytanie. – Manfred.

– I Hegel.

– Niech wam Bóg błogosławi. Ja jestem ojciec Martyn i muszę prosić was o wybaczenie, i za pierwsze wrażenie, i za kolejną przykrość, na jaką przyjdzie

mi was narazić.

– Proszę o wybaczenie – przerwał mu Manfred – jeśli martwisz się czymś, czegoś jeszcze nie zrobił, to możesz uniknąć tego problemu, nie robiąc tego.

Hegel kopnął brata.

– Nie zwracaj na niego uwagi. My są sługi Najświętszej Pani i gotowiśmy zrobić, o co prosisz.

– Dziękuję serdecznie. A teraz, proszę, zdejmijcie koszule i płaszcze – powiedział pośpiesznie ojciec Maryn, chcąc jak najszybciej mieć to już za sobą.

– Ejże, czekaj no chwilkę – warknął Manfred.

– Proszę – błagał ksiądz. – Muszę zobaczyć. Muszę.

Bracia szybko się rozebrali, Manfred nieco wolniej, bo słyszał opowieści o pewnych księżach, którzy właśnie w takim celu nadużywali swojej pozycji.

– A teraz unieście ręce.

Widząc, że się wzdragają, dodał jeszcze jedno „proszę”. Wiatr chłodził im pachy, a Grossbartowie zdali sobie sprawę, jaki cel przyświeca duchownemu, kiedy przyjrzał im się z bliska, nieomal przypalając sobie przy okazji poplamiony habit. Zadowolony, pociągnął łyk z butelki i odchylił się, podczas gdy oni szybko włożyli koszule.

– A teraz, gdybyście byli tak łaskawi... – zaczął Martyn, ale Manfred wszedł mu w słowo.

– Sami żeśmy sprawdzali tam w dole zeszłej nocy i zamierzamy sprawdzić jutro dla pewności, ale nie ma mowy, żebym zrzucił spodnie tej nocy, ani dla człowieka, ani dla Boga.

– Skąd ten pomysł, żeby tak nas sprawdzać? – zapytał podejrzliwie Hegel. – Nie było nawrotu zarazy od, ilu to już, piętnastu lat?

– Może tam, skąd pochodzicie – odpowiedział ksiądz. – Innym regionom Pan tak nie pobłogosławił. Mogę zapytać dlaczego, jak powiadacie, zbadaliście się zeszłej nocy, skoro nie było zarazy od, jak powiadacie, piętnastu lat?

– Nie było tam, skąd pochodzimy – odpowiedział Hegel.

– Tak? – Ksiądz pochylił się jeszcze bardziej.

– Robisz wrażenie mądrzejszego, niż się przyznajesz – zauważył Manfred.

– Ty. – Martyn wytknął Hegla patykowatym palcem. – Zanim mnie zaatakowałeś, twierdziłeś, że zniszczyliście demona.

– To nie był atak, tylko przekłety wypadek, jak już jesteśmy klarownie wyjaśnili

i niczego ztem nie twierdził. Jestem uczciwy człek, więc nie twierdę, tylko gadam prawdę o Maryi, prosto i jasno. – Hegel się naburmuszył. – Opowiem ci całą historię i będę wychwalał Jej Imię, a ty lepiej nadstaw ucha.

– Powściągnij się, bracie – powiedział Manfred – dopóki nie usłyszymy, co ma nam do powiedzenia nasz wyświęcony przyjaciel i nie dowiemy się, jak to się stało, że czekał na nas za tym głazem, planując morderstwo.

– Co? – Hegel zamrugął zaskoczony.

– Widzisz, nigdy ztem nie słyshał o żadnym księdzu ani mnichu, który by planował podobny uczynek, a kiedy widzę nonszalancję, z jaką przyjął bełt, czy to był wypadek, czy nie, i znajomy sposób, w jaki popija ten sikacz, to cóż, skoro jużemy opatrzyli mu ranę, napchali brzuch i pokazali pachy w najzimniejszą z nocy, jest nam winien opowieść, zanim mu cośkolwiek powiemy. Słusznie gadam czy nie?

– Manfred! – Hegel pobladł. – Jak się zwracasz się do księdza, którego żeśmy postrzelili!

– Nie, nie, twój brat ma rację. – Martyn westchnął. – Rzeczywiście, jestem wam winien, panowie, wyjaśnienie. Przyznaję, chociaż wasza historia niezmiernie mnie intryguje, moja własna ciąży mi ogromnie i będę zobowiązany, mogąc podzielić się tym brzemieniem z tak szacownymi konfratrami.

– Że co? – Hegel zmrużył oczy.

– Powie nam, co takiego zrobił, że wylądował za tamtym głazem – wytłumaczył Manfred.

I tak też ksiądz uczynił.

## XIII

# POCZĄTEK OPOWIEŚCI, KTÓRA JUŻ SIĘ ZAKOŃCZYŁA



Kiedy zacząłem czytać kroniki krzyżowców, które przechowywał mój zakon, wreszcie doceniłem potrzebę znajomości łaciny. Doktryna, a nawet pisma świętego Augustyna nie zdołały mnie przekonać, że długie lata, które spędziłem na nauce, nie poszły na darmo, bo jakież chłopiec pragnie poświęcić najlepsze młode lata na tracenie oczu nad pulpitem i uczenie się na pamięć języka, który wyszedł z użytku dziesięć wieków temu. Jednakże te zapiski przygód i tragedii w Ziemi Świętej pozostawiły we mnie niezatarty ślad, o czym świadczy fakt, że chociaż upłynęło tyle czasu, nadal potrafię wyrecytować je bezbłędnie.

Zdałem sobie sprawę, że moja przyziemna egzystencja kryje w sobie potencjał, nawet jeśli skromny, by stać się nadzwyczaj interesującą, by stać się tym, co moi bracia będą studiować wieki po tym, gdy sam pójdę już po swoją nagrodę. Przyznaję, że było to pyszałkowe marzenie – by podróżować i przeżywać przygody, miast okazywać swą pobożność w tradycyjny sposób, ale byłem młody i naiwny i nie doceniałem jeszcze faktu, że życie wypełnione cichą kontemplacją jest tak bliskie fizycznego pokoju i perfekcji, jak to tylko możliwe na tym padole. Jednakże zmusiłem się do posłuszeństwa i już dłużej nie lamentuję nad swoim losem, ponieważ w rzeczy samej zaspokoilem swoje dumne ambicje i sporo dla nich przecierpiałem. Nasze modlitwy zawsze muszą być czyste, a nuż zostaną wysłuchane.

By zrozumieć mój stan, kiedy zjawiłem się w opactwie w... Miłościwa Panienko, nawet teraz nie potrafię wymówić tej nazwy, tak mnie prześladowe... Musicie zrozumieć, że mam skłonność do znajdowania upodobania w libacjach, ale nigdy mnie na tym nie przyłapano, a nawet mnie o to nie podejrzewano,

ponieważ zamiast sprowadzać na mnie pijacki stupor, trunek rozbudzał w owym czasie moją pasję. Z powodu mojego, nazwijmy to, nadzwyczaj wylewnego stylu wypowiedania się o naturze ludzkich obowiązków wobec Ojca Niebieskiego, wysłano mnie w świat, bym głosząc wiarę, wdarł się do świętego cesarstwa rzymskiego i ulokował w pewnym opactwie.

Ponownie pragnę podkreślić moją niezachwianą wiarę, bo nawet kiedy piłem za dużo, by utrzymać się na nogach, i leżałem rozmodlony we własnych wymiocinach, wiedziałem, że pozostaję w służbie u Niego, chociaż osobie postronnej mogłoby się wydawać, że być może po części zszedłem z właściwej drogi, jako że kilka razy odmówiono mi azylu w miejscowych parafiach i musiałem wtedy zatrzymywać się w oberżach albo gospodarstwach, gdzie moi rówieśnicy radowali się pomimo katastrofalnej natury czasów, które nastąpiły. Patrzyłem na tańczące dziewczęta i dopiero wtedy moja pobożność drżała niczym ich gładkie, pulchne uda kołyszące się pod sukienkami, sukienkami wilgotnymi od potu, młodości i...

Ehm.

W jednej takiej wiosce najwyraźniej przypadłem do gustu pewnej dziewczynie i tak się wciągnąłem w rozmowę z nią, że ledwie pamiętałem o tym, by pić. Przez całą noc męczyłem się z potwornym bólem głowy, lecz serce miałem radosne. Wędrowaliśmy przez strumienie i pola, a kiedy doprowadziłem ją do drzwi jej domu, pocałowała mnie w policzek. O rozkoszy! Jej ojciec zmiękł i odłożył siekiere, kiedy otworzywszy z impetem drzwi odkrył młodego mnicha gawędzącego z jego córką. Ku mojemu wstydu i wewnętrznej udręce odkryłem, że moim przeznaczeniem jest opactwo wznoszące się na szczycie wzgórza nad tą właśnie wioską, i z okna celi mogłem dostrzec światła gospodarstwa Elise, tak bowiem zwała się owa dziewczyna.

Zdołałem obmyć się na tyle, by przyjęto mnie w opactwie i wkrótce zawarłem całkiem wygodny układ z kucharzem. Rzadkie były dni, kiedy moim gardłem płynęła woda, a nie piwo, wino, brandy albo miód, równie rzadkie jak porządny chrześcijanin w Ziemi Świętej w obecnych czasach. Albo gdziekolwiek indziej, skoro już o tym mowa. Wiem równie dobrze jak wy, że piją wszyscy mężczyźni, niezależnie od tego, którym ogniwem są w łańcuchu, wiedzieć jednak musicie, że piłem więcej niż przystoi komukolwiek oprócz pijaka. Twarze moich braci i przełożonych były dla mnie nie do odróżnienia, tak



jak w moim poprzednim klasztorze, chociaż nadal drżałem w snach, kiedy przypominałem sobie śliczną dziewczynę z gospodarstwa, Elise, hasającą na wiosnę ubiegłego roku, kiedy ja wędrowałem dolinami i górami. Gdy tylko było to możliwe, zgłaszałem się na ochotnika i niosłem zioła na targ w wiosce, gdzie Elise często mnie zauważała i przybiegała ogrzać mnie swoim cudownym uśmiechem, z piersią falującą z wysiłku. Pokusa, chłopcy, unikajcie jej, unikajcie! Modliłem się i piłem, i doglądałem ogrodu, i studiowałem, i modliłem się, i debatowałem, i piłem, i pomagałem iluminować manuskrypty, i modliłem się, i tłumaczyłem woluminy, i piłem, i modliłem się. Tam zestarzałbym się i wysechł jak owoc Pański, którym byłem, ale zamiast tego, zamiast tego...

Tak lepiej. Zaczyna to rzecz. Muszą być benedyktynami, co? Dobry trunek, dobry, dobry, dobry. Jednakże, jak powiedziałem, powiadam, opowiadam, ehm, przy czym to ja byłem?

O, o, o, o. Tak. Dwa lata minęły... To były dwa lata? Trzy? Nieważne, minęło trochę czasu i wtem zaraza przyszła do naszego zacnego cesarstwa bez ostrzeżenia i wszystkim ciałom i duszom zagrażał plan Arcydiabła, bo z pewnością, z pewnością jego za to trzeba winić. Wtedy oczywiście nic o tym nie wiedziałem i podzielałem powszechne przekonanie, że to musi być Gniew Boży, oczyszczenie Gomory, którą się staliśmy. Żeby uwierzyć, że takie zło było dziełem Jego Przekzystych Rąk!

Co? Boga, a czyich by, jak nie jego?

Nie, nie, nie to miałem na myśli, chodziło mi tylko o to, że pomór nie jest Jego Świętym Dziełem, lecz machinacjami Węża starodawnego, który znowu znalazł się między nami. Jednakże w tamtym czasie jak inaczej mogliśmy to potraktować, jeśli nie jak kolejną próbę? Chłopi pańszczyźniani i wolni gospodarze, którzy wybudowali sobie osadę wokół opactwa, mieli jednak własne pomysły...

To, że trujące wapory bagienne ponoszą odpowiedzialność za zarazę, to rzecz udokumentowana i widząc, jak kiwacie głowami, pojmuję, że jesteście ludźmi wykształconymi. Jednakże znacznie rzadziej wspomina się o tym, że w pewnych wiejskich, posępnych okolicach ludzie tak desperacko pragną wybawienia od spustoszenia czynionego przez pomór, że pokłonią się przed samymi miazmatami, oferując swoje oddanie w zamian za życie własne i swych

rodzin. Ta diaboliczna herezja utrzymywała się dzięki prowodyrowi tego kultu, człowiekowi, który zwał siebie Ptasim Doktorem.

Zjawił się na krótko przed zarazą i zdołał zdobyć zaufanie głupich mieszkańców wioski. Opat zabrał mnie osobiście ze sobą, kiedy udał się potępić tego człowieka, który hasał na rynku odziany w strój z kruczych piór i złowieszczą drewnianą maskę sępa. Opat rozpoczął diatrybę przeciwko heretykowi i przysiągł, że jeśli nie opuści on osady w ciągu trzech dni, zostaną podjęte surowe środki. Mężczyzna zaśmiał się tylko pod maską i powiedział zebranemu tłumowi, że jedynie on może odeprzeć atak miazmatów i kontynuował dziwaczny, lubieżny taniec.

Wbrew okazanej nonszalancji opuścił jednak osadę następnego ranka i powędrował traktem na wschód, jak mówiono, tańcząc i śpiewając po drodze. Tego wieczoru żona młynarza zaczęła kaszleć i nim kury zapiwały, wyrosły jej pod pachami i w kroku dymienice. Rodzina Żydów przechodziła przez wioskę i zanim zdążyła uciec, wieśniacy zebrali się i ją złapali. Z celi słyszałem krzyki Żydów, kiedy szli na stos oskarżeni o dosypanie do potoku żmijowej skóry i wywołanie miazmatów.

Tym razem bluźnierczy chłopcy wygonili opata z powrotem do opactwa, kiedy próbował interweniować, a młynarz wyjechał na poszukiwanie Ptasiego Doktora. Wrócili tej samej nocy i kiedy piłem w celi, zobaczyłem ich cienie na oświetlonej księżycem drodze. Po ich powrocie, jak możecie się domyślać, sytuacja się nie poprawiła.

W ciągu tygodnia wioska została zdziesiątkowana, ale opat odmówił wpuszczenia któregokolwiek z chłopów, przysięgając, że sami ściągnęli na siebie zarazę, odwróciwszy się od Boga. Nie byłem wtedy i nadal nie jestem przekonany, że podjął słuszną decyzję, ale byłem młody, a teraz jestem stary, a młodzi ludzie często popełniają wielkie głupstwa. Kiedy u pierwszego brata z naszego zakonu pojawiły się te przekłete guzy i charakterystyczny kaszel, wszyscy się modliliśmy i jestem pewien, że nie ja jeden wyrzekłem się wody na rzecz mocniejszych napitków. Z każdym dniem kolejni zaczynali chorować, a jednak mnie Opatrzność oszczędziła, więc piłem, piłem i piłem, ale nie mogłem zapomnieć jej twarzy.

Spakowałem się i w pijackim napadzie pychy przekonałem sam siebie, że mogę kontynuować Jego Dzieło poza murami kościoła równie dobrze jak

pośród nich. Spakowałem swoje rzeczy, głównie butelki, i uciekłem na dół, do wyniszczonej zarazą wioski, w poszukiwaniu Elise. Dlaczego tak siebie karzemy?

Widziałem jej miłą twarzyczkę wzdętą i szarą, patrzącą ze stosu gnijących trupów, kiedy zbiegałem kamienistą ścieżką. Znalazłem jej spalone kości nad strumieniem, gdzie heretyccy chłopcy próbowali oczyścić jej martwe ciało. Widziałem ją nawet obejmującą Ptasiego Doktora, liżącą jego ohydny maskę i gruchającą do niego, kiedy przebiegałem przez rynek. Kiedy jednak biegłem opłotkami do jej domu, wiedziałem, że najgorsza okaże się prawda: że zastanę ją zarażoną, ale nadal żywą, że znajdę ją w straszliwym bólu, niezdolny jej pomóc. Byłem szlochającym dzieckiem, kiedy dobijałem się do jej drzwi, modląc się, by się okazało, że uciekła z chłopcem z wioski jeszcze przed przybyciem Ptasiego Doktora.

Tak jak się obawiałem, nikt nie odpowiedział na moje wezwania, i w głębokiej desperacji wyłamałem drzwi kopniakiem. Smród mnie dręczył, ale zwalczyłem go kolejnym haustem miodu i odważyłem się wejść. Nieszczęsne, ohydne ciała posunęły się zbyt daleko w rozkładzie, żeby odróżnić mężczyznę od kobiety, ojca od córki. Objąłem najbardziej zatęchłe zwłoki i lamentowałem, wykrzykując jej imię między atakami wymiotów.

Usłyszałem wtedy, jak ktoś wypowiada me imię z progu i moje dławiące się gardło i łamiące się serce nagle się zawahały. Och, jej głos, jej uroczy, niewinny głos!

Drżała jak żrebak stawiający pierwsze kroki, jak nowicjusz recytujący pierwszy list, lecz żyła, żyła! Och, jakież więcej dowód Jego Miłości, jakież więcej? Zamierzała uciec tej właśnie nocy, po tym jak przez kilka dni ukrywała się w belach słomy, obezwładniona rozpaczą i grozą. Widziała moje nadejście i obawiała się, że jestem Ptasim Doktorem, który nachodził ją codziennie, dopóki jej rodzice nie zmarli, a ona nie ukryła się za domem. Później powiedziała mi, że coś jej kazało odwrócić się i upewnić. Zgodziliśmy się, że był to litościwy podszept Maryi.

Powędrowaliśmy do myśliwskiej chaty wysoko na wzgórzach za opactwem, biorąc tylko tyle jedzenia, ile miało w torbie każde z nas. Stałem się tak nikczemny, że skradłem też kilka świec z knotami z sitowia, i zapaliwszy jedną z nich, ulokowałem nas wygodnie w walącej się chałupie u stóp ogromnego

szczytu. Wysokie sosny bardziej niż dach chroniły nas przed deszczem i ze łzami lśniącymi na policzkach uznaliśmy, że musimy nawzajem się obejrzeć i sprawdzić, czy nie mamy gdzie znamion zarazy.

Zdjęła sukienkę, a ja kaptur i habit, i nasza radość, gdy odkryliśmy, że oboje jesteśmy nieskażeni, wkrótce wzrosła. Nie patrzcie na mnie z taką dezaprobatą! Wyjaśnię wam, jak to wyjaśniłem Elise, że mnich Martyn to inna osoba niż Martyn mężczyzna i że ostatnim uczynkiem Martyna mnicha było udzielenie ślubu Martynowi mężczyźnie i Elise. Kobiecie.

Ależ oczywiście, że to tak działa! Kto tu jest duchownym? Dziękuję, Hegel. Wiecie jednak, od pierwszego pocałunku, jakim się obdarzyliśmy, to już nie smakuje tak słodko jak kiedyś, nie napełnia mnie dawną radością. Tylko gdy mam dość, odczuwam rozkoszne roztargnienie.

Tak. Spędziliśmy tam wiele dni, jeśli nie tygodni, wykorzystując wszelkie nasze umiejętności, by poradzić sobie z rozpaczą i naszą nową, dziwną sytuacją. Jednakże zanim połączyłem nas węzłem małżeńskim, Elise uczyniła mnie swoim spowiednikiem, przekonana, że bez natychmiastowego rozgrzeszenia zostanie na wieki potępiona.

Ten występny Ptasi Doktor bardzo się interesował biedną, biedną Elise, potwierdzając tym samym moje podejrzenia, że pod ptasią oponczką czaiły się zdecydowanie ludzkie oczy. Był jednak bardziej człowiekiem na ciele i duchu, ponieważ zanim wyruszył w podróż, by szerzyć zniszczenie, studiował diabelskie sztuki. Samozwańczy mistrz sztuk szatańskich opisał jej ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami, jak wykorzystał krew dzieci i szczurze futro, by wezwać istotę z otchłani piekielnych, demona prosto z dawnych czasów mroku i występku. Zaprosił tego demona do własnego ciała i stał się opętany, a demon w pierwszej kolejności opanował jego humory, wzrastając w nim, pielęgnując go i zachęcając do szerzenia zła. I teraz Ptasi Doktor szerzył zarazę i zniszczenie, radując się tym, podając się za lekarstwo na mór, który sam roznosił. Te i gorsze sekrety wyjawiał jej przez zaryglowane drzwi, mówiąc jej, że gdy tylko reszta zgnije za życia, on weźmie ją jak swoją i wpuści podobnego demona do jej dziewiczego ciała.

Moja biedna Elise płakała i płakała, ale gdzieś przed świtem jej łzy wyschły i dopełniliśmy o wiele przyjemniejszej ceremonii, mając za świadków naszych zaślubin tylko cieniutkie ściany i Najświętszą Panią. A potem tak niebiańska

rozkosz, a nie używam słowa „niebiańska” lekko, to znaczy... Och, wybacz, Hegel, nie zdawałem sobie sprawy, że takie kwestie mogą cię urazić. Och, widzę po twojej twarzy, nie ma co protestować, zachowałem się prostacko, wybaczcie mi obaj i Ty, Panie i Panienko, i moja panno.

Wiedziałem, że Bóg pochwała nasz związek, bo czułem Go w sobie jak nigdy dotąd, ale martwiłem się o moich braci na dole. Kiedy więc skończyło się nam jedzenie, ale nie trunki, bo w tym błogosławionym czasie piłem nie więcej niż stara gospodyni, uparłem się, żebyśmy zajrzeli do klasztoru, zanim ruszymy na południe, by wieść wspólnie uczciwe życie. Elise błagała mnie, żebym nie szedł, ale uparłem się. Wyrzuty sumienia z powodu porzucenia braci, kiedy najbardziej mnie potrzebowali, przeważyły nad pragnieniem zabrania oblubienicy w bezpieczne miejsce. Przeklinałem się, że nie ostrzegłem opata, zdradzając mu prawdziwą naturę Ptasiego Doktora pierwszego ranka po zaślubinach, niezależnie od tego, co mógłby pomyśleć o mnie z powodu zrzucenia habitu.

W wielu miejscach zaraza zabierała tylko kilku ludzi albo przynajmniej oszczędzała garstkę, ale w tej przeklętej dolinie nikt się nie ostał żywy. Opactwo wznosiło się wśród zmierzchu niczym oskarżycielski palec przywołujący mnie z powrotem do trzódki. Ręka w rękę weszliśmy do środka tymi samymi tylnymi drzwiami, przez które się wymknąłem, i zobaczyłem, że nie zapalono żadnych świateł na nieszpory, a dzwonnica stoi ciemna i cicha, jakby wznosiła się zatopiona głęboko w morzu.

Rozpaliłem ognisko w ogrodzie, żeby ogrzać oblubienicę i wezwać każdego, kto żyje. Wszyscy zmarli. Elise została przy ogniu, a ja przebiegłem każdym korytarzem, otworzyłem każde drzwi, tylko po to, by znaleźć ciała zwalone na stos w kaplicy. Smród był nie do zniesienia, niewiarygodny. Nie powtórzę, jakąż to grozę widziałem, bluźnierstwa, które znaczyły każdą powierzchnię wypisane ohydny... Tak? Ależ oczywiście, Manfredzie, to kolejny dowód, że walczyliśmy z tym samym złem! Nie, pozwól mi skoń... Przepraszam, rozumiem, rozumiem, do diabła...

Tak, poproszę. Jak mówiłem, to już nie pomaga mi tak jak kiedyś. Ale pomaga. Lepiej, tak lepiej.

Elise krzyczy w ogrodzie, a ja biegnę do niej i widzę, widzę, tego obrzydliwca, o Chryste, zdjął maskę i przyciska do niej swoją rozkładającą się

twarz, maska leży u jego stóp, a skóra mu odpada płatami. Biję go kosturem, biję i biję, a on rozpada się jak zgniła pieczeń, lecą kawały mięsa i kości i wreszcie się rozpadł, ale było już za późno. Widziałem, jak to w nią weszło, na otchłanie piekielne, widzę, widzę...

Jak długo ja... Nieważne, wołałbym nie. Tak, bardzo chętnie. Lepiej, już lepiej. Benedyktyni, zdecydowanie. Więcej? Uhm. Najpierw jeszcze odrobinę tego, jeśli to wam na jedno wychodzi.

Posiadł ją. Ten demon ją miał i tylko jej oczy nadal do niej należały. I opowiedział mi jej niezapomnianym głosem, co jej robi, a ja nie byłem w stanie się ruszyć, sparaliżowany rozpaczą. A on śmiał się jej głosem i powiedział mi, że to wszystko moja wina, bo opuściłem braci, a potem przyprowadziłem ją tu z powrotem. Podziękował mi jej anielskim głosem! A potem powiedział mi, że jeśli oddam duszę i ciało, to opuści ją, nie czyniąc żadnej krzywdy jej duchowi i ciału, o ile tylko pozwolę mu wejść w siebie. Powiedział, że mnich byłby niezłą zdobyczą!

Tylko Jego Światło może przeniknąć najmroczniejsze cierpienie. Odnalazło mnie wtedy, na chwilę przed tym, jak demon z pewnością by mnie opętał i to za moim własnym przyzwoleniem. Tak dalece ją uwielbiałem, Grossbartowie, że byłbym, byłbym gotów, byłbym...

Ale nie. Zamiast tego On mnie natchnął. Demon, który żąda, bym oddał mu duszę, zanim weźmie moje ciało, to demon, który nie może wziąć mojej duszy, dopóki sam mu jej nie dam, niezależnie od tego, jak straszliwie może się zemścić na mojej cielesnej powłoce! A skoro upadły mnich nadal jest tak chroniony, to cóż rzec o nieskalanej, czystej jak szarotka duszy takiej jak dusza Elise? Zacząłem się śmiać, a on zbliżył się do mnie w jej ciele niecierpliwie wyczekując mojej odpowiedzi, pewien, że szaleństwo mnie przekonało. Ja jednak zamachnąłem się kosturem i obaliłem ich w ogień, a on pociągnął mnie za sobą i gdybym miał na sobie włosiennicę, jak noszę ją teraz, oboje bylibyśmy zgubieni.

Zdołałem ugasić się w śniegu, chociaż pierś i brzuch na zawsze będę miał w bliznach od płomieni. Ona i demon wrzeszczeli zgodnie, ale mimo bólu w jej gotujących się oczach nadal widziałem tylko miłość. Podbiegli do tej samej zasy co ja i znowu bezlitośnie lałem ich kosturem, a kiedy ona ucichła i jego ciemniejszy cień próbował się wymknąć, rozwalilem mu skórę tłącym się

kosturem, usłyszałem, jak wrzasnął moje imię i zdało mi się, że zdechł.

Dziękuję, to bardzo uprzejme. Właściwie to ta już się kończy, czy... Doskonale, dziękuję, pięknie dziękuję.

Nie. Nie, och, a gdzieżby! To, co wziąłem za przedśmiertne rzeźnię, okazało się triumfalnym okrzykiem, bo za moimi plecami wjechał na dziedziniec podróżny na koniu. Kiedy walczył w siodle z odruchem wymiotnym z powodu trującej mgły bijącej z jej topiącego się trupa, demon w swojej najsłabszej, sflaczałej postaci strzelił ku mnie, ale wzdrygnął się na widok płonącego kostura i zamiast tego rzucił się na nowoprzybyłego.

Czy był emisariuszem z pobliskiego miasta albo bratniego klasztoru, żołnierzem powracającym z wyprawy, kupcem wiozącym jałmużnę? Nie wiem, nigdy nawet nie ujrzałem jego twarzy, ale tej straszliwej nocy słyszałem, jak dławi się i krzyczy, gdy demon wślizgiwał się w niego, a jego koń pogalopował na oślep, unosząc ze sobą nieszczęsnego jeźdźca. Wiedziałem, że demon mi umknął, ale wiedziałem też, że Jego Oczyszczający Płomień zgubiłby poczwagę, gdyby nie pojawiła się słaba ofiara, którą zdołał opętać. Dlaczego po prostu nie wszedł do mojego ciała? Czy sprawił to mój kostur, który się zapalił i zagradzał mu drogę, czy moja głęboka wiara, że nie może mnie skrzywdzić? Czyżbym miał jakąś odporność natury fizycznej na tę obmierzłą francę? Wiem teraz niewiele więcej niż wtedy, tyle tylko że od tej pory moje życie kręci się wokół tropienia tego demona i jego nikczemnych krewniaków, gdziekolwiek rozsiewają swoją zarazę.

A to co? Oczywiście, oczywiście. Ponownie wdziałem wtedy habit i złożyłem śluby, które tak chętnie wcześniej zerwałem, i znowu tylko On był moim świadkiem i jedynym, który się liczy. Przeciwnie niż w młodości, tym razem wierzyłem w te śluby każdą cząstką duszy. Płakałem i płakałem, a łzy skwierczały na jej płonących szczątkach i przysięgłem, że zapracuję na miejsce u jej boku, tak samo jak i u boku Jej w niebiesiech. Wiedziałem, że On chce, bym uczynił więcej niż pozwoliłby na to mój zakon i dlatego zostałem księdzem, a nie jedynie mnichem. Od tamtego czasu każdą chwilę poświęcałem na poszukiwania, na poszukiwania jakiegokolwiek wskazówki! Ostatnie lata okazały się bardziej owocne, choć i bardziej niebezpieczne, ponieważ przypadki zarazy stały się zdecydowanie rzadsze, przybliżając mnie do zwycięstwa, które, wygląda na to, że wy odnieśliście zamiast mnie. Ale tak jest lepiej, bo gdybym

ja tam był, tylko Bóg wie, na jakie niebezpieczeństwo naraziłbym swoją duszę, tak głęboko bowiem pragnąłem zemsty. I zdarzyły się też inne, które stanęły między demonem a mną, pomniejszych moce, obrosłe futrem robactwo ukrywające się w opętańcach i te bezlitośnie poskramiałem i wypędzałem. Wszystkie prócz tego jednego, tego potężnego zła, które woli raczej dostawać niż wykradać swoje wierzchowce, co oznaczało, że mężczyzna, który to w sobie ukrywał i którego ścigałem w tych górach, był albo nekromantą, albo wyznawcą diabła, czarownikiem, albo mordercą. A przynajmniej heretykiem. Przynajmniej.

Nie będę was zanudzał bojami, które wiodłem w owym odległym mieście Awinion, gdzie bujne drzewa i ozdobne wieże ocierają się o siebie w ponurej parodii stanu, w jaki popadł nasz ukochany Kościół. Święte Oficjum, ta właśnie instytucja, która ma ścigać herezje, przyznaje, że istnieją, ale kwestionuje istnienie czarownic i czarowników, a niektórzy wątpią nawet w cielesność demonów! Cóż to za szaleństwo? Mówią mi, że tylko kobiety są podatne i że ofiara zawsze musi wpierw zgrzeszyć, żeby wpuścić demona. Mrugają do siebie porozumiewawczo i mówią mi, że demony siedzą w wątpliach, nie w humorach, że wystarczy posłużyć się krzyżem, by je wypędzić i uratować opętanego. Fałsz zaszczerpiony przez zło, które musimy wykorzenić! My ponad wszystko zostaliśmy obarczeni tym żalosnym obowiązkiem, a jednak mnie nie słuchają, mnie, swojego człowieka, ich sługi, który stawił czoło sługom Lucyfera! Jednakże zawsze, zawsze pamiętam jej twarz i słowa, które wypowiedziała, zanim opuściła mnie na zawsze: musimy mieć wiarę. Bóg nas wybawi.



## XIV

# NUDNA DROGA



Ojciec Martyn popatrzył po Grossbartach, a potem westchnął, owinął się kocami i uśpił modlitwami. Hegel pokręcił głową, żeby otrząsnąć się po opowieści, i zostawił zagryzającego brodę Manfreda na pierwszej warcie. Manfred martwił się całą noc i nawet nie pomyślał, by obudzić Hegla, dopóki światło nie wróciło powoli przy akompaniamencie świeżego śniegu.

Gdy potrząsał bratem przed zbudzeniem księdza, zauważył, że prawa ręka Hegla jest równie opuchnięta i zaropiała jak jego lewa – czyli w miejscach, gdzie ich skóra dotknęła demona. Rany wyglądały, jakby się goiły, ale Manfred wspomniał bratu o paskudnej naturze obrażeń, gdy Hegel przestał już charczeć flegmą i trząść się z zimna. Rozmowa na ten temat rzuciła światło na kwestię, którą obaj szczegółowo rozważali, ale której nie mieli ochoty głośno poruszać. Przenieśli wzrok ze śpiącego kapłana na wóz.

– Trza to zrobić – upierał się Manfred.

– Z góry żem pomyślał, że tak pomyślisz – powiedział Hegel.

– A jeśli to ma, to chcesz ją tam trzymać? Raz mogło nam się udać, ale żeby udawało nam się przez całą drogę do Wenecji, musielibyśmy mieć więcej szczęścia niż nawet Maryja może nam zapewnić – argumentował Manfred. – A jeśli ma, toś gotów zrobić co należy?

– Zrobię, co trza.

– Tak żem myślał, że tak powiesz.

– Niech to szlag, Hegel, dość mam twoich imputacji. My są czyści, nie? Po mojemu przyczyną twoich niepokojów są twoje własne perwersyjne myśli.

Omyłkowo biorąc milczenie brata i towarzyszące mu drżenie za zgodę, Manfred ponownie się usadowił.

– Zatem ją sprawdzimy.

– Później, jak będzie porządne słońce, a nie ta słabizna – powiedział Hegel,

wzdrygając się na wspomnienie Nicolette, jakby wpadł w niechciane objęcia pijanego krewnego.

– Im szybciej, tym lepiej.

– Nic nie widać.

– Ale założę się, że da się je wymacać.

Manfried pomachał brudnymi paluchami, przysuwając się do brata. Hegel o mało nie wybuchł, ale dostrzegł szelmowski błysk w oczach Manfreda.

– A teraz kto ma zafajdane myśli?

Zaśmiał się i obaj powrócili do arabskich marzeń. Ksiądz w końcu się obudził. Zapomniał o ranie i jęknął, kiedy sięgnął po miskę ze stopniałym śniegiem. Bracia i Martyn nie marnowali potem wiele czasu i natychmiast zebrawali się w drogę.

– Zanim wyruszymy... – powiedział do Martyna Hegel. – Mamy pasażera, którego trza zbadać.

– W wozie? – Martyn potarł oczy.

– Jeśli jesteś na to gotów. – Manfred splunął, podenerwowany tym, że nie on wykona zadanie.

– Chcecie powiedzieć, że go nie sprawdziliście? – Martyn całkiem się obudził.

– Jako że ona nie gada, a przynajmniej nie po naszymu, żeśmy czekali na sposobną sposobność – wyjaśnił onieśmielony Hegel.

– Ona? Och. – Zasłona spadła Martynowi z oczu. – Wobec tego zajmę się badaniem. A jeśli ma zarazę, jesteście gotowi wykonać swoje zadanie?

– Niezawodnie. – Hegel spojrzał na brata.

– A pewnie, my są gotowi – odpowiedział z mniejszym przekonaniem Manfred.

– Niech wam Bóg błogosławi – powiedział Martyn, wchodząc na wóz.

Kobieta spojrzała gniewnie na Manfreda, kiedy ksiądz spuszczał za sobą płótno, a potem przez krótki czas było słyhać, jak Martyn pomrukuje coś do pasażerki wozu. Potem ksiądz wyskoczył z wozu błady i roztrzęsiony. Hegel położył rękę na oskardzie, a Manfred zażądał wyjaśnień.

– No i?

– Jest wystarczająco czysta. – Martyn oblizał usta.

– Znaczy?

- Gładka. Ehm, jej pachy są zdrowe, a to drugie...
- Drugie?
- Drugiego miejsca nie widziałem. Ale pomacałem...
- Źeś pomacał!
- Tak. Też robiło wrażenie zdrowego. Oczywiście, musiałbym zobaczyć, żeby mieć pewność, ale nie sądzę...
- No, i lepiej niech tak zostanie!
- Manfred! – zbeształ brata Hegel. – Zważaj, do kogo te słowa. Wszystko czyste, księżo?
- Czyste jak woda studzienna. – Martyn się opanował. – Gładkie jak jedwab. Święty Roch pobłogosławił jej tak samo jak nam.
- No to jedźmy! – Hegel i Manfred pomogli Martynowi wspiąć się na ławkę.
- Zabiłbym tysiąc świętych za kawałek mięsa – powiedział Manfred, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu sera.
- Bracie! – Hegel rzucił mu złe spojrzenie.
- Nie ma powodu, żebyście zmieniali swoje typowe rozmowy przez wzgląd na mnie. – Martyn się uśmiechnął. – Znam różnicę między powiedzonkiem a rozważanym grzechem.
- Widzisz? – Manfred rozerwał koło sera, a Martyn wygłodniałym wzrokiem patrzył na jedzenie. – Ma ksiądz ochotę?
- Bardzo proszę.
- Proszę, i jeszcze kawałek chleba. – Manfred odwzajemnił złe spojrzenie brata.

Duchowny połykał łąpczywie jedzenie, a kiedy zatrzymali się chwilę potem, żeby uprzątnąć drogę, Manfred niezdarnie przelał trochę piwa do butelki i wszyscy trzej się napili. Zlustrowali wzrokiem drogę przed nimi, te same rozsiane wszędzie góry i skarłowaciałe drzewa zakopane w śniegu.

– Mój drogi koń padł niedaleko stąd, a ja wziąłem z jego ciała tyle, ile zdołałem unieść – powiedział Martyn. – Może wilki zostawiły nam coś z tego, czego nie dałem rady zabrać.

– Nie obstawiaj, że pies zostawi cokolwiek człowiekowi – orzekł Hegel takim tonem, jakby dzielił się wielką mądrością.

– Cóż, bracia. – Martyn popatrzył po Grossbartach siedzących po jego obu stronach. – Zeszłej nocy podzieliłem się z wami swoim brzemieniem, może

teraz wy zechcecie podzielić się swoim?

– Nie mam żadnego – odparł Manfred.

– Ależ każdy niesie swój krzyż, a według mojego doświadczenia duchowe brzemie waży więcej niż to namacalne, które dźwigamy na plecach. Jak to się stało, że znaleźliście mnie na drodze, dokąd zmierzacie i gdzieście byli?

– To bardziej interes Maryi niż nasz, a już z pewnością nie twój. – Manfred wypił następny łyk.

– Jak uważacie – odpowiedział Martyn. – Ale w imię waszego zbawienia, koniecznie powiedzcie mi, jak to było z ohydą, którą, jak mówicie, zabiliście.

– Nie ma co opowiadać. – Hegel ulżył bratu, zabierając mu butelkę. – Zobaczyliśmy demona i zabiliśmy demona.

– Tak po prostu?

– Albo jeszcze prościej. – Manfred porwał z powrotem piwo.

– Opowiedzcie mi. Proszę.

– Dobrze – odrzekł Hegel i zdał względnie dokładną relację z ich przygody w Rousebergu.

Manfried wtrącił się tylko raz, kiedy uznał, że należy ocenzurować brata, bo w grę wchodziły delikatne kwestie dotyczące się cmentarzy.

– Niewiarygodne. Mówicie jednak, że dotknęliście demona?

– A pewnie, kiedy wpęłzał Enniowi do gardzieli. Mimo to i tak się wślizgnął. – Hegel miał nadzieję, że ksiądz nie będzie dokładnie wypytywał o tę porażkę. – Zafajdany pojeb cały czas próbował nas dotknąć.

– Nogi mu odpadły i pociekło na nas. Ale żeśmy zrobili wszystko, co w naszej mocy dla tego biednego cudzoziemskiego łajdaka. – Manfred zmarszczył brwi, patrząc w pustą butelkę.

– Niech zobaczą. – Martyn przełknął nerwowo ślinę. – Niech zobaczą waszą skórę, gdzie go dotknęliście.

Wzruszyli jednocześnie ramionami i obaj pokazali dłonie poparzone przez posokę demona.

Początkowo Martyn wzdragał się przed ich dotknięciem, ale potem zaczął szturchać i ścisnąć, aż wreszcie pochylił się i powąchał. Wzdrygnął się i machnął, żeby zabrali ręce.

– Mimo smrodu wydają się niezakażone – odparł przez nos. – Unikajcie jedzenia i picia nimi, dopóki się nie wygoją.

- A to czemu? – zapytał Hegel, drapiąc poparzoną czaszkę.
- Bo zostały zanieczyszczone przed demona, durna pało.
- Ehm, tak właśnie. Jednakże to niesamowite. Jak wam powiedziałem, wszyscy, którzy dotknęli ohydy, stawali się jej żywicielami, a jednak wam dwóm zostało to oszczędzone. Modliliście się do świętego Rocha? – Widząc ich puste spojrzenia, Martyn wyjaśnił: – Święty Roch nie został jeszcze, ehm, oficjalnie kanonizowany, więc macie prawo o nim nie wiedzieć. Tak się składa, że jestem szczęśliwym posiadaczem kości jego palca, której używam jako broni przeciwko Szatanowi i innym szatanom. Możecie go nie znać, ale z pewnością nad wami czuwa! Nigdy nie spotkałem nikogo, kto przetrwałby zarazę, a nie wzywał jego imienia!
- Aż do tej pory! – Hegel próbował wmaszerować między cugłami do bezmózgich koni.
- Nie pierwszy to raz, a możliwe, że i nie ostatni.
- Manfried odsunął na bok płótno i wpełzł do wozu, żeby przynieść piwo i zerknąć ukradkiem. Żaden z braci nie odczuwał potrzeby świętych, będąc od małego w łaskach Maryi.
- Hę? Mówicie, że już wcześniej widzieliście takie zło? – Martyn obrócił się, by spojrzeć na Manfreda.
- Jemu szło o to, żeśmy złapali zarazę, kiedyśmy byli mali, aleśmy się jej nie dali – wyjaśnił Hegel.
- Chcesz powiedzieć, że przeżyliście Czarną Śmierć?
- Z ogromną pewnością siebie. – Manfred o mało nie kopnął księdza, wracając na ławkę.
- Niesamowite – powiedział Martyn.
- Ja bym rzekł, że cud.
- Zważaj na towarzystwo, Manfred.
- Nie, Hegel – odezwał się Martyn, zanim Manfred zdążyłby wypalić z odpowiedzią – to rzeczywiście cud. Mniej niż jeden człowiek na tysiąc przeżywa Czarną Śmierć, kiedy ta już go dorwie. Nigdy osobiście nie byłem świadkiem takiego ozdrowienia, ale słyszałem opowieści. Najświętsza Paniienka naprawdę była dla was litościwa.
- Sam bym tego lepiej nie powiedział, braciszku. – Manfred wypił triumfalny haust piwa.

– Przetrzymawszy zarazę i przechytrywszy agenta Arcydiabła naprawdę jesteście żołnierzami Pana!

– Żeś chciał rzec: żołnierzami Maryi – poprawił go Manfred, a Hegel się z nim nie spierał.

– Cóż, myślę, że można to i tak ująć.

– Napij się, Martyn. – Manfred podał mu ponownie napełnioną butelkę. – Teraz, skoro już usłyszał naszą opowieść, nie zostaje nam nic innego, niżli zabijać jebany czas, najlepiej jak potrafimy.

– Co to za „jebany”? – zapytał Martyn.

– Co? – zdziwił się Hegel.

– Kto? – spytał Manfred.

– Jebany – powtórzył Martyn. – Jebać, jebany, pojeb, to słowo, które tak lubicie. To obelga?

– Ach, słowo „jebany”! – Manfred się roześmiał. – A pewnie, obelga, jak najbardziej. Wioska niedaleko naszego miejsca urodzenia nazywała się Jebanice.

– Dlaczego nazwano ją od wyzwiska? – zapytał Martyn.

– Sam żem często zadawał sobie to pytanie – powiedział Hegel.

– Tak? – Manfred wyszczerzył zęby wobec głupoty brata. – Żadna niespodzianka. Słuchaj, Martyn, to jest tak. Jebanice to wioska pełna ludzi, którzy są dupkami, ale dupkami tak zasranymi, że nie zasługują, żeby ich po prostu nazywać dupkami albo zasranymi dupkami, czy nawet bezbożnymi zasranymi dupkami, trza użyć czegoś mocniejszego dla odróżnienia, że już nie wspomnę o zwięzłości. Stąd nazywamy każdego, kto jest tak zafajdany, że mógłby pochodzić z Jebanie, pojebem, jebańcem, czy jak tam sobie chcesz, byle by to sugerowało związek z Jebanicami. Jasne?

– Chyba tak. – Martyn wzruszył ramionami. – Dlaczego oni są, znaczy ci Jebrańcy, tacy źli? To poganie?

– Żeśmy byli raz w Jebanicach i próbowali... – zaczął Hegel, ale zauważył spojrzenie brata, więc się przymknął.

– Tak? – naciskał Martyn.

– Żeśmy byli raz w Jebanicach i te pojeby, co tam mieszkają, wyjebały nas, to znaczy próbowały potraktować nas, jakbyśmy byli nic nie znaczącymi jebańcami, co mogliby mieszkać w tej ich zasranej wiosce. No to żeśmy zajebali

im w podzięce i zaraz stamtąd zjebaliśmy. – Manfred zaczął się irytować.

– Ale dlaczego... – zaczął Martyn.

– Do kurwy nędzy, Martyn, całkiem ci odjechało?! – Manfred stracił nad sobą panowanie. – To jebany zwrot i tyle, tak jak psia mać, dupa, zaszczaniec, co zechcesz, tylko gorsze, bo nawet gdyby istniała wioska Psia Mać, byłaby o niebo lepsza od Jebanie, a psiochy, co by tam mieszkaly, byłyby zdecydowanie porządniejszymi duszyczkami! Znaczy, że się nie opierdasz, tylko masz coś istotnego do przekazania, bo inaczej nie wspominałbyś tej zjebanej wiochy! Używaj tego słowa, gdy gadasz o paskudzie i paskudztwach, jak kiedy ten jebany demon próbował nas zjebać, i za to my mu wjebaliśmy!

Na koźle zapadła cisza na dłuższą chwilę, zanim Hegel odchrząknął.

– Albo akt cudzołóstwa. Zafajdany uczynek i odnośnie do niego również można posłużyć się tym terminem.

– Zajeście gadasz – przytaknął mu Manfred.

Martyn rzeczywiście uwierzył, że Jebanice muszą być bluźnierczym miejscem, nawet jeśli przywoływanie jego nazwy różniło się w stopniu niepojętym zależnie od okoliczności. Po kolejnej pauzie ksiądz przypomniał sobie, że czekają bardziej palące kwestie niż dyskusja nad twórczym użyciem wyzwisk i zapytał:

– Ale co się stało, kiedy pokonaliście naszego adwersarza? Gdzie byli wszyscy mnisi i mieszkańcy miasteczka?

– W klasztorze, w stanie, jakiego możesz się spodziewać, wzięwszy pod uwagę twoje własne doświadczenia. – Hegel wzdrygnął się na wspomnienie.

– Ich też żeśmy spalili. – Manfred czknął. – Nie musisz się tym martwić.

Martyn westchnął.

– Zatem moja misja zakończyła się bez mojego udziału. Jednakże nie uważajcie mnie za dumnego, ponieważ uznaję w was i w sobie Jego Narzędzia i wiem, że spełniła się Jego Wola. Pociesza mnie myśl, że naprawdę go wysłedziłem i gdybyście się nie zjawili, ja wkrótce sam bym go znalazł.

– Jej Wola. Zakładając, że byś nie zamarzył, nie zjadłyby cię wilki albo nie skończyłbyś w dowolny inny makabryczny sposób. Spekulacje nic nie dają poza utrapieniem, zważ me słowa – filozofował Manfred.

– A ona – Martyn skinął głową na wóz za nimi – była z wami już wcześniej?

– Ona... – zaczął Hegel.

– Była i jest – wszedł mu w słowo Manfred – pod naszą kuratelą. Wieziemy ją na południe do Wenecji kapitanowi morskemu.

– Któremu kapitanowi?

– Bar Guzowi. Osobliwe imię, przyznaję – powiedział Hegel, oszczędzając bratu zakłopotania z powodu tego, że zapomniał, jak nazywa się ich przyszły patron.

– Z jakiej przyczyny wasza anonimowa podopieczna podróżuje przez góry w czasie srogiej zimy? Nie sędzę, żeby jakikolwiek wóz odważył się przebyć te wysoko położone drogi o tak późnej porze.

– Jedzie do kapitana, jak żeśmy właśnie rzekli – odparł Manfred.

– Nie, nie, mam na myśli, skąd ona w ogóle się tu wzięła? Cudzoziemska narzeczona? Krewna?

– No i proszę, spekulujesz. Pytasz, czemu słońce wschodzi i zachodzi, jak chce? – kontynuował Manfred. – Dlaczego krowa smakuje lepiej od konia, a świnia lepiej od nich obu? A może dlaczego jesteś księdzem, a nie papieżem?

– Manfred! – Przerazenie Hegla mieszało się z typowym rozbawieniem, który zawsze go ogarniało, gdy brat robił z kogoś głupca.

– Jeszczem nie skończył. Mamy świętego męża, którego dręczy obsesja zagadki stworzenia, chce ją rozwiązać, miast jej służyć jak wszystko inne, począwszy od ciernika, skończywszy na cesarzu. Dlaczego się rodzimy, skoro umrzemy? Dlaczego istnieje piekło, skoro Maryja nas miłuje? Jeżeli my są niewolnikami boskiego planu, to po chuja wolna wola? Jaka to próba, jeśli wynik jest z góry wiadomy, a potem fałszywe zdziwienie, gdy jakiś złamas się wyjebie?

Całe ciało Martyna dopasowało się kolorem do pąsowych obwódek wokół jego podpuchniętych oczu. Duchowny patrzył, jak Manfred wypija kolejny łyk, i z zaciśniętych ust księdza wyrwał się słaby jęk. Już miał potępić obu braci – Hegel nie był pewien, czy dźwięk, który powstrzymywał, to były przeprosiny, czy śmiech – kiedy Manfred dokończył przemowę:

– Takie właśnie bluźnierstwa wygadują księża tam, skąd pochodzimy. Gadają tak tylko między sobą, ale zważ sobie, słowa zawsze wyciekną, zwłaszcza gdyś dumny jak książę i dwa razy głupszy. Myślałbyś, że skoro żyją jak żyją, jako wybrańcy i w ogóle, to okażą więcej rozumu i nie będą kwestionować tego co dobre. Herezja, oto czym to jest, a co gorsza, tchórzostwo. Płaczą i powtarzają



w kółko dlaczego, dlaczego, dlaczego?! Powiem ci, Martyn, powiem ci uczciwie: zwykły czerw zadaje takie pytania, co za bardzo się boi, żeby mieć wiarę, i dlatego gorszy jest od prostego heretyka. Nie dość, że rodzina go odumarła, on musi wiedzieć dlaczego. Dlaczego ja, dlaczego oni, dlaczego, dlaczego, dlaczego? Boś menda, oto dlaczego. Ponieważ nieprzenikniona jest Jej Wola, a poza tym, to nie nasz jebany interes. Przebywamy w ciele i robimy, co nam Ona przykaże, okazując miłosierdzie i akceptując przeznaczenie, miast zadawać pytania, przez które szybko byś wyładował na stosie, gdybyś nie nosił szat. Trza wierzyć w świat bez odpowiedzi, w los bez wyjaśnień i przeprosin, alboś menda nad mendami i otrzymasz swoją wymarzoną odpowiedź w płonących czeluściach!

Koła zaskrzypiały i wóz podskoczył. Hegel się spocił, zastanawiając się, czy niedługo ładunek się zmniejszy. Brat zwykle hamował się przy duchowieństwie, ponieważ tylu ukrytych heretyków przeniknęło do Kościoła, ale ten ksiądz okazał nadzwyczajną wyrozumiałość, nie chowając urazy z powodu postrzelenia. Jednakże Manfred wygłosił świętą prawdę i jeśli duchowny się obrazi, będzie to dowód jego tchórzostwa.

– Amen – szepnął Martyn. – Dobrze mówisz, Manfredzie, chociaż na przyszłość radziłbym ci poprzekładać kolejność argumentów, jako że większość towarzystwa nie będzie słuchać cię na tyle uważnie, by pojąć prawdziwe znaczenie twoich słów. I wybacz mi, jeśli przez niezręczność swojej wypowiedzi zasugerowałem, że nie zgadzam się z tobą całym sercem. Prosta i, przyznaję, nieokrzesa ciekawość zwyciężyła we mnie, ale tylko na chwilę.

– Amen, w rzeczy samej – zarechotał Hegel, zsuwając rękę z rękojęści sztyletu pod płaszczem.

– A tam, to nic takiego – mruknął Manfred zachwycony tym, że jego diatryba zadowoliła księdza. – Tylko szczerą prawdą, wolną od wymyślnej i pustej gadaniny, która tak cieszy prostaczków.

– Jak już powiedziałem – odezwał się Martyn, napiwszy się z butelki – chociaż może nie dość wyraźnie, właśnie takie pustostowie podzieliło chrześcijan i to tak dalece, że papież już nie urzęduje we właściwym miejscu, ale musi mieszkać w niedawno okiełznanej dzicy Awinionu, i dlatego niektórzy z moich braci szydzili z faktu, że ruszam w podróż. Woleliby raczej wzajem oskarżać się o herezję, niż walczyć z prawdziwym ucieleśnionym złem.

– Tchórzostwo często się kryje pod przydomkiem zdrowego rozsądku – orzekł Hegel, a pozostali zgodnie pokiwali głowami.

– Masz rację – kontynuował wywód Martyn – chociaż ze wstydem to przyznaję, że jest wielu w Kościele, którym Wola Boga już nie wystarcza i niszczą nie tylko własne zbawienie, ale też świętość całej instytucji, skupiając się bardziej na pytaniach niż na odpowiedziach.

– Jak z tymi wszystkimi zakonami włączającymi się po świecie, nie potrafię odróżnić jednego od drugiego – wtrącił Hegel, a Manfred czknął i rozsiadł się, zadowolony, że może pić i słuchać.

– To nie taki problem jak wtedy, gdy podziały stają się nieznośne. – Martyn beknął. – Diabeł, na którego polowałem, sam to wskazuje. Otrzymałem niewielkie wsparcie w ściganiu demona, którego przecież widziałem. Smutne to czasy, kiedy walka z wcielonym złem zesłanym przez Szatana, by czyniło krzywdę, jest mniej nagła niż dochodzenia w sprawie plotek na temat herezji, kiedy prawi nie mieszkają nawet we własnym mieście. Znalazłem sprzymierzeńca w Jeanie de la Roquetaillade, franciszkaninie z darem prorokowania, ale uwięziono go za głoszenie prawdy, że nadeszły Czasy Ostateczne. Spotykałem się z nim w jego celi za każdym razem, gdy udawałem się do Awinionu, kolejny dowód, kolejny dowód! Troskę o ludzkie dusze zastąpiła żądza władzy. Modliłem się, by moja misja ponownie spoiła Kościół, ale zanim opuściłem Awinion po raz ostatni, odkryłem, że jestem pariasem i pośmiewiskiem dla tych, którzy hańbią Jego Imię czynem i słowem. Niektórzy szeptali nawet, że jestem w sekrecie waldensem! Odmówiono mi audiencji u Jego Świątobliwości Klemensa, a potem znowu u Jego Świątobliwości Innocentego, a kiedy niedawno wróciłem błagać Jego Świątobliwość Urbana, czekała na mnie ta sama szorstka odmowa.

– Tragedia – powiedział Hegel.

– Powiedzcie mi, bracia, słyszeliście o procesie Formozusa?

Manfried ziewnął. Hegel zamrugął.

– Zbezczeszczenie papieża Formozusa to nadal kwestia jak najbardziej aktualna, więc zdam wam sprawę z tego, co mu się przydarzyło i pozwolę wam, pobożnym wędrowcom, zdecydować samym, co o tym myśleć. Kilka wieków temu Formozus służył człowiekowi i Bogu, jak wszyscy prawdziwi papieże, ale nawet wtedy nie brakowało politycznych machinacji, i wkrótce po śmierci go

ekshumowano.

Grossbartowie zastrzygli uszami, bo takie sprawy to była ich specjalność. Hegel zmusił się, by uważać na drogę, podczas gdy Manfred wyłuskał piwo od Martyna. Ksiądz zdołał jeszcze upić łyk, zanim zrzekł się butelki.

– Oskarżyli go o herezję. – Oczy Martyna miały błyskawice, ale głos mu nie zadrżał. – Pod przywództwem Stefana VI, ehm, VII, ci heretycy wygrzebali go ze świętego miejsca spoczynku i zorganizowali proces. Z trupem! Jego dusza zasiadająca w niebie doznawała upokorzenia, patrząc jak trącają jego kości i oskarżają go o bluźnierstwa, czczenie diabła, i rzucają wszelkie inne podłe oszczerstwa, jakie tylko ich występne umysły mogły spłodzić. Najwyraźniej nie był w stanie bronić swoich szczątków, a ci kryminaliści odcięli mu rękę z papieskim pierścieniem i odarli go z szat liturgicznych. Przeciągnęli go ulicami, cisnęli do rzeki, wyłowili i rozrzucili jego zhańbione kości, mieszając je z żydowskimi.

– Wstyd – powiedział Hegel.

– Farsa, której nikt nie zapomni – powiedział Manfred.

– Często wyobrażałem sobie, że gdybym został papieżem, poprosiłbym o imię Formozusa – zadumał się na głos Martyn.

– Ejże! – Manfred dał mu sójkę w bok. – Ktoś tu nie zapomina, gdzie jego miejsce przy stole?

– Co? Nigdy! Ja tylko, ehm, jak rzekł Augustyn...

– Spokojnie, Martyn. – Manfred się zaśmiał. – Tylko sobie zażartowałem. Tchórzostwem jest kwestionować nasze przeznaczenie, a odwagą i honorem walczyć, by je zmienić.

– Ale przeznaczenia nie da się zmienić – powiedział Martyn.

– Zwykle nie, ale zgodnie z Jej Wolą trza walczyć i nie ustawać w wysiłkach, a część z nich polega na tym, że trza odróżnić, co ci wciśnięto jako twoje przeznaczenie, a co naprawdę nim jest.

Martyn zmrużył oczy, patrząc na Manfreda.

– Wciśnięto?

– Po mojemu to jest tak – wtrącił się Hegel. – Myślisz, że twoim przeznaczeniem jest walczyć przeciwko herezji w Rzymie, w Awinionie, czy gdziekolwiek indziej, ale twoim prawdziwym przeznaczeniem jest ścigać demona w tych górach. Zatem podążasz za swoim przeznaczeniem, chociaż cała

reszta próbuje ci wmówić, że twoim przeznaczeniem jest siedzieć na tyłku.

– To miał zem na myśli? – Żaden z braci nie wiedział, czy Manfred pyta szczerze, czy wyraża sprzeciw.

– Postrzegane przeznaczenie i prawdziwe przeznaczenie. Wolna wola. Herezja. Tchórzostwo. – Martyn poleciał do przodu i zwymiotował im na buty.

Manfried przytrzymał księdza, żeby nie spadł pod koła i mrugnął do brata. Duchowny wyglądał na nienajgorszego człeka.

– Jaki to ksiądz po twojemu? – zapytał Hegel swojego bardziej światowego brata w ich prywatnym dialekcie.

– Pierwszorzędnny. – Manfred wzruszył ramionami. – Na podstawie jego opowieści obstawiałbym, że to dominikanin. Najpewniej, zwłaszcza że ciągle papie na temat heretyków.

– Och. – Hegel ucichł, bo nie chciał wyjść na głupca, zadając więcej pytań.

– Nie bardzo wiem, jak został księdzem w oczach innych ludzi niż Święty Jebaniec w górze – zastanawiał się na głos Manfred. – Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek kardynał czy biskup uznał go za dobrego kandydata.

– Ale sam żeś powiedział, że jest pierwszego gatunku – zauważył Hegel.

– A pewnie, ale definicje są różne.

Nawet zakopana pod śniegiem droga wiodła w sposób oczywisty dzięki koleinom, ale nie sięgali już wzrokiem dalej niż trzydzieści stóp przed pierwszą parą koni. Martyn na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, siedząc pomiędzy Grossbartami i paplając o kwestiach, które, jak Manfred zapewnił brata, wydałyby się bez mała bluźnierstwem dla uszu mierniejszej kompanii. To ich bawiło, więc go podjudzali, zwłaszcza że nigdy nie dyskredytował Najświętszej Paniienki, tylko biskupów i księży, mnichów i mnisie zakony, i arystokratów, i chłopów pańszczyźnianych, i wolnych chłopów, i nawet konie.

Nigdy nie znaleźli konia, który mu padł, ale nie natknęli się też na wilki. Tę noc przespał Manfred, a Martyn zastępował go w ramach pokuty za wcześniejszą kompromitację. Wiedząc, że owies wytrzyma dłużej niż porośnięty futerkiem chleb, odstawili owsiankę i wzbogacili zapleśniały smak bochenków jeszcze bardziej zapleśniałym serem. Zepsute żyto wywołało przedziwny efekt w postaci barwnych snów – snów, które często nadchodziły, zanim jeszcze zasnęli.

Nieświadomi źródła swoich wizji, wszyscy trzej zajadali chleb przez następny

dzień, który przyniósł jeszcze bardziej szalone rozmowy i obrazy. Wiele razy Hegel nie widział koni, nie wspominając już o drodze, ale zachowywał ten fakt dla siebie, a zwierzęta szły przed siebie bez żadnych przygód. Śnieżne szczyty falowały wokół nich, a Manfred i Martyn zażarcie dyskutowali na temat tego, co to zapowiada. Zdawało im się, że śnieg się unosi z ziemi, zamiast na nią opadać, a każdy z mężczyzn od czasu do czasu zaczynał chichotać. Nie zdawali sobie sprawy, że się zatrzymali, dopóki każdy z nich nie miał dodatkowej czapy ze śniegu, a potem ruszali ponownie tylko na złość leniwym koniom.

Żaden nie był pewien, czy naprawdę wjechali do lasu, dopóki nie usiedli wokół największego ogniska, jakie rozpalili, odkąd opuścili karczmę; baldachim z koron sosnowych, po tym jak zrzucił błądy ładunek na ich pierwszy ogień, chronił ich przed następnymi opadami śniegu. Wilki wyły, a oni odpowiadali im wyciem, Martyn najgłośniej ze wszystkich. Ni z tego, ni z owego, pragnąc zaimponować Martynowi powagą ich krucjaty, Manfred powiedział mu o ich zobowiązaniach wobec przodka, każących im odebrać niewiernym wszystko, czego Grossbartowie mogą zapragnąć.

– Prezbiter Jan – powiedział z niedowierzaniem Martyn – to wasz dziadek?

– Nie mam krewnego imieniem Jan – odparł Manfred.

– Ale mówicie, że jest chrześcijańskim królem żyjącym za ziemiami Arabów?

– W gruncie rzeczy – powiedział Hegel – nie wiem, czy jest królem, czy tylko ma królewskie bogactwa i nie wiem, gdzie spoczywa jego broda. Dopiero musimy się z nim zapoznać.

– Już niedługo się dowiemy, zapamiętaj me słowa, i jeszcze mu pokażemy – dodał Manfred. – Zdobędziemy tyle łupów, że przy nas dziadek będzie wyglądał jak brudny kopacz rzepy.

Martyn się roześmiał.

– Ale historie o królestwie Prezbitera Jana sięgają wstecz wiele dziesięcioleci, wiele wieków!

– Grossbartowie ruszali na południe, odkąd Mojżesz był szczeniakiem. – Manfred spiorunował księdza wzrokiem. – Rzekłem ci, że ani on Jan, ani Preston, ani nic z tych rzeczy, więc zamknij tę jebaną jadaczkę, zanim powieszę cię jak stracha na wróble dla górskich psów!

Po nerwowym milczeniu, kiedy to Grossbartowie dyskretnie macali rękojeści

broni, bo nawet Hegel nie był skłonny pozwolić, by ktokolwiek prócz niego i brata dyskredytował ich krewnych, Martyn odezwał się:

– Wybaczcie mojej jebanej jadaczce!

I wszyscy trzej znowu zarykiwali się nienaturalnym śmiechem.

Późną nocą z wozu nadpłynęła muzyka słodsza od wszystkiego, co bracia usłyszeli w swoim życiu. Martyn obudził się wtedy, majacząc, i rzucił się na pobliskie drzewa z pięściami. Żaden z braci nie wtrącał się, zamiast tego otworzyli sobie po butelce i serdecznie cieszyli się z przedstawienia. Tylko Manfred zauważył, kiedy muzyka ucichła i ukradkiem oderwał łód z policzków. Rankiem ze wstydem zdał sobie sprawę, że od dwóch dni nie sprawdzał, czy kobieta nadal siedzi w wozie.

Martyn przeprosił towarzystwo i poszedł oczyścić habit, a Hegel chrapał obok dogasających węgli, więc Manfred podszedł prosto do tyłu wozu. Zapukał dwa razy w ramię, a potem wspiął się do środka i zamknął za sobą klapę. W środku widział tylko cienie cieni, ale słyszał oddech kobiety i czuł piżmowo-słodki zapach jej potu, aromat, który budził w nim głód.

– Uch. – Przełknął ślinę. – Potrafisz pani pięknie śpiewać.

Jej ubrania zaszeleściły i wydawało mu się, że widzi, jak jej zęby zabłyśły w ciemności. Własny pot piekł go w oczy i nagle zrobiło mu się nieprzyjemnie gorąco. Wziął się w garść i pochylił do przodu, aż poczuł jej oddech na policzku, chłodny powiew w parnym wozie.

– Czy mogłabyś... o ile możesz... zaśpiewać znowu? – Manfred czuł się jak głupiec. – Proszę?

Jej oddech stał się szybszy i chłodniejszy, i znajomy mu skądś zapach podrażnił jego włoski w nosie. A potem Hegel ryknął obok wozu i kobieta schowała się głębiej w ciemnościach. Gniew ogarnął Manfreda. Wypadł z wozu, zaskakując Hegla i Martyna, który właśnie wrócił. Pod ich zaciekawionym spojrzeniami jego gniew się rozproszył i Manfred wymamrotał coś, że powinni wcześniej ruszać. Zapręgając konie, nie zauważył, że Martyn odciąga Hegla na bok.

– Czy on często zakrada się do środka, kiedy śpisz? – zapytał Martyn.

– Zważaj sobie – odparł Hegel. – Książd nie powinien mieć takich nieczystych myśli.

– Człowiek musi poskromić samego siebie, zanim spróbuje poskromić

drugiego. Przez wzgląd na jego duszę winniśmy zachować czujność.

– Przez wzgląd na twoje zęby czuwałbym trochę bardziej nad własną gębą. Tylko tyle powiem, prócz tego, że mój brat jest równie czysty jak ty czy ja. – Hegel z posępną miną wspiął się na ławkę.

Martyn przeżegnał się przed wozem i poszedł za przykładem Hegla. Przełamali się chlebem, chleb przełamał ich i ten dzień oraz następne po nim zwały się w straszliwą wędrówkę nie tylko przez góry, ale także głębsze, słabiej zbadane regiony. Ogień świętego Antoniego napiętnował ich mózgi i tylko szczęście ochroniło ich kończyny przed zatrutym żytem – z wyjątkiem palca u stopy Martyna, który wypadł z buta, kiedy ksiądz zdjął obuwie, żeby sprawdzić przyczynę nieprzyjemnego mrowienia. Przez dwa dni Hegel mylił Martyna z samą Najświętszą Panią, zwykle go tym przerażając, chociaż czasem udawało mu się przekonać księdza, że rzeczywiście jest Oblubienicą Boga.

Gdyby nie rozsądne konie, zabłądziliby, bo ku wielkiemu rozczarowaniu Hegla odmawiały przechodzenia nad przepaściami i wspinania się łożyskami strumieni, gdzie je kierował. Przeklinał je i krzyczał, aż zapalały się wokół nich światła, ale ich kły i legiony nóg śmiertelnie go przerażały, gasząc jego zapał do walki z nieparzystokopytnymi. Maryja zdradziła mu wiele sekretów, kiedy podróżowali, sprawy, od których pienieł się z gniewu i płakał z rozpaczy. Jej osobliwe podobieństwo do czarownicy Nicolette przestało go denerwować po pierwszym dniu, pomogło mu jednak zachować czystość myśli podczas tej ciężkiej próby.

Manfried wziął raz spadający śnieg za złoto i w pogoni za nim spadłby w ramiona śmierci, gdyby Martyn nie przekonał go, że to diabelska pułapka, zmijowy jad ufarbowany na żółto, by zwieść uczciwych. Manfried wpełzł pod koc na kilka godzin, żeby ukryć ciało przed trucizną. Kiedy Hegel zwrócił się do księdza jako do Najświętszej Pani, Manfried przez chwilę podzielał urojenia brata, zanim zdał sobie sprawę, że to musi być impostor, bo prawdziwa Maryja spoczywa przecież w wozie. Rzeczy, jakie mu szeptała, były najpewniej jedynymi słowami, które mogły wywołać u Grossbarta rumieniec. Nocą, kiedy nikt tak naprawdę nie spał, a wszyscy tylko kręcili się i majaczyli przy ogniu, który mógł istnieć jedynie w ich umysłach, Manfried wpełzał pod wóz i modlił się aż do zachrypnięcia.

Jako duchowny, Martyn miał monstrualny apetyt, ale nie mógł się mierzyć z Grossbartami, w efekcie zjadał mniej chleba niż oni i był w stanie funkcjonować jak z grubsza normalny człowiek. Chociaż nie odczuwał ich głodu, jego wyobraźnia wykarmiła się wieloma traktatami studiowanymi na przestrzeni lat i jego wizje nadrabiały dzikością tam, gdzie brakowało im żywości. Dla ścigającego demony świętego męża ich droga wiodła poprzez góry popiołu i chmury siarki, opary i jad spadały na nich deszczem, a zawrota potępionych nie dawały im chwili spokoju. Jego ukochana Elise nie pojawiała się, ale święty Roch dręczył ich wóz; jego pleśniejący trup żądał zwrotu skradzionego palca. Martyn cisnął relikwię w śnieg, wrzeszcząc ze skrucą z powodu własnego grzechu popełnionego na cmentarzu. Jego mowa wędrowała między dialektami i językami, jakich się nauczył, i paroma hybrydami własnego wynalazku. Próba, jęczał do zagubionych dusz jadących obok niego, ostatnia próba przed chwałą. Chociaż skazał się tym na potępienie, nie poprawił upadłego serafina siedzącego obok niego, kiedy ta promienista istota zwróciła się do niego jako Maryi, Bożej Matki. Sam wiedział bowiem, że jest Marią Magdaleną i głęboko się wstydził.

W przeciwieństwie do naturalnych snów, te horrory nie znikwały natychmiast po przebudzeniu, ale dręczyły ich dniem i nocą, a ich intensywność powoli słabła, aż ich brak zaczął doprowadzać całą trójkę do szaleństwa bardziej niż wcześniej ich obecność. Zatrzymawszy konie późnym popołudniem trzeciego dnia ich psychozy, Hegel zszedł chwiejnym krokiem z wozu, żeby jednocześnie wypróżnić się i wymiotować, podczas gdy brat wyprzęgał konie po raz pierwszy od wielu dni. Biedne zwierzęta były wygłodzone i pokryte pęcherzami, a wyraz ich wielkich oczu wywołał u braci kolejny atak śmiechu. Martyn został na ławce, modląc się i łkając, dopóki Grossbartowie nie rozpalili ognia.

Następnego ranka zdali sobie sprawę, że zostawili za sobą wysokie szczyty na rzecz łagodniejszych stoków i pewnie mimo wszystko nie zginą w górach. Po tym jak znowu udzielił sobie reprimendy i znowu sprawdził co u damy, która znowu uśmiechnęła się do niego słodko i zatrzepotała rzęsami, Manfred znowu przygotował konie. Poprzedniego dnia panowało przygnębienie i milczenie, ale teraz bracia i Martyn cieszyli się z wyboistej drogi, porywistego wiatru i napchanych kleikiem żołądków.



Nic nie mogło popsuć im nastroju, kiedy pierwszy raz ujrzeli coś innego niż niekończąca się seria ośnieżonych skał, które otaczały ich od tygodni. Zjechali w zalesione doliny i na trawiaste łąki. Gdyby należeli do frywolnego rodzaju, z pewnością zaczęliby śpiewać piosenki, a tak rozmawiali o honorze, wierze i darze prorokowania. Martyn pomyślałby, że są najgorszego sortu heretykami, gdyby nie łamał się z nimi chlebem.

– Dalszy dowód? Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz? – zapytał Hegel, zdumiony, że jego świętoszkowaty brat powątpiewa w prawdę.

– To mogło być coś innego, sztuki diabelskie albo czary – wymamrotał Manfred.

Myśl, że jego rozwiązłe halucynacje mogłyby się spełnić, dręczyła go na wszelkie sposoby.

– To rzeczywiście jest możliwe – przyznał Martyn. – Kusiciel mógł zesać nam takie wizje tylko po to, by nas zwieść i byśmy uwierzyli, że dotknęliśmy boskości.

– Ale czy zdołałby tak dobrze wcielić się w Maryję? – dopytywał się Hegel. – Żem widział Jej Twarz i słyszał Jej Radę. Po co Szatan miałby przybrać Jej Postać i powiedzieć mi, że dobrze Jej służę? Nie wolałby raczej, bym zszedł ze słusznej drogi?

– Czary mogą sprawić, że zobaczysz najróżniejsze cudowności, które tak naprawdę nie istnieją – powiedział Manfred, nieświadomie sypiąc sól na duchowe rany brata.

– Jednakże Hegel ma słuszność – upierał się Martyn. – Po co Szatan skłaniałby nas do głębszej wiary?

– To właśnie żem gadał – sprzeciwił się Manfred – na temat zadawania zbyt wielu pytań.

– No właśnie! Weź to na wiarę, tak zawsze gadasz, bracie.

– A pewnie, i wierzę, że te koszmary to dowód diabelskiej złośliwości i nic więcej.

– Manfredzie, gdyby Pan chciał, abyśmy wiedzieli bez pytania, nie byłoby wiary – wtrącił się Martyn.

– Księżu...

– Ojcie Martynie, proszę.

– Martynie...

- Ojcie Martynie.
- Księżę Martynie – kontynuował myśl poirytowany Manfred – zadawanie pytań jest dobre i słuszne, póki człek zachowa stosowny dystans. Nic nie zyskamy, duchowo czy inaczej, zakładając, że zostaliśmy pobłogosławieni widokami z niebios.
- Co racja, to racja – przyznał Martyn.
- Ale Manfred – Hegel szarpał nerwowo brodę – istnieje jeszcze inny, ehm, dowód.
- Lepiej, żebyś nie gadał o tym, co podejrzewam.
- A pewnie, zdaje mi się, że masz rację. – Heglowi ulżyło, że nie musiał jednak o tym mówić.
- O co chodzi? No, śmiało, Hegel, jestem księdzem, możesz śmiało mówić, co ci leży na sercu.
- Ja... – zaczął Hegel.
- Nie rób tego. – Manfred spiorunował go wzrokiem.
- Och, pał cię lichu. – Hegel odpowiedział mu równie chmurną miną. – Nie rzucił mnie na stos za to, że powiem prawdę na temat czegoś, co od początku nie jest moją winą.
- Nigdy nie wiadomo. – Manfred spojrzał wilkiem na Martyna.
- Och, dajcie spokój – zachnął się Martyn. – Myślcie o mnie jak o spowiedniku, skoro już musicie.
- A tam. – Hegel skrzywił się kwaśno. – Nie będę się spowiadał, bom niczego złego nie zrobił.
- Chyba nie ulegliście zepsuciu begardów? – Martyn zaczął się niepokoić.
- Żaden bękart nas nie tknął! – Manfred znowu się zastanawiał, czy nie zsadzić Martyna z wozu.
- Nie, nie – tłumaczył ksiądz. – Grupa heretyków zwanych begardami szerzyła herezję, zgodnie z którą wszyscy ludzie żyją w stanie łaski, nie potrzebując duchowieństwa i sakramentów. Pomyślałem...
- Że my są wystarczająco głupi, żeby dać się zwieść herezji? – ostro zapytał Manfred, chociaż na razie ci begardzi nie wydawali się tacy najgorsi.
- Nigdy! – zaprzeczył Martyn. – Poza tym oni są orędownikami ubóstwa, więc z pewnością...
- Z pewnością? – Manfred chuchnął Martynowi w twarz.

– Z pewnością. – Martyn oblizał spierzchnięte usta. – Z pewnością mogliśmy zapomnieć o mojej głupocie i skupić się na dobrym trunku?

– Z pewnością. – Manfred odwrócił się do koni.

Minęło kilka mil pustej drogi, zanim Hegel zapytał łamiącym się głosem:

– Czy to musi być grzech, żeby się z niego spowiadać?

– Jeśli wahasz się, czy wyznać coś kapłanowi, wzdragasz się przed wyznaniem czegoś Bogu, a On już wie, więc grzechem jest tylko ukrywanie prawdy przede mną, Jego sługą, który jedyne, co może zrobić, to ci pomóc – wyjaśnił Martyn.

– Nieźle ci przygadał. – Hegel podśmiewał się z ponurego Manfreda.

– Zatem o co chodziło, Hegel? – zapytał Martyn.

– A pewnie, o co? – spytał Manfred.

– Ja, ehm, to jest... – Hegel tracił odwagę, kiedy patrzył to na gorliwego księdza, to na rozgniewanego brata – Czasem, mnie, no cóż, nachodzi, jeśli idzie o różne rzeczy.

Manfried zarechotał.

– Tak to zamierzasz przedstawić?

– A jak ty byś to przedstawił? – warknął Hegel.

– Ma Wiedźmi Wzrok – wyjaśnił Manfred. – We łbie mu się poprzestawiało.

– To nie tak! – zaprotestował Hegel.

– Wiedźmi Wzrok, Hegel? – zapytał Martyn i znowu potwornie źle się poczuł z faktem, że siedzi między tymi dwoma.

– To bardziej, sam nie wiem... takie wrażenie. Kiedy coś śmierdzi. – Hegel szukał słów jak zatwardziały heretyk, który próbuje wyrecytować Modlitwę Pańską.

– Wrażenie? – upewnił się Martyn.

– Jakby moja dusza wiedziała, że coś się stanie, zanim to się stanie, a kiedy to się dzieje, moja dusza zawsze ma rację.

– Chcesz powiedzieć, że masz nadzwyczajną intuicję? – zapytał Martyn. – A zrobiłeś cokolwiek, żeby zyskać tę zdolność?

– Modli się jak my wszyscy. – Manfred prędzej zgodziłby się na potępienie, niż pozwoliłby komukolwiek, człowiekowi czy księdzu, żeby zasugerował cokolwiek niesmacznego na temat brata. – Ma przecucie tak samo jak my, tylko że on zawsze trafia w dziesiątkę i zawsze we właściwym czasie, i często

już to wystarcza, żeby nazwać to inaczej niż przeczuciem. Łaska od Maryi.

– Cóż – powiedział Martyn. – Cóż.

– Ty gadasz cóż, a ja słyszę nóż – powiedział Manfred, posyłając Martynowi złe spojrzenie.

– Czy ich dobroczynna natura nie jest wystarczającym dowodem, że zapowiedzi, moje i nasze, zostały zesłane z góry? – upierał się Hegel, szukając u Martyna poparcia.

– To z pewnością dokłada nieco do dyskusji – grał na zwłokę Martyn.

– A pewnie, ale co? – dopytywał się Manfred.

– Ehm. – Martyn się rozpromienił. – Tak. Znacząco uważam, że powinieneś traktować ten dar jak dar od Boga. Nieprzeniknione są ścieżki Wszechmogącego, a jak zauważył Manfred, nadmierne analizowanie przyczyny, kiedy rezultaty są korzystne, nie przyniesie nam niczego dobrego. Tak samo jest z naszymi wizjami. Z czasem zrozumiemy, czy były to proroctwa czy zwykłe koszmary, a wtedy będziemy po prostu wiedzieć i wszystkie nasze debaty na nic się zdadzą.

– Czymkolwiek były, to nie były koszmary – powiedział z drżeniem Manfred. – Te człek ma, gdy zasypia.

– Żeśmy byli potwornie zmęczeni przez ostatnie kilka dni – zauważył Hegel. – Poza tym, spory nic nie dadzą, jak zawsze powtarzasz.

Zostawili sprawę w spokoju, czując w związku z nią jeszcze większy niepokój niż przedtem. Droga zaczęła biec ostrzejszymi zakosami niż do tej pory, gdy zjeżdżali na pogórze, a dzięki słońcu i piwu zrobiło im się cieplej niż w ciągu ostatnich tygodni. Następnego dnia opuścili las i zaczęli jechać przez rozległe wzgórza południowych miast–państw.

Droga prowadziła po względnie płaskim terenie, ale w połowie dnia rozwidliła się. Zatrzymali więc konie i przeklinali jeszcze długo po tym, jak Martyn zaczął błagać, by przestali. A potem ciężkie płótna wiszące za ławką rozchyliły się i kobieta wychyliła się z wozu między Martynem i Manfredem. Na twarzy miała fioletowy welon, a jej suknia wyglądała nieskazitelnie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że była noszona równie długo jak ich przepocona odzież. Kobieta pociągnęła nosem dwa razy, aż jej welon zatrzepotał i wskazała odgałęzienie prowadzące w lewo. Nawet Manfred uznał to za niepokojące, ale ruszyli ponownie, jadąc do późnego zmierzchu, kiedy to

zjechali na trawiaste pole obok drogi.

Uderzyła ich łagodność aury, nawet kiedy ich owiał wiatr. Rozległe wzgórza porośnięte zaroślami były dla braci ledwie mrówczymi kopcami. Wypili, zjedli i wyruszyli ponownie o świcie. Podróżowali w ten sposób przez kilka kolejnych dni. Dwa razy docierali do skrzyżowań dróg, które mogły ich wprowadzić w błąd, ale zawsze pojawiała się kobieta i doradzała im kierunek. Pojawiły się małe osady, potem większe miasteczka i w jednym z nich spędzili noc, kłócąc się i targując z różnymi urzędnikami, dopóki nie osiągnęli porozumienia.

Z mieszkańców miasteczka tylko cyrulik mówił jako tako w ich języku i oddał im skromny kopczyk starych, zniekształconych monet za najmniejszy ze znalezionych w grobie pierścieni. Nawet kiedy oddali mu z powrotem kilka monet w zamian za wyświadczone usługi, sakiewka nadal im podzwaniała, więc kupili czyste ubrania, kazali kowalowi wyklepać broń, zostawili konie u podkuwacza, zadbali o nocleg, a kiedy ksiądz zniknął na chwilę, zakupili mały woreczek nietypowo wczesnych wilczych jagód, żeby je rozgnieść i wysmarować nimi ostrza albo dorzucić do jedzenia, zależnie od tego, czego będzie wymagała sytuacja. Manfred posłużył się rozsądkiem i mglistymi groźbami, ale nie zdołał namówić kobiety, by wyszła z wozu. Poza tym drobiazgiem załatwili tej nocy wszystko, co zamierzali, i następnego ranka poczuli się jak nowi.

## XV

# PROROCY SCHIZMY



Mężczyźni zgromadzili się wokół Grossbartów przy śniadaniu, żeby usłyszeć, gdzie byli i co widzieli, ale nawet ksiądz nie miał ochoty opowiadać o ich przygodach. Rzeczywiście znajdowali się na właściwej drodze do Wenecji i wbrew naleganiom podkuwacza, żeby dali odpocząć koniom jeszcze jeden dzień, wyruszyli przed południem. Dobre jedzenie ogromnie dodało im otuchy, a koło sera, którego Hegel zażądał od oberżysty, doskonale pasowało do peklowanej wieprzowiny, którą załatwił u chłopca Manfred.

Rana Martyna od kuszy nie zaogniła się, ale cyrulik unieruchomił mu rękę na temblaku i tym samym dał mu pretekst, żeby jeszcze częściej sięgać po piwo Grossbartów. Minęli kilka gospodarstw, zanim droga zeszała łukiem na równiny i wóz podskakiwał teraz z racji prędkości, której nabierali, a nie od wybojów. Po pokonaniu kilku potoków dojechali do małego drewnianego mostku nad rzeką i zwolnili, żeby bezpiecznie przejechać po podejrzanej konstrukcji.

Po drugiej stronie rzeki Klemens i Innocenty kucali w wysokiej trawie po jednej stronie drogi, a Urban po drugiej, ze strzałami założonym na cięciwy łuków. Benedykt, który wyciągnął najkrótszą słomkę, ukrywał się pod mostem na drugim brzegu. Upierał się przy podcięciu podpór, ale pozostali uznali, że takie działania wpłynęłyby na wielkość ich łupów, gdyby konie i most wylądowały w toni. Wieści od ucznia podkuwacza, Vittorio, nadeszły w samą porę, bo ledwie uzgodnili plan i zdążyli się ukryć, kiedy wóz pojawił się na drodze.

Konie zwolniły i przystanęły kawałek od mostu, a trzech mężczyźni na ławce najwyraźniej się naradzali. Klemens mruknął, że są wystarczająco blisko, by do nich strzelić, ale Innocenty kazał mu zachować cierpliwość. Po chwili przerwy dwaj pasażerowie obrócili się na ławce i weszli do wozu. Podpełzając do przodu, Urban zobaczył, że jeden z nich wyszedł i wytaszczył baryłkę na

siedzenie obok trzeciego mężczyzny, po czym znowu zniknął za płótnem zasłaniającym wejście do wozu, ale kiedy konie ponownie ruszyły, Urban dał znać niepokojącym się towarzyszom po drugiej stronie drogi, że sytuacja nadal wygląda dla nich dobrze.

Po stwierdzeniu Hegla, że coś tu śmierdzi, i po tym, jak Grossbartowie przekazali mu lejce, Martyn zaczął się straszliwie pocić. Bracia hojnym gestem posadzili obok niego beczułkę, by uśmierzyć jego niepokoje, ale niewiele to pomogło. Płytko, lecz wartka rzeka skrzyła się w słońcu, ale Martyn czuł tylko wiatr poruszający trawą i jego habitem i nerwowo rozglądał się, próbując wypatrzeć ruch w trawie przed sobą. Nie mając innej możliwości, pomodlił się, i tym samym pozwolił koniom przejąć inicjatywę i leniwie ruszyć przed siebie.

Słyszając tętent koni, Benedykt przysunął się do boku mostu, gotowy wyskoczyć spod niego i wspiąć się na górę już za wozem. Konie dotarły do rzeki, ale na brzegu rozległ się przenikliwy brzęk i coś z pluskiem wpadło do wody za plecami Benedykta. Obrócił się gwałtownie, rozejrzał się po brzegu, ale zobaczył tylko pochylającą się trzinę i obłoki w górze. Wóz toczył się ciężko nad nim, kołysząc całym mostem i powoli pokonując rzekę. Wybiegający spod mostu Benedykt nie zauważył bełtu z kuszy, który o mały włos nie trafił go w szyję i spłynął szybko z prądem, podskakując na falach.

Kiedy konie niemalże przeszły przez mostek, Innocenty krzyknął:

– Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś!

– Jestem księdzem! – wrzasnął Martyn, a w jego głosie zabrzmiało zdecydowanie więcej strachu niż chciał.

– To znaczy, że zrobisz, co ci każemy, tak? – zapytał Innocenty i trzech zbójców wyszło z kryjówek w trawie.

Ich pojawienie się – a w szczególności ich wygląd – wytrąciło serce Martyna ze zwykłego rytmu. Białe szaty, choć poplamione, nieomylnie naśladowały strój papieski, a nad prostymi maskami z materiału znajdowały się nakrycia głowy, które równały się bluźnierstwu. Zmęczony ksiądz zakipiał oburzeniem i, drżąc, stanął na ławce.

– Świętokradztwo! – Martyn trząśł się z wściekłości. – Jak śmiecie?

– Spokojnie, staruszkule – zawołał Klemens, celując w Martyna z łuku, podczas gdy Urban i Innocenty stanęli po bokach wozu.

– Kpina z tego, który włada ziemią?! – Flegma tryskała na znudzone konie.

– Nie bardzo mogliśmy wszyscy tak samo się nazywać! – odpowiedział Urban. – Zatem, powiedzmy raczej, kpina z tych, którzy władali ziemią, zgoda?

– Jesteśmy Przydrożnymi Papieżami – powiedział Innocenty, stojący po drugiej stronie wozu – a jako ksiądz lepiej zdaj się na naszą mądrość.

– Albo poddaj się ekskomunice! – ryknął Klemens z rękami drżącymi od trzymania napiętej cięciwy.

– Śmierć – rozsierzdził się Martyn – śmierć po was przyszła, bluźniercy!

– Weźmiemy tylko monety, które wiesz, i niczym podobnym nie musisz się martwić, jeśli nie będziesz się nam przeciwstawiał – odpowiedział Innocenty.

– Pozostali dwaj są w środku! – zawołał ponad wozem do swoich towarzyszy Urban, a potem krzyknął w stronę wozu: – Wychodźcie, wyskakujcie szybko albo podpalimy wóz!

Innocenty został z Klemensem bliżej przodu, podczas gdy Urban ruszył na tyły, celując z łuku w zakryte płachtą wejście i czekając na Benedykta, który właśnie wszedł na most. Ostatni papież biegł ku nim, ale coś w jego przygarbionym chodzie sprawiło, że Urban się obejrzał. Zdażył akurat zobaczyć, jak Benedykt się zatrzymuje, szaty mu się rozchylają i wynurza się spod nich kusza. Dopiero wtedy Urban zauważył miedzianą brodę wystającą spod maski.

Przebrany w kostium człowieka, którego właśnie zamordował, Hegel strzelił prosto w brzuch gapiącego się nań papieża. Urban poleciał do tyłu i spadł z mostu, wypuszczając broń i wyjąc w czasie krótkiego lotu. Innocenty odwrócił się, by strzelić do Hegla, ale bełt, który Manfred wystrzelił z płycizny pod mostem, trafił bandytę w pachę, rozdzierając mięśnie i przebijając serce. Strzała Innocentego uleciała, kiedy jego trup padał, a Opatrzność poprowadziła ją tak, że trafiła w na wpół pełną beczkę stojącą obok Martyna na ławce. Zapas trunku, już wcześniej chwiejący się, spadł teraz na most i poturlał się ku krawędzi.

Na drodze został tylko Klemens, ale plany Grossbartów się skomplikowały, kiedy z wozu popłynęła pieśń pasażerki. Martyn krzyknął na Klemensa, który zareagował na rozpętany chaos, strzelając do księdza. Hegel obiegił wóz, niezdarnie wyciągając oskard spod obszernych szat. Manfred zobaczył beczkę z piwem wpadającą z pluskiem do wody tuż obok niego, więc zanurkował po nią, chociaż nie umiał pływać.



Martyn osunął się na drewniane siedzenie, jęcząc i krwawiąc, gdy strzała przyszpiliła jego niegdyś zdrową rękę do oparcia ławki.

Załamionymi, zmrużonymi oczami ujrzał papieża Stefana VI – a może VII? – jak upuszcza łuk i wyciąga miecz, a potem Formozus wyskoczył spod koni i rozgorzała walka. Stefan przeszedł do obrony, ale Formozus zbyt szybko zaszarżował i papieski impostor upadł na drogę, uległszy sile ataku.

Z ręką od miecza przyciśniętą butem Hegla, Klemens krzyczał, błagając o litość. Hegel udzielił mu jej oskardem, przebijając łokieć bandyty trzykrotnie serią szybkich uderzeń. Za trzecim razem zostawił oskard wbity w pogruchotaną rękę i złapał Klemensa za nadgarstek, ciągnąc, aż przedramię oderwało się i krew obryzgała im twarze. Klemens oszalał z bólu, a Hegel po prostu oszalał.

– Ty przeklęty heretyku! – wrzeszczał Grossbart, depcząc szczękę umierającego mężczyzny. – A masz! A masz, ty zafajdany złamasie! Myślisz, że pozwolimy jakimś jebanym papieżom zatrzymać nas w drodze do Giptu?! Gadaj teraz swoje bluźnierstwa!

Klemens – w czerwonej, ociekającej krwią masce – rzucił się, jakby chciał ugryźć but Hegla, co zrobiło na Grossbarcie wystarczająco duże wrażenie, żeby wyrwał oskard i wbił go papieżowi w pierś, kładąc mokry i miażdżący kres jego agonii. Zerwał własną idiotyczną maskę i kapelusz i odwrócił się do brata, ale ku swemu zdziwieniu zobaczył tylko Martyna leżącego bezwładnie na ławce. Chwilę potem usłyszał muzykę płynącą z wozu i straszliwe zimno przeniknęło jego duszę.

Manfried taplał się chwilę, aż natrafił stopami na błotniste dno, a wtedy stanął prosto i zaczął brodzić w stronę beczki. Zanim wyszedł spod mostu, beczka znalazła się już w środku nurtu i pomykała w dół rzeki, znikając za zakrętem. Manfred brnął więc z pluskiem do brzegu, zamierzając wyprząc konia i jechać wzdłuż rzeki tak długo, aż dogoni baryłkę. Walczył dla niej z demonem i gotów był walczyć z kolejnym, żeby ją zatrzymać. Zanim jednak dotarł na brzeg, zobaczył, że pierwszy papież, który spadł z mostu, wypelza z wody nieco dalej w dole rzeki.

Manfried wiedział, że beczka nie zeskoczyła z wozu z własnej woli. Szczerząc zęby w uśmiechu, podszedł do podtopionego i przedziurawionego Przydrożnego Papieża. Zniknęły maska i tiara Urbana, ukazując przeciętnie brzydkie oblicze wykrzywione w agonii. Manfred wierzył, że Maryja zatrzyma

beczkę na piaszczystej łasze albo w wąskiej odnodze, dając mu trochę czasu i pozwalając nieco bardziej wykrzywić draniowi twarz. Manfred zaciągnął go z powrotem do rzeki, przytrzymał pod wodą i tak długo kręcił bełtem wystającym mu z brzucha, aż z ust mężczyzny przestały dobywać się bąbelki powietrza. Dopiero wtedy Manfred uspokoił się na tyle, by usłyszeć muzykę, i jego okrutny uśmiech stał się niewinny.

Hegel patrzył, jak Manfred przystaje nad utopionym mężczyzną, pada na kolana, a woda przelewa mu się nad ramionami. Potem Manfred osunął się w przód. Jego głowa o długich włosach przypominała omszały szary kamień w rzece. Kiedy nie wychylił się na powierzchnię, Hegel zszedł z brzegu i przebrnął przez prąd, upadł, wstał, znowu upadł i dopiero wtedy złapał brata.

Widząc, jak twarz rozbójnika migocze i znika zastąpiona jej swawolną twarzyczką, Manfred zapodział gdzieś swój typowy rozsądek. Jej usta były ciepłe w zimnej wodzie, a on nie odczuwał wstydu ani oporu z powodu swoich czynów, nawet kiedy wsunął język w jej wargi. Czuł rosnący ucisk w piersi, niewątpliwie z powodu serca wzbierającego radością, więc przycisnął się do niej jeszcze mocniej. Pytanie, w jaki sposób mogła dalej śpiewać, mając zajęte usta, nie zaprzętało jego myśli.

Hegel nabrał garść srebra i wyszarpnął głowę brata z wody. Manfred przez chwilę się opierał, nim zamrugał, patrząc głupio na swojego wybawiciela, a potem zwymiotował na nich obu wodą. Hegel, czując kwas we wzburzonym żołądku, odpowiedział na serię brata strugą własnych gorących wymiocin. Obaj wydostali się z rzeki i dysząc, położyli się na brzegu, a żaden z nich nie zauważył, że piosenka się skończyła.

– Co, u diabła? – zapytał ostro Hegel. Patrzył, jak ofiara Manfreda odpływa, podskakując na wodzie.

– Hę?

– Coś ty robił?

– A jak myślisz? Żem zabijał skurwiela.

– Tak? I musiał żeś przyjrzeć mu się z bardzo bliska?

– Trza się było upewnić. – Manfred zamrugał. – Inni tak samo załatwieni?

– Pewnie. Ale ksiądz dostał.

– Bardzo?

– A skąd mam wiedzieć? Żem wyławiał ciebie.

– Ze mną już dobrze, sprawdźmy co z księdzem.

Strzała wbiła się w przedramię, krew zebrała się w kałuży na ławce, a Martyn jęczał o zemście w chorobliwym śnie. Hegel przeszukał dwa ciała, które nie wpadły do rzeki, ale niczego nie znalazł. Lepiej powiodło się Manfredowi w dole drogi, gdzie w zagajniku uwiązano czwórkę koni. W sakwie odkrył mały krążek sera owinięty w takie samo płótno, jakie dostał w oberży tego ranka. Zaprowadził konie do wozu, żeby uzgodnić z Heglem strategię.

– Myślisz, że ktoś nas wsypał? – spytał Hegel.

– Możliwe.

– Ta nędzna menda pod mostem rzeczywiście przypomina większość tych z miasteczka.

– Ja mówię tak: zasuwajmy z powrotem. Na miejscu powęszymy i zobaczymy, czy nas sprzedali – powiedział Manfred.

– A pewnie, nie ścierpię żadnych zdradzieckich chamów i nie pozwolę, żeby nadal trudnili się zdradą. Poza tym, ksiądz potrzebuje cyrulika, bo inaczej się wykrwawi, sądząc po wyglądzie rany.

– Co racja, to racja.

Dotarli do bram miasta na odwieczny i natychmiast poszli do cyrulika, ze świeżo zdobytymi końmi uwiązanymi za wozem. Na pukanie odpowiedział syn mężczyzny, a jego mizerne próby, żeby zatrzymać ich za progiem, zostały udaremnione. Grossbartowie wnieśli jęczącego księdza do środka i położyli go na stole, gdzie oniemiały cyrulik siedział przy wieczerzy. Jednakże wspomnienie ich pierścienia nadal błyszczało mu w pamięci, więc od razu wziął się do roboty.

Hegel zaprowadził konie Przydrożnych Papieży do podkuwacza, a Manfred poszedł do oberży. Chłopi odwrócili się i zamilkli na widok Manfreda krocącego z papieskim nakryciem głowy w jednej ręce i maczugą w drugiej. Oberżysta pośpiesznie zaproponował mu kufel, za który Manfred zapłacił tiarą. Wypił piwo i, odwróciwszy się do zaciekawionych mężczyzn, walnął metalowym kuflem.

– Macie na rękach świętą krew – powiedział, ale oni nie odpowiedzieli, dopóki oberżysta nie przetłumaczył.

Jego słowa wywołały pomruki, ale żadnych otwartych protestów albo wyznania winy. Manfred dał im jeszcze kilka chwil na przyznanie się

i powiedział:

– Ksiądz może umrzeć z winy kogoś z tego miasteczka. Oddajcie go w nasze ręce, a uznamy rachunki za wyrównane. W przeciwnym wypadku na was wszystkich spadnie gniew Maryi.

Oberżysta oblał się szkarłatnym rumieńcem i wykrzyczał słowa Manfreda po włosku. To wywołało reakcję. Kilku mężczyzn rzuciło się na Manfreda, ale inni ich powstrzymali. Oberżysta wymknął się gdzieś, a Vittorio, uczeń podkuwacza, który dał cynk kuzynowi, że Grossbartowie mają grosz, czekał daleko od miasteczka – o czym nikt nie wiedział – na swoją część łupów. Oberżysta powrócił z warczącym mastyfem na sznurku i wrzasnął na Manfreda:

– Idź do diabła, ty pomyłony sukinsynu! – Podszedł bliżej. – Jeśli się natychmiast stąd nie wyniesiesz, to poszczuję cię psem!

– W porządku – odparł Manfred, wycofując się na ulicę. – Widzę, co tu się święci.

– Święci się to, ty dumny rzepojadzie, że ci odbiło! Nikt tutaj nie skrzywdziłby księdza, a teraz wracaj dymać swojego paskudnego brata!

Zatraskując drzwi, Manfred usłyszał, że oberżysta mówi coś do zgromadzonych, a potem oberża wybuchła śmiechem i aplauzem. Zanim wrócił do cyrulika, obszedł miasto, idąc wzdłuż murów, a kąciki skrzywionych ust pomалу zaczęły mu się unosić. Zadowolony ruszył pylistą ulicą do cyrulika i dostrzegł brata wracającego po wykonaniu swojego zadania.

– Podkuwacz śmierdzi jak to, co walą jego zwierzęta – oznajmił Hegel. – Żem dostał od niego trochę grosza za kuce papieży. Mimo to, nic nie powiedział i zachowywał się, jakby mnie nie rozumiał.

– Zdziwiony?

– Rozumie się, że nie. Każdy, kto tyle czasu spędza ze zwierzętami, musi się stać krętaczem. Żem widział po jego oczach, że poznał te konie.

– Był ten zezowaty chłopak? Moglibyśmy laniem coś z niego wydusić.

– Terminator? A skąd, nawet go nie widziałem.

– Tym większa szkoda, ale to nieważne, bom dostał wszystkie potrzebne nam odpowiedzi w oberży.

– Tak?

– A pewnie.

– No i?

– Wszyscy są winni – orzekł Manfred.  
– Przyznali się?  
– W zasadzie tak. Wyśmiali nas, grozili nam i oskarżyli o to, że utrzymujemy ze sobą stosunki.

– No wiesz, w końcu my są br...

– Stosunki płciowe!

– Aha. Aha! No to chodźmy. – Hegel ruszył w stronę oberży.

– Powściągnij na chwilę gniew. – Manfred obrócił go w stronę domu cyrulika. – Osąd wymaga przezorności, a oni z pewnością zostaną osądzeni jeszcze tej nocy. Poczynając od tego zafajdanego cyrulika.

– Po twojemu, on też brał w tym udział?

– Nie można być pewnym. A kiedy nie można, to żaden grzech zgrzeszyć nadmiarem ostrożności.

– Po twojemu, te jagody, które nam sprzedał, są tak śmiertelną trucizną, jak twierdził?

– Jest kłamcą i będzie za to płonął w piecu piekielnym, a jeśli nie jest, to otrzyma nagrodę szybciej, niż się spodziewa – odparł Manfred.

Martyn spał na podłodze obok paleniska, z rękami skrzyżowanymi na piersi, przez co prezentował się bardzo świątobliwie i nawet chrapanie nie zdołało zniweczyć tego wrażenia. Cipriano, wysoki, ciemnowłosy cyrulik o sarnich oczach, siadł z powrotem do zimnego posiłku, a równie wymizerowany chłopak, Paolo, wycierał krew z podłogi. Ksiądz został uratowany, chwalić Boga, ale Cipriano miał obolałe i rozdygotane palce, a Paolo był naprawdę zdenerwowany. Nieskończenie bardziej przeraził się, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i do środka wladowali się Grossbartowie.

– Dobre wieści, jeśli idzie o ojca – powiedział Cipriano, odkładając nóż.

Manfried uderzył go w pierś, zrzucając ze stołka, a Hegel złapał Paolo za szyję i dźwignął na stół. Kucając nad przerażonym cyrulikiem, Manfred uniósł sztylet tak, żeby światło ognia odbiło się od ostrza prosto w oczy Cipriano.

– Masz więcej tych jagód, co żeś je nam sprzedał? – zapytał ostro.

– A co z nimi? – wykrztusił Cipriano.

– Masz je czy nie?

– Paolo – powiedział cyrulik, potem padła seria cudzoziemskich słów, po czym znowu odezwał się w prawdziwej mowie: – Pozwólcie mu po nie pójść.

Hegel wypuścił przerażonego chłopca, a ten pogrzebał w kącie pełnym pudełek i torebek. Z dna skrzyni wyjął gliniany słój z drewnianą zatyczką. Chciał go zanieść leżącemu ojcu, ale tak potwornie się trząsł, że słój wyslizgnął mu się z rąk i roztrzaskał na podłodze, a ciemnofioletowe jagody potoczyły się we wszystkie strony. Hegel trzepnął chłopaka i zebrał garść owoców, a potem zaprowadził Paolo do krzesła. Stał za chłopcem, czekając na sygnał od brata.

– Masz je, a teraz zostaw nas w spokoju! – prosił Cipriano.

– Rzecz w tym – powiedział Manfred – że to miasteczko nas sprzedało. Wystawiło nas. Wydało nas bandytom.

– To nie po chrześcijańsku – dodał Hegel.

– To nie ja! – Cipriano wyrwał się zduszony okrzyk.

– To nie ma nic do rzeczy – powiedział Manfred. – Widzisz, żeś nam też sprzedał tak zwaną truciznę. Może być, żeś chciał nas oskubać, zanimby nas oskubali do cna tamci papieże?

– Co? Tak zwaną? Papieże? Belladona nie zadziałała?

– Nie wiem, jeszcze żeśmy jej nie wypróbowali. Hegel!

– Gotów, bracie.

– Co zamierzacie zrobić? – Cipriano omal nie usiadł, ale przypomniał sobie o ostrzu unoszącym się nad jego twarzą.

– Przeprowadzić małą próbę – odpowiedział Manfred. – Nakarmimy twojego chłopaka jagodami i jeśli wykituje, to my są kwita, a jeśli nie, to połkniesz żelazo.

– Co?! Błagam, nie! Błagam, tylko nie to, błagam!

Cipriano przeszedł na ojczysty język, zapominając o ostrzu i łapiąc się ręki Manfreda, w której ten trzymał nóż. Skonsternowany syn rozplakał się słysząc słowa ojca, więc Hegel znowu mu przyłał.

– Niech to diabli! – Hegel splunął we włosy Paolo. – Nie sądzę, żeby blefował.

– Ja też nie. – Manfred westchnął. – I ani stary, ani dzieciak nie rzucił się na nas z ostrzem jak ta morderczyni, żona starego Heinricha tyle dni temu, więc okażemy im miłosierdzie. Przestań biadolić i wstawaj, cyruliku.

– Dziękuję – wybełkotał mężczyzna. – Mój chłopiec, życie moje, dziękuję wam.

– Do diabła, my nie są źli ludzie – odparł Hegel, wysypując zioła z worka

medyka i napełniając go jagodami.

– A teraz gadaj, gdzie ten pierścień, który wymieniliśmy u ciebie na marki, co to je wydaliśmy?

Doktor podszedł chwiejnym krokiem do paleniska, podniósł luźny kamień i wyjął klejnot. W tym czasie Manfred zdjął z pobliskiej półki małą sakiewkę z monetami cyrulika, z której Cipriano zapłacił im wcześniej za pierścień, i wrzucił ją do swojej torby. Potem Grossbartowie związali razem ojca i syna na podłodze; młodszy drżał i gapił się, a starszy wyrażał bezbrzeżną wdzięczność.

– Począwszy od tej chwili, żeś wyrównał rachunki z Grossbartami. Ile my są tobie winni za księdza?

– Hę? – Cipriano zamrugał zaskoczony, a potem podał niewielką sumę.

– Załatwione. A za jagody?

Podał drugą, nieco wyższą liczbę.

– Załatwione. Zapłać, Manfred.

Manfred wyjął tę samą kaletkę, która zwinął, odliczył monety na stół i dorzucił jedną ekstra.

– To za szczerość z nami. A to – zadzwonił sakiewką, zanim wyrzucił resztę jej zawartości na stół – za szczerość z tymi, którzy zjawią się po to, by szkalować nazwisko Grossbartów. Myśmy nie złodzieje ani nie mordercy. My są uczciwi ludzie, których pokrzywdzono.

– Wczoraj żeś podał nam za to cenę. – Hegel podniósł do światła pierścień. – Była uczciwa czy trochę odchudzona?

– Uczciwa – wykrztusił Cipriano, a jego umysł nie był w stanie ogarnąć tego, co się dzieje.

– Dobrze. – Hegel włożył pierścień z powrotem pod kamień, a Manfred odliczył stosowną liczbę monet z powrotem do sakiewki.

– Najlepiej, żebyście dzisiaj pilnowali swoich spraw – poinformował ich Manfred. – Zbierzcie trochę wiader dla własnego dachu, zamiast zajmować się innymi.

– On gada całkiem poważnie – wyjaśnił Hegel, przerzucając sobie Martyna przez ramię. – A jeśli dowiemy się potem, że rozpowiadasz kłamstwa albo że te jagody nie są jak należy, możesz obstawiać, że zjawimy się, zanim przyjdą po ciebie diabły.

– Słuchaj ojca – powiedział Manfred, delikatnie kopiąc Paolo

w podbródek. – Uczciwy człowiek jest rzadszy od tego, co leży pod tym kamieniem przy palenisku.

Tęgi członek ochotniczej straży miejskiej nie marnował czasu przy otwieraniu im bramy, bo zagadał się z jednym z chłopów z oberży, akurat kiedy nadjechali. Zatrzymali wóz na drodze spory kawał za miastem i sprowadzili go na trawę za pagórkiem, gdzie przywiązali konie do pniaka, a sami podkradli się z powrotem w gęstniejącym zmierzchu. Idąc wzdłuż murów, dotarli do miejsca za stajniami oberży, które Manfred oznaczył, wsunąwszy kijek między listwy, i gdzie teraz Hegel pomógł mu się wspiąć.

Błoto w chlewiku złagodziło upadek Manfreda, który szybko rzucił bratu linę. Hegel dotarł na szczyt muru w chwili, gdy nadszedł ktoś ze świeczką. Chłopak dostrzegł błysk srebrnej brody, zanim maczuga jej właściciela grzmotnęła go między oczy. Ratując trzaskającą świeczkę przed wylądowaniem w błocie, Manfred na wszelki wypadek jeszcze raz kopnął stajennego, zanim przekradł się za oberżę z odrobiną oleju, jaka im została.

Hegel śmignął główną ulicą; uznał, że nikt go nie widział. U podkuwacza nie paliły się żadne światła, co w pełni odpowiadało przyzwyczajonym do grobowców oczom Grossbarta. Obficie zlał olejem drewniane drzwi, jeszcze hojniej oblał stajnie. Wolałby osobiście zająć się podkuwaczem, ale nic na to nie mógł poradzić. Uderzał krzemieniem przez kilka minut, pocąc się, bo słoma nie chciała się zająć. Kiedy w końcu się udało, płomień skoczył na ściany budynku tak szybko, że Hegel ledwie zdążył przebiec przez ulicę, zanim rozległy się krzyki.

Świeczka ułatwiła zadanie Manfredowi, a kiedy zobaczył brata uśmiechającego się w ciemnościach, podpalił oberżę. Zapaliła się całkiem szybko i zanim Grossbartowie przeszli przez ogrodzenie chlewika i mury, całe miasteczko ożyło wrzaskami. Oślepieni ogniem pobiegli traktem, potykając się i przewracając przez całą drogę do wozu. Martyn obudził się i krzyknął, kiedy się pojawili, ale zaraz obrzucili go naganami.

Potrzebowali chwili, by wrócić na drogę w ciemnościach, ale gdy wyjechali z za pagórka, poświata płonącej osady oświetliła im trasę. Martyn kręcił głową, próbując się otrząsnąć, i spoglądał zaciekawiony na braci. Nic nie powiedzieli, ale ich uśmiechy zdradzały mroczną opowieść. Zbyt otępiały, żeby cokolwiek pojmować poza tym, że teraz prawa ręka boli go o niebo bardziej niż lewa,



poprosił o coś mocniejszego zamiast o wyjaśnienia. Manfred przytrzymał księdzu przy ustach butelkę *Schnapsa*, aż ten zadławił się i opluł wszystkich trzech alkoholem. Bracia przyłączyli się do picia, więc wóz zjeżdżał czasem z drogi. O północy przekroczyli papieski most, wznosząc toast za pamięć Formozusa.

## XVI

# SPOJRZENIE W OTCHŁAŃ



Pochlipując i kwiląc, morowy duch, którego bracia wypędzili z Ennia przez spalenie jego ciała, krążył po szczurzej dziurze, a gryzoń, który go nosił, był jak wyjątkowo obrzydliwa włosiennica, załamująca łapy z frustracji. Opatrzność skierowała jego dryfującą formę do szczura, którego opętał, ale ognista agonia za bardzo umniejszyła jego moc, by mógł natychmiast spróbować przejść jednego z Grossbartów. Gorzej, że nikczemni bracia robili wrażenie odpornych na zarazę, a teraz odjechali, uciekli poza jego zasięg. W końcu, jacy ludzie zatrzymaliby się dłużej w takim miejscu? Szczur już dogorywał, a zima przepędzała pod ziemię wszelkich potencjalnych żywicieli z wyjątkiem kilku pcheł także żywiących się szczurem, więc demon wiedział, że wkrótce znowu zostanie sam, a wtedy... Nie śmiał o tym myśleć, popiskiwał tylko ze strachu i wściekłości.

Przez pierwszą noc w szczurze wykopał jeszcze głębszą dziurę, żeby spojrzenie przebrzydłego ciała niebieskiego nie przeniknęło do jego azylu, ale teraz spoglądał w górę w ciemności i ostrożnie wspinał się tunelem. Poczłł eteryczny zapach gwiazdznego ognia i smak księżycowego blasku i potem wybiegł, wybiegł tak szybko, jak potrafił, z dziury i domu do zdławionego zimą miasteczka. Kierował się ku poczeriałym, wysuszonym szczątkom karczmy, ale oni, oczywiście, zniknęli, uciekli poza jego zasięg i tylko najcichsze westchnienie dobyło się ze szczurzego pyska. Wiedział, że uciekną, najwidoczniej nie byli aż tak głupi, nie...

Nie uciekli. A jednak byli aż tak głupi. Demon dostrzegł słabą poświatę ogniska za klasztorem na tym samym cmentarzu, gdzie po raz pierwszy się spotkali. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wytarzał się w śniegu, popiskując z zachwytu, jednakże krótka droga z miasteczka na cmentarz będzie się ciągnąć całymi milami pod jego obecnymi nogami, więc szybko skoczył

i ruszył truchtem drogą, którą zbiegł poprzedniej nocy, kiedy opętał wieprza. Przeskakiwał z jednego odcisku racicy do drugiego, gdzie tylko było to możliwe.

Konie rżały niespokojnie, ale on nie zwracał na nie uwagi, skupiony na celu. I wtedy go zobaczył – Grossbarta siedzącego przed ogniem. Demon zaszarżował, szczerząc zęby w najbliższym odpowiedniku szerokiego uśmiechu, i wtedy właśnie złapała go Nicolette. Poczł palce zamykające się wokół szczura i zanim zdążył uciec z gryzonia, ziemia zniknęła i gwiazdy zawirowały, gdy mknął przez zimne powietrze ciągnięty przez niewidzialną rękę ponad chmurami. Gryząc i drapiąc nicosć, nie był w stanie pojąć, co się stało. Pisnął z frustracji w ciemnościach. Księżyc zaszedł, noc mijała i demon wiedział, że wkrótce nadejdzie świt. Bał się.

Poniżej pojawiły się drzewa, poletko i chata. Szczur wpadł w zaspę i poczuł, że widmowe palce go wypuszczają. Nicolette zadygotała, wślizgując się z powrotem do własnej skóry, każda kość i mięsień bolały ją po nocy spędzonej w transie u boku śpiącego chłopca, kiedy jej sekretne ja uleciało wolne od ograniczeń ciała i kości. Potrząsając kończynami, podeszła pośpiesznie do drzwi, by powitać gościa, którego porwała i przeniosła nad górami.

Czarownica wyszła na zewnątrz, gdzie pierwsze promienie światła dotykały śniegu. Stając przed drzwiami, uśmiechnęła się i pogrzebała pod szmatami w poszukiwaniu butelki. Szczur pomknął ku niej, ale zanim skoczył, kobieta uniosła ręce z przekleństwem i stworzenie odskoczyło jak uderzone, po czym odbiegło na tylnych łapach i gapiło się na drzwi za jej plecami.

– Żadna dusza nie jest stracona, dopóki nie zostanie oddana – syknęła czarownica. – Nie pozwolę ci, byś go nosił jak zwykłą rękawiczkę. Czytałam o tobie i tobie podobnych, i wiem, że żadna skóra prócz tej, która nosi duszę, nie ochroni cię, kiedy odejdzie ciemność. Chociaż to gęste lasy, czy odważysz się zaryzykować, że przypadkowy promień dotknie twojego ogona? Albo mogłabym pójść za tobą i wyciągnąć cię na światło z dowolnej dziury, do której wpełzniesz. Żaden ptak nie śpiewa, żadne zwierzę nie truchta, tylko śnieg, ty i ja, i on w domu, on, który nienawidzi ich równie mocno jak my dwoje.

Szczur pisnął z wściekłości, ale urwał, kiedy światło musnęło uginające się gałęzie drzew za nimi.

– Szybko jak grzech masz tu wskoczyć. – Nicolette podsunęła butelkę

stworzeniu, które już się nie wahało.

Szczur przeturlał się na grzbiet, mgielka miazmatów buchnęła mu z zadu i pyszczka, kiedy zdychał w spazmach. Żółte opary ścięły się na brzuchu i ostatni, zmrożony oddech wyrwał się z pyska. A potem wydawało się, że dym został zassany w sierść i nie został żaden jego ślad w powietrzu. Maleńka pchła rzuciła się ku czarownicy, ale Nicolette się tego spodziewała i złapała ją w butelkę, po czym zamknęła naczynie woskowym korkiem.

Heinrich obudził się o zachodzie słońca. Wszystko go bolało: wnętrzności, nogi, skóra, nawet rzadkie włosy. Kobieta usiadła obok niego, nucąc, a on w świetle ognia dostrzegł, jak opuchnięte miała brzuch i piersi. Wrzuciła kolejną garść ziół w płomienie, przez co pomieszczenie wypełniło się trującym dymem.

– W ciągu tygodnia opuszczą góry. A po drodze spotkali kolejnego twojego wroga – mruknęła, pukając w butelkę, która balansowała na jej brzuchu.

Heinrich potarł oczy.

– Nie mam innych wrogów.

– Co proponujesz? – Zwróciła ku niemu pomarszczoną twarz. – Co masz, czego można by użyć przeciwko znenawidzonym braciom?

Zemsta nie zna skruchy ani wiary, więc Heinrich odpowiedział bez wahania:

– Poświęcam własne ciało dla ich cierpienia, i własną duszę.

– To wszystko, czego trzeba. – Uśmiechnęła znacząco. – Podzielilibyś się ciałem z demonem?

– Hę?

Heinrich próbował sobie przypomnieć słowa księdza, ale nie zdołał, a zamiast tego ujrzał poszarzałą twarz Brennena w błocie. Gwałtownie powrócił myślami do terażniejszości i przyjrzał się starusze.

– Zatem jesteś czarownicą?

– Czarownicą, która nienawidzi tych braci. Demon również, zapewniam cię. Przyjmiesz go do siebie?

Jeszcze kilka dni temu ta myśl byłaby mu nienawistna, ale skoro ksiądz odmówił pomocy, a nawet zaakceptowania jego decyzji, a teraz ta tak zwana czarownica oferowała wsparcie, zagryzł usta. Wiedział, że można oszukać i demony, i czarownice, ale wątpił, czy ma dość sprytu, by obmyślić taki podstęp. Dotarło do niego, że umarłby bez jej pomocy poprzedniej nocy i że

nadal mogła odebrać mu życie, gdyby ją zdenerwował. Wtedy nigdy nie dopadłby Grossbartów, a jego klęska byłaby wieczna.

– Będziesz potrzebował zrobić miejsce w tej zatłoczonej skórze, miejsce tak duże, jak twoja nieśmiertelna dusza. – Nicolette dostrzegła jego niezdecydowanie, więc poklepała go po ręce. – Ja też jestem gotowa oddać wszystko, co mogę, ponieważ kochałam męża bardziej niż własne życie, a oni mi go odebrali, jak tobie odebrali małżonkę i dzieci.

– Zatem moja dusza – zdecydował Heinrich, przypominając sobie konwulsje Gertie w błocie, gdy umierała w cierpieniach. Bóg i wszyscy jego święci nie pokazali się tamtego dnia, tak samo jak dzisiaj. Jeśli On pragnie mojej duszy, wtrąci się teraz, pomyślał nieszczęsny chłop, ale nic się nie wydarzyło. – Wezwij demony, jakie zechcesz, i powiedz im, że moja dusza należy do nich, jeśli ma to oznaczać, że będę zgubą Grossbartów.

– W przeciwieństwie do innych wyznawczyń mojej wiary nie posiadałam wiedzy pozwalającej wzywać demony – powiedziała z uśmiechem Nicolette. – Jednak szczęście nam sprzyja, ponieważ, szpiegując Grossbartów, odkryłam jednego demona, którego jeszcze nie przegnano do bezkształtnego królestwa i który ma taki sam cel, jak ty i ja. – Pchła ciskała się w swoim więzieniu, ale Nicolette nie otworzyła butelki, tylko dalej targowała się z nadgorliwym gospodarzem. – Oto cena demona, ale nie ustaliliśmy jeszcze mojej.

– Coś więcej niż moje ciało i duch? – Heinrich się zachnął. – Nie mam już niczego.

– Niczego poza miłością ojca do zamordowanych dzieci.

Heinrichowi napłynęły łzy do oczu i sięgnął po nóż, żeby odciąć czarownicy ohydny ozór.

– Uczyniłabym cię ponownie ojcem – szepnęła, głaszcząc brzuch. Zapulsował pod jej dotykiem. – Moje dzieci będą potrzebowały strażnika, gdy będą dorastać, przewodnika, który doprowadzi je do Grossbartów.

– Nieść maluchy zimowymi drogami? Nigdy więcej nie będę patrzył na cierpienie dziecka, czarownico, nawet za cenę śmierci braci.

Heinrich był świadkiem wystarczających okropieństw, żeby wierzyć w słuszność swojej decyzji i zaakceptować własne potępienie bez żalu, ale mimo to, wnętrzości skrzyły mu się ze strachu, gdy usłyszał gardłowy śmiech Nicolette.

– Nie będziesz musiał ich nieść – zarechotała. – Za to, kiedy opadniesz z sił, one poniosą ciebie. Tak, i będą polować dla ciebie, i uczynią wszystko, co powinno czynić posłuszne dziecko.

– Wątpię. Nowo narodzone dzieci tylko płaczą.

– Wątpisz? A wątp sobie! Uśmierzymy twoje wątpliwości, drogi mistrzu rzepy. – Nicolette jęknęła, gdy brzuch jej zafalował. – Uwolnię was dwóch, tylko daj mi słowo!

– Masz je. – Heinrich zagapił się w ogień. – Daj mi moją zemstę i możesz wziąć wszystko, co mam, a czego ci bracia mi nie odebrali.

Butelka zsunęła się na podłogę i stłukła, a pchła skoczyła na Heinricha. Jej ciało, wydęte nawet najbardziej umniejszoną formą zła, jaką niosła, pękło, kiedy dotarła na ramię i obrzydły, złoty dym poszybował ku nozdrzom. Heinrich zaczął kaszleć i dławić się, czując się tak, jakby przez zatoki i gardło przepychano mu rozpalony do białości drut. Z jego nosa pociekła czarna flegma i kiedy gotujące się wnętrzności wreszcie się uspokoiły, zobaczył, że Nicolette spadła z krzesła, a jej ogromny brzuch faluje.

– Do lasu – wydyszała – znajdź, co pochowali. Nie wracaj bez tego, ale nie waż się tego dotykać, bo wydarzy się takie zło, jakiego nawet ja nie znam. Szczypce! – jęknęła, uderzając w żelazne szczypce leżące obok paleniska i wyginając plecy w łuk, kiedy kleisty płyn buchnął jej spomiędzy nóg.

Heinrich porwał szczypce i wybiegł z chaty. Stał zdyszany w śniegu. Ruszając w las, nie zauważył, że kapiący z jego ciała gorączkowy pot syczy, miast zamarać, kiedy spada na ziemię, ani nie zdał sobie sprawy, że widzi lepiej w ciemnym lesie, niż widział do tej pory na zalanych słońcem polach koło domu. Ból w bokach atakował falami, ale Heinrich szedł wzdłuż strumienia skupiony na zadaniu, niemalże czując smród braci, niemalże widząc pokryte śniegiem odciski stóp.

W końcu oddalił się od strumienia, a podobny do skwaśniałego mleka smród czarów przybrał na sile, gdy ruszył przez zarośla ku polance. Pośrodku było widać splacheć wzruszonej ziemi, na który nie spadł śnieg, chociaż wszędzie indziej sięgał Heinrichowi do kolan. Kopał w zmarzniętej ziemi szczypcami, aż dostrzegł błysk we wczesnym świetle, które przeniknęło lodową altanę. Trzymając w szczypcach skórę, ruszył z powrotem przez las, po raz pierwszy zastanawiając się nad wzmocnionymi zmysłami i nadnaturalnym charakterem

wydarzeń ostatniego dnia.

Słońce wspięło się nieco wyżej, kiedy odnalazł drogę do chaty – smużka dymu unosiła się z miejsca, do którego powracał. Przeszedł nad martwym szczurem przy drzwiach i wszedł do środka, wołając czarownicę. Uniosła słabo rękę z podłogi, tuląc do piersi dwa mroczne wyrzuszenia.

Gdy podchodził do leżącej kobiety, nawet szaleństwo nie uchroniło go przed falą mdłości. Wyrzuciwszy z brzucha resztkę rzepy, spojrzął na obrzydlistwa. Były brązowe, śliskie, dwa razy większe od normalnych dzieci i raczej żuły niż ssały obwisłe piersi, więc mleko mieszało się z krwią na mokrej podłodze.

Heinrich złapał polano ze stosu obok paleniska, ale zanim zdążył coś zrobić, czarownica ryknęła na niego:

– Zostaw je w spokoju! Zrobiłam to samo ich rodzeństwu, zostaw je!

Zaciekawiony – mimo odrazy – Heinrich wrzucił polano do paleniska. Walcząca z bólem, czarownica dalej go instruowała:

– Daj im worek, który wisi nad tobą, to je na chwilę odciągnie ode mnie. Dadzą mi dość czasu!

Rozdygotany Heinrich zdjął worek, a ona wrzasnęła:

– Rozedrzyj go! Rozsyp je na podłodze!

Wypełniając polecenia, rozdarł worek i wyrzucił jego zawartość. Setki, jeśli nie tysiące małych zębów rozsypały się po oślizgłych kamieniach, a dwa noworodki odwróciły się od posiłku. Odpełzły od czarownicy i zaczęły tarzać się w luźnych zębach. Heinrich patrzył, jak małe, białe kołeczki wtapiają się w powierzchnię ich skóry, tworząc nowe, kłapiące usta na piersiach, nogach, rękach i plecach.

– Idź drogą przez góry – wykrztusiła czarownica. Jej poraniona pierś pluła krwią, mlekiem i luźną skórą. – Ale nie wchodź za nimi do miasta, bo tam ludzie spalą cię żywcem. Omijaj nawet najmniejsze osiedla, trzymaj się dziczy i kieruj się na południowy wschód, ku pustyni, aż zostawisz za sobą ludzkie osady. Idź dalej, za te ruiny, które ludzie nazywają świętymi, gdzie głupcy walczą o kamień i ziemię aż do końca świata, zawsze na południe! Tam ich złapiesz, na pustyni martwych królów.

– Czy to... – Heinrich przełknął ślinę, widząc, że twarze dzieci to brunatno-czerwone czaszki z nieprzenikniętymi jamami w miejscu, w którym powinny znajdować się oczy. – Czym one są?

– To homunkulusy, godne pozazdroszczenia, mój własny wkład do starożytnego przepisu. – Wskazała na związany stos pergaminu, w którym niepiśmienny wieśniak nie rozpoznał księgi. – Dar od podróżnego, dawno temu. Jeden to Magnus, a drugi to Brennen! Ale śpiesz się, już do mnie wróciły!

Rzeczywiście, potwory o kształtach dzieci podpełzły do jej stóp i teraz ich rozliczne paszcze odgryzały kawałki mięsa i skóry. Krew zmoczyła Heinrichowi kolana, kiedy uklęknął obok czarownicy. Zajęczała, a on zadrżał i odwrócił wzrok. Wymacała jego twarz, mówiąc ponaglająco i z trudem:

– Będą dobrze ci służyć, jeśli zrobisz, co ci każę, ale się pośpiesz. – Toczyła oczami jak szalona, a jej wykrzywione usta z trudem formowały słowa. – Och, mój ukochany, mój węglarzu, mój Magnusie! Ciebie jednego kochałam, ciebie pierwszego i tylko ciebie, ciebie najczyściej! I wszystko to dla ciebie znoszę! Zapłacą za twoją śmierć, po wielokroć!

Heinrich uniósł szczypce, podsuwając skórę, mając nadzieję spowolnić ucztę potworów, ale ona znowu zawyla:

– Nie! Jeszcze nie! Będą jej potrzebowały, bo inaczej roztopią się w deszczu, ale jeszcze nie teraz! Najpierw moje uszy, potem moje oczy, potem nos. Podziel je między dwójkę. Moje serce! Na końcu podziel serce!

– Co?! – Heinrich uścisnął jej dłoń. – Co masz na myśli?

– Po jednym dla każdego – wycharczała, a jej młode przesuwają się w górę ud. – Po jednym uchu dla każdego, żeby słyszały twoje polecenia i żebym w piekle mogła słyszeć wrzaski Grossbartów. Po jednym oku dla każdego, żeby ściagały swoją zwierzynę i żebym widziała śmierć Grossbartów. Po pół nosa, żeby ich zwęszyć i wciągnąć ostatni oddech, który uleci z płuc Grossbartów. Po połowie serca, by żyły, by żyły mimo zadanych ran! Mój język... – Instrukcje zamieniły się w krzyk, kiedy potwory pożarły okolicę, z której dopiero co się wydostały.

– Twój język? – zapytał Heinrich, ale czarownica przestała krzyczeć i podjęła szaleńcze tłumaczenia.

– Mój język – krew pieniała się wokół wspomnianego języka – mój język. Język.

– Rozciąć na pół, żeby mogły mówić! Tak?

Albo próbowała się zaśmiać, albo jęknąć, ale z powodu charkotu nie sposób było orzec.



– Nie. Mój język. Zjedz. Albo one zjedzą. Ciebie. Żywcem.

Potworki wyciągnęły się na jej piersi i brzuchu, a ich paszcze przeżuwały zgodnie. Drżącymi rękami Heinrich odłożył na krzesło szczypce ze skórą i wyciągnął sztylet. Odciał czarownicy uszy, walając sobie ręce krwią. Kiedy próbował je przymocować, potwór kłapał zębami obok jego palców, ale wtedy spłynęło nań natchnienie i zachodząc bestię z flanki, docisnął makabryczny skrawek ciała do boku czaszki. Brunatna powierzchnia zapadła się i ucho mocno przywarło. Heinrich pośpieszył, żeby dać drugie ucho bratu bliźniakowi.

Homunkulusy prawie dotarły do już wcześniej oskórowanego mostka, więc Heinrich zatopił sztylet, żeby wykraść serce, zanim one zdążą to zrobić. Trzewia czarownicy znikwały w ich kolosalnych gębach, kiedy on zagłębił się poniżej obojczyka; mieszanka gorączki i pomieszania okradła ten czyn z należytą mu grozy. Zanurzył palce w mięśniu sercowym i go odciał, kiedy zęby wbiły mu się w nadgarstek. Trzepnął stwora, żeby go odepchnąć, i zostawił odcisk dłoni na odsłoniętej, ale plastycznej czaszce.

Upuścił serce, odciał mały nos i wydłubał oczy, wrywając też ich ciągnące się mocowania. Potwory prawie dopadły gardła czarownicy, a zgrzyt kości przyciągnął spojrzenie Heinricha do dolnej połowy jej ciała. Nic nie pozostało, nawet odrobina szpiku. Zauważył za to, że ręce stworów robiły wrażenie mocniejszych. Omal nie zgniótł pierwszego oka, kiedy wsuwał je na miejsce. Gliniany oczodół zestalił się wokół jego palców. Żółte oko rozszerzyło się i skupiło na nim wzrok, kiedy dawał drugie bliźniaczemu bratu. Stwór wyciągnął do niego dłoń rozciętą warczącą paszczą.

Nos okazał się nieco trudniejszą sprawą. Pokaleczył palce i odciał z nosa kawałki skóry, ale wreszcie zdołał podzielić go na pół wzdłuż przegrody, z jednym nozdrzem dla każdego homunkulusa. Szybko je przytwierdził, gdy stwory odsuwały się od siebie, każdy sunąc wzdłuż jednej ręki. Rozerwawszy serce, podszedł do pierwszego, nie bardzo wiedząc, gdzie je umieścić w tym kłębowisku karmiących się paszczy. Zachodząc stwora od tyłu, zauważył pustą przestrzeń między dwoma ogromnymi kompletami zębów; z pożartych kości czarownicy na jego oczach formowały się szczęki, pozwalając stworowi przeżuwać mocniej i szybciej. Kiedy przycisnął dłoń do pleców potwora, glina pękła, odsłaniając niewielkie zagłębienie, do którego wepchnął kawałek mięsa. Plecy zasklepiły się wokół jego dłoni, ale ją wyszarpnął, widząc, jak serce

zaczyna bić i pompować krew w nowym domu.

Drugi stwór nie miał takiego pustego miejsca – całe plecy kłapały zębami i warczały, jęzory błota plamiły lśniące zęby. Zdesperowany Heinrich stanął przed stworem, kiedy ostatnie palce czarownicy zniknęły w paszczy ulokowanej na twarzy. Heinrich umieścił serce w jego brzuchu, bo bełkocące paszcze zastępujące pierś uniemożliwiały umieszczenie go wyżej. Ten ochłap też zaczął bić i dwoje mniejszych ust zniknęło z powierzchni ciała, bo przesunęły się, żeby utworzyć paszczę, która będzie chronić serce w brzuchu. Heinrich odsunął się, czując ulgę po dobrze wykonanym zadaniu.

Potwory dokończyły ręce i rzuciły się do głowy, kiedy Heinrich zdał sobie sprawę, że o czymś zapomniał. Odkopnął głowę, podniósł i sięgnął do ust. Stwory ruszyły do jego nóg, setki zębów kłapały w skupieniu, zbliżając się do następnej porcji mięsa. Odciął czarownicy język i wypuścił zakrwawioną bryłę głowy, akurat kiedy paszcze dotarły do jego stóp.

Powarkiwania, jakie wydawały z siebie dzieci, walcząc o głowę, przyprawiły Heinricha o zawrót głowy. Wypuścił sztylet i złapał szczypce. Cofnął się w stronę drzwi, kiedy czaszka czarownicy pękła, i wgryzł się w jej język. Ozór zaczął się poruszać w jego ustach i Heinrich zadławił się i zakaszał; ochłap wysmyknął mu się spomiędzy palców. Przykucnął, by go podnieść, i zobaczył, że obrzydlistwa wstają i idą ku niemu, a dziesiątki uśmiechających się paszcz zwracają się w jego stronę. Odskoczył, potknął się o próg i wylądował w śnieżnej brei.

Wstał i, cofając się, przeżuwał wijący się język, który próbował mu wypełznąć gardłem, nawet kiedy go przełykał. Dzieci wyszły za nim z chaty na poranne światło. Każde teraz sięgało mu już do pasa. Jedno zauważyło szczurze truchło i zaraz je podniosło, ale drugie zbliżało się do Heinricha. Wepchnął resztę języka do ust i zadławił się nim, próbując przełknąć. Niby–dziecko skoczyło na niego, a Heinrich przewrócił się do tyłu, unosząc ręce i krzycząc:

– Stój!

Ku jego zdumieniu zatrzymały się. Potwór wylądował mu na piersi, ale paszcze, zamiast przeżuwać, pozostały zamknięte, a pojedyncze oko spojrzało na niego niewinnie. Drugi stwór podbiegł na czworakach do brata, ocierając się miękką czaszką o podbródek Heinricha.

Wstał, zrzucając stwora z piersi na ziemię. Paszcze otworzyły się i zaczęły

ryczeć zgodnym chórem, a oko napełniło się łzami. Heinrich zobaczył wgniecenie w kształcie swojej dłoni na policzku i wzięła go litość. Od razu wiedział, że to musi być Brennen, a ten drugi to Magnus. Poszedł po szczypcę, podniósł lśniąca skórę z błota i podał ją stworom. Natychmiast ją dopadły, warcząc i prychając, kiedy jeden próbował wyrwać ją drugiemu.

Skóra pękła i Heinrich był świadkiem ich ostatecznej przemiany. Para buchnęła, kiedy skóra ożyła i przywarła do ich ciał. Chłopcy tarzali się w śniegu, płacząc wszystkimi paszczami. Heinrich zauważył, że twarz Magnusa wzbogaciła się o dwoje dodatkowych, okrągłych oczek zdechłego szczura, które na chłopcu znacznie się rozrosły. Jedno znajdowało się w oczodole, a drugiej wybrzuszało się w miejscu drugiego nozdrza. Dziwna skóra rozciągnęła się na całe ich gliniane ciała, a miriady języków stały się różowe i mokre, kiedy usta toczyły pianę i pluły. Kończyny wydłużyły się i powykręcały, pulchne dłonie zmieniały się teraz w porośnięte futrem pazury, kolana wygięły się do tyłu, a stopy wydłużyły.

Chłopcy wyli, nawet kiedy przestali wić się i dymić. Heinrich uklęknął przed nimi, głaszcząc ich futra. W przeciwieństwie do tych, którzy nosili skórę w poprzednich wiekach, żaden z dwójki homunkulusów nie porzucił całkiem ludzkich kształtów, ale też nie zachował jakiejś cechy, która wyglądałaby zupełnie ludzko.

Magnusa w całości pokryło czarne futro – z wyjątkiem ust usianych na małym ciele – a chociaż jego nogi wyraźnie przypominały łapy gryzonia, mógł na nich stać i chodzić jak człowiek. Trzecie oko błyszczało od smarków ciurkających ze zniekształconego odłamka nosa. Zamiast lewej ręki miał ogromny szczurzy pysk, z niuchającym nosem. Ze wszystkich ust, z wyjątkiem tych właściwych, dobywało się warczenie.

Futro Brennena błyszczało brązem, czerwienią, bielą i każdym innym kolorem, którego brakowało bratu bliźniakowi. Pod szczeciniastą sierścią zachował się odcisk ręki na twarzy – rowki wielkości palców ciągnące się przez pusty oczodół i miejsce, w którym u normalnej istoty powinno znajdować się drugie nozdrze. Nogi miał mniej wykrzywione niż Magnus, ręce i dłonie wybrzuszały się od mięśni, a z długich palców wystrzeliły zakrzywione, brązowe szpony.

Heinrich wziął chłopców w ramiona i tulił, szepcząc im słowa miłości, aż

przestali kwilić. Przerażali go, ale nie aż tak bardzo, jak przerażał sam siebie, zwłaszcza że byli niewinni. Ich powarkiwanie wywołało uśmiech na jego ustach i łzy w zapuchniętych oczach.

By oddać sprawiedliwość jego pamięci, Heinrich, który opuścił dolinę następnego ranka, tylko w niewielkim stopniu – z wyjątkiem powierzchowności – przypominał wieśniaka, który w deszczowe noce dzielił się paleniskiem z koniem od pług, zanim wybudował stajenkę. Rozpacz ustąpiła optymistycznej nienawiści, niewzruszonemu przekonaniu, że odnajdzie Grossbartów i dokona zemsty. Nawet kiedy wiatr był porywisty, a śnieg kurzył, im było ciepło w jamach wykopanych przez Brennena. Bliźniaki opatulone w koce, z rękami i nogami owiniętymi wokół Heinricha, łaskotały go niezliczonymi pocałunkami niezliczonych ust.

## XVII

# TRUDNY POWRÓT DO DOMU



Kilka dni po pokonaniu Przydrożnych Papieży Grossbartowie i spółka przybyli do Wenecji. Było już dawno po zmroku.

– Żeś nam załatwił doskonałą wymianę – powiedział Manfred, gapiąc się na czarny kanał, gdzie zniknęła łódka, zanim udrećzeni chorobą morską bracia zdążyli podnieść pięści i zatrzymać przewoźnika. – Schludny wóz i cztery mocne konie za przewóz w jedną stronę na wyspę. Doskonały wybór, mój bracie, doskonały.

– Na Słodką Maryję, ci oszuści nas oszukali – powiedział Hegel, kiedy odzyskał panowanie nad sobą. – Wybacz, żem zaufał jebanemu bliźniemu swemu! Kiedy ten zasrany gównojad zaczął gadać „niewolnicy” i „łódź”, wszyscy żeśmy wiedzieli, że chodziło mu o długoterminową umowę, a nie jednorazową!

– Nieważne – odparł Manfred.

– Nieważne?!

– A pewnie, to w żadnym razie nie jest ważne. – Manfred błysnął zębami. – Przyznaję, że miło by było zatrzymać łódź, ale żem miał własne wiedźmie przeczucie w czasie rejsu, co znaczy, że właśnie wyrównują się nasze rachunki, nawet po stracie wozu i łodzi.

– Jak to? – Hegel wykrzywił twarz bardziej, niż uczyniła to już natura.

– Żem uznał, że to wszystko poszło zbyt gładko, nie? Wobec tego na wypadek sytuacji, jaka właśnie zaistniała, żem przedsięwziął środki ostrożności i zostawił w łódce butelkę jabłkowego trunku.

– Dlaczego miałyś coś takiego zrobić? – zapytał Hegel – Żebyśmy, jeśli i kiedy nas obrobiją, stracili też butelczynę?

– Ta gorzała to najmocniejsza owocówka, nie? – Manfred wyłamał palce. – Zatem, kiedy znajdą butelkę i do niej siądą, wątpię, żeby wyczuli jagody, które

żem rozgniół i wcisnął do środka. Żem nie chciał marnować wszystkich na taką nieplanowaną sytuację, ale po mojemu żem wsadził ich dość, żeby dostali to, o co się prosili.

– Jagody? Znaczy, truciznę? – Hegel uśmiechnął, kiedy zrozumiał, o czym brat mówi. – Szczwany lis z ciebie, bracie!

Martyn prawie zemdłał, kiedy zrozumiał, co się wydarzyło, i rola, jaką w tym odegrał, zaległa mu ogromnym ciężarem na piersi. Jako jedyny z trójki, który mówił po włosku, szybko się zorientował, że ludzie z Mestre – nadrzecznego miasta leżącego po drugiej stronie laguny oddzielającej je od Wenecji – zamierzali oszukać Grossbartów, i nie zrobił nic, by ich powstrzymać. Uznał, że w ten sposób bracia zapłacą za podpalenie pobliskiej wioski. Teraz zdał sobie sprawę, że powinien wiedzieć, że Grossbartowie zamienią psotę w coś znacznie gorszego i gdyby ostrzegł którąkolwiek stronę, to ci czterej nieuczciwi, lecz z pewnością niezdolni do morderstwa mężczyźni z łodzi, nie odpływaliby właśnie z dzbankiem zatrutego *Schnapsa*. Zaślepiła go żądza, by dostać się do właściwego miasta i skończyć całą tę przygodę, i zrozumienie tego faktu sprawiło, że żal zakłuł go w oczy.

– Nie mogą wszyscy... A ona dokąd się wybiera?! – Manfred urwał w pół zdania, kiedy zauważył, że kobieta znika na szczycie kamiennych schodów prowadzących z małego nabrzeża.

– Za naszym korytem! – Hegel skoczył na schody, a Manfred tuż za nim.

Hegel wspinał się po schodach i zatoczył do tyłu. Byłby spadł, gdyby Manfred nie znajdował się tuż za nim. Kobieta czekała na nich w wąskiej uliczce, która niczym skalna półka wcinała się między wysokie budynki i kanał. Przytupywała niecierpliwie w najbardziej uniwersalnym geście świata, ale Grossbartowie, widząc, że nie zamierza uciekać, poszli najpierw po jedzenie, *Schnapsa* i kapłana, który został na nabrzeżu. Manfred pomógł Heglowi umocować beczułkę ze *Schnapsem* na plecach, a potem dźwignął zapasy

Znacznie wolniejszym krokiem i z mniejszym entuzjazmem cała trójka weszła po schodach, gdzie czekała kobieta. Mimo poświaty widocznej z laguny, bardzo niewiele świateł płonęło w tej części miasta, a żeby pogłębić ich frustrację, niebo przesłoniły chmury – chmury, które wyglądały podlej od wściekłego Grossbarta. Zgodnie z prezentowanym obliczem niebo pozwoliło im przejść tylko krótki odcinek, zanim runął na nich potop.

Kanał i droga prowadziły ich meandrami, nim zobaczyli słabe światło wylewające się z bocznej uliczki. Podczas gdy kobieta czekała na drodze z osłoniętą woalem twarzą zwróconą do Niebios, Grossbartowie i Martyn weszli pod okap krytego zaułka. Ognisko płonęło jakieś czterdzieści kroków w głąb tunelu, wokół niego kuczał niewielki tłumek. Hegel i Martyn nie spuszczaali z oczu tej gromady, a Manfred gapił się na kobietę, zastanawiając się, jak długo będzie w stanie znosić samą muzykę deszczu.

– Co powiesz... – Hegel zauważył rozkojarzenie brata i postanowił zrehabilitować się po poprzedniej wpadce w związku z przeprawą, więc sam podszedł do ognia. – Ej, wy wszyscy, słuchajcie! Szukamy Bar Guza.

Szare oczy pod brudnym kapturem zamigotały, odrywając się od ognia, zaintrygowane faktem, że zwrócono się do nich barbarzyńskim językiem północy.

– Powtórzę to raz jeszcze – powiedział Hegel, nie będąc w nastroju na bycie ignorowanym. – Jeśli któryś z was powie, gdzie ma dom człek imieniem Bar Guz, to może dobrze wyjść na swojej uczciwości.

Chwycono za kule i wykonano pierwszy ruch.

Hegel odwrócił się do Martyna i brata z sugestią, żeby cisnąć chamskich żebraków do kanału i zarekwirować im ognisko. Wtedy zauważył sadzącą susami postać, która opuściła krąg i zbliżała się do niego. Kilka innych leniwie się podnosiło, więc Hegel położył dłoń na oskardzie.

– Barousse! – zawołał żebrak, śpiesząc do nich. – Barousse! – powtórzył, a potem popłynął strumień cudzoziemskiego bełkotu.

– Rzekł: Bar Guz? – zapytał brata Manfred, odwracając się do zaułka.

– I że dla niego pracuje – powiedział Martyn, ściągając brwi.

– To właśnie rzekł? – zapytał Hegel, gdy huk gromu go ogłuszył.

– Barousse! – znowu krzyknął mężczyzna, zbliżając się, i przemówił w ich ojczystym języku: – Jestem pokornym sługą Barousse’a. W czym mogę panom pomóc?

Pozostali żebracy ruszyli zaułkiem niczym wataha i też zaczęli wykrzykiwać „Barousse”. Oni także wołali, że dla niego pracują i że to oni powinni służyć im pomocą. Hegel wyciągnął oskard, a Manfred maczugę) co powstrzymało odziany w łachmany gang. Wyjątkowo brudny stary kombinator zaryzykował, że ściągnie na siebie ich gniew, i odepchnął mężczyznę, który jako pierwszy się

do nich zwrócił.

– Nie ufajcie temu podstępnemu Arabowi! To ja pracuję dla Barousse’a! – Nowy żebrak wykrzykiwał we względnie zrozumiałym języku niemieckim, podczas gdy rywal wylądował w kałuży.

– Arab? – Hegel zmrużył oczy na deszczu i zobaczył, że kaptur pierwszego mężczyzny opadł, odsłaniając ciemną cerę i rzadkie rudawe wąsy. – Jesteś Arabem?

– Nie ze swojej winy! – odpowiedział Arab, stając ciężko o kulach, a potem atakując napastnika z rozbijającą szybkością.

Zamarkował cios, tylko po to, żeby kopnąć go w tył kolana, i zaskoczeni Grossbartowie natychmiast zobaczyli, że zamiast zwykłej nogi z ciała i kości Arab ma kończynę z drewna. Uzurpator wpadł z krzykiem do rynsztoka, a jednonogi Arab złamał kulę na jego grzbiecie, balansując w tym czasie na drugiej.

– Chodź, Arabie! – Hegel zaśmiał się, zdumiewając się ich szczęściem.

– Pozostali mają zniknąć. – Manfred zważył w ręku maczugę, patrząc na gromadę. – Zwijajcie się szybko, zanim się rozeźlimy.

Wymizerowany Arab zacisnęła usta, zaniepokojony faktem, że stracił jedną kulę, ale jęki leżącego przeciwnika stanowiły dla niego pewną rekompensatę. Hegel i Manfred podeszli bliżej, żeby pierwszy raz rzucić okiem na prawdziwego Araba. Śmierdział jak upławy chorej maciory i Manfred wypił spory łyk *Schnapsa*, żeby oczyścić umysł i nos. Czarnozęby Arab uśmiechnął się do niego szeroko, przysuwając się i sięgając po butelkę. Miał dość rozumu, żeby nie oczekiwać takiego skarbu od lepszych od siebie, ale wątpił, czy ci porośnięci szczecina łajdacy kwalifikują się jako tacy.

– Trzymaj swój smród przy sobie – powiedział Manfred – chyba że chcesz przy okazji stracić rękę.

– Myśli pan, że ja... Ach, nie, nie, co za pomyłka, nigdy nie oczekiwałbym, przenigdy, ani razu w życiu nie raczyłbym, nie wobec Boga i w ogóle, nie, nie, nie. – Arab uniósł brudne ręce w obronnym geście. Kula sterczała mu spod pachy.

– To gdzie ten Guz wyskakuje? – zapytał Hegel.

– W swojej posiadłości, jak mniemam. A może to zagadka? Naprawdę uwielbiam...



– Niech cię diabli, gdzie jest jego dom? Posiadłość, czy jak jej tam. – Hegel już żałował, że dał się zwieść żebrakowi, i przysięgał Maryi, że jeśli przewodnik zaprowadzi ich gdziekolwiek indziej niż do Guza, to udusi go powoli własnymi rękami.

– Może przeczekamy burzę? – Arab zerknął na strugi przesłaniające wylot zaułka tuż za nimi. – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że przy odrobinie perswazji da się przekonać tych szubrawców, by porzucili ognisko, żebyśmy sami mogli z niego lepiej skorzystać.

Martyn się rozpromienił i zrobił krok naprzód, ale Hegel stanął przed księdzem, nie mogąc się doczekać, kiedy zakończy tę sprawę. Kręcąc głową, czym zdenerwował Manfreda jeszcze bardziej niż Martyna, Hegel skinął na cuchnącego żebraka, żeby podszedł jeszcze bliżej. Zniżając głos, powiedział szorstko:

– Wolimy pójść tam z miejsca, jeśli nie masz nic przeciwko, przyjacielu.

– Czekaj no – mruknął Manfred w ich tajnym języku – rozgrzanie się przy ogniu nie...

– Nie ma sensu się rozgrzewać, żeby potem znowu zmoknąć i zmarznąć – przerwał mu Hegel. – W drogę.

– Skoro mamy iść w ulewie – westchnął Arab – to chodźmy, bo nie znajdziemy żadnej łodzi o tak później i mokrej porze, a piechotą mamy kawał do przejścia. Z powrotem w kierunku, z którego przyszliście, jak się obawiam.

Przewodnik wyprowadził ich na ulicę, zatrzymując się obok ich całkowicie przemoczonej towarzyszki. Pod nadzwyczaj badawczym spojrzeniem Manfreda nie ociągał się jednak ani chwili dłużej i ruszył swoim dziwnym krokiem. Mijając nabrzeże, przy którym wysiedli, Arab poprowadził ich tylko kawałek ulicą, zanim skręcił w głąb miasta – a przynajmniej tak myśleli. Po przejściu kilkoma wąskimi, ociekającymi wodą zaułkami pojawili się przed kolejnym kanałem. Ta droga wodna przypominała poprzednią na tyle, że Grossbartowie zaczęli między sobą pomrukiwać na temat tego, co mogą zrobić, jeśli ten drań okaże się równie uczciwy, jak to się do tej pory wydawało.

Przeszli mostem i jeszcze bardziej kręte przejścia doprowadziły ich nad kolejny kanał i w końcu do kolejnego mostu. Człapali mozolnie i tylko Manfred zauważył, że kobieta dawno by ich wyprzedziła, gdyby nie blokowała jej zwalista sylwetka Hegla. Nie zaszczyliła go już żadnym więcej uśmiechem

ani piosenką i Manfred zastanawiał się, jaki los ją czeka, kiedy już ją dostarczą.

Arab bezustannie trajkotał o tym, że koniecznie muszą zachować ciszę, ze względu na temperament i sprawność w korzystaniu z kuszy miejscowej ludności, ale nawet Martyn nie dał się wciągnąć w rozmowę. Ręce księdza były bardziej odrętwiałe niż zwykle, stopy go bolały, głowa pewnie mu krwawiła po upadku, jakiego doznał na nabrzeżu, nagrzeszył tak bardzo, że kilku przewoźników najbliższego ranka może stanąć przed Sądem, zamiast obudzić się we własnych łózkach, a teraz jeszcze zagadywał go niewierny. Ojciec Martyn znalazł się na złej drodze.

W końcu wylądowali w najwęższym i najciemniejszym z dotychczasowych zaułków, w tunelu znikającym w mieście. Po wcześniejszych spotkaniach z ludźmi obcego pochodzenia Grossbartowie byli przygotowani na zdradę. Nie wykluczali, a może nawet uznali za prawdopodobne, że Arab prowadzi ich w kółko, podczas gdy jego wspólnicy szykują zasadzkę.

– Prosisz się o podejrzenie gardła? – spytał Manfred, łapiąc Araba za włosy i przyciskając mu sztylet do gardła.

Arab wyrzucił z siebie kolejną salwę zapewnień i przysięg wierności, ale nie robił wrażenia tak przestraszonego, jakby chciał tego Manfred. Poszli dalej zaułkiem. Manfred trzymał Araba mocno za ramię, a kiedy wyszli z zakrętu, zobaczyli dom wielki jak klasztor, wznoszący się za grubym murem. Żebrak żałował, że kolejny rozbłysk błyskawicy nie uczynił ich przybycia jeszcze bardziej niezwykłym, ale burza już minęła. Manfred wypuścił go i zagwizdał pod nosem. Martyn zacmokał z niesmakiem, widząc taki pokaz bogactwa, którym nie podzielono się z ubogimi, a Hegel pierdnął, próbując ukryć fakt, że jest pod wrażeniem.

Ogromna metalowa brama oddzielała potężny dom i jego tereny od zaułka. Między jej prętami dostrzegli dwie postaci przy niedużym ogniu. Musiały coś usłyszeć, bo natychmiast wycelowały z kuszy w ciemność, tam gdzie stali Grossbartowie. Zanim Manfred zdążył bardziej wściec się na siebie za to, że zaufał Arabowi, jeden ze strażników krzyknął i kolejnych pięciu krzepkich mężczyzn przybiegło z terenu w obrębie murów. Oni także mieli kusze i wkrótce wszystkie wycelowano w zaułek.

Kilku strażników pokrzykiwało po włosku, więc Martyn szybko wyszedł na światło i odpowiedział w ich języku. Kobieta wysunęła się do przodu, stając

obok niego, ale Manfred tego nie zauważył, zajęty łapaniem Araba za jedną rękę, podczas gdy brat trzymał go za drugą. W wolnych dłoniach każdy dzierżył swoją ulubioną broń. Manfred zadał Arabowi pytanie:

– Maczałeś w tym palce?

– Nigdy. Nie, nie, nie. – Arab energicznie kręcił głową.

– Czas sprawdzić jego uczciwość – powiedział do brata Manfred i bezwstydnie wyciągnął żebraka do światła.

Nie zamierzając zwątpić teraz w brata, Hegel wyszedł razem z nim, więc obaj wynurzyli się z ciemności. Strażnicy byli jeszcze bardziej poruszeni widokiem dwóch krzepkich mężczyzn z bronią, trzymających bardzo podekscytowanego żebraka, i kobiety w woalu i przemoczonej sukni.

– Piękne powitanie – powiedział Hegel, bardziej do mężczyzn niż do brata.

– Po mojemu, moglibyśmy zabrać naszą kompanię w przyjemniejsze okolice – odparł Manfred i splunął na strażników flegmą.

Uśmiech zgasł mu na ustach, kiedy zdał sobie sprawę, że jeśli okaże się, że to rzeczywiście jest dom Guza, może już nigdy więcej nie zobaczyć panny. Jeżeli to ma go zbliżyć do Giptu, to trudno, tak trzeba, ale dać ją sobie po prostu odebrać po tylu trudach – tego nie mógł zdzierżyć. Zacisnął dłonie na schwytanym i na broni. Arab i Martyn stali się podejrzanie milczący, a Hegel podniósł głos w stopniu stosownym do głośności mężczyzn bełkoczących do niego w swoim języku:

– Słyszę, że jeden z was gada „Ennio”? A pewnie, znałem tego złamasa. Nie żyje. Jest martwy, ty trajkoczący pojebie!

Hegel puszył się z dumy. Martyn przykucnął, aż czołem i zabandażowanymi rękami dotknął ud w parodii modlitwy – miał nadzieję, że znalazł się poza linią strzału z kusz. Arab tak się wiercił, że bracia sami go puścili. Lamentował z powodu swojej głupoty, bo nie poprosił o zapłatę z góry.

– Mówisz, że mój brat nie żyje?

Nowy mężczyzna odziany w czyste i barwne szaty wystąpił naprzód i otworzył bramę. W jednej dłoni trzymał cieniutkie ostrze, w drugiej butelkę.

– A pewnie, przykro to rzec, ale zginął lepiej niż żył – odpowiedział Hegel, którego odstręczało fantazyjne odzienie mężczyzny, ale dodała mu otuchy jego biegłość w posługiwaniu się prawdziwym językiem.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie tamten odwrócił

wzrok.

– Trudno w to uwierzyć.

Mężczyzna napił się z butelki, powiedział coś niezrozumiałego i machnął rapierem przed kuszami strażników. Tamci opuścili broń, a mężczyzna zwiesił głowę, pocierając czoło.

– Zbyt wiele bym oczekiwał, mając nadzieję, że Alphonse i Giacomo zatrzymali się gdzieś po drodze do domu, żeby się napić?

– Nie wiem, czemu miałbyś żywić nadzieję, że takie nic nie warte śmieci przeżyły ciężką próbę, która zabiła lepszego człowieka – odparł Manfred.

– Nic niewarte? – Mężczyzna podniósł głowę, piorunując Manfreda wzrokiem.

– Nie mogę z równą pewnością wypowiedzieć się o tym drugim, ale Alfons właściwie sam wypatroszył twojego brata. Aliści zapłacił za to, tak jak jego krewniak, i nie ma co marnować wody z jego powodu. – Manfred skrzyżował ręce na piersi.

– Zabił Ennia?

– Gdyby miał trzy ostrza, byłby spróbował je wszystkie wbić nam w plecy – wyjaśnił Hegel. – Za słaby, żeby zrobić to samemu, próbował dobić targu, żebyśmy my oberwali, a jemu się upiekło.

– Kłamstwa. – Mężczyzna splunął.

– Nazywasz nas kłamcami? – Manfred wystąpił do przodu. – Nas? Pilnuj tej swojej gęby, gronożłopie, albo wsadzę ci ją tam, gdzie będziesz bardziej na nią uważać.

Wystarczyło jedno machnięcie ostrzem, żeby kusze się uniosły, a Arab schował się za Heglem, który skupił uwagę na czymś innym. Brat Ennia wrzeszczał na nich w swoim języku, z twarzą czerwoną jak burak. Kiedy zdyszany skończył, było słyhać tylko płomienie trzaskające na wietrze. Hegel wyczuł, że sytuacja może się pogorszyć, jeśli nie przedstawią sprawy z odpowiedniej perspektywy, i był zbyt zaaferowany, by zauważyć, że Arab stoi tuż za nim. Krzyknął do mężczyzny z butelką:

– Posłuchaj! Żeśmy zrobili wszystko co w naszej mocy dla twojego brata i jeżeli to nie wystarczyło, to już sprawa Najświętszej Pani! Aleśmy przejechali taki kawał świata, żeby dostarczyć własność Guza, i to właśnie robimy, więc niezależnie od tego, jakiego gnoju chcesz nam narobić, to może

zaczekać, dopóki nie otrzymamy rekompensaty. Ja żem stracił włosy, księdza ustrzelono więcej razy niż jasnową dziewczynę w porze żniw, a nie mamy, kurwa, nastroju tłumaczyć się ze słusznych postępów, gdy trzymasz nas na celu, więc uspokój swoje psy! Co za jebana wdzięczność okazana nam, którzy zabili demona, by ratować twojego brata!

– A potem jeszcze wyzywają nas od jebanych kłamców za to, że winimy zasranego durnia, który wpuścił demona! – dodał Manfred, kiwając głową do brata.

– Własność... Masz na myśli... – Mężczyzna mówił powoli, a jego bordowe policzki pomału jaśniały, stając się perłowożółte, kiedy wreszcie przyjrzał się kobiecie stojącej cierpliwie obok Grossbartów. – To ona?

– Rozumie się, że to ona, ty ciemny pacanie – odparł Hegel. – Nie myśl, żeśmy marnowali tyle tygodni, jadąc tutaj, tylko po to, żeby dorwać się do tutejszych cycków!

Mężczyzna powiedział coś w języku, który – jak wreszcie dotarło do braci – musiał być włoskim i zachwiał się lekko, zanim otrząsnął się i wyprostował ramiona. Po chwili milczenia znowu machnął rapierem i kusze opadły, a strażnicy zaczęli zrzędzić między sobą. Mężczyzna odwrócił się i przeszedł przez bramę, po czym usiadł ciężko na ziemi. Kiedy siedział z głową w dłoniach, Grossbartowie rozmawiali w swoim prywatnym języku.

– Co o tym myślisz? – zapytał Hegel.

– Niezłe gównno.

– A pewnie, ale jakiego rodzaju?

– Najgorszego. Ten to jeszcze gorsza menda od brata – uznał Manfred.

– Ale nie aż taka jak Alfons.

– Żeśmy nie powinni byli tu przyjeżdżać.

– A pewnie, załóżę się, żeś miał inne plany odnośnie do koryta.

– Racja, bo rzeczywiście okazała się niezłym korytem. Dzięki, żeś mi przypomniał, czyj to był pomysł, żeby tu przyjechać! – Manfred grzmotnął Hegla łokciem.

– Uważaj, elegancik wraca.

– Tej nocy zostaniecie tutaj – powiedział mężczyzna. – Umyjcie się i prześpicie, a jutro dokładnie ustalimy, co się wam należy. Wejdźcie do środka z tym, co wasze, a ja odprowadzę damę na jej miejsce. Nazywam się Rodrigo

i poproszę o wasze imiona, zanim wejdziecie.

Spojrzenie Rodriga powędrowało z powrotem do kobiety. Warknął, wydając rozkaz jednemu z mniej niechlujnych strażników, który w pośpiechu zniknął za wewnętrzną bramą.

– Manfred – powiedział Manfred.

– Hegel – powiedział Hegel.

– Grossbartowie – dodali razem.

– Ojciec Martyn – przedstawił się ksiądz, włączając się ponownie do rozmowy, skoro sytuacja się uspokoiła.

– Al-Gassur Abu-Yateem Thanni ibn Farees – odezwał się Arab, wynurzając się zza Hegla i wiszącej na Grossbarcie beczułki *Schnapsa*, z której popijał sobie, kiedy rozmowa się zaogniała.

– Po coś tu wrócił, ty nędzny szczurze pustynny? – zapytał ostro Rodrigo, zbyt obrażony, żeby przejść na *lingua italia*. – Kiedy wyrzuciliśmy cię na ulicę, zamiast wrzucić do kanału, była to łaska wyświadczona pod warunkiem, że więcej się tu nie pojawisz.

– Nigdy nie obraziłbym ciebie ani twojego pana i odejdę, kiedy tylko otrzymam zapłatę za swoje wysiłki – odpowiedział czkając Al-Gassur.

– Zapłatę? – Hegel odwrócił się do Araba. – Żeś gadał, że służysz u Guza.

– I służyłem mu, przyprowadzając was tutaj, tak jak wy służycie jemu, zjawiając się tutaj. Jeżeli dobrze pojąłem wasze oświadczenia, drodzy Grossbartowie, skoro wy oczekujecie rekompensaty za swoje trudy, to czy uczciwość nie wymaga, abym ja otrzymał zapłatę za swoje?

– Tę kwestię musisz omówić z Guzem, a nie z nami, tak jak my to uczynimy, miast dręczyć innych znajdujących się w podobnym położeniu – zauważył Manfred.

– Precz, Arabie, zanim twoja obecność sprawi, że moje wino ujrzy z powrotem światło dzienne. – Rodrigo pstryknął palcami na Al-Gassura.

– Rozumie się – dodał Manfred – zostać naszym sługą nie będzie zbyt trudne, powiedzmy butelka za dwa tygodnie na służbie u nas?

– Zgoda, łaskawi panowie. – Al-Gassur uśmiechnął się szyderczo do Rodriga.

– Co to za gierki? – zapytał Rodrigo, wyręczając tym samym Hegla.

Manfried wzruszył ramionami.

– Nasza sprawa to nasza sprawa.

Kiedy był rozdarty między doprowadzeniem do szału gogusia albo żebraka, zawsze wybierał gogusia.

– On śpi ze świniami – zakomunikował Rodrigo. – Pozostali spotkają się ze mną jutro. A teraz idźcie z nim. – Rodrigo wskazał wychudłego starca, który wrócił z wcześniej odesłanym strażnikiem.

– Znaczący spotkamy się z tobą i Guzem – sprostował Hegel.

– Sprawy kapitana Barousse’a to jego sprawy – odparł Rodrigo. – Omówię z nim tę kwestię. Na razie jednak solidna kąpiel dla was wszystkich z wyjątkiem obrzydłego Araba. On się umyje w sadzawce w ogrodzie pod nadzorem strażnika.

– Nie potrzebuję ani strażnika, ani kąpeli – zaprotestował Al-Gassur.

– Strażnik jest niezbędny, żeby obronić twoją śmierdzącą osobę przed moją stopą, a kąpiel, żeby obronić mój nos przed tobą. A teraz poczekaj tu z Markiem. – Wskazał na mężczyznę o końskiej twarzy i okazałej posturze.

Bracia skinęli sobie, ogłaszając koniec podróży i weszli dumnie przez bramę. Martyn nerwowo ruszył za nimi, ponieważ tak samo jak Al-Gassur rozumiał słowa wypowiedziane przez Rodriga do swoich ludzi – słowa, których Grossbartowie nie pojęli. Owszem, Rodrigo oznajmił, że porozmawia z kapitanem, zanim wprowadzi w życie swój plan, ale zarówno ksiądz, jak i Arab wątpili, czy morski kapitan o fatalnej reputacji będzie miał coś przeciw temu, żeby torturami wydusić z gości prawdę. W przeciwieństwie do Al-Gassura, Martyn wierzył, że gdyby ludzie Barousse’a przyszli po braci, przelano by więcej krwi niż tylko krew Grossbartów.

Strażnik, który wskazał im drzwi, zostawił ich z krzepką, choć starą kucharką, która zabrała ich do kuchni i oddała im do dyspozycji pokojówkę. Dziewczyna o ostrym nosie poprowadziła ich wyściełanym chodnikami i usianym drzwiami korytarzem do wielkiego, otwartego foyer, po którego drugiej stronie ujrzeli taki sam korytarz. Po prawej wznosiły się potężne, frontowe schody, a po lewej otwarta klatka schodowa sięgała do połowy wysokości ściany, gdzie rozdzielała się na dwie galerie. Pokojówka zaprowadziła ich na piętro, a po drodze cała trójka zajęła się w miarę swoich możliwości prostą arytmetyką. Manfred zliczył sześciu strażników, Hegel trzy gobeliny oraz jasne kwadraty bez kurzu, gdzie wisiało wcześniej dalsze pół

tuzina, a Martyn dwie zgrabne łydki na schodach przed nim.

Przeszli galerią do miejsca, gdzie przechodziła w korytarz ciągnący się nad tym, którym przeszli piętro niżej. Trzy częściowo wypełnione kandelabry oświetlały drogę do pierwszych drzwi po prawej i po lewej. Pokojówka je otworzyła, Grossbartowie zajęli pokoje. Wprowadziła ich, a oni od razu ją pogonili.

– Przynieś jedzenie! – zawołał Hegel.

– I coś do picia! – poparł go Manfred.

– I przygotuj kąpiel! – dokończył Martyn, wzruszając ramionami, kiedy obaj Grossbartowie spiorunowali go wzrokiem.

Najpierw przyniosła im napoje, a kiedy dostarczyła jedzenie, od razu musiała wracać po więcej. Po drugiej kolacji miała chwilę na złapanie oddechu, bo poszli się kąpać, ale otrzymała polecenie przygotowania trzeciej dokładki, która miała czekać na ich powrót. Duszony węgorz, jajka w koszulkach, i karp saute wylądowały w ich gardłach równie szybko jak potrawka z rzepy, chociaż później tego wieczoru, na osobności, Grossbartowie przyznali w prywatnym języku, że nawet królowie nie jadają lepiej.

Na końcu korytarza, nad kuchnią, żelazna wanna większa od niejednej fontanny wypełniała pomieszczenie, które pomagała ogrzać rura od kuchennego pieca. Płytki rowek odpływowy w podłodze zniknął w małej dziurce. Pierwsza ciepła kąpiel, jakiej bracia zażyli, okazała się o niebo lepsza od rzeki, więc uznali, że gdy już zainstalują się w Gipcie, będą praktykować tam takie luksusy dwa razy dziennie. Przysypiając w wodzie, Martyn rozważał, czy powiedzieć braciom, co ich czeka. Hegel zamknął oczy i wyobraził sobie wannę pełną krwi tchórzy, a Manfred złapał się na tym, że nuci melodię, od której woda zrobiła się lodowata.

Położyli się do łóżek, ale wcześniej Martyn nie wytrzymał i opowiedział braciom o zamiarach Rodriga. Zareagowali zagadkowo: żaden z nich nie powiedział za wiele, ale wymienili się spojrzeniami, których znaczeniem można by wypełnić całe tomy. A przynajmniej Martyn miał nadzieję, że reakcja była zagadkowa, a nie że zdradzała stan głębokiego upojenia i modlił się, by rzezione tomy okazały się warte lektury, kiedy już pozna ich język.



## XVIII

# CIĄGNIE SWÓJ DO SWEGO



Grossbartowie spali każdy w swoim pokoju, nie pełniąc warty. Obaj kilka razy budzili się gwałtownie z powodu wygody łóżek. Martyn nocował w kilku klasztorach, które były o wiele bardziej luksusowe, ale spędził też wiele miesięcy, sypiając w rowach i stodołach, i spał lepiej niż bracia, ponieważ nie miał wątpliwości, że cokolwiek ich spotka, on najpewniej odejdzie wolny. Potykając się, podszedł do drzwi, do których ktoś zapukał tego ranka. Zobaczył jednak nie służącą, lecz braci wyekwipowanych do walki. Hegel trzymał odbezpieczoną kuszę w jednej ręce i oskard w drugiej, a Manfred podobnie – tyle że w drugiej ręce miał maczugę.

– Rodrigo po nas posłał? – zapytał Martyn.

Hegel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A tam, sami go znajdziemy.

– Czy to rozsądne?

– Rozsądniejsze niż siedzenie w garnku i czekanie, aż nas wstawią na ogień. – Manfred ziewnął.

– Chcesz jakąś broń? – zapytał Hegel.

– Co?! Nie, oczywiście, że nie.

– A pewnie, nie widzisz, że ma obie ręce obandażowane? – Manfred zbeształ Hegla.

Rodrigo odchrząknął, przystając za ich plecami w korytarzu.

– Dobrze spaliście?

Dziwiąc się, dlaczego nie dostał gęziej skórki z powodu nadejścia Rodriga, Hegel nadrobił to przeoczenie, celując mu z kuszy w twarz. Manfred uniósł maczugę, a Martyn odskoczył z powrotem do pokoju i kopniakiem zatrzaskał drzwi. Rodrigo zamrugał zaskoczony i wyciągnął otwarte dłonie.

– O co tu chodzi? – zapytał.

– Żeś przyszedł nas torturować, tchórzliwy gnojku? – zapytał ostro Manfred.

– Jeśli taki masz zamiar, powinienesz być przyprowadzić więcej ludzi – dodał Hegel.

– Zastanawiałem się, czy ojciec dobrze mówił. Teraz znam odpowiedź. – Rodrigo westchnął. – Kapitan przysłała po was, żebyście zjedli z nim dziś rano. Jeśli droga wam własna skóra, odradzałbym tę wrogość, ponieważ wyciągnięcie z was prawdy biciem było co prawda moim pomysłem, lecz to, czy w przyszłości ten zamiar zostanie wprowadzony w życie, całkowicie zależy od tego, jak się zachowacie przy jego stole. No dobrze, powinniśmy zabrać księdza?

– A tam. – Hegel przewiesił oskard i zdjął cięciwę z kuszy. – Musimy porozmawiać na osobności.

– A to znaczy bez wyfiokowanych pind w wysokich butach – dodał Manfred.

– Ja także chciałbym porozmawiać z wami na osobności, panie Grossbart, ale najpierw porozmawia z wami kapitan – warknął Rodrigo, obracając się na obcasie i prowadząc ich do schodów.

– Idę o zakład, że chciałbyś – odpowiedział Manfred. – Tyle że byś się rozczarował, kiedy by na podłodze wylądował twój łeb, a nie moje spodnie.

Rodrigo zadygotał pod wpływem obrazu, jaki pojawił mu się w głowie, ale trzymał język za zębami. Te łajdaki tylko zaciskały sobie pętle na szyjach, a Rodrigo wiedział, że jeśli zirytują kapitana, ten może sam ich zabić jeszcze przed śniadaniem. Robili wrażenie zbyt dumnych, żeby wypierać się zamordowania Ennia, gdyby rzeczywiście to zrobili, ale i tak chciał zobaczyć ich śmierć tylko po to, żeby patrzeć, jak gasną te krzywe uśmieшки na ich wąskich ustach.

Zeszli schodami i przeszli przez foyer do korytarza naprzeciwko przejścia prowadzącego do kuchni. Dwaj mężczyźni w kolczugach, którzy podpierali ścianę, skłonili głowy przed Rodrigiem. Korytarz kończył się hebanowymi drzwiami, do których Rodrigo zapukał w charakterystyczny sposób. Obaj Grossbartowie natychmiast zapisali w pamięci sekwencję. Rodrigo otworzył drzwi i puścił ich przodem. Hegel wszedł pierwszy, a za nim Manfred – tyłem, żeby mieć oko na Rodriga, który wszedł na końcu i zamknął drzwi.

Masywny stół z talerzami, półmiskami i dzbanami wypełniał pokój, a za nim siedział kapitan. Jasnoruda broda rozlewała mu się na koszulę i znikwała pod

stołem, natychmiast wzbudzając sympatię Grossbartów. Poważny wiek zdradzała łyssa czaszka i uszy obwisłe pod ciężarem masywnych, złotych kół. Jego potężna sylwetka oklapła z powodu beczynności. Niebieskie oczy, duży nos i wydatne usta odcinały się od lekko opalanej twarzy, a ogromne dłonie trzymały największą kuszę, jaką bracia widzieli kiedykolwiek w życiu. Kapitan celował z grubsza między nich, a kiedy mówił, wyraźnie wymawiał każdą sylabę, żeby mocny akcent nie zamazał znaczenia.

– Wy jesteście Grossbartowie.

To nie było pytanie.

– A pewnie. – Hegel beształ się w myślach za zdjęcie cięciwy z kuszy.

– A pan jest kapitan Bar Guz – powiedział Manfred, trzymając rękę na głowicy maczugi.

– Alexius Barousse. – Kapitan się uśmiechnął, ukazując garnitur połamanych zębów.

Rodrigo powiedział coś do kapitana po włosku. Barousse'owi twarz zachmurzyła się gniewnie, nos mu spuchł, a oczy zamieniły się w szparki. W ostatniej chwili, zanim Grossbartowie wskoczyli na stół gotowi do walki, starszy mężczyzna ryknął:

– Nie pozwolę, żeby goście martwili się, że coś przeciw nim knujemy! W ich obecności będziesz mówił tak, żeby rozumieli, albo w ogóle się nie odzywaj!

– Słusznie – przytaknął Hegel, nie próbując ukryć zadowolenia.

– Jedyne uczciwe podejście – rozpromienił się Manfred. – A moglibyśmy pogadać bez tej szui?

– Kapitanie... – zaczął Rodrigo.

– Nie jesteś mi dłużej potrzebny – warknął Barousse, aż pierś mu zafalowała.

– Ale...

– Wiem, o co ci chodzi – Barousse osunął się w wysokim jak tron krześle – więc ustalę to w twojej obecności. Wasze imiona.

– Hm? A, Hegel Grossbart.

– Manfred Grossbart.

– Zjawiliście się tu z jakimś innym interesem poza tym, że chcieliście zwrócić mi moją własność?

– A gdzie tam, ale skoro już my tu są, to rzeczywiście jest jeszcze jeden interes, o którym byśmy mogli porozmawiać – odpowiedział Manfred.

- Jesteście zabójcami? – Bełt w kuszy mierzył w tego, kto akurat mówił.
- Nigdy żeśmy nie zabili nikogo, prócz tych, którzy nam zawinili – odpowiedział Hegel.
- Albo by to zrobili, gdyby tylko dać im szansę – sprostował Manfred.
- Przynieśliście truciznę do mojego stołu?
- A pewnie, mam tego trochę w torbie – przyznał Hegel.
- Tylko dlatego, żeśmy nie wiedzieli, czy możemy zostawić nasze rzeczy w pokojach – dodał Manfred, zerkając na Rodriga wilkiem.
- Zamierzacie mnie zabić? – zapytał Barousse w ten sam sposób, w jaki zapytałby, czy napiją się wina.
- Nie, o ile nie da nam pan powodu – powiedział Hegel, a Manfred pokiwał głową.
- I nie jesteście na niczyich usługach, tylko własnych?
- I Maryi – powiedział Hegel.
- Znaczący Najświętszej Pani – wyjaśnił Manfred.
- Zadowolony? – Barousse spojrzał na Rodriga.
- Jak możesz im ufać? – wyrzucił z siebie Rodrigo.
- Jak oni mogą ufać człowiekowi, który mówi o nich szyfrem i to w ich obecności? Nie mogą, a ja nie mogę ufać człowiekowi, który nie ufa mnie ani moim towarzyszom. Zatem wynocha. – Barousse odłożył kuszę na stół i nalał sobie coś do picia, odsyłając oniemiałego Rodriga machnięciem palców.
- Młody mężczyzna skłonił się i wyszedł, nawet nie spojrzawszy na Grossbartów, trzaskając za sobą drzwiami.
- Zamknijcie drzwi na zamek – rozkazał Barousse, co Hegel zrobił, podczas gdy Manfred podszedł do stołu. – Siadajcie i jedzcie. Stracił brata, a wy przy tym byliście, więc okrutnie go to gryzie.
- Nigdy bym nie powiedział, że Ennio był tym bystrym. – Manfred rzucił się na pieczoną mewę.
- Rodrigo udowodnił, że przewyższa Ennia we wszystkim prócz powożenia i dlatego on pojechał, a Rodrigo został. – Barousse popijał między słowami.
- Pod koniec okazało się, że Ennio nie był taki zły – przyznał Hegel.
- Ale to początek mnie interesuje – odparł Barousse. – Mam rozlicznych wrogów, stąd ta nadopiekuńczość u Rodriga. Ten niedowarzony szczawik nie pojmuje, że mężczyzna, który nie jest w stanie obronić własnego stołu, nie jest

godzien za nim zasiadać. Poza tym, przywieźliście mi z powrotem to, czego Ennio nie zdołał... – Barousse zniżył głos i zagapił się w talerz.

Po kilku kęsach ciszy Hegel wyłopał trochę wina i odchrząknął:

– Żeśmy byli w górach i zmierzali na południe, kiedyśmy zobaczyli jadący w naszą stronę wóz, pański wóz – zaczął i za każdym razem, kiedy potrzebował kolejnego kęsa albo łyku, Manfred przejmował wodze i kontynuował opowieść.

Nie pominęli niczego oprócz fascynacji Manfrieda przewożoną kobietą. Wspomnieli nawet o sporze z Enniem w kwestiach etyki ich pracy na cmentarzu. Jedzenie stygło, ale nadal jedli i rozmawiali, a zanim skończyli, kapitan zdjął następną butelkę z kominka i napełnił im kielichy.

Serdeczny śmiech Barousse'a, kiedy opowiedzieli mu, jak zabili Przydrożnych Papieży i spalili miasteczko, podbił serca Grossbartów – nareszcie spotkali uczciwego człowieka.

– Wielu powątpiewałoby w waszą opowieść – oznajmił w końcu.

– Wielu powinno oberwać – zauważył Hegel.

– I mówicie, że ksiądz ścigał tego samego demona?

– Tak twierdził – przyznał Manfred. – A wedle niego człowiek, który go nosił, był wyznawcą diabła, co oznacza, żeśmy zabili demona i na dodatek czarownika.

– I zabiliście też Ennia – zamyślił się na głos Barousse.

– Ano tak – powiedział Manfred.

– Lepiej, niż żeby wszedł w niego demon – powiedział Hegel.

– Hm – mruknął kapitan, a potem pokręcił głową. – Demony krążą po pustkowiach. Wiem to i wierzę wam. Powiem Rodrigowi to, co powiedzieliście mnie, i to powinno zmienić mu nastrój, a jak nie, to ja mu go zmienię. No dobrze, jakiej nagrody oczekujecie za swoje imponujące usługi?

– Giptu – powiedzieli chórem.

– Co?!

– A dokładnie idzie o przeprawę do Giptu – sprecyzował Manfred.

– Jak już tam wylądujemy, sami go zdobędziemy – powiedział Hegel.

– Przeprawę?

– Pan jest kapitanem, znaczy się ma pan statek – powiedział Manfred.

– I chcecie, żebym was zabrał na pustynię? – Kapitanowi twarz się ściągnęła.

– A pewnie – beknął Hegel.

– To idiotyczne – uznał Barousse.

– Jak to? – Manfred upuścił kaczą nóżkę na podłogę i zagapił się na kapitana.

– Ja nie żegluję.

Kapitan spojrział ponad nimi na drzwi, zacisnął dłonie na stole, aż stały się mlecznobiałe i wtedy zdołał wykrztusić przez zaciśnięte zęby:

– Możecie pozostać w moim domu, dopóki sami nie załatwicie sobie statku, oto wasza nagroda. Szczegóły omówimy później.

– Jaki to kapitan, co nie żegluję? – zaszydził Manfred, nieprzygotowany na sposób, w jaki zostali zbyci.

– Zostawcie mnie. Natychmiast. – Rumiana twarz Barousse’a napuchła i też zaczęła blednąć, począwszy od czubka nosa.

– Możemy później porozmawiać – zaproponował Hegel, wstając i cofając się do drzwi.

Kapitan sprawił, że Hegel wytrzeźwiał i spochmurniał, ale Grossbart nie dał tego po sobie poznać. Zauważył też, że w którymś momencie kapitan z powrotem podniósł naładowaną kuszę.

– A pewnie, niech projekt dojrzeje między pańskimi uszami, zanim da nam pan ostateczną odpowiedź – przytaknął Manfred; wstał, przewracając do tyłu krzesło, i poszedł za bratem.

Kapitan patrzył na nich rozgniewany, dopóki Hegel nie otworzył drzwi i nie wyszedł, a Manfred nie wycofał się w ślad za nim. Zamykając drzwi, spojrzeli po sobie paskudnie i zamaszystym krokiem wrócili do pokoiów. Rodrigo podszedł do nich po drodze do schodów, ale zaraz skoczył po rozum do głowy i skręcił w korytarz prowadzący do kapitana. Żaden z braci nie odezwał się, dopóki nie zaryglowali drzwi w pokoju Hegla.

– Podoba ci się to tak samo jak mnie? – zapytał Manfred.

– Szambo jak rzadko – przyznał Hegel.

– Myślisz, że może nas tak zwyczajnie odprawić?

– Człowiek może sobie różne rzeczy wyobrażać, póki ktoś nie wykaże mu błędu.

– Tylko czasem. Często jedynie przewodnictwo Maryi potrafi rozjaśnić człekowi w głowie.

– Robił wrażenie porządnego, dopóki pod koniec... – rozmyślał Hegel.

– Jeśli rzeczywiście jest porządny, to dojrzy swoją zbrodnię i wynagrodzi nam krzywdę – uznał Manfred, zdejmując buty.

– A Arab? Naprawdę zamierzamy zmarnować choćby butelkę na tego nędznika?

– Najpierw żem myślał, że nie, żem chciał tylko zagrać na nosie Rodrigowi, ale niedawne objawienie kazało mi zmienić podejście.

– Jakże to?

– Pamiętasz, jak to kuzyn Alfonsa i inni, których żeśmy widzieli, nie gadali jak należy? I że my potrafimy gadać, jak to zawsze żeśmy gadali, w jedyny należyty sposób i nawet ta maciora, co nas urodziła, nie potrafiła pojąć z tego słowa?

– A pewnie, znaczy się różne ludziska różnie gadają. To się, kurwa, nazywa elementarna wiedza. Dopiero teraz żeś na to wpadł? – Hegel wyszczerzył zęby w uśmiechu i uchylił się przed lecącym butem.

Na przestrzeni lat wspólnego braterskiego życia rozwinęli niemal nadnaturalną umiejętność unikania ataków zarówno spodziewanych, jak i z zaskoczenia.

– Nawet nie próbuj odgrywać przede mną opata! Nigdy żeś nie pomyślał, że może istnieć wyższy cel, dla którego warto zachować naszego śniadego sługę?

– Jak masz jakiś przykład, to chętnie o nim usłyszę, zamiast patrzeć, jak odgrywasz biskupa – odparł Hegel.

– Zatem my gadamy po naszymu, a pozostali nie, i mówimy też jak ci inni ludzie z północy Germanii, cesarstwa, czy jak to nazywają danego dnia. Ale nie gadamy po tutejszemu.

– Zgoda.

– Ale ksiądz gada po tamtejszemu i po tutejszemu, tak jak Alfons i Ellis. I tak jak Arab.

– Enni... Och! – Hegel wreszcie załapał. – Ale czekaj, jeżeli sugerujesz, żebyśmy wykorzystali Araba, żeby opowiadał nam, co gadają cudzoziemcy, to czemu nie wykorzystają księdza? Nie jest niewiernym.

– Pięknie sobie poradzi z tutejszym motłochem, ale dokąd my się wybieramy?

– Do Giptu.

– A kto mieszka w Gipcie?

– Umarli?

– Co?!

– Ehm... Złoto. I piasek.

– Kto tam żyje, barani łbie? Żyje!

Hegel zmarszczył czoło, mozolnie przypominając sobie nauki stryja i inne pogłoski.

– Śmiertelnie niebezpieczne zwierzęta i potwory?

– Arabowie, dupo wołowa, Arabowie! – Manfred cisnął drugim butem, a potem uchylił się, gdy but zostały złapany i zwrócony.

– Znowu, kurwa, elementarna wiedza – marudził Hegel. – Myślałem, że pytasz co poza nimi.

– No dobrze, a jak myślisz, jak gadają Arabowie?

– Gadają swoimi... Nie, odłóż to, nie czas na to. – Hegel ostro spojrział na nóż, którym bawił się brat. – Pytasz jak ci, co tam mieszkają, brzmia, kiedy gadają, jak my teraz albo kiedy my są z innymi, którzy nie rozumieją, co my dwaj gadamy?

– A pewnie – przytaknął Manfred.

– Nie wiem. Jak gadają?

– Też nie wiem.

– Och.

– Ale założę się, że Arab wie.

– Och! Genialne!

– A pewnie, wiem. – Manfred sparodiował brata: – „Gadają gębą”. Ignorancja to nie grzech, ale powinna nim być.

Dla Rodriga, Martyna i każdego innego, kto miał nieszczęście usłyszeć, jak Grossbartowie mówią, głosy braci brzmiały identycznie, oni sami jednak dostrzegali subtelne różnice i ignorowali je, z wyjątkiem sytuacji, kiedy z siebie kpili. Potem siłowali się przez większą część godziny – tym zwykłym przepychankom zawdzięczali sprawność w walce z tymi, którzy byli w mniejszym stopniu Grossbartami niż oni.

Pukanie do drzwi przerwało ich bójkę.

– Wejść! – krzyknął Manfred, co wywołało kolejną awanturę, ponieważ zajmowali pokój Hegla.

– Przepraszam – powiedział ojciec Martyn, a potem krzyknął głośniejszym głosem, żeby



przerwać walkę. – Grossbartowie!

– Czego? – Krew ciurkała z przepaścistych nozdrzy Hegła.

– Kto? – Rana na przyciętym uchu Manfreda znowu się otworzyła, brudząc mu podbródek i szyję.

– Idę do kościoła – powiedział Martyn. Nie mógł nie pokręcić głową na widok braci. – Może mielibyście ochotę wybrać się ze mną?

Hegel rzucił Manfredowi zaniepokojone spojrzenie, ale niepotrzebnie się martwił.

– A tam. – Manfred zaplamił poduszkę Hegła krwią. – Nic tam po nas.

– Ale gdzie indziej się wypowiedacie?

– Z czego? – spytał Hegel.

– My żeśmy nie zgrzeszyli – powiedział Manfred, otwierając butelkę.

– Każdy człowiek grzeszy, Manfredzie – odparł Martyn.

– Ma rację – wtrącił Hegel.

– Dziękuję ci, Hegel. – Martyn się uśmiechnął.

– Znaczy, mój brat ma rację. – Hegel pociągnął nosem i otarł krew brodą. – Żeśmy nie zrobili niczego, co mogłoby Jej się nie spodobać.

– Niemniej... – zaczął Martyn, ale Manfred stanął i wyprostował się przed nim na całą wysokość.

– Nie więcej, księżu. Oskarżasz nas o grzech! Po twojemu zabicie demona to grzech? A co z czarownikami? Żeby rąbać heretyków też musimy lizać cię po uszach?

– Hegel. – Martyn spojrzał na najwyraźniej mniej wybuchowego Grossbarta. – Nie chciałem nikogo urazić, ani ciebie, ani twojego brata. Po prostu wszyscy grzeszymy, taka już nasza słabość.

– Jemu to powiedz. – Hegel wyciągnął się na połamanym łożku. – Zamiast obrażać nas obu, zwracając się do mnie.

– Cóżeś powiedział, księżu? – zapytał ostro Manfred.

– Ja... – Martyn przełknął dumę i wykrztusił: – Przepraszam, panie Grossbart, za to, że zasugerowałem, że splamiłeś duszę.

– Przyjmuję przeprosiny. – Manfred skinął głową. – I przypominam ci, że twoje grzechy i słabości mają się nijak do nas. My nie są bękarty, begardy ani żadne inne bluźniercze nasienie. My są Grossbartowie i postaraj się to sobie dobrze zapamiętać.

Zdegustowany nimi i sobą Martyn odwrócił się do drzwi.

– Będę się za was modlił, Grossbartowie, i mam nadzieję, że się zbytnio nie narzucam?

– A tam, nam to bez różnicy. – Hegel przyłożył chłodne szkło do policzka.

– Kiedy zdam relację z waszych uczynków swoim zwierzchnikom, uczynię to rzetelnie. I cieszę się, że nasze ścieżki się skrzyżowały choćby na ten krótki czas. Szczęśliwej podróży.

– Myślisz, żeby zabrać od kapitana co tobie należne, zanim odejdiesz? – zapytał Manfred. – Bo my nie odłożymy dla ciebie twojej części, jeśli nie będzie cię tutaj, żeby ją zabrać.

– Weźcie sobie moją część. – Martyn zatrzaskał drzwi przed Grossbartami i odszedł z wysoko uniesioną głową.

Rodrigo przechwycił go na schodach i odprowadził do wyjścia z posiadłości. Padły pewne pytania, na które ksiądz – prezentujący się o niebo lepiej po kąpieli – uczciwie odpowiedział. Rozstali się przy bramie, gdzie Rodrigo wyniuchał Al-Gassura czającego się w zarośniętym ogrodzie, który otaczał główny budynek. Martyn wyszedł na ulicę i ruszył z powrotem przez niezwykle miasto, by ponownie połączyć się ze swoją trzódką.

Al-Gassur zastawił pułapki w krzakach i w jedną złapał się utuczony gołąb, którego Arab upiekł w suchej, zarośniętej bluszczem fontannie. Słyszając, że nadchodzi Rodrigo, złapał butelkę i ptaka, ale zanim zdążył odskoczyć, młodzieniec złapał go za pelerynę i obrócił twarzą do siebie.

– Zatem i kłusownik, he? – Rodrigo uniósł pięść.

– Proszę, mów jak należy, panie – poprosił go po niemiecku Al-Gassur.

– A skąd ta zmiana tonu? – zapytał Rodrigo, spełniając prośbę żebraka.

– By zadowolić moich szanownych pracodawców, będę mówić wyłącznie tak, żeby oni zawsze rozumieli. – Al-Gassur zatrzepotał rzęsami, robiąc do Rodriga maślane oczy.

– Ci niktzemni Grossbartowie? – skrzywił się gniewnie Rodrigo, łapiąc Al-Gassura za ucho.

– Obecni – powiedział Hegel.

– I przytomni – dodał Manfred.

– Co robisz z naszym Arabem? – Hegel wyszedł zza krzewu.

– Tylko pytam, co robi poza wyznaczonymi mu komnatami. – Rodrigo

uszczypnął Araba w ucho, zanim je wypuścił.

– Heroiczny Heglu. Majestatyczny Manfredzie. – Al-Gassur skłonił się niezgrabnie, ukrywając gołębia w tunice. – Dostrzegłem wasze nadejście przez gałęzie i zastanawiałem się, jakiż to cel sprowadza takich panów jak wy do osoby tak podłego stanu, jaki obecnie stał się moim udziałem?

– He? Stul pysk. – Manfred znowu spojrzął na Rodriga. – Masz coś jeszcze do pogadania, czy możemy w spokoju porozmawiać z naszą własnością?

– Ależ wybaczenie, wybaczenie. – Rodrigo uniósł ręce i wycofał się; nieskazitelne odzienie zaczęło o jeżyny, psując jego arystokratyczną pozę. – Zostawię was samych sobie. Dziś wieczorem zjecie w swoich komnatach i aż do jutra nie będę was więcej kłopotał.

– Zobaczmy, czy potrafisz dochować tak prostej obietnicy – rzucił z lekceważeniem Hegel. – A teraz, Arabie.

– Tak?

– Gadaj – rozkazał Manfred.

– Co mam gadać?

– Słowa twojego ludu. – Manfred posłał rechoczącemu Heglowi najostrzejsze spojrzenie w dziejach.

– Ma pan na myśli słowa takie jak kalif, ambrozja i wielbłąd? – Al-Gassur nie pojmował ich toku rozumowania.

– A pewnie, takie właśnie. – Manfred ponagłająco skinął palcami. – Tylko więcej i bez normalnej mowy.

– Ach, pragnie pan usłyszeć, jak bym się zwrócił do rodaka? – Olśnienie rozpromieniło twarz Al-Gassura.

– A pewnie, powiedz mojemu bratu, żeby się wypchał, jakby to był twój brat, a nie mój – zażartował Hegel.

– Zrób to i przekonasz się, co się stanie – powiedział Manfred. – Powiedz coś prostego, na przykład: „groby są pełne złota tam, gdzie wieczna spiekota.”

– W tej chwili, prześwietny właścicielu.

Al-Gassur skłonił się i wydał z siebie wiązaną bełkotliwych słów – był to najprawdziwszy bełkot, w przeciwieństwie do języka tych, którzy zamieszkują piaszczyste krainy południa. Al-Gassur nie słyszał ani nie wypowiedział słowa po arabsku od czasów młodości, a większość następnych lat spędził na nauce języków tych, których zamierzał oskubać. Jednakże przypadkowe dźwięki, jakie

wydały jego usta, najwyraźniej zadowolili Grossbartów, którzy wyszczerzyli zęby w uśmiechu i kiwali głowami, słysząc jego nonsensowny bełkot.

– A widzisz! – śmiał się Manfred. – Co to znaczyło?

– W grobach nie ma złota, a wokół tylko spiekota. – Al-Gassur skłonił się ponownie, mając nadzieję, że dobrze zapamiętał wiersz.

Nie zapamiętał, ale widownia i tak była zadowolona.

– A jużci, często tak bywa. – Hegel pokiwał głową. – Nada się równie dobrze jak każdy inny.

– Tyle że nie mamy innego – zauważył Manfred.

– Najuniżej proszę o wybaczenie. – Szare jak ołów oczy Al-Gassura rozbliły. – Do czego się nadam?

– Do tego, do czego zechcemy – odparł Manfred.

– A że w tej chwili niczego nie chcemy, trzymaj się z dala od naszych oczu i uszu, chyba że się prosisz o karę – rozwinął myśl brata Hegel.

– W jednej chwili. – Al-Gassur skłonił się jeszcze niżej, omal nie gubiąc gołębia. – Pozostaję do waszej dyspozycji dniem i nocą, tu albo w świńskich kwaterach.

– Znaczy? – Manfred się rozejrzył.

– W stodółce. – Al-Gassur odnalazł swoją kulę i oddalił się chyłkiem, rozmyślając nad swoimi najnowszymi pracodawcami.

Grossbartowie przeszli się spacerkiem po zarośniętych ścieżkach ogrodu, który dzięki sprytnym sztuczkom ogrodniczym robił wrażenie o wiele bardziej przestronnego niż był w rzeczywistości. Żaden nie przyznałby, jak wielkie wrażenie robiło na nich ich obecne położenie, niezależnie od skąpstwa Barousse'a. Kiedy nadszedł zmierzch, wparowali do kuchni i wystosowali okropne żądania wobec kucharki i jej mizernego męża. Zjedli dwa posiłki, zanim poszli wziąć kąpiel, a na odchodnym poinstruowali służbę, że następny posiłek ma zostać dostarczony bezpośrednio do wanny.

Grossbartowie pławili się w luksusach zamożnego domu, a potem zasnęli głęboko, by obudzić się następnego ranka, gdy do drzwi zaczął się dobijać Rodrigo. Począł z nimi, aż zjawi się jedzenie i wino, a kiedy niczym go nie poczęstowali, posłał służącą po posiłek dla siebie. Solidnie nakarmieni i podchmieleni Grossbartowie w końcu raczyli zauważyć jego obecność.

– To jaki jest rozkaz na dzisiejszy dzień? – zapytał Manfred.

– Wybierzecie się ze mną po wyposażenie potrzebne wam do podróży. – Rodrigo podał talerz krzątającej się służącej, posyłając jej zakłopotany uśmiech. – Dziękuję, Marguerite. Możemy ruszać?

– Chcę pogadać z kapitanem. – Hegel beknął.

– Możecie poprosić o audiencję później tego wieczoru, ale do tego czasu trzeba zająć się waszym wyposażeniem.

– Wyposażysz nas w łódź? – Manfred szturchnął brata łokciem, entuzjastycznie kiwając głową.

– Co? Nie. W nowe ubrania, zbroję i broń, jeżeli jej potrzebujecie, oraz w inne przedmioty, które możecie uznać za niezbędne w waszej podróży.

– Czyli powiedział ci, dokąd się wybieramy? – Hegel krzywił się niezadowolony z tego, że kapitan zdradził cel ich podróży.

– Tak, chociaż to nic a nic mnie nie obchodzi. – Rodrigo zeszywniał. – Kapitan musi stawić czoło dużo pilniejszym sprawom, a wasza obecność odrywa go tylko od nadchodzącej próby, która domaga się naszej uwagi.

– Naszej w sensie twojej i naszej? – Manfred zapiął pelerynę.

– W sensie mojej i kapitana. – Rodrigo wyprowadził ich z pokoju.

Grossbartowie uparli się, że przed wyjściem do miasta wezmą ser i chleb z kuchni.

Zatłoczone ulice okręzały i często przecinały domy daleko wspanialsze od posiadłości Barousse'a i nawet najwyższe mosty, jakimi przechodzili, miały ozdobne, złocone rzeźbienia. Rodrigo zasugerował, żeby wynajęli jedną z kołyszących się na kanałach łódek do poruszania się po mieście, ale Grossbartowie odmówili, a ich niezadowolenie tylko się zwiększyło, gdy przewodnik poinformował ich, że główny cmentarz znajduje się na wyspie, do której nie da się dotrzeć pieszo.

Krążąc wąskimi uliczkami, spędzili większość dnia na kupowaniu kolczug, tarcz, nowych butów, ubrań, toreb i tego, co tylko przyszło Grossbartom do głowy, kiedy stało się oczywiste, że Rodrigo zapłacił za wszystko, czego chcieli. Ich przewodnik wyznaczył granicę dopiero przy rzekomo arabskim wynalazku z żelaza i szkła, którego przeznaczenia nie potrafił odgadnąć nawet sprzedawca, a mimo to za rozstanie się z nim zażądał małej fortuny. Zrobili kilka przystanków w karczmach, i nim minęło południe, cała trójka była pijana. Rodrigo, potykając się, wyszedł na nabrzeże portowe, i tam po raz pierwszy

bracia ujrzeli morze.

– Żem myślał, że będzie większe – skłamał Hegel, który wyobrażał sobie zbiornik wodny nie większy od jeziora pod Bad Endorf.

– Rzecz jasna, stąd nie widzisz całego – wyjaśnił Manfred, omyłkowo biorąc wał chmur za przeciwległy brzeg. – Żeś gadał, że ta sadzawka za Dunajem nie jest taka wielka, jakieś myślał, a i tak żeśmy potrzebowali całej wieczności i jednego dnia na dokładkę, żeby ją okrążyć.

– Mój brat nienawidził morza – mruknął Rodrigo. – Mówił, że nie można mu ufać. Wygląda na to, że drogom także.

– Spadnij z wozu, to wstaniesz i pójdziesz dalej. – Hegel zachwiał się, patrząc w dół z nabrzeża. – Wypadnij z łodzi i już po tobie, śmierć ci jeno zostaje.

– Potraficie pływać? – zapytał Rodrigo.

– Nazywasz nas czarownikami? – Manfred wepchnął brodę w twarz Rodriga.

– Najlepiej, żeby każdy mężczyzna, który wchodzi na pokład, wiedział co robić, jeśli wypadnie za burtę. – Rodrigo wzdrygnął się od ohydneho oddechu Manfreda.

– Pływanie jest dla ryb, jak latanie dla ptaków – odparł Hegel.

– No tak, ale...

– Żadne ale. Próbujesz nas podstępem utopić? – Manfred zmrużył oczy w gasnącym świetle dnia, próbując dostrzec kłamstwo w oczach Rodriga.

– Chciałem wam tylko doradzić, jak każdy dobry chrześcijanin doradza drugiemu, to wszystko. – Rodrigo wyniośle się odsunął. – Na niewzruszoną moralność Marka, nie miałem na myśli żadnego podstępu!

– Marco to ten wół, co pilnował naszego Araba, kiedyśmy się pojawili, hm? – zapytał Hegel.

– Co? – zdziwił się Rodrigo. – Nie! Ach, tak, on też tak się nazywa, ale miałem na myśli innego Marka. Świętego, który strzeże naszego miasta.

– Ty żeś o nim słyszał? – zapytał brata Hegel.

– Rozumie się, że tak – skłamał Manfred.

– Spoczywa w bazylice, którą pokazałem wam wcześniej. – Rodrigo niezgrabnie wskazał kierunek, z którego przyszli.

– Z czym go pochowali? – Manfred spojrział we wskazaną stronę.

– Z niczym – odpowiedział szybko Rodrigo, wstrząśnięty słusznie odgadniętym tokiem rozumowania Manfreda. – Wracajmy do rezydencji.

Zjawili się po zmroku, a bijące dzwony kościelne przypomniały Grossbartom o ojcu Martynie. Już wcześniej uważali go za wyjątkowo nieheretyckiego księdza, a odkąd oddał im swoją część z tego, co może udać im się wyłudzić od Barousse'a, dodatkowo zyskał w ich oczach. Chwiejnym krokiem przeszli przez kuchnię, parząc palce, kiedy podkradali jedzenie prosto z rondli. Kucharka ich przegoniła, przez co niewiele brakowało, żeby Manfred ją uderzył.

Dotarłszy do przeciwległego korytarza, puścili Rodriga przodem, żeby otworzył drzwi do pokoju kapitana. Barousse stał przed ogniem, plecami do nich, kiedy siadali za stołem. Za nimi weszli służący i zastawili potężny blat parującymi półmiskami i misami. Dopiero kiedy służba wyszła i Rodrigo zamknął drzwi na rygiel, Barousse się do nich odwrócił.

Osadzone w pobrużdżonej twarzy oczy Alexiusa Barousse'a były jak dwa sine kratery, ale w ich głębi czaił się nie smutek, lecz chciwy błysk, odpowiadający błyskowi w oczach Grossbartów. Kapitan zachęcił ich, by jedli i pili, do czego zabrali się z zapalem, aż w głowach im się zakręciło i brzuchy im się wzdęły. Rodrigo przysnął w krześle, ale wytrzeźwiał kiedy kapitan w końcu się do nich zwrócił.

– Posłałem rozkaz, żeby wzięli się za naprawy na mojej pannie i wyprowadzili ją z suchego doku, kiedy Rodrigo was ekwipował. Teraz musimy tylko poczekać, aż będzie gotowa i zeglujemy na południe. – Kapitan uniósł kielich. – Odbierzemy to, co utraciliśmy i zyskamy to, co nigdy nasze nie było!

W innych okolicznościach Rodrigo zareagowałby bardziej rzeczowo niż parszkając winem przez nos.

– Cieszę się, że zmienił pan zdanie. – Manfred podniósł kielich, a upojenie alkoholowe przekreśliło wszelkie zaskoczenie, które mógłby poczuć w innych okolicznościach.

– Rozsądne – wybełkotał Hegel, unosząc butelkę.

– Co? – wykaszlał Rodrigo.

– Zbyt długo siedziałem, nurzając się w pływach, które napełniają mi buty, ale nie poruszają mojej duszy. – Barousse wstał i ruszył sztywnym krokiem wzdłuż stołu, grożąc palcem zgromadzonym. – Tchórzostwo prześladowało mnie i moją rodzinę.

– Co to znaczy? – Hegel kopnął brata, który wzruszył ramionami i powtórzył

pytanie do kapitana.

– Odeszli! – zagrział Barousse. – Zabrani przez Trytona, Boga czy inną mroczną rzecz, która zażądała wysokiej ceny za mój grzech! Przepadli! Połknięci, tak jak połykane jest wszystko, od łodzi począwszy, po człowieka i górę. Już po nich!

– Zostawcie go w spokoju – syknął Rodrigo, i wtedy wściekły kapitan chlusnął mu winem w twarz.

– Będą mówić, a ja będę odpowiadał! Sekrety są dla złodziei i umarłych, a my nie jesteśmy żadnymi z nich!

– Co racja, to racja. – Manfred podał kapitanowi świeżą butelkę.

– Przez ponad dekadę kuliłem się ze strachu jak tchórz, tysiące nocy rzucając się z powodu koszmarów, tysiące dni błagając o przebaczenie, wszystko na próżno, na próżno! Wiedziałem, kiedy ją odesłałem, wiedziałem tamtej pierwszej nocy, że moja niedola nie skończy się dzięki temu wybiegowi! Kiedy człowiek spędzi całe życie na jej grzbiecie, nie może oczekiwać, że potem zejdzie z niego jak gdyby nigdy nic. Wpierw zapłaci za to wysoką cenę!

Grossbartowie uwielbiali krzyki, więc Hegel gruchnął w odpowiedzi:

– Jak i dlaczego?!

– Moi synowie! Zabrani z łódki, którą odpłynęli raptem parę mil od lądu! Dzień wędkowania poczerniał od żałoby ich matki i poczerwieniał od ich krwi! Fala znikąd, wir na spokojnych wodach!

– A razem z nimi mój ojciec – mruknął Rodrigo, ale nikt się tym nie przejął.

– A pańska żona?! – ryknął Manfred.

– Wyślizgnęła się z gondoli na lagunie, gdzie złapały ją morskie winorośle i wciągnęły w głębiny! Tak mówią, tak mówią! Żadne ciała nie wróciły, by oddać im ostatnią posługę. Żadnemu nie oszczędzono wiecznego wpadania na siebie wzajem i na milion innych potępionych w tym najzimniejszym piekle pod powierzchnią!

– Z wyjątkiem pana! – wykrzyknął Hegel.

– Ku mojej hańbie! Patrzeć, jak moja fortuna się kurczy, imię jest szargane, a statek zżerany przez mursz, czuć, jak moje stalowe nerwy miękną! I wszystko dla piosenki! Gdybym potrafił naprawić swój błąd, gdybym potrafił ją odesłać! Ale zrobię to! Teraz to zrobię, Grossbartowie!

– Kogo? – spytał Manfred, ale podejrzenie odebrało siłę jego okrzykowi.



– Niksę! Syrenę! Którą złapałem! Którą odesłałem, ale już po tym, jak nas wszystkich przekląła! I którą sprowadziłem z powrotem! Która zabrała Luchese’a i Umberto, i najdroższą Mathilde, kochającą mnie nawet po tym, jak sprowadziłem do domu tego sukuba! Tę, która zabrała Italo, a dziesięć lat później jego syna, a twojego brata, mojego syna chrzestnego! Ennio, biedny, uczciwy Ennio!

– No to chodźmy! – Hegel zerwał się, przewracając krzesło. – Potraktujmy ją ostrzem!

– Nigdy! – W ręce kapitana pojawił się kordelas i przeciął powietrze przed nosem Hegla. – Prędeż poderżnę gardło tobie albo sobie! Dość już popsulem! Żaden mur nie zdusi jej głosu, nie uciszy jej żaden kamień, drzewo ani przybrzeżny łoskot fal! Płynąc ponad szczytami, prześladował mnie w snach, a zanim ją odesłałem, własnymi rękami odciąłem jej język, tymi palcami. I wszystko na nic! Żadnych blizn, żadnej skazy, tylko gruby, czerwony język! Nawet czas się jej boi i nie śmie jej tknąć! Gdyby tylko... – Barousse opadł na krzesło, kordelas z brzękiem upadł na podłogę, a twarz skryła się w dłoniach.

– Mamy doświadczenie z czarownicami – mruknął po chwili Manfred.

– Mając na uwadze najwyższe dobro twojej bogdanki, ehm, poddanki – przytaknął Hegel.

– Ekhm – wykrztusił Rodrigo, kiedy wszystkie plotki, jakie krążyły po domu potwierdziły się w burzy wrzasków.

W ciągu lat służby u kapitana przywykł do najdziwniejszych zmian nastrojów i napadów złości, ale nigdy nie widział, żeby komukolwiek, nawet jemu samemu, Barousse zaufał tak bezgranicznie. Być może staruszkowi w końcu całkiem odbiło, pomyślał, brzemień powrotu kobiety okazało się zbyt wielkie dla jego poranionej duszy.

– Zostawcie mnie – mruknął Barousse przez splecione palce i tym razem Grossbartowie wyszli, nie mając ostatniego słowa.

## XIX

# JAK POCZĄTEK, TAK I KONIEC ZIMY JEST TRUDNY DO USTALENIA NA POŁUDNIU



**A**l-Gassur otrzymywał wypłaty o czasie. Psi grosz stosownie uzupełniano jedzeniem przyniesionym mu z domu, i ptakami, które złapał w ogrodzie. Koło fortuny przywiodło go na podwórzec jednej z nielicznych weneckich posiadłości, która mogła się przechwalać tym, że nawet małej części ziemi pozwolono tu dziko zarosnąć. A co lepsze, w te rzadkie dni, kiedy bracia opuszczali rezydencję, by grossbartować po mieście, mógł się wymknąć i uczciwie przepracować dzień, żebrząc, nie martwiąc się, że nie będzie go, gdy bracia zaczną go szukać. Przekonany, że pracodawcy nie zauważą niespójności, co pewien czas odbandażowywał jedną nogę i zawijał drugą, żeby uniknąć atrofii tkanek z powodu unieruchomienia i nie stracić kończyny naprawdę. Weteran bliżej nieokreślonej kruczaty wzbudzał w ludziach większą hojność niż zwykły Arab, którego przywiodła do miasta opatrność i jego dwie własne nogi.

Jako frant z natury i z zawodu Al-Gassur w końcu podsłuchał dość przez kuchenne okna i z rozmów strażników, żeby ustalić cel Grossbartów. Lata zgniętego jedzenia, alkoholizmu i życia na ulicy nie stępiły jego sprytu, lecz tylko go wyostrzyły. Doskonale zdawał sobie sprawę, że taka okazja trafia się człowiekowi tylko raz w życiu. Wiedząc, że jego podstęp w końcu się wyda, próbował poskromić zapominalski język, na próżno przetrząsając ulice w poszukiwaniu innego Araba, który nauczyłby go tego, co wszyscy zakładali, że Al-Gassur już zna.

Pewnego przypiekanego słońcem śródziemnomorskiego poranka, kilka miesięcy po przybyciu do Wenecji, Grossbartowie znowu znaleźli się

w zaniebanych ogrodach. Spacerując, dostrzegli Al-Gassura, który przysiadł na konarze lipy Cwaniak przesunął się ostrożnie po wysokiej gałęzi, która wyciągała się nad murem ogrodu, i siedział teraz przy jej końcu, konwersując z kimś, kto najpewniej znajdował się po drugiej stronie muru. Cicho jak koty Grossbartowie podkradli się pod niego, żeby go podsłuchać. Kiedy jednak usłyszeli niezrozumiały język Italii, wystarczyło im jedno spojrzenie, by zdecydować, w jaki sposób zajmą się tą sytuacją. Hegel opadł na kolano, a Manfred wybił się z jego ramienia. Złapał Araba za zdrową nogę i obaj runęli na ziemię.

Słyszając pośpiesznie oddalające się kroki na bruku po drugiej stronie muru, utwierdzili się w przekonaniu o dwulicowej naturze ich sługi. Manfred przytrzymał oniemiałego kalekę, a Hegel wyciągnął nóż.

– Czas, żebyś oczyścił duszę – powiedział Hegel, pokazując Al-Gassurowi jego własną przerażoną twarz odbijającą się w ostrzu.

– Proszę! Co?! Nie, nie, nie! Pozwólcie mi wyjaśnić!

– Wyjaśnij, zdrajco – powiedział Manfred, wzmacniając uścisk na przyciśniętych do ciała rękach Araba.

– Zdrajca? Nigdy! – Al-Gassur nie szarpał się, a panika zniknęła z jego twarzy, gdy ujrzał własne odbicie.

– Jak sobie zasłużysz, to załatwimy cię szybko – odparł Manfred. – Żeś gadał swoim barbarzyńskim krewniakom o naszych planach, co?

– Dając im czas, żeby przygotowali się na nasze przybycie. – Hegel zacmokał z niesmakiem. – I to po tym wszystkim, cośmy dla ciebie zrobili. Wstyd.

– Prędzej bym odciął sobie język i nakarmił nim Rodriga, niżbym znieśliwił moich dobroczyńców! – odpowiedział Al-Gassur. – Ja tylko próbowałem się dowiedzieć, dla naszej obopólnej korzyści, dlaczegóż to wam dwóm, i co za tym idzie, mnie samemu, zabroniono opuszczać teren posiadłości w ostatnich tygodniach.

– Zabroniono? – Hegel wybuchł śmiechem. – Niczego nam nie zabroniono!

– Czekał, czekał – powiedział Manfred, przypominając sobie, jak przez cały ostatni miesiąc ich uwagę rozpraszano alkoholem i odwracano kąpielami, za każdym razem, kiedy zamierzali wyjść.

– Na co czekać? – zapytał Hegel w ich prywatnym języku. – Gadał w obcym języku!

– Co racja, to racja – odpowiedział w tej samej mowie Manfred. – Ale dla mnie to brzmiało jak normalny włoski, a nie jak arabski bełkot. Znaczy, że może teraz nie kręci, a w każdym razie, nie do końca. Wysłuchajmy go, a jak skinę głową, to go wypatroszysz.

– Uczciwy układ – zgodził się Hegel, wracając do powszechnie znanego języka. – Gadaj nam szybko i szczerze, z kim rozmawiałeś, i nie szczędź nam żadnych szczegółów, jeśli chcesz, żebyśmy cię oszczędzili.

– I jeszcze ze wszystkimi detalami mów, co robiłeś, odkąd żeśmy się pojawili i umieścili twoją zasraną niewierną dupę w tym domu – dorzucił Manfred.

– Tak! Proszę! Natychmiast! Szczerze i bez wahania! – Al-Gassur mógłby tak paplać dłuższą chwilę, gdyby Hegel nie pogroził mu nożem. – Wobec tego zaczynam od początku. A jeśli mogę zasugerować, gdybyście zechcieli skalać swe szlachetnie zalesione usta butelczyną, którą splamiły już moje własne zniszczone usta, to z radością podzieliłbym się także tym niegodnym trunkiem, kiedy już będę dzielił się z wami opowieścią.

– Hę? – spytał Hegel.

– O ile pan Manfred uzna za stosowne wypuścić mnie, chciałbym się podzielić moją butelką wina – wyjaśnił Al-Gassur.

– Widzisz, nasze towarzystwo z każdą chwilą czyni cię uczciwszym człowiekiem – stwierdził Manfred, ściskając Araba po raz ostatni i wreszcie go puszczając.

Widząc, że butelka w torbie się nie stłukła, Al-Gassur wyłowił ją i upił łyk, zanim podał ją braciom.

– Chociaż przez większość mojego pobytu w Wenecji rynsztok był mi domem i pracodawcą, od czasu do czasu zniżałem się do udziału w bardziej, powiedzmy to, uczciwych przedsięwzięciach. Pewien szczególnie szlachetny i rycerski młodzieniec arystokratycznego pochodzenia wypatrzył mnie raz w tłumie i dostrzegł, że posiadam wszelkie łaski, niezbędne, by stać się idealnym służącym. Tak zacząłem służbę w jednym z najszacowniejszych domów tego szlachetnego miasta.

Al-Gassur mówił coś na kształt prawdy, ponieważ rzeczony młody człowiek rzeczywiście uznał, że Arab posiada stosowne łaski, lecz sprowadzały się one do tego, że swoim wyglądem i postawą budził głęboką niechęć w ojcu młodzieńca. Chociaż Al-Gassura nigdy nie przyłapano na defraudowaniu cukru

i pieprzu swojego chlebodawcy, kiedy chłopak zginął tragiczną śmiercią w pojedynku z równie płytkim jak on fircykiem, jeszcze tego samego popołudnia Al-Gassur został zwolniony.

– Po tym, jak zrobiłem dla niego wszystko, co mogłem, dla mojego pierwszego dobroczyńcy i, śmiem rzec, przyjaciela – kontynuował Al-Gassur – znalazłem nową motywację, by się rozwijać. Jesteśmy świadomi, że każde warte zachodu miasto, tak jak każdy wart zachodu pudding, ma na samym wierzchu grubą warstwę tłuszczu, nieprawdaż?

Hegel skinął głową, podczas gdy Manfred na próżno próbował wymyślić, w jaki sposób zastosować tę analogię do cmentarzy, by nie raziło to jego wybitnej wrażliwości.

– Znalazłem więc zatrudnienie u naszego wspólnego i nieodżałowanego przyjaciela i powiernika, Ennia, w tym właśnie domu – powiedział Al-Gassur, pomijając szczegół, że Ennio zatrudnił go przede wszystkim po to, żeby zirytować brata, Rodriga; ów trend, raz ustalony przez jego pierwszego pana, służył Al-Gassurowi przez resztę jego pragmatycznego życia. – Stąd znam stodółkę, jako że drugi raz znalazłem zatrudnienie w domu Barousse’a. Kwestia ciasta, które zniknęło z kuchennego parapetu, zakończyła moje poprzednie zatrudnienie mimo oczywistego, rażącego i niezbitego dowodu, że to strażnicy mnie wrobili. Nestore, niech go Bóg błogosławi i zachowa w zdrowiu, znalazł mi pracę, którą mogę teraz wykonywać, kiedy tylko nie służę aktywnie wam.

Nestore, mąż kucharki i dostawca wiktuałów, od razu polubił Al-Gassura – ich wspólną niechęć do uczciwej pracy przewyższała jedynie miłość do nadużywania alkoholu. Tylko Ennio i Nestore stanęli po stronie Al-Gassura, kiedy złapano go na pałaszowaniu ciasta, które było przeznaczone na stół Barousse’a. Pierwszą noc ponownie spędzoną przez Araba w stodole uczcili z Nestorem doskonałym *Schnapsem*, który Al-Gassur podkradł z beczułki Hegla w czasie burzliwej dyskusji z Rodrigiem, jaka się odbyła, zanim wpuszczono ich na teren posiadłości. Napitek wzbogacono serem, kiełbasą i – rzecz jasna – ciastem Nestore’a.

– Fascynujące. – Manfred ziewnął. – Chociaż niczego tak nie pragnę, jak wysłuchać całej jebanej historii twojego życia, od momentu, kiedy żeś wypęzł z pustynnego łona, aż po chwilę obecną, ze szczegółowym opisem każdego razu, jak stawiałeś klocka. Czas się liczy, gdy w grę wchodzi ratowanie życia.

– Ratowanie życia? – Al-Gassur się zdumiał.

– Twojego – powiedział Hegel. – Powiesz, z kim żeś rozmawiał, albo oberwiesz, ty gadatliwy śmieciu.

– Naturalnie, oczywiście, w tej samej chwili! Moja korzystna pozycja w społeczeństwie pozwala mi wychwycić przypadkową plotkę, sporadyczny szept, a szambiarz, któremu chętnie dotrzymuję towarzystwa, często zbiera plotki razem z fekaliami zrzucanymi potem do kanałów. Konsekwencje naszej długotrwałej przyjaźni są takie, że on zatrzymuje się czasem pod murem naszego szanownego gospodarza, kiedy widzi kamień balansujący na występie, jak to było dzisiaj. Wiedziałem, jak każdy mający rozum człowiek w tym mieście, że doża żywi głęboką pogardę dla kapitana Barousse’a, chociaż można jedynie domniemywać, co jest dokładną przyczyną tego stanu rzeczy, i dlatego pomyślałem, żeby wypytać przyjaciela o pewne szczegóły, szczegóły, które mogłyby wyjaśnić, dlaczego Barousse uznał, że musi trzymać swoich ukochanych Grossbartów bezpiecznie za murami.

– Dobra – powiedział Manfred – wreszcie, do kurwy nędzy, dochodzimy do jakichś konkretów. Żeś zadawał się z tym, który wozi gówno, co właściwie ma sens, jeśli wziąć pod uwagę twoją zasraną naturę. Mogłeś to powiedzieć jednym słowem.

– Bracie – odezwał się Hegel – nie ma powodu krytykować szambiarzy. Nie wydostalibyśmy się z Bukaresztu bez tego porządnego człeka, który dał nam się schować na swoim wozie.

– Dzięki, żeś mi przypomniał o jeszcze jednym z twoich diabelnych planów – powiedział Manfred. – Pogrzebanie żywcem w czarcim gównie nie jest tak do końca moim najmilszym wspomnieniem i możliwe, że to nie było jedyne wyjście z tamtej sytuacji. A teraz wstrzymaj się na chwilę z reminiscencjami, żebyśmy się przekonali, czy trza się brać do zabijania Araba.

Ponieważ bracia nie przeszli na prywatny dialekt, Al-Gassur nie tracił czasu, tylko od razu przedstawił resztę zdobytych informacji.

– Według mojego przyjaciela, najbardziej bezpośrednie przyczyny rzucanych oszczerstw są następujące: pewien kupiec o pewnej reputacji ukrywa pewnych poszukiwanych zbójców, którzy podobno splądrowali pewne miasteczko na północy. To samo miasteczko, z którego pochodzi pewna kochanka pewnego wysoko postawionego oficjała. Pewne jest również to, że w wynikłym z tego

pożarze zginęli jej rodzice. Gorzej, że wkrótce potem jej jedyne go brata i kilku jego przyjaciół znaleziono zamordowanych. Ciała były w rzece.

Opowieść, którą przekazał szambiarz, zgadzała się z faktem, że kilka dni wcześniej emisariusz doży odwiedził Barousse'a tylko po to, żeby zaraz potem opuścić dom, z czerwoną twarzą i przekleństwem na ustach. Kolejne potwierdzenie nadeszło natychmiast ze strony Grossbartów, którzy uśmiechnęli się do siebie szeroko.

– Nazwał nas pewnymi zbójcami, tak? – powiedział Manfred. – Jutro położysz kamień na murze dla swojego przyjaciela, a potem ja i mój brat postaramy się wpoić jego pewnej dupie, że należy porządnie się wysławiać, a nie używać takiej oszczerczej terminologii.

– To nie jego słowa, zapewniam. To słowa plotki! – powiedział Al-Gassur. – Powiedział także, że ujawniono nowy aspekt w sprawie, a mianowicie, że oskarżeni zbójcy są tak naprawdę przywódcami pewnej heretyckiej sekty, która nazywa siebie Przydrożnymi Papieżami, i że ci bluźnierczy bandyci przelali wiele krwi i ukradli wiele złota, które w przeciwnym razie mogłoby trafić do Wenecji, a następnie dokonali tej ostatniej, haniebnej i w żaden sposób nieudowodnionej zbrodni podpalenia i morderstwa.

Plotce tej zaraz zadano kłam, a owo zaprzeczenie przybrało dla Al-Gassura formę solidnego lania w wykonaniu braci, którzy więcej niż z radością obwinili posłańca za złe wieści.

– Żeśmy oszczędzili ci życie za to, żeś był szczery – orzekł Manfred, po tym jak trzepnął zawodzącego Araba w ucho. – Twoja skóra to co innego. Żeby tak powtarzać te kłamstwa, jakbyśmy to my byli jebanymi papieżami!

– Spokojnie – powiedział Hegel i odskoczył, zamiast wymierzyć planowanego kopniaka w leżącego plackiem sługę. – Właśnie przeszły mnie te moje ciarki.

– Ktoś robi zamieszanie od frontu – powiedział Manfred, nadstawiając całe ucho. – Ustawiliśmy cię teraz do pionu tak, że mógłbyś robić za mur i pilnuj się, Arabie, żeby to się nie zmieniło.

Zadyszany ojciec Martyn kłócił się przez bramę ze strażnikami, dopóki Rodrigo i Grossbartowie nie zjawili się jednocześnie i go nie wpuścili. Wprowadzili zdenerwowanego duchownego do domu na kilka chwil przed nadejściem gwardzistów doży. Strażnicy Barousse'a równie opryskliwie

potraktowali pikinierów, którzy w końcu odeszli, rzuciwszy na odchodnym garścią przekleństw i oświadczeń, głównie na użytek sąsiadów. Dla spostrzegawczego Al-Gassura – przemknął się chyłkiem do stodoły, żeby obserwować sytuację – kłopoty gromadziły się nad domostwem Barousse'a jak rój much nad szambiarzem.

– Heretycy – wydyszał Martyn, kiedy siadał przy stole Barousse'a.

Kapitan – ostatnio wiecznie rozkojarzony – bezmyślnie bawił się ością, ale Grossbartowie zainteresowali się powrotem Martyna, jego posiniaczoną twarzą i mglistymi oświadczeniami dotyczącymi bluźnierców nieokreślonego jeszcze sortu.

– Nie gadasz znowu o nas – oznajmił mu Manfred.

– Czy może jednak? – ostro zapytał Hegel.

– Co? – Martyn potarł opuchnięte policzki. – Nie, nie, nie. Na Boga, nie. Mam na myśli Kościół.

– Tak lepiej. – Hegel rozsiadł się wygodnie w krześle.

– Który kościół? – Tylko Rodrigo robił wrażenie zaniepokojonego tymi słowami.

– Kościół w ogóle. – Martyn napił się jeszcze wina. – Jedyne Kościół. Odkryłem toczącego go robaka zepsucia, ale sam go nie wyegzorcyzmuję. Jak długo? Jak długo! Z pewnością dłużej od Formozusa, choć boję się, że to potrwa dłużej, niż czas poświęcony przez mój zakon na walkę z herezją, z pewnością, z pewnością. Kto pozostał nietknięty? Tomasz z Akwinu? Augustyn?

– Nie księży cię ścigali, tylko gwardziści. Dlaczego? – Rodrigo ciągnął Martyna za język z subtelnością krzepkiego matoła.

– Ogary to, nic więcej! – Ksiądz golnął sobie na wspomnienie o gwardzistach. – Już wcześniej znosiłem ich szyderstwa, w imię Boga i człowieka, ale dość tego! Roquetaillade miał rację, gnije w więzieniu za mówienie prawdy! Nadchodzą Czasy Ostateczne!

– Uspokój się – powiedział Rodrigo.

– Przestań pleść trzy po trzy! – oburzył się Martyn. – Już nic nie da się zrobić! Antychryst kroczy między nami, panowie, oddycha, prześladowuje i szerzy zniszczenie! Proroctwo, które oni nazywają herezją! Musieli wiedzieć, ale obawiali się zrobić z niego męczennika, na wypadek gdyby i on zmartwychwstał. Święty Roquetaillade!



Widząc pomieszanie brata, Manfred wyjaśnił:

– Żeby zostać świętym trza umrzeć paskudną śmiercią. Kapujesz?

– Występnie to sprytne. – Hegel pokiwał głową. – Nie myślałem, że duchowieństwo potrafi działać tak pokrętnie.

– Otóż to – powiedział Martyn, a nieprzełknięte wino ulało mu się z ust. – Zawsze, zawsze! Zaproponowałem, że sprowadzę was przed ich oblicze, byście potwierdzili moją opowieść, ale nawet nie chcieli słuchać! Oskarżyli mnie o ukrywanie demona! Mnie! A tymczasem Czarna Śmierć nie powróciła ani wiosną, ani latem do żadnego zakątka tego kontynentu! Żadnego! Rozgromiliśmy ją, przegoniliśmy z ziemi, a jednak to nas uznano za nikczemnych, nas uznano za winnych bluźnierstwa! My, którzy związaliśmy nasz los z biednymi i lęklivymi, my, którzy cierpimy razem z chłopem i krową, znosząc zimy bez rzepy i lata bez pszenicy!

Manfried się nachmurzył.

– Jako że na razie żaden z nas nie jest królem, twój wielokrotny wybór frazy „my, my, my” wydał mi się cokolwiek intrygujący.

– Nie pozwolili mi się z nim zobaczyć! Myślałem, że te chore jak w Gomorze związki z naszą Matką Kościołem przyśpieszą mój natychmiastowy wyjazd, ale niestety, oni znowu są blisko jak bracia! Zamierzałem zostać tylko jedną noc, zanim kolejne tygodnie spędzę w podróży, a wszystko po to, żeby siedzieć cierpliwie miesiącami i czekać na audiencję w Awinionie, podczas gdy hordy gromadzą się u naszych bram, starodawny Wąż wiecznie obecny, nasz drugi upadek! – Pijacki potok słów popłynął wartko, a potem się uspokoił. – Nie opuściłem miasta, odkąd was zostawiłem, Grossbartowie, miesiące minęły, a ja tu przebywałem, więziony i torturowany jak ostatni katar, który ma zwiędnąć i zgasnąć! To samo uczynili tym nielicznym albigensom, którzy przetrwali, wiecie, nie dali im umrzeć szybką śmiercią! Posłali po inkwizytora, żeby postawił mnie przed Świętym Oficjum, słyszałem ich! Uciekłem w ostatniej chwili, zgodnie z Jego Wolą! Dotarłem z powrotem do was mimo pościgu! Z Jego Woli.

– Co on gada? – zapytał Hegla brat.

– Najwyraźniej wpakował nasze dobre imię w jakieś świeże szambo. – Manfred wstał. – Do diabła, co z tobą nie tak?!

– Jesteście zabójcami demonów, czyż nie? A któryż diabeł lepszy jak

Arcydiabeł, nasz wróg najgorszy?! Oczywiście, że wspomniałem nazwisko Grossbartów! Chociaż teraz wydajecie się tacy pokorni, znam waszą wielkość i byłoby niedbalstwem nie wciągnąć was do mojej kompanii, plasującej się jak wy sami gdzieś pomiędzy laikatem i duchowieństwem. Nawet święty Roquetaillade i święty Roch truchleją przed waszą świętością! Miałem sny, Grossbartowie, i w nich On przykazał mi zrobić to co słuszne! Myślałem, że to znaczy, że mam poinformować Jego rzekomą Świątobliwość o próbach, które przeszliśmy, ale to mnie zgubiło! Nie zostałem nawet wygnany, tylko uwięziono mnie z jego rozkazów. Na jego rozkaz inkwizytor miał wydusić ze mnie prawdę jak z jakiegoś krnąbrnego Judasza!

– Wszystko mieszasz, ty pijany sukinsynu. – Manfred pokręcił głową, porzucając próby rozszyfrowania bredni Martyna.

– A tam, gadaj dalej – uparł się Hegel. – Cokolwiek on gada, mnie to brzmi dobrze. Sam zawsze gadasz, jakie te księży, opaty i cała reszta są zepsute, i teraz masz dowód!

– On sam był wystarczającym dowodem, zanim jeszcze zaczął bełkotać. – Manfred zniżył głos. – Żeś widział, jak na nią patrzył.

– Jak patrzył na kogo? – Kapitan nieoczekiwanie włączył się do dyskusji.

– Mam swoje słabości! – wykrzyknął Martyn; upokorzenie wynikające z mówienia o nim, jakby go przy tym nie było, okazało się nie do zniesienia po miesiącach podobnego traktowania. – A jednak przeszedłem każdą próbę, każdą! Och, Elise, biedna, biedna Elise, próbowałem, tak bardzo się starałem, ale byłem słaby! Jednak ani jednej kobiety nie dotknąłem w grzeszny sposób, odkąd tak dawno temu włożyłem habit! W tych czasach upadku to się nie liczy, bo wszyscy, co powinni odejść, odeszli, a wszyscy, co zostali aż do Końca, to ci, którzy są podwójnie potępieni, podwójnie upadli! A ja nadal unikam pokusy, nadal i nieustannie! – Wypił ostatni łyk i, jęcząc, padł twarzą na stół.

– Psiamać – powiedział Rodrigo po krótkiej chwili ciszy.

– Jak nie gorzej – orzekł Manfred.

– To co on właściwie gada? – spytał Hegel.

– Słyszał żeś tak samo jak my. – Manfred dolał sobie wina.

– No tak, ale co miał na myśli? – dopytywał się Hegel.

– Miał na myśli to, że grożą nam poważniejsze kłopoty niż tylko z powodu ukrywania was dwóch. – Rodrigo westchnął. – Chyba że go wydamy.

– Komu? – zapytał Hegel.

– Kościołowi, gwardii doży, komukolwiek. Jest poszukiwany tak samo jak wy dwaj.

– A za co my są poszukiwani? – Manfred ożywił się na myśl, że Arab okazał się uczciwy.

– Morderstwo, podpalenie i parę innych mniej przyjemnych zbrodni. Nie myślcie, że prosiliśmy, byście zostali na terenie posiadłości przez ostatni miesiąc przez wzgląd na uroki waszego towarzystwa. – Rodrigo zerkał na Barousse'a, oczekując wsparcia, ale kapitan gapił się na ścianę z nieobecną miną.

– Żem się nad tym zastanawiał. – Hegel wziął butelkę, którą podsunął mu brat. – Ale bez obawy, gdybyśmy planowali więcej zakupów albo hulanek, to byśmy odfrunęli jak gęsi na zimę i wrócili, kiedy i jeśli byśmy zechcieli. Ale jak to zakończymy? Nie oddamy go heretykom.

– Żeby nie było nieporozumień, to, mówiąc „heretycy”, macie na myśli Kościół? – zapytał Rodrigo.

– A pewnie. Tych, co myślą, że strojenie się i noszenie cennych błyskotek, to nieodłączna część ich pobożności. No wiesz, heretycy – wyjaśnił Hegel.

– Wszystkich by nas spalono, gdyby dowiedziano się o waszych odczuciach – syknął Rodrigo.

– Zważaj sobie, chłopaczk. – Manfred beknął. – Ten ksiądz to najlepszy człowiek, jakiego w życiu spotkaliśmy, i o ile nie zmusi nas do zmiany zdania, każdy, kto oskarża go o herezję, pracuje dla samego Kusego.

– Już po nas! – Rodrigo zerwał się, zrzucając nogi Hegla ze stołu i rozlewając wino na drzemiącego Martyna. – I bez tego trudno odmawiać wydania was, a jego obecność uczyni to niemożliwym! W tej właśnie chwili oni szykują się do ataku, a jeżeli nie do ataku, to do oblężenia! Wezwano inkwizytora, a my przetrzymujemy powód jego wezwania! Jesteśmy martwi i potępieni!

– Siadaj – powiedział zmęczonym głosem Barousse. – Te twoje piski narąbanej myszy kościelnej zdadzą się na nic. Jak chcesz odciąć cumy i pożeglować dalej sam, to nie zatrzymuję.

Rozdygotany Rodrigo nie usiadł, ale też nie wyszedł ani nie przerwał kapitanowi.

– Grossbartowie ręczą za niego, i to nam wystarczy – kontynuował

Barousse. – Poza tym, Kościoła nie trzeba się bać. Prawdziwi Wenecjanie nigdy nie stchórzą przed papieżem. Straszyli nas ekskomuniką, kiedy twój ojciec i ja handlowaliśmy z Saracenami wiele lat temu. To nigdy nie powstrzymało ani jego, ani mnie.

– Tyle że nigdy was nie przyłapano – mruknął Rodrigo.

– A kto mówi, że teraz nas przyłapią? – zapytał ostro Barousse. – Mogą nas podejrzewać, ile wlezie, ale nikomu z nas nic nie zrobią, dopóki nie będą pewni. A nie zyskają pewności, dopóki nie wyważą bramy. Już późno, więc najwcześniej zjawią się jutro rano.

– Właśnie! – Rodrigo znowu zaczął się trząść. – Nie możemy ze wszystkimi walczyć, a statkowi daleko jeszcze do wypłynięcia!

– Ojciec powinien był cię nazwać Tommaso! – Barousse wstał, trzęsąc się jeszcze bardziej niż Rodrigo. – Nie ufasz już swojemu kapitanowi? Wiecznie we mnie wątpisz? Myślisz, że już tak zmiękłem, siedząc na tyłku, że pozwolę, by jakiś pikinier albo prałat poderznął mi gardło? Myślisz, że wydam lojalnych ludzi, zamiast stanąć do walki?

– Kapitanie, ja... – Rodrigo spuścił wzrok.

– Wynocha, Grossbartowie! I zabierzcie księdza! – krzyknął Barousse, ale kiedy dotarli do drzwi, dodał: – Przyjdźcie do mojego pokoju około nieszporów, uzbrojeni, to popracujemy nad naszym fortem. A na razie mam tu bunt do zdławienia. – Odwrócił się do Rodriga, ale ku wielkiej uldze młodzieńca furia kapitana zniknęła, pozostawiając po sobie tylko szelmowski uśmiech.

Grossbartowie z łatwością mogli wynieść Martyna, ale zamiast tego złapali go za ręce i pozwolili, żeby nogi wlekły mu się po ziemi – tym łatwiej mogli przewracać przy okazji parę stolików. Pienił się i jęczał przez całą drogę w górę schodów. Z braku trzeciego otwartego pokoju, do którego mogliby go wrzucić, cisnęli go na podłogę w sypialni Hegla. Wrzeszczeli tak długo, aż zjawiła się Marguerite, a wtedy zatrudnili ją do pomocy w przeniesieniu łóżka Hegla do pokoju Manfrieda, by nie dzielić sypialni z Martynem. Żeby wykonać to zadanie, trzeba było uszkodzić ramę, wyrwać dno i zawołać czterech imponujących najemników Barousse'a.

Człapiąc ciężko ciemnym tunelem pod domem, żeby wypełnić rozkazy kapitana, Rodrigo ponownie powrócił myślami do zmarłego brata. Wskutek szaleństwa, jakie Grossbartowie wnieśli do jego życia, miał niewiele czasu, by

zastanowić się nad własnymi interesami, a nie Barousse'a. Kiedy jednak doszło do kolejnego katastrofalnego zwrotu, ponownie zastanowił się nad tym, jaki wpływ mogli mieć bracia Grossbart na śmierć jego ostatniego żywego krewnego i czy zdołaliby temu zapobiec, gdyby towarzyszył Enniowi, zamiast zostać w domu. Postanowił odwiedzić kaplicę, kiedy tylko będzie miał za sobą tę sprawę, i pojedyncza łza spłynęła mu po policzku. Gdyby wiedział, jaki chaos nadciąga, zapłakałby bardziej.

Dokładnie nad Rodrigiem, Al-Gassur szpiegował rzemieślników pracujących w ogrodzie. Od kilku tygodni zjawiali się o świcie i wychodzili o zmierzchu, wyrabując owocowe drzewa, heblując i związując je razem w jakąś machinę. Sądząc po masywnym głazie, który przywlekli i przymocowali na jednym końcu ustrojstwa, niemal zakończyli jego budowę i teraz poklepywali się po plecach po udanej próbie podciągnięcia głazu i ponownego upuszczenia. Co dziwniejsze, pojawił się sam kapitan, kucharka wyniosła jedzenie i napoje, a jej mąż Nestore przyniósł lampy oliwne w oczywistym zamiarze przekonania ludzi, by pracowali przez całą noc. Gdyby Al-Gassur rzeczywiście widział walkę, w której – jak twierdził – stracił nogę, może by rozpoznał to urządzenie.

Zostawiwszy Martyna, by doszedł do siebie, Grossbartowie udali się do sypialni kapitana po raz pierwszy w ciągu wielu miesięcy spędzonych pod jego dachem. Znajdowała się po drugiej stronie foyer w stosunku do ich pokoiów – całe przeciwległe skrzydło stanowiło jedną sypialnię. Kiedy zapukali do drzwi, nie otrzymali żadnej odpowiedzi, ale kapitan nagle pojawił się za nimi na schodach. Głowę trzymał wysoko, a jego połamane zęby rozbłysły w świetle zachodzącego słońca sączącego się przez okna. Otworzył mosiężne drzwi i skinął ręką, by wchodzili.

Znaleźli się w zamknięciu – grube, żelazne pręty ciągnęły się od podłogi do sufitu, tworząc wokół drzwi szeroką klatkę. Barousse zamknął na zamek drzwi za sobą, wyjął drugi klucz i dopiero wtedy otworzył klatkę. Jego pokój przyćmiewał większość budynków, w których bracia kiedykolwiek się znaleźli. Po prawej stronie ciągnęła się od jednego końca pokoju do drugiego osadzona w podłodze wanna. Przechodząc nad płytkim rowkiem, który prowadził z wanny do przeciwległej ściany, zauważyli potężne łóżce, stół i ozdobne szaty rozrzucone wszędzie poza wanną. Obaj rozpoznali błysk rozsypanych monet pod ubraniami na podłodze. Nawet morski zapach z wanny dodawał pokojowi

majestatu.

- Nigdy dość ostrożności – wyjaśnił Barousse, zamykając klatkę za nimi.
- Ale przepych – zauważył Hegel.
- A pewnie – przytaknął Manfred, ale jego uwagę natychmiast ściągnęła wanna.

Pod powierzchnią wody śmignął cień, nie wzbudzając przy tym najmniejszej fali, i Manfred wstrzymał oddech, ale ona się nie pojawiła.

- Podoba się, co? – Barousse stanął przed Manfredem, zasłaniając mu widok.
- Co znowu? – Manfred zamrugął.

– Moja własność. – Dobroduszny Barousse z progu zniknął, zastąpiony przez humorzastego sobowtóra.

– Rozumie się – przytaknął Manfred, patrząc Barousse'owi w oczy. – Każdy prócz głupca doceniłby pańskie skarby.

– Doceniłby czy zapragnął ich? – Płomienne brwi Barousse'a złączyły się ze sobą.

– Zaprawdę, ceniłby – wtrącił Hegel. – My są tu za pańskim przyzwoleniem, niech pan pamięta.

– A pewnie, kapitanie. – Manfred pokręcił głową, żeby oczyścić myśli. – Co tłumaczy naszą obecność tutaj w nieszpory, kiedyśmy powinni modlić się jak porządni ludzie?

– Pomódlcie się ze mną, Grossbartowie – powiedział Barousse łamiącym się głosem.

Padł na kolana przed wielką kapliczką we wnęce, łapiąc ich za ramiona i pociągając za sobą.

Broda mu się podwinęła na piersi, kiedy szeptał w kolejnym nieznanym braciom języku, a woda ciekła mu spod zaciśniętych powiek. Grossbartowie burczeli we własnym języku przed naturalnej wielkości posągami Maryi, prosząc o cierpliwość, siłę i natchnienie. I mnóstwo złota.

A potem głos Barousse'a stwardniał i wkroczył w dziedzinę ich języka ojczystego, a bracia zaczęli przetykać jego pośpieszną modlitwę powtarzanym po wielokroć „amen”:

– I daj nam siłę ramienia i ducha, byśmy zniszczyli tych na naszej drodze, my, którzy jesteśmy królami pośród wolnych ludzi, my, którym przypadła dola Hioba, którzyśmy przetrwali próby Abrahama i wszystko to bez chwili

wytchnienia lub łaski. Nie pozwolimy, by oczerniali nas i poprzez nas dobrego Pana, i nie poddamy się tym bluźnierczym bałwochwalcom, którzy kontrolują Kościół i miasto. My będziemy Jego Mieczem i Jego Zemstą na zdrajcach człowieka i Boga!

Barousse mówił coraz głośniej, aż jego modlitwa zamieniła się w ryk i posiniaczył braciom ramiona zaciekłym uściskiem.

– Będziemy jeźdźcami, którzy powrócili, Kosą Pana! Wykosimy sobie drogę na pustynie ograbione przez niewiernych! Ciśniemy ich dusze przed Sąd, a razem z nimi dusze ich nieprawych rodzin! Odbierzemy, co ukradli! Będziemy zabijać, jak On zabija, aż na Ziemi Świętej nie zostanie nikt oprócz nas! Każda strata, jakiej doświadczyliśmy, zostanie pomszczona na Jego wrogach po tysiackroć!

Hegel pokiwał głową i powiedział „amen”, ale uwaga Manfreda skierowała się ku wannie obok niego i wtedy ujrzał ją po raz pierwszy, odkąd zjawili się w tym domu. Bezgłośnie wynurzyła się z wody i złożyła ręce na brzegu, opierając spiczastą brodę na dłoniach. Zamrugła oczami w kształcie migdałów. Twarz i włosy miała śliskie od wody, która skapywała na przestłoniętą wanną pierś. Uśmiechnęła się i zniknęła bezgłośnie pod powierzchnią, zanim Manfred zdążył jej się dobrze przyjrzeć. Zdał sobie sprawę, że musiała być naga, i nerwowo zerknął na Barousse’a i Hegla, którzy teraz obaj krzyczeli.

– I krew, i ogień od Maryi! – wyrzaskiwał Hegel.

– I księżyc runie, powodując przypyływ tak wysoki, że połknie kwitnące Sodomy! Awinion i Rzym, Paryż i Pragę! Monachium i Londyn, i Jerozolimę, i Kair, i Konstantynopol! Tak samo pogański Wschód, jak i heretycki Zachód! Niech ich wszystkich diabli!

– Niech ich wszystkich diabli!

– Wszyscy diabli. – Manfred przełknął ślinę, widząc, jak posąg Paniienki skoczył ku nim. – A niech to wszyscy diabli!

– Przyszło do was oświecenie, Grossbartowie! – ryknął Barousse, przytrzymując ich jeszcze mocniej, żeby nie uciekli ani nie zaatakowali ruchomego posągu.

Niepotrzebnie się martwił, ponieważ przeciąg poruszający ich brodami wyjawiał prawdę. Zaprawieni w bojach Grossbartowie złapali Maryję i odsunęli ją bardziej, pozwalając zadyszanemu Rodrigowi wynurzyć się z przejścia.

Cuchnął rybami i pleśnią, ale jego oziębła twarz rozjaśniła się pod wpływem objąć Barousse’a.

– Sukces, mój synu? – Kapitan uściskał młodzieńca.

– Sukces – pisał Rodrigo, a łzy na jego policzkach wynikały bardziej z doboru słów kapitana niż żelaznych objąć. – Oto on.

Barousse wypuścił młodzieńca i odwrócił się do człowieka, na którego gapili się Grossbartowie. Żyłasty mężczyzna zamrugał i odsunął z bladych oczu pasmo włosów, a Grossbartowie dostrzegli, że mimo wieku zachował wigor i wyrobione muskuły. Kapitan i intruz zmierzyli się wzrokiem. Pośród brody Barousse’a igrał blady uśmiech.

– Kapitanie – rzucił krótko mężczyzna, skłaniając głowę, a wtedy Barousse podniósł go i zakręcił nim ze śmiechem.

– Angelino! – zawołał, kiedy zapanował nad radością i postawił przyjaciela na ziemi. – Zbyt długo, zbyt długo!

– Nie z mojej winy, kapitanie. – Angelino mrugnął.

– Alexi, dla ciebie zawsze Alexi!

– A dla ciebie to będzie kapitanie Angelino, jeśli chłopak mówi prawdę. – Nowo przybyły wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No proszę, proszę. – Barousse udawał zdziwienie. – Kapitan? W porządku, chociaż chętnie wziąłbym cię znowu na oficera, jeśli czas pozwoli.

– Żaden to splendor, a i tytuł przymały, ale gdybyśmy rzeczywiście mieli dzień, dałoby się wykopać parę starych kości i wysuszyć na tyle, by do nas dołączyły. Według tego tu, jego bratanka, Sergio nie zawinie tutaj przez kilka kolejnych tygodni, co jest tym gorsze, że on lepiej niż ja orientuje się, dokąd podryfowała załoga podczas samotnych... – Angelino zerknął ponad ramieniem Barousse’a i poblądł, a potem spoliczkował przyjaciela.

Dopiero kiedy z ust Angelino chlusnął potok włoskiego, bracia zauważyli, że wcześniej mężczyźni rozmawiali po niemiecku. Cała twarz Barousse’a przybrała kolor czerwieniejącego policzka. Kapitan nadał się, gotowy rozgromić drobniejszego mężczyznę, który krzyczał i potrząsał oskarżycielsko palcem przed jego twarzą. Rodrigo rozpoznał złowieszczą przemianę, złapał Angelino i odciągnął go do tyłu. Hegel miał dość rozumu, żeby nie dotykać trzęsącego się kapitana, zamiast tego więc stanął na linii jego wzroku i zaoferował butelkę.

– Nie ma tego złego, czego napitek nie naprawi – ogłosił. – Dlaczego żeście



gadali po ludzku i przeszłście na papieski, hm?

Barousse wypuścił powietrze, którego nabrał w chwili, kiedy go spoliczkowano, i skupił się na Heglu. Wyrwał mu wino. Angelino odepchnął Rodriga i teraz jego ganił, podkreślając perorę gestami wskazującymi Hegła i kapitana. Barousse wyłopał całą butelkę, szkarłat spływał mu po brodzie na buty. Potem wypuścił butelkę, odepchnął Hegła, odepchnął Rodriga i objął Angelino, płacząc jak świeżo osierocone dziecko. Rodrigo podbiegł do Hegła i odprowadził go do wąskiego okna wychodzącego na ogród, który obaj uznali za nadzwyczaj interesujący, a Barousse mazał się i wysmarkiwał na ramieniu Angelino, którego gniew zniknął równie szybko jak wściekłość kapitana.

Hegel zerknął na oświetlony lampami ogród i zwierciadlaną sadzawkę, gdzie on i jego brat potajemnie ćwiczili pływanie, gdy wszyscy w domu spali. Rozglądając się z powrotem po pokoju, zobaczył, że Manfred czai się przy krawędzi wanny. Powstrzymując własny gniew, zdołał przejść przez pokój, nie zwracając uwagi Barousse'a i Angelino, którzy teraz wymieniali się szeptanymi przysięgami.

– Co robisz? – warknął Hegel, zauważając sylwetkę majaczącą pod wodą.

– Tylko patrzę. – Manfred nie mógł spojrzeć bratu w oczy, niezręcznie chowając coś w torbie.

– Trzymajcie się z dala od tego miejsca! – krzyknął na nich Angelino i wszyscy trzej pośpiesznie wrócili do ołtarza.

– Daję słowo, daję słowo – mamrotał Barousse, przysiadłszy na skrzyni.

– Oczywiście, kapitanie. – Angelino skinął głową. – Zatem ci chłopcy idą teraz ze mną?

Grossbartowie spojrzeli na kapitana, który pokiwał głową, ale nie odwzajemnił ich spojrzenia.

– Potrzebuję ich z powrotem przed świtem.

– To ta skrzynia? – Angelino się uśmiechnął.

– Tak. – Barousse wstał umęczony i poklepał przyjaciela po ramieniu; wracał mu dobry humor. – Tak, to ta, to ta. I pamiętaj, niedużo w najlepszym razie. Mniej gęb do wykarmienia.

– Jeśli o to idzie, to załatwię nam wodę, zapasy i tych nielicznych, którym można zaufać na takiej wycieczce.

– Angelino. – Barousse przełknął ślinę. – Zamierzam zemścić się na doży, co

oznacza, że będzie nas ścigał, jeśli kiedykolwiek wrócimy tu, mając mniej niż armię po swojej stronie. Nadal jesteś z nami?

– Też pytanie! – odpowiedział Angelino. – A teraz zobaczmy, co my tu mamy.

W skrzyni leżały sztabki złota. Hegel i Manfred ujrzeli spływającą na nich Łaskę Maryi, więc bezgłośnie jej podziękowali. Potem zaczęli upychać złoto do skórzanych sakw dostarczonych przez Barousse'a, aż w pustym pudle nie pozostała nawet jedna drobinka złotego pyłu. Rodrigo i Angelino nie mogli za wiele unieść, co bardzo odpowiadało braciom. Zostawiając kapitana z przygotowaniami, zeszli za Rodrigiem po żelaznych prętach osadzonych w ścianie rynny znajdującej się za Najświętszą Panienką.

Szczeble były omszałe, a sakwy ciężkie. Dwa razy Rodrigo prawie się ześlizgnął, ale zdołał się złapać. Rowek prowadzący z wanny uchodził do tej rynny. Znajomy smród pleśni krzepił Grossbartów niczym balsam kładziony na duszę. Buty Angelino zrzucały grad brudu na Manfreda, ponaglając go i tym samym zwiększając ilość gnoju zrzucanego na Hegla.

Odgłos płynącej wody przybrał na sile i nagle Heglowi ugięły się kolana, kiedy jego stopy natrafiły na śliskie kamienie zamiast na szczebel.

Rodrigo trzasnął krzesiwem, oślepiając ich. Dopiero kiedy Manfred i Angelino dotarli na dno, knot się zajął i oświetlił jamę.

Kamień i ziemia zlewały się na ścianach i tylko wąska półka, na której stali, świadczyła o tym, że kanał jest dziełem ludzkich rąk. W słabym świetle woda była czarna jak ściany i sufit. Droga prowadziła w sposób oczywisty tylko w jedną stronę – kilka kroków za nimi półka była obłamana. Rodrigo poprowadził ich po cuchnącym pleśnią występie. Szli niemrawo, żeby się nie poślizgnąć i nie zsunąć do wody. Po drugiej stronie mniejsze kanały co pewien czas dołączały do głównego strumienia. Gwałtowne podmuchy zawiewały znad dopływów.

Wąski kanał wychodził ze ściany przed nimi, brudna woda wylewała się na ich półkę. Rodrigo przyklęknął, zaświecił w głąb przejścia i z westchnieniem wszedł w nurt. Płynąca woda sięgała mu kolan; brnął tym nowym kanałem, a pozostali szli za nim. Sufit opadał, aż cała czwórka zgarbiła się niczym biczownicy. Zimna woda sięgała im już pasa. Oczywiście, występni Grossbartowie czuli się tutaj swobodnie i żalowali, że nie dowiedzieli się

wcześniej o tej części miasta.

– Nie wiem, czy wybudował je nasz kapitan, czy istniały wcześniej – wyjaśnił Rodrigo, kiedy oddalili się od głównego, ryczącego nurtu. – Trzeba pamiętać o nagłych burzach. Przelotny deszcz natychmiast je zalewa.

– Tak żem myślał, że wszystkie te kanały mogą prowadzić do takiego miejsca jak to. – Hegel kiwnął głową. – Ale czemu to służy?

– Niczemu – odpowiedział Rodrigo. – Tylko nam.

– Dlaczego ty i kapitan gadacie do siebie jak ludzie? – zapytał Angelino Manfred.

– Przyzwyczajenie – odpowiedział żeglarz, uchylając się przed zwieszającą się zgnilizną. – Wielu tutaj i jeszcze więcej za granicą nie mówi w tym języku, więc nabraliśmy takiego nawyku. Mniej się człowiek martwi, że ktoś podkradnie mu słowa, jeśli inni ich nie rozumieją.

– Różne – zgodził się Manfred.

– Spokojnie – warknął Hegel, kiedy brat wszedł na niego.

– Cicho – szepnął Rodrigo i zdmuchnął świecę.

Wszyscy dostrzegli w czerni przed nimi mglisty owal żółci. Rodrigo nie zbliżył się jednak do wylotu kanału, ale podkraść się do przodu kilka kroków, muskając wolną ręką oślizgły sufit. Potykając się za nim w nurcie, Hegel zobaczył, że Rodrigo przystanął i się wyprostował, a jego głowa i ramiona zniknęły w suficie. Zaczął się wspinać. Hegel podszedł i dostrzegł dziurę w górze. Wymacał szczeble i ruszył za młodzieńcem.

Ten szyb poszerzał się, w miarę jak pokonywali krótki odcinek dzielący ich od powierzchni. Odór gnijących ryb obezwładnił ich zmysły. Rodrigo przystanął, więc pozostali także się zatrzymali, a on niezręcznie sięgnął w górę i przy czymś majstrował. Z metalicznym zgrzytem uwolnił zdobycz i kilka funtów gnijących ryb i skorupiaków posypało się na nich kaskadą. Rodrigo odpełził, znikając im z oczu, po nim wyszedł Hegel, który odwrócił się, żeby pomóc bratu i Angelino.

Grube żelazne pręty zamykały ujście z jamy, ale Rodrigo wyjął jeden i odturlał go na bok. Oczy im łzawiły z powodu stosu rozkładających się owoców morza, zatykających wylot. Pokolenia ząbiających się ości i łusek sprawiały, że masa nie zsunęła się w dół do przeznaczonego im grobu. Kiedy pozostali zrzucali z siebie gnijące resztki, Rodrigo raz jeszcze zerknął w ciemny

zaułek, po czym przykleknął i włożył na miejsce wyjęty pręt.

Stado bezpańskich psów, które przestraszyli swoim nieoczekiwanym pojawieniem się, oddaliło się chyłkiem, powarkując na intruzów. Zanim Hegel zdążył roztrzaskać łeb najbliższemu, Rodrigo przypomniał im, że muszą zachować dyskrecję, co oznaczało, że stado wyjące z bólu i zaciekle ujadające nie leżało w ich interesie. Obeszli psy, które powróciły do obżerania się najświeższymi odpadkami i tarzania się w najstarszych. Nie zapalili świec, ale po wędrówce zatopionymi zaułkami księżyc idący do nowiu wystarczał im w zupełności, a Angelino zastąpił Rodriga w roli przewodnika.

Kiedy starszy mężczyzna prowadził ich labiryntem przejść, Hegel czuł, że oczy obserwują ich z bocznych uliczek i ciemnych okien, ale nikogo nie spotkali na ulicach. Ostrożnie przemykali po małych mostkach; tupot butów na drewnie burzył ciszę, którą zapewniały im bite drogi. Szum morza przybierał na sile, karmiąc niepokój Grossbartów. Ponieważ unikali wielkich gal w mieście równie rygorystycznie, jak powstrzymywali się od poszczenia w czasie Wielkiego Postu, jedyną wskazówką na temat charakteru Wenecjan byli dla nich posępni mężczyźni czający się na ulicach i wiosłujący na kanałach, kiedy bracia na próżno szukali cmentarza na stałym lądzie. Przypuszczali, że każdy świadek ich nocnych wypadów sprzedałby ich za pół dukata.

Raz Angelino przystanął i wciągnął wszystkich w szparę między dwoma zagrzybionymi budynkami. Usłyszeli kroki – najpierw zbliżające się, a potem oddalające w pobliskim zaułku. Nawet w tej ponurej dzielnicy gmachy górowały nad nimi, przesłaniając niebo. Wróciwszy na ulicę, przeszli tylko kilka przecznic, zanim Angelino zanurkował pod łukiem i zapukał cicho do małych drzwiczek.

Odpowiedziało mu pukanie po drugiej stronie, na co Angelino cicho zagwizdał. Drzwi otworzyły się i Angelino wszedł do ciemnego wnętrza. Za nim ruszył Rodrigo, a potem Hegel z Manfredem, który nerwowo macał głowicę maczugi jedną ręką, a drugą mocniej przyciskał do torsu sakwę ze złotem. W ciemności ktoś zamknął za nimi drzwi i nim Manfred zdążył wyciągnąć broń, otworzyły się drugie drzwi przed nimi, oślepiając wrażliwe oczy światłem.

Małeńka karczma miała stoły zrobione z drewna wyrzuconego przez morze i bar zbudowany z kilkunastu związanych razem wioseł. Za nim stał człowiek

wyglądający jak sękaty pniak, którego zwarzone, żółtawe oczy zdradzały ślepotę. Olbrzymi mężczyzna zamknął za nimi drugie drzwi. Jedyne obecne jeszcze poza nimi człowiek – niski brunet – pił przy palenisku. Angelino zaprowadził ich do jego stolika, karczmarz przyniósł piwo, a olbrzym stanął nad nimi. Manfred wymieniał z mięśniakiem nienawistne spojrzenia, podczas gdy Angelino i niski mężczyzna prowadzili pośpieszną rozmowę po włosku, do której Rodrigo bez powodzenia próbował się włączyć.

Kiedy Manfred zamierzał właśnie zwyzywać adwersarza, Angelino odwrócił się do braci i przemówił do nich po niemiecku:

– Ten ksiądz, o którym Barousse mówił, że go przyprowadzicie... Można mu ufać?

– Bardziej niż innym, ale to nie mówi zbyt wiele. – Manfred siorbnął z kufła.

– Ale podróżował z wami i tym czymś, co zwróciliście kapitanowi? – dopytywał się Angelino.

– Tym czymś? – Manfred zmrużył oczy.

– Z tą skośnooką flądą – sprostował niski mężczyzna łamaną niemieczyzną.

Wyczuwając, jak brat sztywnieje, Hegel szybko się wtrącił:

– A pewnie, ksiądz był z nami przez większość czasu.

– A... – Angelino zmarszczył brwi – przydarzyło wam się cokolwiek nienaturalnego przed albo po tym, jak do was dołączył? Mam na myśli cokolwiek związanego z wodą: utonięcia, powodzie, tego typu rzeczy.

– A pewnie, zanim... – Hegel skrzywił się, kiedy Manfred kopnął go pod stołem, ale oddał bratu i mówił dalej: – A pewnie, zanim się zjawił, jeden z ludzi Barousse'a utopił się w kałuży nie głębszej niż ciżma i mój własny brat omal nie zginął tak samo.

– Przecież ci mówił, że lunatykowałam – powiedział Manfred, rumieniąc się pod brodą.

– A po tym, jak się pojawił? – naciskał Angelino.

– Potem nie przypominam sobie niczego, poza tym... – Manfred brutalnie zdzielił mówiącego brata w tył kolana. – Poza tym, że mój brat znowu o mały włos nie utopił się w rzece. – Hegel spojrzał gniewnie na brata.

– A gdzie był wtedy ksiądz? – zapytał niski.

– Och, właśnie został po raz drugi postrzelony. – Manfred spiorunował Hegla wzrokiem.

Włosi wrócili do swojego języka i trajkotali przez chwilę, podczas gdy Grossbartowie odbyli prywatną rozmowę na temat wagi klarowności przekazu i jej związku z bodźcami fizycznymi. Rodrigo ujrzał Ennia na dnie kufla i umocnił się w postanowieniu, że pomodli się za brata jak należy. Mężczyźni zwrócili się znowu do Grossbartów, którzy także osiągnęli konsensus, gdy obrzęki i siniaki rozkwiwały na udach i łydkach obydwu.

– Chociaż cieszę się, że znowu będę służył przyjacielowi i kapitanowi – zwrócił się do nich Angelino – ta rzecz, którą trzyma, nie wróży niczego dobrego żadnemu mężczyźnie i nie zniosę jej obecności dłużej niż to absolutnie konieczne. Powiem wam teraz, jak powiedziałem jemu; kiedy nadejdzie czas naszego rozstania z tym czymś, ona idzie prosto za burzę, choćby nie wiadomo co mówił. Wy dwaj natchnęliście go do decyzji, żeby wreszcie się jej pozbyć i przy okazji powrócić na ziemię Arabów, więc wszyscy musimy się dogadać, zanim wyruszymy. Ja jestem kapitanem mojego statku, nie on, i dopóki wy jesteście na moim statku, a ja was zabieram do celu waszej podróży, będziecie wypełniali moje rozkazy, a nie jego. Zgoda?

– Widzisz... – zaczął Rodrigo.

– Nie weź omyłkowo mojego tonu za wrogi, chłopcze – rzucił do niego Angelino. – Służyłem kapitanowi dłużej niż ty żyjesz, mozoliłem się przy twoim zmarłym tatusiu i nieobecny wuj. Jako jeden z nielicznych byłem z nim na statku, na którym to przywiózł, i jestem jedynym, który nadal oddycha powietrzem, a nie morską wodą, więc wiem, o czym mówię. Jedna tylko rzecz jest ważniejsza od pieniędzy: trzeba żyć, by móc zdobyć ich więcej.

– Zgoda – powiedział Hegel, kiwając głową na mądre słowa Angelino.

– A ty? – zapytał niski Manfreda.

– Jeszcze nie usłyszał twojego imienia – rzucił przeciągle Manfred.

– Giuseppe – odpowiedział drobny mężczyzna.

– No dobrze, Seppe... – zaczął Manfred i nawet Hegel wstrzymał wyczekująco oddech – ...jestem skłonny zgodzić się z bratem. Ty i Angelino służyście nam, zabierając nas do Giptu, a my zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby utrzymać nas na kursie. A że nie znamy się na morskich sprawach, zdamy się na waszą ocenę, jakbyśmy się zdali na wynajętego woźnicę.

Zmrużone małe oczka Giuseppe zmniejszyły się jeszcze bardziej, ale ugryzł się w język i odwrócił się do swojego pracodawcy. Angelino popatrzył po

Grossbartach i twarz mu się rozpromieniła. Uniósł kufel.

– Rozsądny układ. No dobrze, to który z was jest Heigel?

– To jest Hegel. – Manfred wskazał brata.

– A on jest Manfred – dodał Hegel.

– Dobrze, dobrze. Ja jestem Angelino, jak już wiecie. Ten za wami to Merli i on zabierze złoto z waszych grzbietów.

– Diabła tam zabierze. – Manfred wstał.

– Grossbartowie. – Rodrigo też wstał. – Ci ludzie prędzej okradną papieża niż kapitana. Oddajcie im jego własność.

– To nic a nic nie znaczy – odparł Manfred. – Sam dopiero co powiedział, że życie jest ważniejsze od wszystkiego innego, łącznie z przyjaźnią.

– Jeśli nie oddasz mu złota – warknął Rodrigo – nie będziesz miał okazji unieść więcej, kiedy już wrócimy.

– Po mojemu jest w tym krztyna mądrości – przyznał Hegel, odkładając sakwę na stół. – Czyli zostawiamy złoto wam, żebyście zanieśli je na statek, potem idziemy po kapitana i wracamy?

– Wypływamy jutro – oznajmił stanowczo Angelino. – Kapitan może nie mieć tu już przyszłości, możliwe, że ja również, ale wolę nie ściągać na siebie więcej uwagi, wypływając nocą. O świcie tak to ustawię, żeby moja dziewczyna czekała w porcie przy tych drzwiach. – Wskazał zaryglowane frontowe drzwi, przez które nikt nie wszedł. – Każę tu czekać Merliemu, więc kiedy tylko zjawicie się o dowolnej porze po świcie, ruszamy. Oczywiście, to malusia balia w porównaniu ze statkiem Barousse'a, więc będziemy musieli nieco bardziej przytulić się do wybrzeża, dodać parę dni albo tygodni na podróż, ale stawiam własne życie razem z waszym na to, że dobrze się sprawi, nawet jeśli będzie nam ciut ciasno. Zatem mamy jasność, kto płynie?

Rodrigo pokiwał głową.

– Grupa kapitana, ty i twoi ludzie.

– Dobrze, dobrze. Załadujemy złoto, a potem przygotujemy się do wypłynięcia. Miło było was poznać, Grossbartowie. – Angelino dodał coś po włosku do Rodriga, który uśmiechnął się słabo, zanim oddał sakwę.

Dla braci to było jak wrzucenie funduszków wojennych do bezdennej otchłani, ale nie mieli wyboru. Angelino odprowadził ich do drzwi, raz jeszcze objął Rodriga, uścisnął Grossbartom dłonie i wypuścił ich na ulicę.

## XX

# WENECKA TRAGEDIA



C hłodny i słony wiatr szczypał ich w twarze, a chociaż, pozbywszy się brzemia, mogli iść szybciej, zapobiegała temu paranoja Rodriga i nieznajomość dokładnej trasy prowadzącej do domu. Kiedy wyszli z ostatniego zakrętu przed kratą, Hegel poczuł znajome ciarki i skręcanie we wnętrznościach. Zanim zdążył powiedzieć słowo, ponad tuzin postaci wypadł z obu stron zaułka, otaczając ich gromadą.

Zamiast zaatakować, napastnicy dopadli ich pasów, próbując odciąć im sakiewki i broń za pomocą ostrych kamieni i zardzewiałych noży. Żadna z postaci nie sięgała Rodrigowi do piersi, a smród zdradzał, że to banda małych uliczników. Pierwszy, których ich dopadł, oślepił Rodriga, chlustając mu w twarz jakąś cieczą z miski.

Przygotowane na zwykłych pijanych kupców wracających z dzielnicy dziwek dzieciaki zaczęły krzyczeć, kiedy żelazo znalazło się w dłoniach Grossbartów i poszło w ruch, zanim bracia dali się opaść gromadzie. Natychmiast rzuciły się do ucieczki, ale maczuga Manfreda strzaskała biodro jednemu guzdrule. Dzieciak poturlał się po ulicy. Hegel uderzył oskardem w plecy innego ulicznika, przyszpilając go i zabijając, zanim ten zdążył choćby mrugnąć okiem. Manfred uciszył jęki rannego chłopca, stawiając stopę na jego szyi, a Hegel chlusnął wodą w oczy Rodrigowi.

Banda rozpierchła się, uciekając w zaułki. Krzyk donoszący o morderstwie odbił się echem od ścian i okien. Manfred złapał Rodriga, podczas gdy Hegel niezgrabnie ładował kuszę, ale wszystkie dzieciaki zniknęły już w ciemnościach. Hegel pilnował ich tyłów, gdy przebiegli kawałek dzielący ich od końca zaułka, odpędzając psy brutalnymi kopniakami. Rozbrzmiały dzwonki i kiedy na wpół oślepiony Rodrigo macał w gnoju, szukając luźnego pręta, usłyszeli, że nadbiegają wściekli mężczyźni. Rodrigo zszedł pierwszy, za nim



Manfried, ale kiedy Hegel przyklęknął, żeby rozładować kuszę, usłyszał kroki. Przykucnął, celując w skrzyżowanie zaułków, i zobaczył dziecko podbiegające do chłopca zabitego przez Manfrieda.

Hegel zagryzł usta; dzieciak znajdował się niecałe dwadzieścia stóp od niego, ale skupił się na martwym przyjacielu albo bracie. Stawiając jedną stopę na szczepku, Hegel poślizgnął się odrobinę i sakiewka u jego pasa zadzwoniła mu o bok. Ulicznik odwrócił gwałtownie głowę i w świetle księżyca Hegel zobaczył płaczącą dziewczynkę, która nie miała nawet dziesięciu lat. Popatrzyli na siebie. Dziewczynka powoli wstawała, a Hegel wolną ręką sięgnął do mieszka. Kiedy się wyprostowała, Hegel uniósł złotą monetę. Z niewypowiedzianą modlitwą na ustach pokręcił monetą, żeby zabłysła w półmroku, a wtedy dziewczynka obróciła się na pięcie do ucieczki.

Hegel wypuścił z lewej ręki monetę i pewniej chwycił arbalet. Zanim złoto uderzyło o ziemię, strzelił. Moneta nadal spadała, a Hegel wiedział, że za bardzo się pośpieszył, bełt nie trafi do celu. Jednakże, słysząc brzęk cięciwy, dziewczynka odruchowo skoczyła w bok i bełt wbił się jej w kark.

Moneta odbiła się od ziemi, a dziewczynka obróciła się przy ścianie, włosy zawirowały wokół jej głowy i ku zdumieniu Hegla jej buzia zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się twarz Brennena – zamordowanego syna Heinricha, hodowcy rzepy. Pęd pchnął ją na ścianę, po której się zsunęła i obróciła twarzą do Hegla. Oblicze Brennena odleciało z powrotem do jego grobu za górami. Rysy dziewczynki nadal się wydymały, lecz znowu były dziewczęce i nieznajome. Grot bełtu błysnął do Hegla spod jej uniesionego podbródka, zanim padła twarzą naprzód. Bąbelki unosiły się wokół jej uszu, kiedy topiła się w rosnącej kałuży własnej krwi. Dzwonki rozbrzmiewały już blisko. Hegel złapał upuszczoną monetę, wszedł na drabinę i wstawił na miejsce pręt. Wstrzymując oddech, zszedł w ciemności.

Powrót trwał jeszcze dłużej, bo dzieci ukradły Rodrigowi świecę. Szukali drogi powrotnej w absolutnej ciemności. Manfried szedł pierwszy, a Hegel pomagał Rodrigowi. Wspięli się rynną i weszli w blask komnaty Barousse'a, który siedział przed Najświętszą Panią, wyczekując nowin. Nikt nie miał ochoty na czcze pogaduszki, a nastrój kapitana stał się równie zgryźliwy jak bijący od nich smród. Wszyscy trzej poszli do drugiego skrzydła skorzystać z kąpieli, którą kapitan roztropnie już wcześniej kazał dla nich przygotować.

Chociaż prosto po kąpieli poszli do łóżek, żaden nie zasnął szybko. Wszyscy myśleli o kobietach. Rodrigo dumał o Najświętszej Paniencie i o tym, jak mogłaby wstawić się za jego zmarłym bratem, Manfred rozmyślał o pieśni rzekomej syreny, a Hegel nie mógł uwolnić się od obrazu dziewczynki, którą bezlitośnie zamordował.

Na skutek tych nocnych medytacji żaden nie wstał razem ze słońcem, zamiast tego wszyscy zerwali się późnym rankiem, obudzeni wrzaskami Barousse'a w foyer. Osiemnastu ludzi czekało przed bramą, a ludzie Barousse'a nie mieli najmniejszego zamiaru wpuścić ich do środka. Doża, kardynał prosto z Awinionu, rycerz przybyły z terenów położonych na północ od Awinionu oraz piętnastu gwardzistów doży czekało niecierpliwie, a ich słowa i odpowiedzi najemników Barousse'a zamieniły się już w krzyki. Rodrigo wybiegł za kapitanem z domu, Grossbartowie zaś udali się do kuchni, zniesmaczeni faktem, że ciągnięcie za sznurek od dzwonka nie zaowocowało śniadaniem.

Doża, którego imię, wbrew powszechnemu użyciu, z pewnością nie było włoskim określeniem prostytutki, uśmiechnął się na widok Barousse'a. Kardynał Bunuel bez skutku odradzał mu nierozważne działanie. Z powodu nalegań świątobliwego lizusa doża wycofał kuszników, którym kazał zakraść się na dachy, chociaż zwykle można było rzec o nim wszystko, tylko nie to, że jest posłuszny Kościołowi. Jednakże czasy się zmieniają, jak to mają w zwyczaju, a doża i kardynał mieli nadzieję, że napięte stosunki między Wenecją i papieżem mogą się nieco poprawić z korzyścią dla nich obu.

Sir Jean Gosney pocił się pod przyłbicą, nie pierwszy raz opłakując w duchu formalne nakazy zmuszające go do przywdziewania żelaznej skorupy. Kardynał zsiadł z konia i podszedł do bramy, doża i rycerz bez słowa poszli za jego przykładem.

Kiedy trójka wyżej postawionych od nich ludzi stanęła przed bramą z wózkami w rękach, żeby wejść jak przystało dżentelmenom, pikinierzy zbili się w gromady po obu ich stronach. Jednakże, zamiast rozkazać otwarcie bramy, Barousse przystanął przed nią i beknął. Kardynał się skrzywił, doża nachmurzył, a rycerz zmarszczył zadarty nos.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, zważywszy że dopiero co zakończyłem post? – zapytał Barousse.

– Słuchaj, Alexius – zaczął doża – wiesz, dlaczego się zjawiliśmy i wszelkie

twierdzenia, że nie wiesz, będą uznane za przyznanie się do winy.

– Kapitanie Barousse, jeśli można prosić, dożo Strafa... Dożo – powiedział Barousse, posyłając uśmiech kardynałowi. – A kim są moi goście?

– Jestem kardynał Bunuel – odparł ostro odziany w czerwień mężczyzna.

– A ja jestem sir Jean Gosney z Meaux. – Mężczyzna w zbroi skłonił się. – Rycerz w służbie kardynała.

– Skoro już się poznaliśmy, najwyższy czas, żebyś oddał nam tych, których, przez wzgląd na honor miasta i twój własny jesteśmy skłonni uznać, że sam uwięziłeś ich we własnym domu. – Doża strzelił obcasami.

– Grossbartowie. – Barousse uśmiechnął się szerzej. – I ksiądz, który szukał tu azylu, tak?

– Już nie jest księdzem. – Kardynał Bunuel otarł pot z czoła.

Grossbartowie zastali Martyna w kuchni. Pożerał zimny bekon trzymany lewą ręką, bo prawa, zraniona przez Przydrożnych Papieży, zwieszała mu się teraz bezwładnie. Machnął kieliszkiem w ich kierunku, rozlewając wino, i wrócił do posiłku. Hegel wyjrzał z kuchni, a Manfred krzyknął w głąb piwnicy. We dwóch sprawdzili pokoje służby znajdujące się w bok od korytarza, który prowadził do foyer. Nie znaleźli tam ludzi ani ich rzeczy, co jeszcze bardziej ich poirytowało.

– Gdzie się wszyscy podziali? – zapytał ostro Manfred.

– Odprawiono ich. – Martyn przełknął kęs. – Tego ranka wszystkich odesłano. A także mężczyzn, którzy pracowali w ogrodzie zeszłej nocy.

– To ma sens – uznał Hegel i razem z Manfredem zasiadł obok Martyna do posiłku.

Kapitan nadal szczyrzył zęby w uśmiechu, wyprowadzając tym z równowagi Rodriga jeszcze bardziej niż nieufnego dożę.

– Z przyjemnością oddam ci tych ludzi, ponieważ, jak sam powiedziałaś, przetrzymywałem ich jedynie do twojego przybycia. Szczerze mówiąc, już się martwiłem, że będę musiał po ciebie posłać, byś zwolnił mnie z tego obowiązku, tak opieszale się okazałaś.

– Co proszę? – Doża zamrugnął, nieprzygotowany na taki obrót sprawy.

– Podejrzywałem, że to mogą być zbiry, ale bez twojego potwierdzenia niewiele mogłem zrobić, jedynie opóźnić ich wyjazd. Potem zjawił się ten ich obłąkany sprzymierzeniec ubrany jak ksiądz i wygadujący sześć różnych

rodzajów herezji i musiałem powstrzymać miecz przez cały dzień i noc, zanim raczyłeś się zjawić. Szczerze mówiąc, Strafalaria, niezależnie od swojej urazy do mnie nie powinieneś zwlekać z wypełnieniem obowiązków i uwolnieniem mnie od takich bluźnierców.

Rodrigo zasłonił rozdziawione usta dłonią, nigdy dotąd nie widział Barousse'a tak skupionego.

– To skąd teraz ta zwłoka? – zapytał kardynał Bunuel.

Doża uradował się, że fanfaronada Barousse'a nie zbiła z tropu kardynała, ale rozczarował się, że nie zauważono tego, że kapitan posłużył się jego znienawidzonym przydomkiem „Strafalaria”.

– To drobiazg – odparł Barousse bez chwili wahania. – Aż do tej chwili nie mogłem potwierdzić, że Grossbartowie to rzeczywiście ci, których poszukujecie. Natychmiast kazałbym przyprowadzić ich moim ludziom, ale to pobożni chrześcijanie jak my wszyscy i nie zgodzą się tknąć księdza oraz tych, którzy mają jego błogosławieństwo – mam tu na myśli tych brodatych sukinsynów – dopóki wyższy autorytet, że się tak wyrażę, nie potwierdzi, iż ksiądz to w rzeczy samej heretyk, a nie po prostu, ehm, zagubiony człowiek.

– Sam to potwierdził! – orzekł wyniośle doża.

– Zakładając, że ksiądz przebywający w tym domu to rzeczywiście ksiądz, którego poszukujecie. – Barousse wyciągnął dłonie. – Teraz rozumiecie mój problem?

– Przedstawił się jako Martyn? – zapytał kardynał.

– W ogóle się nie przedstawił – odpowiedział Barousse.

– Zatem wpuść nas i sami zobaczymy! – powiedział poirytowany doża.

– Nie nawykłem przyjmować rozkazów, kiedy nie zrobiłem nic, by zasłużyć sobie na odebranie mi dowodzenia – odpowiedział Barousse i szybko dodał: – Ale, by udowodnić, że nie zrobiłem niczego złego, z radością powitam ciebie, szanowny kardynale. Zapraszam cię, byś wszedł jako mój gość i potwierdził tożsamość księdza, a wtedy moi ludzie wyprowadzą ich i oddadzą waszym ludziom.

– Co ty knujesz?! – wykrzyknął doża, czym ściągnął na siebie surowe spojrzenie kardynała i ukryty uśmieszek rycerza.

– A ty udowodniłbyś moją niewinność, napadając na mój dom i więząc tych, których uznałbyś za moich gości? Pokaz siły wynikający najpewniej ze złych

intencji? – wypalił Barousse, a Rodrigo nerwowo zerknął na zebranych gwardzistów, którzy liczebnością niemal dwukrotnie przewyższali ludzi służących kapitanowi.

– Obląkany czy nie, nie wygląda na tak głupiego, by ściągnąć na swoją głowę gniew całego świata chrześcijańskiego, czyniąc mi krzywdę – szepnął Bunuel do szkarłatnego ucha doży. A potem podniósł głos, zwracając się do Barousse'a: – I z pewnością jako mój gospodarz zgodzisz się, żebym wziął ze sobą gościa, za którego ręczę, szanownego sir Jeana?

– Bez najmniejszych zastrzeżeń. Przyjmę i samego dożę, jeśli... Nie? – Barousse ukrył niezadowolenie za jeszcze szerszym uśmiechem, kiedy Strafalaria pokręcił głową. – Wedle twojej woli. A teraz, jeśli otrzymam słowo dobrego doży, że jego ludzie nie będą próbowali wziąć szturmem mojego domu, gdy otworzę bramę, będziemy mogli zakończyć tę sprawę i wreszcie wrócę do posiłku.

– W porządku. – Doża się skrzywił. – Masz moje słowo. A jeżeli wkrótce nie wrócą ze zbrodniarzami, masz również moje słowo, że wejdę niezależnie od tego, czy otworzysz bramę, czy też nie.

Barousse machnął lekceważąco ręką. Brama się otworzyła. Ludziom kapitana ulżyło tak samo jak ludziom doży, że sprawy zakończyły się w ten sposób. Kardynał i rycerz zostawili wodze koni w dłoni Strafalarii, który wtedy pożałował, że nie zabrał ze sobą pazia. Brama zamknęła się ze szczękiem, a Barousse mrugnął do gotującego się ze złości doży, po czym odprowadził gości do domu. Rodrigo pośpiesznie obszedł dom i wszedł kuchennymi drzwiami zdumiony, że obląkańczy plan, który Barousse przedstawił mu szeptem w czasie krótkiego spacerku do bramy, został tak bezbłędnie zrealizowany. Martwił się jednak, że Grossbartowie nie będą czekali w miejscu, na które nalegał kapitan. Ich obecność w kuchni nie była specjalną niespodzianką, ale mimo wszystko Rodrigo poczuł ulgę, zwłaszcza że Grossbartowie mieli skłonność do zachowywania się wbrew wszelkim przewidywaniom.

– Do broni, Grossbartowie – wydyszał Rodrigo. – Nasi wrogowie już tu są.

– Jak to? – Jedna ręka Manfreda powędrowała do maczugi, ale druga została przy serze.

– Doża zjawił się, żeby aresztować waszą trójkę. Przeprowadził ze sobą

francuskiego rycerza, kardynała i swoich ludzi, ale kapitan ich przechytrzył i teraz – Rodrigo skinął głową w kierunku, z którego dobiegał dźwięk otwieranych wielkich drzwi prowadzących do foyer – zwabił gości doży do domu. Musimy wziąć ich jako więźniów. Teraz! Z całą mocą!

Dotarły do nich krzyki, więc, wciąż przeżuając śniadanie, Grossbartowie pośpieszyli korytarzem za Rodrigiem. Martyn poszedł za nimi z butelką w zdrowej ręce, zachowując rozsądny dystans. Wchodząc do przestronnego pomieszczenia, zobaczyli czterech ludzi Barousse'a celujących z kusz w dwie imponujące postaci – jedna jeżyła się zbroją płytową i kolczugą, a druga była odziana w szaty białe jak lilie, czarne jak węgiel i czerwone jak krew. Obie krzyczały na przyjaźnie uśmiechającego się Barousse'a, ale uspokoiły się, kiedy wystąpił naprzód i przyłożył ostrze kordelasa do gardła kardynała.

– Tak lepiej. – Barousse skinął głową. – O wiele lepiej. Pozwólcie, że przedstawię kardynała Bunuela i jego lordowską mość sir Jeana Gosneya z Meaux. Kardynale, sir Jean, oto Hegel Grossbart i Manfred Grossbart, moi dwaj doradcy. Rodriga już poznaliście, a to kto? Ach, rzeczywiście, to rzekomo suspendowany ksiądz, ojciec Martyn.

– My już się poznaliśmy i to gruntownie – rzucił szyderczo Martyn, zwracając się bezpośrednio do Bunuela. – Pomyliłeś się jednak, dokonując prezentacji, kapitanie, ponieważ ten człowiek nie ma władzy nad sługą bożym. Ten heretyk przewodził moim torturom! Jak śmiesz nosić te szaty w mojej obecności? Niniejszym zostałeś ekskomunikowany!

Ku zachwytowi Barousse'a i Grossbartów i ku przerażeniu wszystkich pozostałych Martyn spoliczkował kardynała. A potem obrócił się i wybiegł do kuchni, zanim popełniłby jeszcze większy grzech.

– Błuznierstwo! – wykrztusił Bunuel. – Łap ich, Jean, roztrzaskaj im usta!

Podobnie jak wielu weteranów w jego wieku i z jego kraju, sir Jean kilka razy w swoim życiu został pochwycony i był przetrzymywany dla okupu, i odkrył, że ugoda jest o wiele przyjemniejsza od męczeńskiej śmierci. Dlatego zawiodła go znajomość włoskiego i zdjął hełm, żeby lepiej zaprezentować swoje posłuszeństwo. Skłoniwszy się Bunelowi, odzyskał znajomość języka porywaczy i zwrócił się do Barousse'a:

– Jeżeli poda mi pan swoje żądania, wykrzyczę je doży i gwarantuję że okaże się uczciwszy w negocjacjach od większości jemu równych. – Sir Jean wzruszył

ramionami do sinego ze złości kardynała.

– Powiedz mu, że ma poczekać do niesporów aż was wypuszczę. Wtedy to otrzymam ułaskawienie od Kościoła i miasta za przetrzymanie was obu siłą – powiedział Barousse. – Co więcej, wszyscy moi ludzie i goście otrzymają takie samo ułaskawienie, a ja dostanę rekompensatę w postaci tysiąca dukatów i wasze słowo, oraz słowo doży, skoro już przy tym jesteśmy, że osobiście wybaczą mi, tak jak wkrótce wybaczą mi też nasz Pan. Powiedz tej gnidzie, żeby poczekała w swoim pałacu na dalsze żądania, które zostaną przysłane po zmroku.

– Gbur! – Kardynał Bunuel splunął. – Myślisz, że możesz nas uwięzić za pomocą mieczy i dostać, co zechcesz? Niebo nie jest dla takich łajdaków!

– Wwięzić? – Barousse zrobił zbolałą minę i wsunął ostrze do pochwy. – Przenigdy! Możecie odejść w dowolnej chwili! Oczywiście, jeśli to zrobicie, zanim wyrażę na to zgodę, moi ludzie z miejsca was zamordują. Ale uwięzienie? Nie, nie. Nie ma tu krat, nie ma klatek, zwykła gościnność stosowna dla ludzi waszej rangi.

Grossbartowie gapili się na zaprawionego w bojach rycerza, który bez przyłbicy zwanej psim kapturem wyglądał zdecydowanie mniej przerażająco. Wydatną zuchwę miał gładką, a nieliczne blizny były płytkie i niewyraźne. Dodatkowo skomplikował sprawę, zlewając się perfumami, które przypominały braciom gryzące zapachy w chacie czarownicy.

– Śmiało więc. – Barousse ruszył do drzwi.

Kardynał, dostrzegając strach na twarzach jego ludzi, zwrócił się do kuszników:

– Celując do mnie z broni, ściągnęliście na siebie wieczne potępienie! Tylko jeśli przeżyję, możecie uzyskać rozgrzeszenie!

To powiedziawszy, rzucił się do drzwi.

Hegel zahaczył o jego łydkę trzonkiem oskarda i kardynał wyłożył się w progu jak długi. Grossbartowie złapali go i przytrzymali za ręce, a on pluł i kopał, gdy poniżenie przewyciężyło jego zwykle łagodną naturę. Na znak kapitana zaciągnęli go do kuchni, a Barousse, Rodrigo i strażnicy nadzorowali sir Jeana, który recytował żądania wściekłemu, lecz nie do końca zaskoczonemu doży.

Doża zostawił pikinierów, żeby blokowali bramę, a sam odjechał do pałacu.

Barousse zatrzasnął drzwi i poklepał Rodriga po plecach. Podstęp udał się nawet lepiej, niż kapitan się spodziewał. Przeprosiwszy po raz kolejny sir Jeana, rozbroił go i odprowadził do jadalni w asyście trzech kuszników. Ponieważ odesłano służbę, Rodrigo sam pośpieszył po wino i jedzenie dla kapitana.

Przygotowawszy kilka półmisek z resztkami zimnych wędlin, których nie zdążyli jeszcze przejąć znów ucztujący Grossbartowie, Rodrigo zszedł do piwniczki po wino. Zatkąło go na widok, który go powitał, i popędził z powrotem schodami, krzycząc na braci:

– Coście zrobili z księżmi?

– Żeśmy umieścili ich na dole. – Manfred rzucił w Rodriga skórka od chleba. – Jakaś właśnie zobaczył, o ile się domyślam.

– Głupcy! Ten oszalały ksiądz zabił tego drugiego! – wrzasnął Rodrigo.

– Niech to wszyscy diabli! – Manfred się zerwał. – Przeciem ci rzekł, żebyś go dobrze związał!

– I żem związał! – Hegel też się poderwał. – Jeśli to taka lebiega, że dała się zarznąć związanemu człowiekowi, to zasłużył sobie na to, co go spotkało.

Zeszli niepewnym krokiem po schodach i zobaczyli nagiego Bunuela zwieszającego się z dźwigarów. Łajno ściekało mu po nogach. Martyn wymienił znoszone odzienie na obszyte szkarłatem szaty kardynała i modlił się żarliwie w kącie, nieświadom zamieszania, jakiego narobił. Grossbartowie uspokoili się, widząc, że zaszło nieporozumienie.

Manfried zbeształ Rodriga:

– Trza czasem używać gał, chłopcze! – Pokręcił głową. – A że się zamienili ubraniami, to rozumiem, skąd ta omyłka, ale mnie wystarczy raz zerknąć, a już ci powiem, że stało się na odwrót. Spozstrzegawczość pozwoli ci dłużej żyć niż ganiecie tam i z powrotem i wywrzaskiwanie najróżniejszych bredni.

– Wasz obłąkany przyjaciel to zrobił, jest jak mówię! Wasz oswojony heretyk zabił kardynała! – Rodrigo zgiął się wpół i zwymiotował.

– Smrodu tym nie poprawisz. – Hegel zdjął butelkę wina ze stojaka.

– Słuchaj – zwrócił się Manfred do krztuszącego się Rodriga – albo jest po mojemu, albo po twojemu i tylko Maryja wie, która droga jest słuszna, znaczy się moja, rzecz jasna, ale nie o to mi szło. Rzecz w tym: albo ja mam rację i człowiek działający zgodnie z Wolą Maryi, oddany słusznej sprawie, powiesił heretyka, co jest jego obowiązkiem i świętym powołaniem, zwłaszcza że



rzeczony heretyk kpił sobie z nas wszystkich, udając pobożnego...

– Albo... – I wtedy żołądkiem Rodriga szarpnęły skurcze.

– ...albo możemy zgodzić się na twój sposób widzenia – kontynuował wywód Manfred – i założyć, że ten czerwony i bardzo martwy kardynał był tym prawym, co oznacza, że Martyn jest heretykiem i co gorsza, takim, który zamordował sługę Maryi. A ponieważ sprzymierzył się z nami, my są jego współnikami.

– Musi istnieć jakieś inne wyjście. – Rodrigo otarł usta.

– Rozumie się – kontynuował Manfred, podnosząc głos. – Oddamy Martyna doży i wyjaśnimy mu pomyłkę z nadzieją, że to wyrozumiały człowiek. Nie masz czasu na smarkanie w rękaw, więc pogódź się ze zgodnym ze zdrowym rozsądkiem stanem rzeczy: wykonujemy dzieło Maryi, a ta tutaj kardynalska menda więcej niż nam przeszkadzała, bluźniła, i my tego nie zdzierzymy.

– Napij się – zaproponował cicho Hegel, ale kiedy Rodrigo uniósł głowę, zobaczył, że Grossbart podaje butelkę Martynowi.

Martyn przerwał recytację psalmów, otworzył oczy i wziął wino od Hegla. Otwarte drzwi nad nim okalały Hegla światłem, a dyndające nogi Bunuela wyglądały jak skrzydła obłąkanego sługi bożego. Butelka rozbłysła czerwienią w dłoni Grossbarta, gdy powtórzył raz jeszcze propozycję.

– Nie jestem wart tych skradzionych szat, już nie wspominając o twojej łasce – mruknął Martyn, poprawiając szarfę.

– Czekaj no chwilkę. – Hegel położył rękę na ramieniu Martyna i przykucnął. Kierując się wskazówkami Manfreda, zaczął tłumaczyć księdzu: – My są sługi Maryi i po naszymu zdobył żeś te szaty i stanowisko, jakie one oznaczają, dzięki własnej jebanej pobożności. Żadni z nas heretycy, my jedyni poza tobą samym wiemy, jakie zepsute i występne jest to, co oni zwą Kościołem, a ten skurwysyn, któregoś powiesił, to tego kardynalny przykład. Zatem noś te szaty z dumą i godnością, kardynale Martynie.

– Ale... – Oczy Martyna zabłyśły.

– Poza tym – zawołał Manfred, wyczuwając klęskę Rodriga i nieuchronne zwycięstwa brata – jak inaczej jednoręki ksiądz powiesi heretyka, jeśli nie dzięki sile wiary i z Woli Maryi?! Udusić może by i dał radę, ale to... – Manfred zarechotał, sam będąc pod wrażeniem wyczynu Martyna.

– Począwszy od Judasza – krzyknął Martyn zrywając się na równe nogi –

niech zdrajcy naszego Pana zawisną, jako zawisł ten pierwszy! Do Rzymu, Grossbartowie, a potem do Awinionu!

– Stul dziób – powiedział z westchnieniem Manfred. – Hegel, odetnij trupa i zanieś do stodoły. Przykryj go rzeczami Martyna i zabierz ze sobą tę jego żalospną dupę. Tylko pilnuj, żeby się nie wychylał, bo a nuż ktoś będzie szpiegował. Żeby nie wykryto naszego podstępu.

Hegel wspiął się na beczkę i odciął Bunuela, rozbryzgując gównem na wszystkie strony.

– Dlaczego to ja muszę ciągać truchło?

– Bo ja muszę zanieść wino kapitanowi i poinformować go o najświeższych wypadkach – wyjaśnił poirytowany Manfred. – A teraz bierz się do roboty, żebyśmy potem mogli znowu zasiąść przy winku.

Żeby złagodzić zacierzowanie Hegla, Manfred pomógł mu wyciągnąć trupa do kuchni, a potem przechwycił Rodriga, który wychodził po schodach z piwnicy. Sprowadził roztrzęsionego młodzieńca z powrotem na dół, zdjął butelkę ze stojaka i otworzył. Wyłopał z niej trochę i podał ją Rodrigowi, a potem wyciągnął kilka następnych. Wyszedł z piwnicy obładowany trunkiem i wkroczył do pustego foyer, gdzie wyczuł smród Araba, kuśtykającego wzdłuż balustrady na piętrze do komnat kapitana.

– Złaź tutaj! – warknął Grossbart.

– Prześwietny pan Manfred! – Al-Gassur odwrócił się, a jego niezauważony grymas przerażenia natychmiast został zastąpiony przez ujmujący uśmiech. – Tu pan jest! Szukałem i szukałem, tylko po to, żeby odkryć, że zamieniliśmy się miejscami i ja jestem na górze, a pan na dole!

– Ty brudna szujo. – Manfred zaczekał u stóp schodów. – Co robisz w domu?

– Szukam pana, rzecz jasna! Z mojego legowiska w stajni zorientowałem się, że mogę pana przestrzec przed nadciągającym niebezpieczeństwem.

– Jakim nadciągającym niebezpieczeństwem? – spytał Manfred.

– Ależ tym, które grozi nam wszystkim, kiedy doża taki rozsierzony, a jego ludzie uwięzieni. Pomyślałem...

– Pomyślałeś, że twoje jebane spostrzeżenia są lepsze od moich?

– Nie, oczywiście, że nie, ja tylko chciałem...

– Zakraść się cichaczem i ukraść, co tylko się da, zanim nas porzucisz?

Al-Gassur całkiem przekonująco udał śmiech i zamarkował poślizgnięcie, żeby przyklepać koszulę i upewnić się, że skradziony srebrny kandelabr nie wybrzusza jej za bardzo.

– Masz siedzieć na dole, dopóki nie każę inaczej, rozumiano?

– Tak, panie Grossbart.

– Dobrze. Weź to wino. – Manfred wepchnął mu dwie butelki pod pachę, pod którą Al-Gassur trzymał kulę, i poprowadził go do jadalni.

Przez otwarte drzwi zobaczył Barousse'a i sir Jeana, śmiejących się, jakby byli dozgonnymi przyjaciółmi. Francuski rycerz uznał kapitana za najgorszy przykład nuworyszowskiego merkantyizmu złagodzonego godnymi ubolewania manierami i szczodłą dawką szaleństwa, Barousse zaś uznał bratanka wicehrabiego de Meaux za zepsutego fircyka nieświadomego własnego położenia. To nie przeszkodziło im w prowadzeniu ożywionej dyskusji na temat uwięzienia sir Jeana w Anglii po bitwie pod Poitiers. Najemni strażnicy nerwowo skinęli głowami Manfredowi i Arabowi.

– Manfred! – zawołał Barousse. – Przyniosłeś więcej wina, doskonale! Rodrigo źle wyglądał, więc wysłałem go, żeby odpoczął.

– Rigo powiedział panu, co się stało? – zapytał Manfred i kiedy kapitan pokręcił głową, Manfred zabrał butelki Arabowi.

Postawił jedną przed kapitanem, a drugą otworzył sam i pociągnął z niej, zanim powiedział:

– Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót, co może nam krztynę utrudnić życie.

– Jakiego rodzaju obrót? – W głosie Barousse'a pojawiło się napięcie.

– Kardynał nie żyje – odparł Manfred.

– To bardzo źle. – Barousse wzruszył ramionami. – Chyba nic już na to nie poradzimy.

– Posłałem Hegla, żeby położył go w stodole i kazałem Martynowi, żeby poszedł za nim w szatach kardynała, więc ludzie u bram pomyślą, że nadal dycha.

– Rozsądnie – zgodził się Barousse i nagle wstał. – Zajmę się szczątkami lepiej niż oni, podam spóźniony obiad pani domu, a potem zabiorę was z Heglem, żebyśmy domknęli pewne kwestie. Pod warunkiem, rzecz jasna, że zabawisz sir Jeana, kiedy ja się zajmę obowiązkami.

– Myślę, że dam radę. – Manfred westchnął, siadając na krześle Barousse’a.

Kiedy tylko kapitan przeprosił towarzystwo i wyszedł, Manfred złapał kieliszek nadąsanego rycerza i podał go swojemu kręcącemu się słudze.

– Może trochę wina, Arabie? – zapytał Manfred, patrząc w oczy sir Jeanowi.

Al-Gassur skłonił się i nalał sobie z butelki Barousse’a. Był wystarczająco bystry, żeby zrozumieć grę i zachować milczenie. Siorbnął i zamlaskał, a usta Manfreda wykrzywiły się w uśmiechu proporcjonalnym do grymasu sir Jeana.

– Jużem pierwej widywał ludzi twojego pokroju – oznajmił Manfred, wydał wargi i przepłukał usta winem. – Jeżdżących konno, zadzierających nosa. Żem was widział.

Sir Jean nie nauczyłby się niemieckiego, nawet gdyby miał okazję, bo wierzył, że święte cesarstwo rzymskie i jego gardłowy język są godne najwyższej pogardy. Uśmiechnął się więc leciutko na tę chłopską ordynarność i za to chluśnięto mu winem w twarz. Jego dłoń przesunęła się ku pustej pochwie, szkarłatne policzki pobladyły, a niebieskie oczy wyszły z orbit. Powiedział Manfredowi dokładnie, co o nim myśli, zaczynając po francusku, ale przechodząc na włoski na użytek obserwujących ich strażników i Araba.

Al-Gassur zaczął tłumaczyć, a wtedy sir Jean pobladł jeszcze bardziej i diatryba zamarła mu na ustach. Manfred skinął z podziwem głową i wstał. Sir Jean nie wzdrygnął się, ale pochylił się, przygotowany na cios, który nigdy nie padł.

– Gadaj mu, żeby zdjął tę zbroję – rozkazał Manfred Al-Gassurowi, który od razu wykonał polecenie.

– Powiedz mu, że nie wykonam żadnego jego rozkazu, tylko poczekam na powrót kapitana – przerwał mu sir Jean.

– Proszę o wybaczenie, drogi Francuzie – powiedział Al-Gassur, pozwalając sobie na pewną dowolność w wypełnianiu obowiązków – ale wierzę, że pan Grossbart szuka pretekstu, żeby pana zabić. Na pana miejscu zrobiłbym, co mówi, chyba że jest pan gotów skończyć tak samo jak kardynał.

– Zabito kardynała Bunuela? – Sir Jean przełknął ślinę. – Oszaleli?

– Owszem. No dobrze, pośpiech będzie jeszcze większym pana sojusznikiem niż nawet ja sam...

Manfried powściągnął chęć trzepnięcia Araba, zwłaszcza że w strumieniu bełkotu rozpoznał słowo „Bunuel”. Sir Jean wstał i niechętnie zdjął zbroję, co

bez pomocy giermka zajęło mu dłuższą chwilę. Manfred krążył wokół niego, uważnie przyglądając się temu, jak żelazna skorupa składa się w całość.

Hegel patrzył wilkiem na słońce, na gwardzistów przyglądających im się ciekawie, na powykęcane ciało Bunuela zastygłe w stężeniu pośmiertnym i na Martyna. Rzuciwszy prawdziwego kardynała na siano, sięgnął po butelkę, którą nowy kardynał przyniósł pod pachą, i zaczął krążyć po stajni. Martyn otarł wymazane ekskrementami dłonie o bok konia, którego Hegel spiorunował wzrokiem, jakby go prowokował, żeby wykonał pierwszy ruch. Koń zamrugał, a Hegel powstrzymał chęć, żeby go zabić.

– Co to? – Martyn wskazał coś za drzwiami.

– Hm?

Hegel spojrział na urządzenie zbudowane na tyłach ogrodu. Główne podpory wznosiły się niemal na wysokość domu, między nimi balansowała wielka belka, jednym końcem umocowana do czegoś za krzakami. W ogóle nie pojmując sensu takiego ustrojstwa, skłamał Martynowi:

– To narzędzie naszego zwycięstwa.

– Znasz jego przeznaczenie? Cudownie! – To Barousse nadszedł z domu.

– Ehm. – Hegel podrapał się po brodzie.

– Łapcie za ciało, weźmiemy je ze sobą. Pomożecie mi przygotować nasz ostateczny cios. – Barousse skręcił w stronę ustrojstwa, a Hegel i Martyn ruszyli za nim, klnąc ile wlezie i holując ciało Bunuela.

Bliższe oględziny urządzenia wprawiły ich dwóch w jeszcze większe zakłopotanie, Barousse zaś złapał za koło i z pomocą Hegla spuścił jeden koniec chwiejącej się belki. Przymocowano do niej spory drewniany kosz, do którego teraz bezceremonialnie wrzucili kardynalskiego trupa. Kilku strażników patrzyło z tarasu, teoretycznie pilnując tylnych murów, na wypadek gdyby ludzie doży próbowali wziąć je szturmem.

– Powiedziałem budowniczym, że zostanie wypełniony tyłoma kwiatami dla uczczenia Strafalarrii, że będą ważyć tyle co kotwica – burknął Barousse, prowadząc Martyna i Hegla na taras i do tylnych drzwi – więc wszystko powinno być właściwie wykalibrowane. Mam przygotowaną prawdziwą kotwicę, dzięki niej będę miał pewność celnego strzału. Razem z kardynałem i kilkoma setkami dukatów powinna wystarczyć, żeby wyciągnąć tłumy na ulice, a wtedy nikt nie zauważy naszej ucieczki.

– Chytry plan – przyznał Hegel, w kwestiach technicznych równie lotny jak osioł.

– Do czego to służy? – zapytał Martyn, za co Hegel podziękował mu w duchu.

– Już niedługo się dowiesz. – Barousse zatarł ręce. Wchodząc tylnymi drzwiami za centralną klatką schodową, wskazał jadalnię. – Dopilnuj, żeby twój brat nie zamordował naszego drugiego zakładnika i zadbaj, żeby ten cymbał nie poznał naszego planu. Wróć, kiedy tylko załatwię swoje sprawy.

Twarz Barousse'a pociemniała, kiedy ruszył w stronę kuchni. Hegel i Martyn poszli zobaczyć, co porabia Manfred. Kiedy kapitan brał wiadro żywych sardynek stojące obok stołu kuchennego, zobaczył wychodzącego z piwniczki Rodriga, który po raz kolejny zszedł po wino. Rozlewając wodę po całej kuchni, Barousse odwrócił się do zarumienionego młodzieńca.

– Wiem, że chwilami było ciężko. Do diabła, przez większość czasu było ciężko. – Barousse zagapił się na wiadro. – Zatraciłbym się dawno temu bez ciebie i Ennia. I przykro mi z powodu tego, jak się sprawy potoczyły aż do tej chwili. Przykro mi z powodu twojego brata, synu. I ojca.

– Ja, ehm, dziękuję, bardzo dziękuję... – Rodrigo nie wiedział właściwie, jak zareagować na słowa, które od tak dawna pragnął usłyszeć.

– A teraz bierz się do roboty i skup się jak należy, bo inaczej wyrzucę cię za burtę. – Barousse mrugnął, na chwilę zapominając, po co przyszedł do kuchni. Miotająca się ryba opryskała mu buty i spokój natychmiast go opuścił. – Nie stój tak i nie gap się! Zostaw te przekłete butelki! Idź po Grossbartów i przyślij ich do mnie. Zabijcie snoba, jeśli zacznie coś kombinować.

Biegiem wrócił do foyer i wbiegł po schodach, nie bardzo wiedząc, dlaczego w kuchni wzrok mu się zamglił. Nie mogąc pozbyć się szerokiego uśmiechu, Rodrigo pobiegł przez dom, widząc po drodze kapitana znikającego na piętrze. Strażnicy omal nie zastrzelili chłopaka, kiedy wparował do jadalni. Cała jego stłumiona radość wybuchła histerycznym śmiechem na widok, który go powitał.

Sir Jean siedział rozebrany do samej przepaski biodrowej, a Grossbartowie stali po obu jego stronach. Manfred miał na sobie górną część rycerskiej zbroi, a Hegel niezgrabnie mocował sobie na guzowatych nogach nagolenice. Pijany Al-Gassur miał na głowie hełm i siedział na kapitańskim krześle, niezręcznie wpasowując szyjkę butelki pod sterczącą zasłonę przyłbicy. Martyn wyciągnął

się na drugim krześle, a soczystej barwy kardynalskie szaty zwieszały mu się z patykowatych rąk niczym krwawo obręzione nietoperze skrzydła. Umocowawszy sącdek na właściwym miejscu, Hegel popukał w niego kłykiem i uśmiechnął się znacząco do gotującego się rycerza.

– Kapitan prosi was do swoich komnat. – Rodrigo zachichotał. – Ja popilnuję Francuza.

– Pilnuj jego gęby i innych członków – poradził mu Manfred.

– Chociaż bez swojego żelastwa nie jest już taki chojrak – zauważył Hegel i obaj wyszli.

Weszli z brzękiem po schodach; każdy uważał, że ten drugi dostał lepszą część nieporęcznej zbroi, która tak podzielona ledwie się trzymała na ich ciałach. Kapitan przyjął ich u siebie, po raz pierwszy zauważając Araba. Ponaglił ich, by wchodzili, ale zostawił uchylone zarówno drzwi wejściowe, jak i drzwi klatki. Wskazał kilka otwartych skrzyń. Były wypełnione monetami, których jeszcze więcej walało się na dywanie. Grossbartowie ukryli chciwość i zdumienie o wiele lepiej niż Al-Gassur, który oblizał usta i ustawił kulę tak, żeby mogła poślizgnąć się na podłodze i by on sam wyłożył się jak długi. Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, Barousse zwrócił się do nich, a Arabowi z wdzięczności aż gula podeszła do gardła.

– Wynieście to do ogrodu – polecił im kapitan. – Szybko, bo o ile znam Strafalarię, będziemy mieli prawdziwe szczęście, jeśli da nam czas do zmierzchu na przygotowania.

– Mogę napełnić worek, bo moja ułomność uniemożliwia mi niesienie całej skrzyni? – zapytał Al-Gassur.

– Tam masz wiadro. – Barousse skinął głową w stronę wanny, do której natychmiast pośpieszył Manfred, zanim Arab zdążył się ruszyć.

– Dlaczego wynosimy je na tyły, zamiast wie pan którędy? – zapytał Hegel, mając na oku brata.

– To podstęp, mój drogi Heglu – wyjaśnił Barousse, dźwigając skrzynię. – Sztuczka, żeby odwrócić uwagę ludzi. Nie opuścimy portu łajbą Angelino, jeżeli ktokolwiek dostrzeże nas na pokładzie. Musimy sprawić, że będą patrzeć w innym kierunku, na ruiny pałacu doży, na pożar w mojej rezydencji, na cud złotego deszczu spadającego na ulice! Śpieszcie się, ogary moje, śpieszcie!

– Nie wyzywaj mnie od zwierząt – warknął Hegel, podnosząc skrzynię.

Al-Gassur udawał, że związuje rant długiej do ziemi tuniki, kiedy wiadro wpadło mu w ręce i uderzyło w palce. Manfred zaśmiał się, kiedy Arab rąbnął o ziemię. Tymczasem Al-Gassur cieszył się w duchu, że parchaty sukinsyn ułatwił mu podstęp. Jęczał i turlał się po ziemi, i zanim doszedł do siebie na tyle, by wstać, jego spiczaste cizmy i ukryte kieszenie pożarły tuzin rozsypanych dukatów.

– Skończ z tym biadoleniem – rozkazał Manfred i trzepnął Al-Gassura w ucho.

– Przepraszam, przepraszam – jęczał Arab, niezręcznie napełniając wiadro i rękaw monetami.

Zbiegli truchtem po schodach i na tyły, a zdumieni strażnicy patrzyli, jak wyrzucają zawartość kufrów do pojemnika maszyny, wprost na cuchnącego trupa kardynała Bunuela. Na ten widok cała trójka się zaśmiała, a Al-Gassur posłusznie do nich dołączył. Zdyszany Barousse odwrócił się do towarzyszy i otarł zaróżowione czoło.

– Wracajmy do domu – powiedział – po następny ładunek.

Podeksycytowanie braci i Araba szybko zamieniło się w gotującą się wściekłość, kiedy zobaczyli potężną kotwicę opartą o ścianę foyer. Potem było mnóstwo popychania, przeklinania, napinania się i szarpania, ale w końcu żelazny kolos wylądował obok trupa Bunuela w wypełnionym monetami koszu.

– Kluczowe – wydyszał Barousse. – Kluczowe. Byśmy. Nie strzelili. Za wcześnie. Do diabła.

– Wedle twego słowa. – Hegel wzruszył ramionami, patrząc na Manfreda. – A teraz weźmy sobie trochę kiełbas i wina.

Barousse oblizwał usta.

– Mądrze mówisz.

Manfred obszedł urządzenie i dom, żeby wejść kuchennymi drzwiami, uprzednio udaremniając Al-Gassurowi próbę powleczenia się za nim. Hegel przypomniał strażnikom pilnującym tyłów, co czeka złodziei, a Barousse dodał, że niedługo wszyscy poześlują, mając o wiele większe bogactwa w skrzyniach. W jadalni sir Jean siedział z rozkwaszonym nosem, za próbę przekupienia Rodriga. Mimo manier i eleganckiego odzienia, Rodrigo nie wywodził się z arystokracji ani posiadaczy ziemskich, więc naturalnie nienawidził tych, którzy do tej grupy należeli.



Strażnicy również pogardzali sir Jeanem z powodu jego szczęśliwego urodzenia i ojczyzny, ale w przeciwieństwie do wyczerpanego nerwowo Rodriga i wojowniczych Grossbartów, ich strach rósł z każdą obrazą, jaką musiał znieść arystokrata, i z każdym bluźnierstwem wypowiedzianym przez Martyna. Strażnicy i sir Jean wierzyli, że pod koniec dnia wszyscy skończą na szubienicy, o ile nie wydarzy się cud.

## XXI

# POŻOGA PRAGNIEŃ



Godzinę przed zachodem słońca pięćdziesięciu pikinierów zjawilo się, by zmienić swoich towarzyszy broni przed bramą kapitana. Dwóch ludzi Barousse'a czekało nerwowo, aż zjawi się rzecznik doży i zaproponuje im amnestię, jeśli, nie stawiając oporu, wpuszczą gwardię doży, kiedy – i o ile – taki rozkaz padnie. Najemnicy uzgodnili, że dadzą się przekupić taką obietnicą, kiedy usłyszeli o śmierci kardynała, ponieważ nie zamierzali odgrywać żadnej roli w nieuchronnej masakrze. Przywódca pikinierów doży upierał się, że rozstawiono ich tylko po to, by zapobiec ucieczce. Jednakże by wykazać się swoją lojalnością, najemnicy Barousse'a czym prędzej poinformowali go o zgonie Bunuela. Nie przejmując się ani odrobinę jakimś francuskim smarkaczem i wątpiąc, czy doża się nim przejmie, pikinierzy zażądali natychmiastowej kapitulacji. Strażnik pośpieszył otworzyć bramę, kiedy strzała wystrzelona z okna domu wbiła mu się w nogę i zdrajca padł, wyjąc. Potem wszystko się popsulo i po dziś dzień Wenecjanie szepczą, że w następnych chwilach Bóg odwrócił swoje oczy od Wenecji.

Słyszac krzyki od frontu, Barousse zwolnił dźwignię trebusza, a Grossbartowie zaczęli wiwatować, kiedy kotwica, monety i kardynał wzleciały ku zachodzącemu słońcu. Rodrigo biegł przez piętro, oblawszy już olejem wszystkie pokoje na parterze. Najemnicy, którzy strzegli rycerza, dostali bełtami z pokoju niegdyś zajmowanego przez Grossbartów, a sir Jean i Martyn patrzyli na katapultę z tarasu.

Sir Jean był wstrząśnięty, a gwałtowne pragnienie, by uciec za dom, poszło w zapomnienie na widok tupetu Barousse'a. Trójka kuszników, która stała razem z nimi na tarasie, wydała z siebie trzy okrzyki i wystrzeliła trzy bełty, kiedy pikinierzy wylali się z za domu od strony stajni. Martyn uciekł do domu, a sir Jean za nim, bojąc się, że może wylądować na linii salwy kuszników albo

zostać zabity przez tych, którzy przybyli mu na ratunek, zanim zostanie rozpoznany.

Jeden ze strażników cisnął z okna lampę oliwną na tych, którzy tłoczyli się przed frontowymi drzwiami, podpalając kilku, i zaraz dostał strzałą między oczy. Poleciał do przodu na parapet, podczas gdy pozostali dwaj najemnicy wycofali się do korytarza. Doża sprowadził zatrzęsienie kuszników, naprawiając wcześniejszy błąd. Najemnicy zobaczyli Rodriga, który biegł korytarzem, śmiejąc się nerwowo.

Ziemia zadygotała pod stopami Grossbartów od uderzenia przeciwwagi, a pośpiesznie zbudowana katapulta rozpadła się i zawaliła za ich plecami. Przy pierwszym kroku w stronę domu Al-Gassur zdał sobie sprawę, że pikinierzy go wyprzedzą, wyjął więc sztylet i przeciął wiązania na rzekomo okaleczonej nodze, przerzucił kulę przez ramię i popędził za swoimi panami.

Z wysokiego tarasu kusznicy Barousse'a wystrzelili drugą salwę, a podobnie uzbrojeni członkowie sił doży odpowiedzieli im tym samym. Dwaj najemnicy padli, podziurawieni strzałami, ale trzeci uskoczył do domu po lampę, którą mógłby cisnąć w dół. Kiedy Grossbartowie wbiegali po schodach prowadzących na taras – Hegel pierwszy, Manfred za nim – uderzyło w nich kilka bełtów. Pociski jednak odbijały się od ramion Manfreda i nóg Hegla; skradzione płyty zbroi uratowały im życie. Al-Gassur pędził za nimi, ale znajdował się wystarczająco daleko w tyle, żeby uniknąć salwy.

Barousse nie miał zbroi, więc dwa bełty, które trafiły go w ramię, i trzeci, który uderzył w udo, wbiły się w żywe ciało. Zignorował rany i wpadając do domu, przewrócił jedyne żywego strażnika, przez co biedak upadł na lampę. Lampa roztrzaskała się i spowiła go płynnym ogniem. Grossbartowie przeskoczyli nad miotającym się mężczyzną, który żywcem płonął, a Al-Gassur zrobił to samo w ostatniej chwili przed pojawieniem się pikinierów na tarasie. Jeżeli Grossbartowie zauważyli, że ich sługa w cudowny sposób odzyskał kończynę, to o tym nie wspomnieli. Zamiast tego wyskoczyli z za płonącej już klatki schodowej i ruszyli za rannym kapitanem na piętro.

Ponieważ najemnicy Barousse'a ciskali z piętra lampami w najeźdźców przed drzwiami na dole, wkrótce po ścianach całego domu pełzały płomienie, a strzały śmigały przez przesłonięte dymem okna. Al-Gassur wyprzedził swoich panów na schodach, jego kula tylko podskakiwała przed ich usmolonymi twarzami.

Balustrady obok nich strzelały i syczały, buty im dymiły, kiedy dotarli do zrozpaczonej grupy – Rodriga, Martyna, sir Jeana i ostatnich dwóch strażników Barousse’a – czekającej przed zamkniętymi na klucz drzwiami do sypialni kapitana. Francuz miał wbity w biceps bełt wystrzelony przez jednego z ludzi doży – zdobył go, próbując uciec frontowymi drzwiami – a złote pukle przypalone po tym, jak zawrócił do domu i wpadł przez płonące drzwi.

Barousse szukał kluczy i mimo poważnych ran, od jego śmiechu aż drżały ściany. Jeden ze strażników zemdlął z gorąca i spadł do tyłu przez balustradę, zanim ktokolwiek zdążył go złapać. Otwierając drzwi, dostrzegli, że kilku pikinierów odważyło się przejść przez piekło i pędzi za nimi po schodach. Barousse odwrócił się, żeby stanąć do walki, ale Grossbartowie zaciągnęli go do sypialni i zatrzasnęli drzwi, wiedząc, że ma jedyny klucz do klatki, w której teraz wszyscy stali zbici w gromadkę. Kapitan otworzył ją i całe towarzystwo wepchnęło się do pokoju w tej samej chwili, w której Al-Gassur otarł się o tłące się drzwi i jego zbryzgane olejem ubrania natychmiast zajęły się ogniem. Pozostali odskoczyli od niego, kiedy śmignął ku ogromnej wannie Barousse’a i rzucił się do wody. Wąsy i reszta jego osoby zaskwierczały.

Al-Gassur zawsze utożsamiał aseksualność z praktycznością, ale kiedy otworzył oczy pod powierzchnią, piekąca słona woda uczyniła z kobiety unoszącej się przed nim ucieleśnienie kobiecości, która stopiła mu serce i zarazem usztywniła inne regiony jego ciała. Barousse pobiegł za zabłąkanym Arabem i wyciągnął go z wody za włosy, a kobieta śmignęła w ciemny kąt wanny. Sir Jean próbował urządzić przedstawienie z powodu swojej rany, ale kiedy wyartykułował swe cierpienie, zarobił tylko po głowie od Hegla i osunął się na ziemię, a jedyny najemnik, który przeżył, ostrożnie wyjął mu bełt z bicepsa. Hegel wyszczerzył zęby i wsunął koniuszek oskarda pod brodę sir Jeana, pomagając mu wstać.

Manfried pobiegł za kapitanem i brutalnie skopał Al-Gassura, który zawodził wniebogłosy na podłodze. Konieczność sprawiła, że Arab zrobił to, o czym Manfried marzył za każdym razem, gdy wchodził do pokoju. Barousse porwał prześcieradło z łóżka i podszedł do brzegu wanny. Wszedł po pas w wodę i szepnął do kobiety.

Jakaś belka runęła za drzwiami. Pikinierzy rąbiący drzwi wrzasnęli, kiedy piętro zaczęło się walić. Wszyscy spadli w piekło i tylko jeden, który złapał się

poręczy, żył dłużej niż pozostali towarzysze, zanim i on musiał się puścić, gdy ciało na jego palcach zlało się z gorąca w jedno. Martyn krążył po pokoju, krzycząc o potępieniu, a jego ślina syczała na płonących dywanach.

– Za Najświętszą Panią! – ryknął Hegel, podnosząc sakwę ze stosu zebranego na stole i wciskając ją Martynowi pod lewą pachę.

Barousse zasłaniał Manfredowi widok, ale kobieta zaraz wyszła zza niego, spowita mokrym, półprzezroczystym płótnem. Al-Gassur popełził za ostatnim najemnikiem i Rodrigiem, którzy zniknęli za posągami Maryi. Hegel złapał brata za rękę i przycisnął mu do piersi torbę.

– To nie Gipt, bracie – powiedział z naciskiem, patrząc Manfredowi w oczy.

Kobieta zrobiła kolejny krok w stronę Manfreda, a wody rozstępowały się przed nią, on jednak znalazł siłę, by się od niej odwrócić. Sir Jean i strażnik ruszyli za Rodrigiem rynną, a tuż za nimi Martyn. Al-Gassur sięgnął po monetę leżącą na podłodze, ale poparzyła mu palce. Gdzieś w pokoju zaczęły wybuchać butelki, buchnęły płomienie i na ludzi posypały się odłamki szkła, a każdy kawałek promieniał w ogniu, który pożerał ściany. Wtedy Hegel cisnął worek pełen dukatów Arabowi, który usłyszał brzęk monet i złapał go razem z leżącą na podłodze kulą, zanim zniknął w przejściu.

Kapitan założył na ramię jedną z toreb, ale pozostało jeszcze sześć i te bracia niezręcznie cisnęli obok Maryi do rynny. Przerażliwy odgłos rozdzierania rozległ się za nimi i obaj zobaczyli, jak ogromna wanna wypiętrza się i chwilę potem zostaje połknięta przez dom, kiedy zapadła się podłoga między nimi i wanną. Hegel dał nura za Maryję i tyłem wsunął się do rynny, ale ku swojej odrazie zobaczył, że Manfred odwraca się do czegoś poza jego polem widzenia. Pokonał tylko jeden szczebel, bo zaraz wyobraził sobie, jak ta zdradziecka kobieta ściąga zgubę na Barousse'a i Manfreda.

Dźwigar spadł z góry, przyszpilając kobietę do podłogi. Kapitan na próżno próbował go podnieść, krzycząc, kiedy tłące się drewno parzyło mu dłonie. Smród palonego mięsa i skóry wypełnił mu nos i Manfred odwrócił się od brata i Najświętszej Pani, żeby pomóc kapitanowi. Kobieta nie krzyknęła, nie jęknęła ani nie zapłakała, ale uśmiechnęła się do nich, kiedy unieśli płonącą belkę, która przygniotła jej nogi. Wymknęła się spod niej, a oni upuścili dźwigar akurat w chwili, gdy podłoga się pod nim zapadła.

Teraz od Najświętszej Pani oddzielała ich rozpadlina, płomienie pożerały

ściany wokół ich małej wysepki podłogi. Kapitanowi mina zrzędała, a jego łyżki skwierczały, zanim spadły na ziemię. Manfred złapał kobietę, stanął pewnie i cisnął ją ponad płomienną rozpadliną. Uderzyła głową w stopy Maryi i padła nieruchomo, a kapitan jęknął i skoczył za nią.

Prawie mu się udało.

Z nogami dyndającymi nad piekłem, palcami rozczapierzonymi i chwytającymi się płonącej podłogi, ze wzrokiem przykutym do postaci kobiety, Barousse usiłował dźwignąć swoje zwaliste ciało. Manfred skoczył za nim, ale przeholował i wpadł na Maryję. Zrzucił z podstawy posąg, który przechylił się i rozdarł płonąca ścianę, jakby to był mokry pergamin. Odruchowo wyciągnął ręce, żeby powstrzymać Jej upadek, ale wtedy poczuł dłoń kobiety na kostce i zobaczył, że uśmiecha się do niego mimo krwi spływającej po jej czole. Zapomniawszy o kapitanie, uklęknął, żeby ją pocałować, kiedy z przejścia wynurzył się Hegel i popsuł mu plan.

Widząc, że kobieta odwraca się do Manfreda zamiast do niego, Barousse puścił się i zamknął oczy Hegel skoczył ku niemu przywiązawszy się do szczebla kawałkiem liny. Złapał kapitana za rękę, ale, leżąc płasko na brzuchu, niewiele mógł zrobić poza tym, że go trzymał i patrzył w jego zaskakująco spokojną twarz.

Manfred podniósł kobietę. Mokre płótno przykleiło się do jego zbroi, ale on odwrócił wzrok i pchnął ją lekko ku przejściu. Hegel stękał i wiercił się, kapitan prawie mu się wyślizgnął, kiedy zjawił się Manfred. Razem bracia zdołali wyciągnąć Barousse'a z rozpadliny. Kolejny kawałek podłogi odłamał się pod piersią kapitana i niewiele brakowało, by go stracili, ale w końcu wszyscy trzej wpadli bezwładnie do rynny. Hegel odciął linę i zbiegł po szczeblach, a Barousse pchnął za nim Manfreda. Sam zszedł ostatni. Pręty parzyły mu dłonie, a ostatni widok na dom przesłoniły mu fale gorącego powietrza i dymu.

Rodrigo ruszył wąską półką wzdłuż kanału. Łojówka, którą zapalił od ścian, zanim zszedł, oświetlała sir Jeana i strażnika za nim. Rodrigo wręczył każdemu świecę. Sir Jean nie miał siły, żeby zaatakować ich (czy choćby pchłę), i dyszał, podpierając ścianę, z bosymi stopami w wodzie. Martyn i Al-Gassur zeszli jako następni, za nimi spadło kilka toreb i potem nic.

Kiedy wszyscy zdali sobie sprawę, że pozostała czwórka musiała upiec się żywcem, załadowali na siebie tyle toreb, ile zdołali i odwrócili się. Tylko

Martyn został z tyłu, żeby pomodlić się pośród lawiny rozżarzonych węgielków spadających rynną. Kamienny sufit zadygotał, więc przyśpieszyli kroku i zatrzymali się dopiero, kiedy Martyn wydał z siebie triumfalny okrzyk. W poświacie bijącej z szybu zobaczył wynurzającą się bladą kobietę, samą i nieskazitelną.

Potem zeskoczył Hegel i krzyknął:

– Zwolnijcie trochę, wy zafajdane łachudry!

Manfried spadł z ostatnich kilku szczebli i omal nie przeokoziłkował do kanału, na szczęście pomógł mu Hegel. Bracia o mały włos nie zostaliby zmiażdżeni przez Barousse'a, kiedy wypadł z rynny, w której prawie utknął. Łapiąc pozostałe torby, pchnął ich przodem ku półce, gdzie czekali już pozostali, a płonące szczątki wypadające rynną za nimi oświeślały im od tyłu drogę.

Kobieta ujęła Barousse'a pod ramię, uśmiechając się przy tym do Manfreda. Ruszyli pośpiesznie tunelem, a ich świece pogasły jedna po drugiej z powodu kąpiącej wody i rozbryzgujących się nieczystości. W chwili, kiedy dotarli do drabiny, zgasła ostatnia łojówka. Stanęli po pas w cuchnącej siarką wodzie.

– Ilu moich ludzi jest z nami? – spytał Barousse.

– My jesteśmy wszystkimi pańskimi ludźmi, kapitanie – odpowiedział Rodrigo.

– Nie, nie, pytam o moich osobistych zbójców.

– My są oba, ja i Hegel – odpowiedział Manfred.

– Wiem. – Barousse podniósł głos. – Mam na myśli ludzi, których wynająłem, żeby bronili rezydencji i którzy mieli być naszą załogą na pokładzie u Angelino.

– Mnie jest jeden – odezwał się strażnik. – Znaczy, Raphael.

– Kto jeszcze? – zapytał Barousse.

– Mnie jest tylko jeden – odpowiedział Raphael, ewidentnie męcząc się z niemczyzną.

– A niech to ognie piekielne! – Barousse potarł poczerwiałe czoło poparzonymi palcami.

– Mnie jest jeszcze ten, no... – Raphael wymamrotał coś w języku, którego nie zrozumiał nikt z obecnych oprócz sir Jeana, a potem się rozpromienił. – Zakładnik! Nadal utrzymuję zakładnika.

– Rycerza? – Barousse zmrużył oczy w ciemnościach, a potem przeszedł na włoski: – Nadal jesteś za nami, ehm, Jean?

– Sir Jean – odparował rycerz.

– Nie potrzebujemy żadnych świadków – powiedział Barousse. – Raphael, poderżnij mu gardło.

– Poczekaj! – krzyknął sir Jean.

– Poczekaj – przyzwolił Barousse.

– Pośpieszcie się – dodał po niemiecku Hegel, wchodząc na drabinę.

– Chociaż nasz plan do tej chwili był bez skazy – sir Jean grał na zwłokę – zamordowanie mnie może go popsuć.

– W jaki niby sposób? – Barousse wyciągnął kordelas i ruszył w stronę, z której dobiegał głos sir Jeana.

– Jeśli znajdą tu moje ciało albo wypłynie ono z kanału, co wtedy? Będą wiedzieli, że jacyś ludzie uciekli z pożaru! – Sir Jean uśmiechnął się z powodu własnej przemyślności. – A jeżeli odkryją was po opuszczeniu kanałów, nadal jestem wart fortunę w okupie.

– Mnie go rozciąć? – zapytał po niemiecku Raphael z za pleców rycerza.

– Nie – uznał kapryśnie Barousse. – Zawsze możemy zrobić to później. Chociaż nie bardzo widzę, jak wyciągniemy od kogoś tę fortunę w ramach okupu. Wobec tego na górę, panowie.

Hegel odpędził psy czające się u wylotu jamy, jak zwykle czerpiąc nieprzyzwoitą przyjemność z faktu, że jednemu przyłożył w pysk oskardem. Szczekanie rozległo się echem w zaułkach, ale w przeciwieństwie do ciszy poprzedniej nocy, tym razem w całym mieście panowała wrzawa. Manfred wyszedł następny, wpadając w poślizg w rybnym błocie przed Rodrigiem. Potem wynurzyli się pozostali, a ostatnia pojawiła się kobieta zaraz po Baroussie. Hegel podszedł do miejsca, w którym ich zaułek krzyżował się z drugim, ale nie znalazł najmniejszego śladu po zabitym uliczniku. Opierając się o ścianę, zobaczył, że nie tylko zachodzące słońce oświetla im drogę, ale też poświata oznaczająca, że dom Barousse'a nadal płonie.

Zaułki były opustoszałe, nie licząc paru pijanych żebraków, których Barousse bezlitośnie kazał zabić. Manfred i Hegel wyśmiali propozycję sir Jeana, że im pomoże, z wielką pewnością wzięwszy to zadanie na siebie. Al-Gassur rozpoznał jedną z ofiar jako zaprzyjaźnionego oszusta, na którego wołano



Sześciopalczy Pietro, i jego niechęć do Grossbartów zamieniła się w jawną nienawiść. Próbował uciec od ich plugawego towarzystwa, ale sprowadzili go z powrotem na właściwą drogę serią kopniaków. Przeklinał się za to, że znowu zabandażował nogę w podziemnym tunelu. Wrzaski mordowanych pijaków nie zwróciły niczyjej uwagi i zjawili się na tyłach tawerny bez dalszych przygód.

Angelino ponaglił ich, żeby wchodzili do pokoju na tyłach, a potem dalej. Poza nim był obecny tylko niewidomy oberżysta. Towarzystwo podzieliło się, a potem ponownie połączyło przy palenisku, ciągnąc krzesła i wyzymając ubrania. Niewidomy nie zdążył wyjść zza baru, gdy Grossbartowie już go dopadli i zaczęli wyciągać od niego jeden kufel piwa za drugim. Staruszkowi ściągnęła się twarz, ale nie zaprotestował, kiedy wytoczyli beczułkę zza baru.

Angelino wyszczerzył zęby do Barousse'a.

– Coś ty narobił?

– Ściągnąłem na niego piekło, jakim on by mnie najchętniej zasypał. – Kapitan uśmiechnął się krzywo.

– Zasypał, racja! Prawdziwy złoty grad spadł na Wenecję, co? Gdybym nie wiedział, gdzie umieszczono pewne rzeczy, sam bym konkurował z tłumami, próbując zebrać dla siebie parę dukatów.

– A kotwica zrobiła piorunujące wrażenie, co?

– Kotwica?

– Kotwica posłana prosto w łeb Strafalarii, jeśli moi robotnicy dobrze wszystko sklecili.

– Można mieć tylko nadzieję, to pewne, chociaż sam nie mogę poświadczyć, czy rzeczywiście trafiła, czy też nie.

Angelino zauważył kobietę i się skrzywił. Siedziała na podłodze z uchem przy ścianie obok zaryglowanych frontowych drzwi.

– Chryste – mruknął.

– Jesteś dobrym człowiekiem – szepnął Barousse, ściskając przyjaciela za ramię. – Niedługo jej się pozbędziemy.

– Nie dość szybko – powiedział Angelino, a widząc ból na twarzy przyjaciela, dodał: – Ale też nie za późno.

– Gdzie Seppe? – wtrącił się Hegel.

– Na statku – odpowiedział Angelino. – Kiedy tylko reszta waszych ludzi się zjawi, wypływamy.

– Jaka reszta? – zdziwił się Manfred.

– Reszta załogi, którą zapowiedziałeś. – Angelino przechylił głowę, patrząc na Barousse'a. – Ejże, powiedziałeś: więcej niż sześciu, ale mniej niż dwunastu, nie licząc tej gromady, prawda?

Barousse ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie obstawiałem, że wszystkich moich ludzi prócz jednego zdepczą jak winogrona.

Angelino zwiesił głowę.

– Do diabła, Alexi, chcesz powiedzieć, że mamy pożegłować na drugi koniec morza z tą gromadą i nikim więcej? To nawet nie szkielet załogi, tylko garść luźnych kości!

– Nic na to nie poradzę. – Barousse wzruszył ramionami. – Ruszajmy.

Angelino znowu zerknął na kobietę.

– Jesteś pewien, że nie ma innego sposobu? Musi wejść na pokład razem z nami?

– Angelino – powiedział Barousse – proszę...

– Nic się nie da na to poradzić, słyszałem, słyszałem. – Żeglarz westchnął. – Jednak Giuseppe nie będzie zachwycony.

– Giuseppe? – Barousse się skrzywił. – Nie mów, że on płynie.

– Owszem. – Angelino odpowiedział mu równie chmurnym spojrzeniem. – Jako kapitan sam wybieram załogę. A skoro ja nie mam nic do powiedzenia na temat tego, kogo ty zabierasz, to jest pewne jak diabli, że ty nie masz żadnego wpływu na mój wybór.

– Kto jeszcze będzie na pokładzie? – spytał Barousse.

– Niedługo sam się przekonasz – zauważył Hegel. – Trza ruszać. Ej, świński ryju, pomóż no mi z tym!

Odrywając wzrok od kobiety, Manfred upewnił się, że szpunt dobrze wszedł, zanim przechylił beczułkę i przeturlał w stronę drzwi. Inni stłoczyli się koło wyjścia za Angelino; Raphael pilnował, żeby zawsze znajdować się za sir Jeanem. Hegel podszedł z powrotem do baru i wyłowił zza niego Al-Gassura, który wślizgnął się tam i udawał, że śpi. Pchnął Araba we właściwym kierunku, po czym sięgnął do torby i wyjął złotą sztabkę, odwracając się do niewidomego karczmarza.

– Jeżeli ktokolwiek, komu spróbujesz to sprzedać, powie ci, że to nie jest

najczystszy metal, ugryź go w twarz, wołaj o ratunek i trzymaj tę sztabkę, póki nie zjawi się straż miejska – pouczył go Hegel.

Karczmarz wymamrotał coś niezrozumiale, może po włosku, może nie, niemniej złoto zniknęło. Odwracając się do podenerwowanej grupy, Hegel wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyjął oskard. Kapitan wyciągnął dłoń do kobiety, która przyjęła ją i stanęła obok niego.

– Pożegnajcie się ze swoim miastem i życcie mu dobrej śmierci – oznajmił Barousse. – Tylko najgłupszy z was mogliby marzyć, że jeszcze kiedyś je ujrzą, ponieważ teraz mało kto zliczy nasze zbrodnie. Musimy na zawsze odwrócić się do niego plecami i jeśli Bóg pozwoli, nasz koniec będzie lepszy niż tych wszystkich, którzy tu mieszkają. Ich klątwy nas nie odnajdą, a sprawiedliwość, którą będą chcieli wymierzyć, nas nie osiągnie.

Rodrigo zamknął oczy i szeptem pożegnał się z jedynym miastem, jakie poznał, z miejscem, w którym jego rodzina żyła i umierała od pokoleń. Martyn ziewnął, Al-Gassur mu zawtórował, a sir Jeanowi łzy napłynęły do oczu, gdy dotarło do niego, że być może rzeczywiście nie zostanie uratowany. Raphael uchwycił się kurczowo melodramatu kapitana, mając najmniejsze pojęcie wśród zebranych odnośnie do celu ich podróży.

– Prosto aż na koniec portu – poinformował wszystkich Angelino. – Wywieszają światło, kiedy tylko otworzymy drzwi, żebyśmy wszyscy byli pewni kierunku, ale rozglądajcie się na prawo i lewo, i każdego, kogo zobaczycie, macie złapać i zabić, młody to czy stary, mężczyzna czy nie.

– No to ruszajmy – powiedział Manfred i załadował kuszę.

– Niech Maryja nam błogosławi – zaintonował Martyn, a Angelino z rozmachem otworzył drzwi.

Na subtelność nie było miejsca w ich ucieczce na statek; cała kompania piała z radości, biegnąc. Zwykły pech ściągnął podchmieloną parę zmierzającą do piwiarni, by uczcić pięć dukatów, które wcześniej tego wieczoru wpadły do rynsztoka obok nich. Al-Gassur i Rodrigo odwrócili wzrok, kiedy Grossbartowie robili swoje. Bełt Manfreda trafił zaskoczoną młodą kobietę w pierś i zanim jej głowa roztrzaskała się na bruku, Hegel wbił oskard w kark jej kochasia.

Żaden inny świadek się nie pojawił, a Grossbartowie szybko zepchnęli ciała z nabrzeża i wrócili do swojej beczułki. Turlając ją w stronę statku, usłyszeli

zacieklą kłótnię między Giuseppe i Barousse, ale zanim zdążyli się dołączyć, Giuseppe ustąpił dzięki interwencji Angelino. Nie śpieszyli się, pilnując, żeby beczułka bezpiecznie dotarła na pokład po trapie. Dwóch krzepkich młodych oprychów w umazanych smołą spodniach odcumowało statek. Chociaż braci ciekawiło, jak statek się porusza, Barousse zagnał ich pod pokład, żeby zeszli z widoku. Zeskakując z drabiny, zobaczyli, że ich towarzysze rozsiedli się w wielkim, pustym pomieszczeniu. Dopiero kiedy żeglarze spuścili pod pokład beczułkę, Grossbartowie się uspokoili, przekonani, że Gipt znajduje się tuż za morzem.

– Wołają jakoś na tę kołyskę? – zapytał Hegel potężnie zbudowanego żeglarza imieniem Merli.

– Szybko przyzwyczaisz się do chwiejby – padła odpowiedź.

– Jeszcze raz będziesz robił sobie ze mnie jaja, to ci twoje własne urwę – odparł Hegel, poirytowany rozbawionym parsknięciem brata. – Pytam o nazwę statku, chłopcze, słyszałem, że te balie się nazywa.

– *Pocałunek Gorgony* – odpowiedział Merli.

– No – powiedział Manfred. – To dopiero ładne imię.

## XXII

# GRZECHY OJCA



Po wielu dniach wędrówki Heinrich i bliźniaki zbliżyli się do wioski. Heinrich uparł się, żeby zaczekali do zmierzchu, zanim ją zbadają, ale kiedy nie zapaliły się żadne światła i poruszał się tam tylko wiatr, poszli obejrzyć opuszczoną osadę. Wypalone skorupy budynków przyprawiły Heinricha o bolesne skurcze, pod pachami mu zapulsowało, a krew poparzyła żyły. Przykre uczucie rozproszyło się tylko po to, by powrócić, kiedy, schodząc z gór, minęli spalony klasztor. Trzymali się dróg, zwłaszcza że trwała zima, a szli przez pustkowie. Kiedy chłopcy ganiłi za wszelką zwierzyną, jaką zwietrzyli, Heinrich nie zobaczył ani jednego żywego człowieka ani zwierzęcia, dopóki nie opuścili gór.

Gdy doszli do rozstaju dróg na wzgórzach za lasem, intuicja Heinricha i nosy chłopców poprowadziły ich lewym odgałęzieniem. Podróżowali od zmierzchu do wczesnego ranka, spędzając czas na szukaniu jedzenia, polowaniu i spaniu w głębokiej kniei dławiącej wzgórze. Omijali miasteczka i domy, które teraz znaczyły krajobraz, chociaż zaciekawione maluchy jęczały rozczarowane. Bliźniaki rosły z każdym złapanym posiłkiem i teraz każdy sięgał już Heinrichowi do ramienia.

Pewnego późnego popołudnia Heinrich drzemał nad potokiem, gdy nagle obudził go jęk odbijający się echem w jarze. Chłopców nie było w pobliżu i z nadzieją rozkwitającą w piersi Heinrich popędził przez jeżyny do drogi. Wślizgnął się do zagłębienia, którym przebiegał trakt, i zobaczył kilka postaci leżących na drodze i parę innych biegnących w przeciwnych kierunkach. Magnus ścigał jedną grupę, Brennen drugą.

Chociaż niechętnie patrzył, jak ucztują na niewinnych, Heinrich wiedział, że pozostawiony świadek rozpowiedziałyby o ich obecności i ludzie nieświadomi ich sytuacji zaczęliby na nich polować, tak jak oni sami polowali na

Grossbartów. Kawalek w górę drogi krzyki osłabły i zamieniły się w piski. Heinrich wyjął sztylet i podszedł do leżących na ziemi mężczyzn. Kilku krwawiło z głębokich ugryzień plamiących ich nagie torsy i rozdarte spodnie, ale Heinrich zdał sobie sprawę, że chociaż paru straciło przytomność, pozostali gorąco się modlą z zamkniętymi oczami i czołami przyciśniętymi do ziemi. Wszyscy z wyjątkiem jednego, odzianego w białe szaty, mieli plecy podrapane do krwi, jakby oni też musieli biec przez jeżyny.

Ściskając w dłoni długi nóż, Heinrich pochylił się i podniósł z ziemi jeden z ich biczów. Krew pociekła na pylistą drogę z cepa z zadziarami, a Heinrich uśmiechnął się, kiedy zdał sobie sprawę, kim są napotkani ludzie. Nie widział biczowników od blisko dziesięciu lat, większość bowiem zniknęła razem z zarazą, którą próbowali odpędzić cielesnymi umartwieniami.

Kucając za jednym z mężczyzn, wyciągnął rękę i poderżnął mu gardło. Biczownik padł do przodu, fontanna krwi trysnęła na stopy mężczyzny przed nim. Bez otwierania oczu wiedzieli, że Heinrich znalazł się między nimi i ich modlitwy stały się głośniejsze, chociaż liczba flagelantów malała z każdym ruchem sztyletu. Teraz zostało już tylko dwóch, a chłopcy Heinricha ujadali jak stado ogarów z obu stron drogi.

Pod skórą, głęboko w żyłach, gdzie krew, flegma, czarna i żółta żółć tętniły obok siebie, towarzysz Heinricha protestował wściekle przeciwko tym morderstwom. Przy pierwszym spotkaniu z hodowcą rzepy demonowi ulżyło, że zamieszka w kimś, kto pragnie takiego samego końca jak on, ale teraz ten obłąkany człowiek odmawiał robienia tego, co mu kazano. Zdolność martwych ludzi do szerzenia błogosławieństwa z otchłani piekielnych była zaniedbywana, a Heinrich jak zamroczony mordował jednego po drugim wszystkich potencjalnych nosicieli.

Heinrich pozostawił przypuszczalnego przywódcę nietkniętego i zaczął bezlitośnie smagać biczem drugiego mężczyznę, aż krew tryskała na liście wysoko nad ich głowami. Modlitwy mężczyzny nadal wybrzmiewały pewnie, nawet kiedy większość pokrytej strupami skóry na plecach odpadła. Jednakże gdy biel kręgosłupa zabłysła w cętkach słońca, mężczyzna wrzasnął i zwinął się, pozwalając Heinrichowi biczować mu brzuch, ręce i twarz. Dopiero kiedy nieszczęśnik zwiotczał, Heinrich odwrócił się do odzianego w szatę przywódcy.

Po części zaspokoiwszy długo ogniającą się frustrację, Heinrich odezwał się do

modlącego się człowieka, którego omyłkowo wziął za księdza.

– Zdejmij szaty.

Mężczyzna modlił się. Głos mu się łamał.

– Zdejmij je! – warknął Heinrich.

Przywódcą nadal się modlił. Heinrich zamachnął się biczem od dołu, tak żeby trafić w szyję. Rzemienie owinęły się wokół gardła i podbródka. Szarpnął batogiem do tyłu, a mężczyzna zaczął się dławić i charczeć, kiedy padł na plecy nadal z zamkniętymi oczami. Usta podjęły modlitwę, gdy tylko rzemienie się poluzowały.

– Módl się za nich! – krzyknął Heinrich. – Módl się za moją rodzinę!

Pociągnął za bicz, uwalniając rzemienie w powodzi krwi. Upuścił sztylet i zamachnął się kańczugiem, trzymając go w obu rękach. Jego zachwyty rósł z każdym mokrym plaśnięciem rzemieni, przyjemne ciepło w trzewiach przypominało mu wrażenia po zjedzeniu miski potrawy Gertie albo gdy patrzył, jak Brennen wyrywa swoją pierwszą rzepe. Pamiętał, jak przyjemnie pachniała jego żona po tym, jak się kochali, jak Brennen się śmiał i klaskał, kiedy matka rzucała cienie na ścianę, jak jego najmniejsze dziewczynki całowały go jednocześnie w policzki. Wewnątrz Heinricha demon nie przestawał błagać o życie mężczyzny, szeptał się przez jego umysł jak płyny kapiące z twarzy ofiary, ale Heinrich nie zważał na rady. Nie wystarczyło mu to, że ci, którzy ranili się, by powstrzymać zarazę, sami stali się jej nosicielami. Byli sługami Boga tak okrutnego, że rozgrzeszyłby Grossbartów, więc musieli otrzymać karę, jaką mogli wymierzyć tylko Heinrich i jego chłopcy.

Po pewnym czasie Heinrich zdał sobie sprawę, że mężczyzna umarł, a on biczuje odsłoniętą czaszkę. Wbite w kość kawałki skóry, włosów i krwawego ciała osłabiały uderzenia bata. Twarz z odsłoniętymi kośćmi czaszki przypominała teraz twarze chłopców, którzy obserwowali go, obgryzając kości biczownika. Zerkając na jatkę, Heinrich zobaczył tylko Gertie wykrwawiającą się na śmierć od rany zadanej siekierą, bulgoczące gardło Brennena, poczerńiałe szczątki córek i czwórkę pochowanych wcześniej dzieci, z których jedno wyszły martwe z łona Gertie, a inne żyły rok albo pięć lat, zanim Bóg je ukradł. Słyszał krzyki swoich dziewczynek, czuł smród ziemi cmentarnej i płonącego domu. Z zaciętą twarzą splunął w otwarte usta martwego przywódcy.

– Zatem bądźmy demonami! – wrzasnął. – Bądźmy zarazą, która spadnie na

tych, co tolerują takie okrucieństwa jak to! Niszczmy i tępy sługi diabła w niebie, który zwiódł cały świat, by Go czcił! Zemsta jest naszym imieniem i uczynkiem! Zemsta za każde zamordowane dziecko, za każdą zgwałconą kobietę, za każdą duszę, która się mozoli tylko po to, by zobaczyć, jak wszystko, co kochała i stworzyła, więdnie, choruje, cierpi i umiera! Nie ma rozgrzeszenia! Nie ma spowiedzi! Nie ma ostatniego namaszczenia! Grossbartowie, idziemy po was!

Magnus i Brennen zawyli wszystkimi ustami i zapłakali, widząc, że ich pan płacze. Bat wrzynał się w plecy Heinricha z każdą przysięgą, lecz łzy nie płynęły mu z powodu własnego bólu – były przelewane za wszystkich niewinnych, którzy trzymali się fałszywej nadziei na ostateczne przeprosiny, na jakieś wyjaśnienie. Kiedy odrzucił bicz z zadziorami i padł na kolana, przerażeni chłopcy pośpieszyli lizać jego rany i skomleć z miłości.

Przed zmierzchem usunęli ciała z drogi, a bliźniaki pożarły przyprawiającą o zawrót głowy ilość ciał, zanim wyciągnęły się w cieniu z rozdętymi żołądkami i wywieszonymi wszystkimi ozorami. Heinrich skrupulatnie wypłukał bicz w strumieniu i przywdział splamione szaty przywódcy. Zakończył ablucję, gdy księżyc zawisł nisko nad gąszczem, a wtedy ponownie ruszyli za swoją brodatą zwierzyną.



## XXIII

# WCIAŻ NA POŁUDNIE



Pod pokładem, w forkasztelu znajdował się stół, kilka krzeseł oraz parę beczek z wodą i piwem. Wąski korytarz chwiejnie okrążał maszty, prowadząc ku rufie, z dwoma rzędami koi wciśniętych w ściany po obu stronach. Na końcu korytarza, w składziku leżały sieci, jedzenie i wszystko inne. Tam ulokował się kapitan ze swoją damą. Ponieważ dwoje ludzi zajmowało miejsce noclegowe, w którym zmieściłoby się piętnaście osób, nie wystarczyło koi dla załogi i kompanii Grossbartów, więc ludzie wymieniali się łózkami z tymi, którzy trudzili się na pokładzie. Ludzie, rzecz jasna, oznaczali wszystkich oprócz Grossbartów, których załoga szybko zaczęła unikać ze względu na ich skłonność do dźgania każdego, kto był na tyle głupi, by zakłócić im sen.

Kiedy bracia obudzili się późnym popołudniem następnego dnia, zobaczyli jednego z młodych żeglarzy z poprzedniego dnia i durnego Merliego śpiących na kojach po przeciwnej stronie. Okazało się, że wyplątanie się ze zbroi stanowi pewną trudność dla Manfreda, który poszedł spać z ramionami nadal zakutymi w żelazo. Nawet palce stóp i paznokcie mieli obolałe po trudach poprzedniego dnia, ale obudzili się ze śmiechem na wspomnienie swojego triumfu. Chwiejnym krokiem doszli do otwartego pokoju i wyłopali trochę wody, nie zwracając uwagi na półnagiego sir Jeana i jego cień, Raphaela.

– Gdzie reszta? – spytał Hegel, zanurzywszy twarz w beczce z wodą i zostawiwszy na jej powierzchni oleistą plamę.

– Nadwyżej. – Raphael skinął głową na drabinę. – Na słonecznym, słonym powietrzu. Kapitan z nimi, chce się od was poradzić.

– Gadanie nie jest twoją najmocniejszą stroną, co? – Manfred łypnął nań okiem.

– Po prawdzie, mnie lepiej w języku, w którym mówią wszyscy ludzie. –

Raphael zagrzechotał naładowaną kuszą, wskazując sir Jeana, który aż się wzdrygnął.

– Co racja, to racja – zgodził się Hegel i obaj z bratem wyszli na pokład.

Pełznąć ku oślepijącemu kwadratowi światła, przykucnęli jak zwierzęta wypuszczone z klatki, w której za długo je trzymano. Kiedy ich oczy przywykły, Grossbartowie zatoczyli się nie tylko z powodu kołysania statku. Ze wszystkich stron otaczała ich woda, rozległe wzgórza i doliny błyszczącej w słońcu wody, i nic nawet nie sugerowało, że gdzieś w pobliżu znajduje się ląd. Obu zemdliło i obaj wypili po małym łyku ze swoich bukłaków. Kiedy Manfred, zatykając bukłak, rozlał napitek, Hegel zauważył z zaciekawieniem, że dla odmiany brat ma w nim wodę.

Dwa maszty górowały nad nimi i pochodzący ze wsi bracia wiedzieli tylko, że ten statek przerasta każdą barkę, jaką ujrzeli w swoim życiu, a zatem był ogromny. Mieli wrażenie, że wszędzie są ludzie, ale tak naprawdę pracowało tylko trzech żeglarzy, oprócz skwaszonego Giuseppe i pogodnego Angelino, a względnie niewielkie rozmiary statku zmuszały załogę do okrążania braci mnóstwo razy, kiedy ci powoli zmierzali na rufę. Wszedłszy po schodach na podwyższenie na końcu statku, zastali Barousse'a rozmawiającego z Angelino. Obaj powitali ich okrzykami.

– Witam i życzę wam obu miłego poranka – powiedział Hegel.

– A pewnie – dodał Manfred, rozglądając się za Arabem.

– Czujecie to? – Barousse wciągnął powietrze, a poplamione bandażę łopotały wokół niego jak proporczyki. – Oddech morza to oddech Boga. Nic dziwnego, że nasi przodkowie je czcili.

Wtedy Manfred dostrzegł między żaglami kobietę. Siedziała okrakiem na galionie na dziobie statku, zwrócona do niego plecami.

– Muszę zejść – mruknął.

– Chwileczkę, Manfredzie – powiedział Barousse. – Ponieważ moi ludzie zdezerterowali albo zginęli, mamy dość załogi, żeby utrzymać nas na kursie tylko przez połowę każdego dnia, a wiatr wieje mocniej nocą. Miałem nadzieję szybciej dotrzeć do naszych podbojów, a z pomocą waszą i pozostałych możemy podwójnie przyśpieszyć.

– No to do zobaczenia później – rzucił lekceważąco Manfred. – Zawołajcie mnie, jak wszędzie księżyc. To oślepiające światło źle mi robi na oczy.

– Ale zaraz przyślemy pozostałych. – Hegel pośpieszył za bratem i odezwał się do niego w ich prywatnym języku: – Kapitanowi bardzo się poprawiło, odkąd jest na wodzie, i gada do rzeczy, i w ogóle, ale zastanawia mnie jego dobór słów.

– Znaczy? – Manfred zanurkował pod żaglem.

– Do diaska, nie wiem, po prostu coś mi tu nie leży. Na przykład, gdy gada, że dotrzemy do naszego podboju. Mógł użyć tylu innych słów, a rzekł akurat naszego podboju?

– No i?

– To może znaczyć coś albo kogoś, kogo podbijemy.

– Rozumie się, że tak, tumanie.

– A nie może też znaczyć, że my zostaniemy podbici? Nasz podbój. Za żadne skarby tak bym tego nie wyraził, w życiu.

– Bo ty byś się posłużył jakąś wyszukaną frazą z francuskiego albo łacińskiego? Zapamiętaj sobie, że może i jest z cesarstwa rzymskiego, ale nie ze świętego jak my, więc może być, że nie zna lepszych słów na to, co i tak z powodzeniem zdołał wyrazić. Mnie w każdym razie nie rajcuje wściekanie się z powodu każdego duperela!

Doszli do drabiny. Kobieta znajdowała się tuż przed nimi, na dziobie, z rękami przeplecionymi przez reling. Manfred wspiął się na podwyższoną platformę na dziobie, mówiąc sobie, że wszedł tu tylko po to, by uniknąć towarzystwa brata. Hegel dobrze wiedział, co bratu chodzi po głowie, więc poszedł za nim.

– Trza ci zapomnieć o tym korycie – powiedział cicho Hegel, wyczuwając prawdziwą przyczynę nagłego gniewu brata. – Niczego dobrego z tego czegoś nie będzie. Jak już musisz na coś patrzeć, patrz na Maryję.

– Teraz sobie myślę, żeś ty powinien uważać na dobór słów – warknął Manfred, patrząc mu w twarz. – To nie jest żadne coś, ale ona, jak Najświętsza Panienska.

– To coś to przeklęta czarownica – odwarknął Hegel. – Zawsze miał bystrzejsze oczy ode mnie. Kiedy zdążyłeś wysmarować je wiśniową papką?

Manfred pomyślał, że grzmociłby Hegla w nos tak długo, aż z niego zrobiłaby się wiśniowa papka, ale zanim podniósł rękę, silniejszy impuls poderwał się w jego umyśle jak rozwścieczony węgorz. Nagle zapragnął

wypchnąć Hegla za burzę do morza, ale to pragnienie minęło równie szybko, jak przyszło. Manfredowi zakręciło się w głowie i powoli obrócił się, by spojrzeć na nią.

Siedziała tak samo jak wcześniej, fale opryskiwały ją pianą, lecz teraz patrzyła na niego. Zacisnęła delikatne usta, ale oczy jej zabłyśły i uśmiechnęła się subtelnie. Wiatr unosił jej włosy wokół piersi i szyi.

– Prędzej ciebie załatwię niż tknę jego! – krzyknął do niej Manfred, schodząc po schodach, a potem po drabinie z ogniem w piersi.

Hegel pozostał na górze, zastanawiając się nad wybuchem brata. Spiorunował kobietę wzrokiem. Odpowiedziała mu złym spojrzeniem, wykrzywając czerwone usta w szyderczym uśmieszku. Zrobił ruch, jakby chciał ją uderzyć, ale ona nie dała mu najmniejszej satysfakcji i nie drgnęło jej nawet nozdrze.

– Żem cię rozgryzł – syknął Hegel – ty przekłeta czarownico.

Zszedł z dziobówki i doszedł do drabiny, kiedy zatoczył się, nagle wyobrażając sobie brata rzucającego się z burty z kobietą w ramionach. Ujrzał ich lecących w dół, przez głębiny, i widział samego siebie zniekształconego przez masy wody, spoglądającego bezradnie ze statku. A potem ci dwoje zatonęli tam, gdzie światło już nie dochodzi, i w ciemnościach kobieta zaczęła się zmieniać w coś innego, jej skóra zniekształcała się w objęciach brata.

– Nic ci nie jest? – zapytał z dołu Rodrigo.

Hegel, czepiając się bezwładnie drabiny, zwymiotował na niego.

Al-Gassur, sir Jean i Raphael uśmieiali się serdecznie kosztem Rodriga. Młodzieniec dygotał z obrzydzenia, kiedy czekał aż Hegel zejdzie, żeby on sam mógł wyjść na pokład. Miał dość rozumu, żeby nie marnować słodkiej wody nawet w tak nieprzyjemnych okolicznościach. Hegel spadł z kilku ostatnich szczebli i chwiejnym krokiem podszedł do pustego krzesła, a Rodrigo wspiął się na pokład.

Manfried wrócił ze swojej koi z bochenkiem chleba, połówką koła sera i trzema kiełbasami. Bez słowa rozdarł chleb i ser na pół, podając mniejsze kawałki i jedną kiełbasę Heglowi, zanim sam usiadł w drugim krześle. Tu Grossbartowie po raz pierwszy posmakowali monotonna typowej dla długich rejsów morskich. Odesłali mniejszego śpiącego żeglarza, Araba, sir Jeana i Raphaela na podkład, żeby pomogli żeglować, i wkrótce na ich miejsce zjawili się dwaj inni żeglarze. Wypili trochę piwa, porozmawiali po włosku i wskoczyli

na koje. Słońce zaszło i w końcu Grossbartowie raczyli się do siebie odezwać.

– Gdzie Martyn? – spytał Hegel.

– Kardynał leży na koi i trajkocze do ściany jak to on. – Manfred wstał i nalał sobie trochę piwa. – Po mojemu, z nieortodoksyjnego zamienił się w niezrównoważonego.

Po kolejnej długiej pauzie Hegel odchrząknął.

– Jeśli idzie o to, cóżem pierwej powiedział...

– Jużem zapomniał.

Połączone siły alkoholu i wyparcia przekonały w końcu Manfreda, że pragnienie zamordowania brata było swego rodzaju odmianą choroby morskiej. Ostatnie, czego chciał, to żeby Hegel znowu zaczął swoje stare gadki.

– To lepiej sobie przypomnij i to szybko. Żem miał wizję.

– Wizję czego? – prychnął Manfred. – Koryta ze zmiją w środku? Mnie już to widziałem... Do diabła, przez tego zdurniałego Raphaela sam gadam jak głupi.

– Nie waż się mnie lekceważyć! – Hegel zniżył głos, pochylając się w stronę brata. – Zawszem miał co inszego, dobrze mnie znasz, diabła tam, to tyś mi powiedział, że to błogosławieństwo od Maryi. No, to nie było przecucie ani wrażenie, czy co tam, to była zaszrana wizja. Żem widział!

– Cożeś widział? – mówił dalej Manfred, kiedy Hegel gapił się na swoje zbryzgane wymiocinami buty. – Cożeś widział, wielka wyrocznio? Jak masz coś wartego powiedzenia, to gadaj albo nie smuć mi tu o wizjach Maryi.

– To nie była wizja z Maryją – warknął Hegel – tylko z tobą. Z tobą i nią. Szliście na dno morza. Gorzej, z twojej własnej woli, boś skoczył z pokładu, tuląc ją do siebie, jakby to był worek złota.

– Stul dziób – szepnął Manfred, ale Hegel nie dał się zbyć.

– A jak poszliście na dno, gdzie słońce nie dochodzi, zaczęła się zmieniać w coś innego, coś dziwnego. Po mojemu w to, czym naprawdę jest pod tą ładną skórką.

– Co masz na myśli, gadając, że zamieniała się w to, czym naprawdę jest?!

– Czarownice tak robią, bracie. – Heglowi znowu zrobiło się niedobrze. – Potrafią się ukryć, zmienić wygląd, sprawić, że wyglądają jak coś, czego człek pragnie, coś, czemu człek nie umie odmówić.

Manfried szczerze się roześmiał, przez co żółć zakotłowała się w Heglu

jeszcze bardziej, niż gdyby brat go zwymyślał.

– Czyli dlatego że zabiliśmy czarownika w górach i widzieliśmy tę drugą czarownicę, toś został chrzanionym autorytetem w tych sprawach? Może zamiast płynąć na południe, powinniśmy przeprowadzić się do Pragi, załatwić ci robotę na uniwersytacie, co go tam zbudowali, żebyś mógł nauczać świat o czarach!

– Posłuchaj. – Hegel przełknął żołądek, który podszedł mu do gardła. – Posłuchaj.

– Słucham, a ty tylko gadasz: słuchaj i słuchaj.

– Nie słuchasz, tylko robisz to, co zawsze i nabijasz się ze mnie, kiedy ja próbuję ocalić ci duszę i skórę za jednym zamachem. – Hegel miał ochotę przyłożyć bratu, związać go i zmusić te jego protekcyjne gały, żeby zobaczyły tę samą wizję, która wypaliła piętno w jego mózgu.

– No dobrze, bracie. Uspokój się, do diabła, już słucham. – Manfred westchnął.

– Zamknij oczy.

– Co? – Manfred znowu zaczął się śmiać, ale przestał, widząc powagę na twarzy Hegla. – Dobrze, dobrze.

– A teraz wyobraź sobie, żeś jest w Gipcie, na wielkim, starym cmentarzu, między tymi wszystkimi książęcymi kurhanami i włamujesz się do największego grobowca ze wszystkich.

– Łatwizna, gdzie ty jesteś?

– Zamknij się. Udawaj, że nie żyję.

– Co? – Manfred otworzył oczy. – Nie żartuj sobie z takich rzeczy.

– Po prostu zrób to, ty zasrany łajdaku!

– Dobrze! Nie żyjesz, bracie, jesteś martwy jak kardynał! I jestem na największym cmentarzu w Gipcie, przy największym grobowcu. – Manfred zamknął oczy i pod powiekami pojawiła mu się znajoma fantazja, która zajmowała jego myśli przez co najmniej godzinę każdego dnia.

– A teraz poczekaj, zanim z czymś wypalisz, poczekaj, aż powiem, kiedy masz odpowiedzieć na następną część. Kluczowe jest to, żebyś trzymał za zębami ten swój ozór, o ile jesteś w stanie.

Manfried zachował milczenie, żeby udowodnić, że jest w stanie, chociaż to go poirytowało. Hegel mówił dalej:

– Uchylasz drzwi, i teraz szybko pomyśl, ale nic nie mów, czy wolałbyś raczej zobaczyć wielki stos złota, czy tę kobietę, jak się wyciąga na podłodze i uśmiecha do ciebie?

Szeroki uśmiech Manfreda zwiądnął, jak wędnie wszystko tam, dokąd zmierzali, twarz mu pobladła, ale nie otworzył oczu. Hegel rozluźnił się, widząc, że powaga sytuacji wreszcie dotarła do brata. Żaden z nich nie odzywał się przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Manfred uchylił jedną powiekę, a potem drugą.

Hegel pomyślał, że dostrzegł lśniąca łzę, ale to mogło być odbicie zabłąkanego promyka wspaniałego zachodu słońca, który przegapiali, siedząc w zawilgłej ładowni.

– Zabijmy sobie czarownicę – powiedział Manfred, zrywając się na równe nogi.

– Spokojnie, panie Inkwizytorze. – Hegel wstał, napełnił kubek i podał wściekłemu bratu. – Trza się zastanowić, jak należy zająć się tą sprawą.

– To proste. Grzmotnąć w twarz i odciąć kończyny. Pociąć kawałki na jeszcze mniejsze kawałeczki i spalić. Uważać, żeby nie wdychać dymu.

– Jak już dostanę tę robotę w Pradze, to wstawię się za tobą.

– Czarownice się pali, jak sam dobrze wiesz z doświadczenia, a poza tym, kurwa, to powszechnie wiadoma rzecz.

– Zważywszy, że to łódź, czyli nic tylko podpałka, nie powinno być z tym trudności – odparł Hegel. – Rzecz jasna, możemy oszczędzić sobie zachodu i od razu wskoczyć do morza.

– To co proponujesz? Siedzieć tutaj i czekać aż jej czary wymkną się spod kontroli?

– To, żeś się pogodził z faktem, że ona jest czarownicą, po mojemu oznacza, że znów panujemy nad sytuacją, która pierwiej wymykała się spod kontroli. – Hegel wskazał w górę. – Ale wątpię, żeby szacowny Barousse równie łatwo przejrzał na oczy. Zatem poczekamy, aż on będzie na dole, a ona na górze, i wtedy odeślemy ją do rybek.

– Słusznie, zważywszy, jak okropnie boi się wody.

– Dlatego zawsze cię wyczuwam, mendo, bo jak tylko przychodzi twoja kolej, żeby wytknąć mi jakąś drobną niedoskonałość w planie, patrzysz na mnie z takiej wysokości jak zasrany księżyc. No to utniemy jej łeb i wytniemy serce,

i schowamy gdzieś na łodzi, póki nie będziemy mogli ich spalić, a resztę wrzucimy do solanki.

– Tak już lepiej, ale trzymaj gębę na kłódkę, bo inni idą. – Manfred wskazał na nogi, które ukazały się na drabinie.

– Pewnie, bracie, zważywszy, że nawet nie umieją gadać jak ludzie, to na pewno rozumieją, co gadamy w języku, którego nawet ci, co potrafią gadać jak ludzie, nie rozumieją. Słusznie, słusznie.

Na pokładzie Barousse powędrował wzrokiem do swojej wybranki, która przysiadła na dziobie jak burzyk. Próbował przypomnieć sobie twarz swojej żony, Mathilde, która utonęła, ale nie potrafił. Nieświadomie wyszeptał przy tym jej imię. Angelino taktownie odszedł ciskać gromy na jednego ze swoich ludzi za zostawienie luzu na halslinie.

Kiedy słońce odeszło, Angelino zszedł pod pokład, a za nim jego stary oficer, Giuseppe, dwaj żeglarze imieniem Karl i Lucian, sir Jean i wreszcie jego dozorca, Raphael. Z nowo przybyłych Raphael okazał się najbardziej użyteczny jako młody i silny człowiek, z kolei sir Jean i Martyn mieli razem tylko dwie sprawne ręce.

Al-Gassur nie spał do późna, strugając sobie nową kulę, bo starą zgubił, gdy uciekał z płonącej rezydencji Barousse'a. Ku jego uldze najwyraźniej nikt nie zauważył jego przemiany z kaleki w istotę dwunożną i ponownie w kalekę. Pozostał na szczycie fokmasztu, patrząc z rei, jak wstaje księżyc. Kobieta na dole nie umknęła jego uwagi, a ponieważ miasto, w którym się urodził, było domem dla chrześcijan, Turków i wszelkiej maści podróżnych, on jeden z tych, którzy na nią spojrzeli, rozpoznał, że jej rysy są typowo wschodnie. Nie przyglądał się jednak długo, bo za każdym razem, kiedy zerkał, ona przechylała głowę i odpowiadała spojrzeniem, a w jej uśmiechu odbijało się światło księżyca.

Nie chcąc zostawić Barousse'a samego z kobietą i Arabem, przed pójściem na spoczynek Angelino wezwał więcej żeglarzy. Obudzono Merliego oraz innych śpiących marynarzy – Leone i Cosimo – i wszyscy poszli na pokład z serem i chlebem w dłoniach. Za nimi poczłapali Grossbartowie, nie mając ochoty ani chwili więcej spędzić w towarzystwie joczającego rycerza.

Kardynał Martyn podjął sir Jeana, Raphaela i żeglarzy balladą o braciach Grossbart, na ile ją znał, nie upiększając niczego. Dołączył do nich Angelino,



jedząc i pijąc w milczeniu. Giuseppe przypomniał mu, że nigdy dotąd nie pozwalał, żeby mówiono o takich rzeczach na jego statku, ale ponieważ opowiadał to członek kościoła, Angelino się zgodził. Oczywiście, do chwili, kiedy Martyn doszedł do piątego kubka piwa i śmierci heretyka Bunuela. Karl i Lucian pobledli, a Angelino wstał z wymuszonym śmiechem.

– Dość opowieści na jeden wieczór – powiedziała. – Teraz odpocznijmy trochę, żeby o świcie Leone, Cosimo i Merli też mogli się przespać, tak samo jak ci bohaterowie, którzy teraz mozolą się przy naszych skromnych żaglach.

– To wszystko prawda. – Martyn z trudem się podniósł. – Nie wątp w nich ani w moje opowieści o nich, bo ściągniesz na siebie Jego Gniew.

– Ryzykujesz ściągnięciem naszego gniewu, opowiadając na tym statku o takich rzeczach jak demony i czarownice. – Giuseppe też wstał.

– Chodźmy, panie. – Raphael wcisnął jeszcze jeden kubek w drżące ręce Martyna. – Nam się położyć do snów, co? A rano nam pokierujesz modlitwami, a potem mnie wysłuchasz w spowiedzi?

– Oczywiście, oczywiście. – Martyn pokiwał głową. Wyglądał na starszego, niż wskazywałyby jego liczne lata.

– Śpij jak dobry.

Raphael odszedł pod pretekstem odprowadzenia do koi Martyna, po czym sam wspiał się na taką, która znajdowała się bliżej głównej kajuty, skąd podszuchał, jak sir Jean szeptem wyjaśnia swoją sytuację Angelino. Ku wielkiej uldze strażnika, Angelino wyśmiał sir Jeana i powlekł się do własnej koi, a za nim poszli Karl i Lucian. Nawet Giuseppe o skwaszonej twarzy nie chciał niczego słuchać, zostawiając rycerza sam na sam z beczką piwa i ręką do opatrzenia.

Na pokładzie Grossbartowie przykładali się do nauki niuansów żeglarstwa. Pokrzykiwali do siebie z kapitanem na rufie, ale głównie to bracia słuchali Cosimo i Leone, którzy nieustannie musieli pomagać przy obu masztach. Merli przez całą noc mamrotał do siebie, ale ani razu nie zwrócił się do kolegów. Braciom łatwiej by się pracowało, gdyby schowali broń pod pokładem, ale nawet zostawienie na dole warstw płytowej zbroi i kolczugi kosztowało ich sporo nerwów.

Malejący księżyc i czyste niebo pozwalały bliźniakom dojrzeć szczegóły przy żaglach i olinowaniu, ale ich niechęć do proszenia o instrukcje i do

przyznawania się do błędów zmuszała doświadczonych żeglarzy do zdwojonego wysiłku. Manfred stracił równowagę, wyciągając maczugę, kiedy odkrył na szczycie masztu Araba. Gdy próbował ją odzyskać, Al-Gassur czmychnął na dół. Takie przyjemne urozmaicenia zdarzały się jednak rzadko i zanim nadszedł świt, Grossbartowie przyznali, że ze wszystkich sposobów podróżowania żaden nie jest równie beznadziejny jak żeglowanie. Postanowili, że kiedy przyjdzie czas triumfalnego powrotu z Giptu, po prostu napełnią kajak łupami i wrócą do domu, wiosłując.

O świcie wrócili do swoich koi po kolejnym ogromnym posiłku. Niewątpliwie ze wszystkich statków żeglujących po wszystkich morzach tego roku, ich był najwspanialej zaopatrzony. Barousse zasnął samotnie w składzie, gdyż jego wybranka nie zeszła z galionu. Reszta zasnęła, nim wstało słońce.

Dzień i noc zmieniły się jeszcze kilka razy i ku konsternacji Grossbartów rana sir Jeana goiła się mimo jego wiecznego biadolenia. Martyn i Al-Gassur coraz więcej i więcej pili, a kardynał błogosławił kubki i butelki przed każdym łykiem, żeby oczyścić je z piętna herezji. Zapewnienia Al-Gassura, że jest chrześcijaninem, niespecjalnie ukoilił obawy Martyna. Nigdy nie słyszał o arabskim chrześcijaństwie, a z braku chrześcijańskiego papieża on sam został jedynym autorytetem na ziemi.

Sir Jean niewiele mówił i pracował przy żaglach, żeby nie pozwolono Raphaelowi przymusić go do tego fizycznie. Rycerz bez skutku próbował przekonać sam siebie, że sytuacja nie wygląda tak źle, jakby mogła – uciekł w końcu przed gigantycznymi długami. Raphael przypochlebił się Grossbartom, nieustannie wyśmiewając sir Jeana i opowiadając im o epickich bitwach Białej Kompanii, w której służył przez krótki czas jako porucznik, zanim zdał sobie sprawę, jakie to żałosne zajęcie. Ten Hawkwood, który dowodził armią najemników, wyglądał na porządnego gościa, zważywszy, że oblegał papieża, aż dostał to, czego chciał, chociaż jego brytyjskie pochodzenie wydawało się wysoce wątpliwe w świetle jego rzekomego męstwa.

Żeglarze nabierali coraz większej nieufności wobec kardynała, zwłaszcza kiedy w czasie spowiedzi napotykali chichoty i niestosowne dopytywanie się o szczegóły, gdy w grę wchodziły grzechy cielesne. Chociaż Angelino ulżyło, że statek nie zatonął i nie utopił się żaden z jego ludzi, nie mógł ścierpieć obecności kobiety na dziobie. Raz przyuważył, jak Barousse podsunął jej świeżą

rybę, która powinna przypaść jemu jako kapitanowi. Podejrzliwy i niezadowolony oficer Giuseppe trzymał język za zębami odnośnie do kobiety, ale chytrze zbierał informacje od zamroczonego kardynała na temat obecności braci w domu Barousse'a.

Grossbartowie robili to, co Grossbartowie zawsze robią – pili, awanturowali się i jedli zdecydowanie więcej, niż przypadało im w udziale. Kiedy półksiężyc pojawił się na niebie, wspięli się po drabinie, by spędzić kolejną noc przy takielunku. Hegel puścił brata przodem, żeby móc obserwować tył jego głowy i upewnić się, że nie zwróci się w stronę kobiety. Kiedy Manfred odwrócił się, żeby zamienić słówko z Barousse'em na rufie, Hegel zrobił dokładnie to, czego zabronił bratu.

Fale załamywały się tuż pod nią, mgła wodna sprawiała, że mokre, czarne włosy kłębiły się wokół jej głowy, lśniąca zielenią i błękitem w świetle księżyca. Kierując się instynktem, Hegel wspiął się po schodach na pokład dziobowy, gdzie dostrzegł jej mleczno białe ręce wsparte na ciemnym drewnie galionu, na którym siedziała. Prześcieradło przywarło do niej i wlekło się w dół aż do czarnej wody, ale poprzez nie zobaczył, że jej lśniąca, biała skóra ciemnieje za każdym razem, kiedy morze oblewa ją kolejną falą.

Woda wywoływała zmarszczki czerni falujące na jej nogach i rękach, skóra wybuchała czarną wysypką, która znikwała, gdy tylko mgła opadała i woda ściekała. Bardziej wyciągnął szyję, kiedy załamała się kolejna fala, próbując dojrzeć, jaki efekt wywołuje na twarzy kobiety. I wtedy but mu się poślizgnął na pokładzie. Hegel przekoziołkował do przodu i na całe szczęście Manfred złapał go za brodę i szarpnął do tyłu. Zamiast spaść z dzioba, Hegel poleciał do tyłu, siniacząc przerażony tyłek o deski dziobówki.

Kobieta obróciła się do nich i posłała im uśmiech, który niszczył mężczyzn i kobiety, i statki, i cesarstwa. Grossbartowie zagapili się, nawet Hegel był poruszony jej niezdrową, ale absolutną urodą. Barousse pojawił się między nimi, mierząc w nią palcem.

– Mówiłem ci! – rozsierdził się. – Zostaw ich w spokoju! Dotrzymałem mojego słowa, czego jeszcze chcesz?!

Rozchyliła wargi i wszyscy trzej pochylili się, żeby usłyszeć pierwsze słowa, jakie opuszczą jej usta. Jej zęby ukazały się wyraźniej, kiedy, ziewnąwszy szeroko, odwróciła się z powrotem do morza. Barousse zrobił krok naprzód,

Hegel wstał, a ręka Manfreda powędrowała do maczugi. Po długim milczeniu Barousse odwrócił się i wściekły odmaszerował na rufę.

Leone i Cosimo patrzyli, ale widząc, że nic więcej z tego nie wyniknie, zawołali Grossbartów, by im pomogli. Oddalając się pośpiesznie od kobiety, Hegel lepiej rozumiał fascynację brata i sklął się za to, że omal nie popełnił tego samego błędu. Manfred powstrzymał chęć, żeby grzmotnąć ją tak, jak siedziała, i zabrał się do pracy. Zagryzał wargi, aż zakrwawił sobie brodę.

Wszyscy spali w swoich kojach, z wyjątkiem Martyna i Al-Gassura – kardynał modlił się, Arab zaś udawał, że robi to samo, upijając się jeszcze bardziej. Kiedy cicha modlitwa Martyna przeszła w zawodzącą kantykę, Al-Gassur nie mógł już dłużej tego znieść i wyszedł na pokład. Odwrócił się od masztów, żeby nie zagnano go do roboty, i poszedł na dziób, gdzie usiadł za kapitanem, który właśnie tam wrócił.

Słona woda pryskająca z dołu mieszała się z tą płynącą z jej oczu, kiedy statek wreszcie wypłynął na odpowiednie wody. Kobieta stanęła na galionie. Nie miała nadziei, że Alexius pozwoli jej wrócić do jej odległego domu, a jednak zawiózł ją tak daleko i za to prawie mogła mu wybaczyć lata niewoli, lata, które były nudne, ale minęły tak szybko, że właściwie ich nie zauważyła. Wiedział, co będzie potem, ponieważ mu pokazała i był gotów zapłacić ostateczną cenę, żeby wreszcie wyrównać rachunki.

Odkąd dotarła do laguny pod Wenecją, walczyła z pragnieniem powrotu, ale morze jest głębokie i mroczne, i nie wszystkie jego regiony są równie gościnne jak łagodne wody, gdzie kwitło jej plemię. Chociaż kiedyś czczono ją jako boginię, w miarę upływu wieków mężczyźni zaczęli uważać ją i jej siostry za ledwie diabły albo potwory. Ta zmiana była jej całkowicie obojętna, ponieważ teraz pragnęła ludzkiej czci nie bardziej niż pragnęła jej w minionych wiekach. Zależało jej tylko na wolności, którą zawsze się cieszyła, nie licząc tych rozlicznych przerw w roli lądowej żony ochoczych głupców, którzy szukali jej towarzystwa.

Kiedy pierwsza sylaba opuściła jej usta, delikatne fale ujmujące kadłub rozbłysły, a w miarę, jak jej głos nabierał siły, morze jaśniało coraz bardziej i bardziej. Przesłonięte pianą morską światło zalśniło na jej uradowanej twarzy. Mimo wszystkich wieków, które przeżyła, i tyłu mil, które przepłynęła, dreszczyk związany z pieśnią pozostał najrzadszą i najśłodsza rozkoszą,

wyczynem możliwym tylko w czasie pobytu w suchym świecie. Ponieważ to mogła być jej ostatnia okazja w ciągu najbliższych tysiącleci, by oddać się tej przyjemności, zaśpiewała jeszcze głośniejsze, przyzywając cały jej świat, który mógł słuchać rekwiem dla jej niemych, spędzonych na lądzie dni.

Merli wyskoczył za burtę we śnie i przebudził się, kiedy połknęła go bardzo prawdziwa fala. Natychmiast pojął, że spełnił mu się koszmar każdego wilka morskiego. Wielki, czarny cień kołysał się poza świecą falam obok niego i Merli wiedział, że to nie wróży nic dobrego. Jak w wypadku każdego tonącego człowieka, ciało zareagowało, zanim umysł zdążył je powstrzymać, i potężny żeglarz rzucił się w stronę kształtu, desperacko pragnąc złapać się czegokolwiek. Wtedy jednak zobaczył pomarańczowe oczy rozbłyskujące na cieniu i na dziesiątkach podobnych stworzeń wokół niego. Jego palce musnęły łuski i kolce i Merli utonął. A czy stworzenia zabrały go w głębiny, by pokazać mu niewyobrażalne wspaniałości, czy też by natychmiast go pożreć, tego tu nie opisano.

Al-Gassur obudził się, nie zdając sobie nawet sprawy, że zasnął. Ocierając sól z oczu, zobaczył Barousse'a spuszczonego kotwicę. Wpadła z pluskiem do wody przed statkiem; lina szybko odwijająca się z bębna. Siadając prosto, Arab poczuł, że oczy wypełniają mu się łzami, ponieważ usłyszał najśłodsza pieśń, jaką można sobie wyobrazić, nadlatującą znad dzioba. A potem cień spadł ze szczytu wysokiego masztu na jarzące się morze i zanurkował równie cicho jak kotwica.

Pod pokładem Angelino, Giuseppe, Lucian, Karl i sir Jean tonęli w swoich koszmarach, gdy ich senne statki miały się przy muzyce przeciekającej przez deski. Raphael wstał, żeby się wysikać, i widząc Martyna z głową zanurzoną w beczce wody, wyszarpnął go z niej – tylko po to, by kardynał go odepchnął i znowu wsadził głowę do beczki.

Na szczycie fokmasztu Leone gapił się na koniec rei, z której właśnie skoczył Cosimo, zbyt przerażony, żeby się ruszyć. Na tylnym maszcie Hegel próbował powstrzymać Manfreda przed zrobieniem tego samego i jednocześnie samemu się nie ześlizgnąć. Jedną rękę owinał wokół olinowania, a drugą trzymał Manfreda za spodnie, podczas gdy brat próbował wdrapać się wyżej, by rzucić się stamtąd do wody. Nagle straszliwy jęk zagłuszył śpiew kobiety, cały statek szarpnął się na burtę i nawet ci pogrążeni w głębinach nocnych wizji obudzili

się gwałtownie.

W ciemnościach mężczyźni wyturlali się z koi, wpadając na siebie wzajemnie i uderzając o ściany forkasztelu, kiedy statek przechylił się gwałtownie. Beczka przewróciła się, wylewając całą zawartość na Martyna i Raphaela. Młody rozbójnik turlał się w wodzie, podtrzymując Martynowi głowę nad cienką jej warstwą i siarczystymi policzkami zaszczepiając mu z powrotem Chrystusa. Kardynał zaczął wykastywać wodę i skupił wzrok na Raphaelu, ten zaś go puścił i dołączył do żeglarzy, którzy rzucili się ku drabinie.

Kolejny wstrząs zagrzechotał masztami i nagle ogarnięty samobójczymi skłonnościami Manfred grzmotnął głową w reję z taką siłą, że stracił kilka zębów. Lina, której Hegel się trzymał, porwała go z dala od masztu i brata, a zanim wrócił z kolejnym szarpnięciem, zobaczył, że Manfred otworzył oczy i roztrzęsiony stanął na rei. Hegel wrzasnął bezsilnie, ale zamiast skoczyć ku swojej zgubie, Manfred odwrócił się i złapał rozbujanego brata. Pieśń kobiety nadal rozbrzmiewała. Bracia spojrzeli sobie w oczy. Krew lała się z braków w użębieniu Manfreda.

– Czary jeszcze nie wymknęły się spod kontroli, co? – Manfred pomógł Heglowi wyplątać rękę z olinowania.

– Jebać czarownicę i podwójnie jebać Barousse’a, który próbuje nas powstrzymać przed zrobieniem tego co słuszne! – Hegel zaczął schodzić po maszcie; światło bijące z morza było jaśniejsze od blasku księżyca.

– Ej! – Manfred zauważył Leone stojącego po drugiej stronie rei z głową przechyloną w stronę wody.

Żeglarz go nie usłyszał. Ostrożnie przesunął się ku końcowi żagla. Wiedząc, co tamten zamierza, Manfred wyciągnął sztylet i cisnął nim w mężczyznę. Trafił w cel mimo kołysania statku – ostrze wbiło się w nogę Leone i sprawiło, że koziołkując, spadł z rei. Zniknął z hukiem w ładowni – według Grossbartów, lepiej tam, niż w morzu.

Al-Gassur poszedł za kobietą, kiedy opuściła dziób i ruszyła ku rufie. Rzucił jej się do stóp. Podniosła go swoim głosem. Porzucone prześcieradło pozostało zaplątane na galionie i jej ciało oślepiło Araba – nie żądzą, lecz podziwem. Głaszcząc go po podbródku, skradła mu serce tak brutalnie, jakby wycięła je nożem.

Zeskoczywszy z masztu, Hegel zobaczył ich i ruszył, żeby roztrzaskać

kobiecie głowę, kiedy statek znowu się przechylił i Grossbart stracił równowagę. Karl prowadził szarżę spod pokładu i wobec tego jako pierwszy przekoziółkował po nagle stromym pokładzie i za burtę. Wbiwszy oskard w podkład, Hegel wyciągnął dłoń i złapał żeglarza za rękę. Był solidnie umocowany do pokładu, ale nogi Karla dyndały za burtą i gdy statek przechylił się mocniej, fala uderzyła o pokład, zalewając go na chwilę.

Kiedy świecąca woda cofnęła się, Karl wrzasnął i Hegel dostrzegł obok niego długi cień, znikający z pluskiem. Wciągnął Karla z powrotem na pokład, a Angelino i Giuseppe zjawili się im na pomoc, kiedy statek przechylił się na drugą burtę. Karl nie przestawał krzyczeć, a kiedy poleciał na tamtych dwóch, zobaczyli, że od brzucha w dół zostało mu tylko parę włókien mięsa. Gdy ześlizgiwali się pokładem, wnętrzności wysypały się z miejsca, w którym powinny znajdować się nogi Karla. Jego niedoszli wybawcy byli cali unurzani we krwi. Krzyk wreszcie uwiązał Karlowi w gardle, gdy żeglarz pojął, że już nie żyje.

Rodrigo poślizgnął się na rozlanej wodzie pod pokładem, upadł i zaparło mu dech w piersi. Lucian i Raphael wisieli, trzymając się drabiny, kiedy statek się kiwał, w końcu jednak wynurzyli się spod pokładu i ujrzeli promienne morze oraz górną połowę Karla sunącą przez pokład. Fale wznosiły się wraz z pieśnią kobiety, płomienna piana przewalała się przez reling i wszystko moczyła. Manfred puścił się masztu, kiedy statek wyprostował się do pewnego stopnia, i wtedy zobaczył, że kobieta pchnęła Araba ku krawędzi i uciekła z powrotem na dziób. Puścił się za nią w pogoń. Wyciągnięte na pokładzie trio – Hegel, Giuseppe i Angelino – zdołało wstać, kiedy śmignęła tanecznym krokiem obok nich i wbiegła na dziobówkę.

Pośród narastających jęków drewna i syreniej pieśni mężczyźni nie słyszeli wzajem swoich okrzyków, ale wszyscy rozumieli, jaki mają cel. Przerazenie Angelino stało się bezbrzeżne, kiedy zobaczył, że nie tylko zrzucili kotwicę i niewątpliwie na niej stanęli, ale jeszcze Barousse stoi z wyciągniętym kordelasem obok kabestanu służącego do jej podnoszenia. Kobieta stanęła za nim, śpiewając mu prosto do ucha, a potem odwróciła się i pozwoliła, żeby pieśń poniosła się nad wzburzonym, świetlistym morzem. Z każdą nutą morze burzyło się coraz bardziej, mimo nieruchomego powietrza, a napięta lina kotwicy ciągnęła dziób statku w dół, tak że galion zdołał ucałować morze,

zanim żaglowiec odchylił się z powrotem.

Al-Gassur chwycił się otwartej pokrywy ładowni, kiedy statek się zakołysał, i zobaczył ledwie żywego Leone, wyciągniętego w płytkiej wodzie na warstwach ukrytych złotych sztabek. Gdyby w ładowni znajdowała się woda morska i złapane ryby zamiast fortuny Barousse'a przykrytej odrobiną słodkiej wody, może nie połamaby bioder, spadając z masztu. Al-Gassur wyciągnął rękę i wyjął sztylet Manfreda, który wystawał Leone z uda.

Martyn majaczył i modlił się pod pokładem, zastanawiając się, czy może jednak to wszystko nie wyglądało inaczej niż twierdzili Grossbartowie i czy on, chociaż nie z własnej winy, nie orędownął grzesznikom zamiast świętym. Ograniczona wiedza na temat żeglarstwa i obłądne przerażenie wypchnęło sir Jeana ze składziku z torbami w obu rękach. Rodrigo próbował go zatrzymać, ale został ogłuszony przez oszalałego rycerza, który otworzył jedyny iluminator na statku i wyrzucił torby do morza w desperackiej próbie zmniejszenia obciążenia. Z każdym kiwnięciem się statku do środka wpadała lśniąca woda.

Manfried tak bardzo pragnął dopaść kobietę na dziobie, że niewiele brakowało, a nie zauważyłby Barousse'a. Z powodu tego niedopatrzania omal nie skończył z rozciętą twarzą. Zamiast tego jednak uskoczył w bok, ślizgając się w stronę relingu. Hegel okrążył Barousse'a, próbując dopaść kobietę, którą kapitan osłaniał. Angelino krzyknął coś na temat kotwicy, ale nawet ci, którzy mówili po włosku, niczego nie zrozumieli z powodu pieśni i huku fal. Giuseppe jednak i bez tego wiedział, o co chodzi, i przemknął się za Heglem. Raphael i Lucian trzymali się blisko Angelino – Raphael nie bardzo wiedział, po której stronie walczyć, zważywszy, że Barousse kupił jego lojalność, a Lucian zwyczajnie bał się zbliżyć do rozwścieczonego kapitana.

Odzyskując równowagę na pokładzie dziobowym, Manfried znowu zaatakował i zdołał odeprzeć Barousse'a w stronę kabestanu, gdzie kapitan poślizgnął się na słonej pianie i padł na plecy. Hegel ruszył do kobiety, ale wtedy dziób znowu się szarpnął. Grossbart poślizgnął się i zjechał ku przerwie w relingu. Manfried złapał brata, zanim ten wyleciał za burtę, i odciągnął go od skraju. Hegel próbował stanąć, ale nogi się pod nim ugięły – lewą łydkę miał czarną i opuchniętą po uderzeniu w reling. Angelino nie miał tyle szczęścia. Biedak przekoziółkował za burtę, kiedy statek przechylił się gwałtownie, a jego ostatnia myśl, zanim uderzył o oślepiająco jasną wodę, była taka, że najlepszy



przyjaciel ściągnął na niego zgubę.

Gramoląc się, by wstać, Barousse zauważył ku swojemu przerażeniu, że Raphael właśnie wymierza ostatni cios potrzebny do przecięcia liny. Uwolniony statek zakreślił gwałtownie i Hegel ze zgrozą ujrzał olbrzymi kształt poruszający się pod świecącymi wodami, gdzie zniknął odcięty kawał konopnej liny. Jakby wyczuwając jego spojrzenie, kształt zanurkował w głąb, posyłając w górę skrzącą się falę, która zmyła z dziobówki na pokład wszystkich prócz kobiety i Grossbartów.

Widząc wcześniej, jak Giuseppe podkrada się do Barousse'a i kobiety, Al-Gassur skoczył teraz na obalonego oficera, ale ten zrzucił go z siebie. Lucian i Raphael przywarli do masztu, żeby nie dać się zmyć do morza, a Alexius Barousse znowu wstał. Kobieta chwyciła się tego samego relingu, co Grossbartowie. Zmrużyła oczy, patrząc na nich, a pieśń się urwała. Jej zęby robiły wrażenie dłuższych w świetle bijącym z morza i wtedy zauważyli, że jej ociekające wodą ciało wybrzusza się i pulsuje, a skóra ciemnieje i pokrywa się ogromnymi plamami. Kiedy obróciła się i skoczyła nad relingiem, Manfred złapał bosak umocowany do relingu i zamachnął się, uderzając ją w bok.

Widząc, że kobieta znika za burzą, Barousse zawył i popędził z powrotem na dziób, żeby rzucić się za nią w ocean, ale Lucian go podciął. Giuseppe wstał i pośpieszył dobić Barousse'a, kiedy Al-Gassur skoczył na niego i obaj wylądowali na Baroussie i Lucianie.

Raphael zdecydował się stanąć po stronie większości i wymierzył solidny kopniak Barousse'owi, zanim unieruchomiony kapitan uwolnił rękę i ściągnął swojego dawnego najemnika na leżących na stercie ludzi.

Wykorzystując każdą ostatnią kroplę wytrzymałości, Manfred trzymał się bosaka obiema rękami, a Hegel kuśtykał najprędzej jak mógł, śpiesząc bratu na pomoc. Kobieta wpadła w szal na drugim końcu drąga. Lewą ręką nadziała się na hak z zadziorami i wisiała zanurzona w wodzie po pas, a drugą ręką szarpała bosak, żeby ściągnąć Manfreda ze sobą do wody. Wtedy dotarł do nich Hegel, złapał brata w pasie i odciągnął od burty. Manfred zacisnął powieki z powodu zaskakująco wielkiego ciężaru kobiety i otworzył je dopiero, kiedy usłyszał, jak spada ciężko na pokład.

Jej błyszczące usta rozchyliły się znowu, żeby wypuścić pieśń, a łagodne oczy spojrzały w jego twardo patrzące źrenice, ale nie był w stanie usłyszeć jej

śpiewu, tak głośno krzyczał. Ogłuszywszy w końcu Barousse'a, Lucian, Raphael i Giuseppe podnieśli wzrok i dołączyli do wrzasku Grossbarta, Arab zaś zaczął się śmiać desperackim, zawodzącym śmiechem człowieka obłąkanego. Pod pokładem sir Jean upuścił trzymaną skrzynię, rozsypując klejnoty, monety i biżuterię na podłogę obok ogłuszonego Rodriga. Martyn przestał się modlić i wyciągnął butelkę, żłopiając to, o czym myślał, że może być jego ostatnim łykiem na ziemskim padole.

Stwór wijący się na dziobie przypominał kobietę od pępka w górę, którą sprowadzili z gór, ale nawet na tym odcinku różnice były rozliczne. Drobne ząbki wydłużyły się i zwielokrotniły, kilka rzędów zaśniło w świetle księżyca, kiedy warknęła na Grossbartów. Parę rozcięć otworzyło się po obu stronach jej gardła i woda wydobywała się z nich z bulgotem. Bracia rzucili się na nią z oskardem i maczugą. Ich broń rozdzierała błonę pławną między palcami, wbijała jej dłonie w jej własną twarz i pierś. Krew, na całe szczęście, okazała się czerwona, ale bracia nie przestawali krzyczeć, gdy miażdżyli jej czaszkę i łamali żebra tak, że wyszły jej plecami.

Chociaż pieśń wepchnięto jej z powrotem do gardła, dalej się rzucała, żyłaste ciało uderzało o deski. Gładka skóra brzucha wydała się półprzezroczysta w miejscu, gdzie stykała się z łuskami pokrywającymi to, co kiedyś było jej nogami – czyli nowe i lśniące jak u węgorza wyrostki, które się zwężały, kończąc się rozczapierzonymi płetwami. Ten ohydny region jej ciała dalej dygotał, nawet kiedy za pomocą siekier odrabiali jej ręce i głowę, a Manfred wykroił jej nożem serce.

Giuseppe i Lucian wycofali się pod pokład bladzi i drżący, pod pretekstem zamknięcia w składziku zbuntowanego Araba. Raphael snuł się bez celu po pokładzie, bełkocząc do siebie w swoim ojczystym języku.

Solidny policzek wymierzony przez Hegla nieco go naprostował i wtedy pomógł im przenieść ogromne szczątki do ładowni, żeby przypadkiem nie uleczyła się znowu w ciemnym i spokojnym morzu i nie powróciła do życia żadna zemsty. W ładowni znaleźli na wpół przytomnego Leone, który zemdlał, gdy tylko zobaczył, co wnoszą. Wyciągnęli jego, ją wepchnęli, a potem zabrali żeglarza pod pokład.

Sir Jean w końcu się uspokoił, kiedy statek przestał się kołysać i trzeszczeć. Gdy zdał sobie sprawę, że ogłuszył Rodriga, wycofał się ukradkiem. Znalazłszy

Martyna drzemiącego na podłodze, uwolnił go od butelki i postawił jedno z krzeseł. Tak zastali go Giuseppe i Lucian i kiedy już wpełzali Al-Gassura do składziku, nie zauważając nadal wyciągniętego na podłodze Rodriga, podnieśli krzesła i bez słowa dołączyli do picia. Martwiąc się, że być może popełnił błąd, sir Jean nie wspominał o swoich wyczynach w składziku, a żeglarze nie wspominali o swojej przygodzie na pokładzie.

Manfried zszedł następny, a Hegel spuścił Leone na tyle, żeby żeglarze mogli go złapać i umieścić na koi. Raphael został na pokładzie. Kiedy już ustalił, że kapitan żyje, związał mu liną ręce i nogi. Bandażując mu krwawiące przedramię, podniósł wzrok i zobaczył, że Manfried i Hegel wynurzyli się z butelkami pod pachami. Podeszli do Raphaela i usiedli na luźnych linach leżących między nim i Barousselem.

– Żeś nie związał go za mocno? – zapytał Manfried.

– Mocno jak bezpiecznie. – Raphael zagapił się na przechyloną butelkę przy ustach Hegla.

– Ale nie tak mocno, żeby zrobić mu krzywdę? – dopytywał się Manfried.

– Mnie dobrze wiązać ludzi – warknął Raphael.

– Zważaj na ton, chłopcze – warknął Hegel, podając mu butelkę.

– Mnie dzięki. – Raphael przechylił butelkę.

– Mądrze, żeś go nie potraktował ostrzem – powiedział Manfried. – To nie jego wina, a to, co go do tego zmusiło, już nie dycha, więc kiedy się obudzi, znowu będzie miał równo pod sufitem.

Manfried nie mógł wiedzieć, jak bardzo mylne okażą się jego słowa. Nie udawali, że pracują na statku, i gdyby osiedli na mieliźnie, Grossbartowie nawet by się nie zorientowali. Wszyscy trzej potężnie się spili, a Hegel wmawiał im, że najgorsze dopiero przyjdzie, bo mówią mu to kości, a one nigdy nie kłamią. Pod tym względem miał prawdziwy dar proroczy.

## XXIV

# EGZEKUCJA GROSSBARTÓW



**A**l-Gassur spał w kącie, a jego umysł toczył się przez podziemny ocean wraz z nowym bratem i ich bezimienną żoną. Barousse i on byli sobie bliżsi niż krewni – byli sobie poślubieni tak samo, jak byli poślubieni swojej wspólnej wybrance. Jej pieśń związała ich trójkę na wieczność i wiedział, że w najciemniejszych głębiach pod światami oceanów, a na nich światami lądów blokujących światło słońca i księżyca, wreszcie odnalazł dom, gdzie nie będzie oceniany za wygląd.

Obudzony ze snu krzykiem, Al-Gassur przeturlał się ze śmiechem na ustach. Poprzedniej nocy przycisnął ucho do drzwi, więc wiedział, co się dzieje na pokładzie, i w pełni popierał ten spisek. Zamieszanie obudziło też Rodriga; młodemu człowiekowi pękała głowa i bolało go każde ścięgno w ciele po tym, jak wbrew woli zasnął w pozycji, jaką narzucił mu sir Jean.

Na wpół przytomny wstał i zaczął się dopytywać, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Arab odpowiedział mu całkiem przekonującą imitacją głosu Ennia, zmarłego brata Rodriga, i zarazem swojego dawnego pana. Rodrigo rzucił się na drobniejszego mężczyznę, gotów wycisnąć z niego prawdę, jeśli zajdzie taka potrzeba, czym go przestraszył i zmusił do działania. Krzyki na górze przybrały na sile. Młodzieniec był zdecydowany dopiąć swego, ale nawet jednonoga zwierzyzna wymknęła mu się.

– Wieszają ich! – ryknął w końcu radośnie Al-Gassur, kiedy tańczyli we dwóch w małym pomieszczeniu. – Śmierć Grossbartom! Śmierć!

– Co? – Rodrigo przystanął. – Co Barousse o tym myśli?

– Związany i pobity! Te łajdaki zabiły ją, teraz zabiją jego, a potem mnie!

– Grossbartowie?

Ponieważ spędził noc zwinięty na podłodze, można mu było chyba wybaczyć, że nie przeczuł zdarzeń, które nastąpiły po tym, jak ogłuszył go sir Jean.

– Śmierć zdrajcom! Sprawiedliwość wymierzona za ich zbrodnie! Za Sześciopalcego Pietro ściętego na ulicy! Za mojego brata Barousse’a i za naszą żonę! Sprawiedliwość! – Al-Gassur zamknął oczy, a Rodrigo powstrzymał chęć, by uderzyć byłego lokatora Barousse’owej stajni.

– Zamknij pysk, bo pożałujesz, że Grossbartowie cię nie dorwali. – Rodrigo splunął, ale jego dramatyczne wyjście popsuł fakt, że drzwi zablokowano od zewnątrz.

Klnąc, wyciągnął kordelas i zaczął rąbać drzwi.

Sny Hegla ostrzegły go przed tym, co nadejdzie, ale kiedy otworzył oczy i usta, żeby ostrzec brata, podstępny Giuseppe już zarzucił mu pętlę na szyję, a okaleczony Leone leżał w ładowni, mierząc mu z kuszy w twarz. Sir Jean z kolei zarzucił pętlę na szyję Manfrieda, a Lucian szturchał Grossbarta kordelasem w brzuch. Bracia spojrzeli po sobie, ale nawet nie drgnęli, uznając, że nerwowość napastników może okazać się śmiertelnie niebezpieczna. Teraz, kiedy już do tego doszło, to, że dali się zaskoczyć w czasie snu na pokładzie statku, wydało im się raczej wydarzeniem żenującym i możliwym do uniknięcia.

Raphael leżał związany i krwawił obok Barousse’a; plan spiskowców, żeby go zwerbować, został pokrzyżowany przez gniew sir Jeana. Rycerz upierał się, że młody człowiek pozostanie lojalny Grossbartom, dając sobie tym samym pretekst, by solidnie go zlać, a przy odrobinie szczęścia zgotować mu znacznie gorszy los. Stryczki już zwieszały się z rei, ale wszyscy zgodzili się, że najpierw należy upokorzyć braci.

– Co to za zdrada? – zapytał ostro Hegel.

– Jesteście buntownikami i jako kapitan mam obowiązek przed Bogiem dopilnować, byście zawiśli – powiedział Hegłowi do ucha Giuseppe. – Mówiłem Angelino, żeby nie ruszał w ten rejs, i gdyby posłuchał swojego oficera, żyłby, a wy, psy, już bylibyście martwi.

– Piękne podziękowanie za uratowanie wam życia – odparł Manfried.

Sir Jean zawołał do Giuseppe po włosku, a ten powtórzył jego słowa po niemiecku:

– Chce wam podziękować za wgniecenie mu zbroi i za to, że przez was śmierdzi dupą wieśniaka.

Nawet jeśli była powgniatana i cuchnąca, sir Jean włożył ją znowu, zanim podkraść się do Grossbartów. Kopnął olinowanie obok stopy Luciana i skinął

głową na Manfreda. Cała czwórka odbyła wtedy krótką i rozgorączkowaną dysputę na temat tego, czy zaryzykować i związać ręce Grossbartom przed wciągnięciem na reję. Uznawszy, że zawsze mogą braci zastrzelić albo zadźgać, gdyby się uwolnili, ustalili plan działania.

– Gdy już obetniemy wam głowy, żeby ofiarować je naszemu doży, pożegłujemy do domu! – ogłosił Giuseppe. – A ponieważ mamy też Barousse’a, powinni przywitać nas jak bohaterów, że już nie wspomnę o złocie waszego durnego kapitana.

– Gotów żeś, bracie? – zapytał w ich sekretnym języku Hegel, ale zanim Manfred zdążył odpowiedzieć albo cokolwiek zrobić, Giuseppe odbiegł, szarpnięciem za sznur zmuszając Hegla do wstania.

Hegel – uwiązany za szyję i balansujący na spuchniętej kostce – sięgnął do paska, ale wszystkie jego noże zniknęły. Zobaczył szkarłatną szarfę wystającą zza masztu i nienawiść zmieszała się w nim z przygnębieniem.

– Ty biadoląca cipo! – wycharczał. – Z nami żeś powinien trzymać! Żeś miał pomagać nam walczyć z Jej wrogami!

– Wola Maryi się wypełni. – Martyn nieśmiało wyszedł z ukrycia. – Wszyscy jesteśmy jedynie instrumentami wyższej woli.

– Niech was diabli! – Manfred wyrznął sir Jeana łokciem i przenikliwy ból przeszył mu rękę aż do ramienia, kiedy trafił w zbroję rycerza. – Wy przekłeci heretycy, wy wszyscy!

– Szkoda, że nie możemy was spalić! – Giuseppe szarpnięciem oderwał od pokładu Hegla, który chwycił się liny obiema rękami, żeby nie złamała mu karku.

Kręcąc się na linie, próbował kopnąć Giuseppe, ale tamten tylko wciągnął go wyżej. Stopy Hegla na darmo próbowały znaleźć oparcie na żaglu za nim.

– Na brodę mojego brata, lepiej nas ukrzyżujcie! – zawył Manfred, kopiąc Luciana.

– Doskonały pomysł! – zgodził się Martyn, który odciął dwie długości sznura i zaczął się niepewnie wdrapywać na maszt za pomocą jednej zdrowej ręki.

– Ejże! – zawołał Giuseppe. – Nie mamy ani gwoździ, ani czasu!

– Właściwie – wydyszał Martyn, przerywając na chwilę wspinaczkę – wystarczy lina, ponieważ to sam Bóg zabija.

Sir Jean zapytał Giuseppe, co, u diabła, jest grane, ale zamiast wesprzeć

swojego nowego kapitana, rycerz zarechotał, kiedy ten przetłumaczył mu słowa Martyna. Propozycja ukrzyżowania niemal uspokoiła też skazańców, więc Giuseppe ustąpił – a przynajmniej w wypadku pierwszego Grossbarta. Podciągnął bardziej Hegla, aż ten znalazł się na tyle wysoko, żeby Martyn mógł go złapać. Oczywiście, to oznaczało, że Grossbart też mógł złapać kardynała, co zrobił, nawet jeśli miało to go kosztować życie.

Pętla zacisnęła mu się na gardle, przyduszając Hegla, który przyduszał Martyna. I wtedy Grossbart dostrzegł rękojeść swojego sztyletu wystającą z kardynalskich szat, zwolnił uścisk i zaczął macać, aż zdołał zaczepić się ręką o reję. Spiorunował wzrokiem rżężącego kardynała, który omal nie spadł ze swojej grzędy.

Wymieniając się z Martynem szeptanymi przysięgami, Hegel ustąpił i pozwolił, żeby przywiązano mu ręce luźno do rei, by wyglądało to, jakby został skrepowany, podczas gdy tak naprawdę cały swój ciężar utrzymywał na dłoniach i łokciach. Z tego miejsca zdał sobie sprawę, że lina wokół jego szyi zwiesza się z rei naprzeciwko, co oznaczało, że nadal może zawisnąć, jeśli się oswobodzi albo Giuseppe zaciśnie sznur.

Na pokładzie uwagę wszystkich – nawet Giuseppe – przyciągnął Raphael, który zdołał przetrzeć krepujący go sznur o wystający gwóźdź i rzucił się na Luciana. Manfred złapał za swoją pętlę i odskoczył, pociągając za sobą sir Jeana. Rycerz miał dość rozumu, żeby nie wypuszczać uwięzianego na sznurze Grossbarta, i dał się pociągnąć do przodu, Manfredem zaś bujnęło i prawie przewrócił Luciana i Raphaela. Martyn zatrzymał się w połowie drogi z masztu, a sztylet Hegla został na górze, niezbyt dyskretnie wbity w reję za jego lewą ręką.

Giuseppe zdał sobie sprawę, że sytuacja się zmieniła, i szarpnął za linę Hegla z całej siły, a potem uwiązał ją wokół relingu za sobą. Martyn przywiązał Grossbarta na tyle mocno, żeby wyglądało to przekonująco, ale kiedy lina pociągnęła Hegla w stronę rei fokmasztu, ten nie zdążył na czas wysunąć rąk. Poczul, jak sznur wrzyna mu się w szyję, i mógł tylko się dławić i modlić.

Nadal podwieszony na swojej linie Manfred bujał się z powrotem w stronę rycerza. Lucian i Raphael przeturlali się pod nim, obaj trzymając ręce na rękojeści kordelasa Luciana. Sir Jean przyjął uderzenie nóg Manfreda na pierś, ale ponieważ mocno trzymał linę, szarpnął nią i sprawił, że Grossbart wzniósł

się wyżej w powietrze. Giuseppe zamierzył się w wierzgające w powietrzu nogi, ale zanim trafił ostrzem w ciało, Leone wydał z siebie okrzyk i strzelił z kuszy.

Rodrigo właśnie pojawił się na drabinie. Bełt Leone przeleciał mu nad ramieniem. Żeglarz rozpaczliwie przeładowywał kuszę, a Giuseppe rzucił się na Rodriga, który nie miał pojęcia, dlaczego sytuacja przybrała taki obrót. Mimo to, wyciągnął kordelas, żeby rozsierdzony pierwszy oficer nie przebił go na wylot. Sir Jean zdołał jakoś wstać, przy okazji opuszczając nieco Manfreda.

– Hegel! – wrzasnął Manfred, dostrzegając Rodriga.

Chłopak zerknął w górę na ukrzyżowanego Grossbarta i omal przez to nie stracił ucha. Kordelas Giuseppe otarł się o jego twarz, ale Rodrigo sparował atak i cofnął się. Przywódca spiskowców nadrabiał brak umiejętności zaciekłością, natomiast przydługi trening Rodriga był uzupełniony zbyt skromnym doświadczeniem w szkole prawdziwej walki. Dlatego błyskotliwa finta młodzieńca prześlizgnęła się obok ostrza przeciwnika, trafiając go w lewą rękę. W odpowiedzi, rozwścieczony Giuseppe ściął Rodrigowi kawałek skóry i włosów z głowy.

Hegel, który młócił nogami i zaciskał zęby, zaczął widzieć światełka przed oczami. Hałasy z dołu przycichły i cień wypełniał mu obrzeża pola widzenia, zamykając się powoli wokół rosnących iskierek światła. A potem wszystko zalała czarna powódź, pozostawiając Hegla samego i ślepego.

Martyn wspiął się z powrotem po maszcie, kierując się instynktem samozachowawczym, ale kiedy dotarł do rei, zdał sobie sprawę, co się stało z Heglem. Łapiąc równowagę na rei, uderzył w sztylet kolanem i ostrze, koziółkując, spadło do ładowni. Nie bardzo wiedząc, co innego może zrobić, zaczął odwiązywać ręce Hegla niepewną dłonią.

Raphael kopnął Luciana kolanem w krocze, ale żeglarz uderzył go bykiem – i tak rozbójnikowi po raz trzeci w życiu złamano nos. Po kolejnym ciosie w krocze Lucian pożegnał się z bronią i przytomnością na wystarczająco długo, by Raphael przejął broń i wstał. Kopnął Luciana w twarz, odpłacając się pięknym za nadobne w kwestii nosa. Na wpół oślepiiony krwią i bólem obrócił się, szukając celu, i znalazł w zasięgu sir Jeana.

Rycerza zaczęła ogarniać panika, w miarę jak sytuacja coraz mniej przypominała masakrowanie zadzierających nosa chłopów z Żakerii w jego rodzinnej prowincji, a coraz bardziej brutalną bitwę pod Poitiers, chociaż tam



przynajmniej odłożył miecz i potem rozkoszował się przyjemnym okresem odpoczynku do czasu wpłacenia za niego okupu. Jednakże, nawet jeśli był naiwny, to nie aż tak, by oczekiwać równie honorowego zachowania ze strony tej bandy. Wypuścił linę, spuszczać podwieszonoego Manfreda prosto na ramiona Raphaela. Obaj padli na pokład, a sir Jean wyciągnął kordelas, który znalazł poprzedniej nocy.

Z krwią piekącą w jednym oku, Rodrigo zatoczył się do tyłu i uskokzył przed kolejnym ciosem kordelasa Giuseppe. Dzięki Opatrzności walczyli, przesuując się po pokładzie, aż znaleźli się w pobliżu liny Hegla, którą Giuseppe przez nieuwagę przeciął, kiedy Rodrigo zrobił unik. Lina strzeliła koło twarzy pierwszego oficera, który odruchowo odskoczył. Kolano wygięło mu się na krawędzi luku ładunkowego. Poleciał do tyłu, wprost do otwartej ładowni, na chwilę zniknął pod powierzchnią słonawej wody, a potem wynurzył się i zobaczył, że odcumowany Hegel turla się w jego stronę. Martyn odwiązał mu lewą rękę i zdołał na tyle poluzować linę przy prawej, że kiedy duszący go sznur zwiotczał, Hegel wysunął się z więzów i spadł.

Kusza Leone znowu się wynurzyła i tym razem pocisk trafił w ciało. Przerażony żeglarz przez chwilę myślał, że Rodrigo naprawdę złapał bełt przecinający powietrze, ale potem krew trysnęła z drugiej strony jego dłoni. Rodrigo spojrział na bełt przebijający mu rękę i zastanawiał się, dlaczego to go nie boli – i wtedy nagle zabolalo. Straszliwie. Leone upuścił kuszę i zaczął szukać sztyletu, kiedy koniec kordelasa Rodriga przeszedł mu między zębami i wyszedł karkiem. Krew zrosiła mgiełką twarz młodzieńca, gdy przekręcił ostrze, żeby je uwolnić.

Dostrzegłszy swoją maczugę na pokładzie, Manfred odskoczył od sir Jeana, a Raphael zamachnął się na rycerza. Jego ostrze odbiło się od opancerzonej piersi sir Jeana, który roztrzaskał mu czaszkę głowicą kordelasa. Raphael osunął się u stóp rycerza, ten zaś wymierzył mu brutalny cios w brzuch. Zanim całkiem zatracił się w tratowaniu byłego strażnika, dostrzegł Manfreda pędzącego przez pokład i rzucił się za nim w pogoń.

Giuseppe widział, że Hegel spada prosto na niego, ale zanim zdążył się ruszyć, ten na nim wylądował. Chociaż dusza Hegla już tuliła się do Piersi Maryi, jego ciało zaliczyło jeszcze jeden grzech śmiertelny, wciskając swoim ciężarem głowę Giuseppe pod wodę i roztrzaskując mu czaszkę o zatopioną

sztabkę złota. Trupy oficera i pół kobiety złagodziły upadek Hegla lepiej niż woda i sztabki złota w przypadku Leone poprzedniej nocy, a kiedy zimny płyn oblał mu plecy, płuca odruchowo wciągnęły powietrze, a potężne mięśnie szyi poluzowały pętlę. Obrzydliwa natura wciągniętego powietrza, dusznego od rybnego piżma zamordowanego potwora, sprawiła, że Hegel Grossbart zaczął kaszleć i się krztusić. Znowu odetchnął, ale tylko dlatego, że świat fizyczny do tego stopnia podrażnił jego umierające zmysły.

Manfried porwał maczugę w jedną rękę, leżący nieopodal oskard brata w drugą i odwrócił się do sir Jeana akurat kiedy ten zamachnął się z góry kordelasem. Ostrze wybuchło, napotkawszy pędzącą głowicę maczugi, metalowe odłamki odbiły się od zbroi sir Jeana i wbiły w skórę Manfreda. Za jednym zamachem Grossbart poderwał oskard i wbił go między nogi rycerza. Metalowy czubek wybił poszczerbioną dziurę między sączkiem i tym, co chronił.

Znajdując się tak blisko, Manfred nie mógł uskoczyć przed opadającym, połamanym ostrzem sir Jeana, skierowanym w jego posiniaczoną szyję. Zanim jednak wbiło się w ciało, rycerz – co ciekawe – wypuścił broń i niezręcznie uderzył go w twarz, a wypuszczone ostrze przycięło lewe, do tej pory całe, ucho Manfreda i wyleciało za burtę. Kordelas Rodriga nie przebił grubego żelaza pokrywającego przedramię sir Jeana, ale zdołał jednocześnie rozbroić rycerza i jeszcze bardziej rozszerzyć Manfreda.

Odrętwienie w genitaliach sir Jeana zamieniło się w palący ból, kiedy Manfred wyszarpnął oskard, i zanim rycerz doszedł do siebie, Rodrigo i Manfred obalili go na pokład. Zbroja zapadała się pod każdym uderzeniem maczugi, siniacząc skórę rycerza i organy wewnętrzne. Czubek nosa odpadł pod ostrzem Rodriga, buchnęła krew i smarki. Pozbawiony nawet szansy na honorową śmierć sir Jean zasłonił twarz i czekał na cios, który zakończy jego upokorzenie i życie.

– Pilnuj, żeby tu leżał, ale jak go zabijesz, to będziesz następny – warknął Manfred do Rodriga i obrócił się gwałtownie, rozglądając się za bratem.

Martyn zobaczył, że Manfred kręci się po pokładzie, nawołując Hegla, ale nie odpowiedział. Zamiast tego skulił się ze strachu na szczycie masztu i się modlił. Wtedy Manfred dostrzegł brata leżącego w ładowni – twarz miał bladą, ciało nieruchome. Dyszenie Hegla zwolniło do niedostrzegalnego

poświstywania, mimo to, Manfred wyciągnął go i przerzucił przez ramię, jakby brat był tylko zbyt pijany, by ustać na własnych nogach. Odwracając się z powrotem do sir Jeana i Rodriga, który nagle krzyknął, Manfred zrzucił brata na wyciągniętego rycerza.

Hegel wylądował twarzą w twarz z sir Jeanem. Rycerz oderwał ręce od pogruchotanej twarzy, żeby odepchnąć Grossbarta. Ignorując wymachującego rękami rycerza, Manfred podciągnął brata wyżej, aż jego bezwładne ciało zablokowało sir Jeanowi usta, a to, co zostało rycerzowi z nosa, za bardzo krwawiło, żeby wciągnąć powietrze. Manfred nacisnął plecy Hegla i przyduszał rycerza, aż tamten właściwie przestał się rzucać. Wtedy Manfred zrobił sobie przerwę, pozwalając sir Jeanowi swobodnie odetchnąć, zanim znowu docisnął poduszkę z pleców Hegla.

Klnąc bez przerwy pod nosem, Manfred rytmicznie przyciskał pierś brata do głowy rycerza, aż wreszcie doprowadził do tego, że brutalnie oderwał Hegla od Jej Piersi i przywiódł do piersi sir Jeana. Ręce Hegla zadygotały, a potem poleciały ku bolesnemu wybrzuszeniu pod piersią. Najświętsza Paniienka zwróciła, co człowiek odebrał, a otwierając oczy, Hegel Grossbart natychmiast wydłubał oczy sir Jeanowi.

– Cud – szepnął Manfred.

– Cud – wykrztusił Martyn.

– Hrrgh – wycharczał duszący się sir Jean, któremu teraz krew płynęła z bulgotem nie tylko z nosa, ale też z oczodołów.

– Uch – jęknął Hegel.

– Przeklęty cud! – wykrzyknął Manfred. – Wychwalajcie Maryję!

– Wychwalajcie – zdołał wykrztusić Hegel. – Nas.

– Ściągnijmy to – powiedział Manfred. – Rozumiem, żeś wstrząśnięty Jej Mocą, Rigo, ale przestań się opierdalać i pomóż mi ściągnąć z niego tę pętlę.

Rodrigo posłuchał, ale po wygranej walce ból z powodu odniesionych ran zaostrzył się do tego stopnia, że ledwie trzymał się na nogach. Usadzili Hegla, opierając go o tylny maszt i przysunęli mu butelkę do ust. Na pokładzie leżeli Raphael, Lucian, sir Jean – wszyscy zbyt pobici, żeby się ruszyć, a Martyn zszedł pośpiesznie z masztu, by dołączyć do zwycięzców. Kiedy się zbliżył, Manfred wstał, złapał go za kołnierz i cisnął na ziemię między nogi Hegla.

– Chcesz, żeby teraz go rozciął, czy wolisz na końcu, po wszystkich? –

zapytał Manfred.

– Błagam! – zaskowyczał Martyn.

– Uznajesz Ją? – wyrzęził Hegel.

– Tak!

– Uznajesz Jej Cud?

– Tak!

– Umarłem. – Hegel zamrugał, patrząc na brata. – Widziałem Ją.

– Jesteś męczennikiem. – Manfred skłonił głowę.

– Sprowadziła mnie z powrotem – wydyszał Hegel.

– Prawdziwy cud! – zgodził się zdesperowany kardynał.

– Zatem jesteś rozgrzeszony. – Hegel zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie, czego był świadkiem, ale obraz zwiądł jak liść zimą. – To samo dotyczy pozostałych, bracie.

– Co? – Manfred nie wierzył przyciętemu uchu.

– Każdy, kto uzna prawdę, zostanie oszczędzony – wychrypiał Hegel. – Z wyjątkiem tego francuskiego snoba i intryganta Seppe. Ich nie dotyczy miłosierdzie.

– Nawet będąc nieprzytomnym, zdołałeś zabić Giuseppe! – Martyn tak bardzo śpieszył się zrobić dobre wrażenie, że popełnił błąd taktyczny.

Manfried przypomniał mu o boskiej naturze sytuacji, trzepnąwszy go w łeb.

– Nawet poprzez śmierć – poprawił się Martyn – nawet w śmierci zniszczyłeś Judasza.

– Tego bogatego. – Hegel machnął ręką w stronę sir Jeana. – Wyciągnijcie go z tej zbroi i powieście tam, gdzie sam mnie umieścił.

Rodrigo jednak zniknął, nie zostawiając Manfredowi innej możliwości, jak wykonać zadanie osobiście. Zostawił brata, żeby napił się z kardynałem, a sam rozebrał sir Jeana z poobijanej zbroi. Rycerz stawiał niewielki opór, całkowicie skupiony na zmasakrowanej twarzy.

Potem Manfred zajął się Raphaelem i Lucianem. Obaj odzyskali przytomność po zlaniu ich deszczówką z beczki, ale mieli tak zakrwawione twarze, że nie mógł ich odróżnić, dopóki Raphael nie odezwał się łamaną niemieczyzną. Nakreśliwszy szybko sytuację biedakom, Manfred uparł się, żeby Raphael przetłumaczył wszystko Lucianowi, który skwapliwie zaakceptował cudowny przebieg wydarzeń i nawet próbował ucałować stopy Manfreda.

– Idź do diabła. – Manfred splunął. – Dopilnuj, żeby ten drań nie dorwał choćby noża, dopóki jest na tym statku.

– Dlaczego jemu nie nóż? – zapytał Raphael, ostrożnie dotykając złamanego nosa i krzywiąc się.

– Bo nie można mu ufać! – Sfrustrowany Manfred pokręcił głową.

– Tak, to czemu jemu nie nóż? – Raphael przesunął ręką po gardle.

– Bo Hegel udzielił mu łaski, a my nie są przekłeci mordercy! – Manfred popukał Raphaela w czoło. – A teraz rusz się i pomóż mi ukrzyżować Francuza.

– Dzięki niech będą Najświętszej Paniencie! – Al-Gassur oznajmił swoją obecność, mając dość czasu, by przełknąć rozczarowanie. – Niech będzie błogosławiona. Pobłogosławiła wam, jemu i nawet mnie! Cud!

Pod pretekstem pomocy przy rozplątywaniu nadmiaru liny przed wciągnięciem na reje sir Jeana, Al-Gassur podszedł do zapomnianego Barousse'a. Kapitan obserwował wydarzenia spomiędzy masztów, gdzie leżał związany, kilka razy robiąc za kamień, o który mężczyźni potykali się w czasie walki. Łagodne spojrzenie i beznamiętna twarz zmieniły się jednak na widok Araba i łzy napłynęły mu do oczu, kiedy szeroki uśmiech przeciął opuchniętą twarz.

Odkrywszy, że sir Jean wyrzucił za burtę każdą skórkę chleba i każdy okruszek – łącznie z obiema leżącymi na kojach prywatnymi torbami z jedzeniem Grossbartów – Manfred przekopał się przez wszystkie torby we wspólnej sali i splądrował pozostałe koje, w poszukiwaniu ukrytego sera albo kiełbasy. Znalazł dość, by przetrwać dzień, i raz jeszcze sklął słabość, która ogarnęła ostatnimi czasy jego samego i brata. Powinni byli ukryć gdzieś dodatkowe zapasy, na wypadek gdyby doszło do takiej właśnie głupoty. Upewniając się, że nikt nie zbliży się do drabiny, upił maleńki łyk z prywatnego bukłaka, opłukując wnętrze ust z zamkniętymi oczami. Potem napełnił wiadro piwem z beczki, dziękując Najświętszej Paniencie, że nie przewróciła się jak beczka z wodą.

## NUDNY REJS



Hegel szybko doszedł do siebie na tyle, by rozstawiać innych po kątach, ale rozpraszała go gra słońca na żaglach i spokojnym oceanie. Raphael i Lucian wykorzystali stryczki przeznaczone dla Grossbartów do umocowania rąk Jeana, Martyn zaś próbował wypowiedać oszalałego z bólu rycerza. Nie będąc w stanie rozszyfrować przyprawiających o mdłości odgłosów i nie mając ochoty dłużej na niego patrzeć, pośpiesznie udzielił mu ostatniego namaszczenia. Gdyby Hegel dostrzegł poczynania kardynała, wyrzuciłby go za burzę, ale ogarnął go nastrój kontemplacyjny, który uważał za stosowny dla kogoś, kto dopiero co powstał z grobu.

Kiedy Raphael poinformował go, że sir Jean jest gotowy przyjąć karę, Hegel rozkazał oddać morzu trupy Giuseppe i Leone, po uprzednim przeszukaniu ich i sprawdzeniu, czy nie mają przy sobie niczego cennego. Pojawił się z powrotem Manfred, taszcząc dla brata wiaderko piwa. Zauważył, że Al-Gassur szepcze do związanego kapitana, więc pomógł bratu wstać, żeby obaj mogli naradzić się z kapitanem.

– Kolejny cud – oznajmił Hegel.

– Cieszymy się, żeś wrócił do siebie, kapitanie – dodał Manfred.

Kapitan powiedział coś po włosku do Al-Gassura i obaj zachichotali, patrząc na Grossbartów.

– Ejże! – Hegel się nachmurzył. – Żadnych takich.

– Mój brat poinformował mnie, że obaj idiotycznie się prezentujecie – powiedział Al-Gassur.

Manfried poinformował Araba, że roztropnie jest milczeć, policzkując go tak długo, że zapiekła go dłoń. Przy pierwszym ciosie Barousse zaczął wyć jak ogar i szarpać się w więzach, kłapiąc wyszczerbionymi zębami na Grossbartów. Hegel zareagował, wlewając wino do kłapiących ust. Kapitan uspokoił się,

czując smak trunku, i odchylił głowę, żeby lepiej móc się napić.

Kierując Araba kopniakami w stronę drabiny, Manfred rozkazał mu zejść pod pokład.

– Każ Rigo wyjść i pomóc nam zainstalować z powrotem kapitana w jego kwaterze.

– Barousse – odezwał się Hegel. – Żeś doszedł już do siebie, kapitanie?

Barousse odsunął usta od butelki i splunął Heglowi winem w twarz.

– Ona nie żyje – syknął Hegel. – Nie żyje jak reszta tych, co to chcieli nas zgubić. Teraz płyniemy do Giptu. Zwróć się do Maryi, kapitanie, zwróć się do Niej!

Barousse się zsiakał, oczy uciekły mu w głąb czaszki i czerwona ślina popłynęła spomiędzy wyszczerbionych zębów. Hegel westchnął, a widok niegdyś wspaniałego człowieka w takim upadku z jakiegoś powodu przypomniawszy mu o ogromnym głodzie. Manfred wrócił, gdy już pogonił Araba, i słysząc, jak bratu burczy w brzuchu, otworzył worek. Odsunęli się od kapitana i siedli z wiatrem, żeby zjeść, a Lucian i Raphael woleli zejść na dół niż prosić ich, by się z nimi podzielili. Wkrótce wrócili jeszcze bledsi.

– Co mnie będzie jeść? – powiedział Raphael.

– Masz. – Hegel oderwał kawałek sera i rzucił go chłopakowi. – Napij się dość piwa, to nie będzie ci tak burczało w brzuchu.

Sir Jean leniwie wisiał między masztami, a Lucian zaczął uderzać w jego nagą pierś, wykrzykując coś po włosku. Grossbartowie roześmiali się na to, a Raphaela tylko ser powstrzymywał przed podobną histerią. Pod pokładem próbował wyciągnąć jakieś informacje od Rodriga, pytał, jak mogliby złowić trochę ryb, ale tamten albo nie chciał, albo nie był w stanie rozmawiać po tym, jak wysłuchał sprawozdania z szaleńczych wydarzeń poprzedniej nocy i przemiany, jaką przeszedł kapitan. To, że Lucian i Rodrigo – jedyne dwie osoby, które miały jakieś pojęcie o żeglowaniu i morzu – ewidentnie pesymistycznie oceniali ich szanse, wyprowadziło Raphaela z równowagi.

Nowe i straszliwe emocje związane z zabiciem bliźniego zmieszały się w Rodrigu z troską o kapitana. By uciec przed wyciem Araba dobywającym się ze składziku, wyszedł w końcu na pokład. Jego opuchnięte oczy nie były przygotowane na jasność słońca i kiedy przywykły na tyle, by Rodrigo przestał je mrużyć i wreszcie dostrzegł pokład, zobaczył, że wspólne wysiłki pozostałej

przy życiu załogi zaowocowały ukrzyżowaniem sir Jeana na rei fokmasztu. Ignorując ten okrutny obrót spraw, podszedł powoli do miejsca, w którym leżał kapitan.

Związany Barousse zignorował Rodriga. Nie odrywał oczu od morza. Rodrigo usiadł obok niego na pokładzie i, nie bardzo wiedząc czemu, oparł głowę na jego ramieniu. Zamknął oczy i zaczął się zastanawiać, czy życie kiedykolwiek jeszcze sprawi mu radość. Wtedy Barousse wgryzł mu się w ucho.

Rodrigo szarpnął się, zostawiając prawe ucho w ustach Barousse'a. Przyciskając zdrową rękę do rany, spojrział na kapitana, który spokojnie przeżuwał. Rodrigo cofnął się chwiejnie, płacząc nie tylko z powodu przeszywającego bólu.

Widząc nieszczęście młodzieńca i nieświadomie dotykając własnego przyciętego ucha, Manfred zawołał Luciana i Raphaela. Rodrigo patrzył, jak odwijają sznury krępujące kapitana i wy kierowują go w stronę drabiny. Barousse nie chciał albo nie mógł wstać, więc zaciągnęli go i spuścili do wspólnego pomieszczenia. Następnie cała trójka zesła pod pokład, a Rodrigo, potykając się, poszedł na rufę do kardynała Martyna. Nie rozmawiali ze sobą, ale obaj popatrzyli wstecz, na miejsce, gdzie szmaragdowe morze spotykało się ze złotym niebem.

Później tego dnia Grossbartowie zaczęli nalegać, by Rodrigo i Lucian upewnili się, że nadal znajdują się na właściwym kursie. Nawet gdyby któryś z nich rzeczywiście znał się na nawigacji, wszelkie mapy schowane w składziku powędrowały do morza razem z jedzeniem. Kiedy wszyscy prócz Al-Gassura i Barousse'a pracowali na żaglach, dwaj żeglarze nie byli pewni, dokąd płyną oprócz tego, że, ogólnie rzecz biorąc, na południowy wschód. Obaj upierali się, że powinni popłynąć na północ w poszukiwaniu lądu, gdzie mogliby zdobyć jedzenie i nową załogę, ale Grossbartowie nie chcieli o tym słyszeć, obstając, że wiara wystarczy.

Tej nocy Rodrigo, który zwątpił, czy pożyje dość długo, by znaleźć bardziej zadowolającego duchownego, spróbował zrzucić ciężar z serca, rozmawiając z Martynem. Martwiący się o duszę kapitana i brata jeszcze bardziej niż o własną, ranny młodzieniec rozczarował się, kiedy kardynał uparł się, że to on się jemu wypowiada, i zaczął pleść trzy po trzy o demonach i śmierci ukochanej Elise. Raphael nie spał, nawet kiedy Lucian, Martyn i Rodrigo



zasnęli, bezskutecznie próbując wychwycić zrozumiałe słowa z rozmowy Grossbartów pijących na pokładzie i z odgłosów dobiegających ze składziku.

Po długich sporach logika Manfreda dotycząca oczyszczającej natury ognia wygrała i bracia zabrali się do rozpalania ognia w zbroi sir Jeana. W świetle płomieni zobaczyli sylwetkę rycerza – płaski cień na żaglu i szeroką smugę spływającą spod niego. Hegel zasugerował, żeby rano przetestowali mięso na Arabie – mądry pomysł wedle oceny Manfreda. W ramach ostatecznych środków ostrożności, Hegel odciął mięso z bliźniaczych ogonów najdalej od miejsca, w którym łączyły się z ludzką skórą.

Nie spali przez większość nocy, wędząc mięso i mając nadzieję, że przepyszny aromat nie ukrywa trucizny albo kłątwy. Kiedy z pokrywy luku ładowni i z krzeseł z forkasztelu zostały tylko popioły, uznali, że mają dość zapasów aż do samego Giptu, pod warunkiem, że będą oszczędnie jedli. Wobec tego odrąbali kawałek relingu i uwędzili kolejny stos, teraz niebezpiecznie zbliżając się do okolic, gdzie wątpliwe mięso uczyniłoby z nich kanibali. Ukryli je w swoich workach, a węgle wrzucili do oceanu, rozczarowani, że fale połknęły przyjemne syczenie, za którym tęsknili.

Spali na zmianę, podczas gdy gwiazdy krążyły, a statek się kołysał – obaj na tyle przywykli do kołysania, że już nie robiło im się niedobrze. Manfred w czasie warty patrolował pokład i mrużąc oczy, patrzył w nieprzeniknione głębie. Hegel swoją spędził na szczycie masztu, szeptem powierzając sir Jeanowi teorie, o których bał się mówić bratu. Czuł się z tym bezpiecznie, ponieważ rycerz zmarł w długiej przerwie między ukrzyżowaniem i chwilą, kiedy Hegel postanowił mu zaufać. Żaden z braci nie tknął żagli ani steru, wyobrażając sobie, że takie zachowanie mogłoby wskazywać na brak zaufania do Woli Maryi.

Raphael poprowadził exodus spod pokładu wkrótce po świcie. Rodrigo z ponurą miną towarzyszył Lucianowi i Martynowi. Grossbartowie powitali ich jak zwykle, co oznacza, że ich zignorowali. Raphael odchrząknął, a kiedy bracia nie zareagowali, zwrócił się do pozostałej trójki.

– Musimy złowić ryby – powiedział po włosku.

– Cóżem rzekł o gadaniu szyfrem? – zapytał ostro Manfred, który teraz zaczął słuchać.

– Żeglarz nie mówi w innym języku. – Rodrigo westchnął, wskazując

Luciana. – Powiedział tylko, że powinniśmy spróbować złowić trochę ryb, ale nie wiem, jak zamierza to zrobić, kiedy cumy od sieci zerwały się razem z wciągarką.

– Pijcie piwo – powiedział Hegel – i módlcie się.

– Tak! – zgodził się Martyn – To jedyny sposób!

– Co oni mówią? – Lucian szepnął do Raphaela po włosku.

– Że cię zjemy, jak będziesz tyle gadał – odpowiedział najemnik, i to uciszyło żeglarza.

– Ryba już jest – oznajmił Manfred – ale zanim ktokolwiek ją zje, nakarmimy nią Araba. Sprawdźmy, czy nie jest zepsuta albo trująca.

Pełni niedowierzania mężczyźni zaczęli mówić jeden przez drugiego, ale Manfred zbył wszystkich machnięciem naładowanej kuszy. Zauważyli kawały wędzonego mięsa wyłożone na pokładzie i aż się zaślinili. Niejeden przesunął się, żeby złapać kawałek. Kusza jednak ich zatrzymała. Hegel stanął na brzegu ładowni i zwrócił się do pozostałych.

– Zjemy, jeśli Arab przeżyje do zachodu słońca – wychrypiął – i ani ja, ani mój brat, ani żaden z was nie spróbuje mięsa aż do tego czasu. A teraz słuchajcie Rigo, który pouczy was, jak wykierować te łajbę do Giptu.

Manfried zabrał spory kawał mięsa pod pokład, zostawiając pozostałych, by rozplątali olinowanie i pobawili się żaglami. Drzwi zatarasowano beczką z piwem, bo Rodrigo poprzedniego dnia zniszczył zasuwę. Jęknąwszy kilka razy, Manfred przesunął ją na tyle, żeby przepchnąć się do składziku. Al-Gassur najwyraźniej cenił sobie własne życie, bo nie rozwiązał Barousse'a, ale obaj leżeli obok siebie pośrodku pomieszczenia. Czwooro oczu zabłysło, patrząc na Manfreda.

– Przyniosłem ci coś do jedzenia, Arabie – powiedział Manfred.

Al-Gassur ani nie zmiękł, tak jak Grossbartowie, ani nie miał takiego pecha jak oni i jego torba nadal była wypchana owocami, serem, kielbasą i chlebem, które zwędził, zanim sir Jean wziął się za katapultowanie zapasów przez świetlik. To w połączeniu z obustronną nieufnością między nim i Grossbartami odwiodło go od przyjęcia podarunku. Jednakże krótki czas, jaki spędził w ich towarzystwie, przestrzegł go przed wyrażeniem odmowy wprost.

– Bądź błogosławiony, najdroższy Manfredzie – zagruchał Al-Gassur. – Może zechcesz także nakarmić kapitana? A przyniosłeś też coś, byśmy zwilżyli

usta?

– Wszystkie te puste butelki obok ciebie sugerują, żeś napitek sam sobie dostarczył ze skrzynki – zauważył Manfred. – A co do kapitana, każdy wie, że ryba nie służy tym, którzy chorują na umyśle, i dlatego jemu przyniosłem ser.

– Ryba, dla mnie? – Podejrzliwość Al-Gassura wzrosła, a wraz z nią gorliwość jego błagań. – Proszę, dobry Manfredzie, daj mi tę ucztę, na którą nie zasłużyłem!

Manfried rzucił mu rybę i poczekał, aż Arab odgryzie kilka kęsów i przełknie, zanim się odwrócił. Widok Barousse'a, który patrzył na nich jak bezrozumne zwierzę, denerwował go bezgranicznie i wolałby, żeby kapitan albo umarł, albo wyzdrowiał. Jednakże Woli Maryi musi stać się zadość, nawet jeśli pozostawała nieprzenikniona dla Grossbartów i pomniejszych ludzi. Przesuwając beczkę z powrotem na miejsce, nie widział, jak Al-Gassur wypluwa mięso, które upchnął w policzku.

– Zjadają ją? – Barousse śmiał się i płakał.

– Naszą żonę – jęknął Al-Gassur, przyciskając do policzka rybną pulpę.

– Moją oblubienicę.

– Jak ją pomścimy?

– Ich krwią. – Barousse zaszlochał. – Ich kośćmi i duszami.

– Przepadła – lamentował Al-Gassur. – Przepadła, przepadła, przepadła.

– Ale będziesz miał następną. – Szloch Barousse przeszedł w rechot. – Wyłowisz następną i będzie twoja, a ja popłynę z moją przez posiadłości wśród wodorostów. Wspanialsza niż ich Maryja, wspanialsza niż moja Mathilde.

– Co masz na myśli?

– Uwolnij mnie, bracie. – Barousse odzyskał całkowity spokój. – Przetnij moje więzy, a pokażę ci.

Chociaż zwariował, Al-Gassur nadal wzdragał się przed spełnieniem tej prośby. Grając na zwłokę, powiedział:

– Grossbartowie wrócą, jestem tego pewien. Lepiej poczekajmy, aż słońce zajdzie, bo wtedy będą unikać tego miejsca.

– Pomścij nas, kiedy odejdę, bracie, a zostaniesz wynagrodzony.

Barousse zamknął oczy i zamruczał melodię, którą obaj dobrze znali, chociaż prosty ludzki instrument nie zdołał oddać jej esencji.

Tymczasem na górze mężczyźni odkryli, skąd wzięło się mięso, kiedy Lucian

zerknął do ładowni. Kiedy doszedł do siebie po omdleniu, odpełził od Hegla, bełkocząc każdą znaną sobie modlitwę. Raphael był równie zde gustowany i przysiągł, że prędzej umrze niż włoży taką plugawość do ust, a Martyn poparł jego odmowę przyjęcia ciała czarownicy jako źródła pożywienia. Rodrigo uśmiechnął się na widok ich oburzenia, nie aż tak zdziwiony tym najnowszym grzechem, chociaż także nie zamierzał brać w nim udziału. Wspiął się na maszt, podczas gdy pozostali szemrali z dezaprobatą z dala od uszu Grossbartów.

Ze wszystkich mężczyzn, wyłączwszy Hegla, Rodrigo odniósł najpoważniejsze rany. Mimo to, kawałek odsłoniętej czaszki, przebita dłoń i odgryzione ucho mniej go martwiły niż upadek kapitana, jedynej rodziny, jaka mu została. Siedząc na rei obok marniejącej głowy sir Jeana, popatrzył na morze i zaczął się zastanawiać, jak będzie żył dalej, jeśli Barousse umrze.

Dzień upływał, rozpacz załogi kontrastowała z optymizmem Grossbartów. Z pewnością piaszczyste krainy złota leżały tuż za następnym wałem chmur i nawet późnym popołudniem bracia wpatrywali się wyczekująco w horyzont, przekonani, że lada chwila pojawi się ląd. Nic z tego. Chociaż nocą wiatr przybrał na sile, ludzie byli zbyt wyczerpani, więc znowu głodni wrócili do koi. Fakt, że Al-Gassur robił wrażenie zdrowego, nie skłonił nikogo prócz Grossbartów do spróbowania jej mięsa.

Bracia zajadali się, spierając się, czy posiłek smakuje dobrze, czy nie. Manfred uważał, że bardziej niż inne wodne mięsa przypomina dziczyznę, a według Hegla było wyjątkowo rybne. Jego niechęć do czworonożnych stworzeń w żaden sposób nie rzutowała na przyjemność, z jaką zjadał ich przypieczone ciała i organy.

– Dziwne – powiedział Hegel po tym, jak zjedli. – Widzieliśmy już... Ile? Trzy czarownice i trzy potwory?

– Źeś się omylił w rachowaniu. – Manfred beknął.

– Jak to?

– Jeden potwór, ten mantykołak, czy jak żeś to zwał, czarownica, co mu służyła...

– On służył jej – przerwał mu Hegel.

– Sporne. Potem ten czarownik, co przyszedł ze świnia. I miał w sobie demona, więc to po jednym z każdego rodzaju.

– I tu się mylisz, bo mężczyzna był czarownikiem, demon to demon, a ze

świnia to trzy.

– Trzy co? Nie, przymknij się. Ta Świnia była świnia, co była świnia. Świnia, w którą wlał demon, po tym, jak żeśmy zabili czarownika. – Manfred pokręcił głową z powodu tępoty brata.

– Skąd wiesz, że nie była jego służką albo Szatanem?

– Nie wiem, tak samo jak ty nie wiesz, więc z braku dowodów będziemy zakładać, że to była zwykła świnia opętana przez demona.

– Gdyby to był Kusy, to nie wpuściłby tak łatwo jakiegoś zafajdanego demona – rozmyślał Hegel. – Sam by nas zaatakował.

– Widzisz, oto rozsądne myślenie. – Manfred był pod wrażeniem. – Czyli to dwie czarownice i dwa potwory, a z tą, którą żeśmy właśnie zjedli, to trzy.

– Trzy co?

– Hm – mruknął Manfred. – Czarownice? Czarownice.

– Czarownice, zgodnie z moim obszernym doświadczeniem preceptora w Pradze, nie mają przeklętych rybich części zamiast nóg. – Hegel demonstracyjnie uniósł głowę i poniuchał kartoflowatym nosem.

– Hm.

– Potwory zaś mają najróżniejsze zwierzęce części. To właśnie czyni je potworami.

– Czarownice mogą mieć ogony – powiedział Manfred po kolejnym kęsie. – Tylko nie takie duże.

– Pewnie, mały krowi ogonek, albo koci, czy coś takiego. Mogą mieć nawet kilka cycków jak suki, ale żeby aż tak... – Hegel ścisnął tłuste mięso w palcach. – Nie, mości panie. Z drugiej strony, wedle mojej wiedzy potwory nie rzucają czarów i temu podobnych, więc zem uznał, że ona się liczy za dwoje.

– Zjedzenie potwora to nie grzech – filozofował Manfred – za to zjedzenie czarownicy tak, bo są mniej lub bardziej ludzkie, więc póki trzymamy się w dół od pępka, nic nam nie grozi.

– Prawda, i to nieskażona retoryką. I nie smakuje najgorzej, jeśli mam być szczery.

– Wszelako tu pojawia się kolejna ciekawa kwestia – powiedział Manfred. – Możemy się zgodzić, że demony różnią się od innych potworów, ponieważ potrzebują, jak nam rzekł w górach kardynał, ciała, najlepiej czarownicy, żeby

wędrować w nim jak my na tej łodzi.

– Albowiem tak jak my może przez chwilę unosić się na wodzie, ale potem zatonie, nie mając niczego konkretnego, na czym mógłby spocząć – przytaknął mu Hegel.

– Dobra Panienska musiała dołożyć ci trochę rozumu, kiedy żeś nie żył. W każdym razie demony różnią się od potworów. Nie przypominają niczego, co do tej pory widziałem.

– Tak?

– Podczas gdy potwory, które żeśmy widzieli, mianowicie nasza kolacja i tamten mantykołak, wyglądały jak ludzie ze zwierzęcymi częściami – powiedział Manfred.

– Ryba to nie zwierzę. Już żeśmy o tym gadali – zauważył Hegel.

– Ożeż w mordę jebane, Hegel, wiesz, co mam na myśli! Pół węgorz, wąż czy ryba a pół kobieta i pół zwierzę a pół mężczyzna są nadal bardziej do siebie podobne niż demon do czegokolwiek, człowieka czy zwierzęcia. Czy ryby.

– Tak?

– To dlaczego potwory zawsze są mieszanką człowieka i stworzenia?

– Wedle naszego doświadczenia rzeczywiście tak to wygląda. – Hegel się zamyślił. – Opierając się, jak to teraz robimy, na założeniu, że to, co żeśmy zjedli, to potwór, a nie czarownica.

– Racja, racja! Żem nie zjadł żadnej przeklętej czarownicy! Tylko górna połowa to czarownica, a to co zjadamy, to czysty potwór.

– Przypuśćmy. Ale dręczą mnie wątpliwości, czy to coś w górach miało głowę czarownika i kocie ciało potwora. Zdaje się, że to mogło być człowiekiem i stało się potworem.

– Czyli możliwe, że potwory to jedynie ludzie, czy to heretycy, czy czarownicy, którzy zostali w coś zamienieni. – Manfred zagryzł usta, gapiąc się na stos nie zjedzonego mięsa.

– Albo potwory to zwierzęta, które częściowo zamieniono w mężczyzn. Albo w kobiety.

– To już krztynę naciągane – sprzeciwił się Manfred. – Nie wierzę, żeby to było możliwe, że była ryba, którą zamieniono w kobietę.

– Ale nie gadała. A ryby nie gadają.

– I nie śpiewają. Poza tym, mnóstwo potworów, o których żem słyszał, nie

ma nic z mężczyzn ani kobiet. To czyste potwory.

– Na przykład? – dopytywał się Hegel.

– Na przykład, smoki i jednorożce, i takie tam.

– Tyle że nigdy żeśmy ich nie widzieli, więc to mogą być tylko opowieści.

– Niekoniecznie.

– Nie, ale to, że się o czymś słyszało, nie znaczy, że to istnieje. Wiem, że Maryja istnieje, bom Ją widział, wiem, że demony istnieją, bom widział jednego, wiem, że to jebane dziwadło, rybia czarownica, istnieje...

– Rozumiem, rozumiem – psioczył Manfred. – Ale żeśmy wiedzieli, że czarownice istnieją, zanim żeśmy jakąś zobaczyli i, rzecz jasna, żeśmy mieli co do nich rację.

– A pewnie – zgodził się Hegel.

– Czyli potwór, wedle naszego doświadczenia, to po części człowiek, po części zwierzę, chociaż istnieje możliwość, że mogą to być różne rzeczy pomieszane razem, jak bazyliszek. Po części kurczak, po części smok.

– To nie bazyliszek tylko przeklęty kuroliszek.

– Co takiego?! – Manfred wyśmiał ignorancję brata.

– Kuroliszek. Bazyliszek to tylko jaszczurka, tyle że zatruwa studnie i takie tam – wyjaśnił Hegel.

– To skorpion! Chociaż masz po części rację, bazyliszek też szybko zabija, tyle że kierując na człeka oczy.

– Co?! – Hegel pokręcił głową. – Teraz ty zmyślasz kłamstwa, bo każdy uczony człowiek z miejsca ci powie, że skorpion to nie gad, jeno robak.

– A widział żeś kiedy robaka, co ma oczy i ręce, hę?

– Poza tobą?

Debata rozgorzała i w końcu przeszła w wymianę argumentów na poziomie cielesnym. Hegel cieszył się, że żyje i może dokopać bratu, Manfred czuł to samo. Kiedy przyszedł czas wart, każdy na swojej rozmyślał nad niezbitymi argumentami do dyskusji, która kwalifikowała się jako taka tylko w najluźniejszym rozumieniu tego słowa, zważywszy, że w tej kwestii – jak i w większości innych – mieli z grubsza zbieżną opinię.

Kiedy pod pokładem zapadła cisza, Al-Gassur zapalił łojówkę w składziku. Przy jej słabym świetle rozciął więzy Barousse'a i w tej samej chwili kapitan wyrwał mu nóż i przyszpilił go do podłogi. Boleść Al-Gassura, że jego

podejrzenia odnośnie do Barousse'a okazały się słuszne, przemieszała się z czystym przerażeniem, kiedy kapitan zaczął zachowywać się jeszcze dziwniej.

Pochylając się nad Al-Gassurem, Barousse rozciął sobie nożem policzki i czoło. Z głębokich ran krew pociekła do otwartych ust Araba. Potem kapitan przycisnął nóż do gardła Al-Gassura i zaczął lizać go po twarzy, ssąc mu koniuszki wąsów i podważając zaciśnięte powieki mięsistym językiem. Arab zdusił okrzyk, słony język wcisnął mu się pod powiekę i przycisnął do gałki ocznej, wyciskając wodnistą galaretkę. Tylko ostrze muskające mu szyję powstrzymało go od krzyku; wiedział, że gdyby choćby kaszlnął, poderznąłby sobie gardło.

Ten cudaczny i lubieżny atak zakończył się równie nagle, jak się zaczął, i Barousse wstał. Al-Gassur skulił się, błagając brata o wybaczenie wszelkich przewin, jakich mógł się nieumyślnie dopuścić. Barousse jednak zaczął szaleńczo ciąć ubranie, z takim zapalem, że po chwili stał nagi przed Arabem, a jego stare rany i świeże rozcięcia lśniły czernią w świetle świecy. W jednej ręce trzymając nóż, drugą złapał dłoń Al-Gassura i szarpnięciem zmusił go do wstania. Objął Araba, który drżał w mokrych objęciach, a jego brudne ubrania lśniły teraz świeżą krwią.

– W swoich podróżach spotkałem podróżnika – szepnął Barousse, wypuszczając Al-Gassura i podbiegając do rozrzuconych pudeł. – Ja byłem podróżnikiem i on był podróżnikiem, i przez krótki czas podróżowaliśmy razem. Podróżowanie. Podróż, podróż, jedyny sensowny sposób życia. Miałem żonę, dwóch małych synów, ale nadal podróżowałem, jeśli mnie rozumiesz.

– Rozum...

– Najlepiej jest podróżować z innymi podróżnikami. Morze zmusza cię do wejścia między ludzi, ale nie wszyscy są podróżnikami w głębi serca. Ten człowiek, tak jak ja, był więcej niż kimś, kto podróżuje, bo może. Był podróżnikiem, który podróżuje, bo musi.

– Ja także podróżowałem. Muszę przyznać...

– Powiedział mi. – Barousse otworzył szkatułkę z biżuterią i cisnął nią o ścianę, rozrzucając fortunę na podłodze. – Nie pytałem, tak jak ty nie zapytałeś, ale powiedział mi, tak jak ja powiem tobie.

Al-Gassur zachował milczenie, patrząc, jak kapitan przetrząsa pozostałe skrzynie, aż wreszcie znalazł tę, w której znajdowały się jego ubrania. Był to



ostatni kufer, jaki próbował wyrzucić sir Jean, zanim się potknął, uderzył w głowę i zdał sobie sprawę, że statek się uspokoił. Barousse zaczął rechotać, łzy i strużki krwi zbierały się w kałuże wokół jego nagich kolan. Al-Gassur przysunął łożówkę, a Barousse zaczął rozrzucać po pomieszczeniu obszyte futrem tuniki i buty.

– Wiedział, że nie potrafię być naprawdę szczęśliwy, ponieważ podróżowałem mimo z trudem zdobytego bogactwa, ukochanej rodziny i wygodnego stanowiska. Myślę, że dlatego. Na pewno dlatego. A jednak zastanawiam się, często, bardzo często; zastanawiałem się, zwłaszcza po tym, jak umarli, a ja ją wygnałem. Będziesz się bał morza i jej, ale jeszcze bardziej będziesz się bał ją oddać, będziesz żałował wszystkiego, jak ja żałowałem wszystkiego. Jednak ostatecznie będziesz równie szczęśliwy jak ja!

Barousse zatrząsł się ze śmiechu. Jego nagie ciało kleiło się od zasychającej krwi i nieczystości.

– Wschód to ich dom. Płyniesz tam, gdzie wiadomo, że tonęły statki, gdzie są szpikulce skał daleko na morzu, opustoszałe wyspy otoczone urwiskami, ukryte rafy, które gwałcą brzuchy statków. Płyniesz tam sam. Zostawiłem statek, wszystkich moich ludzi i powiosłowałem w pobliże opustoszałej wyspy tak daleko na wschód, jak nigdy dotąd w swoim życiu, za Cypr, aż do samej krawędzi Ziemi Świętej. Nie może być księżycy, nawet odrobiny, tylko gwiazdy i twój własny strach oświetlają morze. I tam czekasz z mocną siecią.

Kapitan musiał odnaleźć swój łup, bo przestał grzebać i się wyprostował. W drżących dłoniach trzymał gruby, czarny płaszcz. Delikatnie przesunął po nim nożem w górę i w dół, dźgając go, aż Arab usłyszał słaby, metaliczny brzęk. Wtedy nóż zagłębił się i Barousse pochylił się, wsuwając rękę do dziury niczym akuszerka pomagająca drobnej kobiecie urodzić pierwsze dziecko. Światło świeczki Al-Gassura odbiło się od czegoś. Arab zerknął Barousse'owi przez ramię.

– Jak go przeszukasz, znajdziesz linę cieniutką jak sznurek, ale daleko mocniejszą. Zrób pętlę na końcu i wrzuć do morza. Upewnij się, że ma długość statku i dosięgnie głębin. A potem czekasz, ale niezbyt długo. Kiedy poczujesz szarpnięcie, wyciągnij ją, powoli i delikatnie, jak kiedy kochasz się z żoną po raz pierwszy. Usłyszysz plusk koło łodzi i wtedy musisz rzucić sieć, lecz ostrożnie, bo każdy dostaje tylko jedną szansę. Wciągnij sieć szybko do łodzi,

ale nie patrz, bo wszystko przepadnie! A nade wszystko nie patrz, dopóki nie znajdziesz plaży albo skały, gdzie będziesz mógł wyciągnąć sieć i dopiero wtedy! A to, drogi bracie, warte jest wszelkich ofiar, jakimi to okupisz, wszystkich tragedii, jakie potem wycierpisz, ten pierwszy raz, gdy ją zobaczysz! Dopiero wtedy wrócisz na statek i do świata ludzi, przynosząc to, co zdobyłeś.

Al-Gassur wyciągnął drżące ręce i przyjął przedmiot. Boki małej buteleczki były powykręcane i wypaczone, i zamiast korkiem szyjka kończyła się gładkim szklanym kołem. Coś dziwnego leżało na dnie, bryłka owinięta w foczą skórę, a zdumiony Arab zauważył, że przewyższa rozmiarami szerokość szyjki. Albo butelkę wydmuchano wokół tej rzeczy, albo to coś urosło po zamknięciu w środku. A najciekawsze ze wszystkiego było to, że szkło robiło wrażenie ciepłego w dotyku, a kiedy przycisnął je do policzka, poczuł, że pulsuje jak pierś małego zwierzątka.

– Zawsze trzymaj to w ukryciu, z dala od księżycy, słońca i im podobnych. Tu, z dachem w górze, podłogą w dole i ścianami ze wszystkich stron jest wystarczająco niebezpiecznie. – Barousse oderwał kawałek płaszcza i przykrył butelkę w dłoni Al-Gassura. – Nigdy nie pozwól, by ujrzało otwarte niebo, nawet kiedy będziesz z tego korzystać, trzymaj zawinięte w materiał i pozwól, żeby morze samo zdjęło okrycie. A teraz, kiedy już to ujrzałeś, nigdy więcej nie ryzykuj, nigdy!

– Bracie, w tobie na zawsze pokładam całą moją wiarę. – Al-Gassur skłonił głowę.

– Uwielbiam widzieć drzenie maleńkich ptasząt – szepnął Barousse z dziwnym akcentem i zanim Al-Gassur zdążył zapytać, co ma na myśli, ciepły płyn spryskał mu twarz.

– Zadbam, żebyś spoczął razem z nią, bracie – przysiągł Al-Gassur.

Pokój przybrał szkarłatny odcień od krwi w jego oczach. Barousse padł bezwładnie z nożem wbitym po rękojeść w nagą pierś. Gorączkowy uśmiech kontrastował z przerażeniem w jego zamglonych oczach, a usta poruszały się jeszcze długo przez noc. I tak kapitan Alexius Barousse opuścił świat ludzi i Grossbartów, pozostawiając swoje dziedzictwo w rękach tych, którzy nadal wychwalali jego imię.

## XXVI

# KRUCJATA DZIECIĘCA



W dniach, które nastąpiły po tym, jak Heinrich przywdział szaty biczownika, chłopcy zachowali posłuszne milczenie, ale uprowadzali każdego samotnego podróżnego z drogi i przyprowadzali przed ojczyma, który pouczał bliskie katatonii ofiary, zanim pozwalał bliźniakom je pożreć. Z każdą pożartą ofiarą demon wściekał się i zamęczał Heinricha, żeby oszczędził potencjalnych neofitów, ale mężczyzna nadal przezwyciężał demona. Gorączka nigdy nie słabła, wypełniając jednak członki Heinricha chorobliwym wigorem, zamiast go osłabić. Bezwiednie popadł w kanibalizm, kiedy Brennen zaproponował mu najróżowsze kąski z pochwyconych nieszczęśników. Nie mógł już dłużej znosić słońca, zmuszał więc bliźniaków do kopania dla niego głębokich nor tam, gdzie nie dało się znaleźć jaskini albo gęstwiny. Niepokój zadręczał Heinricha, który nigdy nie widział mapy, ale brzuch zmuszał go do wędrówki na południe.

W noc po tym, jak minęli miasteczko na poły zniszczone przez ogień, jego chłopcy popędzili w stronę ogniska nad rzeczką. Znajdowali się teraz na trawiastych obszarach, które nie oferowały zbyt licznych kryjówek za dnia i Heinrich zabroniłby im zbliżać się do obozowiska, gdyby nie żywił nadziei, że znajdzie Grossbartów, zanim uciekną statkiem. Tradycyjne wrzaski szybko ucichły i kiedy Heinrich czekał na brzegu, jego podniecenie gasło, bo podejrzewał, że Grossbart może przeklinać i krzyczeć, ale nie wrzeszczeć piskliwie, nawet gdyby prosięta zżerały mu genitalia.

Bliźniaki przeszły z pluskiem przez nurt i złożyły ładunek przed Heinrichem. Widok białych szat osłodził mu rozczarowanie. Lepsi księża niż nic, ale nim zaczął kazanie, jedna z ofiar przeturlała się, odsłaniając papieską maskę. Zerwawszy maski, Heinrich spojrział w nieprzytomne, uciekające w głąb czaszki oczy młodych mężczyzn.

Po tym, jak ochlapał ich wodą i skopał kilka razy, zaczęli mówić, a Magnus i Brennen gorliwie obserwowali ich z cieni. Bzdury, które wygadywali, nie miały najmniejszego sensu dla Heinricha, który westchnął i pogodził się z tym, że nigdy nie dowie się, czemu ubrali się w taki sposób. W końcu, jako prosty gospodarz, który został prorokiem, rozpoznawał strój papieski tylko z tryptyku widzianego dawno temu, i z tego, co wiedział, większość mieszkańców Państwa Kościelnego ubierała się w taki sposób.

Paolo z ulgą powitał widok prawdziwego księdza po tym, jak zaatakowały go diabły. Błagał o litość, wyjaśniając, że tylko pragnienie pomszczenia ojca przekonało go do wdziania workowatych szat Przydrożnych Papieży. Vittorio dostrzegł potwory czające się w chwastach i natychmiast zrozumiał, że ten człowiek o okrutnej twarzy nie może być duchownym, więc próbował sprzedać duszę przyjaciela w zamian za swoją. Heinrich uniósł bicz, wiedząc, że jego słowa nie dotrą do tych cudzoziemskich heretyków, kiedy Paolo przeklął ich imię, pochylając głowę i płacząc.

– Jakież to imię wymieniłeś? – zapytał ostro Heinrich, nieświadomy, że język czarownicy znał wszystkie inne i teraz zwraca się do chłopców po włosku.

– Grossbartowie! – zawodził Paolo, orząc palcami błoto, już nie w pełni władz umysłowych. – Ci przekłęci Grossbartowie! Spalili nas, spalili mi ojca! Spalili nas! Związani i bezsilni nie zdążyliśmy się uwolnić!

Niestety, mimo że oni rozumieli jego, Heinrich nie skubnął ucha Nicolette, więc zrozumiał tylko imię Grossbarta i wściekłość, jaką żywił wobec nich młodzieniec. Widząc jednak, że to powstrzymało opętanego, Vittorio też zaczął przeklinać Grossbartów z nienawiścią równie szczerą, ponieważ zamordowali mu kuzyna, Giovanniego, znanego swoim ofiarom jako Klemens.

– Dość tego skomlenia! – rozkazał Heinrich, a młodzi ludzie powrócili do płaszczenia się ze zgrozą, jęcząc i drapiąc twarze w szoku. – Chcę tylko wiedzieć, czy nienawidzicie Grossbartów bardziej niż kochacie Najświętszą Panię, własne dusze albo Wielkiego Demona w Niebiesiech.

Tamci dwaj z zapalem pokiwali głowami, błagając o litość. Paolo próbował wytłumaczyć, że zanim napadły na nich potwory, podróżowali na południe, ścigając Grossbartów, ale Heinrich uciszył go delikatnym trzaśnięciem bicia. Powiedział im, żeby tylko kręcili głowami albo kiwali nimi, bo zauważył, że rozumieją jego słowa. Omal nie połamali sobie karków, z takim zapalem skinęli

głowami.

– Zatem zostaniecie oszczędzeni – oznajmił, a bliźniaki zaczęły wyć rozczarowane, dopóki nie kazał im zamilknąć. – Załóżcie z powrotem maski i przysięgnijcie spełniać moją wolę w czasie naszej misji zniszczenia braci Grossbart!

Przysięgli i pokiwali głowami, niezręcznie zakładając maski rękami pokaleczonymi do żywego przez zęby bliźniaków. Odwracając się do swoich chłopców, Heinrich podkreślił, że nie wolno im skrzywdzić uczniów. Aby jednak młodzi Włosi nie uciekli, wyznaczył Magnusa do pilnowania Vittorio, a Brennena przydzielił do Paolo. Bracia wyskoczyli z ukrycia, wywołując kolejny atak płaczu i konwulsji u niedoszłych Przydrożnych Papieży.

Tej nocy przyjęli sakrament ludzkiego ciała, które zaoferował im Heinrich. Nie podejrzewali, że dwie ohydy rozumieją każde słowo, jakie wyszeptali między sobą, nawet jeśli ich pan niczego nie pojmował. Lęk Vittorio, że będą musieli całować określone części anatomii demona, okazał się bezpodstawny, chociaż niewielka to była pociecha. Heinrich odprowadził nowicjuszy z powrotem do ich obozowiska, żeby zabrali pakunki i broń, a potem zapytał, czy wiedzą, w którym kierunku należy iść, by dotrzeć do piaszczystych pustkowi Arabii.

Będąc cyrulikiem o zasłużonej reputacji, ojciec Paolo sporo wiedział i przekazał mu całą wiedzę, jaką posiadał na temat swojej profesji, a w przeciwieństwie do wielu przedstawicieli jego fachu, przyznawał, że krucjaty prócz relikwii i innych namacalnych zysków przyniosły ze sobą wiele postępowych idei. Podczas gdy przeciętny kmiotek wskazałby pewnie gdzieś na południe i zaczął dłubać w nosie, Paolo wskazał wschód, kiwając z zapalem głową, kiedy Heinrich zmrużył oczy. Chłopak ponownie wskazał wschód, a potem wygiął rękę na południe, co najwyraźniej zadowoliło Heinricha.

Natychmiast wyruszyli. Umysły młodych papieży zostały nieodwołalnie skażone grozą wydarzeń tej nocy. Bez mapy czy drogi odważnie ruszyli pustkowiec. Heinrich domagał się, by bliźniaki przenosiły go przez nawet najmniejsze strumienie, byle nie zamoczyć stopy. Atakowały go też inne równie niewytłumaczalne impulsy i w parne popołudnia, kiedy sen mu uciekał, słyszał cichy, pełzający głos, który nie należał do niego ani żadnego z obecnych. Szept, który nakłaniał go do wykonania jeszcze dziwniejszych rytuałów. W końcu

kompromis został osiągnięty.

Teraz, kiedy mijali wioski, zmuszano jednego z nowicjuszy, by potajemnie zakradał się do nich i wrzucał kawałki gnijącego ciała Heinricha do studni. Kiedy okazywało się to niemożliwe, Heinrich stawał się irracjonalny i rozkazywał chłopcom porywać pojedyncze osoby z oddalonych gospodarstw, żeby mógł je obejmować i całować nieprzystojnie, aż zaczynały wymiotować. Wtedy je wypuszczał, ostrzegając, że jeśli powiedzą o tym, co widziały, zjawią się u nich demony. Kazał im jednak pamiętać, że to wszystko wina Grossbartów. Mało kto z porwanych odezwał się jeszcze kiedykolwiek w życiu, zaraza odbierała im życie, zanim otrząsnęli się ze zgrozy na tyle, by odzyskać zdolność myślenia, już nie wspominając o umiejętności porozumiewania się w sposób wykraczający poza jęki. Tym działaniom Czarna Śmierć zawdzięczała krótkie odrodzenie na okolicznych terenach – świta Heinricha pozostawiała po sobie pomór i zniszczenie, maszerując na wojnę z Grossbartami.

## XXVII

### Z RODOS DO GIPTU



**H**egel obudził się gwałtownie; gorączka w końcu przestała dręczyć jego wyłysiałą od ognia głowę. Rozglądając się po ciemnym pomieszczeniu, zaczął macać w poszukiwaniu oskarda w łóżku obok siebie i zaniepokoił się jego brakiem.

Zbroja leżała udrapowana na krześle obok łóżka, ale kiedy spróbował wstać, nogi mu zadygotały i padł na podłogę. Leżąc nieruchomo przez kilka chwil, nasłuchiwał głosów brzęczących za drzwiami. Zamknął oczy i spróbował przypomnieć sobie, co się działo przed chorobą, ale pamiętał tylko brutalne lanie, jakie zaordynowali Arabowi po odkryciu, że Barousse zmarł, będąc pod jego pieczęcią.

Drzwi otworzyły się z impetem i Heglowi oczy się zaszkliły od napływającej zza nich jasności. Na tle słonecznego światła rysowała się charakterystyczna sylwetka Manfreda. Potem drzwi się zamknęły i Manfred pomógł mu wrócić na łóżko. Wsunął mu do rąk butelkę. Hegel napił się i zakaszał, a brat szczyrzył do niego zęby w uśmiechu, dopóki Hegel nie oddał mu wina.

– Co się stało? – zapytał Hegel.

– Wypełniła się Jej jebana Wola. – Manfred wypił łyk. – Nie znam szczegółów, bo sam dopiero żem wstał. Wygląda na to, że może jednak nie powinniśmy byli jeść tej czarownicy. Próbowwała nas otruć nawet po śmierci.

– Żem ci mówił. Pewnie dlatego nie wracają do mnie wspomnienia.

– Żeś mi mówił? Jak amen w pacierzu nie pamiętasz wszystkiego należycie.

– A co ty masz? Ja Araba błagającego, kiedy żeśmy wymierzyli mu Jej Wolę, i jeszcze krztynę na dobitkę.

– Dzień albo dwa dni później on i ten buntownik Lucian wylądowali na belkach od żagli i strzelił żem do niego z kuszy.

– Dla sportu czy z konieczności?

– Pewno jedno z dwojga. Żem przyszpilił bełtem Lucy’ego do masztu, czysty strzał w czaszkę. Nawet Rigo się z tego uśmieł. Ciało łajdusa łopotało i dyndało, dopóki bełt się nie złamał i drań nie spadł.

– Coś jeszcze?

– Arab nie chciał zejść, więc żem zamierzał zrąbać mu grzędę. Najwyraźniej nie zdążyłem tego zrobić.

– Strasznie zadzierał nosa, myślał, że staniemy za nim, bo nosił flagę kapitana jak sutannę. – Teraz Heglowi przypominały się inne rzeczy związane z Arabem. – Nie rzucił się na ciebie z nożem?

– Nie sądzę. – Manfred ściągnął brwi. – Jeśli tak, tom musiał załatwić go jak należy, bo nie mam takiej rany.

– Ale po tym, jakeś zabił tego Luciana?

– Wszystko jak przez mgłę, w najlepszym razie. My żeśmy żeglowali, oni łowili ryby, ale nie złapali nawet kijanki. Ostatecznie trza było odciąć tego judaszowego rycerza z masztu, bo zgnilizna leciała na żagiel. Potem żeśmy wywalili go za burtę, razem z resztą tych psubratów.

– Łącznie z kapitanem Bar Guzem? – zapytał Hegel.

– Masz mnie za poganina? Barousse’a żeśmy zostawili pod pokładem.

– A czarownicę?

– Ktoś ją wywalił, kiedy żeśmy spali. Martyn się nie przyzna, ale wyciągniemy to z niego laniem, jak się lepiej poczujesz.

– My są już na piaskach? – zapytał Hegel po krótkiej chwili namysłu.

– A tam. Ale my są coraz bliżej.

Hegel zamrugął i potarł materac zaskakująco czystą dłonią. Spojrzał znowu na Manfreda, nachmurzył się i powiedział:

– No to, kiedy żeś zamierzał przestać suszyć do mnie zęby i powiedzieć mi, co się w Jej Imię stało? Co jest? Bo wiem, żeś nie wyszył mi tych puchów ze starych worów po rzepie.

– Chodź i popatrz, bracie. – Manfred dopił wino i pomógł Heglowi wstać. – Chodź i rzuć okiem na Jej Szczodroblivość.

Ramię w ramię podeszli do drzwi i Manfred wyprowadził brata na zewnątrz. Światło oślepiło Hegla, ale brat poprowadził go do przodu, a szum oceanu niemal zniknął, zagłuszony ludzkim zgiełkiem i rżeniem koni. Nawet obecność jednokopytnych nie umniejszyła zdumienia Hegla, kiedy jego wzrok wreszcie



ogarnął otoczenie.

Stali na pokładzie potężnego żaglowca, spokojnie trzykrotnie większego od ich pierwszego statku. Ani dziesiątki mężczyzn, ani wiwaty, które rozległy się na jego widok, nie zaparły Heglowi tchu w piersi. To, co zaszokowałyby nawet żyjącego świętego, to flota tnąca morze wokół nich – kolosalny, pływający las masztów, a na wielu z nich wisiały ogromne białe żagle ozdobione czerwonymi jak krew krzyżami.

– Dostarczono nas na wyspę. – Manfred zakreślił ręką łuk. – Wyspę pełną uczciwych ludzi, którzy aż się rwali, żeby płynąć na południe i wyrwać co nieco niewiernym.

– Pobłogosław nam, Maryjo!

– Tak, pobłogosławiła nam! Martyn! – krzyknął Manfred i pobiegł do nich kardynał. – Chodź i usłysz to z jego ust, bracie! Ten głupiec w pełni odpokutował winy wobec Jej Eminencji!

– Bracie Heglu! – wydyszał Martyn, gnając po schodach na podwyższony pokład. – Pieszczota Najświętszej Paniarki raz jeszcze podniosła cię z grobu i dostarczyła w ręce, które jak żadne inne godne są cię gładzić!

– Żeś nie zostawił mnie z nim samego, kiedym leżał na dole, co? – mruknął do brata Hegel.

Pierwsza rzecz, która poirytowała Hegla, to niechęć Martyna do napicia się z nimi. Dopiero pod groźbą pobicia ustąpił i pociągnął łyk wina, ale jego spragnione oczy piły więcej niż usta. W miarę opowiadania zapomniał się i wypił więcej, ale zanim zdążyli otworzyć drugą butelkę, jego relacja się zakończyła.

Interpretację wypadków autorstwa Martyna cechowało znaczne podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, ale to mógł być zbieg okoliczności. Ich statek rzeczywiście przez kilka dni dryfował bez załogi, podczas gdy oni wszyscy majaczyli i słabli z odwodnienia, aż natrafili na prąd opływający Rodos. Tam wypatrzone ich statek i sprowadzono go na wyspę, a po dwóch dniach ponownie wyruszyli, tym razem w towarzystwie setek mężczyzn, którzy tak jak oni postanowili dotrzeć do domeny niewiernych. Sugestia Martyna, że wyruszyli pod jego dowództwem jako wybranego przez Maryję Jej przedstawiciela na Ziemi, stanowiła miejsce, w którym jego opowieść zaczęła odbiegać od prawdy.

Po wielu latach bezskutecznego siania petycji do króla i papieża, księcia i cesarza, król Piotr Cypryjski sam poczynił wszelkie przygotowania do krucjaty. Prawdą jednak było, że szpitalnicy z Rodos nie zamierzali zaangażować się w pełni, dopóki nie zjawił się kardynał Martyn z poplecznikami. Wiadomość o śmierci papieża Urbana V i okaleczeniu jego ciała przez heretyków wywołała większy wstrząs wśród świętych mężów, niż da się to wyrazić w prostych słowach. Podobieństwo między tą potwornością i tą, która tak dawno temu spotkała Formozusa, nie uszła ich uwagi.

To, że kardynał Martyn wydaje się skwaszony, to rzecz w tych okolicznościach zrozumiała, uznali, a jego nadużywanie piwa przypisano brakowi innych napojów na rozbitym statku. Dziesięciu najbardziej gorliwych braci szpitalników pochodzących z cesarstwa otrzymało pozwolenie, by służyć kardynałowi Martynowi w charakterze straży przybocznej, chociaż wielki baliw patrzył na to niechętnie. Najżarliwsi rycerze przekonali wielkiego mistrza, że ponieważ kardynał należy do tych nielicznych, którzy wywodzą się z ich ojczyzny, mają równie wielkie zobowiązania względem jego bezpieczeństwa, jak i względem obrony Rodos. Wszyscy zakładali, że odpoczynek w łóżku i woda przywrócą kardynałowi jego powściągliwość.

Zmiana celu z Palestyny na Aleksandrię nastąpiła właściwie pod wpływem Grossbartów. Spośród proponowanych planów nakreślonych na Rodos, lądowanie w Egipcie, żeby zaskoczyć niewiernych, Piotr uznał wcześniej za najgłupszy, mimo ekonomicznych zalet, jakie wiązały się ze zniszczeniem głównego konkurenta Cypru. Po wysłuchaniu opowieści kardynała Martyna o zakrawającej na świętość bliskości braci z Najświętszą Panią, zdezorientowany dziedzic tronu w Jerozolimie udał się do ich szpitalnych łóżek. Wielki marszałek szpitalników także nie mówił po niemiecku, ponieważ jednak to on sprawował obowiązki dowódcy wojskowego w zakonie, towarzyszył Piotrowi, modląc się, by władca Cypru dostrzegł mądrość bezpośredniego ataku na należne mu z racji prawa królestwo.

Prosząc, by jego gospodarz zaczekał za łukowatymi drzwiami, król Piotr wszedł do odosobnionego pokoju, przeznaczonego jako miejsce kwarantanny dla tych, których dopadł pomór. Widok pielgrzymów znękanych gorączką, rzucających się na łóżkach i z jękiem wypowiadających Jej Imię, złamał jego dumne serce. Wstyd sparzył policzki prawego króla, a boleść tych dwóch

mężczyzn poruszyła go tak, jak nic dotąd. Nawet kiedy demony powstały, by popsuć im szyki, oni wytrwali przy swoim, a teraz płacili za swoją pobożność własnym zdrowiem. Klękając między ich łózkami, zamknął oczy i się pomodlił.

– Proszę tylko o znak równie pewny jak ten, który sprawił, że ci ludzie z cesarstwa dotarli do mnie – szepnął Piotr.

– Gipt! – jęknął srebrnobrody mężczyzna.

– Gipt! – powtórzył rudobrody.

Piotr poderwał się, przyglądając się im bacznie. Słowo zabrzmiało wyraźnie mimo ich obcego języka. Kiedy później odkrył, że bracia mówią tylko po niemiecku, utwierdził się w przekonaniu, że otrzymał odpowiedź z niebios. Jeżeli Wenecja i inne papieskie królestwa obudziły się i wysyłały ludzi, jak zasugerował Martyn, siły opuszczające Rodos mogły zabezpieczyć port nad brzegiem Nilu i zapewnić bezpieczne lądowanie pozostałym, zanim wszyscy wyruszyliby w głąb łądu. Zamordowanie papieża mogło świadczyć o arabskiej infiltracji subtelniejszej niż turecka i w Palestynie mogła czaić się armia, szykując na nich zasadzkę. Człowiek rzadko kiedy tak szybko i tak pewnie otrzymuje odpowiedź na swoje modlitwy, nawet król. Zatem Aleksandria.

– I namówił żeś ich na to, żeby od razu wypłynąć? – zapytał kardynała Hegel.

– Przybyliśmy w dniu, w którym mieli wyjść z portu, ale wstrzymali się, by mnie wysłuchać i rozważyć moje słowa. – Martyn uśmiechnął się i sięgnął po kieliszek.

– Nasze słowa, tylko z twoich ust – poprawił go Manfred. – Twoja zasługa jest naszą zasługą.

– Ach. – Martyn pokiwał głową. – Język zaplątał mi się o moją dumę.

– A Arab? – zapytał Hegel.

– Bez wątpienia drzemie na pustyni. – Martyn uśmiechnął się cierpko. – Nie spodziewając się, że zbliża się kres jego bluźnierczej gnuśności.

– Nie, durniu, Arab, co był z nami na statku. Ta zafajdana mała menda z wąsami – wyjaśnił Hegel.

– Przy koniach. – Martyn popukał stopą. – Pod pokładem, gdzie jego miejsce.

– Z dala od kłopotów. – Manfred pokiwał głową. – A kapitan?

– Kto? – Martyn się zdziwił. – Barousse?

– A kto inny? – Hegel otworzył następną butelkę wina.

– On, no cóż, nie żyje. – Martyn popatrzył nerwowo po braciach.

– Tyle wiemy – odrzekł Manfred. – Co zrobili z jego ciałem i kośćmi?

– Pochowali go na cmentarzu Rycerzy Szpitala Świętego Jana – odpowiedział Martyn. – Otrzymał ostateczne rozgrzeszenie i nagrodę za poświęcenie dla sprawy.

– Jakich rycerzy? – zapytał Hegel, przypominając sobie zdradę sir Jeana.

– Szpitalników. – Martyn wzniosł oczy do nieba. – Oni to uratowali nas i teraz podróżują z nami na swoich statkach.

Manfried skrzywił się, ale Hegel robił wrażenie zadowolonego.

– Skoro zabierają nas do Giptu, to pewnie nie są heretykami, bracie.

Martyn zakrztusił się drugim kieliszkiem wina i odstawił go na stół.

– Nie mówiłbym tak o tych ludziach. Dzikość młodości trzeba okiełznać i musicie poskromić swoje języki, zwłaszcza w obecności kardynałów i rycerzy zakonnych, że już nie wspomnę o królu.

Manfried zaczepił stopą o krzesło Martyna i pociągnął, przez co kardynał wylądował na podłodze.

– Na twoim miejscu pilnowałbym własnego języka, bo jeszcze ktoś ci go przerznie jak wężowi.

– Rozumiem teraz. – Hegel się pochylił. – Gadasz, że tu jest król? Krewny naszego starego Karola?

Martyn podniósł się z podłogi i spojrzał na Manfreda, mrużąc oczy.

– Śpicie w zarezerwowanej dla niego kajucie. Dla niego, który w swojej szczodroblewości oddał ją wam na czas waszej rekonwalescencji. A ponieważ wygląda na to, że obaj doszliście do siebie, pošlę po niego, bo nie może się doczekać waszej rady.

– Poślij po Rigo i resztę, dla nich też mamy parę słów. – Hegel rozsiadł się w krześle, rozkoszując się winem.

Rodrigo sprowadzono na statek siłą po tym, jak upierał się, żeby nie chowali ukochanego kapitana na cmentarzu szpitalników, lecz pozwolili ciału podróżować razem z nimi. Tylko Martyn, który zapewniał o głębokiej wierze młodego Włocha, ocalił go przed stryczkiem, kiedy kopał i walczył, byle tylko nie opuścić gnijących szczątków.

Raphael, chociaż pragnął zostawić za sobą czasy bandyckich napadów, nie miał wielkiego wyboru i musiał iść za nimi, kiedy usłyszał, że wszystkie złote sztabki z ich statku zniknęły razem z kardynałem. Doszedłszy do siebie szybciej

od pozostałych – jeśli nie liczyć Martyna – już po jednym dniu odpoczynku i picia, najemnik zdążył wyłudzić zbroję i nową broń, zanim dołączył do otepiałego z rozpaczy Rodriga na nowym statku.

Raphael i Rodrigo posłusznie zjawili się w kabinie i wypili z Grossbartami. Raphael także zauważył wyraźną zmianę w charakterze Martyna i pełen podejrzliwości zauważył, że kardynał rzadko wypija więcej niż łyk albo dwa wina i nigdy nie sięga po coś mocniejszego. Wszelkie nadzieje, jakie miał na podziękowania z ust Grossbartów teraz, kiedy wrócili do zdrowia, przysły, gdy zaczęli wiercić dziury w brzuchach jemu i Rodrigowi z powodu zaniedbania żagli i pozwolenia, by Martyn dyktował warunki. Co więcej, padły pytania na temat tego, gdzie dokładnie podziało się ich złoto.

– Książ... Ehm, kardynał mówi, że się nim zajął. – Raphael rozejrzył się, ale Martyn zniknął.

– W mordę jebane! – wrzasnął Manfred. – Martyn! Gdzie się podział ten oszust?

– A co ty żeś porabiał, kiedy do naszego złota dobierał się kardynał? – zapytał Hegel Rodriga.

– Nic – odpowiedział chłopak, a jego niegdyś śmiała twarz wykrzywiła się słabo.

– Żeś musiał coś robić. – Manfred zastanawiał się, czy nie spoliczkować chłopaka, żeby się skupił, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł król Cypru.

Grossbartowie zamrugali zdumieni na widok przyjaznego, nienagannie odzianego człowieka, który podszedł do ich stołu w towarzystwie kilku nie mniej układnych doradców. Pogratulował im powrotu do zdrowia i podziękował Trójcy, składając im także kondolencje z powodu choroby i utraty załogi. Potem żywiłowo przeszedł do szczegółów ich planu, stawiając przewrócone krzesło Martyna i przysiadając się do braci przy stole. Nie zrozumieli ani słowa z tego, co powiedział, i Manfred wstał, żeby zdzielić elegancika za niestosowne maniery. Rodrigo w końcu się uśmiechnął, patrząc wyczekująco na Manfreda, ale Raphael interweniował, biorąc na siebie rolę tłumacza.

– Oto jemu wysokość król – wyjaśnił Raphael, zsuwając się z krzesła i przyklękając.

– Aha – mruknął Manfred i wyciągnął rękę. – Manfred Grossbart, sługa Maryi.

– Hegel Grossbart, żywy święty. – Hegel uniósł butelkę w jednej ręce, a drugą wyciągnął.

Piotr ujął rękę Manfreda w obie dłonie i potrząsnął nią podekscytowany, podczas gdy Raphael tłumaczył. Pomruki doradców, że ci ludzie nie okazali stosownej pokory, zostały uciszone jednym słowem Piotra i z pomocą niedoskonałego, lecz gorliwego tłumacza mężczyźni rozmawiali o Gipcie, Jerozolimie i Maryi. Rodrigo od czasu do czasu przerywał ostrymi stwierdzeniami na temat pobożności i ostatecznej nagrody i gdyby którykolwiek z braci rozumiał włoski, dzieliłby go za głupotę. Na szczęście, żaden nie rozumiał, a w świetle straty, jakiej doświadczył młodzieniec, Piotr nie brał jego słów do siebie, więc tylko doradcy i Raphael martwili się mściwymi oświadczeniami młodzieńca.

Gdyby Rodrigo dokładnie przełożył dialog między Piotrem i Grossbartami, rażące bluźnierstwa braci na pewno narobiły im kłopotów, ale nie zrobił tego – na wpół oniemiały, pełen podziwu Raphael nie zdołałby oddać w całej rozciągłości heretyckich wywodów braci, nawet gdyby był do tego skłonny. Dzięki temu wszyscy prócz Rodriga i zmartwionych doradców rozkoszowali się winem i rozmową, uzupełnioną o ucztę, którą przynieśli słudzy mozolący się gdzieś pod pokładem. Chociaż był odrobinę urażony faktem, że nie zaoferowali mu z powrotem jego kajuty, Piotr wyszedł zadowolony, że bracia rzeczywiście są natchnieni przez Boga. Grossbartowie zaś zgodzili się, że król wcale nie jest taką kuciapą jak można by się spodziewać po arystokracie.

Czas mijał, Grossbartowie spędzali dni w typowy dla siebie sposób – bijąc się, jedząc i pijąc, a noce w nadzwyczajnym towarzystwie króla. Kardynał często do nich dołączał, ale powstrzymywał się od pomocy w tłumaczeniu, w równym stopniu, by chronić własną skórę, jak i braci. Zamiast tego ponuro patrzył, jak importowane lilie tygrysie, które zerwał w ogrodach Rodos, tracą swój rudy blask i stają się ziemiste. Rodrigo został wyłączony z ich posiłków, ponieważ Piotr z łatwością pojmował jego obraźliwe zachowanie. Przybity młodzieniec patrzył na północ z rufy, a jego łzy łączyły się ze łzami Maryi wypełniającymi oceany świata.

Kiedy rubinowe chmury zawirowały nad horyzontem jak para nad potrawką, Manfred podszedł pewnym krokiem do Rodriga. Zauważył zmianę w zachowaniu młodego mężczyzny, a taka melancholia była Manfredowi nie

w smak. Chłopak albo doprowadzi się do porządku, albo wylądaje za burtą, bo Manfred, mając Gipt na wyciągnięcie ręki, nie będzie tolerował takich głupot.

– Nadal się gryziesz z powodu kapitana? – Manfred pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Był wszystkim, co miałem. – Rodrigo zachlipał. – Najpierw moja matka, potem ojciec, później mój brat, a teraz on. Wszyscy martwi.

Łzy powróciły, ale zanim Rodrigo zdążył odwrócić się do zachodu słońca, Manfred złapał go za włosy, szarpiąc gojącą się, pokrytą strupami skórę głowy i obrócił chłopaka twarzą do siebie.

– Powiedz mi, że nie dbają o niego lepiej tam, gdzie teraz jest – warknął, a kiedy chłopak spojrzał osłupiały, Grossbart kontynuował: – Nadal niedowiarek, he? Gadasz, że nie jest mu lepiej u Najświętszej Panienki niż na tej nędznej łajbie w towarzystwie mężczyzn z krwią na rękach?

– Chcę, żeby on...

– Chcesz, żeby co? Żył i cierpiał, zamiast cieszyć się ostateczną nagrodą? Chcesz, żeby cierpiał razem z nami? To samolubne – powiedział Manfred, nadal trzymając Rodriga za włosy.

Skóra na głowie znowu odrobinę się oderwała, kiedy Rodrigo rzucił się Manfredowi do gardła. Zatrzymał się jednak, gdy jego przebita dłoń miała się zacisnąć na szyi Grossbarta. Osunął się, a Manfred go puścił.

– Przemyśl to sobie. Poszedł tam, gdzie my wszyscy pójdziemy, dzięki niech będą Maryi. Jak będziesz próbował zasugerować coś innego niż to, że teraz jest mu lepiej niż pierwej, to udowodnię ci, że się mylisz. Oczywiście, heretycy nigdy nie trafią tam, gdzie on jest teraz, co oznacza, że jeśli chcesz jeszcze zobaczyć jego i pozostałych krewnych, tych moralnych bankrutów, to lepiej, żebyś wziął w troki tę swoją zafajdaną dupę.

– Nic nie wiesz! – krzyknął Rodrigo z błyszczącą twarzą. – Nic! Był chory na umyśle, kiedy się zjawiliście i tylko pogłębiliście jego chorobę! Wiedziałem, że będziecie jego zgubą!

– Każdy sam jest swoją zgubą – odparł Manfred.

– Słuchał was! Przez lata byłem mu posłuszny jak syn ojcu, i na co to wszystko? Przyszliście do mojego domu i nagle to wam ufa, a nie mnie!

– Fortuna kołem się toczy – odrzekł Manfred, siląc się na roztropny w jego mniemaniu ton. – Może gdybyś był dla niego lepszym synem, nigdy nie

postawiłby stopy na pokładzie. Może by cię posłuchał. – Grossbart nie spojrział na Rodriga, odchodząc, a jego zadowolonego z siebie uśmiechu nie widział nikt prócz Niej.

W stajni na statku Al-Gassur pokazał koniom schowany w zawiniątku przedmiot, o którym zaczął myśleć jak o sercu swojego brata. Zwierzęta rżały i kręciły się niespokojnie za każdym razem, gdy przedmiot wynurzał się spod płaszczu. Arab podjął ogiery legendą o Baroussie i szeptał im do długich uszu, jak to sprzeda Grossbartów pierwszemu napotkanemu beduińskiemu handlarzowi niewolników. Potem ruszy na wschód, by znaleźć morze, w którym znajdowała się jego własna oblubienica i gdzie być może znowu spotka brata pod falami.

Kiedy dostrzegli wybrzeże, Hegel i Manfred pokleпали siebie nawzajem i króla Piotra po plecach, aż zostały czerwone ślady. O świcie przybili do portu w Aleksandrii i Grossbartowie poprowadzili szarżę nabrzeżem; ich zbroja i broń jaśniały w jesiennym słońcu.

Masakra, do której wtedy doszło, została szczegółowo udokumentowana w innych miejscach. W czasie rzezi nie oszczędzono ani kobiet, ani dzieci. Niczego niespodziewający się obywatele uciekali w miarę możliwości, ale fale uderzające o keje już były szkarłatne, a rynsztoki wypełniły się krwią. W przeciwieństwie do wielu szpitalników i Cypryjczyków, Grossbartowie i Raphael nie czerpali przyjemności z rzezi, podchodząc do zadania jak ludzie, którzy całe życie pracowali w znoju – ze znudzeniem i pogardą. Al-Gassur podążał za Grossbartami, utrzymując bezpieczny dystans, podwędzając butelki i monety martwym i umierającym, których bracia zostawiali za sobą. Rodrigo odmówił udziału w walce, nawet nie chciał patrzeć. Zakradł się z powrotem na statek i pił do siebie pogrążony w żalonym odrętwieniu.

Po włamaniu się do przykrytej wieloma kopułami rezydencji Grossbartowie znaleźli drogę do spiżarni i wytracili godziny zmierzchu, pijąc lepkie wina i pożerając dziwne mięsa oraz owoce. Tam też spędzili noc; Raphaela zmuszono do objęcia pierwszej warty, a Al-Gassura wyrzucono na zewnątrz. O świcie powędrowali pustymi ulicami, bezmyślnie kierując się w stronę dwóch monolitów wznoszących się w oddali. Stając przed Iglami Kleopatry, bracia ziewnęli.

– Co myślisz o tych wszystkich wyrytych tutaj kształtach? – Hegel zerknął na



czarny obelisk. – Może być, że ktoś pod nimi leży?

– Możliwe. – Manfred przycisnął przycięte ucho do boku mniej zniszczonego monumentu i popukał maczugą. – Najpierw sprawdźmy, czy są tu jakieś drzwi.

Nie było. Zdegustowani i spoceni, nie mogąc znaleźć wejścia ani nawet szpary siedli między obeliskami, zagryzając brody. Zanim mogli podjąć wysiłki, jeden ze szpitalników służących Martynowi dostrzegł ich i zaprowadził do kardynała i króla, którzy ulokowali się w pałacu.

Grossbartowie mieli w przeszłości wspominać czas spędzony z królem Piotrem jak bajkę, z upiększeniami dodawanymi tylko z powodu niemożności odtworzenia szczegółów. Konsekwentnie unikali mostu nad kanałem, który prowadził na linię walk, gdzie mieszkańcy miasta z powodzeniem powstrzymywali krzyżowców. Zamiast tego ukradkiem przemierzali spokojniejsze dzielnice, na próżno szukając miast–grobow. Bezsprzecznie przez większość czasu spędzonego w Aleksandrii, który ostatecznie ograniczył się do raptem kilku dni, byli pijani. Po nieudanej próbie otwarcia litego kamienia Igieł, unikali kolumny Dioklecjana wznoszącej się nieopodal i w związku z tym nigdy nie odkryli katakumb Kom el–Szukafa ani chrześcijańskich i żydowskich cmentarzy w pobliżu.

Wrodzony głód złota doprowadził ich w końcu do alabastrowego grobu potężnego założyciela tego potężnego miasta, lecz jego złotą trumnę i wysadzone drogimi kamieniami berło skradziono już dawno temu. Byli pod wrażeniem jakości fachowej roboty, ale rozzłościли się, że poprzednicy nie oznakowali w jakiś sposób grobu i nie zasygnalizowali jego pustki, co oszczędziłoby im czasu i wysiłku.

Aż wreszcie czerwona poświata wieczoru objawiła im wielki cmentarz Szatbi i obaj oniemieli na widok samej liczby kamiennych nagrobków i grobowców. Część krzyżowców wzięła się już tam do pracy, więc żeby nie ściągnąć na siebie niezadowolenia Maryi z powodu zadawania się z amatorami, powrócili do pałacu i zmusili króla, by położył kres plądrowaniu cmentarza. Dzięki temu oni sami mogli zająć się tym należycie.

Jednakże następnego ranka nadeszły wieści, że mamelucy, ci niewolnicy, którzy stali się panami i władali teraz Giptem, zjawili się z ogromną armią. Wojska zbliżały się do miasta morzem, lądem i rzeką. Mimo protestów Piotra

flota przygotowywała się do porzucenia zdobyczy. Stając w porcie tamtego ostatniego ranka, kiedy hordy niewiernych wkraczały od tyłu do miasta, Grossbartowie oparli się prośbom Piotra, by towarzyszyli mu w drodze powrotnej na Cypr.

– Do diaska, pewnie, że mamy mnóstwo złota, pomimo tego, co ofiarował kardynał. – Manfred posłał Martynowi wściekłe spojrzenie. – Ale nie w tym rzecz.

– A pewnie – wyjaśnił Hegel – trza mieć wiarę, że jeszcze więcej złota leży w tych pogańskich grobach.

Piotr skinął głową, słuchając tłumaczenia Raphaela, że wiara jest w rzeczy samej ważniejsza od namacalnych bogactw i poprzez tłumacza zapewnił ich, że powróci z jeszcze większą armią. Grossbartowie zgodzili się, że to rozsądna myśl, bo w żadnym razie nie zdołają przetransportować wszystkich łupów w kajaku, jak wcześniej teoretyzował sobie Hegel. Wobec tego król i Grossbartowie rozstali się jak sprzymierzeńcy i niemalże równi sobie, a żadna ze stron nie wiedziała, co im szykowała Maryja. Zanim zdoła zorganizować kolejną wyprawę krzyżową, król Piotr zostanie zamordowany przez papieskich spiskowców, pragnących stłamsić to, co stało się znane jako Herezja Grossbarcka. A jeśli idzie o to, co spotkało samych braci, najpierw trzeba udać się dalej w głąb Giptu.

Usiłowania Rodriga, by jako pasażer na gapę powrócić do kości kapitana, zostały udaremnione przez wścibskich rycerzy. Odprowadzono go z powrotem do Grossbartów. Al-Gassur uśmiechał się promiennie do statków, wymachując spowitą w materiał zdobyczą brata, kiedy wymykały się z portu. Dziesięciu cesarskich szpitalników postanowiło pozostać z kardynałem, po tym jak Grossbartowie przekonali Martyna, że jego zamiar powrotu na Rodos może okazać się mało rozsądny. Opatrzony mrugnięciem oka przypomnienie, że z Wenecji mogły nadejść wieści dotyczące przyszłego pontyfikatu, przekonało do pozostania tak Raphaela, jak i kardynała.

Niespecjalnie mając ochotę na spotkanie z mameluckim gospodarzem, szesnastu mężczyzn ukradło małą galerę i ruszyło kanałem prowadzącym do Nilu i legendarnych grobów. Obrońcy mostu wycofali się, by dołączyć do posiłków, pozwalając wymknąć się Grossbartom. Dopiero kiedy pomknęli kanałem i minęli olbrzymią wschodnią nekropolię, zdali sobie sprawę, jak

bardzo Aleksandria obfitowała w groby. Żal, jaki pociąga za sobą takie objawienie, mógłby okaleczyć pomniejsze hieny cmentarne, ale to byli Grossbartowie i po serii początkowych przekleństw rozczarowanie tylko wyostrzyło ich ogromne apetyty.

Pomyśleć, że Grossbartowie byli szczęśliwi teraz, kiedy spełnił się cel ich życia, znaczyłoby, że ocenia się ich z gruntu fałszywie. Nie zadziwiła ich rzeka płynąca na północ i byli wybitnie zde gustowani faktem, że dziesięciu ciężkozbrojnych mężczyzn tłoczy się na ich statku, słuchając Martyna, a nie ich, chociaż to głównie krzyżowcy wiosłowali. Tylko kopniakami i ciosami zdołali przekonać Rodriga o konieczności jego pomocy przy pilotowaniu łodzi, przy wiosłach i wszystkim innym, co było potrzebne, by płynęli. Ze swojej pozycji widzieli tylko piaszczyste brzegi, zamuloną wodę oraz małe i wilgotne wysepki wznoszące się w miejscach, gdzie dopływy dołączały albo odchodziły od ich wodnej drogi.

Po rzuceniu kotwicy pierwszej nocy na statku, bracia patrzyli w górę rzeki długo po wschodzie księżyca. Dołączyli do nich Raphael, Rodrigo i Al-Gassur i po raz pierwszy, odkąd się poznali, cała piątka napiła się razem w milczeniu. Odłożyli na bok krzyżujące się ścieżki wzajemnej niechęci na rzecz patrzenia na oświetloną księżycowym blaskiem rzekę i słuchania dziwnego konglomeratu odgłosów. Cisza skwarne go dnia niepokoiła zaprawionych w bojach Grossbartów, którzy doskonale wiedzieli, że ciche miejsca w naturze często świadczą o obecności demonów, ale kakofonię pobliskich plusków, cykania i pogwizdywania trudno było uznać za coś lepszego.

Wyruszyli ponownie, kiedy światło ogarnęło brzeg, a przy rozwidleniu, Rodrigo wykierował ich w lewy kanał. W miarę upływu dnia Grossbartowie byli coraz bardziej sfrustrowani, kiedy żadne iglice kościelne nie wynurzyły się, ogłaszając obecność nadających się do splądrowania cmentarzy. Tylko słońce świeciło złościście, nadając rzece najdziwniejsze barwy tego wieczoru, kiedy brzeg po lewej stronie zastąpiło niekończące się mokradło.

Ledwie rzucili kotwicę, zapadła całkowita ciemność. Wtedy ujrzeli przed sobą światła, jakby małe miasteczko powoli dryfowało ku nim z prądem. Grossbartowie syknęli rozkazy i zebrali broń, ale gdy światła się zbliżyły i urosły, zdali sobie sprawę, że jedyną szansą na ocalenie jest ucieczka – nadpływały ogromne statki.

Podnieśli kotwicę i niezgrabnie zawrócili, po czym powiosłowali w dół rzeki, złapali prąd i śmignęli po czarnych wodach. Statki zniknęły za zakrętem, a dziób ich galery w coś uderzył. Nie lekceważy się odgłosu pękającego drewna, kiedy płynie się po rzece. Woda sięgała im już do kostek, zanim zdążyli zepchnąć galerę z zatopionej kłody. Udało im się dopłynąć do pobliskiego brzegu, ale dziura w kadłubie uniemożliwiała im dalsze korzystanie ze statku, dopóki go nie naprawią – zakładając, rzecz jasna, że zdołają to zrobić.

Statki wynurzyły się zza zakrętu, Grossbartowie wyskoczyli za burłę, a Rodrigo i Martyn dołączyli do braci na bagnistym brzegu. Kiedy rozładowywali łódź, Martyn spoliczkował rechoczącego Araba, aż ten przekoziółkował w grzęzawisko. Szpitalnicy brnęli posłusznie za grupą, która człapała po mule i brodziła przez sadzawki, aż wszyscy razem padli za błotnistą wysepką nie większą niż na wpół zatopiony wóz, kiedy statki pojawiły się w zasięgu słuchu, a ludzie wybiegli na pokład, krzycząc do łodzi płynących za nimi.

Rozległ się chóralny jęk, kiedy światła padły na ich leżącą nieopodal łódź i wszyscy zagłębili się jeszcze bardziej w błoto. Jednakże, zamiast się zatrzymać, pierwszy statek przepłynął obok i mężczyźni nabrali nadziei. Przepłynęły jeszcze dwa następne statki i wreszcie ostatni – ogromna jak wieloryb galera z rzędami podniesionych wiosł, bo unosił ją prąd. Z tej ostatni łodzi kilka tłących się tłumoków spadło na wyciągniętą na brzeg galerę Grossbartów i na pełnej wody łodzi niespodziewanie wybuchły płomienie. Potem statki zniknęły za następnym zakrętem, pozostawiając tylko księżyc, by oświetlał dym unoszący się z miejsca, w którym leżała porzucona łódź.

Chociaż żaden z nich nie przyznałby się do tego, ta noc, kiedy przemokli do suchej nitki i ubłócili się po czubki głów, była najżałośniejsza w ich życiu. Świergotanie i siorbanie urosło do wrzaskliwych wiwatów, kpiących z ich przygnębienia. Żaden głos nie przerwał milczenia, by lamentować nad ich losem, a szlam wokół Al-Gassura wibrował od stłumionego śmiechu. Wierzchołek galaretowatej wyspy nie okazał się suchszy ani przyjemniejszy od jej podstawy i zanim nawet wstało słońce, powlekli się do szczątków ich łodzi.

Rodrigo i Al-Gassur poszli kawałek z biegiem nurtu, żeby pośmiać się bez obaw przed odwetem, aż obaj padli. Ich wspólna radość szybko przerodziła się w bójkę, kiedy Al-Gassur znowu zaczął udawać zmarłego Ennia, leżąc w błocie

i szepcząc do wściekłego Rodriga o tym, że Grossbartowie zamordowali mu brata. W czasie awantury rozsierdzony młodzieniec ponownie otworzył ranę w przebitej dłoni, a widok ten rozweselił ponurych Grossbartów.

– W takim razie wracamy do Aleksandrii? – zapytał z nadzieją Martyn, trącając wypaloną skorupę galery. – Przepłynęliśmy raptem parę dni w górę rzeki, więc z pewnością...

– Z pewnością w mieście jest już pełno Arabów – odparł Manfred.

– Te statki nie wiozły pielgrzymów, zważ me słowa – przytaknął Hegel.

– Ale jak będziemy podróżować bez łodzi? – Martyn zadał pytanie, które uważał za retoryczne, skoro otaczały ich mokradła.

– W przeciwieństwie do ciebie żeśmy nie wypłynęli z łona z łodziami zamiast nóg. – Manfred zarzucił tobolek. – Zważywszy że, jak miemam, przejście w bród przez ową rzekę może okazać się nie lada wyczynem przy waszych zbrojach i takich tam, proponuję iść w górę rzeki, jak żeśmy płynęli do tej pory.

– Damietta leży na wschód od Aleksandrii. – Jeden ze szpitalników oderwał się od grupy i wskazał kierunek z dala od rzeki, za mokradłami. – To drugie najbliższe nam miasto.

– Widząc, że gadasz jak człowiek, uważam za nad wyraz niepokojący fakt, że myślisz jak głąb – odparł Manfred. – Skoro mamy iść przez bagno, równie dobrze możemy to zrobić, trzymając się czystej wody zamiast gnoju.

– Wobec tego szerokiej drogi – odparł mężczyzna, napełniając bukłak wodą z rzeki. – Kardynale, zakładam, że udasz się z nami?

Martyn spojrzał na Grossbartów, którzy obaj uśmiechnęli się do niego i pokręcili głowami, kładąc ręce na oskardzie i maczudze.

– Nie – odparł z westchnieniem. – Wierzę, że Maryja nas poprowadzi.

– Dobrze. – Rycerz zakonny wstał; minione dni w towarzystwie kardynała i Grossbartów przekonały go o ich szaleństwie. – Kiedy dotrzemy na Rodos, poinformuję króla i nowego papieża o twojej decyzji.

– Nowego papieża? – Martyn prawie zapomniał o swoich uprzednich rojeniach, w oparciu o które ci mężczyźni podjęli wszystkie decyzje.

Szpitalnicy zebrali się i szeptem wymienili się kilkoma słowami, zanim trzech oderwało się od grupy i podeszło do Martyna. Ukłękli w błocie i przysięgli, że nadal będą dbali o jego bezpieczeństwo, podczas gdy ich bracia odwrócili się plecami do Grossbartów. Z tej trójki Moritz mówił po włosku

i niemiecku, a Bruno i Werner znali tylko niemiecki. Głosy nawet im nie zdradzały, gdy umazali usta mulem z Nilu.

Pozostałych siedmiu szpitalników pomaszzerowało w kierunku wschodzącego słońca. Tuż poza zasięgiem wzroku swojej byłej kompanii zakrzyknęli wesoło, bo odkryli, że mokradła ustępują miejsca bujnej ziemi uprawnej i obfitym sadom. Odpoczęli w cieniu ogromnego drzewa i objedli się daktylami, nieświadomi, że salamandra uwiła sobie gniazdo w korzeniach i skaziła każdy owoc swoją straszliwą trucizną. Wszyscy dostali konwulsji, pocili się krwią i dopiero, kiedy ich organy wybuchły od żaru, zakończyły się ich cierpienia.

– Zatem ustalone. – Hegel skinął na południe, w górę rzeki. – Ściągnijcie Rigo z Araba i możemy ruszać.

Zakrwawiony Al-Gassur zapewnił Grossbartów, że słusznie wybrali, bo kawałek dalej w górę rzeki leżą cmentarze wspanialsze niż Aleksandria i Wenecja razem wzięte. Minął tydzień i nie pojawił się żaden cmentarz, ciągnęło się tylko bagno, przez które brnęli, i rzeka, która z nim graniczyła. Żmija ukąsiła Wenera w rękę, kiedy napełniał bukłak, i w ciągu godziny rycerz zmarł, wzdęty i gnijący, jakby wiele tygodni leżał zanurzony w Nilu.

Nawet potężne racje żywnościowe Grossbartów zmalowały, a pewnego wieczoru, kiedy wdrapali się na rzadko spotykane suche wzniesienie, krokodyl zaatakował Bruno. Zwierzę wyskoczyło z błota obok wzniesienia, a jego wielkie szczęki zatrzasnęły się na nodze mężczyzny. Rycerz w obliczu odwiecznego wroga ludzi jego stanu wydał przerażający okrzyk, gdy smok ciągnął go do wody. Bracia Grossbart rzucili się na ratunek, ale podczas gdy oskard Hegla przeszył mózg zwierzęcia, w chaosie walki maczuga Manfreda złamała Brunowi kark. Dopiero potem Hegel zdał sobie sprawę, że wijący się potwór rozciął mu but i łydkę pazurem. Uwędzili słonawe, mokre krokodyle mięso, paląc martwe krzewy otaczające szczyt pagórka, i ostatecznie nawet ranny Hegel ucieszył się z powodu tego spotkania. Moritz i Martyn pochowali Bruno w błocie, a znaczący grób krzyż szpitalników trafił do torby Al-Gassura.

W następnych dniach stan nogi Hegla pogorszył się, tak samo jak jego humor. Rozważania Manfreda, gdzie plasował się ten nowy potwór w ich coraz dłuższym katalogu, nie doczekały się reakcji ze strony kuśtykającego brata. Hegel ukradł Arabowi kulę, ale nawet z drewnianą nogą i bez podpory Al-Gassur poruszał się szybciej niż Grossbart. Czasem jak przez mgłę dostrzegali

chaty na drugim brzegu, ale żaden człowiek nie nawoływał do nich, a oni sami mieli dość rozumu, żeby nie próbować przejść rzeki. Kiedy Hegel poczuł dziwne swędzenie na karku, odwrócili się i zobaczył ogromny statek skradający się za nimi w górę rzeki. Wszyscy przystanęli, zgadzając się, że nie mają wyboru i muszą zatrzymać galerę.

– A teraz pamiętaj, Arabie – ostrzegł go Hegel – tylko ty gadasz jak oni, więc upewnij się, że jasno przekazujesz sens. Jak zabiorą nas do grobów, to dostaną złoto, ale nie zobaczą nawet jednej monety z góry.

– Oczywiście, mój bracie w kalectwie. – Al-Gassur się skłonił.

– I przypomnij sobie, co się stało z każdym złamasem, który próbował nas skrzywdzić albo sprzedać – dodał Manfred.

– A co, jeśli nas zaatakują? – Martyn zagryzał usta.

– Wtedy uderzymy w nich z mocą Pana. – Moritz wyciągnął potężny miecz, zyskując w oczach Grossbartów.

– A jeśli się nie zatrzymają, tylko przepłyną mimo? – Martyn uparł się, że coś musi pójść nie tak.

– Po temu Maryja w Swojej dobroci dała naszemu kusze – odpowiedział Raphael, kładąc się w błocie, by napiąć kuszę i założyć bełt.

– Wreszcie porządne towarzystwo – powiedział do brata Hegel w ich prywatnym języku.

– W każdym razie najlepsze, na jakie możemy liczyć. – Manfred także napiął arbalet. Przechodząc z powrotem na niemiecki, dodał: – Podpływają, więc rób swoje, Arabie!

Zaczęli podskakiwać w błocie, wrzeszczeć i wymachiwać rękami, nawet Rodrigo był podekscytowany perspektywą ucieczki z bagien. Łódź zwolniła, brodaci mężczyźni przy wiosłach patrzyli na nich zaszokowani, a ci krocący po pokładzie pokrzykiwali podnieceni. Al-Gassur wymyślał jedno nonsensowne słowo po drugim, a łyzy radości z powodu nadciągającej zguby Grossbartów omywały mu wąsy.

Wioślarze z przodu zablokowali wiosła i wstali, kiedy łódź podpłynęła do brzegu. Stojący mężczyźni wyciągnęli butelki, napili się z nich i rzucili do radujących się mężczyzn na brzegu. Nikt nie jest mniej ostrożny od maniakalnego alkoholika, więc tylko Moritz powstrzymał się od picia. Jednakże kiedy Hegel przechylił butelkę, poczuł w kościach wiedźmi dreszcz i żołądek

zaciśnął mu się wokół kręgosłupa. Wyrwał Manfredowi butelkę z ręki i wyciągnął oskard.

– Nie wierzę, żeby te chłopaczki rzeczywiście z nich popijały, bracie. Ten trunek to pewnie jagody jakiegoś arabskiego cyrulika albo coś podobnego, więc, o ile nie palisz się, żeby obudzić się w jakimś nowym miejscu z najróżniejszymi ohydami, wstrzymałbym się z piciem.

– Żem miał już dość tego gówna. Starczyłoby mi na resztę żywota – oznajmił Manfred i wystrzelił z kuszy do pierwszego mameluka, który zszedł na brzeg.

I tak obaj bracia wzięli udział w najzacieklejszej i największej bitwie ich życia.



## XXVIII

# ENTUZJASTYCZNE ŁOWY



Koniec zimy zastał nową rodzinę Heinricha w podróży, skwar narastał nawet w wilgotnym brzuchu południowych lasów Wołoszczyzny. Przez wzgórza i skaliste góry, przez słoneczne parowy i cieniste jary przedzierali się, nigdy nie wątpiąc w swój cel. Vittorio gadał bez ustanku, a Paolo nie odezwał się od chwili, w której rozpoznał groteskowe dymienice wybrzuszone pod pachami Heinricha, kiedy ten zdjął szaty, by przekłuwać pęcherze, zrywać płatami skórę i wrzucać ją do rzeki powyżej młyna. Paolo z pewnością całkiem oszalał, ale zachował wiedzę. Dopiero kiedy Vittorio zaczął drapać się po pachwinach i pachach, Paolo zbadał własne i ucieszył się na widok fioletowych nabrzmieni, bo wiedział, że wkrótce umrze. Nie umarł, tak samo jak nie umarli Vittorio i Heinrich.

Kiedy obchodzili ogromne miasto rodzinne Al-Gassura, Heinrich tańczył lubieżnie w świetle księżyca, recytując litanie zainspirowane przez szepty, których nie słyszał uszami lecz sercem. Rysując symbole na ziemi obciętym palcem drwala, powtarzał słowa, które uwolniły od mąk piekielnych podobne do jego demona istoty. Tym samym zapewnił Paolo i Vittorio te same przywileje, którymi on sam się cieszył.

Przejście kanału okazało się niemal niemożliwe z powodu awersji wszystkich trzech opętanych do płynącej wody, zdołali jednak ukraść łódź i przepłynąć, nie mocząc się. Kilka razy niewiele brakowało, by zostali zatrzymani przez Turków przemierzających konno te jałowe ziemie. Jednakże Heinrich i jego rodzina chowali się w jaskiniach, kiedy liczba jeźdźców była zbyt duża, i uderzali na mniejsze grupy, a wtedy pożerali wszystkich prócz jednego lub dwóch, którym pozwalali powlec się do domu, zarazić bliskich i przeklinać imię Grossbartów powtarzane z nienawiścią przez trzech opętanych.

Wśród pustkowi ci, którzy urodzili się jako ludzie, nie przypominali już istot

ludzkich bardziej niż bliźniaki. Te zaś, nieustannie żerując, dorównały wzrostem koniom. Z powodu dymienic wielkich jak melony (tak uwielbiane w tych okolicach) zmniejszyło się ich tempo poruszania się, lecz nie determinacja. Vittorio i Paolo ochoczo szli za braćmi do walki z ludźmi, którzy wrzeszczeli i uciekali na ich widok. Brzuchy obwisły im od czarnej i żółtej żółci, humory burzyły się, lecz nie chciały buchnąć okazałymi ranami i wrzodami, mogli więc wydalić je tylko do błagających ust ofiar. Wszelkie oazy, które przemierzali, obumierały i w ich obecności zamieniały się w pustynie. Przez wiele miesięcy jedli tylko ludzi, bo wszystkie inne stworzenia wyczuwały ich zło z ogromnej odległości i umykały, nie dając się złapać bliźniakom.

Stwory w nich rozmawiały ze sobą, kiedy ich nosiciele spali, lubując się gotowością swoich sług i targując się ze swoimi nadal uwięzionymi krewniakami o informacje na temat Grossbartów. Te pozbawione formy mogły tylko zawistnie obserwować, ale dwa uwolnione w ciałach Włochów, zanim dostały zbawienia, sumiennie szukały wzroku, którego nie ograniczała przestrzeń. Naprawdę znajdowali się bardzo blisko. Na całe szczęście, bo straszliwy skwar, który piekł ich nawet, kiedy pory roku się zmieniły, groził zabiciem wierzchowców, nim dopadną zwierzynę, a w tak odludnych terenach demony mogły nie znaleźć wystarczająco szybko zastępstwa i zostałyby wepchnięte z powrotem do miejsca, z którego tak żwawo uciekły.

## XXIX

# JAK KONIEC, TAK I POCZĄTEK ZIMY TRUDNY JEST DO USTALENIA NA POŁUDNIU



Zważywszy, że przeciwnik przewyższał ich liczebnie pięć do jednego, a kardynał Martyn i Al-Gassur mdleli z powodu zaprawionego środkami nasennymi wina, Grossbartów mógł spotkać marny koniec na brzegu Nilu, gdyby los im nie sprzyjał. Zaimponowali ludziom pracującym przy wiosłach, którzy akurat na tej galerze byli więźniami, a nie niewolnikami z urodzenia. Tak jak ich mameluccy panowie, którzy zrzucili kajdany i uzurpowali sobie pozycję właścicieli, zbuntowali się, widząc opór, jaki stawili Grossbartowie. Chociaż byli przykuci do miejsca, ci nieszczęśnicy wtykali wiosła i własne stopy pod nogi biegnących panów, spowalniając mameluków w próbie dołączenia do walki i triumfu – chociaż ich pomocy żaden zwycięski Europejczyk nigdy by nie uznał.

Kiedy ostatni mameluk dołożył swoją krew do czerwonawych wód Nilu, Grossbartowie dokonali bilansu bitwy. Mieli teraz łódź i niewolników. Mimo nierównych szans tylko Moritz – ostatni szpitalnik – zginął od ran; długi trzonek wystawał złowrogo spomiędzy hełmu i napierśnika poległego. Raphael widział dość rzezi za czasów Białej Kompanii, żeby wiedzieć, że on też dołączy do zabitego rycerza jeszcze przed zachodem słońca, bo oprócz tego, że głowica miecza wybiła mu większość zębów, ostrze trafiło go w lewy nadgarstek, bez mała odcinając mu dłoń. Plując krwią i miazgą z zębów, rozpaczliwie próbował zatamować upływ krwi z rany, chociaż nogi się pod nim uginały.

Chociaż Martyn i Al-Gassur tarzali się w piasku i wymiotowali z powodu zatrutego napoju, bitwa najwyraźniej przywróciła ducha melancholijnemu

Rodrigowi, rozweselając go nieco. Od czasu do czasu wręcz wybuchał śmiechem, kiedy krążył i po wielokroć wbijał miecz w leżących napastników. Manfred dostrzegł, że zмага się ze śmiertelną raną, w tej samej chwili, w której nadal przykuci łańcuchami i teraz wrzeszczący niewolnicy zwrócili uwagę Hegla na fakt, że ostatni mameluk zniszczył rufową część gwałtownie nabierającej wody galery. Wiedząc, że nie mają szansy wynieść z łodzi wszystkich zapasów, Hegel bardzo niechętnie posłużył się kluczem, który znalazł przy ciele dowódcy mameluków, by uwolnić niewolników i zwerbować ich do pomocy. Nie tylko uratowali zapasy, ale też niewolnicy zdołali wyciągnąć galerę dalej na brzeg, co oznaczało, że można będzie ją naprawić.

– To co, Święty? – zapytał Manfred.

– Co? Gówno – odpowiedział Hegel. – My są w Gipcie, więc załatwmy to wreszcie i znajdziemy łup dziadka.

Manfried raz zerknął na wrak łodzi i zaczął odrąbywać kawały drewna na porządne ognisko, a Hegel pomógł Raphaelowi opatrzeć zapaskudzoną ranę. Ku zgrozie wszystkich prócz Grossbartów, którzy ogłuszyli pierwszego niewolnika, jaki rzucił się, by ich powstrzymać, wkrótce na miejscu łodzi buzowały płomienie ogniska. W pewnym momencie Raphael stracił przytomność i padł na twarz. Zanim uwolnieni więźniowie go odciągnęli, płonąca Opatrzność dobrała się do jego lewej ręki, przypiekając ranę tak, by się zamknęła. W efekcie lojalny opryszek przeżył, chociaż miały minąć tygodnie, zanim ktokolwiek zdoła zrozumieć choćby słowo z bełkotu jednorękiego mężczyzny o strzaskanych ustach.

Ogromnie rozdmuchana horda Grossbartów i Grossbartowych popleczników ruszyła z tępym uporem w górę Nilu. Chociaż rana, jaką zadała mu śmierć kapitana, nadal jątrzyła się w sercu Rodriga, chłopak znajdował pewne masochistyczne oparcie w tej sytuacji, tak samo jak Al-Gassur, który mimo wszystko nadal udawał, że mówi biegle po arabsku. Bełkotał do uwolnionych niewolników, którzy zostali ze swoimi oswobodzicielami bardziej przez wzgląd na jedzenie niż dla towarzystwa. Kardynał Martyn wierzył, że nawrócił kilku muzułmanów, a ci, których nie nawrócił, oszczędzili mu bicia z szacunku do Grossbartów.

Zboże i suszone owoce poszły szybko przy tyłu gębach, ale Grossbartowie nie zważali na błagania Martyna, żeby podzielić resztę zapasów na racje –

każdy brat niósł torbę zarezerwowaną tylko i wyłącznie dla siebie i zasugerowali, by kardynał zrobił to samo. Gdyby dalej trzymali się rzeki, zwiększiliby chociaż swoje szanse dotarcia do małych osiedli, ale uparli się, odkąd mokradła graniczące z rzeką ustąpiły piaszczystym pustkowiom, że wypady w poszukiwaniu miast–grobow są teraz obowiązkowe. Co kilka dni kończyła im się woda i wtedy z powrotem brnęli do Nilu, by ponownie napełnić bukłaki. Nawet Hegel i Manfred zaczynali mieć dość tej wyprawy. Czując, że rozpacz niedługo zabije ducha we wszystkich, Martyn raz jeszcze usilnie poprosił Grossbartów, by wyznali grzechy.

Kompania rozłożyła się w kolejnej pozbawionej cmentarza dolinie pośród niezliczonych wydm. W tej znajdowało się tyle suchych drzew, że wystarczyło na dwa ogniska. Nieco ponad trzydziestu uwolnionych więźniów usiadło w pewnej odległości przy własnym ognisku i debatowało między sobą, czy sensowniej jest zwrócić się przeciwko Grossbartom, czy zwyczajnie porzucić ich towarzystwo jeszcze tej samej nocy. Gdyby chociaż jeden z nich rozumiał słowa wypowiedane przy drugim ognisku – i odwrotnie – z pewnością padłyby ciosy. A tak, większość muzułmanów – w najlepszym razie – przestała się interesować tym, co zamierzali brodaci chrześcijanie, wędrując na pustynię, a potem wracając do Nilu kilka razy w tygodniu, podczas gdy zapasy jedzenia się kurczyły.

– Żem ci rzekł już dwa razy i więcej nie powtórzę – burknął Manfred z ustami wypełnionymi ostatnią garścią daktyli. – Nie mamy do czego się przyznać.

– Każdy musi się spowiadać, Manfredzie. – Martyn skłonił głowę. – Nie będę cię oceniał, tylko On ma do tego prawo.

– Ona – poprawił go Hegel. – I to nie może zaszkodzić, bracie.

– To dlaczego sam tego nie zrobisz? – zapytał Manfred.

– Ona już widziała moje grzechy i mnie rozgrzeszyła. – Hegel spojrzał na widmowe sklepienie niebios. – Każde ohydne przewinienie, jakim popełnił, zostało zmyte.

– Ale przyznajesz, że grzeszyłeś! – powiedział Martyn, podekscytowany faktem, że czynią jakieś postępy. – To dlaczego nie wyznasz grzechów mnie, nawet jeśli uzyskałeś rozgrzeszenie, żeby twój brat zrozumiał, że to, z czego nie zdaje sobie sprawy, że jest grzechem, mimo wszystko musi zostać wyznane?

- Niech to diabli. – Hegel potarł ręce i zagryzł usta. – Była ta czarownica. Martyn nie rozumiał.
- Czarownica? – zapytał Manfred.
- Ta w górach. W Alpach. – Hegel spojrzał bratu w oczy. – Chyba muszę ci to wyznać, skoro Ona i tak o tym wie. Żem ją puknął.
- Czarownicę, która mieszkała w dolinie z mantykołakiem? Cożeś jej zrobił? – dopytywał się Manfred.
- Nie, spowiadaj się mnie – upierał się Martyn.
- Stul dziób – odpowiedział Hegel. – A pewnie, o tej czarownicy gadam. No, żem ją puknął.
- Żeś ją zabił? Kiedy?
- Nie, durna pało, puknął, znaczy zaliczył. Cieleśnie. Ona mnie wykorzystała.
- Co?! – Manfred ryknął śmiechem. – Nie oszukasz mnie, Hegel. Ta stara prukwa?
- Niektórzy z nas, co mają wyrobione gusta, wiedzą, że baranina lepsza od jagnięciny. – Hegel skrzyżował ręce.
- Kobiety to nie mięso! – zauważył Manfred.
- Powiedz to tej pani–rybie, cośmy ją zjedli na łodzi. Ale z czarownicą idzie o to, żem powinien był wiedzieć swoje, alem nie wiedział, więc stracił żem czystość. Ale Ona mi ją zwróciła. Maryję mam na myśli, Najświętszą Panienkę, do której czarem upodobniła się czarownica. – Hegel rozłożył ręce. – Widzisz? Nie muszą niczego się wstydzic ci, którzy są w Jej Łaskach. Wypowiadaj się mnie i zostaniesz rozgrzeszony jak i ja.

Martyn chciał im przerwać, ale nie mógł podnieść szczęki z piasku. Manfred dalej się śmiał, dopóki Hegel nie uderzył go pięścią. Potem chciał się odezwać kilka razy, ale gdy tylko otwierał usta, zaczynał rechotać.

- Ta stara prukwa? – powtarzał Manfred. – Chryste, bracie!
- A jak myślisz, czemuś to zrobił? – odezwał się wściekły Hegel. – Myślisz, że marzyło mi się władować grossbartowe klejnoty do cuchnącej wiedźmiej dziury? Gdybym tego nie zrobił, umarłbyś od psujących się ran, ty samolubny złamasie! Taka była cena.
- Trza było pozwolić mi umrzeć – zachnął się Manfred, ale otrzeźwił go widok bólu na twarzy Hegla. – Dzięki, bracie, to więcej, niżem zasłużył. Żem nie miał pojęcia, żeś tyle przeze mnie się wycierpiał. Niech szlag weźmie

pobożne odruchy.

– Czułbym się trochę lepiej, gdybyś też wszystko wyznał, żebyś nie musiał się martwić, że będziesz płonąć w czeluściach. – Hegel zerknął na brata. – Myśl jest równie grzeszna jak uczynek.

– Tak? A pewnie, chyba jest. – Manfred zmrużył oczy, patrząc w mrok poza ogniskiem. – Chyba żem zrobił parę rzeczy, których żem nie powinien, ale niektóre są gorsze od pozostałych.

– No to gadaj – naciskał Hegel. – Wyrzuć to z siebie, na złość Staremu.

– Ehm, no tak, ta niks... – Manfred przełknął ślinę.

– No?

Martyn chciał im przerwać, ale ciekawość wzięła górę i zachował milczenie.

– Ehm, żem miał tak jakby słabość do niej i tej jej piosenki. – Hegel skinął głową, a Manfred opowiadał dalej. – Myślę sobie, że pewne te rzeczy, com je myślał, to włożyła mi do głowy czarami, ale niektóre, to, ehm, pewnie myślał żem z własnej woli. Zafajdane myśli, o rzeczach, które zawstydziłyby Panienkę.

– I jak żeś ją nazywał? – zapytał nieprzypadkowo Hegel.

– Heę?

– Jak żeś wołał na nią w myślach, bracie? Wiem, bo też żem zawinił, nazywając czarownicę Jej Imieniem. – Hegel spuścił głowę. – Straszny grzech.

– Czy to się liczy, jak powiesz to za mnie? – Manfred kopnął brata. – Ano pewnie, myślę sobie, że z braku lepszego imienia żem mógł posłużyć się imieniem Maryi. Żem zakradał się do wozu i patrzył, ale nigdy jej nie dotknął, ehm, to jest, nigdy żem nie zamierzał jej dotknąć. Tamtego razu, w rzece, kiedym całował Przydrożnego Papieża, to myślałem, że to ona. Jakbym był przy zdrowych zmysłach, to w życiu bym jej nie pocałował, a już nie wspomnę o bandycie.

– I po wszystkim. – Hegel westchnął.

– Ale to nie najgorsze, bracie! – powiedział zaniepokojony Manfred. – Żem zrobił jeszcze gorsze rzeczy. Nikczemności takie, że zarumieniły się gładki policzek Kusego. Widzisz, jak żeśmy byli z kapitanem, kiedy pierwszy raz żeśmy spotkali Angelino, on się pokłócił z Baroussem, ty i Rigo żeście odeszli na bok wyrzeć za okno, a ja... ja...

– Cokolwiek to było, zostanie ci przebaczone, gdy tylko mi to wyznasz – wtrącił delikatnie Hegel.

– Żem napełnił bukłak z jej wanny i od tego czasu za każdym razem, jakem był przybity, tom wypijał łyk jej słonawej wody z kąpieli, nawet po tym, jak się zamieniła w potwora. – Wstyd sprawił, że Manfred spuścił brodę. – Do tej pory mam jeszcze odrobinę. – Nie podnosił głowy, dopóki nie usłyszał dziwnego hałasu. Wtedy spojrział. – Śmiejesz się ze mnie, ty obściskujący czarownicy degeneracie?

– Ejże! – Hegel zasłonił usta ręką. – Tylko dlatego, że ci wybaczone, nie znaczy, że nie jesteś zafajdanym kurwim synem! Wodę z kąpieli, bracie?! Obrzydliwość!

– Odwal się wiedzmojebco! – krzyknął Manfred.

– Uspokój się. – Hegel się nadał, a potem rozluźnił, kiedy zobaczył, że Manfredowi oczy prawie wylazły z orbit. – Spokojnie, spokojnie. Kpienie sobie z czyjejs spowiedzi to gorszy grzech od tych, które sami żeśmy popełnili, więc z tego też się spowiadam, zgoda? Do diabła, jak chcesz dalej ją pić, to w porządku, bo ja błogosławię ciebie i pobłogosławię wodę, czyniąc z niej wodę święconą. W porządku, bracie.

– W żadnym razie nie w porządku! – ryknął Martyn, więc Manfred rąbnął go w brzuch.

– Jak masz interes w opóźnieniu własnego pojednania z jebaną nieskończonością, to morda w kubeł w obecności świętego! – ryknął w odpowiedzi Manfred, a Martyn przewrócił się, ściskając brzuch. – Mów dalej, bracie.

– Właśnie żem skończył – powiedział Hegel i rozejrzał się po błyszczących oczach patrzących na niego ponad ogniem. – Ktoś jeszcze chce się obmyć?

Raphael wstał i podszedł do nich, plasnął na ziemię i zwrócił się do Hegla bezpośrednio po raz pierwszy od utraty ręki i większości zębów. Opowiedział im o wszystkich potwornościach, jakie popełnił w czasie służby w Białej Kompanii. Armia najemników brała udział we wszelkiej maści rozpustach obejmujących wino, kobiety i najstraszliwszą przemoc, a Raphael spowiadał się, aż mu popłynęły łzy i cały dygotał ze skruchy.

– Wszystko zostało ci przebaczone, chłopcze. – Hegel i Manfred wzruszyli ramionami, bo nie zrozumieli większości tego, co najemnik powiedział. – Wszyscy my są grzesznicy na tym zaszranym świecie.

– Ja też muszę coś wyznać. – Al-Gassur zachichotał i podpełznął do nich,



okrażając ognisko. – Ale najpierw zapytam, czy moja żalosna, nędzna arabska osoba dostąpi takich samych przywilejów, jak wy?

– Pod warunkiem, że nie będziesz dłużej tak paplał i wreszcie się przyznasz – odpowiedział Manfred.

– I żadna zemsta nie zostanie wywarta na moim ciele za uczynione zło? – dopytywał się Al-Gassur, będąc o włos od tego, by przyznać się do mistyfikacji, która rozśmieszała go przez wszystkie te miesiące.

– A pewnie, tak, gadaj – powiedział Hegel.

– Ja, ja nie, nie... – Al-Gassur próbował powiedzieć, ale cały się trząsł z wesołości. – Ja nie jestem Arabem!

– Nie jesteś jakim Arabem? – Hegel miał oczy jak szparki.

– W ogóle nie jestem Arabem! Nie jestem nawet Turkiem! – Śmiech pokonał Al-Gassura, który teraz turlał się po piasku.

– Ho hwafiad! – domyślił się Raphael.

– Nie! – Al-Gassur zarykiwał się ze śmiechu. – Nie jestem ani wariatem, ani Arabem! Pochodzę z Konstantynopola, pewnie z tego samego rodzaju co wasza reszta! Urodziłem się żebrakiem, owszem, ale żeby Arabem?! Niech Bóg broni!

– To czym żeś jest? – zapytał Hegel. – Z jakiegokolwiek rasy jesteś, na pewno nie z uczciwej.

– Mój ojciec był wołoskim handlarzem obnośnym. – Wspomnienia z młodości nieco uspokoiły Al-Gassura. – Zabrał moją matkę do Konstantynopola, żeby poćwiczyć się w zawodzie. Został jednak obrabowany i pobity, a nie mając grosza przy duszy, żeby wrócić do domu, przeprowadził się do jedyne miejsce, gdzie go przyjęto, do dzielnicy żydowskiej. Tam się urodziłem, więc dla ignorantów z miasta byłem Żydem. Ojciec i matka zginęli, kiedy chrześcijańscy kupcy z konkurencji przypuścili atak na getto, zabijając wszystkich, których zdołali złapać. Jednak nie mnie!

– To nam nie mówi, dlaczego udajesz Araba. – Manfred podniósł się i przykucnął.

– Nawet egzotycznym Arabem z jego głodem chrześcijańskiej krwi mniej się pogardza niż Żydem – syknął Al-Gassur. – A nawrócony niewierny, taki co walczył dla papieża w czasie krucjaty, może wyciągnąć grosz nawet od najmniej wspaniałomyślnego chrześcijanina. Młody człowiek w getcie, jakie ma szanse jako żebrak czy cokolwiek innego, kiedy wszyscy, którzy go widzą, uważają go

za Żyda? Przybrałem nowe imię, a to, które nosiłem kiedyś, dawno poszło w zapomnienie.

– Czyli nie jesteś ani Żydem, ani Arabem, zgadza się, Arabie? – dopytywał się Manfred.

– Nie! Tak! Złote konie i inne bogactwa, w które mój ojciec wierzył, o których myślał, że stoją w Konstantynopolu jako dowód panującego tam dobrobytu, dawno temu zostały skradzione przez Wenecjan w krucjacie równie szlachetniej jak ta, w którą teraz sami się zaangażowaliśmy. I dlatego udałem się do Wenecji. Zamierzałem porzucić moje arabskie kłamstwo po drodze, ale mocno przywarło i przyniosło mi tyle samo litości i trunku, ile ciągów. Nasze prawdziwe pochodzenie nie dało ojcu niczego poza złamanym sercem i pustą sakiewką, a gdybym przybrał żydowskie imię, bądźcie pewni, że lania byłoby więcej niż litości, zwłaszcza w tych pogrążonych w zarazie czasach, kiedy ludzie wierzą, że każdy kozioł ofiarny chowa rogi pod spiczastym kapeluszem.

– To jak żeś się nauczył gadać jak oni? – spytał Hegel.

– Paru Arabów, których spotkałem w młodości, nauczyło mnie nieco i chociaż zapomniałem wszystko do czasu naszego spotkania, obecne towarzystwo ponownie rozpałiło we mnie isierkę języka i rzeczywiście mówię odrobinę, zamiast po prostu bełkotać, czym mogłem oszukać jedynie chrześcijan. – Al-Gassur wydał pierś, czekając na ciosy, które spadną.

Po długim milczeniu Hegel i Manfred spojrzeli po sobie i zaczęli chichotać. Wkrótce dołączyli do nich Raphael i Rodrigo, i wszyscy czterej śmiali się, dopóki nie zaczęły ich boleć zębra. Al-Gassur i Martyn patrzyli zdumieni, dopóki Manfred nie doszedł do siebie na tyle, by zadać pytanie.

– I nie masz nic więcej do wyznania? Żadnego więcej kłamstwa? Ostatnia szansa! – Uśmiech Grossbarta był zbyt szeroki, zbyt szczery.

– Co, ehm, nie... – Al-Gassur nie spodziewał się, że wyznanie ich rozbawi, ale zaraz spełnili jego oczekiwania, rzucając się na niego.

Hegel złapał go za ręce, a Manfred ścisnął mu uda.

– Zrobimy z ciebie uczciwego człowieka, Arabie! – Manfred zaczął zdzierać mu spodnie. – A co tu mamy, hm, kikuta? Żem widział, jakieś biegał w Wenecji, Arabie, żem widział, jakieś biegł na dwóch nogach!

Al-Gassur szarpał się, ale mocno go trzymali. Zasłaniając mu widok na jego własną, obnażoną dolną połowę, Manfred odsłonił zgiętą nogę i zaczął

rozdziarać szmaty, którymi była umocowana do uda i pośladka. Potem wyjął sztylet i przytknął tępą stroną do kolana.

– Obetnę ci ją, Arabie, żebyś więcej nie był kłamcą! – Przeciągnął metalem po skórze, sprawiając, że żebrak zaczął krzyczeć i wyć.

A potem Grossbartowie puścili go, a on czmychnął w ciemność, podczas gdy bracia śmiali się do rozpuku. Nie ubawili się tak, odkąd przybyli do Giptu.

Załamany, że jego wyznanie w najmniejszym stopniu nie zmartwiło nikczemnych bliźniaków, Al-Gassur pocieszał się tym, że nie musi już dłużej obwiązywać nogi. W mroku pomiędzy ogniskami potajemnie wyjął z mniejszej torby ukryty skarb i szpulę cienkiej, elastycznej linki, którą znalazł w Aleksandrii. Zrobił pętlę na jednym końcu i nałożył na zawiniętą w szmatkę butelkę, drugą pętlę zacisnął na udzie, a potem wepchnął butelkę z powrotem do torby, którą schował z przodu pod tuniką, żeby udawała wzdęty brzuch. Tylko badawcze spojrzenie wypatrzyłoby linkę biegnącą od pasa spodni do dolnego krańca koszuli. Al-Gassur nie miał najmniejszych wątpliwości, że obrabowawszy go z odrobiny satysfakcji z własnego oszustwa, wkrótce bracia zainteresują się też jego doczesnym dobytkiem. Gdyby jednak zechcieli zabrać mu serce brata, wpierv musieliby mu je wyciąć.

– Ja też muszę coś wyznać – odezwał się Rodrigo, kiedy śmiech z powodu Al-Gassura ucichł. – Kiedy wyszedłem na pokład, to nie po to, by was ratować, ale żeby popatrzeć, jak was wieszają. Chciałem być świadkiem waszego cierpienia, bo winiłem was wtedy, jak i teraz, za śmierć Ennia.

– A co oświeciło twoją ciemną dupę? – zapytał Manfred.

– Jeden głupek wystrzelił do mnie z kuszy, a drugi próbował dźgnąć. To potrafi wywołać zmianę w człowieku. – Rodrigo, jak wcześniej Al-Gassur, czekał na kopniaka, który nigdy nie nadszedł.

– Zabicie tamtych kurewskich wieprzy to jedyna pokuta, jakiej żeś potrzebował, synu, więc ogłaszam cię oczyszczonym – osądził Hegel.

– Heretycy! – Martyn wytknął ich palcem. – Na Dziewiczy Brzuch Maryi, jesteście heretykami!

– Przestań hałasować – ostrzegł go Hegel – bo zdegraduję cię do rangi biskupa.

– Bluźnierca! – warknął Martyn. – Tylko Pan może mnie osądzać!

– Oh je fięty! – Raphael wymachiwał kikutem to na Hegla, to na Martyna. –

Uwafaj fobie, hsziesz!e!

– Tylko dlatego, żeś z nami podróżował, nie znaczy, że nie stracimy twojego tyłka! – upomniał Martyna Hegel. – Ostatnio zdarzały ci się potknięcia, ale mimo wszystkich twoich niedawnych bluźnierstw wierzę, że nienawidzisz demonów, czarownic i takich tam, więc pewnie pójdziesz do nieba, jeśli cię utłukę jak zwykłego psa. A jak nie, to sam żeś sobie winny. Cożeś gadał na temat tego, żeśmy są narzędzia Jej Woli?

Oczy wszystkich skierowały się na kardynała Martyna, stojącego na drżących nogach i lustrującego wzrokiem czterech mężczyzn, z którymi przeżył tyle dni. Nagle wszystko wydało mu się tak absolutnie niewłaściwe, że odwrócił się bez słowa i odszedł, a szyderstwa Grossbartów poszybowały za nim w noc. Zamiast pójść do drugiego ogniska, powędrował na otwartą pustynię. Chłodny wiatr opłukał jego umysł z Grossbarckiego pyłu, który pokrywał go od tak dawna. Zdrową ręką zdjął z siebie zdobyte morderstwem kardynalskie szaty. Wspiął się na wydmę i szedł grzbietem, dopóki zaróżowiony księżyc w pełni nie schował się znowu za chmury. Zupełnie nagi, pijany i załamany wyrazistością, z jaką ujrzał to, co wyczyniał przez ostatni rok, Martyn odwrócił się, spojrzął na dwa ogniska i zapłakał.

Zamknął oczy i przypomniał sobie przeszłość taką, jaką była, a nie jaką ją uczynił. Jego myśli odwróciły się od kłamstw, w które prawie uwierzył, i powrócił do Elise żegnającej się z nim przed wejściem do klasztoru, gdzie miała spędzić resztę swoich dni bez niego. Ptaszka Doktor przyszedł po nich do ogrodu, ale kiedy Martin padł na kolana przerażony, ona złapała jego kostur i okładając opętanego w ptasiej masce, wpędziła go do ognia. Kiedy duch nieczysty opuścił naczynie i przyszedł po nich, ona stała twardo, a jej płonący kostur odgrodził ich od opętania. Wtedy duch wszedł w nieszczęsnego jeźdźca i uciekł, a oni we dwoje powędrowali na południe. Nawet kiedy Elise zniknęła za murami klasztoru, Martyn nie mógł uwierzyć w jej decyzję i minął rok, zanim zarzucił kaptur, wziął kostur i ruszył szukać zemsty.

Przybity mężczyzna nie usłyszał szmeru piasku, kiedy potwór wbiegł na wydmę za jego plecami, zamiast tego łagodne, ciepłe brzmienie głosu Elise sprawiło, że łzy spłynęły mu po splekanych policzkach. Nie poczuł ciepłego oddechu dobywającego się z dziesiątek ust stojącego za nim Magnusa. Zacisnął dłoń na jej ramieniu, kiedy powiedziała mu, że muszą się rozstać i szukać

pociechy w Bogu, a nie w sobie wzajem. Wielki szurzy łeb, który Magnus miał zamiast lewej ręki, zmieścił w paszczy chromą rękę Martyna i część piersi, nim zamknął ją z trzaskiem. Ciało Martyna zachowywało się dziwnie i gotowało mu się w piersi, ale w zaciszu swojego umysłu wreszcie wybaczył jej, że go porzuciła. Jednakże, nawet umierając, nie potrafił wybaczyć sobie. Może Bóg mi wybaczy, pomyślał, i więcej już nie myślał.

– Martyn.

Stwór w Heinrichu przemówił jego ustami, kiedy podjechał bliżej, siedząc okrakiem na Brennenie.

– Mnich, jedyny, który mi się wymknął w ostatnich latach. Jak można by wątpić w istnienie Przeznaczenia, mając taki dowód jak nasze szczęśliwe spotkanie po tylu dniach?

Heinrich nie miał nic do dodania. Szturchnął tylko tępo Brennena i ponaglił go do dalszej drogi, bo chciał odnaleźć Grossbartów, nim zapadnie w sen wieczny. Jego lokator ledwie skierował oczy, którymi się teraz dzielili, w stronę dwóch ognisk płonących u podnóża wydmy i łyzy szczęścia pociekły do licznych ust Brennena. Skorupy ciał Vittorio i Paolo pojawiły się w blasku księżyca i z nieuchronnością samej śmierci cała piątka pośpieszyła w dół i rzuciła się na Grossbartów.

## XXX

# NALEŻNA IM NAGRODA



– **N**iniejszym Martyn został zwolniony ze swoich obowiązków – powiedział Hegel, kiwając głową w stronę ciemności, gdzie zniknął kardynał. – Po mojemu to znaczy, żeś arcykapłan albo prałat, bracie.

– Z radością przyjmuję ten zaszczyt – zabulgotał Manfred, bo z zapalem popijał.

– Rigo i Raph, wyście dwaj są biskupi. A, do diabła, ty też żeś jest biskup, Arabie. – Hegel pokiwał głową, uznając własną mądrość, i skinął do Al-Gassura, który właśnie wrócił.

– Czemu nie kardynałem, o krynico wieków? – zapytał Al-Gassur.

– Ten tytuł uległ zepsuciu, tak samo jak tytuł papieża. – Hegel czknął. – Prawda jest taka, że nie było prawdziwego papieża od czasów Formozyta.

– Szkoda, że musiał wyskoczyć na nas z tą herezją – powiedział Manfred. – Martyn nie był taki zły, zanim urząd nie uderzył mu do głowy. Żeby cię tak błotem obrzucać, gadać, żeś nie jest święty.

– Rzeczywiście, zem zginął straszną śmiercią – przytaknął Hegel. – To, że Maryja uznała, że należy mnie wskrzesić, tylko udowadnia, że chce zrobić na złość temu niebiańskiemu gwałcicielowi i jego tak zwanym męczennikom. Żaden prawdziwy święty nie przyjąłby w milczeniu męczeńskiej śmierci, wierzcie mi. Bleegh!

Zakończył swoje oświadczenie, plując wymiocinami do ognia, na co brat tylko zawiwatował. Nigdy dotąd Wiedźmi Wzrok nie spadł na Hegla z taką szybkością i gwałtownością. Walczył ze zbuntowanym ciałem, by ostrzec Manfreda. W końcu przełknął podchodzące do gardła wymiociny i odetchnął raptownie, wodząc dzikim wzrokiem po niebie i piasku.

– To pułapka! Arabowie!

Uwolnieni niewolnicy popędzili jak jeden mąż do ogniska Grossbartów, bo

doświadczenie nauczyło ich, żeby się śpieszyć, gdy Hegel pragnie ich posłuchania.

– Jakże to? – powiedział Manfred, siadając gwałtownie w kucki i przyglądając się cudzoziemskim sprzymierzeńcom tłoczącym się nagle na obrzeżach ogniska.

– Fo mamy fobicz? – wydyszał Raphael.

– Cierpieć! – zapał radośnie głos w ciemnościach. – Tylko tyle wam zostało, Grossbartowie!

– W mordę jebane, co... – zaczął Hegel.

– Cóż innego, jeśli nie wasz śmiertelny wróg? – Heinrich powlekł się do światła w towarzystwie Paolo i Vittorio.

Języki młodych Włochów były zbyt opuchnięte, by mogli mówić, ale na widok zdobyczy wyszczerzyli zęby w uśmiechu i obślinili papieskie stroje. Trzymanym w zniekształconej ręce biczem Heinrich leniwie przeciągnął po wydętym brzuchu i piersi; skalane szaty i gnijące ciało złuszczały się jak skórka z pieczonej rzepy.

Smród wszystkich obezwładnił, nawet Grossbartowie zakrztusili się nagle wilgotnym powietrzem. Niewolnicy, zawodząc, błagali nic nierozumiejącego świętego Hegla, żeby przegnał demony, niektórzy uciekali, inni się modlili. Raphael i Rodrigo wymiotowali od smrodu ropy i padliny, a Al-Gassurowi pękło naczynie krwionośne w oku od gapienia się na ropiejących mężczyzn. Jedynymi jasnymi miejscami na ich poczerniałej skórze były sączące się krosty, które błyszczały jak księżyc.

– Heinrich? – Hegel nie czuł nóg i w głowie mu się kręciło od smrodu.

Manfried zmrużył oczy.

– Kto?

– Tak! – ryknął śmiechem Heinrich. – To my!

– Kto?! – powtórzył Manfred, nie chcąc w to uwierzyć. – A tam, nie może być!

– Zastrany w rzepę jebany wsiok! – Hegel podszedł do niego, ważąc w ręce oskard. – Cożeś ty ze sobą zrobił?!

– Połączyliśmy się! – Heinrich zarechotał. – Z tym, któremu pokrzyżowałeś plany w górach, tak jak wcześniej zrobiłeś to ze mną!

– Czary! – wykrzyknął Manfred.

– Tak! – zgodził się z nim Heinrich. – Ona też jest z nami! Zabiłeś jej męża, tak jak zabiłeś moją żonę, i teraz jej dzieci skończą z wami, jak wy skończyliście z moimi!

– Ten pomylenieć wpuścił demona! – wykrzyknął Hegel, kiedy dotarło do niego, co oznacza widoczna zgnilizna. – Tego, który zabił Ennia, tych mnichów i resztę miasteczka!

– Hm? – Rodrigo otarł wymiociny z ust i wyciągnął miecz. – To on?

– Zgadza się, prawda? – dopytywał się Hegel. – Przyznaj się, zanim cię rozgromimy po raz drugi!

– Tak! – ryknął Heinrich. – A teraz patrzcie, co wyszło z łędźwi czarownicy, Grossbartowie, patrzcie, co ściągnęliście na siebie z piekła! Brennen! Magnus!

– Nadal żeś jest głupiec! – powiedział Manfred. – Kto tam czai się za tobą w szatach, he? Dwóch gnojków z tego miasta, które żeśmy spalili pod Wenecją, czy może to prawdziwi papieże?!

Hegel poczuł, że wnętrzości próbują mu naraz uciec oboma końcami, gdy tylko on jeden pojął niuanse sytuacji. Jak mogą wzejść plony, jeśli wpierv nie posiejesz ziarna? Zanim się otrząsnął, pół tuzina niewolników stojących na krawędzi światła z ogniska zniknęło, kiedy coś szarpnęło ich do tyłu i żaden nie zdążył nawet krzyknąć. Za to ich towarzysze, którzy widzieli, co ich zabrało, tak wrzasnęli, że wystarczyłoby wrzawy dla wszystkich. Wszyscy zebrani poczuli gorący podmuch, który zmierzwił im włosy, wiatr, który popychał i ciągnął jak gwałtowny pływ – wiatr zrodzony z dziesiątek ogromnych, oddychających jednocześnie ust.

– Zakreślić kręgi wokół siebie! – wykrzyknął Manfred, zanim zobaczył górujące nad nimi ohydy.

– Użyjcie przeciw nim ognia! – zawołał Hegel, obracając się błyskawicznie w kuckach i rzucając się na kształt, który przesłaniał obok niego blask księżyca.

Najzwyklejsza idiotyczna wściekłość pozwoliła Grossbartom działać, gdy inni popadli w katatoniczne osłupienie. Heinrich i jego uczniowie recytowali śpiewnie po drugiej stronie ogniska, a ogromne bliźniaki stały wśród Grossbartowych ludzi, paszczami na nogach pożerając po dwóch niewolników każdy. Magnus wysunął lewą rękę do Hegla i warcząca szczurogęba kłapnęła szczękami tuż nad głową Grossbarta.

Hegel trafił z głuchym odgłosem Magnusa oskardem w pachwinę



i odskoczył, gdy krew trysnęła mu w twarz. Wtedy monstrum kopnęło, a paszcza na podeszwie owłosionej nogi była w sam raz takiej wielkości, żeby odgryźć Heglowi głowę. Pobudzeni heroiczną szarżą Grossbartów pozostali mężczyźni rzucili się do działania: syryjski pederasta skoczył pod wyciągniętą nogę Magnusa i odepchnął stopę, zanim odgryzła głowę świętemu. Paszcza kłapnęła zębami tuż nad Heglem, a potwór, który stracił równowagę, zatoczył się do tyłu. Zanim gwałciciel dzieci zdążył się ruszyć, szczęki za kolanem Magnusa rozwarły się i odgryzły mu twarz, przeżuając jego triumfalny uśmiech, gdy on sam padł na piasek i umarł.

Brennen wziął zamach i uderzył Manfreda, ale ten sparował trzy długie jak miecze pazury trzonkiem maczugi. Jednakże szpon u najmniejszego palca przeszedł poniżej broni i przez szparę w zbroi, przebijając kolczugę, jakby była spleciona z włóczki, a nie żelaza. Siła ciosu sprawiła, że Manfred przekoziółkował po piasku, a maczuga poleciała wysoko w niebo. Zanim stwór skoczył, jakaś postać przemknęła cichaczem przed jego jedynym okiem, odpełzając w ciemność. Rycząc wszystkimi paszczami, Brennen zapomniał o Manfredzie i rzucił się za uciekającym tchórzem.

Oglądając się przez ramię, Al-Gassur nie zdążył się nawet posikać, a już ogromna dłoń zamknęła się na jego lewej nodze i mocno zacisnęły się zęby. Brennen uniósł ofiarę, żeby wrzucić kąsek do centralnej paszczy na cyklopowej twarzy, ale wtedy torba z relikwią Barousse'a wyslizgnęła się przez podarte spodnie Al-Gassura i zawisała obok niego. Niby-Arab zauważył to i wezwał imię kapitana, wrzucając torbę do jednej z paszcz. Usta zamknięte na jego nodze rozchyliły się ze zdziwienia, a Al-Gassur upadł na piasek.

Zrodzona z czarownicy bestia zawyła Al-Gassurowi prosto w twarz, a dziesiątki paszczy chuchnęły smrodem własnej śmierci. Żebrak zobaczył, jak butelka wypada z rozerwanej torby i niewielkie naczynie zawierające serce jego brata płonie bladożółtą poświatą. Szkło potrzaskało w zgrzytających zębach dłoni Brennena. Al-Gassur zamknął oczy, nieświadomy, że pętla z linki na szyjce butelki zaczepiła się o ogromny ząb i wcięła się w dziąsło, podczas gdy monstrum przeżuwało szkło i lśniąca relikwię.

Tak jak istnieją mroczne rzeczy, które przemierzają oceaniczne otchłanie, jakby to był suchy ląd, tak samo straszliwe istoty przechadzają się po niebiosach, jakby to było morze. Uwolnienie relikwii z jej szklanego więzienia

przyciągnęło uwagę jednej z nich, która w przeciwnym wypadku mogłaby nie zauważyć przedmiotu z tak wielkiej odległości. Z boską prędkością stwór opadł z nieba w pościgu za połyskującą zdobyczą, której pożądają wszystkie nikczemne moce. Zanim Brennen zdążył przełknąć palącą relikwię, cień, który nawet księżyc bał się oświetlić, porwał go z łatwością, z jaką sokół porywa gryzonia. Krew zbryzgała Al-Gassura, który otworzył oczy, by ujrzeć jak bestia znika. Zanim jednak pierwsza sylaba podziękowań zdążyła wyrwać mu się z płuc, szpula linki przymocowana do butelki i jego uda wyskoczyła z torby. Uwiązany do Brennena nagle napiętą linką Al-Gassur wystrzelił w niebo, znikając ze świadomości Grossbartów.

Kolejni dwaj skazańcy zostali rozdarci przez żarłoczne nogi i prawą rękę Magnusa, a lewa, szczurza dłoń zamierzała pożreć Hegla. Stwór odzyskał równowagę i parł naprzód, a szczurze szczęki wgryzły się w lewą rękę Grossbarta i oderwały się razem z dwoma palcami i mieczem. Hegel odpowiedział, zatapiając oskard w szczurzym pysku, ale ręka cofnęła się, więc musiał wypuścić broń, by nie dać przyciągnąć się bestii.

Wyciągnął łom i zdzielił względnie normalną, ale potężną rękę atakującą jego twarz. Wtedy powróciła druga ręka, która uderzyła go zwierzęcą paszczą jak pałką. Hegel padł pod wpływem ciosu, ale odturlał się, zanim zdążyła na niego opaść zębiasta stopa. Dostrzegł maczugę Manfreda obok siebie na ziemi, więc ją porwał, ale kiedy on się zdekoncentrował, trzyoka groza mogła w pełni skupić się na zdobyczy, zapominając w gniewie o innych ofiarach.

Z zaciśniętych szczęk przebitej oskardem szczurzej łapy ciekła krew, ale kiedy uderzyła, zuchwy znowu gwałtownie się rozwarły, gotowe rozedrzeć odsłonięte plecy Hegla. Manfred zamachnął się siekierą nad głową leżącego na brzuchu brata, odcinając dolną szczękę i wybijając fontannę zębów. Magnus wrzasnął wszystkimi paszczami i rzucił się na Grossbartów, pragnąc tylko zmiażdżyć i przeżuć ich aroganckie kości. Rodrigo złapał Hegla, a Raphael Manfreda i pociągnęli ich w przeciwne strony. Potwór uderzył o pustą ziemię, kiedy dwie pary mężczyzn odturlały się niemal poza jego zasięg.

Szczęki na lewym łokciu Magnusa rozdarły Rodrigowi nogę, odrywając spory kawał ociekającego krwią mięsa. Gdyby Raphael nie stracił już wcześniej lewej ręki, zniknęłaby teraz w kłapiącej paszczy, która musnęła jego zabandażowany nadgarstek. Podobna do czaszki twarz Magnusa obróciła się do

Manfrieda i Raphaela, wypaczone nozdrza wydeły się, dwoje oczu zabłysło czernią, a trzecie żółcią. Pozostali dwaj więźniowie – zatwardziały morderca, który właśnie tej nocy ustalił, czego Grossbartowie szukają w jego ojczyźnie, oraz młody muzułmański arystokrata, który nigdy nie uderzył wroga – zamachnęli się mieczami na tyły kostek Magnusa.

Stopy z gryzącymi zębami kopały, kiedy Magnus próbował wstać, a nogi grube jak pnie wierzgały w powietrzu, gdy skazańcy je rąbali.

Czterech mężczyzn w pobliżu głowy i rąk Magnusa odpełzło tylko po to, żeby znowu rzucić się do walki. Ryk furii obalonego potwora zamienił się w jęki, kiedy siekiera, miecz i maczuga spadły na kończyny. Stopa trafiła w pierś arystokraty, ale młodzieniec ostatnim ciosem odciął ją i padł do tyłu. Zębiska wgrzyły się w jego nagi tors, chociaż stopa została odcięta. Ściągnęła pękły i w drugiej nodze, a bardziej zaprawiony w bojach więzień uskoczył przed jej przedśmiertelnymi konwulsjami, jeszcze bardziej zagłębiając ostrze. Pogruchotana szczurza głowa zamieniła się w papkę pod maczugą Hegla, a potem odpadła dźganą przez Rodriga. Prawa ręka oderwała się w łokciu, atakowana przez Manfrieda i Raphaela.

Zataczając się w świetle księżyca, Heinrich wykrzykiwał raz za razem imię syna, ale jego dziecko odeszło, porwane przez coś jeszcze ohydniejszego od niego samego. Chwiejnym krokiem podszedł do Grossbartów i ich popleczników i uniósł tępy bicz, a żal zwilżył mu policzki po raz pierwszy, odkąd porzucił człowieczeństwo. Biedny Magnus wrzeszczał, kiedy ci łajdacy go rozczłonkowywali. Dziecko obracało się w stronę jednej grupy tylko po to, żeby druga zaatakowała odsłonięty tors.

Odciąwszy rękę, Manfried wziął się za rozłupanie stworowi głowy, i wtedy bicz z zadziarami owinał mu się wokół twarzy i odciągnął go od bestii. Potem Heinrich zaatakował biczem Raphaela. W pierwszej chwili młodzieńca i Manfrieda oślepił smród, ale zaraz obaj skupili się na wieśniaku. Heinrich padł w ramiona swoich akolitów, kiedy siekiera Manfrieda rozłupała mu ramię, a miecz Raphaela otworzył brzuch. Rechotał, gdy czarny śluz wykypiał z ran, a napastnicy wrócili do walki z potworem.

– Spalcie to! – powiedział dwóm więźniom Hegel. – Oblejcie olejem zasranego jebańca!

– Nie pozwólcie im! – wrzasnął Heinrich do Vittorio i Paolo, którzy nadal

trzymali się z tyłu.

Hegel zauważył już, że rany Magnusa zasklepiają się szybciej, niż oni nadążają zadawać nowe. Odcięta szczurza łapa stopiła się w bulgoczącą ohydę u ich stóp i nowe, osłonięte łożyskiem wyrzucenie odrastało już na kikucie. Egipski kryminalista pomógł arystokracji odrzucić tylną łapę, zanim wgryzła mu się w serce, ale wtedy stopa rozpadła się w popiół i z zakrwawionej kostki wystrzeliły zakrzywione palce. Zdumiony młody więzień odzyskał rozsądek dopiero w chwili, gdy spoliczkował go trudniący się zabijaniem krajan.

Kiedy dwaj muzułmanie przestali ciąć jego nogi, Magnus wyleczył się na tyle, żeby odskoczyć od pozostałych czterech napastników, a odradzająca się szczurza łapa wydała z siebie przenikliwy pisk. Manfred dostrzegł coś w wielkich ustach środkowej paszczy znajdującej się na brzuchu i rzucił się do ataku. Hegel i Raphael ruszyli tuż za nim, ale Rodrigo padł – z jego rannej nogi krew lała się jak z przetartego bukłaka. Niezręcznie opatrzył ranę, podniósł kuszę i wycelował w twarz Magnusa.

Obrzydlistwo próbowało stanąć na tylnych łapach, które nie były jeszcze całe i ugięły się pod nim. Magnus powitał szarżę na czworakach. Raphael ciął go przez nozdrza, wyłupując oko znajdujące się obok nich i ściągając na siebie uwagę potwora. Wymijając ryczące ręce, Hegel biegł za bratem, dopóki Manfred nie dał nura pod brzuch stwora, który rzucił się przed siebie. Udo uderzyło w Hegla. Zęby zamknęły się na jego ręce, przyciągając go do boku Magnusa. Kolejne usta otworzyły się w miejscach, gdzie Hegel mógłby przysiąc, że żadnych do tej pory nie było, i pochwyciły go mocno. Kły zaczęły rozdzierać zbroję, żeby dobrać się do ciała. Próbował posłużyć się maczugą, ale długi, otłuszczony jęzor owinął się wokół niej, przyciągając go jeszcze bliżej. Unieruchomiony Hegel zobaczył chmurę rosnącą wokół ранnego Heinricha, i wiedząc, co ten widok zapowiada, zaczął się modlić, i walczył.

W pozbawionym księżycowego blasku cieniu pod brzuchem potwora Manfred uniósł łom w obu rękach i wstał – celując prosto w największą z paszczy Magnusa. Oślepiiony wilgotnym, przeżartym morowym powietrzem smrodem dobywającym się z paszczy trzymał łom, dopóki szczęki nie zamknęły się na nim, a metalowe narzędzie nie osadziło się w poprzek w dziąsłach potwora. Modląc się w duchu, Manfred wypuścił z ręki łom, który uniemożliwiał zębom przecięcie go na pół. Mięśnie szczęk napinały się, by

złamać blokujący je łom. Ciepła, kwaśna jak ocet mgiełka buchała z ukrytej jamy, do której prowadziły wszystkie usta. Grossbart zadławił się od gryzących wyziewów. Sięgnął w głąb ciemności, przedarł się gołymi rękami przez ciało i tkankę. Trująca krew zaczęła palić mu skórę i oczy. Potwór rzucił się do przodu i Grossbart musiał chwycić się mięsa, żeby nie wypaść. Ciągnąc butami po ziemi, przekopywał się przez głębiny czegoś, co było zarazem gardłem i brzuchem, aż kilka zębów Magnusa wypadło, łom się wyslizgnął i paszcza potwora zamknęła się z trzaskiem.

Rodrigo strzelił z kuszy i zobaczył, że jedyne ludzkie oko Magnusa pękło, tryskając prosto w twarz Raphaelowi, którego zaraz potem ugryzła szczurza ręka i zaczęła nim szarpać, trzymając go za ramię. Hegel poczuł, że coś mu zerwało hełm i usłyszał, jak paszcza obok jego ramienia rozdziera metal, a potem poczuł, jak następny jęzor owija mu się wokół twarzy i zęby przeżuwają brodę, wciągając mu głowę do paszczy mimo zacieklego oporu. I nagle Magnus padł, pociągając Hegla na ziemię i wyrzucając Raphaela w powietrze w stronę Rodriga.

W czasie walki odsunęli się od ognisk, a księżyc się schował, lecz oczy kryminalistów zawsze lepiej widzą w ciemnościach. Arystokrata i mizantrop stanęli jak sparaliżowani, broń wyslizgnęła im się z drżących palców. Potwór leżał w bezruchu, ale żaden z krzyżowców nie drgnął – dwóch leżało wyciągniętych kilka stóp dalej, jeden został na wpół przeżuty przez paszczę w boku ohydy, ostatni cały połknięty. Dwaj papieże podnieśli swojego kapłana, który wymiotował żółcią i dymem. Miazmaty zbijały się wokół niego w straszne kształty, hasające dziko w świetle gwiazd. Odory i odgłosy dobywające się z jego ciała wywołałyby mdłości nawet u nekromanty, ale jego akolici rozkoszowali się potwornością.

Nagle szyja Magnusa wybrzuszyła się i więźniowie spojrzeli podejrzliwie, zastanawiając się, co za nowa groza rodzi się z olbrzymiego trupa. Futro pękło, cała głowa odturlała się nagle od ciała i coś na kształt człowieka wypełzło ze środka.

– Maryjo! – wykrztusił człowiek w kolorze fuksji, wysoko unosząc ogromne serce Magnusa. – Na Najświętszą Panienkę, udało nam się!

Słyszając, jak Manfred przyzywa imię Maryi, Hegel wyrwał się ze stygnących jęzorów, a Rodrigo i Raphael powoli rozplątali swoje powykręcane i krwawiące

członki. Broda Manfrieda przypominała błony płodowe, a broda Hegla została przeżuta aż do policzków. Grossbartowie objęli się nad powalonym przeciwnikiem, wykrzykując „amen”, a okrzyki te podjęli nieliczni, którzy przetrwali.

Ponad ramieniem brata Hegel dostrzegł Heinricha wybuchającego krwawą mgiełką i złowieszczo znajomy kształt wylądował wśród rozbryzgów obok flaczejącego ciała wieśniaka.

Heinrich nie widział groteskowego demona, który uwolnił się przez największą dymienicę. Skradzione mu humory melancholiczne krążyły w pasożytniczym potworze zamiast krwi. Zobaczył za to Brennena, kiedy chłopiec pierwszy raz pojawił się w ramionach akuszerki, pucułowaty, ziewający i straszliwie oburzony, że sprowadzono go na taki zimny świat. Piersь Heinricha pulsowała ropiejącym zepsuciem zamiast życiem. Usłyszał, jak Grossbartowie krzyczą, i zdał sobie sprawę, że mógłby szukać przez całą wieczność i nigdy nie znalazłby gorszych od nich diabłów.

Imię syna zabulgotało na jego zjętaczalych ustach, kiedy oddalił się poza wszelki ból i radość.

– Kręgi! – zawołał Hegel, wciskając Manfriedowi do rąk maczugę, i sam popędził do leżącego na ziemi łomu. – Rysujcie kręgi wokół siebie na ziemi! Migiem!

– Ja pierdołę – jęknął Manfried, widząc o co chodzi bratu. – Tylko nie znowu to.

– Grossbartowie! – Piskliwy głos wstrząsnął ich wnętrzościami. – Myśleliście, że mnie dorwaliście! Że dorwaliście mnie w tych górach, w tym wieprzu!

Zamknięty w skorupie, spowity miazmatami stwór skoczył, sadząc długie na dziesięć stóp kroki w stronę Hegla, ale ten złapał łom i przykleknął na ziemi. Demon zobaczył, co Grossbart zamierza, i przyśpieszył, ale triumfalne obelgi zamieniły się w przerażony skowyt. Hegel skończył rysować krąg na ziemi i podniósł wzrok. Zobaczył, jak otacza go morowa, cuchnąca mgła, a demon podskakuje przed nim na najbardziej tylnych nogach. Hegel szarpnął się do tyłu, ale zatrzymał się, zanim wypadł poza okrąg narysowany na piasku.

Bez żadnego już wahania demon obrócił się i rzucił do Manfrieda, ale szkarłatny Grossbart też narysował okrąg, uważając, żeby nie kapać krwią na

otaczającą go linię. Obrzydliwy stwór skoczył ku Rodrigowi i Raphaelowi, ale ich dwóch także chronił obszerny krąg. Chociaż nie rozumieli języka, więźniowie zobaczyli dość, żeby wziąć przykład z krzyżowców, i demon znowu nie został przyjęty.

Z ostatnim bolesnym wrzaskiem demon skoczył wysoko w noc i zniknął, a na pustyni zapadła cisza. Młody arystokrata zaczął krzyczeć i podskakiwać, wychwalając imię Grossbartów. Hegel i Manfred wrzasnęli na niego, żeby uspokoił swoją dumną dupę, ale on nie rozumiał i kiedy tylko jego stopa wylądowała po drugiej stronie kręgu, cuchnąca kometa zanurkowała mu w twarz.

Arystokrata przeturlał się po piasku i zobaczyli, że demon, który nagle się skurczył, wciska się przez wybrzuszone gardło, ropa sączy się z pękniętych ust. Drugi Egipcjanin odwrócił się, upewniając się wcześniej, że jego krąg pozostał nienaruszony. Rodrigo i Raphael gapili się zaszokowani, ale Grossbartowie od razu wiedzieli, jak poradzić sobie w obliczu tak straszliwego obrotu spraw.

– Zastrzel go! – krzyknął Manfred, zdając sobie sprawę, że zgubił kuszę w czasie walki. – Rychło!

– Rigo! – wrzasnął Hegel, widząc, że jego własna kusza się połamała. – Strzelaj, Rigo, strzelaj!

Rodrigo gapił się w osłupieniu na opętanie, podczas gdy Raphael niezgrabnie zabrał się do napinania kuszy. Okazało się, że jedną ręką nie zdoła tego dokonać przy takim modelu broni, więc potrząsnął młodzieńcem, krzycząc mu w twarz. Rodrigo zamrugał, a potem wymiotował na nich obu.

– Rigo! – ryknął Manfred. – Słuchaj, jebany durniu, to się właśnie przytrafiło Ennisowi!

– Ennio! – krzyknął Hegel. – Ten sam demon zrobił to samo z twoim bratem Enniem!

To przyciągnęło uwagę Rodriga. Założył ostatni bełt. Opętany arystokrata wstał, sznury żółci zwieszały mu się z podbródka. Rechocząc złapał upuszczony miecz i zatoczył się w stronę najbliższego Grossbarta – Manfreda. Kiedy zrobił zamach, żeby zatrzeć krąg, ostatni bełt Rodriga wbił mu się w pierś i przeszył serce. Mężczyzna padł, wrzeszcząc piskliwie i tryskając żółcią z każdego otworu.

– Grossbartowie! – lamentował demon, kiedy wydrapał sobie drogę wyjścia obok bełtu. Wydostał się z masą posoki i zmałał do rozmiarów kota. – Przełamcie ich kręgi! Pomóżcie mi, bracia, jak ja pomogłem wam!

Paolo i Vittorio wyłonili się z mroku, ale nie zrobili najmniejszego ruchu w stronę Grossbartów. Mózgi obu chłopców dawno temu ugotowały się od gorączki i słońca na papkę, ale mimo to, kroczyli, a ich zgniłe serca pompowały ropę i żółć przez ciała od dawna gotowe do grobu.

– Coś się stało? – zapytał Paolo.

– Jakiś kłopot? – spytał Vittorio.

– Zatrzyjcie stopami ich kręgi! – wył demon, tańcząc wokół nich. – Bracia, błagam!

– Nie – odpowiedział Vittorio.

– Nie – zgodził się z nim Paolo.

– Dlaczego?! – Demon skoczył Paolo na ramię i zawył mu do ucha. – Wyrządzili wam taką samą krzywdę jak ja!

– Nie. – Paolo pogłaskał pierś demona, zanim ten zeskoczył na piasek. – Skrzywdzili ciebie i naszych nosicieli, ale co zrobili nam?

– Co? – spytał Vittorio – Poza tym, że zganili twoje szaleństwo? Tyle szans na rozprzestrzenienie swojego daru zaprzepaściłeś przez to, że poprowadziłeś nas tutaj.

– Co? – zapytał Paolo. – Poza tym, że wyzwolili nas z twojego jarzma? Co nam zrobili?

– To! – krzyknął Manfred, ciskając sztyletem z precyzją zawodowca.

Długi nóż zniknął w gnijących szatach, a rękojeść znaczyła miejsce, w którym znajdowało się serce Paolo. Syn cyrulika padł na twarz, pierdząc, bekając i dymiąc.

– I ty! – Łom Hegla przeokoziółkował przez powietrze, aż czubek wbił się w brzuch Vittorio.

Chłopak padł na ziemię i jeszcze kilka ciśniętych przez Grossbartów pocisków trafiło go, zanim zdołał się podnieść. Sztylet, którym kiedyś kapitan Barousse posłużył się, żeby zakończyć swoje życie, wyleciał z palców Hegla i wbił się w pierś Przydrożnego Papieża.

– Nie zdzierzę żadnego demona przy życiu! – krzyknął Manfred na trupa, który zamienił się w poduszeczkę do szpilek.



– Ani czarownika! – wrzeszczał Hegel. – Jak dotrzecie do piekła, powiedzcie, że posłał was tam święty Hegel!

Pierwszy demon trząsł się ze śmiechu, podskakując na trupach, i łąjał towarzyszy, kiedy buchnęli z dymienic nosicieli. Ci dwaj byli mniejsi, ale równie plugawi i natychmiast skoczyli ku pierwszemu z ostrymi palcami, spiczastymi rogami i kopytami zamiast stóp, drapiąc mu skórę i pancerz, które z trudem utrzymywały w środku tłuste płyny. Pierwszy nadal ganił towarzyszy, z łatwością wymykając im się dzięki dłuższym nogom, a organ wieńczący jego pośladki strzelał raz za razem w powietrze mięsistymi strumieniami obrzydlistwa.

Nic nie poruszyło się na piaskach w promieniu wielu mil, z wyjątkiem mężczyzn w kręgach, ponieważ wszystkie żywe stworzenia uciekały przy pierwszym podmuchu smrodu bijącego od świty Heinricha – nawet robaki porzuciły gnijących żywicieli, kiedy swoim złem demony dokonały całkowitego spustoszenia w ciałach ludzkich wierzchowców. Demony skoczyły ku Grossbartom, niosąc ze sobą cuchnące wyziewy. Nawet miazmaty nie były w stanie przekroczyć kręgów, a bracia kpili z demonów i pluli na nie, dopóki nie zdali sobie sprawy, że tamtym to sprawia przyjemność. Kiedy ciemność zaczęła ustępować i światło poczęło skradać się po piaskach, nastąpiła dziwna zmiana w postawie demonów – wszystkie trzy zbiły się w kupę i desperacko targowały się z Grossbartami, by opuścili kręgi.

– Wiem, gdzie znajdują się niezmierzone bogactwa – pisał pierwszy demon.– Wiem, gdzie jest więcej – sprzeciwił się drugi – i zostawię was nietkniętych, kiedy tylko znajdziemy mi ciało!

– Proszę – kwilił trzeci – jeśli przerwiecie kręgi swoich towarzyszy, nie tkniemy was i będziemy mogli rozstać się w pokoju!

– Sranie w banię – prychnął Hegel. – Kur zaraz zapieje, więc lepiej zacznijcie się modlić. Do mnie.

– To będzie bolało – ekscytował się Manfred – co? Zesłanie z powrotem do czeluści musi boleć bardziej, niż potrafię sobie wyobrazić!

Rodrigo i Raphael z trudem nie zasypiali, ale nie śmieli odpocząć, dopóki demony nie odejdą na dobre. Ostatni więzień przestępował z nogi na nogę, bez skutku próbując pozbyć się dręczących go skurczów. Tak jak Grossbartowie, narysował mały krąg, w którym nie mógł bezpiecznie usiąść. Demony dręczyły

także jego, Raphaela i Rodriga, ale żaden nie chciał dobić targu.

Słońce wspięło się nad wydmę i demony jęknęły, niezgrabnie się rzucając, byle być dalej od blasku, zbyt słabe, by poruszać się inaczej niż chwiejnymi skokami. W końcu przestały jęczeć i wszystkie trzy odwróciły się do światła. Grossbartowie ożywili się, bo cała trójka sapała przez otoczone czułkami, sączące się rany, które zastępowały im usta, i popychała się w stronę wschodzącego słońca.

Łzy ropy popłynęły, kiedy na demony padły promienie słoneczne. Dwa podkuliły pod siebie nogi i zasłoniły oczy chudymi jak kości łapami, ale pierwszy zmusił się do zrobienia kroku naprzód. Kiedy był w pół skoku, promień dotknął jego obmierzłego ciała i zewnętrzny pancerz popękał tysiącem szczelin. Kłębiące się miazmaty zamieniły się w czarną chmurę dymu lecącą do przodu, a demon wysechł bez śladu na piasku, zostawiając tylko wypalony trop po swoim przejściu. Manfred poczuł, jak ogarnia go światło słoneczne, i wyszedł z kręgu, by móc lepiej zadrwić z pozostałych dwóch demonów.

Jeden zebrał się na siłę i poleciał ku niemu, wyrzaskując jękliwie jego imię, ale wpadł w światło i wybuchł, a cuchnące płyny splamiły piasek u stóp Manfrieda. Trzeci zrobił ostatni desperacki krok w stronę cienia, ale zaraz światło go dogoniło i demon beknął morowymi oparami, flaczejac i wirując w piasku. Zostali sami na pustyni, a demony były zmuszone powrócić do otchłani piekielnej, by tam dalej knuć, jęczeć i przeklinać imię Grossbartów.

## OSTATNIA HEREZJA



O Raphaelu i Rodrigo niewiele więcej się tu wspomina, ponieważ rozstali się z Grossbartami po bitwie z demonami. Rodrigo udał się uwolnić kości Barousse'a z cmentarza szpitalników na Rodos, pragnął bowiem, by spoczął w świętszym miejscu – cel ten Grossbartowie poparli całym sercem. Raphael chciał tylko opuścić żałosny kraj, który wstrząsnął jego duchem i skradł mu pięść, więc towarzyszył Rodrigowi w długiej, spowolnionej utykaniem wędrówce na północ do Ziemi Świętej i dalej. Jeśli Maryja pozwoliła, ich świeże rany nie zaogniły się, a ścieżka pozostała czysta; Grossbartowie tego nie wiedzieli, ponieważ skierowali się na południe, jak to zawsze oni.

Jedyny więzień, który przetrwał, zatwardziały zabójca imieniem Hassan, poprowadził ich do Kairu i kiedy słońce parzyło, piasek ocierał, Hegla świerzbiała trzypalca dłoń, a przebity brzuch Manfreda pulsował boleśnie, w końcu stanęli na wydmach z widokiem na wielkie grobowce Giptu. Nie potrafili porozumieć się z Hassanem – do którego zwracali się „Arabie” w zastępstwie Al-Gassura – za pomocą słów, ale dzięki gestom i modlitwom doprowadził ich do celu. Żadne łzy radości ani triumfalne okrzyki nie przebiły ich bród, a jedynie pełne samozadowolenia pomruki.

Spędzili kilka dni, przeprowadzając rozpoznanie wśród kamiennych monolitów, wybredni jak arystokraci przy winogronach. Wszystkie piramidy robiły wrażenie zbyt odsłoniętych, żeby do tej pory zachowały się ukryte w nich bogactwa, ale w końcu natknęli się na kamienny łuk na wpół zakopany w piasku. Całą noc spędzili na oczyszczaniu wejścia i sprzeczkach.

– Ten Arab lepiej nam się przysłużył niż ostatni – wydyszał Hegel.

– Przynajmniej nie wygaduje tylu głupot. Byłoby miło, gdyby gadał jak człowiek, żebyśmy mogli mu wytłumaczyć, dlaczego jego działka będzie mniejsza niż nasza. – Manfred wyrzucił kolejny hełm piasku z wykopu.

– Zorientuje się w taki czy inny sposób. – Hegel splunął na dłoń. – Po mojemu my są prawie gotowi.

– A pewnie. – Manfred wyjął łom. – Otwierajmy.

– Ciekawe, co się przydarzyło naszemu Arabowi. Temu drugiemu, ma się rozumieć. – Hegel wetknął swoje narzędzie w delikatną rysę w kamieniu.

– Jebaniec z piachem w uszach. – Manfred się zaparł. – Żem ci mówił. Poleciał razem z tym drugim potworem. Sam żem widział.

– Pewnie, ale co potem? – Hegel stęknął.

– Wiesz, to był albo demon, albo anioł, więc Arab jest albo w niebie, albo w piekle.

– Ale gdzie konkretnie?

– Do diabła, ty tu robisz za świętego. – Manfred poczuł, że blok odrobinę się przesunął. – Zapytaj Maryję.

– Jest!

Tak naprawdę potrzebowali całej nocy, żeby odsunąć blok na tyle, by wślizgnąć się do środka. Zanim weszli, zawołali Hassana, który pełnił wartę na wydmie, żeby razem się napić. Kiedy cała trójka śmiała się i zacierała niecierpliwie ręce, światło wspięło się po wydmie. Grossbartowie zjedli ostatni kawałek wielbłąda, którego ukradli kilka dni temu Beduinom. Zwierzę wydało się Heglowi jeszcze bardziej podejrzane od konia.

– Po twojemu, co jest w środku? – zapytał Hegel.

– Zaczarowane złoto. – Manfred beknął. – Jak będziemy mieli szczęście, a zwykle, jeśli nie.

– Dlaczego chcesz złota, którego dotknęła czarownica? – dopytywał się Hegel.

– Bo wtedy nigdy nie zdołamy całego wydać.

– Ale jeśli to czarownica je wykopała...

– To je wtedy pobłogosławisz i oczyścisz, durna pało, przysięgam, ale z ciebie... – Manfred urwał, wpatrując się w promienie słońca muskające szczyt łuku.

– Co ze mnie, ty wypłukana mydlinami gębo? – zapytał Hegel. – Odpowiadaj, synu, i przestań grać świętego.

– Przymknij się. – Manfred upuścił mięso i wstał powoli. Otarł zwietrzały kamień. – Bracie – powiedział głosem drżącym jak jego ramiona – co o tym

sądzisz?

Hegel odstawił wino, ale zanim zdążył zbesztać brata, on też to zobaczył i klapnął z powrotem na piasek.

– Co, u diabła?

– To jest to, prawda? – Manfred odwrócił się od zgrubnie wydrapanego w kamieniu „G”, znaku ewidentnie świeższego od reszty zniszczonych reliefów. – To nasz przeklęty znak!

– A pewnie. – Heglowi zrobiło się niedobrze. – Niech mnie diabli, jeśli to nie to.

– Co to znaczy, do diabła?! – Manfred kopnął piach i rzucił łom. – Przebrzydły stary jebaniec! Wszystkie jebane groby w Gipcie!

Hassan wstał i wskazał na grawerunek, wzruszając ramionami. Manfred zdzielił go bez ostrzeżenia, a kiedy mężczyzna padł, jeszcze go kopnął. Przez kilka minut Manfred wściekał się i przeklinał, a Hegel pił.

– Nasz dziadek – wyjaśnił skręcającemu się z bólu przewodnikowi. – W końcu prawda wyszła na jaw. A trochę wątpiłem, czy kiedykolwiek tu dotarł.

– Pakuj manatki – powiedział Manfred. – Przenosimy się do następnego.

– Czekaj no. – Hegel uniósł rękę.

– Dlaczego? Dlaczego, do kurwy...

– Bo tak żem powiedział! – Hegel skoczył na równe nogi. – Wiesz, że nachodzi mnie przecucie, kiedy coś nie pasuje albo istnieje niebezpieczeństwo, że się nam oberwie?

– Aha?

– W ogóle mnie nie naszło. – Hegel podrapał się po brodzie. – Jeśli już, to... sam nie wiem, mam dobre przecucia co do tego grobowca.

– Hm?

– A pewnie! – Hegel podniósł łom i podał go bratu. – W końcu mógł to wydrapać, zanim wszedł, a potem padł trupem na widok łupów. Albo nie dał rady wynieść wszystkiego, zamierzał wrócić, ale nie chciał, żeby nasz zafajdany ojczulek wślizgnął się tu przed jego powrotem.

– Chyba istnieje taka możliwość. – Manfred pogłaskał koniec brody, przypominając bratu, że odkąd połowa zarostu Hegla została w przełyku potwora, nie można zaprzeczać wyższości jego srebrnego kłębu.

– Nie zaszkodzi sprawdzić. – Hegel wstał. – Pobudka, Arabie.

Ważąc w ręku łom, Hegel zapalił lampkę oliwną odebraną niefortunnemu podróżnemu, którego wielbłąda zabili, i wcisnął się do środka. Manfred wszedł następny, a Hassan tuż za nim i tylko lęk przed świętym powstrzymywał go przed wbiciem Manfredowi noża w plecy. Kamienne schody prowadziły w dół, w ciemność, i z każdym krokiem Hegel czuł się coraz pewniej. Nagle stopień pod jego nogą szczęknął cicho i nawet bez gęszej skórki na karku Hegel wiedział, że czas brać nogi za pas. Potężny łoskot rozległ się za nimi. Dotarłszy do otwartej przestrzeni, Hegel skoczył za róg, a za nim Manfred. Kiedy wyrzeli sprawdzić, co z Hassanem, eksplozja kurzu i odłamków skalnych buchnęła klatką schodową, gasząc im lampę.

– Żeś miał dobre przeczucia co do tego?! – Manfred chciał szturchnąć brata, ale w ciemnej krypcie zdołał tylko uderzyć ręką w ścianę. – Ty pojebany, zasrany złamasie!

– Dość tego! – odpowiedział Hegel. – Zapalę lampę, żebyśmy mogli znaleźć drogę powrotną.

Kiedy Hegel wreszcie zdołał ją zapalić, zobaczyli, że cała klatka schodowa została zablokowana przez bloki, które spadły z sufitu. Stali w ogromnej kamiennej komnacie zdecydowanie przerastającej wszelkie grobowce, do jakich dotąd się włamali. Pomrukując, zgodzili się, że gdzieś muszą być drugie schody albo jakieś wyjście z krypty. Mylili się.

Żyli Grossbartowie przed Heglem i Manfredem i na nieszczęście dla tego radosnego świata żyli też Grossbartowie po nich. Kompletna kronika tego nieoświeconego rodu wypełniłaby więcej tomów niż wszystkie święte teksty wszystkich ludzi ze wszystkich lądów, więc cieszcie się, że tu nie napisano już wiele więcej. Bracia Grossbart dostali dokładnie to, na co zasłużyli w tym świętym pustynnym grobie, i śmiało można założyć, że pożyli tak długo, jak wystarczyło im wody i powietrza. Wobec tego ich koniec mógł być większą łaską dla ludzkości niż tragedia, jaką okazały się ich narodziny.

Zanim zostały całkowicie wyplenione, nauki Herezji Grossbarckiej utrzymywały, że święty Hegel oddał swoje życie po raz drugi, by ratować brata, ale takie już są opowieści szaleńców i heretyków. Jednakże daleko, daleko na wschodzie, gdzie ciągnie się łańcuch wysp, przetrwały ciekawe wierzenia. Ludzie z tej ziemi długo utrzymywali, że zjedzenie ciała morskiej panny daje nieśmiertelność. Możliwe więc, że bracia Grossbart nadal mieszkają w ciemnym

grobie od dawna zakopanym w piasku, po wsze czasy targając swe brody.

# BIBLIOGRAFIA

Tylko dzięki stypendium pisarz jest w stanie realistycznie odzwierciedlić historyczny świat. Niektóre z poniższych książek czytałem przed rozpoczęciem pracy, szukając natchnienia i informacji, inne po jej ukończeniu, w celu uściślenia konkretnych szczegółów. Większość okazała się niezwykle użyteczna, a wszystkie coś wniosły, nawet jeśli ostatecznie ten wkład został usunięty okrutnymi cięciami w czasie pracy nad brudnopisem. Oczywiście, ta żenująco krótka – dla niektórych, dla innych niewątpliwie zbyt długa – bibliografia obejmuje tylko te pozycje, po które sięgałem bezpośrednio przed, w trakcie i po pracy nad wersją roboczą tej książki; wiele innych tytułów, których nie potrafię już sobie przypomnieć, stworzyło fundament pod moje rozumienie tej epoki i jej wierzeń.

Jeśli idzie o studia nad Grossbartami, mam ogromny dług u kilku szanowanych specjalistów w dziedzinie historii tego nikczemnego rodu: señora Arnauy, heer Dunna, monsieur Rahimiego i kyrii Tanzer. Oprócz pomocy, jakiej udzielili mi przy tej adaptacji, ich poprzednie prace dotyczące tematu były prawdziwym skarbem i zostały tu wymienione. I wreszcie, chociaż ich prace nie znalazły się poniżej, ogromnie pomogło mi wielu nie-Grossbarckich historyków i nauczycieli: Steve Armstrong, Bruce Boehrer, Margaret Burkley, Roy Campbell, Ken Foster, Doug Fowler, Don Howarth, Marlow Matherne, Rod Moorer, Paul Reifenheiser, Mike Rychlik, Bawa Singh, Paul Strait oraz Trisha Stapleton, by wymienić choć kilku.

Allen, S J. and Amt, Emile. *The Crusades: A Reader*. Canada: Broadview Press, 2003.

Ardanuy, David. *Święty Hegel: Autoidolatriaprawych w średniowiecznej Europie*. Florida: Goat Head Walking, 1989.

Arikha, Noga. *Passions and Tempers: A History of the Humours*. New York: Ecco, 2007.

Atwood, Margaret. *Opowieść podręcznej*. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1992.

Autor Nieznany. *Die Tragödie der Brüder Große Bärte*. Germany: Gold-



dämmerung, 1882.

Barber, Richard (ed.). *Bestiary: Being an English Version of the Bodleian Library, Oxford M.S. Bodley 764 with all the Original Miniatures Produced in Facsimile. Translated and Introduced by Richard Barber.* Great Britain: The Boydell Press, 1993.

Benton, Janetta Rebold. *The Medieval Menagerie: Animals in the Art of the Middle Ages.* New York: Abbeville Press, 1992.

Borges, Jorge Luis przy współpr. Margarity Guerrero. *Księga istot zmyślonych.* Warszawa: Prószyński i S-ka, 2000.

Budge, E. A. Wallis. *Babylonian Life and History.* New York: Barnes and Noble Books, 2005.

Caciola, Nancy. *Discerning Spirits: Divine and Demonic Possession in the Middle Ages.* New York: Cornell University Press, 2003.

Campbell, Michael D. *Behind the Name – the Etymology and History of First Names* (1996). <http://behindthename.com>.

Cantor, Norman F. *The Encyclopedia of the Middle Ages.* New York: Viking, 1999.

Cantor, Norman F. *In the Wake of the Plague: The Black Death and the World It Made.* New York: Harper Perennial, 2002.

Cavendish, Richard. *The Black Arts.* New York: The Putnam Publishing Group, 1983.

Collins, Robert O. *The Nile.* Connecticut: Yale University Press, 2002.

Constable, Giles. *The Financing of the Crusades in the Twelfth Century.* In *Outremer*. 68–88. Jerusalem: Yad Izhak Ben-Zvi Institute, 1982.

Contamine, Phillipe. *Wojna w średniowieczu.* Warszawa: „Volumen” – „Bellona”, 1999.

Curryer, Betty Nelson. *Anchors: The Illustrated History.* U.S. Naval Institute Press, 1999.

Dean, Trevor. *Crime in Medieval Europe: 1200–1550.* Great Britain: Pearson Education, 2001.

Duffy, Eamon. *Święci i grzesznicy: historia papieży.* Warszawa: Świat Książki – Bertelsmann Media, 2007.

Dunn, Travis. *Święta broda, święty Graal.* Italy: Garamond, 1982.

Ekirch, A. Roger. *At Day's Close: Night in Times Past.* New York: W. W.

Norton and Company, 2005.

Gies, Frances and Joseph. *Life in a Medieval Village*. New York: Harper and Row, Publishers, 1990.

Goldschmidt, Arthur. *A Concise History of the Middle East*. Colorado: Westview Press, 1999.

Hamilton, Bernard. *The Medieval Inquisition*. New York: Holmes and Meier Publishers, Inc., 1989.

Henisch, Bridget Ann. *Fast and Feast: Food in Medieval Society*. Pennsylvania: Pennsylvania State University Press, 1976.

Hirst, Anthony and Silk, Michael (eds.). *Alexandria, Real and Imagined*. Great Britain: MPG Books, Limited, 2004.

Housley, Norman. *The Avignon Papacy and the Crusades 1305–1378*. Great Britain: Clarendon Press, 1986.

Houston, Mary G. *Medieval Costume in England and France: The Thirteenth, Fourteenth and Fifteenth Centuries*. New York: Dover Publications, Inc., 1996.

Hughes, Pennethorne. *Witchcraft*. Great Britain: Longmans, Green, 1952.

Hume, Edgar Erskine. *Medical Works of the Knights Hospitallers of St. John of Jerusalem*. Baltimore: The Johns Hopkins Press, 1940.

Irwin, Robert. *The Middle East in the Middle Ages: The Early Ages of the Mamluk Sultanate 1250–1382*. Great Britain: Croom Helm, 1986.

Kagay, Donald J. and Villalon, L. J. Andrew. *The Circle of War in the Middle Ages*. Great Britain: The Boydell Press, 1999.

Kelly, John. *The Great Mortality: An Intimate History of the Black Death, the Most Devastating Plague of All Time*. New York: Harper Collins Publishers, Inc., 2005.

Kottenkamp, F. *The History of Chivalry and Armor*. New York: Portland House, 1988.

Lecouteux, Claude. *Witches, Wereiolves, and Fairies: Shapeshifters and Astral Doubles in the Middle Ages*. Vermont: Inner Traditions, 2003.

Longrigg, James. *Greek Rational Medicine: Philosophy and Medicine from Alcmaeon to the Alexandrians*. Great Britain: Routledge, 1993.

Lynch, Joseph H. *The Medieval Church: A Brief History*. Great Britain: Longman Group UK Limited, 1992.

Maalouf, Amin. *Wyprawy krzyżowe w oczach Arabów*. Warszawa:

„Czytelnik”, 2001.

Madden, Thomas F. *Historia wypraw krzyżowych: nowe ujęcie*. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2008.

Manley, Deborah, Editor. *The Nile: A Traveler's Anthology*. Great Britain: Cassell, 1991.

Marozzi, Justin. *Tamerlan: miecz Islamu, zdobywca świata*. Warszawa: Wydawnictwo Amber, 2006.

Morris, Jan. *A Venetian Bestiary*. Great Britain: Thames and Hudson, 1982.

Peters, Edward. *The Magician, the Witch, and the Law*. Pennsylvania: University of Pennsylvania Press, 1978.

Rahimi, Jonathan. *Osiem wieków egzotycznych przybyszów ze Wschodu w opowieściach Zachodu. Od Al-Gassura do Fo Qi Shu Kai Li*. Florida: Calliope Press, 1999.

Riley-Smith, Jonathan (red. nauk.). *Historia krucjat*. Warszawa: Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, 2005.

Russell, Jeffrey Burton and Lumsden, Douglas W. *A History of Medieval Christianity: Prophecy and Order*. New York: Peter Lang Publishing, Inc., 2000.

Santosuosso, Antonio. *Barbarians, Marauders, and Infidels: The Ways of Medieval Warfare*. Perseus Books Group, 2004.

Sayce, A. H. *Lectures on the Origin and Growth of Religion as Illustrated by the Religion of the Ancient Babylonians*. Great Britain: Williams and Norgate, 1888.

Schulz, Juergen. *The New Palaces of Medieval Venice*. Pennsylvania: Pennsylvania State University Press, 1927.

Scott, Walter. *Demonology and Witchcraft: Letters Addressed to J.G. Lockhart, Esq.* New York: Bell Publishing Company, 1970.

Singman, Jeffrey L. *Daily Life in Medieval Europe*. Greenwood Press, 1999.

Smith, Joseph Lindon. *Tombs, Temples, and Ancient Art*. Norman: University of Oklahoma Press, 1956.

Tanzer, E. M. *Szalona kobieta w chacie. Płeć w tekstach o Große Bärte*. Paris: Du Peltier Publishing, 2001.

Thompson, C. J. S. *Mysteries and Secrets of Magic*. Montana: Kessinger Publishing, LLC, 2003.

Tuchman, Barbara W. *Odległe zwierciadło czyli Rozlicznymi plagami nękane XIV stulecie*. Katowice: „Książnica”, 1993.

Vauchez, Andre. *The Laity in the Middle Ages: Religious Beliefs and Devotional Practices*. Indiana: University of Notre Dame Press, 1993.

Venit, Marjorie Susan. *Monumental Tombs of Ancient Alexandria*. Great Britain: Cambridge University Press, 2002.

Walker, Trevor Caleb. *Czarny monolit: ballada o Grossbartach*. Berkeley: Dappled Unicorn Press, 1967.

Wills, Garry. *Venice: Lion City: The Religion of Empire*. New York: Simon and Schuster, Inc., 2001.

Wolff, Robert Lee and Hazard, Harry W. *A History of the Crusades, Volume II: The Later Crusades, 1189–1311*. Madison: University of Wisconsin Press, 1969.

# PODZIĘKOWANIA

Choćby z powodów chronologicznych wszelkie podziękowania w pierwszej kolejności muszą trafić do mojej rodziny. Moi rodzice – Bruce i Lisa – byli niezastąpieni, pomocni i cierpliwi w ciągu długich lat naszej znajomości, a brat Aaron i siostra Tessa okazali mi zrozumienie zdecydowanie różne od tego, jakie okazywali sobie Grossbartowie. Całe rzesze moich dalszych krewnych z króliczo rozległej rodziny również zasłużyły na wspomnienie, i, oczywiście, moi dziadkowie – w szczególności babcie Mary i Ulamae za wpojenie mi miłości odpowiednio do literatury fantastycznej i folkloru.

Moja żona Raechel inspirowała i zachęcała mnie na każdym kroku procesu pisarskiego, a moja współpracowniczka w machlojkach, Molly, dostarczyła nieocenionej pomocy przy kolejnych wcieleniach tej powieści – bez Raechel ten projekt nigdy by nie wystartował, a bez Molly prędzej zamieniłby się w ognistą kulę niż wylądował bezpiecznie i w o niebo lepszej formie niż prezentował się na początku. John, mąż Molly i wiele więcej, pomagał mi zachować perspektywę w miarę rozwoju sytuacji i na każdym kroku oferował mądrość Buddy. Andrew Katkin i jego ojciec, Dan, pomogli mi w sposób, którego być może nigdy nie pojmą.

Lista imion, równie ważna jak katalog statków w *Iliadzie*, musi poczekać jeszcze chwilę, kiedy będę oddawał honory pięciu zacnym osobom, które pomogły mi przy tym projekcie i w związku z tym zasłużyły na niezgrabną metaforę i okropną grę słów. Trevorze, jesteś moim kciukiem, podbijasz wszystkich nowo przybyłych i wyrokujesz w walce gladiatorów. Calebie, ty jesteś palcem wskazującym, który wytycza drogę do oświecenia. Pat, ty zarazem bronisz mojego honoru i mścisz się, gdy ktoś go skala, mój środkowy palcu. Seleno, ty jesteś palcem serdecznym, bez którego ręce byłyby tylko łapami. Jonathanie, ty jesteś małym palcem, który zagryzam, by nie wybuchnąć śmiechem, gdy wystarczy subtelny chichot. Dla waszej piątki muszę wykrzyknąć „hip, hip, hura!” i ogromnie wam podziękować.

Wielu innych inspirowało mnie i dodawało mi odwagi na przestrzeni lat, a ponieważ mój umysł nie jest taki jak kiedyś, tylko garstka imion unosi się

niczym śmietanka na kubku mojej pamięci: Lauryn, Patrick, Jimmy, Becky, Daniel, Tracy, Don, Luke, Robbie, Willem, Joyce, Chad, Lara, Monique, Edgar, Greg, Carrie, Reinhardt, Barbara, Sean, Jeff, Rayford, Victor, Terry, Bobbie, Daylan, Nate, Mary, Allison, Kat, Stephanie, Bill, Angelo, Debbie, Paul, Eddie, Walt, Julie, Eric, Jen, Richard, Albert, Jon, Brenna, Ross, Meg, Ben, Shawn, Erica, Jeremy, Kido, Tom, Brooke, Sheri, Hunter, Ari, Jim, Twyla, Nick, J. T., Orrin, Clint, Music, Holly, Mike, Marlana i Martin; Phil, Shirley i Olivia; Zoltenowie; bracia Johnson z rodziną, bracia Capeilari z matką; Maier-Katkinowie; Katkinowie; Maierowie; państwo Brown; państwo Mastrofski; Greenbergowie; państwo Reese; Lowellowie; Jacobsonowie; Flemingowie; państwo Reeve; państwo Rambalski; Schmidtowie; państwo Kenney; Hooverowie, Knudson; SAIL; bariści z All Saints Café; klienci Video 21; projektant mojej strony internetowej, James Childress; wspomnienia Alexa i Jeffa.

I wreszcie są ci trzech niezłomni goście, bez których poczucia humoru i inspiracji ta powieść wyglądałaby całkiem inaczej. David, twoja broda jest równie duchowa, jak namacalna i truchleją przed jej majestatem i dowcipnym portalem, który ozłaca. Travis, nigdy dotąd nie spotkałem języka i mózgu, które pracowałyby w takiej harmonii, każde przy tym jak brzytwa Ockhama i przenikliwe, nie tylko w rozumieniu ostre. Jonathan, porównanie z małym palcem pozostaje aktualne. Mam niezwykle szczęście znać tę trójkę, a wy macie pecha, że ich poznaliście.

Nawet nie wspominam o niezliczonych pisarzach, artystach, muzykach, twórcach filmów i gier, aktorach, postaciach historycznych i wszystkich innych, którzy inspirują mnie i inspirowali niegdyś, ale taka lista byłaby nieprzyzwoicie długa. Jedno nazwisko domaga się jednak wspomnienia, a mianowicie Istvan Orosz, którego sztuka zdobi okładkę tego właśnie tomu. Pozwólcie, że na zakończenie serdecznie podziękuję tym, którzy bezpośrednio przyczynili się do powstania książki, którą właśnie macie przed oczami: mojemu niezrównanemu agentowi, Sally Harding, jak również Suzanne Brandreth, Mary Hu i wszystkim innym z Cooke Agency; mojemu niesamowitemu redaktorowi, Timowi Holmanowi i wszystkim w Orbit, w szczególności Dong–Won Songowi, Jennifer Flax, S.B. Kleinmanowi, Keithowi Hayesowi, Alexowi Lencickiemu, Lauren Panepinto i Mari Okuda; niedościgłym VanderMeerom, Jeffowi i Ann

za ich rady oraz Jeffowi za wskazówki prowadzące do Ziemi Obiecanej.  
Dziękuję każdemu z osobna i wszystkim razem za wiarę w to przedsięwzięcie.

# PRZYPISY

[1] Tłum. Zofia Uhrynowska–Hanasz.

[2] Gross Bart (niem.) – wielka broda (przyp. tłum.)

[3] Yew (ang.) – cis; w wymowie słowo to nie różni się od ang. you – ty (przyp. tłum.)